

Anya von Bremzen

SZARLOTKA LENINA

I INNE SEKRETY KUCHNI RADZIECKIEJ



Anya von Bremzen

SZARLOTKA LENINA

**I INNE SEKRETY
KUCHNI RADZIECKIEJ**

Tłumaczenie: **Aleksandra Czwojdrak**

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Seria: MUNDUS

Projekt okładki *Agnieszka Winciorek*

Zdjęcia na okładce: Istock.com

Tytuł oryginału: *Mastering the Art of Soviet Cooking. A Memoir of Food, Family and Longing*

Mastering the Art of Soviet Cooking

Copyright © 2013, Anya von Bremzen

All rights reserved

© Copyright for Polish Translation and Edition by Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego Wydanie I, Kraków 2016 All rights reserved

Niniejszy utwór ani żaden jego fragment nie może być reprodukowany, przetwarzany i rozpowszechniany w jakikolwiek sposób za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych oraz nie może być przechowywany w żadnym systemie informatycznym bez uprzedniej pisemnej zgody Wydawcy.

ISBN 978-83-233-4097-3



www.wuj.pl

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Redakcja: ul. Michałowskiego 9/2, 31-126 Kraków

tel. 12 663-23-80, fax 12 663-23-83

Dystrybucja: tel. 12 631-01-97, tel./fax 12 631-01-98

tel. kom. 506-006-674, e-mail: sprzedaz@wuj.pl

Konto: PEKAO SA, 80 1240 4722 1111 0000 4856 3325

Dla Larysy



Prolog

Zatrute magdalenki

Ilekroć zabieramy się do wspólnego gotowania, Mama opowiada mi o swoich snach. Ma tak bogate i intensywne życie senne, że zaczęła je w końcu katalogować i spisywać w formie opowieści. Posępne czarno-białe wizje ze stalinowskiego dzieciństwa, eleganckie dreszczowce z czasów zimnej wojny, naszpikowane widmami rodem z KGB melodramaty o bohaterach rozdartych między miłością a obowiązkiem.

Z szacunku – jak mniemam – dla przeszłości spędzonej za żelazną kurtyną Mama daje się usidlać wielu swoim snom, choć dziś, w wieku 78 lat, po blisko 4 dekadach spędzonych w Ameryce, bywa usidlana zazwyczaj w dość przyjemnych okolicznościach. Jak choćby czeluście pałacu-labiryntu, wypełnionego dziełami sztuki, bardzo podobnego do Metropolitan Museum of Art, gdzie Mama, emerytowana nauczycielka, pracuje jako przewodnik. W finale owego kolorowego snu pomarańczowy balon wyswobadza Mamę z labiryntu i przenosi do urządzonej z przepychem muzealnej kawiarni, w której objada się ona rurkami z kremem.

Najbardziej znamienny jest jednak inny sen, sprzed lat, który – jak pamiętam – Mama opowiadała mi wiele razy. Widzę ją wyraźnie – szczuplutka, z krótkimi włosami, wchodzi na palcach do mojego pokoiku. Budzę się w przygnębiającej ciemności, jest sam środek socjalistycznej sowieckiej zimy. Znajdujemy się w naszej maleńkiej klitce w dziadowskim bloku z barwionej betonowej wielkiej płyty, wzniessionym na przedmieściach Moskwy za Chruszczowa*. Jest rok 1968, mam pięć lat. Sowieckie czołgi wjechały właśnie do Pragi, tata dopiero co nas zostawił, a my przeniosłyśmy się tu z kafkowskiego mieszkania komunalnego nieopodal Kremla, gdzie na 18 rodzin przypadała jedna kuchnia. Mama, w szlafroku w wyblakłe

bławatki, przysiada na moim łóżeczku i pokrzepiając całuże mnie w czoło. Jednak dojmująca *toska* (typowo rosyjska boleść duszy) i rozpaczliwa tęsknota w jej oczach mówią mi, że znów nawiedził ją tamten sen.

– Posłuchaj mnie, posłuchaj, Aniuta – mamrocze. – Znowu byłam *łastoczką* (jaskółką)... Uciekam z Rosji, przelatuję nad sowiecką granicą i jakoś nikt nie pyta mnie o dokumenty. I nagle jestem w Paryżu! *W Paryżu!* Krążę nad ulicami w kolorze ochry, znam je z obrazów Utrilla. Na jednej malutkiej *rue* – nazywa się ona „ulicą Kota, Który Wędkuje”** – spostrzegam uroczą kawiarenkę. Śmigam pod oszałamiająco kolorową markizę. Kręci mi się w głowie od przepysznej woni jedzenia, wszystko w środku aż mnie boli, tak bardzo pragnę go skosztować, dołączyć do tych ludzi w środku...

W tym momencie Mama zawsze się budziła. Niezmiennie po niewłaściwej stronie wejścia. Za każdym razem głodna jak wilk i owładnięta tęsknotą za światem za granicą, którego nie wolno było jej ujrzeć, nostalgią za aromatami, które wiecznie jej umykały.

Wszystkie miłe wspomnienia kulinarne są podobne, natomiast każde niemiłe wspomnienie związane z jedzeniem jest nieprzyjemne na swój własny sposób. Mama i ja wychowałyśmy się w triumfalistycznej, spowitej w szkarłatny blask bajce o socjalistycznej obfitości i wspaniałych plonach. W naszych wspomnieniach nie występowały jednak szczęśliwe kuchnie tonące w idyllicznych oparach wanilii ani dobroduszne starsze panie stawiające na świątecznym stole złocistą pieczeń. Herbatniki pieczone z burżuazyjnego masła? Owszem, mam jedno takie wspomnienie... Pojawia się w nim Mama w *chruściowce*, czytająca na głos Prousta, oraz ja, kompletnie znudzona doznaniami zmysłowymi Francuza, za to zafiksowana na punkcie prawdziwego, jadalnego ciastka. *Jak smakowała ta egzotyczna kapitalistyczna magdalenka?* Dałabym wszystko,

żeby się dowiedzieć.

Opowieść o radzieckim jedzeniu zawsze będzie kroniką tęsknoty, niezaspokojonych pragnień. A jeśli wśród naszych najżywszych wspomnień kulinarnych znajdą się pokarmy, których w ogóle nie jedliśmy? Wyobrażenia, zasłyszane historie, gorączkowe zbiorowe łaknienie zrodzone przez 70 lat izolacji geopolitycznej i niedostatku?

Jeszcze do niedawna niewiele mówiłam o takich wspomnieniach. Pytana o powód pisania o jedzeniu, recytowałam wyuczoną historię o tym, jak to w 1974 roku Mama i ja, same bez ojca, opuściliśmy Moskwę, bezpaństwowe uciekinierki bez zimowych palt i prawa do powrotu. I o tym, jak pod koniec lat osiemdziesiątych po ukończeniu Juilliard School moja kariera pianistyczna legła w gruzach wskutek urazu przegubu. Oraz o tym, jak w poszukiwaniu nowej drogi życiowej, właściwie zupełnie przez przypadek, zachłysnęłam się dziedziną kuchni. Czego nigdy nie żałowałam. Po mojej pierwszej książce kucharskiej *Please to the Table*, poświęconej kuchniom krajów byłego Związku Radzieckiego, nieustannie spotykały mnie miłe rzeczy – ekscytujące artykuły prasowe, kolejne książki kucharskie, nagrody oraz blisko dwie dekady podróżowania i zapadających w pamięć posiłków.

Rzadko natomiast wspominałam o czymś takim, jak nagryzmolone ostrzeżenia z trupią czaszką, w które zaopatrywano garnki w babcinej kuchni w mieszkaniu komunalnym, albowiem mieszkający tam towarzysze podkradali sobie wzajemnie mięso z zupy. Albo jak owe popołudnia w przedszkolu dla dzieci członków Komitetu Centralnego, gdzie rozpaczliwie dławiałam się kawiorem – dławiałam się, ponieważ czułam, że wraz z rybią ikrą połykam ideologię, której moja antysowiecka Mama nie zdołałaby strawić. Nie wspominałam też o żeńskiej toalecie w szkole nr 110, gdzie jako dziewięciolatka w gryzącym brązowym mundurku, zdobywając

pierwsze szlify na czarnym rynku, pobierałam od koleżanek po 5 kopiejek za prawo dotknięcia butelki z coca-colą, którą znajomi przywieźli nam z mitycznej zagranicy. I nie zająknęłam się o tkwiącym we mnie do dziś odruchu wykradania ostatnich rogalików z wystawnych darmowych bufetów śniadaniowych w pięknych hotelach, w których z racji pracy często goszczę.

Czemu miałoby służyć przyznanie się do jednoczesnego zamieszkiwania w dwóch wszechświatach kulinarnych, gdzie w pierwszym rutyną jest menu degustacyjne w takich restauracjach, jak „Per Se” czy „Noma”, w drugim zaś zwykły banan – frykas dostępny w ZSRR tylko raz w roku – wciąż ma nad moją duszą władzę jak talizman?

Historie, które zachowałam dla siebie, stanowią właśnie treść tej książki. Ostatecznie to przecież one są prawdziwą przyczyną mojego pisania o jedzeniu. Nie będą to zresztą wyłącznie moje historie. Dla każdego byłego mieszkańców około trzystumilionowego sowieckiego supermocarstwa jedzenie nigdy nie jest li tylko kwestią indywidualną. W 1917 roku bunt wywołane brakiem chleba przyczyniły się do obalenia carów, a 70 lat później katastrofalne niedobory żywności pomogły stracić chyboczące się imperium Gorbaczowa do kosza na śmieci. Wcześniej jednak 7 milionów ludzi zmarło z głodu w trakcie stalinowskiej kolektywizacji, a kolejne 4 miliony podczas wojny rozpoczętej przez Hitlera. Nawet w spokojniejszych czasach, za Chruszczowa i Breźniewa, codzienny dramat obracający się wokół postawienia posiłku na stole przesłaniał większość innych trosk. Poprzez 11 stref czasowych kolektywny los socjalistycznego człowieka polegający na staniu w kolejkach spajał towarzyszy z 15 narodowych republik Związku. Żywność stanowiła stały temat radzieckiej historii politycznej, przenikający każdy zakamarek naszej nieświadomości zbiorowej. Żywność jednoczyniła nas w obsesyjnych rytuałach gościnności – jeszcze śledzika? jeszcze doktorskiej***? – oraz we

wspólnej zazdrości i pogardzie wobec nielicznych uprzywilejowanych: kanciarzy i partyjnych sługów, którzy mieli dostęp do lepszej *kołbasy*. Jedzenie scalało poszczególne wymiary rzeczywistości naszego totalitarnego państwa, nadając blask pragnienia życia, które było w przeważającej mierze szare, czasem absurdalnie komiczne, nierzadko nieznośnie tragiczne, a często po prostu naiwnie optymistyczne i radosne. Żywność – jak zauważył pewien uczony – definiowała to, jak Rosjanie znosili teraźniejszość, jak wyobrażali sobie przyszłość i jak łączyli się z przeszłością.

Tej przeszłości już nie ma. Zniknęła po rozpadzie Związku Radzieckiego. Zamiast naszej „socjalistycznej ojczyzny” są ruiny kulturowe, rozległe wykopaliska archeologiczne sowieckiej Atlantydy. Nie jesteśmy jednak gotowi porzucić to rumowisko. Postrącane z cokołów bezgłowe pomniki przywódców, śpiewniki i papierki po cukierkach, szkarłatne ongiś chusty młodych pionierów, poczerniałe od brudu trójkątne kartoniki po radzieckim mleku – kurczowo trzymamy się tych reliktów. W odróżnieniu od sentymentalnych sztucznych ruin, które miały podsycić romantyczną nostalgię za idealizowaną przeszłością, nasze przedmioty to fragmenty rzeczywistych domów, życia, które naprawdę wiedliśmy. Dla nas wciąż są pełne treści – historycznej, politycznej, osobistej. I nieomal zawsze niejednoznacznej.

Moją własną kolekcję reliktów socjalizmu zapoczątkowałem w 1974 roku, gdy już od dobrych kilku tygodni mieszkałyśmy w Filadelfii. Mama od razu straciła głowę dla Ameryki, a ja? Umościwszy się na naszej wysłużonej uchodźczej kanapie, czytałem *Trzy siostry* Czechowa i kwiliłam za bohaterkami: „Do Moskwy... Do Moskwy...”. Moje dziecięce fantazje na temat kapitalistycznych frykasów rozbiły się w drobny mak o nasz pierwszy posiłek w „Robin Hood Diner”****. Dławiłam się mdącymi farfoclami amerykańskiej surówkiej *coleslaw****** i w

zdumieniu patrzyłam na fluoresencyjny kolor topionego sera „Velveeta”. W domu zaś, gdy Mama radośnie rzucała plasterek kiełbasy bolońskiej „Oscar Mayer” na cudzoziemski *wonder bread*****, ja usychałam z tęsknoty za wonnymi cegłówkami moskiewskiego żytniego na zakwasie i za zatęchłym odorem nędznej kiełbasy krakowskiej*****. Jestem całkiem pewna, że w tych pierwszych miesiącach w Filadelfii zupełnie straciłam zmysł smaku. Ponieważ żywność odarta z politycznego patosu, gościnności i heroicznej atmosfery niedostatku nie wydawała się już niczym szczególnym.

Niczym nędzna sierota, krażyłam więc po mieszkaniu, powtarzając sobie sarkastyczne radzieckie kawały o deficycie. „Pokroicie mi sto gramów kiełbasy?” – pyta klient w sklepie. „Przynieście, to pokroimy” – odpowiada ekspedientka. Albo: „Dlaczego emigrujesz?”. „Bo mam powyżej uszu tego czczenia – odpowiada Żyd. – Kupisz papier toaletowy – trzeba uczcić tę okazję. Kupisz kiełbasę – znowu trzeba to uczcić”.

W Filadelfii nikt nie świętował zakupu kiełbasy „Oscar Mayer”.

Dla ocucenia kubków smakowych wymyśliłam sobie zabawę umysłową. Wyobrażając sobie siebie w daczy otoczonej przez kolczaste krzaki agrestu, w myślach robiłam przetwory i kiszonki ze smaków i zapachów mojej sowieckiej socjalistycznej przeszłości, umieszczając je w wyimaginowanym trzylitrowym słoiku pamięci. Potem przychodziła kolej na tabliczki czekolady z Fabryki Czekolady Orderu Lenina „Krasnyj Oktiabr” z wesołym chłopcem na obrazku. Później zabierałam się za owinięte w szkarłatne papierki ciastka „Jubilejnoje” z Fabryki „Bolszewik”, które tak wzruszająco rozpuszczały się po zanurzeniu w herbatce, sprzedawane w żółtym opakowaniu z wizerunkiem słonia. W wyobraźni odwijałam z folii gąbczaste trójkąty sera „Drużba”. Poświęcałam chwilę na wbicie urojonego aluminiowego widełka w fabryczną panierkę kotlecików za sześć

kopiejek, których nazwa wzięła się od nazwiska stalinowskiego komisarza przemysłu spożywczego*****.

Na tę nostalgiczną gimnastykę umysłu rzucała jednak cień pewna ideologiczna chmura. Ser „Drużba”, kołbasa, czekolady – wszystkie one były wytworami znienawidzonego państwa partyjnego, z któregośmy uciekły. Przypominając sobie mamine recytacje Prousta, wymyśliłam na nie stosowne określenie. *Zatrute magdalenki*.

Oto więc moje wspomnienia o „zatrutych magdalenkach”. To Mama, często współspiskująca razem ze mną w kuchni, mój łącznik z przeszłością, zasugerowała sposób wyrażenia tej zasadniczej niespójności, niesfornej kolizji kolektywistycznych mitów i osobistych antymitów. Postanowiłyśmy rekonstruować każdą dekadę sowieckiej historii przez pryzmat jedzenia – poczynając od słowa wstępnego, czyli lat 1910–1919, aż do posłowania, do czasów dzisiejszych. Razem wyruszyłyśmy w roczną wędrówkę, niepodobną do żadnej innej, przejadając i przegotowując kolejne dekady radzieckiego życia w maminej kuchni i jadalni jako kapsuły czasu i inkubatorze wspomnień. Wspomnień o wojennych kartkach na żywność i o groteskowych wspólnych kuchniach w mieszkaniach komunalnych. O krwawych rekwizycjach zboża za Lenina i o manierach Stalina przy stole. O kuchennych debatach Chruszczowa i o katastrofalnej antyalkoholowej polityce Gorbaczowa. O jedzeniu jako soczewce, w której skupiało się nasze codzienne życie, oraz – na przekór wszelkim niedoborom i niedostatkowi – o obowiązkowej gościnności i niebywale wystawnych, nieprawdopodobnych wręcz przyjaciach.

**CZEŚĆ I
BALE, BIEDA I BAJKI**



Moi dziadkowie ze strony matki, Liza i Naum Frumkinowie, około 1929 roku

1

Lata 1910–1919: Ostatnie dni carów

Mama spodziewa się gości.

W ów parny lipcowy skwar w jej mieszkanku w dzielnicy Queens zjawi się za parę godzin osiem osób, zaproszonych na wystawny obiad rodem z epoki carów. Mamina kuchnia przypomina plac budowy. W zlewie piętrzą się i przewracają garnki, robot kuchenny i blender bucza unisono. W połyskującej misie, ustawionej na zielonkawym blacie ze sztucznego granitu, porowaty kleks zaczynu drożdżowego sprawia wrażenie osobliwie żywego. Główę dam, że oddycha. Niezrażona tym Mama miksuje, smaży, jednym okiem spogląda na talk show Chrisa Matthewsa w MSNBC, jednocześnie plotkując przez telefon bezprzewodowy. W swym pomarańczowym indyjskim szlafroku, robiąc dziesięć rzeczy naraz, przywodzi na myśl pulchnego nowoczesnego elfa.

Odkąd sięgam pamięcią, Mama wyglądała właśnie tak, ze słuchawką telefoniczną pod brodą. Oczywiście wtedy, w latach siedemdziesiątych, w Moskwie doby Breżniewa, wzmianka o „wystawnym obiedzie rodem z epoki carów” wywołałaby we mnie, wówczas nastolatce, pusty śmiech. A kabel przedpotopowego czarnego sowieckiego telefonu był tak zdradziecko poskręcany, że raz potknęłam się o niego, niosąc półmisek z przyrządzonym przez mamę pilafem jagnięcym. Miałam postawić go na niskim trójnogim stoliku ustawionym w samym środku rozgardiaszu, w którym moi rodzice żyli, spali i bawili się.

W tej chwili, gdy jedna z maminych wiekowych przyjaciółek emigrantek wypełnia jej ucho ploteczkami z towarzystwa, incydent z pilafem powraca do mnie w zwolnionym tempie, jak w filmie. Cała fura żółtego ryżu sypie się kaskadami na nasz armeński dywan. Biddi, moja dwumiesięczna suczka, łapczywie pochłania każde ziarenko, lecz jej oczy i język puchną w nagłej reakcji alergicznej na tłuszcz jagnięcy. Przerażona, krzyczę wniebogłosy, Ojciec klinie na telefoniczne nawyki Mamy.

Mama zdołała uratować sytuację z typową dla siebie dezynwolturą, szaloną i nieustraszoną. Zanim zjawili się goście – z czterema dodatkowymi towarzyszami nie pierwszej trzeźwości – zdążyła wyczarować smakowitą fantazję z kilograma proletariackiej kiełbasy zwanej sosiski. Ponacinała ją w kształt kwiatów, porozkładała w rondlu i zapiekła z jajkami. Dzieło to wylądowało na stole prowokacyjnie przyozdobione krwiście czerwonymi zawijasami keczupu, dekadenckiej kapitalistycznej przyprawy. A na deser równie spontaniczny maminy jabłecznik. „Szarlotka dla niespodziewanych gości” – jak ją nazywała.

Goście! Wiecznie tłoczyli się u Mamy na progu, czy to w naszym mieszkaniu w centrum Moskwy, czy w imigranckiej klitce w Filadelfii, gdzie trafiłyśmy w 1974 roku. Goście zjeżdżają się też do jej obecnego mieszkania w Nowym Jorku i przesiadują tam całymi tygodniami, objadając ją ze wszystkiego, pożyczając pieniądze i książki. Regularnie próbuję guglować „zespół kompulsywnej gościnności”, lecz nie znajduję na to lekarstwa. Nie dla Mamy stare rosyjskie powiedzonko: „Gość nieproszony gorszy niż Tatar”. Taki był dom jej rodziców, a dom jej siostry – jeszcze gorszy.

Lecz dzisiejszy obiad jest inny. Będzie on oznaczał oficjalne zamknięcie rozdziału o klasycznej kuchni rosyjskiej. Na tak doniosłą okazję Mama zgodziła się ograniczyć liczbę gości do zaledwie ośmiu, podstępnie bowiem przytoczyłam jej powiedzonko pewnego rzymskiego uczonego i satyryka: „Liczba biesiadników niechże większa będzie niż Gracji, a mniejsza niżli Muz”. Typowy dla mamy quasi-religijny respekt dla kultury przyćmiewa nawet jej namiętność do gości. Miałażby sprzeciwiać się starożytnym?

I tak oto w ten piekielny skwar późnego popołudnia na Queensie we dwie pocimy się nad dekadencką ucztą umiejscowioną w wyimaginowanej drugiej dekadzie XX wieku,

w srebrnym wieku Rosji, mówiąc górnolotnie. Wieczór ów stanie się naszym hołdem dla prześwietnego okresu moskiewskiej gastronomii, a zarazem pożegnaniem z nim. Pożegnaniem z kulturą kulinarną, która kwitła w pierwszych latach XX wieku i zniknęła gwałtownie w chwili, gdy rewolucja w 1917 roku przekształciła kuchnię i kulturę rosyjską w kuchnię i kulturę radziecką – jedyną, jaką znałyśmy.

Mama i ja nie traktujemy tej okazji lekko. Chrzanówka i cytrynowka, które naciągały już od kilku dni, teraz schładzają się w kryształowych karafkach. Migocze kawior. Podjęłyśmy się nawet absurdalnego wysiłku, jakim było samodzielne uwarzenie kwasu chlebowego, ludowego napitku z fermentowanego czarnego chleba, dziś znanego głównie jako produkowany masowo napój chłodzący. Kto wie? Może to być dla nas nie tylko okazja obcowania z naszymi odziedzicznymi po przodkach żołądkami, ale i ostatnia w trakcie tej wyprawy szansa, aby zjeść *naprawdę porządnie*.

– Wątroba miętusa... I co począć z wątrobą miętusa? – lamentuje Mama, która nareszcie odłożyła słuchawkę.

Patrzę, jak okropnie pozdzierała sobie knyckie, ścierając na tarce rozmaite rzeczy, i odpowiadam po raz enty, że miętus, szlachetny przedstawiciel słodkowodnego rodu dorszokształtnych, tak fetyszowy przez przedrewolucyjnych rosyjskich smakoszy, jest nie do dostania na Jackson Heights na Queensie. Sfrustrowane westchnienie. Mój pragmatyzm jak zwykle wchodzi w konflikt z maminymi marzeniami i planami. Nie wspominajmy nawet o czymś takim, jak *wiaziga*, suszone struny grzbietowe jesiotra. Wątroba miętusa była carskim *foie gras*, *wiaziga* – pławą rekina. Szanse znalezienia ich pod jakimkolwiek adresem w okolicy? Nie tyle marne, ile żadne.

A jednak mamy pewne sukcesy.

Kilka jazd próbnych z chrupiącymi mózdkami w

zrumienionym maśle dało fantastyczne rezultaty. I pomimo stanu kuchni oraz wieczornego domowego rozgardiaszu panującego w tonącym w książkach mieszkanku Mamy jej stół jadalny wygląda przepięknie. Kryształowe puchary pysznią się na kwiecistym starodawnym obrusie, błękitne hortensje w secesyjnym dzbanie, który wypatrzyłam na pchlim targu w Buenos Aires, przydają dyskretnego wrażenia dekadenckiej obfitości.

Rozpakowuję transport plastikowych pojemników i butelek, który przytaszczyłam z własnego domu dwie przecznice dalej. Ponieważ wąska kuchnia Mamy jest zdecydowanie za mała na dwie kucharki, znacznie mniejsza niż schowek na miotły w arystokratycznym domostwie, już wcześniej uwarzyłam kwas chlebowy i przygotowałam przybranie dla anachronicznie chłodnej zupy z ryby i zielonych warzyw, zwanej botwiną***** (*botwinja*). Mianowano mnie również nalewkarzem oraz wykonawcą kaszy gurjewskiej, deseru bogatego w historyczną treść tudzież cały funt samodzielnie karmelizowanych orzechów. Mama jest natomiast odpowiedzialna za danie główne oraz za najrozmaitsze *zakuski* (zakąski).

Rzut oka na zegar i Mama szepce z przerażeniem w głosie:

– Ciasto na kulebiak! Zajrzyj!

Zaglądam. Dalej rośnie i pączkuje. Przywalam mu pięścią, żeby spuściło powietrze, a woń fermentujących drożdży łaskocze mnie w nos, budząc na chwilę jakąś ulotną pamięć zbiorową. A może to raczej pamięć o pamięci odziedziczonej? Urywam kawałeczek ciasta i podaję Mamie do oceny. Wzrusza ramionami, jak gdyby chciała powiedzieć: „To ty piszesz książki kucharskie”.

Cieszę się jednak, że pozwoliłam jej czuwać nad kulebiakiem. Ekstrawagancki rosyjski pieróg z rybą – historyczna lekcja przyrządzania potraw w cieście – ma być

gwoździem programu podczas dzisiejszej uczty.

„Kulebiak powinien być apetyczny, bezwstydny, w całej swej nagości, żeby aż ciągoty brały. Mrugnie człowiek na niego, odetnie porządnego kawał i palcami nad nim zacznie przebierać. [...] Zacznie go jeść, a tu masełko z niego jak te łzy, bo nadzienie tłuste, soczyste, z jajkiem, z dróbkami, z cebulą...”*****

Tak rozpływały się Antoni Pawłowicz Czechow w króciutkim opowiadaniu *Syrena*, tak też Mamie i mnie ciekła ślinka w trakcie szykowania potraw, podobnie jak niegdyś, w naszej niechwałnej socjalistycznej przeszłości. Nie tylko my, urodzone w Związku Radzieckim, miałyśmy bzika na punkcie jedzenia. Satyryczny panegiryk Czechowa, wyolbrzymiający słowiański apetyt, to pełna uniesienia fantazja miłosna. Czasami wydaje się, że dla dziewiętnastowiecznych pisarzy rosyjskich jedzenie było tym, czym kraj-obraz (a może też klasa społeczna?) dla angielskich, wojna dla niemieckich, a miłość dla francuskich pisarzy – tematem obejmującym doniosłe wątki komedii, tragedii, ekstazy i upadku. Albo też – jak sugeruje współczesna pisarka Tatiana Tołstoj – „orgiastyczne obżarstwo” rosyjskich pisarzy stanowiło kompensację literackich tabu dotyczących erotyzmu. Należy również niestety zwrócić uwagę na osobliwie *rosyjską* skłonność rosyjskich autorów do moralizowania. Różowe szyneczki, bursztynowe rosoły rybne, bliny pulchne niczym „ramię kupieckiej córki” (to również Czechow) – tego typu literackie rozkoszowanie się często służy za tajemne narzędzie piętnowania żarłoków jako duchowych bankrutów i filistrów bądź ospałych nieudaczników, jak choćby żarłok alfa – Obłomow. Wciąż zadaję więc sobie pytanie – czy to pułapka moralna? Czy kusi się nas do przełykania śliny podczas tych opisów po to, abyśmy poczuli wyrzuty sumienia?

Trudno tu jednak nie przełykać śliny. Czechow, Puszkin, Tołstoj – każdy z nich poświęca gastronomii niektóre ze swych

najbardziej porywających stronic. Co się tyczy ukochanego przez Mamę Mikołaja Gogola, autor *Martwych dusz* podniósł żołądek do rangi „najszlachetniejszego” narządu. Ogarnięty obsesją na punkcie jedzenia zarówno na kartach swych dzieł, jak i poza nimi – czy chodziło o knedle z wiśniami z dzieciństwa na Ukrainie, czy o makarony, które jadał w trakcie swoich pobytów w Rzymie – chudy Gogol potrafił spałaszczać gigantyczny obiad, po czym zacząć jeść od nowa. W podróży nieraz sam ubijał sobie masło. „Brzuch to w jego opowieściach *belle* [piękna kobieta], a nos – *beau* [przystojny mężczyzna]” – stwierdził Nabokow. W 1852 roku, niedługo przed swymi czterdziestymi trzecimi urodzinami, pogrążony w manii religijnej i bólach żołądkowo-jelitowych Mikołaj Wasiljewicz popełnił powolne samobójstwo, przesycone iście Gogolowską ironią: *zrezygnował mianowicie z jedzenia*. Tak, tak, zawiłe i wręcz bolesne związki z jedzeniem od dawna stanowiły znamienną cechę naszego narodowego charakteru.

Według pewnego opracowania naukowego aż 86 różnych rodzajów potraw pojawia się na kartach *Martwych dusz*, napisanej przez Gogola kroniki objazdu pewnego kanciarza po rozległej rosyjskiej prowincji, z jednego obiadu na drugi. Zrozpaczony z powodu swej niezdolności wzniesienia się na wyżyny tomu pierwszego nieszczęsny Gogol spalił większość tomu drugiego. Wśród ocalałych resztek jest najsłynniejsza literacka oda do kulebiaka, w której nie brakuje nawet autentycznego przepisu.

„No więc kulebiakę zrób mi czworokątną” – poleca Pietuch, duchowy bankrut i żarłok, uratowany z płomieni. I tłumaczy:

– W jeden kąt poóż ty mi policzki jesiotra i wyzigę, w drugi kaszy gryczanej, a do tego grzybków z cebulą, i słodkiego mleczka rybiego, i mózdku, i jeszcze czegoś, wiesz, tam takiego [...] I od spodu niby... przepiecz ją tak, [...] żeby ona cała, wiesz, tak się roztego, nie żeby się rozsypała, tylko żeby w ustach tajała jak śnieg jakiś, tak żeby się nawet nie poczuło.

Mówiąc to, Pietuch cmokał i mlaskał wargami*****.

Całe pokolenia Rosjan również cmokały, czytając ten urywek. Historycy podejrzewają jednak Gogola, że sam wymyślił ów chimeryczny kulebiak „czworokątny”. A jak było naprawdę z tą potrawą, zwykle podłużną i wielowarstwową?

W największym skrócie: kulebiak wywodzi się od prastarego słowiańskiego pieroga (nadziewanego ciasta). Kulebiak, danie – jak to mówią – niskiego rodu, przyszedł na świat w XVII wieku, by u szczytu swej świetności na początku XX wieku wyewoluować do postaci królewskiego złotobrązowego ciasta, fantazyjnie zdobionego wycinanymi wzorami. Wewnątrz kryją się aromatyczne warstwy z ryby i *wiazigi*, obfitości leśnych grzybów oraz omaszczonej masłem kaszy gryczanej bądź ryżu, a poszczególne warstwy rozdzielają cienkie naleśniki zwane *blinczikami*, które mają za zadanie wchłaniać nadmiar płynów.

Spierałyśmy się z mamą co do reszty dań w naszym menu, lecz co do tego jednego byłyśmy zgodne: bez kulebiaka nie ma mowy o należytym posiłku w duchu srebrnego wieku Moskwy.

W Moskwie lat trzydziestych, gdzie w szczytowym okresie stalinizmu dorastała moja Mama, Larysa (Lara, Laroczka) Frumkina, idea dekadencji uczty w stylu carskim jawiła się dokładnie tak samo jak w latach siedemdziesiątych za Breźniewa – jak niedorzeczna bajka o pieczonych gołębikach wpadających do gąbki. Ulubioną potrawą Mamy były wtedy *sosiski*. Też za nimi przepadałam, Mama twierdzi jednak, że *sosiski* mojego dzieciństwa nie umywają się do soczystego produktu z epoki Stalina. Dlaczego właśnie te proletariackie parówki pozostają magdalenkami każdego *homo sovieticus*? Ponieważ poza *sosiskami* z groszkiem konserwowym oraz kotletami mielonymi z kaszą, gęstymi kapuśniakami, tonącymi w majonezie sałatkami i podawanym na deser wodnistym kompotem w Kraju Rad nie było za wiele do jedzenia.

No chyba że byłeś osobą uprzywilejowaną. W naszym radosnym bezklasowym społeczeństwie ta jakże ważna kwestia

przywilejów nie dawała mi spokoju już od najmłodszych lat.

Po raz pierwszy zetknęłam się ze światem uprzywilejowanego jedzenia – a raczej *usłyszałam* o nim – jeszcze przed ukończeniem trzeciego roku życia, w tym samym groteskowym mieszkaniu komunalnym w Moskwie, w którym w 1963 roku przyszłam na świat. Mieszkanie znajdowało się tak blisko Kremla, że praktycznie słyszeliśmy o północy kuranty ogromnego zegara na Baszcie Spasskiej. Rozbrzmiewał też inny dźwięk, niedający nam spać: hałaśliwe BLARGHHH naszego sąsiada Miszy, puszczającego pawia za pawiem. Musicie wiedzieć, że Misza, kierownik sklepu spożywczego, prezentował właścielskie podejście do socjalistycznych zapasów żywności, niewykluczone, że był czarnorynkowym milionerem, który zamieszkiwał w naszej komunalnej norze tylko z obawy przed tym, aby obnoszenie się z bogactwem nie zainteresowało przypadkiem organów ścigających malwersantów. Misza i jego żona Musia, szerokobiodra blondyna, wiedli żywot staromodnych dekadentów w wersji z epoki dojrzałego socjalizmu. Noc w noc biesiadowali w którejś z nielicznych moskiewskich restauracji z prawdziwego zdarzenia (dostępnych dla partyjnych szych, cudzoziemców oraz towarzyszy posiadających nielegalne ruble), za każdym razem przepuszczając równowartość maminej miesięcznej pensji na posiłki, których Misza nie był nawet w stanie utrzymać w żołądku.

Gdy zaś siedzieli w domu, konsumowali nieopisane frykasy – na ten przykład kawałki kurczaka smażone w cieście, przyrządzone dla nich przez kochające dlonie baby Miły, czyli mamy Musi, pulchnej chłopki z jednym okiem, czterema (a może sześcioma?) złotymi zębami na przodzie oraz zdrową dozą pogardy dla nieuprzywilejowanych.

– To co, robimy dzisiaj kotlety – mawiała Miła w kuchni, wpijając jednooki wzrok w nieszczęsne paszteciki w

wyszczerbionym aluminiowym rondlu Mamy. – Muuusia! – krzyczała do córki. – Larysa robi kotlety!

- Smacznego, Laroczka! (Musia lubiła Mamę).
- Muuusia! Zjadłaby ty kotlety?
- Ja? O nie!
- Oho! A widzi? – Miła wymachiwała spuchniętym palcem pod adresem Mamy.

Jednego dnia moja drobna, niedożywiona Mama nie zdołała się powstrzymać. Po powrocie z pracy, zmordowana i głodna jak wilk, zwędziła kawałeczek smażonego kurczaka z brytfanny, którą Miła zostawiła w kuchni. Nazajutrz patrzyłam, jak czerwona i zapłakana puka do drzwi Miszy, aby wyznać winę.

– Kurczak? – zarechotała Miła, a ja do dziś pamiętam własne zdumienie na widok blasku jej dwudziestoczterokaratowej buzi w mroku korytarza. – Częstuj się, kiedy chcesz, i tak *wyrzucamy to dziadostwo*.

Odtąd co tydzień miałyśmy okazję zjadać dziadostwo, które zostało skazane na śmiertnik w domu przestępcy gospodarczego. W naszych ustach smakowało jak ambrozja.

W 1970 roku, czyli w jedenastym roku swego burzliwego związku, rodzice po czteroletniej separacji znów się zeszli i przenieśliśmy się do mieszkania na Arbacie. Wtedy w moim życiu pojawił się kulebiak. W tej najbardziej arystokratycznej starej dzielnicy Moskwy wyganiano mnie z domu po ów pieróg, kupowany w swym radzieckim wydaniu w sklepie garmażeryjnym przy restauracji „Praga”, słynnej jeszcze „przed materializmem historycznym” (jak ironicznie określało się po sowiecku „zamierzchłą przeszłość”) ze względu na *rasstiegaje****** wielkości talerza, z dwoma rodzajami nadzienia – jesiotrem bądź sterletem.

Za Breźniewa nawet w sezonie ogórkowym w „Pradze”

oglądało się *klass******, był to modny *riestoran*, gdzie osobnicy w rodzaju Miszy obmacywali tlenione blondyny, zespół muzyczny ryczał na pełen regulator, a dyplomaci z Trzeciego Świata organizowali przyjęcia w urządzonej z przepychem prywatnych salach.

– Samochód ambasadora Angoli pod wejście!

W moich siedmioletnich uszach brzmiało to jak muzyka.

Jeśli szwendałam się przed „Pragą” dostatecznie długo oraz jeśli mój dziecięcy uśmiech i słowa: *Hełł, hał du ju lajk Moskoł?* były dostatecznie rozbrajające, jakiś sympatyczny dyplomata mógł mi rzucić opakowanie pięciu gum „Juicy Fruit”. Nazajutrz w dziewczęcej toalecie, posiłkując się linijką i scyzorykiem, sprzedawałam tę gumę wybranym koleżankom, milimetr po milimetrze. Nawet już użyty kawałek miał swoją wartość, z kopiejkę czy dwie, jeśli tylko nie przeżuło się go więcej niż pięć razy, by pozostawić co nieco kwiatowej magii „Wrigleya” dla przyjemności kolejnego żującego. Surowe przestrogi nauczycielki, że zbiorowe żucie kapitalistycznej gumy wywołuje kilę, dodatkowo wzmagają dreszczyk emocji towarzyszący łamaniu zakazów.

Podobało mi się wszystko, co wiązało się z zakupami w „Pradze”. Uwielbiałam przeskakiwać pagórki topniejącego brązowego śniegu i trocin, które towarzysze dozorcy z zapałem wmiatali wprost na stopy klientów. Kochałam wdychać charakterystyczną woń zjełczałej słoniny, *pieriegaru* (skacowanego oddechu) i przesłodzonych górnych nut perfum „Krasnaja Moskwa”*****. Przepadałam za *tiotią Gruszą*, ekspedientką z nosem jak kartofel, która z dziką pasją waliła w swe liczydła. Kiedyś, wiedziona jakimś głębokim późnosocjalistycznym instynktem, podzieliłam się z Gruszą całym opakowaniem „Juicy Fruit”. Chwyciła je bez podziękowania, ale od tamtego czasu zawsze pilnowała, żeby zostawić mi kulebiak.

– Bierz, ty pyskata zarazo – mówiła, podsuwając mi przy okazji pod ladą kawałek naszpikowanego rodzynkami keksu.

Tak oto zaczęłam doceniać wagę czarnego rynku, *błatu* (znajomości) oraz łapówek. Krok po kroku torowałam sobie drogę ku przywilejom.

W błyszczących czarnych kaloszach naciągniętych na walonki (filcowe buty z cholewkami) i w płaszczu z „mysich skórek” (jak twierdził Tata) niosłam ów owinięty w „Prawdę” kulebiak na rodzinny stół, zazwyczaj wracając okrężną drogą, obok cerkwi zwieńczonych kopułami, a wówczas służących za magazyny, obok uroczych kremowo-zielonych neoklasycznych fasad zabazgranych niecenzuralnym slangiem, który Rosjanie zwą *mat*. Podczas tych spacerów wydawało mi się, że cała Moskwa należy do mnie, wędrując po jej zimowych ulicach, byłam jak flaner ze zwitkami nielegalnej forsy. Na Prospekcie Kalinina, wspaniałym modernistycznym bulwarze przecinającym starą część miasta, pomimo mrozu nie do zniesienia zsuwałam rękawiczki, odliczając 20 lodowatych kopiejek dla odzianej w niebieski płaszcz pani z oszronionym cynkowanym pojemnikiem z lodami. Było to nieomal przykro, ów bolesny szok doznawany przez zęby zatapiane w waflowym kubku pełnym waniliowych lodów „Płombir” z rozetką ze śmietany – twarde jak beton, nic sobie nie robiły z drewnianej łypatki. Na lewo od „Pragi” wznosiła się stacja metra Arbatskaja, na planie gwiazdy, w kasztanowym kolorze i stylu art deco, skrywająca w sobie szwadron niezdarnych szarych *gazirowek* – automatów z wodą sodową. Kopiejka za wodę bez soku, trzy kopiejki za wodę z dodatkiem gęstego, aromatycznego, żółtego syropu. Upolowanie wody sodowej było przedsięwzięciem niepokojąco ryzykownym. Nie z powodu braku wody gazowanej czy syropu, lecz za sprawą alkoholików, którzy ustawnicznie kradli dwunastokątne szklanki ze szlifowanego szkła – żelazne wyposażenie każdego radzieckiego domu. Jeśli

jakimś cudem pijacy zostawili szklankę, podekscytowana odwracałam ją do góry nogami i przyciskałam mocno do ażurowej podstawki w machinie, patrząc, jak silny strumień wody wypłukuje pijacką ślinę. Na co komu w ogóle była ta woda sodowa?

Idąc dalej Starym Arbatem, zatrzymuję się przy sklepie „Konserwy”, którego fryzy ukazują obfitość socjalistycznych owoców, i za 12 kopiejek wypijam rytmalną szklankę słodkiego soku z brzozy, rozlewaneego ze staromodnych stożkowatych szklanych gąsiorów zaopatrzonych w kraniki. Potem, ssąc brudny sople, wędruję, gdzie oczy poniosą, zagubiona w delcie wąskich bocznych uliczek, wijących się i poskręcanych jak warkocze, a każda z nich nosi nazwę rzemiosła, które ongiś na niej uprawiano. Zaułek Płocienny, aleja Chlebowa. Wtedy, zanim kapitalizm oszpecił stare centrum Moskwy bilbordami, neonami i anachronicznymi budowlami historycznymi, niektóre ulice Arbatu zachowywały jeszcze resztki dziewiętnastowiecznej nieskazitelności.

W domu zastawałam Mamę zazwyczaj w kuchni, z wielką czarną słuchawką pod brodą. Gotowała, jednocześnie dyskutując z koleżanką o nowej sztuce teatralnej czy książce. Tata przyjmował rozleniwioną obłomowowską pozę na kanapie i grał w karty sam z sobą, sącząc zimną herbatę z pomarańczowego kubka w białe kropki.

– I jak tam spacer? – Mama zawsze była ciekawa. – A zatrzymałaś się koło domu przy Powarskiej, gdzie mieszkała Natasza z *Wojny i pokoju*? Na samą wzmiankę o Tołstoju juicy fruit w mojej kieszeni zastygają w pełen skrupułów żółty guz na sumieniu. Natasza Rostowa i Mama – takie poetyczne, takie prostolinijne. A ja? Czyż nie jestem prymitywnym Miszą w wersji mini? Tata jak zwykle wyciągnął pomocną dłoń.

– Zabierajmy się za ten kulebiak. A może w „Pradze” zabrakło?

Miałam ochotę odrzec: W „Pradze” nigdy ich nie zabraknie! W obecności kochanej wrażliwej Mamy rozsądne wydało mi się jednak przemilczenie osobliwego *błatu* z ciocią Gruszą, ekspedientką.

Spożywanie kulebiaka w niedzielę było naszym ukłonem w stronę rodzinnej tradycji, mimo że pieróg, który kładłam na kuchenny stół w naszym czterdziestosześciometrowym dwupokojowym mieszkaniu, dzielił jedynie nazwę z owym rogiem obfitości, który orgiastycznie celebrowali Gogol i Czechow. Więcej w nim było z bułki niż z pieroga, późnosocjalistyczny kulebiak miał postać skromnego prostokąta z ciasta drożdżowego, skrywającego, zgodnie z radziecką formą, ledwie widoczną warstwę gotowanego mielonego mięsa i kapusty. Teraz przyszło mi do głowy, że nasz niedzielny kulebiak z „Pragi” wyrażał siermiężność naszego życia tak samo wymownie, jak wersja luksusowa oddawała carski przepych. Nasz kulebiak bardzo nam jednak odpowiadał. Ciasto drożdżowe było smaczne, zwłaszcza popijane maminym cienkim postnym barszczem, a cały zestaw miał w sobie dostateczną sugestyność, by rozbudzać w nas gorączkowe fantazje o przedrewolucyjnej kuchni rosyjskiej, tak intymnie nam znanej z książek – i tak nieosiągalnej.

Fantazjowanie o jedzeniu – o tym już wiedziałam – dawało porównywalne zaspokojenie jak posiłek.

Na dziesiąte urodziny rodzice podarowali mi książkę *Moskwa i moskwiczi****** autorstwa Włodzimierza Gilarowskiego, ulubieńca Moskwy epoki *fin de siècle*, który pisał o sprawach miejskich do kilku gazet. Łącząc dickensowską spostrzegawczość z rasowym piorem tabloidowego dziennikarza i odrobiną naturalizmu w stylu Zoli, Gilarowski odmalował zajmującą, acz nieco męczącą, panoramę naszego miasta przełomu XIX i XX wieku.

Jako dziecko przechodziłam bez ceregieli do najbardziej

podniecających fragmentów – mianowicie o jadaniu na mieście.

W pierwszej dekadzie XX wieku moskiewski krajobraz restauracyjny zbliżył się do swoistego słowianofilskiego ideału. W odróżnieniu od ówczesnej stolicy, Petersburga, uważanego za pompatyczny, biurokratyczny i zasadniczo cudzoziemski, Moskwa bardzo starała się okazać godną przydomka „chlebem i solą”. Była miastem z gruntu handlowym, nieskażonym sztucznymi naleciałościami europejskich manier i potraw. W Petersburgu ubierano się elegancko i udawano się do francuskiej restauracji, aby poskubać mikroskopijnych porcji *foie gras* czy ostryg. W Moskwie obżerano się bezwstydnie, nieprzytomnie, orgiastycznie w *traktirze*, czyli miejscowości traktierni, podrzędnej restauracji. W czasach Gilarowskiego najlepsze z takich lokali, choć robotniczej proweniencji, chętnie witały w swoich progach każdego – wykwintne wyższe sfery i prostych ziemian z prowincji, aktorów o donośnych głosach z Moskiewskiego Teatru Artystycznego i kupców ubijających milionowe interesy, które napędzały cały ten słowianofilski *boom* restauracyjny. Takiego koktajlu społecznego nigdy nie uświadczylibyśmy w chłodnym, pielęgnującym podziały klasowe Petersburgu.

Z burczącym brzuchem przesiadywałam do późna w nocy, pożerając Gilarowskiego. Od niego dowiedziałam się, że najcieńsze bliny podawano w traktierni Jegorowa, pieczone w specjalnym piecu stojącym pośrodku sali restauracyjnej. Oraz że w *traktirze* Łopaszowa, prowadzonym przez brodatego milczka starowierca, najpulchniejsze pierogi z nadzieniem mięsnym, rybnym bądź owocowym w bąbelkowym sosie z różowego szampana – wsuwali ludowymi drewnianymi łyżkami kupcy handlujący syberyjskim złotem. Wielcy książęta z Petersburga tłukli się przeszło 600 kilometrów pociągiem na południowy wschód, byle tylko zjeść u Tiestowa, w najsławniejszym moskiewskim *traktirze*. Tiestow słynął z

prosiął, które tuczył „osobiście na własnym letnisku”***** , traktując jak dzieci (wyjawszy kraty, między którymi więził ich nóżki, aby prosię nie opierało się przymusowemu tuczowi), ze stępcościoletnich jesiotrów i sterletów, które przewożono żywcem nad Wołgi, oraz z kaszy gurjewskiej, ozdobnego wypieku z kaszy manny przyprawianej na słodko karmelizowanymi orzechami i lekko przypieczonymi kożuszkami śmietany, podawanej każdemu w oddzielnej brytfance.

No i kulebiak. Najobsceniczniej dekadencji kulebiak w całym mieście.

Ów ukryty w złotym cieście majstersztyk od Tiestowa, sprzedawany pod osobliwą nazwą jako „Pieróg Bajdakowa” (nikt nigdy nie słyszał o żadnym Bajdakowie), a zamawiany z parodniowym wyprzedzeniem, był dziełem jego szefa kuchni Lonieczki, 150 kilo żywnej wagi. Lonieczka słynął między innymi ze zwyczaju pijania szczi (kapuśniaku) zmieszaneego z mrożonym szampanem jako remedium na kaca. Jego kulebiak był dwunastopiętrowym drapaczem chmur, poczynając od parteru z wątróbki miętusowej i spoczywających na niej warstw ryby, mięsa, dziczyzny, grzybów i ryżu, a wszystko to zawinięte w ciasto, i dalej piął się coraz to wyżej w górę, aż do poddasza z mózdku cielęcego w zrumienionym maśle.

I wtedy wszystko legło w gruzach.

Zaledwie w ciągu paru marnych lat klasyczna rosyjska kultura kulinarnej zniknęła nieomal bez śladu. Patriotyczna euforia towarzysząca przystąpieniu Rosji do I wojny światowej w 1914 roku opadła wskutek pasma katastrof, które pilotował „ostatni z Romanowów” – pozbawiony wyrazu, autokratyczny car Mikołaj II ze swoją reakcjonistyczną, rozhisteryzowaną niemiecką żoną Aleksandrą. Carska Rosja, sładząc się na nogach, podążała drogą do upadku i głodu. Złociste pierogi, prosięta? W 1917 roku na sztandarach bolszewickich rewolucjonistów widniały hasła podstawowego produktu

żywnościowego: „chleba” oraz „ziemi” (udręczeni chłopi stanowili 80% ludności Rosji) i zakończenia wyniszczającej wojny. Wieczorem 25 października, kilka godzin przed zamachem stanu dokonanym przez Lenina i niewielką grupkę jego towarzyszy, ministrowie słabnącego Rządu Tymczasowego Aleksandra Kiereńskiego, który zastąpił cara po rewolucji lutowej w 1917 roku, konsumowali wykwintny obiad w pałacu Zimowym: zupę, karczochy i rybę. Znamienny to był posiłek, jak by nie patrzeć.

Wobec już obowiązującego systemu racjonowania żywności bolszewicy szybko jeszcze obostrzyli zasady przydziałów żywności w zależności od klasy. Ciężko pracujący robotnicy fizyczni stali się nową grupą uprzywilejowanych, a szkowna klientela Tiestowa spadła na sam dół hierarchii społecznej. Grigorij Zinowjew, przewodniczący Rady Delegatów Robotniczych w Piotrogrodzie (dawnym Petersburgu), tak oto ogłosił wprowadzenie kartek dla burżuazji: „Damy im po uncji dziennie, żeby nie zapomnieli, jak pachnie chleb”, po czym dodał z satysfakcją: „A jeśli trzeba będzie przejść na mieloną słomę, to burżuazję jako pierwszą skierujemy na ten wikt”.

Kraj, ogarnięty już wówczas wojną domową, pędził ku katastrofальнemu, w pełni scentralizowanemu modelowi komunistycznemu. Okres komunizmu wojennego (który otrzymał tę tymczasowo brzmiącą nazwę dopiero później) trwał od połowy 1918 roku do początku 1921 roku, kiedy to Lenin wdrożył bardziej mieszany model gospodarczy. Od tego momentu aż do samego kresu Związku Radzieckiego żywność miała być nie tylko kwestią nieustannej niepewności, ale i surowym narzędziem kontroli politycznej i społecznej. Nada się tutaj rosyjskie powiedzonko: *knut i prianik* (piernik).

Choć piernik trudno było wówczas uświadadzić.

Podczas strajków w Piotrogrodzie w 1919 roku protestowano przeciwko smakowi (czy raczej przeciwko jego brakowi) nowej

radzieckiej diety. Nawet rewolucyjne grube ryby w stołówce miejskiej w Smolnym musiały zadowalać się ohydną zupą śledziową i kleistą kaszą jaglaną. Na Kremlu w Moskwie, w siedzibie nowej władzy, sytuacja była tak okropna, że słynący z ascetyzmu Lenin – żyjący czerstwym chlebem i słabą herbatą, a jadający głównie w domu – zarządził liczne dochodzenia, dlaczego „Kremlowka” (stołówka na Kremlu) serwuje rzeczy nienadające się do jedzenia. A oto wyniki śledztwa: kucharze nie umieli gotować. Większość przedwojennych szefów kuchni, kelnerów i innych osób związanych z gastronomią wyrzucono z pracy w ramach potężnej reorganizacji siły roboczej, na ich miejsce zaś zatrudniono nowych, przedstawicieli innych zawodów, aby wyrugować „kadry carskie”. „Żelazny Feliks” Dzierżyński, przerażający mistrz-założyciel maszyny sowieckiego terroru, był zasypywany prośbami pracowników Kremla o ścierki do kremlowskich kuchni. A także fartuszki i fartuchy dla kucharzy. Pani Trocka nie przestawała dopominać się o sitka do herbaty – na próżno. Część problemów „Kremlowki” wynikała z jeszcze innej polityki doby komunizmu wojennego. Po ogłoszeniu się jedynym dostawcą i sprzedawcą żywności oraz regulatorem cen żywności Kremlowi nie wypadało zaopatrywać się u dostawców prywatnych. A jednak. Czarny rynek, narodzony z dnia na dzień, stał się – i pozostał – charakterystycznym i trwałym elementem sowieckiego życia. Lenin mógł sobie wymyślać na drobnych spekulantów, których zwałał *mieszocznikami* (domokräżcami), czyli zwykłych ludzi, którzy nie bali się stawać czoło grasującym patrołom Czeka Dzierżyńskiego, aby tylko przywieźć ze wsi jedzenie, często dla własnych głodujących rodzin. W rzeczywistości większość kalorii spożywanych w rosyjskich miastach w tym ponurym czasie pochodziła od takich nielegalnych handlarzy. Zimą na przełomie lat 1919/1920 dostarczali oni aż 75% konsumowanej żywności, a może i więcej. Szacuje się, że pod koniec okresu komunizmu wojennego szlaki Ukrainy – spichlerza kraju

przemierzało 200 tysięcy spekulantów.

Komunizm wojenny okazał szczególnie okrutne oblicze wobec chłopów. Bolszewicy, partia zdecydowanie miejska, nie mieli większego pojęcia o wiejskiej rzeczywistości, wbrew symbolice sierpa i młota oraz początkowym hasłom dystrybucji ziemi. Dla zwalczania dotkliwych braków zboża, zrzucanych na karb spekulacyjnego ukrywania zapasów, Lenin zarządził „dyktaturę aprowizacyjną” i „walkę o chleb”. Po wsiach krążyły zbrojne oddziały, konfiskując „nadwyżki” dla nakarmienia Armii Czerwonej i głodnych, tragicznie podupadłych miast. Ta znienawidzona *prodrazwiorstka* (rekwiizycje zboża) była tylko przygrywką do jeszcze straszliwszych okropności, jakie miały nastąć za Stalina. Na tym jednak nie koniec. Dla roznieczenia na wsi marksistowskiej walki klas najuboższych chłopów podżegano przeciwko zamożniejszym sąsiadom, zwanym kułakami (od zacięniętych pięści), nikczemnym osobnikom w typie burżuazji, którzy stali się ofiarą bolszewickiego jadu. „Powiesić (i to powiesić koniecznie tak, żeby ludzie widzieli) nie mniej niż stu znanych kułaków, bogaczy, krwiopijców” – polecił Lenin władzom regionalnym***** w 1918 roku. Jednakże Zinowjew zauważył później: „Lubimy określać jako kułaka każdego chłopa, który ma co jeść”.

Tak oto rozpoczęła się narastająca i nierówna wojna zradikalizowanych uprzemysłowionych miast – mniejszości – o ujarzmienie konserwatywnej, na wskroś religijnej i głęboko nieufnej wsi – zdecydowanej większości. Większości, która nigdy nie zaliczała się do gorliwych zwolenników bolszewizmu.

Rolnictwo w okresie komunizmu wojennego doznało załamania. Już w 1920 roku produkcja zboża spadła do zaledwie 60% poziomu przedwojennego, kiedy to Rosja była jego ważnym eksporterem.

Nie trzeba dodawać, że w tych okrutnych czasach pojęcie narodowej kuchni wylądowało na bruku. Potępiano nawet samą

ideę czerpania przyjemności z aromatycznego jedzenia jako przejaw kapitalistycznej degeneracji. Majakowski, zuchwały poeta rewolucji, szczuł swe szydercze muzy na upodobania smakoszy:

Jedz ananasy, jarząbki żuj,
Dzień twój nadchodzi ostatni, burżu*****.

Żywność była paliwem umożliwiającym przetrwanie i socjalistyczną pracę. Stanowiła oręź walki klasowej. Wszystko, co kojarzyło się z pysznościami od Tiestowa – maślany kulebiak pierwszy znalazłby się na celowniku – uznawano za reakcyjny zamach na rodzący się nowy świat. Niektóre carskie traktiernie i restauracje zamknięto i złupiono, inne znacjonalizowano i zmieniono w stołówki publiczne w utopijnym zamysle serwowania nowo powstały sowieckim masom nowego typu jedzenia, rzekomo przyszłościowego i racjonalnego.

Dopiero dwie dekady później, po kolejnym odejściu od polityki racjonowania żywności, państwo zaczęło wspierać starania o odszukiwanie dawnych zawodowych kuchmistrzów i wskrzeszenie niektórych tradycyjnych przepisów, przynajmniej na papierze. Odbywało się to w ramach całkiem nowego programu Kuchni Sowieckiej, opracowanego przez stalinowski Ludowy Komisariat Przemysłu Spożywczego. Powróciły nieśmiało – już wówczas i później – niektóre carskie potrawy, przebrane w radzieckie szaty.

Lecz wielowarstwowy rybny kulebiak z prawdziwego zdarzenia – ulubieniec dawnych czasów – pojawił się dopiero w Moskwie putinowskiej, w restauracjach próbujących wskrzesić epokę Romanowów, zamawiany przez oligarchów podczas dobijania naftowych targów.

Razem z Mamą możemy się pochwalić własnymi przygodami z kulebiakiem.

Po przyjeździe do Ameryki w 1974 roku, gdzie trafiłyśmy jako

uciekinierki z dwiema walizeczkami, mama utrzymywała nas ze sprzątania po domach. Jakimś cudem w ciągu dwóch lat zdołała uciułać na naszą pierwszą nieśmiałą wyprawę do Paryża. Stolica Francji wydała mi się dumna i przytłaczająca, Mama natomiast była w euforii. Spełniło się marzenie, które snuła przez długie sowieckie dekady, i nie przeszkadzały jej nieświeże *saucissons*, którymi żywiłyśmy się przez cały tydzień. Ostatniego wieczoru Mama postanowiła przepuścić pieniądze w skąpanym w świetle świec zadymionym bistro w XVI dzielnicy. No i proszę! Najdroższe danie w menu – nasz kulebiak z nadzieniem rybnym! Oczywiście w swym francuskim wcieleniu jako *coulibiac* – jedna z owych poręcznych potraw *à la russe*, które w XIX wieku przywędrowały tu z Rosji jednokierunkowym w zasadzie szlakiem gastronomicznym. Nerwowo przeliczając resztę turystycznych franków, pełne nadziei wpiłyśmy się łakomie w ów *coulibiac* i od razu ukontentowało nas puszyste maślane ciasto, rozkosznie rozpadające się pod dotknięciem widelca. Z otwartego pieroga na talerzu zdawał się puszczać do nas oko – czyżby pogardliwie? – cudny koralowy róż łososia, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że francuska gastronomiczna *noblesse oblige*. Ci Galowie nie umieją wyrzec się próżności. Ugryzłyśmy drugi kęs, szykując się na całkowitą kapitulację. Lecz zaraz, zaraz, coś tu jest nie tak. *Messieurs-dames!* Gdzieście podziali ciemne leśne grzyby, ryż z koperkiem i *blincziki*, które mają wchłonąć wszystkie te słowiańskie soki? I gdzież owa czarodziejsko urzeczywistniana fuzja smaków? Francuski *coulibiac* – zawyrokowałyśmy – to podróbka: *saumon en croute* udający rosyjską potrawę. Zapłaciłyśmy rachunek garçonowi, który uśmiechał się ironicznie, ogarnięte nagłą nostalgią za naszym kulebiakiem z „Pragi” i ciągle niezaspokojonymi tesknotami, jakie w nas rozbudził.

Dopiero w Filadelfii udało nam się dotrzeć do nieuchwytnego Świętego Graala rosyjskiej sztuki kulinarnej – dzięki emigrantom jeszcze z białej Rosji, którzy uciekli tuż przed

rewolucją bądź już po jej wybuchu. Ów siwowłosy naród przypłynął do Stanów z Paryża, Berlina bądź Szanghaju, nosząc szlachetne rosyjskie nazwiska prosto z powieści – Golicynowie, Wołkońscy. W ogrodach przy swoich domkach pod Filadelfią czy Nowym Jorkiem hodowali czarne porzeczki i nabokowskie bzy. Od czasu do czasu chadzali na bale – bale! W ich oczach jako uciekinierki z barbarzyńskiego Imperium stanowiłyśmy niejaką osobliwość. Ich rozmowy z Mamą brzmiały mniej więcej tak:

– Gdzie przebiedowałaś rewolucję?

Na to Mama:

– Urodziłam się w 1934.

– Co Sowieci myślą o Kiereńskim?

Mama:

– Nie myślą o nim za wiele.

– Podobno w Rosji po 1917 sporo się zmieniło?

Mama:

– Yyy... zgadza się.

– A czy rzeczywiście na wyścigach nie wolno obstawiać więcej niż jednego konia?

Nasza ruszczyna wydawała się z innej planety. Oto my dwie, z naszymi rozmyślnymi ironicznymi sowietyzmami, z sarkazmem w 27 różnych odcieniach zawartych w jednym tylko słowie, na ten przykład „towarzysz” albo „ojczyzna”. A rozmawiamy z ludźmi, którzy zwracają się do nas „duszeńko” (*duszeczką*) w swej czystej, śpiewnej, niewinnej ruszczyźnie. Pomimo tej przepaści kulturowej smakowałyśmy każdą chwilę spędzaną przy szczodrych stołach tych ludzi. A jak gotowali! Prosię nadziewane kaszą, nieprzyzwoicie bogate wielkanocne paschy pachnące wanilią, czechowowskie bliny, pulchniejsze niż „ramiona kupieckiej córki” – rozkoszowałyśmy się tym

wszystkim. Mama podchodziła do naszych uczt z zapałem etnografa i notesem. Analizując później te przepisy, była bliska łez.

– Mąka, mleko, drożdże. Przecież wszystko to w Moskwie było. Dlaczego, no dlaczego nie umiałam przyrządzić takich blinów?

Jednego dnia pewna starsza dama, *smolanka*, czyli absolwentka prestiżowego petersburskiego Instytutu Smolnego kształcącego młode szlachcianki, gdzie sztuka kulinarna była przedmiotem obowiązkowym, zaprosiła nas na kulebiak. Nie trzeba nam było dwa razy powtarzać. Gdy pieróg się piekł, gawędziłyśmy ze starą hrabiną o nazwisku zbyt wzniósłym, by godziło się je wymawiać. Hrabina wspominała, jak gorzko płakała w 1914 roku, gdy na urodziny dostała od ojca diamentową kolię. Zdaje się, że pragnęła dostać szczeniaczka. Lecz oto zjawił się kulebiak, a nasze serca zabiły mocniej. Oto on, ten prawdziwy, niepodrabiany kulebiak, „bezwstydny, w całej swej nagości, żeby aż ciągoty brały”. Grzyby, *blincziki*, nawet *wiaziga*, ów galaretowany wędzony kręgosłup jesiotra, który nasza gospodynia wynalazła gdzieś w najgłębszych zakamarkach Chinatown, a wszystko obficie podlane masłem i ukryte w pięknie przybranej okrywie z ciasta.

Jedząc, przypomniałam sobie nagle o *Annie Kareninie* Tołstoja. Otóż po jakichś 300 stronicach opisywania namiętności Wrońskiego do Anny, jego nieustających zabiegów i jej wytrwałego odrzucania ich, tylko jedno zdanie poświęcono skonsumowaniu ich uczuć. Podobnie stało się z nami i ucielesnieniem kulebiaka. Zjadłyśmy, pieróg był więcej niż pyszny, poczułyśmy się nasycone. I na szczęście nikt nie skoczył pod pociąg. A mimo to... analizując kulebiak i studiując przepis otrzymany od gospodynki, Mama zaczęła gorączkowo bazgrolić coś na kartce, to i owo przekreślając, potrząsając głową i mamrocząc pod nosem:

– Nie nasze.

Jestem całkowicie pewna, że wiem, o co jej chodziło. Suszony kręgosłup jesiotra? Kogo chciłyśmy oszukać? Czy nam się to podoba, czy nie, jesteśmy Sowietkami, a nie Rosjankami. Zamiast jesiotra doskonale sprawdza się mrożony dorsz.

Kolejne 30 lat miało nam zająć dopracowanie przepisu na kulebiak, który mogłybyśmy nazwać naszym własnym – nawiązujący do dekadenciego rosyjskiego przepychu, do tego *soupçon* nadętej francuskiej elegancji, przy jednoczesnym uszanowaniu naszej skromnej przeszłości.

Ten jednak przepis nie nada się do dzisiejszej uczty w stylu drugiej dekady XX wieku.

Musimy wyczarować rzecz autentyczną, klasykę.

Mama nareszcie wałkuje ciasto na kulebiak, manewrując w skupieniu na ocalałej wolnej piedzi kuchennego blatu. Znów wdycham lechczącą nozdrza słodkawą woń fermentujących drożdży i próbuję zgłębiać pokłady nieświadomości w poszukiwaniu jakiejś historycznej smakowej pamięci zbiorowej. Prózny trud. Ani krztyny drożdży w moim DNA, ani śladu odziedziczonego po przodkach przepisu na pieróg, przekazywanego przez kolejne pokolenia kobiet na pożółkłych stronicach rodzinnych notesów, zapisywanych zgodnie z prawidłami przedrewolucyjnej rosyjskiej ortografii. Obydwie moje babcie były wyemancypowanymi nowymi sowieckimi kobietami, czyli prawie wcale nie piekły, nikt też by ich nie przyłapał na gotowaniu „po carsku”. Mama natomiast, od najmłodszych lat namiętnie ciekawa jedzenia, poważnie zajęła się pieczeniem dopiero na emigracji. W Związku Radzieckim poprzestawała na cieście zwanym *na skorupu ruku* („naprędce”), niewymagającym długiego wyrabiania i wyrastania. Przepisu tego musiała nauczyć nawet własną matkę. Za to Alla, moja

babuszka ze strony ojca, nie była tym w ogóle zainteresowana. Była wdową wojenną i sowiecką kobietą pracującą, a jej pojęcie obiadu sprowadzało się do paczki mrożonych klusek.

– A po co miałabym piec – oznajmiła Mamie gniewnym tonem – skoro za ten czas mogę poczytać książkę.

– *Daaa, dietektiw* – parsknęła Mama.

Był to trafny przytyk. Najsłynniejszy rosyjski autor szpiegowskich dreszczowców, radziecka wersja Johna le Carré, był potajemnym kochankiem babci.

Zerkam do kuchni i podpytuję Mamę o choćby strzępy wspomnień o przedrewolucyjnym gotowaniu. Zamyśla się na chwilę, po czym kiwa głową.

– *Da, posłuszaj!*

Mama pamięta z dzieciństwa starsze panie uderzająco inne od typowych przysadzistych proletariackich *babuszek*.

– Pamiętam ich włosy – ciągnie Mama rozmarzonym tonem.
– Arystokratycznie proste. I gorycz, rezygnację na ich wychudzonych twarzach. Coś tak smutnego, tragicznego. Być może dorastały w dworach ze służącymi, a teraz dożywały swoich dni jako kuchty dla swych miłujących Stalina bliskich.

Mama właśnie w ten sposób mówi.

– A ich *potrawy*? – drąże.

Mama znów się zamyśla.

– Bliny, pierożki, pierogi... Zdawały się jakieś lżejsze, puszystsze.

Wzrusza ramionami. Tak naprawdę trudno coś więcej wyrazić słowami. Mąka, drożdże, masło. Znane Mamie starsze panie z Moskwy, podobnie jak ich rówieśniczki, które uciekły z bolszewickiej Rosji, posiadły wiedzę o magii drożdży, magii dla nas niedostępnej.

I w tym szkopuł dzisiejszego przyjęcia. Smaku wielowarstwowego kulebiaka z czasów srebrnego wieku Moskwy możemy się przynajmniej jako tako domyślać. Lecz botwina i kasza gurjewska – czyli moje zadanie – to kompletna zagadka. Ani ja, ani Mama nie mamy pojęcia, jak właściwie powinny smakować.

Do tego doszedł jeszcze inny problem: stres oraz czas niezbędny do przygotowania ekstrawagancji, jaką jest carski stół.

Przez całutki dzień oraz większość nocy poprzedzającej przybycie gości urabiałam się po łokcie nad moją częścią posiłku. Próbowałyście kiedy przyrządzić kaszę gurjewską podczas jednej z najgorszych fal upałów w dziejach Nowego Jorku?

Sława ci, hrabio Dmitriju Gurjewie, rosyjski ministrze finansów i smakoszu z początków XIX wieku, za ów pracochłonny deser noszący twe imię! Choć według większości relacji jako pierwszy na pomysł takiej kaszy (kasza po rosyjsku oznacza każdą potrawę ze zboża, o konsystencji stałej bądź płynnej) wpadł kucharz Zachar Kuzmin, chłop pańszczyźniany. Gurjew skosztował tej kaszy w gościnie u kogoś w pałacu, kazał przywołać Kuzmina do stołu i ucałował go. Następnie odkupił pańszczyźnianego kucharza wraz z całą jego rodziną.

A oto jak urzeczywistnić piekielnie trudne dzieło Kuzmina. Przyrządzamy na słodko drobną kaszkę pszenną z semoliną, zwaną po rosyjsku manną. Następnie na patelni bądź w rondlu układamy tę manną warstwami naprzemiennie z samodzielnie karmelizowanymi orzechami i jagodami oraz z *pienkami*, czyli tłustymi, lekko przyrumienionymi kożuszkami, jakie tworzą się na śmietanie w trakcie pieczenia. Wyobrażacie już sobie, ile to roboty? Na jeden rondel kaszy potrzeba przynajmniej 15 *pienek*.

Tak oto mijała godzina za godziną, a ja wciąż otwierałam i

zamykałam drzwiczki do piekarnika rozgrzanego do temperatury 230 stopni, by zdjąć kolejny kożuszek. O drugiej w nocy moja kuchnia buzowała niczym piec ognisty. Przykuta do drzwiczek piekarnika, zlana potem, byłam gotowa szturmować pałace i tłuc jajka Fabergé. Klęłam Romanówów, wiwatowałam na cześć rewolucji.

„Poślij dziewczę do piwnicy”. Ta urocza wskazówka rozpoczyna wiele przepisów w najlepszym (i rabelaisowskim) spośród zachowanych źródeł przedrewolucyjnych receptur: *Podarok młodym choziąjkam* (Podarek dla młodych gospodyń) autorstwa Jeleny Mołochowiec. Jak bardzo moje serce współczuło tej nieszczęsnej dziewczę! Wprawdzie w 1861 roku w Rosji zniesiono pańszczynę, mimo to za Romanówów chłopi – a później robotnicy przemysłowi – nadal żyli jak podludzie. Gospodynie w domach uprzywilejowanej burżuazji objadały się mintajami, rosołami, różowymi szyneczkami i żywymi jesiotrami, podczas gdy ich służba musiała zadowalać się *tiurią* (zalewajką z czerstwego chleba i wody), kwasem chlebowym i miską kaszy gryczanej. Tak, rewolucja była konieczna. Tylko dlaczego – dumałam w mojej rozpalonej kuchni – dlaczego wszystko poszło tak okrutnie opacznie? Półprzytomna od skwaru, oddałam się rozmyślaniom o alternatywnym biegu historii.

A gdyby tak Rząd Tymczasowy Kiereńskiego zdołał utrzymać się przy władzy?

Albo przypuśćmy, że to Trocki zamiast Stalina przejąłby władzę po Leninie.

Albo też...

Wtem ocknęłam się i pomyślałam, że zapomniałam zdjąć kolejne *pienki*. Szarpnęłam drzwiczki piekarnika. Śmietana przeistoczyła się w kaskady białej bulgocącej lawy porozlewanej wszędzie spieczoną białą mazią. Musiałabym mieć cały zastęp

chłopów pańszczyźnianych, żeby to wszystko uprzątnąć. Wydałam z siebie okrzyk rozpaczły.

W końcu jednak o piątej rano zdołałam się z tym uporać. Umowna wersja kaszy gurjewskiej, bez wątpienia namiastka, schładzała się w lodówce pod warstwą folii. Zapadając w sen, przypomniałam sobie, że spragniony, rozszalały motłoch, wdarłszy się do pałacu Zimowego, złupił piwnicę winną Romanowów, podobno największą i najlepiej zaopatrzoną na świecie. Z perspektywy stulecia złożyłam mu najszczersze gratulacje.

W odróżnieniu ode mnie siedemdziesięciokilkuletnia Mama autentycznie rozkoszuje się nocnymi aktami kuchennego heroizmu. A jej zmysł polityczny jest dużo klarowniejszy niż mój. Owszem, nie cierpi Romanowów. Ale jeszcze bardziej brzydzi się bolszewikami. W dodatku nie ma powodu dumać nad alternatywnym biegiem dziejów, ponieważ realizacja programu kulebiakowego idzie jej jak po maśle.

Ciasto, bogate w masło i śmietanę, pięknie urosło. Ryba, ryż z koperkiem, ciemne grzyby leśne, cienkie *blincziki* do rozdzielania poszczególnych warstw – wszystko okazuje się soczyste i smakowite. Dopiero teraz, na dwie godziny przed przyjęciem, tuż przed konstruowaniem pieroga, Mamę nagle ogarnia niepokój.

– Aniut, powiedz no mi, po co te *blincziki*? Po co nadziewać ciasto drugim ciastem?

Mrugam zapuchniętymi powiekami. Ach, te tajemnice carskiego żołądka.

– Może rzecz tkwi w nadmiarze? – sugeruję nieśmiało.

Mama wzrusza ramionami i zaczyna formować farsz – wraz z *blinczikami*, dzięki którym potrawa nie stanie się paciarą – w majestatyczny kopiec. Niezupełnie jest to Tiestowowski drapacz chmur, ale konstrukcja i tak robi wrażenie. Wspólnie

przybieramy pieróg, wycinając fantazyjne wzory, po czym wkładamy go do piekarnika. Jestem dumna z Mamy. Wachlujemy się dla ochłody, a serca walą nam z emocji, nieco podobnie jak w owym dniu przed laty, gdy dzięki emigrantkom z białej Rosji po raz pierwszy miałyśmy przyjemność z prawdziwym kulebiakiem.

Za to botwina wisi nad mną jak miecz Damoklesa.

Wielki letni przebój moskiewskich traktierni czasów Gilarowskiego. Gęsty chłodnik z kwasu chlebowego i ryb – dziwaczna hybryda zupy, napoju chłodzącego, dania rybnego i sałatki – zbiąła z pantałyku większość cudzoziemców, którzy jej skosztowali. „Okropna mieszanka! Chaos niestrawności” – zawyrokowało wiktoriańskie czasopismo „All the Year Round” Charlesa Dickensa. Co się więc tyczy botwiny, sama jestem cudzoziemką. Na wieczornym stole stawiam wazę wypełnioną kwasem chlebowym domowej roboty i gotowaną zieleniną (po rosyjsku *botwa* to zielone części jarzyn) doprawioną sosem chrzanowym. Obok stoją miski z pokrojonymi ogórkami, szalotką i koperkiem. Pośrodku – odświętny półmisek z łososiem i krewetkami z wody (moja inicjatywa w miejsce słowiańskich raczych ogonów). Botwinę spożywa się po wymieszaniu razem poszczególnych elementów na talerzu, a do całości należy – bardzo proszę – dodać lód. *Podarok mołodym chodziakam* radzi jeszcze doprawić odrobiną schłodzonego szampana. No przecież, wódka! W celu utopienia potencjalnego „chaosu niestrawności” dolewam mojej chrzanówki.

- Ryba i kwas chlebowy? – odzywa się Mama. – *Fu!*
- *Aga (aha)* – przytakuję.
- *Fuj* – upiera się Mama. – Wiesz, że nie cierpię łososia z wody.

Mama pielęgnuje w kuchni element współzawodnictwa. Odnoszę wrażenie, że w głębi serca liczy na to, że moja botwina

będzie do niczego.

– Co? Zrobiłaś prawdziwą botwinę? I kwas domowej roboty?

Nasi pierwsi goście, Sasza i Ira Genisowie, z niedowierzeniem wpatrują się w maminy stół. Mama podaje im kałacz, uświęcony tradycją chleb z zapłatanego ciasta. Coraz szerzej otwierają oczy.

Sasza (zdrobnienie od Aleksander) to niezależnego ducha emigracyjny eseista i krytyk kulturalny, w Rosji – gdzie jego programy radiowe mają miliony miłośników – swoista legenda. Jest też smakoszem z prawdziwego zdarzenia. Na obiadach u Genisów w ich domu w New Jersey można kosztować grzybów zbieranych w świetle syberyjskiego księżyca i wędzonych minogów przemycanych z Łotwy.

Mama rozpromienia się z dumy, gdy Sasza przyznaje, że w całym swoim życiu nie próbował jeszcze botwiny i wielowarstwowego kulebiaka.

– I kasza gurjewska! – woła. – Więc istnieje naprawdę, nie tylko w literaturze?

Wtem zjawia się reszta gości, tłocząc się w maleńkim przedpokoju Mamy, cmokając się trzy razy na powitanie, wręczając bukiety kwiatów i butelki. Przy stole zasiadają zatem: filmowiec dokumentalista Andriej z żoną Tomą, ponętną w swej obcisłej, wydekoltowanej kreacji koktajlowej, mój pochodzący z południowej Afryki partner Barry oraz „znamienici goście amerykańscy” – małżeństwo z Brooklynu, oboje z branży kulturalnej.

– Należyty wystrój *traktiru* doby *fin de siècle*’u – tłumaczy brooklińczykom Mama tonem przewodnika muzeального – powinien łączyć secesję z rosyjskim folklorem.

Brooklińczycy z respektem kiwają głowami.

Zakuski zostały łapczywie pochłonięte, pierwsze wódki

wychylone i wszyscy przechodzą do mojej botwiny. Mama praktycznie nie tknęła swojej porcji, marszcząc nos nad łososiem. Mnie botwina i przypada, i nie przypada do gustu – smakuje kompletnie obco.

I oto – ach – Mama wnosi swój kulebiak. Rozlega się chóralne uuuuu! Mama wcina się w kolejne warstwy, wypuszczając pachnącą rybami i grzybami parę w światło świec. Powolutku, kęs za kęsem, rozkoszuję się zmysłowością wielowarstwowego słowiańskiego przepychu. Puszyste warstwy wprawiają mnie w nastrój zbytkownego obłomowowskiego próżniaka, osuwania się na ogromny puchowy piernat. W końcu – jak mi się wydaje – doceniam rolę *blinczików*. Są jak marmurkowanie w steku.

Sasza Genis podnosi szklaneczkę z wódką w stronę Larysy.

– To najbardziej patriotyczny posiłek w moim życiu! – entuzjazmuje się. – Szkoda, że Putin tego nie widzi!

Ten toast mnie intriguje. Nie, wręcz niepokoi, ocierając się o coś, nad czym od pewnego czasu rozmyślam. Patriotyczny względem czego? Względem znienawidzonego carskiego reżimu? Względem represyjnego państwa, z którego uciekłyśmy przed laty? A może względem jakiejś prapamięci zbiorowej o kuchni, która tak naprawdę nigdy nie była nasza? W naszych kręgach dysydenckich w Związku Radzieckim patriotyzm był brzydkim słowem. A skoro o tym mowa, to co sądzić o naszej *rosyjskości*? Przy stole zasiada typowo pansowieckie towarzystwo emigrantów. Andriej to ukraiński Żyd, jego żona Toma jest Rosjanką, obydwoje pochodzą z Kijowa. Genisowie znów, choć wywodzą się z Rygi, nie są Łotyszami. Mama, też Żydówka, urodziła się w Odessie, a przed przeprowadzką do Moskwy mieszkała w Murmańsku i w Leningradzie. Tylko ja jedna jestem rodowitą moskwianką.

Moje przemyślenia na temat patriotyzmu giną w nawałnicy

kolejnych toastów. Mamina klimatyzacja terkocze, dając z siebie wszystko, a przemowy stają się bardziej ironiczne, bardziej „nasze”...

Co działo się w Rosji, z którą się dziś żegnamy, w roku 1910?
– pytają nasi brooklińscy koneserzy kultury.

– No więc Czechow nie żył już od sześciu lat – odpowiada Sasza. – A Tołstoj dopiero co zmarł, na jakieś stacji kolejowej na głuchej prowincji.

– Jego tajemnicza śmierć to ważny kamień milowy – dorzuca Mama, nie pozostając w tyle. – Prasę ogarnęło istne szaleństwo.

– W 1913 roku – dodaję z kolei ja, powracając do mojego patriotycznego wątku – car Mikołaj II, całkiem pozbawiony wyczucia, doprowadził do małego skandalu wizerunkowego, proponując francuskie potrawy na bankiecie wydanym dla uczczenia 300 lat dynastii Romanowów. *Potage a tortue****** – trudno to nazwać patriotycznym.

Ostrożnie zagłębiam widelec w kaszy gurjewskiej. Bogata, lecz lekka konsystencja, coś pomiędzy budyniem a tortem, smakuje jak niebiańska wersja grysiku na mleku, który budził we mnie taką odrazę w przedszkolu. Goście zaśmiewają się z przegranej bitwy z *pienkami* o trzecie nad ranem.

Przychodzi czas na pożegnania. Z Mamą, ze mną, z carską obfitością. Genisowie idą korytarzem do windy. Nagle Sasza pędzi z powrotem.

– *Diewoczki!* Kulebiak! Muszę to wam jeszcze raz powiedzieć: brawo! Żeby włożyć bliny do ciasta drożdżowego?! Niesamowite.

Być może jednak rozumiem patriotyzm i nostalgię Saszy. To patriotyzm względem dziewiętnastowiecznego rosyjskiego pojęcia kultury pisanej przez duże K – idei, ideału, których my, byli Sowieci z Ukrainy, z Moskwy czy z Łotwy, nigdy nie porzuciliśmy. Wciąż nas one poruszają, wspomnienia uczuć

rozkoszy, jakie towarzyszyły lekturze orgiastycznych opisów potraw u Czechowa i Gogola w trakcie maczania czerstwych socjalistycznych pasztecików w cienkich zalezajkach.

Chciałabym zapytać Mamę, co o tym wszystkim sądzi, ale wygląda na zmordowaną. I jest cała mokra. Mam wrażenie, że szykuje się wewnętrznie na czekające nas siedem i pół dekady oszczędnego radzieckiego jedzenia.

2

Lata dwudzieste: Szarlotka Lenina

W wieku czterech lat dałam się owładnąć niepokojącej fascynacji Leninem. *Dieduszką* (dziadkiem) Leninem, ma się rozumieć – wódz światowego proletariatu był nam, radzieckim dzieciom, znany.

W roli dziadka Włodzimierz Iljicz jawił się zatrważająco osobliwie. Zachodziłam w głowę, jak to możliwe, że jest nieśmiertelny – zdaniem Majakowskiego wręcz „od wszystkich żywych żywsszy” – a zarazem tak jawnie, ostentacyjnie martwy. Dumałam też, jak można być jednocześnie malutkim Wołodią z loczkami na głowie, uwiecznionym na gwieździe pierwszoklasistów-*oktiabriat****** i okropnie starym *dieduszką* z elegancką bródką i brzydką łysiną skrytą pod nieodłącznym kaszkietem. Wszyscy emocjonowali się, jaki to Lenin uczciwy, zmysłny i odważny i jak to jego rewolucja wyrwała Rosję z zacofania. Mnie jednak nie przestawały nękać wątpliwości. W tandemie proletariackiej czapce (kto chciałby nosić coś podobnego?), z przebiegły wejrzeniem ciągle zmrużonych oczu, z lekka złośliwym, nie wyglądał na kogoś naprawdę godnego zaufania. I dlaczego niejeden *ałkogolik* wymierzał kopniaki jego kamiennym pomnikom, klnąc pod nosem na „pieprzonego syfilityka”? Poza tym czy wybitny rewolucjonista, niechby nawet łysy, żeni się z Nadieżdżą Konstantinowną Krupską o powierzchowności zdefasonowanego ocieplacza na

czajnik?

Uznałam, że jedyną szansę rozwikłania tych zagadek daje wizyta w mauzoleum na placu Czerwonym, gdzie – martwy czy żywy – rezyduje Włodzimierz Iljicz. Lecz odwiedzić *mauzolej* nie było tak łatwo. Owszem, wznosił się on nieopodal mieszkania komunalnego babci Ały, gdzie przyszłam na świat, i żeby znaleźć się na placu Czerwonym, wystarczyło wyjść na dwór i minąć długą, ciągnącą się między dwiema przecznicami, fasadę domu towarowego GUM. Od razu jednak natrafiałam na tasiemcową kolejkę do mauzoleum, dłuższą niż łączny rozmiar kolejek po polskie rajstopy i rumuńskie buty narciarskie w GUM-ie. Choćby nie wiem jak wcześnie rano udało mi się dotrzeć na miejsce, tysiące stały już karnie w kilometrowym szeregu. Wracając popołudniami, widywałam wciąż tych samych ludzi, o sposępniałych, zmęczonych twarzach, z których znikł już promienny zapał socjalistycznego poranka. Wtedy właśnie zaczęłam sobie uzmysławiać, że obrzędy wymagają ofiary.

Największą jednak przeszkodą piętrzącą się między mną a grobowcem Lenina była zajadła wrogość Matki do wszystkiego, co sowieckie. Gdy poszłam do przedszkola, w którym często organizowano edukacyjne wycieczki do mauzoleum, Mama zakazała mi jeździć na nie, ostrzegając przedszkolanki, że w autobusach wymiotuję (co prawda, to prawda). W dniach takich wycieczek przedszkole robiło się przeraźliwie ciche – na miejscu zostawałam tylko ja oraz sprzątaczki i kucharki. Kazano mi siadać w kąciku leninowskim i rysować mauzoleum wraz z jego łysym lokatorem. Niedużą, niską kamienną budowlę w kształcie czerwono-czarnego zikkuratu potrafiłam odtworzyć idealnie, lecz co począć z jej tajemniczym wnętrzem? Zdołałam wymyślić jedynie wielki stół, przy którym moi koledzy z przedszkola wraz z *dieduszką* Leninem piją herbatę. Na stole zawsze rysowałam jabłecznik. Wszystkie radzieckie dzieci słyszały o upodobaniu

Lenina do szarlotki. Co więcej, wiedziałyśmy też o tym, że jako dziecko Lenin spałaszował raz ukradkiem obierki z jabłek, pozostawione przez matkę podczas pieczenia placka. Jednak przyszły wódz nie wykręcał się od winy i dzielnie wyznał rodzicielce swój wystąpek! Taki był morał. Mieliśmy wyrosnąć na ludzi uczciwych jak Lenin.

Osobą, która o Leninie i mauzoleum wiedziała wszystko, był właściwie mój ojciec Siergiej.

W latach siedemdziesiątych Tata pracował w nierzucającej się w oczy, szarej jednopiętrowej budowli nieopodal moskiewskiego zoo przy ulicy Sadowoje Kolco, do której wchodziło się dyskretnym wejściem przez podwórze. Większość przechodniów nie miała pojęcia, że mijają laboratorium badawcze Mauzoleum Lenina, działające pod auspicjami Ministerstwa Zdrowia*****. Mozoliły się w nim najwybitniejsze, najświatlejsze umysły nauki – ogółem ze 150 osób w wielu oddziałach – byle tylko Lenin w swej nieśmiertelności jak najlepiej prezentował się pod kuloodporną szybą sarkofagu. Ścisłemu nadzorowi w laboratorium, pod okiem pewnej korpulentnej towarzyszki, niejakiej Anny Michajłowny, podlegało nawet ręczne pranie i wyjaławianie garnituru, bielizny, koszul, kamizelek i krawatów w groszki. Tata, spec od fizyki barw, obsługiwał kolorymetr, monitorując zmiany w odcieniach martwej skóry Lenina. (W ciągu siedmiu lat jego pracy w ośrodku takie zmiany nie wystąpiły).

Tacie oraz innym na podobnych stanowiskach nigdy oczywiście nie wolno było zbliżać się do samego „obiektu”, wymagało to najściślej reglamentowanych uprawnień. Zwykli śmiertelnicy wśród badaczy eksperymentowali na „strukturach biologicznych” – czyli na zwłokach konserwowanych dokładnie tym samym roztworem gliceryny i octanu potasu, co gwóźdż programu. Sztywniaków doświadczalnych było ogółem 26, a każdy nosił inne imię. Do Taty należał „Kostia”, trup przestępcy

zmarłego wskutek uduszenia, o którego zwłoki nie upomniał się żaden krewny. Pierwszego dnia nowi koledzy Taty przypatrywali mu się, rechocząc, gdy nieomal zasłabł na widok wyeksponowanych odciętych głów. Dość makabrycznym, nienormalnym miejscem było to całe laboratorium. W wannach w piwnicy podrygiwały zabalsamowane kończyny i płody. Ojciec jednak szybko przywykł do tej roboty, a nawet – jak twierdzi – z czasem ją polubił. Zaliczana do zawodów niebezpiecznych dla zdrowia, dawała rozkoszne bonusy. Krótsze godziny pracy, codziennie darmowy karton mleka oraz – co najlepsze ze wszystkiego – co miesiąc szczodry przydział najczystszej, najwyższej klasy *spiritu* (alkoholu etylowego). W raportach Tata odnotowywał wprawdzie wykorzystanie alkoholu do czyszczenia „soczewek optycznych”, często jednak wracał do domu, mocno woniejąc grobowcowym spirytusem. Radziecka nauka, co się zowie.

Gdy Ojciec objął ów nekroetat, byłam już na tyle duża i bystra, by Lenin przestał mnie frapować i zajmować. Do dziś jednak pewne sprawy budzą moją ciekawość, jak na przykład:

Co tak naprawdę jadał Lenin wraz z innymi bolszewickimi rewolucjonistami?

Mama nie podziela mojej dociekliwości. „Po *moim* trupie!” – reaguje nieomal krzykiem na propozycję odtwarzania leninowskich jadłospisów. Wprawdzie śmieje się, gdy napomknę o ulubionym truposzu taty, jednak jej osobiste wspomnienia z lat jego pracy w mauzoleum to odór alkoholu, ten zaś nigdy jej nie bawił.

Mama ma określone zdanie co do należytego ujęcia gastronomicznego lat dwudziestych XX wieku. Trafnie opisuje tę dekadę jako niespójny bezład wiodących donikąd i wzajemnie sprzecznych utopijnych eksperymentów i programów zniżek, zarzuconych w latach trzydziestych pod ciężką ręką Stalina.

– Sowieckie lata dwudzieste pamiętamy dziś w zasadzie głównie dzięki pisarzom – twierdzi ta niezmordowana konsumentka kultury. – I dzięki sztuce awangardowej, tym wszystkim Malewiczom, Rodczenkom, Tatlinom wyekspponowanym w muzeach całego świata!

Prócz przetrząsania historii rodzinnej w poszukiwaniu babciego przepisu na faszerowaną rybę mama podjęła też dzieło kartkowania albumów ze sztuką, by wyłuskiwać z nich odniesienia do żywności.

Pozostaje mi zatem samodzielnie wziąć na warsztat Lenina. *Dieduszkę*, rzecz jasna.

Od pani przedszkolanki Zoi Pietrowny dowiedziałam się, że najmileszy Włodzimierz Iljicz Uljanow urodził się w 1870 roku około 700 kilometrów od Kremla, w prowincjonalnym nadwołańskim mieście Symbirsk*****. Wołodia (zdrobnienie od imienia Władimir, czyli Włodzimierz), bystry i niesforny, był trzecim spośród szóstki dzieci w dużej i szczęśliwej rodzinie. W przytulnym domu Uljanowów odbywały się wieczorki muzyczne i herbatki w ogrodowej altanie, a dzieci mogły buszować w krzakach agrestu. Mama Maria, nauczycielka pochodząca z rodziny niemiecko-żydowskiej, gotowała niewyszukane potrawy rosyjskich Niemców. Rodzina posiadała się więc *Arme Ritter* („ubogimi rycerzami”, czyli niemieckimi grzankami) oraz mnóstwem *butierbrodów*, kanapek z jednej kromki, które stały się podstawą naszego radzieckiego jadłospisu. O mitycznej szarlotce wiarygodne źródła naukowe niestety milczą.

Idylla Uljanowów skończyła się, gdy Wołodia miał 16 lat. Ojciec zmarł na wylew krwi do mózgu, w następnym roku starszego brata Aleksandra aresztowano i powieszono za spisek na życie cara. W przekonaniu większości badaczy właśnie los Aleksandra był tą traumą, która zradycalizowała przyszłość przywódcy bolszewików. Zwraca się też uwagę na wpływ ulubionej książki Aleksandra *Czto diełat?* – *Co robić?******. W

1902 roku Włodzimierz Iljicz wykorzystał ten tytuł w swojej własnej książce o tematyce rewolucyjnej, po raz pierwszy sygnując publikację przybranym nazwiskiem: Lenin.

Pierwowzór, napisany w 1863 roku w więzieniu przez socjalistę Nikołaja Czernyszewskiego, uchodzi powszechnie za jedno z najokropniejszych dzieł pisarskich spłodzonych pod słońcem Północy. Ów dydaktyczny traktat polityczny, siłą wtłoczony w formę niewyobrażalnie kiepskiej powieści, do znudzenia bajdurzy o wolnej miłości oraz o społecznej utopii, którą zaludniają „nowi ludzie”. Z dzieła tego kpili pisarze nawet tak skrajnie różni, jak Nabokow i Dostojewski. Mimo to przyszli bolszewicy (a także mienszewicy) widzieli w nim nie tylko porywającą ewangelię, ale wręcz praktyczny przewodnik prowadzący do prawdziwej utopii.

Bohaterka książki Wiera Pawłowna, społecznica żyjąca w wolnych związkach, zainspirowała rosyjskie feministki do tworzenia spółdzielni pracy dla ubogich kobiet. Rachmietow zaś, istny Superman wśród rewolucjonistów, stał się ideałem młodych gniewnych mężczyzn z ambicjami odmienienia Rosji. Ni to słowiański świecki święty, ni to oświeceniowy racjonalista, Rachmietow jest niezłomnie pragmatycznym i zdyscyplinowanym ascetą, żal jednak ściiska jego rosyjskie serce na myśl o społecznie upośledzonych. Rachmietow stroni od alkoholu i seksu, za to dla nabrania hartu przy każdej sposobności ucina sobie drzemkę na łożu nabijanym gwoździami – szczególny ów z lubością przytaczał każdy radziecki nastolatek, ślecząc w dziewiątej klasie nad wypracowaniem o *Co robić?*.

A jedzenie?

Rachmietowowi wystarczała osobliwa dieta „bokserska”: surowe mięso dla krzepy, trochę suchego czarnego chleba oraz dowolny skromny pokarm (jabłka i owszem, zbytkowne morele – *niet*).

Gdy ponownie czytam dziś *Co robić?*, rygorystyczne menu dla herosów uderza mnie jako rzecz bardzo istotna. Prostota kulinarna (by nie rzec, nihilizm żywieniowy), wyrastająca z rosyjskiej myśli liberalnej połowy XIX wieku, stanowiła rzeczywiście typową cechę ówczesnych żarliwych radykałów i utopistów. Ojciec rosyjskiego populizmu Aleksander Hercen, obiekt admiracji Czernyszewskiego – podziw ten pozostał niestety nieodwzajemniony – piętnował drobnomieszczańskie europejskie pragnienie „kawałka kurczaka w kapuśniaku dla każdego człowieka”. Tołstoj był orędownikiem wegetarianizmu, Piotr Kropotkin, książę-anarchista, deklarował: „herbata i chleb, trochę mleka [...] cienki plasterek mięsa ugotowanego na lampce spirytusowej”. Gdy zaś Wiera Zasulicz, otaczana czcią działaczka marksistowska, odczuwała głód, odkrawała nożyczkami kawałki podle przyrządzonego mięsiwa.

Sam Lenin jadał zgodnie z tym wzorcem, skromnie. Na szczęście jego żona Krupska była marną kucharką. W słynnym „zapieczętowanym” pociągu zmierzającym na Dworzec Fiński w Piotrogrodzie w 1917 roku Lenin zadowalał się kanapką i czerstwą bułką. Podczas dekady na wygnaniu w Europie bolszewicka pierwsza para, choć nie należała do biedaków, żywiła się jak studencka brać – chlebem, zupami i kartoflami w tanich pensjonatach i knajpach w dzielnicach robotniczych. Kiedy już Krupska zabierała się do gotowania, przypalała duszone mięsa (Lenin nazywał je ironicznie pieczeniami), potrafiła przyrządzić „pieczeń” nawet z owsianki, choć trzeba zaznaczyć, że jajka serwowała na kilkanaście sposobów. Nie musiała się jednak martwić, jak bowiem stwierdziła później, Lenin „całkiem ulegle zjadał wszystko, co mu podawałam”. Lenin podobno nie miał nic nawet przeciwko koninie. Od czasu do czasu matka wysyłała mu z Symbirska paczki z nadwoźańskimi frykasami – kawiorem i wędzoną rybą. W 1916 roku jednak zmarła, zabrakło więc tych specjałów w 1918 roku, gdy jej syn i synowa wprowadzili się na Kreml, pod którego

murami wiele lat później rozmyślałam nad niekończącą się kolejką do mauzoleum.

Można powiedzieć, że ascetyczne obyczaje żywieniowe à la Rachmietow odrodziły się w podejściu nowego państwa bolszewickiego do żywienia narodu. Pokarm utożsamiano po prostu i zwyczajnie z użytecznym paliwem. Nowego obywatela sowieckiego należało wyswobodzić od wymyślnego jadła i od innych podobnych zakłóceń w doniosłym programie modernizacyjnym.

Oto nowyj sowietskij czełowiek!

Ów socjalistyczny prototyp społeczny stanowił istotę przedsięwzięcia zapoczątkowanego przez Lenina i jego towarzyszy. Społeczeństwo podlegające radykalnej transformacji musiało mieć zasadniczo innych członków: wydajnych, bezinteresownych, silnych, beznamiętnych, racjonalnych – gotowych poświęcić wszystko sprawie socjalizmu. Nie dopuszczając nawet myśli o tym, aby mógł stanąć im na drodze jakiś determinizm biologiczny, bolszewicy utrzymywali, że dzięki odpowiednim machinacjom rosyjskie ciało i umysł można poprzeształcać i poprzełaczać. Pierwsze wizje takiego rachmietowskiego urabiania towarzyszy stanowiły niedorzeczną hybrydę hiperracionalnej nauki, socjologii i utopizmu.

„Człowiek – ekscytował się Trocki (który czytał *Co robić?* »z pełną uniesienia miłością«) – uczyni swym celem [...] wydźwignięcie swych instynktów na wyżyny świadomości, [...] aby ukształtować wyższy, społeczny, biologiczny typ języka czy też – jeśli można tak rzec – nadczłowieka”.

Najważniejszym tyglem tej nowej sowieckiej świadomości był byt (życie codzienne i związane z nim zwyczaje), który należało przekształcić w *nowyj byt* (nowy sposób życia). Cała kwestia bytu, koncepcja typowo rosyjska, nie jest prosta do

wytłumaczenia. Tradycyjnie obejmowała ona nie tyle życie codzienne w zachodnim rozumieniu, ile metafizyczną wagę codziennego kieratu, egzystencjalnie wyczerpujące troski związane z życiem materialnym. Bolszewicy zamierzali wyeliminować ten problem. W kategoriach Marksowskich życie materialne determinowało świadomość, stąd też *nowyj byt* – życie codzienne zmodernizowane, uspołecznione, skolektywizowane i zideologizowane – miał służyć za główną arenę i napęd przemiany człowieka. Rzeczywiście burzliwe lata dwudzieste zapoczątkowały nieustającą ingerencję naszego państwa w każdy aspekt codziennego sowieckiego doświadczenia – od higieny do prowadzenia gospodarstwa domowego, od oświaty po jedzenie, od snu po seks. Z biegiem lat mogły zmieniać się poszczególne elementy ideologii i estetyki, lecz nie sam fakt wtrącania się państwa.

„Bolszewizm zniósł życie prywatne”***** – pisał teoretyk kultury Walter Benjamin po sentymentalnej wyprawie do Moskwy w 1927 roku.

Znoszenie to rozpoczęto od mieszkalnictwa. Zaraz po październiku 1917 roku Lenin przygotował szkic dekretu wywłaszczającego rodzinę i dzielącego mieszkania na mniejsze przestrzenie. Tak oto narodziły się nasze uprzykrzone radzieckie *komunałki* – mieszkania komunalne ze wspólnymi kuchniami i łazienkami. Za bolszewików ciepło brzmiące słowa, takie jak dom czy mieszkanie, szybko zastąpiono terminem *żyłpłoszczad'*, beznamiętnym biurokratycznym określeniem „miejscza zamieszkania”. Oficjalna norma – 9 m² na osobę czy raczej na „statystyczną jednostkę” – była przydzielana przez Komitet Kwaterunkowy, wszechwładną instytucję, która osoby całkiem obce, nieraz nawet wrogów klasowych, wtłaczała razem w warunki znacznie intymniejsze niż te, jakimi cieszyły się rodziny na Zachodzie. Oto środowisko zaprojektowane z myślą o totalitarnej kontroli społecznej.

Takie też było nasze miejsce zamieszkania nieopodal placu Czerwonego, gdzie spędziłem pierwsze trzy lata życia. Nie była to – o czym donoszę ze smutkiem – błoga wspólnotowa utopia ukazana na czczonych stronicach *Co robić?*. Co gorsza, wraz z nadejściem lat siedemdziesiątych niedoszły socjalistyczny *übermensch* skurczył się do postaci *homo sovieticus*: osobnika cynicznego, pozbawionego złudzeń, całkowicie zafiksowanego na *kołbasie* i – tak, tak – na hercenowskich drobnomieszczańskich kurczakach...

Oczywiście bolszewickie ujęcie bytu okazało się zgubne dla ogniska domowego. Pomimo gigantycznych wyzwań związanych z wykarmieniem kraju wyniszczonego wojną domową tradycyjną domową kuchnię napiętnowano jako ideologicznie reakcyjną i z gruntu nieefektywną. „Gdy rodzina jada sama – przestrzegała broszura zatytułowana *Precz z prywatną kuchnią* – wykluczone jest żywienie uzasadnione naukowo”.

Nowym domowym ogniskiem miały być państwowie jadłodajnie – publiczny kocioł zastąpił domowe garnki, jak to ujął pewien ekonomista z Komitetu Centralnego. Tego rodzaju komunalne karmienie nie tylko pozwalało państwu zarządzać skąpymi zasobami, ale i czyniło z jedzenia proces nacechowany politycznie. „*Stołowają* [jadłodajnia publiczna] to kuźnia – obwieścił przewodniczący organu odpowiedzialnego za żywienie publiczne – gdzie tworzyć [...] się będą sowiecki byt i społeczeństwo”. Stołówki komunalne – uważały Lenin – były bezcennymi „pędami” komunizmu, żywymi przykładami jego praktyki. Już w 1921 roku tysiące obywateli sowieckich żywioło się w miejscach publicznych. Według wszystkich relacji typowa *stołowaja* była odrażającym przybytkiem, okropniejszym jeszcze od tych, które pamiętam z własnego dzieciństwa, czyli okresu dojrzałego socjalizmu – z ich przenikliwym odorem gotowanej kapusty i taką czy inną ciocią Kławą wymachującą brudną szmatą do wycierania stołów tuż przed moim nosem, gdy

ślećzałam nad trzydaniowym obiadem wraz z jego nieodłącznym finałem: kompotem z suszonych owoców w kolorze ochry oraz galaretowatym płynem z krochmalu, zwanym kisielem.

W latach dwudziestych taki kisiel wydałby się ambrozją. Robotników karmiono zupą ze zgniłej kapusty kiszonej, mięsem niewiadomego pochodzenia (konina?), rozgotowanymi jagłami i nieśmiertelną *wobłąką*, suszoną płocią kaspijską, twardą jak kamień. Lecz w tym wszystkim – za sprawą dydaktycznych ambicji nowego bytu – niejedna *stołowaja* oferowała możliwość korzystania z czytelni, gry w szachy bądź wysłuchania prelekcji o pożytkach płynących z mycia rąk, starannego przeżuwania i higieny proletariackiej. W niektórych wzorcowych jadłodajniach konsumowano przy akompaniamencie muzycznym i świeżych kwiatach na białych obrusach.

Najczęściej jednak nowe sowieckie slogany i programy sprowadzały plagę szczurów, szkorbut i brud.

Szczury do spółki ze szkorbutem zapanowały też na Kremlu.

Naśladując abnegację Lenina, bolszewicka elita pracowała ponad siły i nie dojadała. Na posiedzeniach Rady Komisarzy Ludowych towarzysze mdleli z chorób i głodu. Gdy dogasały płomienie wojny domowej, zwycięskie państwo socjalistyczne na chwiejnych nogach wkraczało w trzecią dekadę stulecia, „wyczerpane, wycieńczone jak nigdy wcześniej”, by użyć słów Lenina.

Przytłaczający ciąg kolejnych kryzysów wymagał konkretnych rozwiązań. Komunizm wojenny i jego „dyktatura aprowizacyjna” okazały się katastrofalne w skutkach. Produkcja zboża spadła, a w lutym 1921 roku drastyczne ograniczenia racji żywieniowych w Piotrogrodzie dały początek groźnym strajkom. Pod koniec owego miesiąca marynarze z twierdzy Kronsztad – których działa wspomogły wcześniej rewolucję październikową – wystąpili przeciwko autorytaryzmowi

bolszewików. Bunt brutalnie stłumiono, mimo to odbił się on echem w całym kraju. Na wsi wciąż wrzało od dokonywanych gwałtem przymusowych rekwiizycji zboża, chłopi burzyli się w każdym zakątku kraju.

Co więc było robić?

Pragmatyczną terapią szokową wdrożoną przez Lenina był NEP – Nowa Polityka Ekonomiczna. W połowie 1921 roku rekwiizycje zboża zastąpiono podatkiem w naturze. A później prawdziwa bomba – zezwolenie na drobną prywatną inicjatywę, przy jednoczesnej państwoowej kontroli nad „kluczowymi resortami” gospodarki. Było to radykalne odejście od partyjnego ideału, desperacki kurs na odżywienie słabującego socjalizmu za pomocą drobnego kapitalizmu. A jednocześnie realizowano utopijny program Nowego Sowieckiego Człowieka, sprzeczną z NEP-em konkurencyjną wizję rzeczywistości.

Takie właśnie były radzieckie lata dwudzieste.

Pomimo politycznego zwrotu w tył pod koniec 1921 roku południowo-wschodnią Rosję nawiedził głód. Zanim w kolejnym roku okropności ustąpiły, zdażyło zginąć pięć milionów osób. Pomiędzy jednak tą klęską a głodem, który miał nastąpić za Stalina, siedmiolatka NEP-u zajaśniała niczym szalony, zmysłowy antrakt, rosyjska odmiana niemieckiej gorączki Weimaru. Na szczęście dla ascetycznych bolszewików *nepaczi* (nepowcy) stanowili idealnego wroga ideologicznego. Z dnia na dzień skutecznie ich zdemonizowano jako tłustych domorosłych burżuazyjnych bandytów, żerujących na osłabionym cnotliwym ciele socjalizmu.

A jednak wbrew tym wszystkim przyganom NEP okazał się niezwykle pomocny. Ożywienie gospodarki chłopskiej pozwalało nakarmić miasta, w 1923 roku praktycznie całość chleba w Rosji pochodziła od prywatnych dostawców. Piotrogrodzkie gazety z entuzjazmem donosiły o pomarańczach –

pomarańczach! – które miały się pojawić w mieście.

Przez kilka zatem lat kraj co nieco jadł.

Zostawmy na boku wizerunki żarłocznych oszustów. Większość interesów doby NEP-u ograniczała się do straganów na bazarze albo handlu obwoźnego. Była to epoka przenośnych stoisk z zupą, budek z blinami i handlarzy oranżadą. Oraz stołówek prowadzonych po domach, zwłaszcza żydowskich, jak twierdzi czołowy rosyjski historyk kulinarny Wiliam Pochlebkin.

Konsultując się z Mamą w sprawie jej dociekań na temat lat dwudziestych, spostrzegam, że pochłania ją rekonstruowanie menu jednej z takich stołówek. W wyobrażeniach Mamy rzecz dzieje się w Odessie doby NEP-u, jakieś pięć lat przed jej przyjściem na świat.

Myśli Mamy skupiają się na jednym obszernym pomieszczeniu w pełnej fabrycznych kominów odeskiej dzielnicy Pieriesyp. Właściciel? Jej babka ze strony matki, Maria Brochwis, najlepsza kucharka na całym Pieriesypie. Chcąc związać koniec z końcem, Maria prowadzi otwartą kuchnię. Ma pewnego stałego klienta, akurat teraz je on obiad. Niewiele ponad 20 lat, ciemne włosy już zaczęły się przerzedzać, lecz żywe, ironiczne spojrzenie i olśniewająco białezęby sprawiają, że z miejsca budzi zainteresowanie pań. Często przychodzi tu prosto z pracy, odziany w zgrabny granatowy mundur marynarki. Do Odessy przyjechał dopiero niedawno, oddelegowany do służby w wywiadzie marynarki czarnomorskiej. Zwie się on Naum Sołomonowicz Frumkin i będzie ojcem mojej matki.

Naum poświęca mnóstwo uwagi siekanym śledziom i wielkim nadziewanym kurczakom Marii Brochwis, tak naprawdę jednak wodzi wzrokiem za Lizą, średnią spośród trzech córek Marii i Jankiela Brochwisów. A oto ona, usadowiona w kącie, studentka architektury, spoglądająca na swój szkicownik

szarymi, poważnymi oczami. Drobna i wysportowana popielata blondynka o szlachetnym kształcie nosa nie ma czasu dla Nauma. Ten proponuje jej spacer po nadmorskich klifach, daje do zrozumienia, co do niej czuje. Nie jest zainteresowana.

Czy jednak mogłaby powiedzieć *niet* biletom do sławnej, przepysznej opery odeskiej? Jak wszyscy w mieście, Liza szaleje za operą, a dziś grają jej ulubionego *Rigoletta*.

Zaraz po *Rigoletcie* Naum prosi ją o rękę. Dostaje kosza. Liza musi skończyć studia, o czym informuje go gniewnym tonem. Dość już tych „miłosnych głupot”!

Od tej chwili Naum, przebiegły oficer wywiadu, skupia swą uwagę na rodzicach, przy których stole się żywi. Czyż Maria i Jankiel mieliby odrzucić tak wspaniałego młodego Nowego Sowieckiego Człowieka dla swojej ślicznej *komsomołczki*?

Jakżeby mogli!

Naum i Liza będą szczęśliwym małżeństwem przez 61 lat. Ich pierwsza córka, Larysa, urodzi się w Odessie w 1934 roku.

– Sama więc widzisz – mówi Mama dobitnym tonem. – Swoje przyjście na świat zawdzięczam nepowskiemu drobnemu kapitalizmowi!

Trwałość związku moich dziadków nie opierała się jednak w żadnym razie na gotowaniu. Podobnie jak żona Lenina Krupska, babcia Liza nie miała serca do stania przy garach, a dziadek Naum, podobnie jak *Dieduszka Lenin*, jadał potulnie wszystko, co znalazło się na jego talerzu. Od czasu do czasu Liza przyrządała pulpety rybne z mrożonego dorsza, nieporadnie przywołując wspomnienia o prawdziwej żydowskiej *gefилте фіш*, gotowanej przez jej matkę Marię. Przebąkiwała nieraz, że pewnego dnia przyzadzi ją naprawdę, nigdy się jednak na to nie zdobyła. W naszym „antysyjonistycznym” państwie lat siedemdziesiątych *gefилте фіш* uważano za potrawę niepatriotyczną. A babuszka Liza była żoną długoletniego szefa

wywiadu komunistycznego. Mimo to jako dziecko miałam okazję posmakować prawdziwej *gefilte fisz* – i to w Odessie, w mieście bolszewicko-nepowskich zalotów moich dziadków sprzed ponad 40 lat. Znów nawiedza mnie wspomnienie wstrząsu, jakiego doznała moja młodziutka świadomość w obliczu naszej sowieckiej żydowskości. Żydowskości dla pokolenia mojej mamy i mojego własnego tak diametralnie zredefiniowanej przez prowadzoną gorliwie w latach dwudziestych bolszewicką politykę kształtuowania świadomości.

Tamto pierwsze zetknięcie z *gefilte fisz* w Odessie wciąż, po tyłu latach, nie daje mi spokoju, nawet tutaj, na Queensie.

„Ach, Odesso, perło nadmorska”***** – brzmią słowa piosenki. Swawolny kosmopolityczny port nad Morzem Czarnym, powołany do życia przez Katarzynę Wielką, już w XIX wieku stał się jednym z najszybciej rozwijających się miast Europy, a jego ulice wciąż pozostają orgią architektury w stylu imperiów francuskiego i włoskiego, pełną fantazyjnych ornamentów.

Ach, sierpniowa Odesso moich dziecięcych lat! Pod barbarzyńskim słońcem Południa usychały kasztanowce. Zatłoczony tramwaj jadący na plażę Langeron woniał odurzająco przegrzanymi socjalistycznymi ciałami, przynętami na raki i jajkami na twardo – *sine qua non* radzieckich pikników nadmorskich. Mieszkaliśmy u Tamary, głuchej starszej siostry babci Lizy, emerytowanej sędzi, ważnej lokalnej persony. Córka Tamary Dina, o pyzatej twarzy lalki umiejscowionej na ciele hipopotama, pracowała jako ekonomistka. Jej syn Sieńka nie miał szyi ani dobrych manier. Arnold, mąż Diny, taksówkarz, opowiadał kawały. Tubalnym głosem, jakżeby inaczej!

– Jaka jest różnica między Karolem Marksem a Diną? – ryczał. – Marks był ekonomistą, a Dina jest starszym ekonomistą! CHA, CHA, CHA!

– Przestań już wreszcie truć! – odwrzaskiwała Dina.

Tak oto rozmawiało się w Odessie.

Rankami budziłam się – zupełnie bez apetytu – na stuk-stuk-stuk tąpego noża Diny, służącego jej do siekania. Z sąsiednich okien również dobiegał stukot. Odeskie kobiety rozpoczynały dzień od szykowania *sininkich*, „niebieściutkich”, jak w miejscowości gwarze zwie się bakłażany. Potem przyrządzały faszerowane papryki, następnie *szejki*, czyli nadziewane kurczaki, co zajmowało kilka godzin. Później smażyły i smażyły wszystko w zasięgu wzroku. Odeskie jedzenie zdawało się inne od naszego moskiewskiego wiku: tłustsze, rybniejsze i z czosnkiem w takiej ilości, że powaliłby cały tramwaj wampirów. Nie wydało mi się ono jednak szczególnie *żydowskie* – bądź co bądź ulubioną kanapką sędzi Tamary był chleb z *sałtem*, czyli ze słoniną.

Aż jednego razu posłano mnie do domu dalekich krewnych w pod-upadłej żydowskiej dzielnicy Mołdowianka. Mieszkali w dusznym pokoju zatopionym w przedmiotach, odorach i kurzu wielu pokoleń. W kuchni przywitały mnie trzy gadatliwe kobiety z topornymi złotymi kolczykami w uszach, o włosach w kolorze wozu strażackiego. Dwie miały na imię Tamara, tak jak moja cioteczna babka, a trzecia Dora. Tamary waliły w stół menstrualnym szczupakiem, „dla obluzowania skóry, wtedy zejdzie jak pończocha”. Przerwały, aby wycmokać mnie siarczyście hałaśliwymi całusami i naczeństować maślanką, andrutami waniliowymi i piernikiem. Następnie polecono mi usiąść i patrzeć, jak robi się „prawdziwe żydowskie jedzenie”.

Jedna Tamara wyfiletowała rybę, druga pokroiła ją nożem o płaskim ostrzu, narzekając na uschnięte ramię. Dora tarła cebulę, teatralnym gestem ocierając łzy. Rybę, przerobioną na pospolitą tłustą pastę rybną, zmieloną razem z cebulą, marchewką i chlebem, wpakowano z powrotem do skóry i zaszyto grubym szpagatem, równie czerwonym jak włosy

kucharek.

Miała się teraz gotować całe trzy godziny. Oczywiście, że muszę zostać! Umiem zetrzeć chrzan? Znam sens szabasu? Co takiego, nie słyszałam o pogromach? Jeszcze andrucika, maślanki?

Omdlewając od oparów ryby, sierpniowego skwaru i powodzi błagań i pytań, wydukałam jakiś wykręt i wybiegłam, spragniona powietrza. Jestem pewna, że panie były urażone i zdziwione. Jeszcze przez jakiś czas, z mieszaniną ciekawości i poczucia obcości, kontemplowałam smak tej ryby. Później, już w Moskwie, doznałam nagłego olśnienia. Tamtego sierpniowego dnia w Odessie uciekłam od własnej żydowskości.

Sądzę, że nie można winić nastolatki z wielkiego miasta okresu późnosowieckiego za ucieczkę przed początkowym szokiem w zetknięciu z *gefилте фіш*. Jako całkowicie zasymilowani moskiewscy Żydzi nie znaliśmy sederów ani knedli. Żydowskość oznaczała dla nas napakowany treścią *piatyj punkt* w radzieckim paszporcie wewnętrznym. Punkt ów, wprowadzony w 1932 roku, dwa lata przed narodzinami Mamy, precyzował narodowość właściciela: „rosyjska, uzbecka, tatarska [...] żydowska”. W toksycznej atmosferze doby Breżniewa określenie „żydowska”, zwłaszcza w zestawieniu z nieodpowiednim nazwiskiem, stanowiło ekwiwalent żółtej gwiazdy. Owszem, byliśmy boleśnie świadomi naszej odrębności jako Żydzi, nie znając jednocześnie jej podłoża religijnego i kulturowego. Naturalnie jedliśmy słoninę. Uwielbialiśmy ją.

Poczucie ucieczki przed własną żydowskością pogłębiło bolesny dylemat, jaki czekał mnie w wieku 16 lat. Wówczas to, jak każdy obywatel Związku Radzieckiego, miałam dostać po raz pierwszy paszport wewnętrzny – najważniejszy dokument tożsamości. Jako dziecko mieszanego związku, żydowskiej mamy i rosyjskiego taty, w punkcie piątym miałam możliwość wyboru. Ów przyszły wybór ciążył mojej dziewięcioletniej duszy

niczym kamień. Czy wybiorę trudny honor i stanę po stronie prześladowanych, tym samym radykalnie zmniejszając swoje szanse edukacyjne i zawodowe? Czy też wybiorę łatwą drogę bycia „Rosjanką”? Od dylematu wybawiła mnie nasza emigracja, lecz ów niepodjęty wybór po dziś dzień śni mi się po nocach. Jak bym postąpiła?

W początkach lat dwudziestych XX wieku tysiące Żydów również dokonały wyboru – bez żadnych skrupułów wyrzekli się żydowskości na rzecz bolszewizmu.

Jednym z takich żydowskich konwertytów był mamine dziadek Jankiel. On również stał się Nowym Sowieckim Człowiekiem, choć niskim, brzuchatym i nieszkodliwym. Mimo to był proletariuszem fanatycznym, kowalem, któremu za Stalina przyznano tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej.

Jankiel przybył do Odessy na początku XX wieku ze sztetla w strefie osiedlenia, z obszaru, na którym od 1772 roku mieli obowiązek mieszkać Żydzi Imperium Rosyjskiego. Jednak port Odessa, znajdujący się również w strefie, był tężniącym życiem tyglem pełnym Greków, Włochów, Ukraińców i Rosjan, a także Żydów. Tutaj Jankiel ożenił się z Marią i zaczął prosperować. Lecz powracając z wojny rosyjsko-japońskiej w 1905 roku, trafił w sam środek wydarzeń nie do opisania. W ciągu czterech października dni tłuszcza na ulicach, ogarnięta antyżydowskim amokiem, okrutnie pomordowała bądź okaleczyła setki osób. Pierworodny syn Jankiela i Marii, jeszcze niemowlę, został zabity na ich oczach.

Wojna domowa wskrzesiła pogromy z 1905 roku, dokonywali ich antyżydowscy maruderzy z kontrrewolucyjnych oddziałów białych. Armia Czerwona – pod dowództwem Lejby Bronisztejna, znanego jako Lew Trocki – niezmordowanie przeciwstawiała się tym gwałtom. Żydzi chronili się więc u czerwonych. Jankiel, za stary na walkę, kibicował z boku.

Z początku rewolucja była dla Żydów korzystna. Oficjalne narodziny ZSRR w 1922 roku zapewniły im prawa i możliwości bez precedensu w dziejach Rosji. Antysemityzm uznano za zbrodnię przeciwko państwu, zniesiono strefę osiedlenia, Żydzi mogli piąć się po szczeblach kariery w biurokracji i życiu kulturalnym. Na początku dekady stanowili być może nawet jedną piątą Komitetu Centralnego partii.

Tkwiła w tym jednak pewna pułapka.

Podobnie jak wcześniej Cesarstwo Rosyjskie, Związek Radziecki był rozległy i oszałamiająco wieloetniczny. Kwestia etniczności, narodowości rodziła w bolszewikach napięcie. W kategoriach marksistowskich poczucie tożsamości narodowej uznawano za reakcyjne. Lecz przecież mniejszości etniczne nie tylko istniały, ale i ich ucisk przez carat czynił z nich sympatyków sprawy socjalizmu. Dlatego Lenin wraz z ówczesnym bolszewickim komisarzem do spraw narodowości, rodowitym Gruzinem Stalinem, obmyślił politykę autonomii językowej, kulturalnej i terytorialnej dla mniejszości etnicznych – na sowieckie kopyto – do czasu nadania socjalizmu internacjonalistycznego, kiedy to narodowości stały się zbyteczne.

By użyć słów historyka Terry'ego Martina, Związek Radziecki stał się pierwszym w dziejach imperium akcji afirmatywnej.

Gdzie więc pułapka dla Żydów? Żydowskość definiowano teraz w kategoriach ściśle *etnonarodowych*. W budowie Świetlanej Przyszłości nie było miejsca na Talmud. Reformowanie i modernizowanie tak zwanej żydowskiej ulicy miało przypaść w udziale sekcjom żydowskim partii komunistycznej (*Jewsiekcyja*). A pracowano w nich z pomyślunkiem. Na rytuały religijne początkowo patrzonono przez palce – jeśli miały zswoietyzowaną formę. Pascha? No, skoro już musicie. Tyle że w sowieckiej hagadzie słowo „Bóg” zastąpiono „rewolucją październikową”.

W Odessie lat dwudziestych sympatycy Sowietów Jankiel i Maria Brochwisowie nadal zapalali w swym jednopokojowym mieszkaniu na Pieriesypie szabasowe świece, nie wspominając jednak o Bogu. Maria nie widziała nic złego w tym, że ich trzy córki zasiadają przy piątkowym stole, była dumną Żydówką. Gdy po strasznych czasach głodu 1921 roku nastąpała względna obfitość NEP-u, co tydzień szła na ruchliwe odeskie targowisko Priwoz, aby kupić szczupaka na swą słynną *gefilte fisz*. Był to ulubiony przysmak jej średniej córki Lizy. Maria piekła też chałkę i przyrządzała forszmak (siekanego śledzia) oraz cymes z fasoli i kruche ciasta przekładane czarnymi powidłami, które smażyła na kuchence benzynowej na podwórzu.

Pewnego piątku Liza wróciła ze szkoły i usiadła przy szabasowym stole, wbijając wzrok w podłogę i zaciskając usta. Jedzenia nie tknęła. Miała 14 lat i właśnie wstąpiła do Komsomołu, młodzieżowej przybudówki partii komunistycznej. Po zakończonej wieczerzy wstała od stołu i oznajmiła:

– Mamo, twoja ryba to karygodny posiłek religijny. Nie będę już jej jadła.

I na tym skończyły się u Brochwisów rodzinne piątki z *gefilte fisz*. W głębi serca Maria rozumiała, że Nowe Sowieckie Pokolenie wie lepiej.

Nie miałam o tym wszystkim pojęcia. Ani o niemowlęciu zabitym w pogromie, ani o odrzuceniu przez babcię Lizę religijnych posiłków Marii. Dowiedziałam się dopiero wtedy, gdy razem z Mamą szykowałyśmy w jej kuchni *gefilte hołd* dla Marii.

Nagle pojęłam, dlaczego babcia Liza wyglądała na zamyśloną i zdezorientowaną, ilekroć wspominała o tym daniu. Ona też w Odessie uciekła od swojej żydowskości. Na plus należy jej zapisać, że jako blondynka o rysach kompletnie niesemickich wpadała w gniew i oznajmiała, że jest Żydówką, ilekroć ktoś czynił jakieś antysemickie uwagi. Dziadek Naum już nie bardzo.

O jego przeszłości Mama nie wie praktycznie nic, tyle tylko, że jego krewni byli syjonistami ze sztetla i że Naum uciekł z domu jako nastolatek, skłamał o swoim wieku, by dołączyć do Armii Czerwonej, i nigdy więcej nie oglądał się za siebie.

W Jackson Heights obydwie z Mamą jesteśmy ekumeniczne kulturowo. Obok choinek stawiamy zapalone menory. Pieczemy rosyjskie wielkanocne ciasto kulicz, a na Paschę szykujemy oszukane pulpety z *gefilte fisz*. Tym razem jednak nasza *gefilte fisz* jest inna – to prawdziwie żydowskie jedzenie. Ściągnęłyśmy skórę z całego szczupaka, ręcznie zmieliłyśmy mięso, płakałyśmy przy tarciu cebuli, zaszywałyśmy farsz rybny z powrotem w skórze i gotowałyśmy całą zrekonstruowaną rybę przez trzy godziny.

Roboty było co niemiara, dla mnie jednak był to skromny sposób odkupienia win za tamten sierpniowy dzień w Odessie.

Powracając myślami do polityki bolszewickiej w latach dwudziestych, znów zaczęłam się zastanawiać nad tym, dlaczego praca w kuchni, zwłaszcza taka jak w niejednoznacznej politycznie nepowskiej domowej stołówce Marii, nie doczekała się większego szacunku w wizji nowego sowieckiego świata. Po części wynikało to z pragmatyzmu. Uwolnienie kobiet od garnków w domowej kuchni było kwestią wzniosłych zasad, zarazem jednak miało wcielić je w szersze zasoby siły roboczej, być może nawet do armii agitatorów politycznych.

Jeszcze o niej nie wspominałam, o tej Nowej Sowieckiej Kobiacie. Niewątpliwie jej gwiazda jaśniała blaskiem słabszym niż gwiazda Nowego Sowieckiego Człowieka, mimo to zdecydowanie nie była ona kurą domową, lecz wyzwoloną *proletarką*, współbudowniczym drogi do utopii, współbrończynią Międzynarodówki Komunistycznej, zagorzałą czytelniczką „*Rabotnicy*”, zapaloną uczestniczką życia publicznego.

Nie dla niej domowa harówka, która „przytłacza” i „poniża” kobiety (według Lenina). Nie dla niej moźół niańczenia dzieci, praca tak „barbarzyńsko nieprodukcyjna, drobna, denerwująca, otępiająca” (znowu Lenin). Nie, w socjalizmie społeczeństwo weźmie na siebie wszystkie tego rodzaju ciężary, w ostatecznym rozrachunku eliminując tradycyjną rodzinę. „Prawdziwe wyzwolenie kobiety, prawdziwy komunizm rozpoczną się dopiero tam i dopiero wtedy – wieszczył Lenin w 1919 roku – gdzie i kiedy rozpocznie się masowa walka [...] z [...] tym drobnym gospodarstwem domowym”*****.

Na jednym z moich ulubionych plakatów radzieckich zuchowata nowa sowiecka proletariuszka widnieje niczym zwiastun z niebios, a nad jej głową hasło: PRECZ Z KUCHENNYM NIEWOLNICTWEM, wydrukowane uderzająco modernistyczną czcionką. *Proletarka* szczerzy zęby w uśmiechu na widok kobiety w fartuszku tonącej wśród mydlin, garnków, prania i pajęczyn. Odziana w czerwień, otwiera na oścież drzwi, za którymi oglądamy skąpaną w światłości wizję nowego sowieckiego bytu – wielopiętrowy futurystyczny gmach mieszczący publiczną stołówkę, kuchnię na skalę przemysłową i żłobek, a wszystko zwieńczone klubem robotniczym.

Napędem mającym obracać takie utopijne bolszewickie wizje w rzeczywistość był Żenotdieł, czyli „wydział kobiet”. Utworzony w 1919 roku jako organ Komitetu Centralnego partii, wraz ze swymi filiami walczył o istotne reformy w opiece nad dziećmi, antykonsepcji i małżeństwie – i pomagał je wywalczyć. Nawracał, rekrutował, edukował. Pierwszą szefową Żenotdieła była charyzmatyczna Inessa Armand, z urodzenia paryżanka, pełna zaskakującego uroku i – jak wieść niosła – dla Lenina ktoś więcej niż tylko „towarzyszka” (Krupska była zaskakująco pozbawiona uroku). Wycięńczała z przepracowania, Armand zmarła w 1920 roku na cholerę, gorzko opłakiwana przez Włodzimierza Iljicza. Zaszczyt przejęcia Żenotdieła przypadł w

udziale Aleksandrze Kołłontaj, być może aż nazbyt charyzmatycznej. Kołłontaj wyróżnia się jako jedna z najbardziej buńczucznych osobowości komunizmu. Ta apostołka zasady wolnej miłości, w bulwersujący sposób wcielająca ją w życie (niewykluczone, że to na niej wzorowano *Ninoczkę* Grety Garbo), uważała klasyczną rodzinę za niewydajne marnowanie siły roboczej, żywności i opału. Myśl o żonie jako czujej kucharce doprowadzała ją do furii.

„Rozdział między małżeństwem a kuchnią – grzmiała Kołłontaj – to reforma nie mniej ważna niż rozdział między Kościołem a państwem”.

U nas w rodzinie mieliśmy naszą własną Kołłontaj.

Jak każda przeciętna rosyjska rodzina, również moja stanowiła bogaty przekrój przedradzieckiego tygla narodowościowego. Ród Mamy wywodził się z ukraińskiego sztetla, przodkowie Taty ze strony ojca byli niemiecką arystokracją, która wzięła się w środowisko kupieckich córek nad Morzem Kaspijskim. Z kolei mama Taty, szalona i szalenie ukochana babcia Ałła, została wychowana przez pewną zaciekłą agitatkę na rzecz praw kobiet w dalekiej Azji Środkowej.

Kiedy byłam mała, Ałła gotowała bardzo rzadko, kiedy już jednak się do tego zabrała, powstawały małe arcydzieła. Zapamiętałam szczególnie potrawkę, którą odziedziczyła po niej moja Mama i gotuje ją do dziś. Jest to danie uzbeckie, przygotowywane z przypieczonej na brązowo jagnięciny i ziemniaków ożywionych gniewnym pyłem z papryki, zmiażdżonych ziaren kolendry i smakującej nieco aptecznie cuchnącej rośliny zwanej *zira*, uzbeckiego dzikiego kminku.

– Z czasów mojego dzieciństwa w Ferganie! – wyznawała Ałła w trakcie posiłku. – Od kogoś bardzo mi drogiego...

Na tym temat się kończył, lecz ja wiedziałam, o kogo chodzi.

Moja babcia, Ałła Nikołajewna Aksentowicz, przyszła na

świat tydzień przed rewolucją październikową, na obszarze nadal zwanym Turkiestanem, tak samo jak na carskich mapach Azji Środkowej. Była dzieckiem nieślubnym, wcześniej osieroconym i adoptowanym przez własną babkę ze strony matki Annę Aleksiejewnę, bolszewicką feministkę żyjącą w miejscu, gdzie bardzo ciężko było być kimś takim.

Turkistan. Muzułmański, nieznośnie upalny, rozleglejszy niż dzisiejsze Indie, w przeważającej mierze pustynny. Jeden z najświeższych carskich nabytków kolonialnych, podbity dopiero w latach sześćdziesiątych XIX wieku. Dekadę później w żyznej Kotlinie Fergańskiej rodzi się Anna Aleksiejewna. Była to kraina jedwabnego szlaku, z której Imperium Rosyjskie czerpało bawełnę, co potem jeszcze bezlitośniej miało czynić imperium sowieckie. Jedyne zachowane zdjęcie Anny, zrobione lata później i w innym miejscu, przedstawia kobietę o stanowczej słowiańskiej twarzy z wydatnymi kośćmi policzkowymi. Jej ojcem był Kozak z Uralu, zdecydowanie niesympatyzujący z czerwonymi. W 1918 roku, kiedy Anna miała już 40 lat i wyuczony zawód akuszerki, sprzeciwiała mu się i przystała do partii komunistycznej. W 1924 roku wraz z malutką osieroconą Ałłą znalazły się w Taszkiencie, stolicy nowej republiki Uzbekistanu. Sowieci zdążyli już pokawałkować Azję Środkową na pięć socjalistycznych „narodowych” jednostek administracyjnych. Anna Aleksiejewna została nową zastępcynią szefowej wydziału „agitacji” w Środkowoazjatyckim Biurze Komitetu Centralnego.

A agitacja była tam jakże potrzebna.

Wojna domowa na tym obszarze przeciągała się jeszcze przez kilka dodatkowych lat, czerwoni bili się z basmaczami (muzułmańskimi bojownikami). Wraz ze zwycięstwem pojawiły się jednak – jak wszędzie – ogromne wyzwania. W odróżnieniu od Żydów Uzbecy nie dawali się łatwo przekonać do bolszewizmu. Skoro nawet w samej Rosji zabrakło ściśle

Marksowskich warunków wstępnych dla komunizmu – mianowicie zaawansowanej fazy kapitalizmu – to cóż dopiero w Turkiestanie, który ze swymi strukturami religijno-klanowymi był z gruntu feudalny. Jak budować socjalizm bez proletariatu? Odpowiedzią stały się kobiety. Tyranizowane przez mężów, duchownych i naczelników plemion, były „najbardziej uciemiążonymi z uciemiążonych i najbardziej zniewolonymi ze zniewolonych”, jak ujął to Lenin.

Sowieci zmienili więc swój okrzyk wojenny z walki klasowej i etnonacjonalizmu na gender. W „kobietach Wschodu” znaleźli „namiastkę proletariatu”, taran pracy do zmiany społeczno-kulturowej.

Anna Aleksiejewna i misjonarki z jej Żenotdieła mozolnie walczyły z *kałymem* (opłatą za pannę młodą) i małżeństwami nieletnich, z poligamią oraz wykluczeniem i segregacją kobiet. Najdramatyczniejszą formę przybrała bitwa z najdosłowniejszą formą wykluczenia – zasłoną. Publicznie muzułmańskie kobiety musiały nosić parandzę, czyli długą, ciężką szatę, oraczaczwan, zasłonę. „Zasłona” może się nam kojarzyć z lekkim welonem, wyobraźmy sobie jednak gruby, siermiążny, sięgający aż do kolan całun z końskiego włosia, bez otworów na oczy i usta.

„Najlepsze akcje rewolucyjne – miała podobno oznajmić kiedyś Kołłontaj – to prawdziwy spektakl”. Anna Aleksiejewna i jej feministki wpadły więc na scenę. Zasłona musiała odejść precz! Niewiele sowieckich akcji rewolucyjnych było równie widowiskowych jak *hudżum*(szturm), przeprowadzona w Azji Środkowej kampania odsłaniania kobiet.

8 marca 1927 roku, Międzynarodowy Dzień Kobiet. W uzbeckich miastach kobiety w zasłonach idą hucznie w masowym pochodzie i eskorcie policji. Przygrywają miejscowe orkiestry i kapele ludowe. Podesty poustawiane na rynkach toną w kwiatach. Żenotdiełki wygłaszały płomienne mowy.

Wiersze. Anna bez wątpienia występuje na głównej scenie w Taszkiencie, gdy pierwsze odważne występują przed szeregi, zwlekając swe ruchome więzienia z końskiej sierści i ciskając je do ogniska. Tysiące innych tam na miejscu idą za ich przykładem – podobno owego dnia ściągnięto dziesiątki tysięcy zasłon. Kobiety bez zasłon ciągną ulicami, wykrzykując rewolucyjne hasła. Wszyscy śpiewają. Niesamowita chwila.

Odwet był straszliwy i bezzwłoczny.

Uwięzione między Leninem a Allahem, między Moskwą a Mekką, kobiety bez zasłon wypadły poza nawias społeczny. Wiele z nich z powrotem włożyło parandzę, wiele było gwałconych i mordowanych przez tradycjonalistycznych mężczyzn i ich rodziny, a okaleczone zwłoki wystawiano po wsiach na widok publiczny. Działaczkom Żenotdieła grożono i zabijano je. Pożar szalał całe lata.

Pod koniec owej dekady zarzucono radykalne teatralne gesty ściągania zasłon. Na terenie całego kraju zamykano Żenotdieły, ponieważ Stalin ogłosił „kwestię kobiet” za rozwiązana. W połowie lat trzydziestych wróciła moda na tradycyjne wartości rodzinne, zniechęcano do rozwodów, wprowadzono zakaz aborcji i homoseksualizmu. Na plakatach propagandowych Sowiecka Kobieta wygląda już inaczej, jest matczyna, przy kości, „kobieca”. Odtąd aż do końca istnienia ZSRR od towarzyszek oczekiwano dźwigania na barkach niesławnego „podwójnego ciężaru” – pracy zarobkowej i prowadzenia domu.

A moja praprababka, nowa sowiecka feministka?

W 1931 roku Anna Aleksiejewna przeniosła się z nastoletnią Ałłą do Moskwy w ślad za swym przełożonym Izaakiem Zielenskim. Zielenski, od lat wierny członek partii, był jednym z architektów rekwizycji zboża w dobie komunizmu wojennego, a teraz ściągnięto go z Azji Środkowej z powrotem do stolicy, aby nadzorował państwowe spółdzielnie. W 1937 roku, w okresie

najgorszych czystek, Zielenskiego aresztowano, rok później zasiadł na ławie oskarżonych obok bolszewickiego lumarza Nikołaja Bucharina podczas najbardziej osławionego stalinowskiego procesu pokazowego. Jako były szef spółdzielczych dostawców żywności Zielenski zaskakując „przyznał się” do sabotażu, w tym do zniszczenia ładunku 50 pociągów pełnych jajek przeznaczonych dla Moskwy oraz do zniszczenia transportów masła poprzez dodawanie do niego gwoździ i szkła. Zaraz po procesie rozstrzelano go i wymazano z kart radzieckiej historii.

Rok później również moja praprababka Anna została aresztowana jako współkonspirująca z Zielenskim i podobnie znikła z kart historii – z kart naszej *rodzinnej* historii, a to za sprawą babci Ałły, która zniszczyła wszystkie jej zdjęcia i przestała o niej w ogóle wspominać. Wtem pewnego dnia, już po zakończeniu II wojny światowej, dygocząc ze strachu, Ałła otworzyła list z gułagu, z Kołymy na najdalszej Syberii. Anna Aleksiejewna z mrożącą krew w żyłach precyją opisywała tortury, jakim ją poddano, i błagała o pomoc wnuczce, którą niegdyś adoptowała i wychowała, aby poinformowała o wszystkim Towarzysza Stalina. Podobnie jak miliony ofiar, Anna święcie wierzyła w to, że Najwyższy Przywódca nic nie wie o okropnościach dzierżących się w łagrach. Z rozmaitych wersji opowieści Taty wynika, że Ałła natychmiast spaliła list, wrzuciła go do muszli klozetowej bądź też zjadła.

Jedynie wtedy, gdy była pijana, bardzo pijana, i to wiele lat później, kiedy byłam już na świecie, Ałła, przegryzając śledziem szklaneczkę wódki, wylewała krokodyle łzy, rycząc, że jej babcię Annę Aleksiejewnę rozbierano do naga przy czterdziestostopniowym mrozie, bito w piwnicach więzienia tajnej policji na Łubiance i przez całe tygodnie nie pozwalano jej spać. Potem Tato szeptem opowiadał mi historię spadku. O tym, jak Annę Aleksiejewnę wypuszczono z łagru w 1948 roku bez

prawa powrotu do Moskwy, jak zamieszkała w syberyjskim mieście Madagan. Jak Ałła ani razu jej nie odwiedziła. I jak Anna zmarła w 1953 roku, parę miesięcy przed Stalinem.

Wyobraźcie więc sobie zaskoczenie Ałły, gdy pocztą przyszedł akt zgonu, zdjęcie babki, to jedyne zachowane, zrobione w gułagu, oraz czek na gigantyczną kwotę 10 tysięcy rubli, najprawdopodobniej oszczędności zgromadzone dzięki potajemnemu wykonywaniu aborcji w łagrach.

Ałła i Siergiej przepuścili cały spadek w najlepszych restauracjach Moskwy. Ałła najbardziej lubiła niebotycznych rozmiarów salę restauracyjną w Hotelu „Moskwa”, zachwycona kolumnami z zielonego malachitu i słynnymi żeberkami jagnięcymi, a wcale nie tym, że wąsaty maestro gułagów lubił tam świętować własne urodziny. Tata wydał swoje pieniądze z łagru w „Aragwi”, najmodniejszej gruzińskiej restauracji na ulicy Gorkiego, i też nie dlatego, że było to ulubione miejsce ostatniego stalinowskiego szefa tajnej policji – Ławrientija Berii. Rzecz w tym, że stalowe okręgi sowieckiego życia przeplatały się między sobą.

Za resztkę rubli Anny Aleksiejewny Ałła kupiła parę garniturów dla Siergieja, które nosił on potem przez dwie dekady. Oraz dwa koce, pod którymi sypiałam jako dziecko w komunałce Ałły niedaleko Mauzoleum. Były to cudowne koce, jeden zielony, drugi niebieski, lekkie jak piórko i wykwintnie jedwabiste.

No i wreszcie: dwie jedwabne chińskie narzuty, dwa szykowne kostiumy oraz uzbecka potrawa z jagnięciny – jedyne dziedzictwo pozostawione przez bolszewicką feministkę o okrągłej słowiańskiej twarzy z wydatnymi kośćmi policzkowymi, niegdyś zacieklej bojowniczkę o prawa kobiet, która pomagała w szтурmie – tak dramatycznym, tak nieprzemyślonym – na zasłonę z końskiego włosia. I która zniknęła bez śladu.

Radykalna bolszewicka polityka tożsamościowa poszerzyła prawa kobiet, Żydów i nawet kompletnie nieznanych mniejszości etnicznych, jak Buriaci, Czuwasze czy Karakałpacy.

Jedna atoli kategoria ludzi pozbawionych głosu została zepchnięta w cieś Świetlanej Przyszłości, uznana za niereformowalne zagrożenie. Tak się składało, że stanowili oni 80% całej ludności i karmili całą Rosję. Chłopi.

„Półdziki, głupi, ociężały lud rosyjskich wsi” – tak opisywał ich w 1920 roku Maksym Gorki, sam urodzony na wsi*****.

„Chciwe, obżarte, bestialskie”***** – tak z kolei oceniał chłopstwo Lenin. Słowa te odniósł do kułaków, których było stosunkowo niewielu, lecz termin ten, ideologiczne błoto, łatwo się przyklejał.

Chwilowy okres ciszy w niegasnącym konflikcie między miastem a wsią stanowił NEP, lecz już pod koniec 1927 roku ponownie rozszalał się kryzys zbożowy na ogromną skalę.

Zwróćmy uwagę na przebiegłego Gruzina, Josifa Wissarionowicza Dżugaszwilego.

Stalin, bo pod takim nazwiskiem go znano (swój bolszewicki pseudonim wywodził od „stali”), był od 1922 roku sekretarzem generalnym partii, piastując stanowisko rzekomo nieistotne, poprzez które umiał jednak wywindać się na następcę Lenina. (Trocki, jego główny rywal, uważały go za tępego, lecz to właśnie błyskotliwy, arogancki Trocki został w 1929 roku wygnany z kraju, a w 1940 roku skończył z czaszką rozłupaną czekanem).

Kryzys zbożowy w 1927 roku wynikł po części ze strachu przed wojną – przed napaścią Wielkiej Brytanii bądź innego nikczemnego mocarstwa kapitalistycznego – jaki owego roku ogarnął cały kraj. W panice gromadzono zapasy, chłopi wymigiwali się od sprzedaży zboża państwu po niskich cenach. Problem mogłoby rozwiązać podwyższenie owych cen, władze

jednak, podnosząc krzyk o sabotażu, sięgneły po represje i przemoc. Podczas osławionej podróży na Syberię w 1928 roku Stalin osobiste nadzorował przymusowe rekwiizycje. Jego pachołek Mołotow tłumaczył potem: „Żeby przetrwać, Państwo potrzebowało zboża. W przeciwnym razie ległoby w gruzach. Ciągnęliśmy więc, ile się dało”.

Rynkowe podejście NEP-u praktycznie poszło w odstawkę, a miało je za chwilę zastąpić obmyślone przez Stalina ostateczne rozwiązanie „problemu chłopskiego” – problemu niezawodnych dostaw taniego zboża.

W 1929 roku Związek Radziecki gwałtownie przestawił się na *wielikij pieriełom* (wielki przełom). Ucieleśniony w pierwszym Planie Pięcioletnim ów fantastycznie i fanatycznie ambitny program miał zindustrializować kraj pełną parą – kosztem wszystkich innych spraw. Od dawna zapóźniona Rosja miała się zmienić w „kraj metalu, kraj automobilizujący się, kraj straktoryzowany”, by użyć głośnych hasł Stalina. Znowu pojawiły się kartki, uprzywilejowując robotników, a uboższych chłopów pozostawiając na pastwę losu.

Jako pierwszy zaczęto racjonować chleb. „Walka o chleb – warczał Stalin niczym echo Lenina – to walka o socjalizm”. Co oznaczało, że państwo sowieckie nie ściерpi dalszego oporu ze strony 80% swojej ludności.

Na wsi rozszalały się furie kolektywizacji i rozkułaczania. Być może nawet 10 milionów kułaków (coż za toksycznie elastyczny termin) wyrzucono z ich ziemi, albo ich mordując, albo wywożąc do obozów pracy, zwanych po 1930 roku gułagami, gdzie wielu zginęło. Resztę chłopskich gospodarstw przymusowo wcielono do kołchozów (wielkich gospodarstw kolektywnych, nadzorowanych przez państwo), dzięki którym maszyna przemysłu mogła liczyć na pewną żywność (taki przynajmniej był zamysł). Chłopi opierali się tej przymusowej „drugiej pańszczyźnie”, na masową skalę wybijając stada. Do

1931 roku ze wsi do miast zbiegło już ponad 12 milionów chłopów, a w 1933 roku spichlerz kraju, żyza Ukraina, pograżył się w wywołanej przez człowieka klęsce głodu, jednej z największych tragedii XX wieku. Zablokowano drogi, chłopom zabroniono przemieszczania się, tłumiono pogłoski o nadal trwającej dewastacji. Resztką mleka zmarłej chłopskiej matki na ustach jej wygłodzonego niemowlęcia miała swoją nazwę: „pączki socjalistycznej wiosny”. Spośród szacowanych 7 milionów ofiar***** śmiertelnych sowieckiego głodu około 3 miliony zmarło na samej Ukrainie.

Radzieckie rolnictwo nigdy już nie doszło do siebie po tych okropnościach.

Lenin nie żył już wówczas od blisko 10 lat.

Nieżywy – i niepochowany.

Po długiej i tajemniczej chorobie (krążące przez wiele dekad pogłoski o syfilisie ostatnio ponownie zaintrygowały historyków) Lenin wydał ostatnie tchnienie 21 stycznia 1924 roku, praktycznie w izolacji. Stalin, w młodości student seminarium duchownego, dostrzegał siłę relikwii i był jednym z pierwszych pomysłowców utrzymania zwłok „przy życiu”. Już na jednym z posiedzeń Politbiura w 1923 roku postawił tezę, że „współczesna nauka” daje możliwość zakonserwowania ciała, przynajmniej przez jakiś czas. Część bolszewików skręcała się ze zgrozy na myśl o deifikacji. Krupska też była temu przeciwna, nikt jednak nie pytał jej o zdanie.

I tak od 27 stycznia ciało Lenina wystawiono na widok publiczny w nieogrzewanej Sali Kolumnowej w Moskwie. Pogoda była tak paskudna, że zamarzły nawet palmy wstawione do środka na okazję pogrzebu. Nad placem Czerwonym zawisła lodowata mgła, żałobnicy mieli sposobność nabawić się odmrożeń. Jednak zimno pomogło na jakiś czas zakonserwować opłakiwanego.

Wygląda na to, że myśl o zastąpieniu tymczasowego zabalsamowania czymś trwałym zrodziła się w komitecie pogrzebowym, szybko przemianowanym na komisję do spraw unieśmiertelnienia, całkiem spontanicznie. Rozważano zamrożenie, lecz przy cieplejszej pogodzie stan ciała się pogorszył i komitet wpadł w panikę. Wtedy pojawiły się Boris Zbarski, samozwańczy biochemik, i Władimir Worobiew, utalentowany patolog z prowincji. Obydwaj zaproponowali radykalną metodę balsamowania. Jakimś cudem ich szalony ambit zadziałał. Nawet sceptyczna Krupska wyznała potem Zbarskiemu: „Ja się starzeję, a on ciągle wygląda tak samo”.

Tak oto Związek Radziecki doczekał się Nowego Sowieckiego Wiecznego Człowieka, namacalnego dowodu, że sowiecka nauka pokona nawet grób. Wyglądało na to, że socjalistyczne przekształcanie ludzkości osiągnęło niepojęte wyżyny, wykraczając daleko poza ramy nowego życia codziennego. Antyreligijny bolszewik nad bolszewikami, który kazał mordować duchownych i niszczyć kościoły, sam został żywą relikwią, unieśmiertelnioną na modłę prawosławnych świętych.

Poczynając od 24 sierpnia, cudowny Obiekt nr 1 (jak później szyfrowano jego nazwę) wdzięczył się do tłumów na placu Czerwonym, spoczywając wewnątrz tymczasowego drewnianego sanktuarium, wzniesionego przez architekta konstruktywistę Aleksieja Szczusiewa. Później Szczusiew zbudował trwałe mauzoleum, kultowy dziś zikkurat z czerwonych, szarych i czarnych kamieni, którego wewnętrzny przybytek jako dziecko tak bardzo pragnęłam spenetrować. *Mawzolej* odsłonięto w 1930 roku, choć bez specjalnych fanfar. Wówczas już Związek Radziecki miał Boga następcę, tego, który relegował Lenina do statusu mglistego Ducha Świętego.

Lecz w breźniewowskiej fazie swego kultu Lenin przeistoczył się z tego odległego, wyidealizowanego Ducha w dobrodusznego, acz mglistego *dieduszkę*. Wtedy to popularność zdobyły

dydaktyczne opowiadki o placku z jabłkami oraz owa głupkowata ikonograficzna czapka na łysinie, mające świadczyć o skromnej, przyjacielskiej, proletariackiej naturze Włodzimierza Iljicza.

Kraj był już wówczas przewrażliwiony na punkcie boskiego kultu jednostki.

CZEŚĆ II LARYSA



Rodzina Frumkinów (od lewej): Julia, Liza, Saszka, Naum, Larysa oraz ojciec Lizy – dieduszka Jankiel w 1943 roku

3

Lata trzydzieste: Dziękujemy wam, towarzyszu Stalin, za szczęśliwe dzieciństwo

Jak większość ówczesnych radzieckich dzieci, Mama wychowała się na twórczości Arkadego Gajdara. Opowieści Gajdara przesyca patriotyczny romantyzm, który nawet dziś nie razi. Obfitują one w sporą dawkę pozytywnych bohaterów, postaci, które wiedzą, że prawdziwym sensem szczęścia jest „żyć uczciwie, trudzić się ciężko oraz głęboko kochać i chronić tę rozległą szczęśliwą ziemię zwaną Krajem Radzieckim”. Mama była szczególnie poruszona opowiadaniem zatytułowanym *Błękitna filiżanka*.

Pokonawszy przekleństwo konfliktu, młoda rodzina zasiada

późnym letnim wieczorem (wiosna i lato – jak zauważył ironicznie pewien krytyk – były jedynymi dopuszczalnymi porami roku w realizmie socjalistycznym) pod drzewem pełnym dojrzałych czereśni. Nad głowami lśni złoty księżyc, z oddali dobiega odgłos pociągu. Główny bohater podsumowuje wszystko na zakończenie historii: „A życie, towarzysze, było dobre [...] całkowicie dobre”.

Zdanie toypełniło moją pięcioletnią Mamę uczuciem wyobcowania i przerażenia.

Do dziś nie potrafi wyjaśnić dlaczego. Jej rodzice, młodzi, pracowici i lojalni wobec państwa, ucielesniali gajdarowskie cnoty i stalinowską wizję świetności. Liza, jej mama, była mistrzynią w gimnastyce, architektką i malarką słodkich akwareli, jej ojciec Naum miał promienny uśmiech i wysokie, szczerze czoło, w sam raz do tych fajnych czapek marynarskich, pachnących zagranicznymi wodami kolońskimi, które przywoził z częstych podróży zagranicznych. Jeśli Mama i jej młodsza siostra Julia były grzeczne, Naum pozwalał im przypinać do sukienek swoje błyszczące odznaczenia i tańczyć z nimi przed lustrem. W rzadkie dni wolne od pracy zabierał je do Parku Kultury i Wypoczynku im. Gorkiego.

Mama miała, rzecz oczywista, jeszcze drugiego ojca. Podobnie jak jej koledzy z przedszkola, dzień rozpoczynała od wpatrywania się w pewien szczególny plakat i składania przed nim dziękczynienia za radosne, świetlane dzieciństwo. Na plakacie młodzieńczo wyglądający, choć w średnim wieku, Geniusz Ludzkości i Najlepszy Przyjaciel Wszystkich Dzieci uśmiechał się spod czarnych skrzydeł swoich wąsów. Uśmiechała się też śliczna dziewczynka na jego rękach. Z ciemnymi włosami obciętymi na pazia przypominała Mamie ją samą, tylko z azjatyckimi rysami. Była to legendarna Gela (zdrobnienie od Engelsina, od nazwiska Fryderyka Engelsa) Markizowa, córka jednego z komisarzy z regionu buriacko-

mongolskiego. Przyjechała na Kreml wraz z jakąś delegacją i wręczyła Najwyższemu Wodzowi bukiet kwiatów, a wtedy on wziął ją na ręce, rozbrajając swym rozbawionym, życzliwym spojrzeniem. Błysnęły flesze aparatów fotograficznych, a po ukazaniu się na okładce „Izwiestii” zdjęcie to stało się jedną z ikon dekady, reprodukowane na milionach plakatów, na obrazach i w rzeźbach. Gela ucielesniała marzenia każdego radzieckiego dziecka.

Twarzysz Stalin czuwał nad Mamą i jej rodziną, o tym była przekonana. Mimo to wisiał nad nią jakiś całun. Życie – podejrzewała – nie jest wcale takie „całkowicie dobre”. Zamiast odczuwać wielką, jaśniejącą sowiecką szczęśliwość, serce Mamy często wypełniało się toską, słowem, które nie ma należytego angielskiego odpowiednika. „W swym najgłębszym, najboleśniejszym sensie – tłumaczy Władimir Nabokow – toska to poczucie wielkiej męczarni duchowej. [...] Na poziomach mniej schorzałych jest tępym bólem duszy”.

Słysząc w radiu radosne piosenki, oczami wyobraźni Mama od razu widziała szpetnych ludzi ryczących po pijacku wokół cuchnącej zgnilizną beczki z ogórkami kiszonymi. Czasami nie chciała nawet wyjść na ulicę, bojąc się czarnych głośników, z których płynęły peany na cześć Planu Pięcioletniego. Wiele rzeczy w Moskwie przerażało ją i przytłaczało. Na stacji nowego metra na placu Rewolucji przebiegała ile sił w nogach obok pomników z brązu przedstawiających atletyczne postacie z karabinami i młotami pneumatycznymi. Na próżno. Noc w noc dręczyły ją koszmary, pomniki ożywały i wrzucały jej mamę do rozpalonego pieca, takiego jak ów fresk na stacji Komsomolskaja.

Być może sny te brały się stąd, że rodzice innych dzieci znikali.

Było wiele rzeczy, o których moja mama wtedy nie wiedziała i wiedzieć nie mogła. Na przykład, że Arkady Gajdar, ukochany

autor książek dla młodzieży, brutalnie mordował ludność cywilną, w tym kobiety i dzieci, jako dowódca oddziałów czerwonych podczas wojny domowej. Że rok po wręczeniu bukietu na Kremlu ojciec Geli Markizowej został oskarżony o spisek przeciw Stalinowi i stracony jako jedna z ofiar Stalina, których liczba szacowana jest na 12–20 milionów. Matka Geli też zginęła. Dziecko z plakatu o szczęśliwym stalinowskim dzieciństwie zostało wywiezione i wychowywało się w sierocińcu.

Ciemność. Niekończąca się czerń arktycznej zimy w Murmańsku to najwcześniejsze wspomnienie Mamy. Przyszła na świat w słonecznej Odessie jako ledwie żywy, niespełna dwuipółkilowy wcześniak owinięty w pieluchy z szorstkiej bawełny. Jej ojca wysłano akurat na najdalszy północny zachód Rosji jako dowódcę jednostki wywiadowczej nowo formowanej Flotylli Północnej. Był to stosunkowo spokojny rok 1934. Plony okazały się przyzwoite. Głód i okropności związane z kolektywizacją powoli odchodziły w przeszłość. Kartki stopniowo wycofywano, najpierw na chleb i cukier, potem namięso.

Myska – czyli „myszka” w dziecięcej wymowie – takie było pierwsze słowo wypowiedziane przez Mamę, ponieważ po kabłach biegnących po ścianie nad jej łóżkiem w maleńkim pokoiku zajmowanym jeszcze przez jej siostrzyczkę i rodziców śmigały myszy. Wracając myślami do tamtych dni, Mama wyobraża sobie siebie jako mysz przeciskającą się przez złowrogi ciemny tunel wczesnej świadomości. Pamięta ogłuszające skrzypienie murmańskiego śniegu pod ciagnionymi przez konia saniami i słonawy smak krwi, gdy sople, które lubiła lizać, przywierały jej do języka.

Leningrad, gdzie przeniesiono Nauma w 1937 roku, leżał tysiąc kilometrów na południe stąd, lecz wciąż jeszcze na zimnym sześćdziesiątym stopniu szerokości północnej. Tamtejsza ciemność była jednak inna. Dawna imperialna stolica Rosji oferowała rozmaite odmiany szarości: stalowe

odbicia w Newie z jej posepólnymi granitowymi nabrzeżami, matowe aluminium tłustych misek na kaszę w maminym żłobku. Zamiast myszy szczury – za ich to właśnie sprawą wujaszkowi Wasi, sąsiadowi z ich mieszkania komunalnego, brakowało połowy nosa. Na nieszczęście imię Mamy rymowało się ze słowem *krysa* (szczur). „Larysa-krysa, Larysa-krysa” – dokuczały jej dzieci na podwórku. Od czasu do czasu Liza zabierała dziewczynki do muzeów i pałaców w centrum miasta. Ich melancholijna neoklasyczna wspaniałość uderzająco kontrastowała z pajęczyną smętnych, zapijaczonych uliczek w okolicach ich mieszkania. Mama była niepocieszona, gdy jakiś pijak nadepnął jej nowiutkie kalosze i zniszczył je, takie błyszczące i czarne, i takie czerwone w środku.

Smętna była też atmosfera w tym mieście. Trzy lata wcześniej charyzmatyczny przywódca leningradzkich komunistów Siergiej Kirow został zastrzelony na korytarzu w Smolnym, miejscowej siedzibie partii, przez jakiegoś sfrustrowanego byłego funkcjonariusza partyjnego. Zabójstwo to stało się przygrywką do długich lat paranoi, nieoczekiwanej nocnego pukania do drzwi, donosów, polowań na „wrogów ludu” i masowych rzezi, które później nazwano wielkim terrorem lat 1937–1938. Nigdy nie dowiedziono podejrzeń co do roli Stalina w morderstwie Kirowa, mimo to Przyjaciel Wszystkich Dzieci skwapliwie wykorzystał tę okazję. Po zbolełym pocałunku w brew Kirowa w trakcie iście operowego show pogrzebowego Stalin rozpętał wstępny paroksyzm gwałtów wymierzonych w swoich przeciwników politycznych. Potem przyszedł czas procesów pokazowych. Zarzut o udział w spisku na życie Kirowa był w użytku aż do 1938 roku i stanowił jedno z kluczowych uzasadnień terroru, oprócz całego worka różnych zbrodni przeciwko państwu sowieckiemu oraz jego zrad. Tysiące osób aresztowano bez przyczyny i wywieziono do łagrów bądź zamordowano. W Moskwie odbyły się najbardziej osławione procesy (w tym proces Zielenskiego, przełożonego

mojej praprababki Anny Aleksiejewny), lecz Leningrad cierpiał być może jeszcze dotkliwiej. W 1937 roku dawna stolica została zdziesiątkowana przez wywózki i egzekucje. To zemsta Stalina przeciwko miastu, którego nienawidzi – szeptano na miejscu. Rzeczywiście, kiedy trumna z Kirowem opuściła Leningrad, nogi Wielkiego Wodza nigdy już więcej nie postała nad Newą.

Patrzę na zdjęcie Mamy z tamtego okresu. Zadarty nos, czarnowłosy bob na głowie, podejrzliwe, zuchwałe oczy. Śmieje się, lecz zza tego śmiechu zdaje się wyzierać jakiś cień. Konstruując narrację o swoim dzieciństwie, Mama lubi portretować siebie jako Urodzoną Dysydentką, młode dziecię rozpaczy, instynktownie skłócione z krainą szczęśliwych dzieci Stalina. Tysiące razy słyszałam jej opowieści o ucieczkach z obozów letnich i sanatoriów. O tym, jak to już jako dorosła w końcu uciekła do Ameryki i nareszcie przestała uciekać. Lecz konkretnie w jakim czasie i w czym upatruje ona początku swej dziecięcej *toski*? Zawsze chciałam to wiedzieć. A dziś dowiaduję się o pewnym szczególnym zimowym dniu.

Na dworze jest jeszcze zupełnie ciemno, gdy Liza wyciąga Larysę z jej kokona w kocu.

- Szybko, szybko, musimy zdążyć przed szóstą, na początek
- pogania ją, dmuchając desperacko na grysik, żeby go ostudzić.

Podczas jazdy saniami mokry śnieg osiada Mamie na twarzy, gruźliczy nadbałtycki chłód przenika jej kończyny, wciąż jeszcze ciężkie od snu. Choć jest jeszcze bardzo wcześnie, słyszy w oddali pieśni marszowe i widzi śpieszących gdzieś ludzi. „Co się dzieje?” Żołądek jej się ścisła od przestrachu i złych przeczuć. Ożywa nagle wstrętny robak strachu. Uparcie wziera się w jej wnętrzności, gdy docierają do zatłoczonej sali wewnątrz jakiegoś budynku, wyklejonej plakatami z Wielkim Towarzyszem Stalinem naturalnej wielkości. Rodzice przepychają się przez tłumy w stronę urzędników wykrzykujących powitania przez

głośniki, stojących za długim stołem nakrytym *kumaczem*, szkarłatnym perkalem radzieckiej flagi. Marszowa muzyka ryczy ogłuszająco. Rodzice wypełniają jakieś papiery i w całym tym zamieszaniu Mama na chwilę traci z nimi kontakt.

– Głosuję! – krzyczy jakaś kobieta z tłumu, wręczając Mamie czerwoną chorągiewkę. To dzień 12 grudnia 1937 roku.

Głosuję. Nowe słowo. Pochodzi od słowa *głos*, „głos”. A może rodzice wołają do niej? Ona też zaczyna krzyczeć, lecz jej pisk zagłusza pieśń.

„*Szyrokaja strana moja rodnaja* (Szeroki jest mój kraj ojczysty) – śpiewają ludzie. – Drugiej takiej nie znam ja ziemii, gdzie tak swobodnie oddycha człowiek”*****. Ogarnięta zbiorowym uniesieniem, Mama oddycha najgłębiej, jak umie, czując w płucach coś, o czym zawsze mówi: „ten zapach”, odór sowieckich instytucji: zakurzonych broszur, środka do czyszczenia karbolka, wełnianych palt i stóp parzących się w gumowych *gałuszach*. Odór ten będzie ją prześladował przez całe jej dorosłe życie w ZSRR – w biurach, szkołach, na zebraniach politycznych, w pracy. Rodzice wreszcie ją odnajdują. Promienią ją z dumy, śmieją się z jej przerażenia.

Wieczorem Mama znów jest szczęśliwa. Podczas popołudniowej przechadzki z rodzicami rozległe place Leningradu wyglądają oszałamiająco, pozalepiane czerwonymi hasłami i plakatami. Zaczyna zmierzchać, zarysy budynków oświetlają małe lampki. Teraz, w drodze do wujka Dimy, Naum obiecuje, że będą oglądać *salut* z jego balkonu. Co to jest *tensalut*? Dlaczego z balkonu?

– Poczekajcie, to zobaczycie – mówi Naum.

Mama cieszy się z odwiedzin u wujka Dimy Babkina. Tak naprawdę to wujek przyszywany, wysoki, łysy zwierzchnik jej ojca z marynarki. Ma w domu różowiutkie niemowlę i dwie bliźniaczki, troszkę starsze od Mamy, a do tego niekończące się

zapasy cukierków zwanych *poduszeczkami*. Gdy docierają na miejsce, rodzina gospodarzy świętuje już na całego. Głośno strzelają korki butelek, rozbrzmiewają toasty na cześć historycznych wyborów w Rosji oraz wiekowego ojca wujka Dimy, który przyjechał z Moskwy. *Szyrokaja strana moja rodna* – śpiewają dzieci, tańcząc wokół kołyski, którą żona wujka Dimy wypełniła słodkimi sucharkami z rodzynkami. Lada chwila zjawi się ciocia Rita, siostra Dimy, i przyniesie swoje słynne ciasto zwane Napoleon.

Wybory świętuje właściwie cała kamienica, gdzie mieszka wujek Dima, sąsiedzi przychodzą i wychodzą, pozyczają krzesła, przynoszą poczęstunek.

– Ciocia Rita? Napoleon? – krzyczą dzieci, co chwila podbiegając do drzwi.

Rozlega się krótki, ostry dźwięk dzwonka, jednak zamiast ciasta Mama widzi w drzwiach trzech mężczyzn w długich płaszczach. Ciekawe, dlaczego nie mają mandarynek ani pierożków – zastanawia się. I dlaczego nie strząsnęli przed wejściem śniegu z walonek, jak zrobiłby każdy dobrze wychowany Rosjanin?

– Szukamy Babkina – rzuca sucho jeden z mężczyzn.
– Którego? – pyta żona wujka Dimy, uśmiechając się niepewnie. – Ojca czy syna?

Mężczyźni przez chwilę wyglądają na zbitych z tropu.

– No... obydwu... Pewnie, dlaczego nie? – mówią, wzruszając ramionami. – Obydwu – nieomal chichoczą.

Cisza, która zapada, i uśmiech, który zamiera na twarzy żony wujka Dimy, znowu zbudziły robaka w żołądku Mamy. W zwolnionym tempie patrzy, jak wujek Dima i jego stary ojciec wychodzą razem z mężczyznami. Czuje ulgę, gdy *babuszka* gospodarzy wygania dzieci na balkon, aby

obejrzały *salut*. Na zewnątrz czarną noc rozświetlają błyski. Ogniste dreszcze przeszywają ciało Mamy z każdym kolejnym szybującym i wybuchającym fajerwerkiem. Zielony! Czerwony! Niebieski! Rozkwitają na niebie jak olbrzymie, migotliwe, radosne bukiety. Gdy jednak Mama wraca do pokoju, z przestrachem patrzy na żonę wujka Dimy, która leży na kanapie i dyszy ciężko. Dom wypełnia słodkawo-ziemista woń waleriany. I cisza. Martwa, przejmująca dreszczem cisza.

Aresztowania przy akompaniamencie strzelających korków, przerażenie w pokoju sąsiadującym ze szczęściem, strach wpisany w fajerwerki i pochody – oto rozdwojona rzeczywistość, zbiorowa schizofrenia lat trzydziestych. Plujące jadem doniesienia prasowe o pokazowych procesach „faszystowskich psów z bandy trockistowsko-zinowiewowskiej” widnieją obok artykułów pełnych zachwytu dla krepdeszynowych sukni we „wzorcowych domach towarowych” czy „deszczu konfetti” podczas zabaw karnawałowych w parku.

Ludzie śpiewali. Nieraz śpiewali w drodze przed pluton egzekucyjny, nucąc *Szyrokaja strana moja rodna*, melodię, która była sygnałem Radia Moskwa jeszcze w latach mojego dzieciństwa. Piosenka *Szeroki jest mój kraj ojczysty*, rozbrzmiewająca w zrealizowanej w hollywoodzkim stylu komedii muzycznej *Cyrk*, została skomponowana dla uczczenia nowej stalinowskiej konstytucji z 1936 roku, okrzykniętej „najbardziej demokratyczną na świecie”. Na papierze przywracała ona nawet prawa wyborcze klasom wcześniejszej wywłaszczyonym (kułakom, dzieciom popów). Tyle że teraz aresztowania zależały nie tyle od klasy, ile od kwot wyznaczonych poszczególnym regionom, dotykając każdej warstwy społecznej.

To zrozumiałe, że kroniki stalinowskiego terroru wpłynęły na kształt narracji o tamtej epoce. Zdominowały ją tak całkowicie, że można wybaczyć mieszkańcom Zachodu, iż wyobrażają sobie

sowieckie lata trzydzieste jako jeden wielki szary łagier, w którym jego otępiali mieszkańcy są trybikami w maszynie Państwa, umacniającego się wyłącznie dzięki mordom, torturom i donosom. Taka wizja nie ukazuje jednak całego obrazu cywilizacji stalinowskiej. Hipnotyczna kultura popularna, elastyczne pobudzanie przez państwo sektora dóbr konsumpcyjnych i niekończący się maratonów publicznych uroczystości – wszystko to składało się na odurzające poczucie powszechnego budowania Świełanej Przyszłości.

Kto nie zginął ani nie zniknął w czeluściach gułagu, często dawał się porwać spektaklowi totalitarnej radości. Milan Kundera opisuje to jako „zbiorowe delirium liryczne” (*collective lyrical delirium******). Goszcząc w Rosji w 1936 roku, André Gide nie mógł się nadziwić napotykanyem dzieciom, „promienieżącym zdrowiem i szczęściem”, oraz „radosnemu zapałowi” spacerowiczów w parku.

Gdy myślę o państwie stalinowskim, które znałam tylko jako przepędzonego ducha, takie oto obrazy pojawiają się w mojej głowie. Opis Nadieżdy Mandelsztam, jak wyprowadzają jej męża, poetę Osipa Mandelsztama, przy dźwiękach hawajskiej gitary dobiegających z sąsiedniego mieszkania. Przejmująco tragiczny wiersz Anny Achmatowej *Requiem* (dedykowany ofiarom czystek) w zestawieniu z niezakłóconą pogodą ówczesnej, zaraźliwie kiczowej, celuloidowej komedii muzycznej *Wołga, Wołga*. I relacja Aleksandra Sołżenicyna *oworonkach* (karetkach więziennych), transportach więźniów, które udawały jaskrawie pomalowane ciężarówki z artykułami spożywczymi, na ich pudłach pojawiły się ostatecznie reklamy szampana „Sowietskoje” z roześmianą dziewczyną.

Szaleństwo industrializacji w pierwszym Planie Pięcioletnim (1929–1932) zburzyło i rozdeptało społeczność wsi do formy czegoś na kształt nowoczesności, a jednocześnie urzędnicy ukrywali dane o milionach ofiar głodu wywołanego przez

kolektywizację. W 1931 roku ponad 4 miliony chłopskich uchodźców zalało przepełnione miasta. W obliczu takich niepokojów państwo musiało się czymś wykazać. Tak oto w 1935 roku Stalin wygłosił jedną ze swych najsłynniejszych wypowiedzi.

„Życie stało się lepsze, towarzysze, życie stało się weselsze” – oznajmił na pierwszej konferencji stachanowców, czczonych przodowników pracy socjalistycznej, przekraczających plany. Ich nowo zrodzony ruch miał naśladować górnika dołowego Aleksieja Stachanowa, który zasłynął z urobku 102 ton węgla w ciągu jednej zmiany*****. Bo „gdy życie wesołe, to i pracuje się dobrze” – dodał Stalin.

Po tej przemowie – jak doniósł jeden z uczestników konferencji – Wódz Postępowej Ludzkości wspólnie ze wszystkimi zaśpiewał piosenkę z niezmiernie popularnej farsy ekranowej *Świat się śmieje* (*Wiesiołyje riebiata*), która weszła na ekrany w kilka tygodni po zabójstwie Kirowa. Geniusz Ludzkości lubił muzykę i od czasu do czasu nawet sam redagował słowa pieśni. Osobiście zainspirował stworzenie filmowej komedii muzycznej, tłumacząc reżyserowi Grigorijowi Aleksandrowowi – dawnemu asystentowi Siergieja Eisensteina w Hollywood – potrzebę zabawy i otuchy w sztuce. Eksplozja melodii i wesołości na radzieckich ekranach pod koniec lat trzydziestych stanowiła socrealistyczną odpowiedź na hollywoodzką fabrykę snów. W miejsce Astaire'a i Rogers z piersi chwackich pasterzy wyrywała się pieśń, a zadziorne tkaczki urastały do rangi baśniowych stachanowskich apoteoz. „To lepsze niż miesiąc wakacji” – zawyrokował Stalin po obejrzeniu filmu *Świat się śmieje*, będącego zgiełkliwym, trzpiotowatym debiutem Aleksandrowa. Przywódca ponad 100 razy obejrzał musical *Wołga*, *Wołga* tego reżysera z 1938 roku. Co kogo obchodziło, że główny kamerzysta został aresztowany i stracony jeszcze w trakcie zdjęć, a scenarzysta pisał dialogi na

zesłaniu?

Cytowana na plakatach i w prasie oraz oczywiście odśpiewywana stalinowska mantra o „szczęśliwszym życiu” ustaliła tonację na drugą połowę lat trzydziestych. Nie chodziło tylko o same słowa. Diametralnie zmieniając wartości wyznawane przez bolszewików, państwo wyrzuciło na śmiertnik utopijny ascetyzm lat dwudziestych i zachęcało do komunistycznej wersji burżuazyjnego życia. Nadchodzi Świetlana Przyszłość – słyszeli obywatele. Nagrody materialne, wręczane za nadzwyczajną wydajność pracy i lojalność polityczną, były tego namacalnym dowodem. Obietnice dobrobytu i obfitości wtargnęły do dyskursu publicznego w takiej skali, że lśniły niczym magiczne zaklęcia w zbiorowej psychie. Superwydajni stachanowcy pysznili się na stronicach „Prawdy” i „Izwieszii”, ileż to rubli zarabiają. Widnieli rozpromienieni na zdjęciach obok nowiutkich kompletów mebli i gramofonów – nagród za „radosną pracę socjalistyczną”. Cokolwiek kapitalizm może uczynić dla ludzi ciężkiego trudu – przekonywano – socjalizm może uczynić jeszcze lepiej – i szczęśliwiej.

Masy miewały nawet możliwość strzelania korkami od szampana. W chudych latach po paroksyzmach pierwszej pięciolatki Stalin zaczął myśleć o ożywieniu raczkującego przedrewolucyjnego przemysłu winiarskiego w Rosji, którego ośrodek znajdował się nad Morzem Czarnym niedaleko Krymu. „Sowietskoje Szampanskoje” stało się pienistym symbolem Stalinowej dyrektywy, mówiąc jego słowami, „ważną oznaką [...] dobrego życia”. Ninoczka Garbo mogła trajkotać o tym, że bąbelki zna tylko z kroniki filmowej, lecz już pod koniec lat trzydziestych radzieckie wino musujące, produkowane w kadziach pod ciśnieniem, zostało z entuzjazmem przyjęte przez przeciętnego sowieckiego człowieka. Można je było kupować w sklepach nawet prosto z beczki.

Trzecim, obok obfitości i dobrobytu, filarem nowego gmachu kulturowego Stalina był *kulturnost'* (kulturalność). Zachęcano więc sowieckich obywateli – spośród których wielu było wcześniej analfabetami – aby się ukulturalniali. Od manier przy stole po tango, od perfum do Puszkina, od abażurów z chwostami po *Jezioro łabędzie* – zajęcia i zasady wyklinane przez pierwszych bolszewików jako burżuazyjne skażenie teraz z zapałem akceptowano jako część nowego *homo sovieticus*. Jeśli jakiś członek nomenklatury (komunistycznej elity politycznej) pokazywał się na jakimś spotkaniu w zdobycznej jedwabnej piżamie i z tabliczką czekolady, świadczyło to jedynie o tym, że socjalizm jest modny. Abstynent Wiaczesław Mołotow, sowiecki premier, brał lekcje tanga. Jego wielkopańska żona Polina Żemczużyna dostarczała masom perfumy jako prezes kombinatu kosmetycznego. Komisariat Przemysłu Spożywczego stworzył i skodyfikował radziecki kanon kulinarny.

Rosyjski *annus horribilis* 1937, zakończony karnawałowymi uroczystościami w związku z grudniowymi wyborami, rozpoczął się pełnym rozmachu przyjęciem z *jołką* (choinką świerkową) dla dzieci na Kremlu w dzień Nowego Roku. Dieda Moroza, rosyjskiego odpowiednika Świętego Mikołaja, grał brzuchaty komik Michaił Garkawi. Świętowanie Nowego Roku oraz choinki, przez 10 lat zakazywane przez bolszewików jako przejaw religijnego ciemnogrodu, powróciło z politycznej zsyłki za aprobatą Wielkiego Wodza, a z inicjatywy niejakiego Pawła Postyszewa. Człowiek, któremu radzieckie dzieci mogły podziękować za nowy powód do radości zimą, był zarazem jednym z głównych sterowniczych głodu na Ukrainie, a sam został rok później rozstrzelany. Garkawi zaś, wciąż przebrany w długą, powłoczystą szatę Dieda Moroza i białą brodę, zjawił się w późniejszej części pierwszego dnia nowego roku na balu dla stachanowców, gdzie przybył też Stalin. „Bezwzględnie nakazuje się wszystkim pozostawienie smutku na zewnątrz” – żartobliwie głosił plakat w sali balowej. Garkawi strzelił korkiem trunku

„Sowietskoje Szampanskoje”. Tradycja ta przetrwała do dnia dzisiejszego, nawet jeśli rodzimą markę przyćmił „Dom Perignon”.

Kiedy Mama miała pięć lat, a Julia cztery, rodzina przeniosła się do Moskwy. Był rok 1939. Kraj świętował sześćdziesiąte urodziny Stalina, a Naum swój awans – przenosiny do „Stolicy Nowego Świata”, do kwatery głównej.

Mama wciąż miewała napady *toski*, jednak w Moskwie jej życie rzeczywiście nieco się polepszyło. Stało się – można rzec – nieco weselsze.

Po pierwsze, w Moskwie nie było ciemno. Z okna ich mieszkania na dziewiątym piętrze roztaczała się rozległa panorama krytych gontem dachów starego miasta. Był to nadal mieszkanie komunalne, dzielone z piskliwą, kluchowatą Dorą i jej mężem pantoflarzem. Były tam jednak nowe meble ze sklejki i gaz – gaz! – zamiast leningradzkiej *burżujki*, pieca węglowego, który zawsze wygasiał nad ranem, pozostawiając na ścianach warstwę szronu.

Najlepszy ze wszystkiego był jednak sam budynek. Wzniesiony rok wcześniej w modnym stalinowskim stylu imperialnym – potężny miszmasz art deco i neoklasycyzmu – przypominał organy czy może raczej pięciolinię, linie pionowe biegły w górę od imponującej loggii na parterze. Nawiązania do muzyki były nieprzypadkowe, podobnie jak nadzwyczajnie grube mury (prawdziwe dobrodziejstwo w epoce gumowych uszu). Dom wzniesiono bowiem jako spółdzielnię Związku Kompozytorów Sowieckich, a niewielką część mieszkań przeznaczono dla wojskowych.

Przechodzą mnie ciarki, ilekroć myślę o mojej pięcioletniej Mamie mieszkającej pośród George'ów Gershwinów i Irvingów Berlinów systemu socjalistycznego. To właśnie ich dziarskie, radosne marsze wciąż nucę pod prysznicem. Podobnie jak całe

pokolenia Rosjan, mam je we krwi – i taki zresztą był ich zamysł. „Pieśń masowa” stanowiła nieodzowne narzędzie urabiania nowej sowieckiej świadomości. Pobrzmiewał w niej romantyczno—heroiczny ton tamtej ery. Pieśń scalała jednostkę z kolektywem, towarzysza z Państwem, wnosiła ducha słonecznego, zwycięskiego optymizmu w każde duszne mieszkanie komunalne, sławiąc trud i wrażając w umysł ideologię. A wszystko to do chwytliwych melodii, które nuciło się, chcąc nie chcąc.

Mama nie podzielała zbiorowego zapału do pieśni masowej. Nie dało się jednak uciec przed żelaznym uściskiem Ninki, nowej najlepszej kumpelki z kamienicy. Ninka, córka żydowskiego symfonika i ormiańskiej pianistki, miała kruczoczarne brwi, a na opuszkach palców odciski od ćwiczeń na skrzypcach. Ustanowiła się maminą nauczycielką muzyki.

– „*Na wieki nas rozgrzewa... słoneczny Stalinowski blask!* No co jest, jeszcze nie nauczyłaś się słów? – strofowała ją. – *Rozum miast ramion stalowe skrzydła nam dał* – ciągnęła, ćwicząc kolejną popularną pieśń i krzywiąc się na fałsze Mamy, która usiłowała dotrzymać jej tempa –*i silnik ognisty miast serc*”.

– To ludzie mają jakieś części mechaniczne w ciele? – pytała Mama.

- To o sokołach Stalina!
- Co to są te sokoły Stalina?
- Nasi radzieccy lotnicy, ciemna maso!

Przy ładnej pogodzie Ninka prowadziła swoje lekcje na schodach ewakuacyjnych.

– Ooo... bracia Pokrassowie! – mdlała z wrażenia, wskazując na dwóch mężczyzn przechodzących w dole, jednego chudego, drugiego grubego i niskiego, obu z kędzierzawymi czuprynami, które na ich głowach wyglądały jak czapki. Jak to, to Mama nie

zna ich pieśni *Trzech czołgistów* z filmu *Traktorzyści*? Mama nie mogła przyznać się Nince, że tak naprawdę nie była jeszcze w prawdziwym kinie. W idealnej tonacji (miała naprawdę słuch absolutny) Ninka zanuciła kolejne „bardzo ważne” dzieło Pokrassów.

– *Ruchliwa! Potężna! Niezłomna! Ziemia ma! Moskwo ma. Tyś mą prawdziwą miłością!*

Pamiętam z dzieciństwa, że ilekroć w radiu puszczały tę pieśń, Mama zaraz je wyłączała. A puszczały ją w kółko.

Muzyczny terror Ninki był męczący, ale dzięki niemu Mama mogła śpiewać razem z innymi podczas pochodów, na które Naum gorliwie chadzał, ilekroć wracał do Moskwy ze swych tajemniczych, mgliście tłumaczonych wyjazdów.

A pochody? No cóż, były ogłuszające i przytłaczające. I jeszcze te malutkie dzieci, które siedząc u taty na barana, wykrzykiwały na widok Towarzysza Stalina: „Zobacz, papoczka, jakie okropne wąsy!”. Tatuś z przerażeniem w oczach zakrywał dzieciakowi usta wielką brudną dłonią. Naum jednak nigdy nie musiał kneblować Larysy ani Julii. Był nieustraszony i zabawny, z zawsze nieskazitelnymi kwadratowymi paznokciami, a ze swojego specjalnego miejsca podczas pochodów na placu Czerwonym miał uprzywilejowany widok na trybunę Przywództwa.

– Towarzyszu, czy jesteście sokołem Stalina? – pytała Mama cichutkim, grzecznutkim głosikiem, ilekroć jakiś lotnik, rozpoznany przez nią ze zdjęć w gazecie, podchodził, by uścisnąć dłoń Nauma.

I tak to się toczyło. Pierwszy Maja. Święto Konstytucji. Święto Rewolucji. Burzliwe wiwaty na cześć lotników i polarników. Obywatele maszerowali, a ich dzieci ssały lepiące rubinowoczerwone lizaki w kształcie kremlowskich gwiazd. W tym samym czasie, tuż za miastem, tylko w jeden pracowity

dzień w 1938 roku tajna policja NKWD zastrzeliła i wrzuciła do rowów 562 „wrogów ludu” na swym poligonie strzeleckim w Butowie. Podobnie ginęły tysiące ludzi. Niemiecki historyk Karl Schlögel tak podsumowuje atmosferę tamtych lat w opisie placu Czerwonego: „Wszystko dzieje się jednocześnie: pochody z konfetti i plebiscyt w sprawie zabijania, atmosfera ludowego święta i żądza zemsty, beztroski karnawał i orgie nienawiści. Plac Czerwony [...] jednocześnie miejscem wesołego miasteczka i szubienicy”.

Urodziłam się w Moskwie. Stolica z lat siedemdziesiątych, z czasów mojego dzieciństwa, wydawała mi się równie znajoma i krzepiąca jak para starych kapci. Dzięki antysowieckiemu zapałowi Mamy nigdy w życiu nie pomaszerowałam gromadnie w żadnym pochodzie i ani razu nie spojrzałam na wypacykowanego trupa Lenina w jego mauzoleum na placu Czerwonym.

Często jednak nie mogąc zasnąć w nocy, wyobrażam sobie Mamę jako małeńką mimowolną przodowniczkę chóru w mitologii Moskwy szczytowego okresu stalinizmu. Miasto jej dzieciństwa było pełne przybyszów – od pnącej się w górę nomenklatury w rodzaju Nauma po wywłaszczone ofiary kolektywizacji uciekające ze wsi. Na placach faraońskich budów nieustannie wrzała praca, ulice przemieniły się w dziesięciojezdniowe monstra, zabytkowe kościoły obrócono w ruinę, z gigantycznych dołów wyrastały socjalistyczne gmachy publiczne. *Ruchliwa! Potężna! Niezłomna!* Jak przytłaczające musiało się wydawać wyobcowanemu, smutnemu dziecku to „serce socjalistycznej ojczyzny”.

Nieraz wyobrażam sobie Mamę, jak ścisza rękę Lizy, gdy na schodach ruchomych znikają 40 metrów pod ziemią w zelektryfikowanej łunie nowego moskiewskiego metra przypominającego pałac. Co sobie Larysa myślała o strzelistych witrażach, o hektarach stali i kolorowego granitu, o marmurze

w ilościach przewyższających marmury wszystkich carów? Czy bolał ją kark od ciągłego zadzierania głowy i oglądania wzniosłych podziemnych kopuł stacji Majakowskaja, pokrytych mozaikami ukazującymi spadochroniarzy, gimnastyków i samoloty Armii Czerwonej wykonujące korkociągi na tle barokowo błękitnego nieba? Czy naprawdę tak bardzo przejmowały ją grozą te 82 naturalnej wielkości posągi z brązu, na pół przykucnięte pod rytmicznymi łukami stacji na placu Rewolucji? Czy rodziły w Mamie ten pełen oszołomienia przestrach, co w średniowiecznym dziecku katedra w Chartres?

Teraz, z perspektywy czasu, Mama, wieczna dysydentka, nie może się zdecydować co do metra – to rozpływa się nad nim, to znów mu wymyśla jako nikczemnej propagandzie.

Natomiast co do Wszechzwiązkowej Wystawy Rolniczej [dziś Ogólnorusyjskie Centrum Wystawowe] nie ma wątpliwości:

– We wrześniu 1939 roku ujrzałam raj na ziemi!

W rześki jesienny poranek, mijając bramę z monumentalnych łuków zwieńczoną triumfalistyczną rzeźbą dłuta Wiery Muchiny *Robotnik i kołchoźnica******¹, mała Larysa z rodziną weszła do edenu w północnej części Moskwy. Wkroczyli na szeroką aleję tańczących fontann, a idąc przed siebie, dotarli do dwudziestostopiometrowego posągu Stalina. W Pawilonie Buraka Cukrowego ogrodnicy stachanowcy opowiadali im o swoich osiągnięciach. Na wyłożonym marmurem dziedzińcu Pawilonu Uzbeckiego, wzniesionego na planie gwiazdy, smagłe kobiety o okrągłych twarzach i miriadach warkoczyków uciekających spod haftowanych czapeczek częstowały zieloną herbatą i pulchnymi bułkami. Uzbecy, Tadżycy, Tatarzy! Mama nigdy nie podejrzewała istnienia takiej feerii fizjonomii i strojów etnicznych.

Wystawa, rozciągająca się na blisko 240 hektarach i mająca ukazywać w pigułce chwałę sowieckiego imperium,

prezentowała egzotyczne republiki ZSRR oraz osiągnięcia praktycznie w każdej dziedzinie rolnictwa, od mleczarstwa po hodowlę królików. Pawilony poszczególnych republik bajecznie udekorowano w stylach „narodowych” – „narodowo w formie, socjalistycznie w treści”, wedle wytycznych Stalina, Ojca Wszystkich Narodów. W gmachu Armenii, wzniessionym z różowego wapienia, Mama podbiegła do gigantycznego akwarium, gdzie przemykał i myszkował górski pstrąg. W orientalnej budowli gruzińskiej razem z Julią zuchwale zerwały mandarynki z najniższej gałęzi w subtropikalnym ogrodzie, gdzie kwitły hebanowce i kołysały się palmy. Niebawem wszystko zaczęło się zacierać. Wzorcowe socjalistyczne jaja kurze. Różowe świnki nagradzane w konkursach. Wszystko piękniejsze i „realniejsze” niż życie. Na niedużych poletkach rósł idealny ryż, pszenica i jęczmień. Mama przypomniała sobie ulubioną piosenkę Ninki, koleżanki tyranki: „Urodziliśmy się, aby baśń zmienić w rzeczywistość”*****. Bardzo prawdziwa piosenka – myślała sobie Mama, ściągając językiem czekoladową polewę z loda na patyku, gdy zwiedzali minikołchoz, w którym nie zabrakło nawet domu kultury i oddziału porodowego.

Moja biedna Mama dysydentka. W chwilach szczeności do dziś przyznaje, że jej wyobrażenie miłości idealnej to spacer pod rękę wśród przepysznych ogrodów Pawilonu Gruzińskiego. Najbardziej jednak jej wyobraźnię pobudziło jedzenie. Twierdzi, że gdy zamyka oczy, wciąż czuje zapach piżmowych pasiastych melonów *adžui* w Pawilonie Uzbeckim, smak chrupiących czerwonych kazachskich jabłek, które dorównywały nieraz wielkością tym uzbeckim melonom – zasługa to dziadka Miczurina, cudownego radzieckiego hodowcy, który kierował się zasadą: „Nie możemy czekać na uprzejmości od przyrody, nasze zadanie to je jej zabrać”.

Wydawało się, jakby obok uniwersum pochodów, ryczących

głośników i odoru instytucji Mama odkryła inny świat. To odkrycie rozbudziło w niej fascynację jedzeniem, przez resztę życia dodającą jej animuszu.

– Dokończ rosół. Weź jeszcze kotleta – te polecenia Lizy brzmiały odtąd krzepiąco, pieszczotliwie. Szeptały Mamie do ucha o innym, znacznie intymniejszym szczęściu niż kolektywne ideały Towarzysza Stalina. A gdy jeszcze Naum zasiadał do stołu, życie wydawało się naprawdę wesołe. Kiedy był w domu, Liza sięgała z nadzwyczajną swobodą do skrzynki zawieszonej za oknem – lodówki ery Stalina – po ich nomenklaturowe paczki żywnościowe owinięte w niebieski papier.

Wyciągała różową mortadelę zwaną *doktorską*. Albo *sosiski*, ukochane parówki Mamy. Gotowane do jędrności, tryskały w ustach słonym sokiem, kiedy się je nadgryzało, a smakowały szczególnie dobrze z zielonym groszkiem z puszki. W sklepach zwykle nie było tych puszek i Mama jeździła po nie z Lizą do jakiejś nieoznaczonej hurtowni, strzeżonej przez ponurego człowieka. Naum był „przypisany” do takiej hurtowni, podobnie jak wiele moskiewskich grubych ryb. Natomiast *babuszka* obsługująca windę nie była nigdzie „przypisana”, Mama poznawała to po jej smętnym drugim śniadaniu – śmierdzących jajkach na twardo, które posypywała solą przechowywaną w zwitkach z „Prawdy”.

Gdy przychodzili goście, Liza szykowała rybę unoszącą się w połyskliwym auszpuku i kanapki okolone falbankami majonezu. Goście – mężczyźni w galowych mundurach marynarki i kobiety o jaskrawoczerwonych ustach – przynosili z sobą rześkie jesienne powietrze i cukierki o nazwach w rodzaju „Szczęśliwe Dzieciństwo” czy „Sowiecki Biegun Północny”. Wiekopomnym wydarzeniem był prezent w postaci serwisu obiadowego ze złotymi obwódkami wokół małekich różowych kwiatków, który zastąpił zdekompletowane i wyszczerbione talerze i filiżanki.

Ten sam wysoki rangą oficer, który przyniósł serwis, podarował też Lizie książkę.

Księga o smacznym i zdrowym jedzeniu (Kniga o ukusnoj i zdorowej piszcze) była ciężka i miała okładkę w smutnej, pietruszkowej zieleni. Otworzywszy ją, Mama aż wstrzymała oddech na widok skarbnicy fantastycznych zdjęć – stołów zastawionych srebrem i kryształami, półmisków wołowiny udekorowanych rozetkami z pomidorów, bombonierek z czekoladkami i kawałków przystrojonego tortu ustawionych pomiędzy wysmakowanym serwisiem herbacianym. Obrazy te rodziły w Mamie tę samą euforię, którą odczuwała na wystawie rolniczej. Wyczarowywały skatert' samobrankę, zaklęty obrus z rosyjskich baśni ludowych, który na pstryknięcie palcami nakrywał się jedzeniem. Mama znów przypomniała sobie piosenkę Ninki. Wydawało się, że Liza potrafi zmieniać baśnie w rzeczywistość. Powiedziała Mamie, że książka zawiera przepisy, a sfotografowane w niej serwisy obiadowe były identyczne jak ten nowy, który otrzymali.

Ryby. Soki. Konserwy. Jednego dnia Mama wprawiła Lizę w zdumienie, oznajmiając, że umie już czytać słowa z książki. A w samej książce oraz na naklejkach na produktach spożywczych w ich domu pojawiało się pewne egzotyczne słowo: *Mi-ko-jan*. Czyżby były to jakieś sosiski? A może kotlety – nie te domowe paszteciki bez polotu, lecz porządne, kupne, które podczas smażenia zmieniały się w fantastyczne tłuste chrupki. „*Mi-ko-jan*” – sylabizowała Mama, gdy Liza szykowała obiad dla gości i skrupulatnie porównywała nakrycie swojego stołu ze zdjęciami z książki w pietruszkowej okładce. W takich chwilach życie zdawało się Mamie dobre. Tak jest, całkowicie dobre.

Mikojan – imię: Anastas, patronimikum: Iwanowicz – drobnej postury bolszewik z Armenii, o haczykowatym nosie zwieszającym się nad trymerem do wąsów, wytworniejszy niż inny syn Kaukazu, Stalin. Chodził szybkim, zdecydowanym

krokiem i miał niepokojąco przenikliwy wzrok. Lecz petentów w swoim biurze częstował nieraz pomarańczami. Inni funkcjonariusze Kremla wiedzieli też, że Anastas Iwanowicz hoduje na swojej daczy egzotyczne – można by wręcz rzec, że ekstrawagantyczne – warzywo zwane szparagami. Anastas Mikojan był *narkomem* (komisarzem ludowym) sowieckiego przemysłu spożywczego. Jeśli pisarze byli „inżynierami ludzkich dusz” (według Towarzysza Stalina), to Mikojan był inżynierem radzieckiego podniebienia i przełyku.

Trzy lata wcześniej, zanim Mama straciła głowę na punkcie *sosisek*, produkowanych przez Mikojanowską Fabrykę Przetwórstwa Mięsnego, i zanim po raz pierwszy otworzyła zieloną książkę kucharską sponsorowaną przez Mikojana, pewnego dnia *narkom* spakował walizki, by udać się na urlop na Krym. Takie wakacje od dawna obiecywał swojej żonie Aszken i piątce synów. Wpadł na Kreml, żeby się pożegnać z wodzem i starymi towarzyszami, do których zwracał się w drugiej osobie liczby pojedynczej, zażyłą formą „ty”.

– A czemu byś nie miał pojechać zamiast tego do Ameryki? – zaproponował nieoczekiwanie Stalin. – Tam też urlop będzie przyjemny, poza tym trzeba przyjrzeć się ich przemysłowi spożywczemu. Co tam odkryjesz najlepszego, to wdrożymy tu – zapowiedział.

Mikojan ocenił nastrój Najwyższego Przywódcy i zrozumiał, że propozycja, choć spontaniczna, jest poważna. Mimo to zaoponował:

– Obiecałem Aszken wakacje.

Mikojan słynął z rodzinnego usposobienia.

Stalin był widać w dobrym humorze.

– Weź Aszken z sobą – zasugerował.

Któź wie, jak smakowałaby radziecka żywność, gdyby Stalin

nie zezwolił żonie *narkomapojechać* razem z mężem. Albo gdyby Mikojanowie poświęcili ten czas na kąpiele słoneczne nad Morzem Czarnym.

Inną zagadką jest to, że Ormianin zdołał tak długo utrzymywać się w łaskach Stalina, podczas gdy innych członków Politbiura „likwidowano” albo wywożono im żony do łagrów.

– Anastasa najwidoczniej bardziej interesują gatunki sera niż marksizm-leninizm – żartował Stalin bez przytyku w głosie.

Być może właśnie ta ucieczka w świat *sosisek, kołbasy* i skondensowanego mleka stanowiła tajemnicę przetrwania Mikojana. Ze Stalina zaś, niegdyś ascetycznego na modłę starych bolszewików, teraz robił się łakomczuch.

Mikojan wraz ze swą eskadrą żywnościovą dotarł do Nowego Jorku na pokładzie liniowca pasażerskiego SS „Normandie” w parny sierpniowy poranek 1936 roku. Wcześniej po drodze zajechali do Niemiec, gdzie wzbudzili wesołość z powodu identycznych nowych ubrań w „europejskim” stylu. W Ameryce sowiecka ekspedycja przez 2 miesiące pokonała 20 tysięcy kilometrów, podróżując samochodami i pociągami, od wybrzeża do wybrzeża. Zwiedzali zakłady przetwórstwa ryb, fabryki lodów i mrożonek owocowych. Przyglądali się produkcji majonezu, piwa i „dmuchanych nasion” (jak Mikojan określił popcorn). Analizowali opakowania z tekturny falistej i metalowe zakrętki słoików. Mleczarnie w Wisconsin, chicagowskie rzeźnie, kalifornijskie plantacje owoców – trudno to uznać za wakacje obiecane Aszken. Namiętnie jadali w samoobsługowych stołówkach. („Oto – zauważył Mikojan – format zrodzony z trzewi kapitalizmu, lecz najlepiej przystosowany do komunizmu”). Studiowali strategie aranżacji wystaw w Macy’s – modele dla wzorcowych domów towarowych, które miały się pojawić w Moskwie pod koniec owej dekady.

W Detroit Henry Ford powiedział Mikojanowi, żeby nie tracili czasu na produkcję mięsa. „Mięso jest niezdrowe” – twierdził. Radzieccy robotnicy powinni żywić się jarzynami, produktami sojowymi, owocami. Ormiański *narkom* uznał Forda za wyjątkową osobliwość.

Grzeczny, choć ponury Mikojan nie mógł się powstrzymać, by w swych dość nudnych wspomnieniach spisywanych pod koniec życia nie rozpływać się nad cudami amerykańskiej wyprawy. Oto wydajne, uprzemysłowione społeczeństwo, które stalinowska Rosja powinna naśladować. Co zrobiło na nim większe wrażenie – szybkie zamrażanie czy zmechanizowane dojenie krów (i co wy na to, stachanowskie dójki?)? A może soki owocowe? To prawda, w Rosji nie było wystarczająco dużo pomarańcz, Mikojan marzył jednak o uczynieniu soku pomidorowego narodowym napojem Sowietów. (Misja została wykonana: w moich szkolnych latach krztusiłam się tym czerwonym płynem). Nieuleczalnie praktyczny *narkom* nie przejawiał żadnych ideologicznych wyrzutów sumienia z powodu korzystania z technik i masowej standaryzacji rodem z kapitalistycznego Zachodu. Były to internacjonalistyczne sowieckie lata trzydzieste, gdy II wojna światowa nie zdążyła jeszcze rozniecić stalinowskiej ksenofobii. W odróżnieniu od nikczemnej i podstępnej Wielkiej Brytanii Stany Zjednoczone postrzegano jako na poły przyjaznego współzawodnika, nawet jeśli posiadanie krewnych w Ameryce wciąż mogło skończyć się dla człowieka gułagiem.

Być może największe wrażenie na Mikojańskim zrobił jednak ów Amerykanin siedzący przy ruszcie ze stali nierdzewnej i smażący *kotletę* o frapującym wyglądzie, którą następnie wkładał w rozkrojoną białą bułeczkę, garnirując wszystko piklami i kleksami czerwonego sosu. „Bardzo wygodne dla zapracowanego człowieka” – dumał *narkom*. Czyż radzieccy robotnicy nie zasługują na tak wydajną, tanią i sycącą

przekąskę podczas pochodów czy spacerów po parkach kultury i wypoczynku?

Mikojan wysupłał zatwierdzoną przez Stalina cenną twardą walutę na 22 amerykańskie ruszty do hamburgerów o wydajności 2 milionów zamówień dziennie. W wybranych dużych miastach ruszyła produkcja kotletów. Lecz wdała się II wojna światowa i w całym zamieszaniu bułeczka przepadła.

– Czyli to jest to? – zdumiałam się, czytając wspomnienia Mikojana.

– Czyli to jest to? – zdumiała się Mama, gdy pożyczylem jej książkę.

Nasza mityczna, rdzennie sowiecka kupna *kotleta*, ten budzący najgłębsze wzruszenie nostalgiczny cymes pięciu pokoleń dzieci? To ma być to? Podróbka hamburgera, który zapadział gdzieś swoją bułeczkę? Opowieść Mikojana o początkach radzieckich lodów jeszcze dotkliwiej zraniła resztki mojego żywnościovego patriotyzmu. *Morożennoje*, nasza duma narodowa? Twardy jak skała *płombir* ze swą kuszącą śmietankową rozetką, który lizałam w temperaturze minus 30 stopni? Lody na patyku z dziecięcych spacerów Mamy? Tak jest, to wszystko rezultat jankeskiej technologii importowanej przez Mikojana. Zmysłny Ormianin zapragnął nawet coca-coli, nie zdołał jednak wyszachrować receptury. Co się zaś tyczy *sosiseki kołbasy*, tych na wskroś sowieckich ikon żywnościovych, to... były to kiełbasy niemieckie, które – jak to ujął Mikojan – „zmieniły obywatelstwo”. To wszystko, co można rzec o naszych nacechowanych ideologicznie rodzimych magdalenkach.

Mikojan powrócił z Ameryki z całym transportem próbek, informacji oraz nowiutkiej garderoby dla siebie i żony. Długopisy z Myszką Miki, które przywiózł dla synów, z miejsca im skradziono w szkole dla dzieci członków Politbiura.

Jak na mizerną sytuację konsumentów w Rosji *narkom* zdołał wdrożyć zaskakującą dużą liczbę amerykańskich nowinek – od masowej produkcji lodów (wytwarzanych dotąd ręcznie) przez *kornfleksy* aż po koncepcję półproduktów spożywczych. Jedna z reklam prasowych w 1937 roku wzywała nawet Sowietów do używania „pikantnej przyprawy aromatycznej”, którą „ma w swoim kredensie każda amerykańska gospodyn”. Keczup! Stalin od czasu do czasu oponował. Rosyjskie zimy są długie – mówił – i nie ma potrzeby produkować domowych chłodziarek jak te z General Electric, których tak chce Mikojan. Co więcej, zakłady przemysłu ciężkiego są przeciążone produkcją na potrzeby obrony. Do zakończenia wojny Sowietom musiała więc wystarczyć skrzynka za oknem.

Stalin osobiście interesował się poczynaniami Mikojana. Wódz zresztą kierował swą uwagę ku wielu różnym sprawom. W przerwach między podpisywaniem wyroków bądź cenzurowaniem książek albo też oglądaniem filmu *Wołga, Wołga* Chorąży Komunizmu wyrażał opinie na temat ryb („Dlaczego nie sprzedajemy żywych ryb jak za dawnych czasów?”) i radzieckiego szampana. Jako miłośnik słodkich bąbelków chciał całkowicie zakazać produkcji szampanów wytrawnych, lecz Mikojan nie ustąpił. Mydło? A jakże. Mikojan wspomina, jak wraz ze swymi krwiożerczymi pachołkami, Mołotowem i Kaganowiczem, Stalin dotykał, wąchał i krytykował mydła, decydując, które ma iść do produkcji. „Nasz towarzysz Stalin ma niezmierzone pokłady mądrości” – entuzjazmował się Mikojan w sprawie mydła. Najwyraźniej obyczaje kąpielowe *homo sovieticus* stanowiły kwestię o wielkiej wadze narodowej.

Mikojan jako niereformowalny zwolennik mikrozarządzania osobiście kosztował każdego nowego produktu żywnościowego, zatwierdzał wszystkie receptury i projekty nalepek, akceptował

kary dla szkodników i sabotażystów. Sen z powiek spędzała mu Stalinowska dyrektywa o szczęściu, obfitości i wesołości. „Skoro życie się polepszyło – pisał w raporcie – musimy produkować więcej aromatycznych papierosów wysokiej jakości”. W przemówieniu głosił: „Czyż życie będzie wesołe, jeśli braknie nam piwa i napojów alkoholowych?”. Ówczesne pisma branżowe przemysłu spożywczego ukazują robotników rozgorączkowanych z radości i zapału. Zainspirowani Stalinowskim credo, wystawili nawet amatorską sztukę zatytułowaną *Obfitość*, w której występowały śpiewające kiełbasy. Jedna z towarzyszek grających kiełbasę wspomina, że w interpretacji roli korzystała z metody Stanisławskiego.

Albo wyobraźmy sobie coś takiego. Święto majowe. Pochód z Mikojanowskich Zakładów Przetwórstwa Mięsnego ciągnie w stronę placu Czerwonego, dzierżąc portret wąsatego Ormianina, wraz z odświętnie ubraną grupą dzieci, które niosą kwiaty i transparent z hasłem: „Dziękujemy wam, towarzyszu Stalin, za szczęśliwe dzieciństwo”. Obok powiewają chorągiewki z nadrukowanymi *sosiskami, kołbasą i boczkiem* – ucieleśnieniem sowieckiej wersji wędzonego dobra.

Człowiek przeciera oczy ze zdumienia groteskowością takich scen, dzierżących się w najkrwawszej dekadzie reżimu politycznego, w którym przez kolejne pół wieku obfitość miała pozostawać mitem. Dla nieprzypisanych w latach trzydziestych i później do żadnego sklepu dla uprzywilejowanych bolesną rzeczywistość stanowiły braki podstawowych produktów. A jednak starsze koleżanki Mamy wciąż żywo pamiętają przedwojenne czekoladki i szampana, kawior i wędzoną rybę w czarodziejski sposób materializujące się w sklepach przed świętami.

W 1937 roku Fabryka Czekolady „Czerwony Październik”, oczko w głowie Mikojana, wytwarzająca ponad 500 rodzajów słodczy, a jego zakłady mięsne blisko 150 rodzajów kiełbas. To

prawda, były one dostępne głównie we flagowych sklepach w większych miastach. (Moskwa, którą zamieszkiwało 2% ludności kraju, otrzymywała 40% krajowego przydziału mięsa). To prawda, często zaniedbywano zaopatrzenie w dobra podstawowe na korzyść luksusów, szampan, czekolady czy wędzony jesiotr pełniły rolę lśniących symboli politycznych, ugruntowujących złudzenie, że carskie zbytki są teraz dostępne dla mas. Jednak w swym parciu do budowania socjalistycznej kultury konsumenckiej – opartej, jak na ironię, na wzorcach zachodnich – i do demokratyzowania pewnych produktów spożywczych Mikojan obdarzał prostych ludzi chwilami szczęścia. Różowy plasterek *kołbasy* na kromce ciemnego chleba, lód na patyku podczas kiermaszu – w erze terroru te małe symbole miały egzystencjalny posmak.

Po śmierci Stalina w 1953 roku stracono Berię, szefa tajnej policji, a Mołotowa praktycznie wygnano na zsyłkę do Mongolii. Mikojan natomiast miał się świetnie. Jego umiejętność sprzymierzania się ze zwycięzcami dorównywała niebywałytem talentom menedżerskim. Opowiedział się za Stalinem przeciwko Trockiemu, potem wyrzekł się dziedzictwa Stalina i za Chruszczowa objął zaszczytne stanowisko przewodniczącego Rady Najwyższej. Głosował za usunięciem Chruszczowa i zachował łaski Breżniewa, taktownie przechodząc na emeryturę w 1965 roku. Trzynaście lat później umarł ze starości.

Jego karierę podsumowano w pewnym powiedzonku: „*Ot Iljicza do Iljicza* [Lenin i Breżniew mieli takie samo patronimikum] *biez infarkta* [zawału] i *paralicza* [paralizu]”.

Jeszcze większą żywotnością wykazały się jego *kołbasa* i *sosiski*. Podobnie jak Mama, jako mała dziewczynka byłam przekonana, że „Mikojan” to po prostu nazwa kotleta. W naszych wyobrażeniach był on czymś na kształt „Czerwonej Cioci Jemimy” czy „Kuchmistrza Boyardee”*****. Zakłady mięsne Mikojana nadal działają. Dziś

produkują prawdziwe hamburgery.

W latach siedemdziesiątych, gdy radzieccy Żydzi zaczęli emigrować, wielu z nich pakowało do swych nędznych dwudziestokilowych walizek ciężką książkę kucharską Mikojana. *Kniga o wкусној и здоровој пісцце* (*Księga o smacznym i zdrowym jedzeniu*) stała się totalitarnym odpowiednikiem *Joy of Cooking******, biblią kuchenną, tak kochaną, że ludzie taszczyli ją z sobą nawet podczas ucieczki z tego państwa, które ją wydało. Książka nie zachowała jednak długo swej pierwotnej pietruszkowej okładki. Z każdym nowym reżimem i z każdym nowym wydaniem jej barwy – fizyczne i polityczne – zmieniały się. Ukazało się dotąd 12 wydań, wydrukowano ponad 8 milionów egzemplarzy i nadal są one w sprzedaży. Najbardziej kultowa i najbardziej upolityczniona jest edycja z 1952 roku, do której wrócę później.

Mama jednak nie zabrała swojego egzemplarza. Sfatygowany tom, który nauczył ją i jej matkę dobrego socjalistycznego prowadzenia domu, był już wówczas dla niej ideologicznie radioaktywny. Gardziła nawet krzykliwymi zdjęciami, na których widniały logotypy sowieckiego przemysłu spożywczego mające uświadomić czytelnikowi, że to państwo jest jego jedynym żywicielem.

Jesienią 2010 roku sprezentowałam Mamie pierwsze wydanie arcydzieła Mikojana z 1939 roku. Wzdrygnęła się. W końcu jednak wpadła po uszy, i to na dobre.

– Bezbartwne, nudne przepisy – sarkała, gotując jak szalona na podstawie książki i aranżując swój stół na Queensie zgodnie ze zdjęciami, podobnie jak 70 lat wcześniej robiła jej matka w Moskwie. Rysowała szprycą majonezowe obwódki na „stalinowsko barokowych” sałatkach z krabów. Wycinała różyczki z pomidorów, zalewała ryby auszpikiem, formowała kotlety z mięsa, marchwi, kapusty i buraków. Co wieczór wydzwaniała do przyjaciółek i wyrzekała na przedmowę do

książki, na jej podniosłe inwokacje o „wielowiekowym marzeniu ludzkości, aby zbudować społeczeństwo komunistyczne [...] o obfitym, szczęśliwym i radosnym życiu”.

– Nie odczuwam żadnej nostalгii – oponowała. – Po prostu lubię stare książki kucharskie, a ta to, ho-ho, prawdziwy antyk!

Potem dodawała:

– Aniuta, jak to się nazywa ten syndrom, kiedy ofiara zakochuje się w oprawcy?

I jeszcze:

– To tyś mnie w to wciągnęła!

A na koniec:

– Wielkie mi rzeczy, lubię *wszelkie* jedzenie.

Nigdy nie przyznała się do sentymentu.

W pewien wietrzny niedzielny wieczór wiekowe znajome mamy schodzą się do niej na obiad w stylu lat trzydziestych, przy stole nakrytym dekoracyjnymi kryształowymi misami oraz butelkami obrzydliwie słodkiego trunku „Sowietskoje Szampanskoje”.

Z początku panie wspominają swe stalinowskie dzieciństwo z ostrożnym dystansem osób, które już dawno temu zamknęły drzwi za przeszłością. Lecz z każdym nowym toastem na wierzch wydostają się wymieszane z sobą okruchy okropności i szczęścia. Panie rozmawiają o okresie przejmującej grozą ciszy, o chorobliwym bezwładzie rodzin nowo aresztowanych. A jednocześnie wspominają zgiełk.

– Życie w latach trzydziestych było jak życie w gigantycznej kuźni – mówi Inna. – To ciągłe bębnenie i pieśni, te uliczne głośniki, radio ryczy zza każdych drzwi.

– To była uczta podczas dżumy – odzywa się inna znajoma, Lena, przywołując tytuł sztuki Puszkina. – Człowiek cieszył się z

każdego kolejnego dnia, w którym go nie aresztowano. Cieszył się po prostu z tego, że może czuć zapach mandarynek w domu!

– Mój ojciec zamordował Kirowa – oznajmia czystym, dźwięcznym głosem Musia, osiemdziesięcioparoletnia była leningradka. – Byłam o tym przekonana jako dziecko. Po cóż innego ojciec i stryj wymienialiby się po cichu karteczkami przy obiedzie?

Inna jest ciekawa, czy Musia nie myślała o tym, żeby na niego donieść. Musia energicznie kręci głową.

– My, leningradczycy, nie cierpieliśmy Stalina – odpowiada. – Myśmymy wiedzieli, zanim ktokolwiek w kraju się zorientował.

Kiedy aresztowano stryja Musi, pojawiły się mężczyźni w długich płaszczach i skonfiskowali rodzinne meble. Jakiś czas później Musia rozpoznała krzesła i pomocnik w jakimś sklepie ze starzyzną. Podskoczyła z radości i zaczęła głaskać niebieską pluszową tapicerkę i tulić się do niej. Wtedy matka siłą wyciągnęła ją stamtąd.

– W tamtym momencie straciłam swoją niewinność – mówi Musia.

– A ja trwałam w błędnej niewinności, nie wiedziałam o niczym aż do śmierci Stalina – przyznaje Katia, żywotna tłumaczka pod dziewięćdziesiątkę, która wciąż pali i klifie jak szewc. Katia – „prawdziwe sowieckie dziecko” – dorastała na ukraińskiej prowincji. Dla niej szczęście oznaczało czystą, ciepłą woń w domu, gdy mama prasowała plisy na jej paradnych spódnicach. I śpiewanie razem z tłumem.

– Ja też nic nie wiedziałam o zbrodniach Stalina – wtrąca cichutko Inna, nerwowo głasząc swój idealny koczek. – Ale nienawidziłam go za to, że odebrał mi matkę.

Chodzi o to, że jej fanatyczna matka poświęcała każde swoje tchnienie partii.

– W dniu, gdy zauważyła moje istnienie, przytuliła mnie i obiecała zacerować skarpetki, kładłam się spać jako najszczęśliwsze dziecko na tej ziemi – mówi Inna.

W końcu jednak matka ich nie zacerowała. A gdy została zmuszona do oddania legitymacji partyjnej z powodu emigracji Inny, „wyła jak zwierzę”.

Panie kończą szampana i mamine trufle w radzieckim stylu, szykują się do wyjścia.

– Żyjąc za Stalina – zauważa Inna już w drzwiach – cenzurowaliśmy własne myśli, przerażeni, gdy cokolwiek złego pojawiło się w naszej głowie. A gdy umarł, dalej się cenzurowaliśmy, wyplenialiśmy z naszego dzieciństwa wszelkie ślady szczerości.

Wszystkie kiwają głowami.

Jesienne chłody w 1939 roku położyły kres maminym lekcjom muzyki na schodach ewakuacyjnych. Obydwie – Mama i Ninka – znalazły sobie inne zajęcie: pomaganie starszym dzieciom z kamienicy w polowaniu na szpiegów. Wszystkie dzieci w paranoicznej Rosji bawiły się w ściganie szpiegów. Podejrzany mógł być każdy. Windziarka na przykład z jej osobliwym pojedynczym metalowym guzikiem przy płaszczu. Towarzysze noszący okulary albo kapelusze fedora zamiast proletariackich czapek.

Wśród krętych zaułków, przez mroczne *podwórotni* (bramy), po ciche, ukryte podwórza Mama i jej brygada polowali na potencjalnych nikczemnych zdrajców *Rodiny* (Ojczyzny). Mama lubiła *podwórotni*, pachniały – wcale nie odstręczająco – moczem i gnijącymi jesiennymi liśćmi. Pod jedną z nich stała *babuszka* w sfatygowanym berecie, chciała sprzedać starą lalkę. Życzyła sobie całe 40 rubli. Lalka ta, w odróżnieniu od zwykle łysych i szeroko uśmiechniętych radzieckich lalek-dzidziusiów, miała lniane włosy, postrzępioną aksamitną

sukienkę i melancholijne oczy wprost z jakiejś tragicznej baśni Hansa Christiana Andersena. Pod koniec listopada Naum dał za wygraną, a Mama w domu wdychała zbutwiałą tajemnicę lalki. Nazajutrz rano Naum wyjechał w delegację.

Wraz z grudniem nadeszły opady miękkich płatków śniegu, żywiczny aromat świerkowych choinek i inwazja grubiańskich przyjezdnych w sklepach. Uroczystości noworoczne były dla Sowietów wciąż nowinką. Niektórzy po prostu obwieszali swoje drzewka orzechami włoskimi zawiniętymi w folię, a Liza zatknęła na wierzchołku jaskrawą kremlowską gwiazdę i kupiła prezenty dla Larysy i Julii. Mama marzyła tylko o ubrankach dla swojej lalki. Nie nadchodziły żadne wieści od Nauma i twarz Lizy nabrąła posępnego, nieobecnego wyrazu. W milczeniu wystawała w kolejkach po zabawki – minitary do prania i miniaturowe wersje serwisów obiadowych przedstawionych w pietruszkowej książce kucharskiej Mikojana.

Mama codziennie zaglądała do książki kucharskiej, szukając dekoracji do domku dla lalek. Liza też codziennie przerzucała jej stronice, wyrabiając całe rondle masy na kotlety i całe blachy ciasta na korzyki – ciasteczka z białego sera. Co dla niej nietypowe, wypiekała wymyślne placki z suszonych moreli, nadstawiając uszu, gdy skrzypiała nadjeżdżająca winda. Zazwyczaj jednak była to Dora bądź kompozytorzy z sąsiedniego mieszkania. Większość tych placków została zjedzona przez Ninkę i dzieci Pokrassów – ich beztroskie mlaskanie przepełniało serce Mamy *toską*.

Na Sylwestra Liza udrapowała na stole nowiutki obrus, ciemnoczerwony jak kurtyna w teatrze i aksamitny jak pyszczek pluszowego misia. Naum nie pojawił się w domu, aby go podziwiać. Szampan „Sowietskoje” stał nienapoczęty, gdy nad kremlowskim zegarem rozbłyskały sztuczne ognie.

– *Niczego, może niczego* (To nic, może to nic takiego).

Sąsiadka Dora ostatnio często szeptała Lizie te słowa, Mama tymczasem chowała się pod stołem i żuła frędzle obrusa.

– Niczego, niczego – szeptała lalce Mama, zlizując łzy z twarzy. Oczy lalki mówiły, że wszystko rozumie: robaka rozpaczy u Mamy w żołądku, tajemnicę nieobecności ojca, niepokojące przeczucie, że rozmijają się ze Świetlaną Przyszłością. Głaszcząc i zaplatając lniane lalczyne włosy, Mama rozpaczliwie pragnęła choćby swej niemej przyjaciółce zapewnić życie szczęśliwe, obfite, radosne. Doznała olśnienia. Gdy Lizy nie było w zasięgu wzroku, sięgnęła po nożyczki. Pierwszy wycięty kawałek obrusa nie pasował, cięła więc dalej – na obrus dla lalki, na kapę na jej łóżeczko. Gdy skończyła, dom lalki był udrapowany w czerwony plusz, a złotymi frędzlami wyłożyła jego podłogę.

Widząc dzieło Mamy, Liza cisnęła w nią ścierką do naczyń, ale bez zwykłego wigoru. Owego dnia i w kolejne dni nie przestawała szukać klucza do biurka Nauma. Próbowała się zdecydować, czy właśnie teraz nadszedł czas, aby przeczytać Larysie i Julii list, który ojciec napisał i zamknął w szufladzie. List, w którym prosił dzieci, aby kochały jego, kochały matkę i kochały swą *Rodinę* bez względu na to, co mogłoby mu się nagle przydarzyć.

4

Lata czterdzieste: O kulach i o chlebie

W weekend 21 czerwca 1941 roku, chcąc uczcić oficjalny początek lata, Liza przerzuciła się nareszcie z nijakiego gorącego zimowego barszczu na jego chłodną letnią wersję. Pikantnie słodka zupa żyła chrupkością i witalnością pierwszych w tym sezonie ogórków i rzodkiewek. Po krótkim okresie chłodów w sobotę pogoda zrobiła się wręcz urzekająco piękna. Słońce rozświetlało czerwone jak szminka tulipany i szykowne białe lilie na rabatach kwiatowych na placu Puszkina, petunie

wypełniały swąwonią Bulwornoje Kolco. Obok par obejmujących się na nabrzeżu rzeki Moskwy sunęły dziewczęta w odświętnych sukienkach na zakończenie roku szkolnego. Wakacyjne plany, ukradkowe pocałunki, niebiesko-białe puszkimikojanowskiego mleka skondensowanego spakowanego na wyjazd na daczę. Nawet *babuszki* handlujące w parkach musującą wodą z sokiem wiśniowym dziwnym trafem wyglądały o wiele młodziej. Szczęście unoszące się w powietrzu było prawie namacalne, poruszające. A przynajmniej tak wydawało się mojej Mamie na sobotnim spacerze z Julią i z ojcem.

Naum już wrócił, przynajmniej na krótki czas. Od czasu jego niepokojącego zniknięcia w 1939 roku, wtedy gdy Liza bała się, że go aresztowano lub że zginął, wyjeżdżała na coraz dłużej i coraz częściej. Pewnego dnia Liza przysiadła na wąskim łóżeczku, na którym Mama spała razem z Julią, i wyjaśniła im, na czym polega praca papy.

- Sowiecki szpieg? – pisnęła z zachwytem Mama.
- *Niet, niet! Rasziedczik* (pracownik wywiadu).

To również brzmiało ekscytująco. Aby chronić tajemnice taty przed wrogami ludu, Mama i Julia zabrali się za ukradkowe zjadanie jego papierów. Darły je w drobne kawałeczki, namaczały w mleku i z poświęceniem przeżuwały, garść za garścią. Czuły się jak bohaterki – dopóki Naum nie wpadł w szał, gdy połknęły jego dokumenty ze *sbierkassy* (kasy oszczędnościowej).

Dziewczynki nauczyły się łączyć z jego wyjazdami nazwy obcych krajów, dowiadywały się, skąd pochodzą ich prezenty. Wojna rosyjsko-fińska owej zimy 1940 roku – beznadziejna krwawa łaźnia, z której Rosjanie wracali do domu straszliwie okaleczeni, lecz jako zdobywcy strategicznego odcinka lodowatego jeziora Ładoga – przyniosła Larysie i Julii odświętową blaszaną puszkę fińskich ciasteczek maślanych. Jaskrawożółte

szaliczki z wykwintnej cieniutkiej bawełny były ich trofeum z szpetnej sowieckiej okupacji Estonii w lipcu 1940 roku. Z misji wywiadowczych Nauma w Sztokholmie pochodziły błękitne pelisy z futerkowym oblamowaniem. Skandynawia i państwa nadbałtyckie były domeną Nauma. O szpetocie nigdy nie wspominał.

Mieszkali teraz w szóstkę w dwóch komunalnych pokojach w budynku kompozytorów. Owdowiały ojciec Lizy przyjechał z Odessy i zamieszkał z nimi, chrapiąc w dużym pokoju, gdzie spały też dziewczynki. *Dieduszka* Jankiel był uczynny i zasmucony. Jako stary żydowski komunista i przodownik pracy (górnik dołowy jeszcze przed ery stachanowskiej) nienawidził Talmudu i brzydził się Biblią. Mama lubiła targać rozwichrzone kępki włosów na jego skroniach, gdy siedział w kuchni i w kółko przepisywał sobie do notesu *Krótki kurs dziejów Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej*. Znał na pamięć ten katechizm stalinowskiej partii.

Saszka, nowy braciszek dziewcząt, robił więcej hałasu. Liza urodziła go w maju, gdy Naum był akurat w Szwecji, i mało nie pękło jej serce, gdy na oddziale noworodkowym ujrzała pielęgniarkę niosącą ogromny bukiet różowych róż dla jakiejś innej, szczęśliwszej mamoczki.

– To dla was – oznajmiła pielęgniarka z uśmiechem. – Wyjrzyjcie przez okno.

Na dole stał Naum – machał do niej i śmiały się. Odkąd chłopiec się urodził, Naum nie opuszczał Moskwy.

Nocą 21 czerwca ani Saszka nie płakał, ani *dieduszka* nie chrapał. Mimo to Mama nie mogła zasnąć. Być może z ekscytacji – nazajutrz mieli oglądać słynnego szympansa Miki w Cyrku Moskwa. A może przez tę burzę z piorunami, która zakłóciła ciszę bezwietrznego nieba po dziesiątej wieczorem. Budząc się co chwila z niespokojnej drzemki, Mama

spostrzegła, że Naum przykucnął przy swym łotewskim radio VEF odbierającym fale krótkie. Błyskające zielone światełko i niersyjsko brzmiące głosy – *helou, bi bi si* – w końcu ukołysały Mamę do snu.

Naum trzymał ucho przy radio i zaciskał pięści. Przeklęte VEF! Gdyby nie śpiące dziewczynki, roztrzaskałby je na kawałki. Była niedziela, wcześnie rano. Zniekształcony przez zakłócenia cudzoziemski głos oznajmił to, o czym on i jego przełożeni ostrzegali już od miesięcy z rozpaczliwym niepokojem graniczącym z pewnością. Mała walizka Nauma stała spakowana już od tygodnia.

Dlaczego nie dzwonią z dowództwa? Dlaczego musi przykucać przy świszczącym, brzęczącym radio, żeby czegokolwiek się dowiedzieć, skoro materiał wywiadowczy jest tak przytłaczający, skoro nawet on sam od ponad roku składał raporty o wrogiej działalności przy sowiecko-bałtyckiej granicy? Najwyżsi rangą przedstawiciele resortu obrony osłupieli z przerażenia, słysząc komunikat agencji prasowej TASS z 14 czerwca, w którym możliwość ataku przez nazistowskie Niemcy – współsygnatariusza paktu o nieagresji – została zlekceważona jako nikczemne pogłoski. Lecz dyrektywa dla TASS przyszła od samego Woźdia. Część członków najwyższego dowództwa wyjechała więc na urlopy, inni chodzili do opery.

Tymczasem wczesnym wieczorem poprzedniego dnia w biurze Stalina na Kremlu zebrała się niewielka posępna grupa zdenerwowanych osób. Wśród obecnych znalazł się zwierzchnik Nauma, komisarz marynarki admirał Kuzniecow. Przyprowadził z sobą kapitana Michaiła Woroncowa, długoletniego znajomego dziadka (a kilka miesięcy później jego bezpośredniego przełożonego). Woroncow przybył właśnie z Berlina, gdzie był sowieckim attaché marynarki. Lada moment Hitler dokona agresji – uprzedzał. Stalin już od miesięcy słyszał tego rodzaju konkretne ostrzeżenia, odrzucał je jednak pogardliwie, wręcz z

furią. Co znamienne, spotkanie rozpoczęło się bez udziału jego nowego szefa sztabu wojskowego – generała Gieorgija Żukowa.

Wszystkie znaki na niebie i na ziemi wróżyły jednak zbyt złowrogo, by je zlekceważyć. Dyktator był wyraźnie wzburzony. General Żukow zadzwonił około ósmej wieczorem z Komisariatu Obrony: jakiś uciekinier z Niemiec przedarł się przez granicę i ostrzegł, że atak rozpocznie się o świcie. Po północy zadzwonił jeszcze inny zbieg z podobną wiadomością. Stalin niechętnie zezwolił na stan najwyższej gotowości, dodając zdumiewającą uwagę, aby nie reagować na niemieckie „prowokacje”. Wydał też rozkaz rozstrzelania ostatniego z uciekinierów jako dezinformatora.

W swojej daczy Wódz, zazwyczaj cierpiący na bezsenność, tej nocy najwyraźniej spał jak kłoda, Żukow musiał czekać na linii dobre trzy minuty, choć zadzwonił już po brzasku.

– Niemcy bombardują nasze miasta – oznajmił Żukow.

Po drugiej stronie słuchawki tylko ciężki oddech.

– Czy rozumiecie, co mówię? – spytał Żukow.

Po powrocie na Kreml Stalin zdawał się przygaszony, wręcz przybity, jego ospowata twarz zmizerniała. Nie chciał osobiście przemówić do narodu, zlecił to zadanie Mołotowowi, wówczas komisarzowi spraw zagranicznych, który strasznie się jąkał. Hitlerowski Plan Barbarossa, największa inwazja w dziejach wojen, w której uczestniczyły ponad 3 miliony żołnierzy niemieckich wspieranych przez siły Osi, obejmował obszar od Bałtyku po Morze Czarne, a zdołano go rozpocząć właściwie z zaskoczenia.

W świetle poranka Larysa spostrzegła, jak ojciec przyciąga matkę do siebie tak mocno, jak nigdy wcześniej nie widziała. Ten uścisk, rozpaczliwy, cielesny, uświadomił jej, że przedstawienie już się zaczęło, jeszcze zanim Naum zdążył wygłosić jednowyrazową zapowiedź: wojna. W południe wszyscy

razem stanęli wśród ogarniętych paniką tłumów pod czarnymi głośnikami w kształcie talerzy:

„Obywatele Związku Sowieckiego!... Dziś, o czwartej nad ranem... wojska niemieckie... zaatakowały nasz, ee, ee, kraj... pomimo... paktu o nieagresji...”.

Na całe szczęście towarzysz Mołotow nie jąkał się aż tak bardzo jak zwykle, jednak jego wydukana przemowa przypominała mowę urzędnika, który usiłuje przebrnąć przez zawiły dokument.

„Walczymy w sprawiedliwej sprawie. Wróg zostanie pobity” – zakończył najgorszy mówca świata.

– Co to znaczy „perfidny”? – pytały dzieci w całej Moskwie.

„Gdzie się podziewa Stalin?” – zastanawiali się ich rodzice, dołączając do dzikiego szturmu na sklepy, po sól i zapałki.

O drugiej po południu, pośród rozdzierającego serce zamętu pożegnań na Dworcu Leningradzkim, Mama nie mogła wyjść z podziwu nad szkownym szarym, cywilnym garniturem Nauma.

– Proszę, proszę, zdejmij ten kapelusz! – krzyczała Liza, biegając obok pociągu. – Wyglądasz w nim jak Żyd, Niemcy cię zabiją.

Ojciec Wszystkich Narodów przemówił nareszcie 3 lipca.

„Twarzysze! Obywatele! Bracia i siostry! Zwracam się do was, moi przyjaciele!”

Była to poruszająca mowa. Słowa o braciach i siostrach zapisały się w historii jako chyba jedyny przypadek, gdy Stalin zwrócił się do Rosjan w tak nieboski, zażyły sposób. Jeszcze mniej boski okazał się Stalin prywatnie, lecz o tym dowiedziano się dopiero wiele lat po jego śmierci.

„Lenin pozostawił nam wielkie dziedzictwo, a myśmy je przesrali” – palnął okropnie Woźd’kilka dni wcześniej, po

gorączkowym posiedzeniu Komisariatu Obrony, z którego to bezwzględny generał Żukow uciekł, szlochając.

No właśnie. Zanim Stalin odezwał się do narodu, Niemcy zdążyli już wedrzeć się na obszar około 600 kilometrów w głąb sowieckiego terytorium, i to na 3 frontach. Pod koniec października w niewoli niemieckiej znajdowały się już 3 miliony rosyjskich jeńców. Rozpędzona fala Wehrmachtu z nawałnicą panzerów, Luftwaffe nad głowami i tylną strażą w postaci SS miała się zatrzymać dopiero pod Stalingradem półtora roku później.

Mimo to po wyjeździe Nauma życie w Moskwie wydawało się Mamie nieomal normalne. Lecz nie było normalne. Ludzie przynosili do domu maski przypominające złowrogie słoniowe trąby. Kobiety o czerwonych, zapuchniętych oczach ściskały dlonie swych mężów i synów przez całą drogę do punktów poborowych. *Dieduszka* Jankiel przylepił do okien kawałki taśmy w kształcie litery X i zakrył je ciemnymi zasłonami, jak oficjalnie nakazano. Ryki syren ostrzegających przed nalotami obudziły w Mamie znajome uczucia niepokoju i *toski*, teraz jeszcze zaprawione adrenaliną. Strach dawał się jakoś łatwiej znosić niż *toska*. Zasypianie w zwykłym ubraniu i ze stojącym przy łóżku spakowanym plecakiem z wodą i jedzeniem na wypadek konieczności szaleńczego biegu do schronu było czymś przerażającym, ale i nieco ekscytującym.

W ciemnościach świeżo otynkowanego schronu pod budynkiem kompozytorów z każdym nowym nalotem ubywało znajomych twarzy. Głośniki wzywały moskwię do ewakuacji.

– Co za bzdury – mamrotała Liza. – Przecież powiedzieli, że wojna już się kończy. Po co wyjeżdżać?

Po jednej wyjątkowo długiej sierpniowej nocy spędzonej na betonowej posadzce schronu wrócili do domu i Liza odsunęła zasłony. Jej głuchy krzyk dźwięczy Mamie w uszach jeszcze

dziś, po 70 latach.

W szarej poświacie brzasku tak ukochana przez Mamę panorama krytych gontem moskiewskich dachów stała w płomieniach.

O siódmej rano zadzwonił telefon. Dziś wypływa statek ewakuacyjny. Ktoś z kwater głównej Nauma może zabrać ich za parę godzin.

Liza stała pośrodku pokoju, zdezorientowana. Wokół leżały porozrzucane bawełniane tobołki i poszewki, które Liza półprzytomnie wypełniała. Miała 152 centymetry wzrostu i w wieku 31 lat była chuda jak nastolatka, w dodatku wciąż osłabiona po porodzie, krucha, z natury niezdecydowana.

Z otępienia wyrwał ją dopiero baryton Siergieja, ich kierowcy.

– *Wsio gotowo?*

Rzut oka na liche tobołki i Siergiej zabrał się do szaleńczego pakowania.

– Palta zimowe. Gdzie one?

– Zimowe? Jakżeż to, do tego czasu będzie po wojnie!

– Czyje to ubrania?

– Męża, ale ich nie bierzcie, jemu niepotrzebne, on na froncie.

Siergiej zamaszyście otworzył *sunduk* w przedpokoju. Był to lekki niebieski kufer należący niegdyś do ciotki, która przed laty uciekła do Ameryki, gdzie prowadziła teraz fermę kurzą. Wciąż były tam jej rzeczy. Powietrze wypełniła woń naftaliny. Siergiej powyciągał stare halki cioci Klary i poupychał w niebieskim *sunduku* dandysowskie garnitury Nauma, jego olśniewająco białe koszule i krawaty, które nosił na misjach wywiadowczych. Stary kożuch *dieduszki*, puszysty szal

orenburski***** Lizy, walonki dziewczynek. Po zakończonym pakowaniu Siergiej wziął na ręce obie dziewczynki naraz, łaskocząc je swoim oddechem. Miał szeroki uśmiech i szczerze, słowiańskie niebieskie oczy. Miał również ostrą gruźlicę, którą zaraził dzieci.

Zjawił się administrator budynku, aby zgodnie z przepisami zaplombować mieszkanie. Gdy już zbliżali się do przystani statków, Liza wrzasnęła wniebogłosy – zapomnieli o małym Saszce! Siergiej co przedzej wrócił do domu, a oni czekali już na pokładzie, mdlejąc z niepokoju. Lecz Siergiej, uśmiechając się szeroko, powrócił razem z niemowlęciem.

„Ale czy ma szczęście?” – pytał podobno Napoleon przy awansowaniu generała.

Szczęście Nauma Sołomonowicza Frumkina, mojego dziadka, należało do rodzinnej tradycji. Pod tym względem był on napoleońskim prymusem.

– *Dieduszka* – zwykła błagać moja starsza kuzynka Masza, ciągnąc za trzy złote gwiazdki na naramienniku jego starego munduru – a powiedz, jak to zbombardowali twój samochód, a tobie nic się nie stało!

Prosiła go również o opowiadanie o tym, jak znalazł się w lodowatej wodzie, a przeżył dlatego, że uchwycił się... miny. Która „zapomniała” wybuchnąć!

Ulubiona opowieść wszystkich dotyczyła dnia, kiedy w końcu przyszli, aby go aresztować. Oczywiście Naum miał szczęście, bo akurat leżał chory w szpitalu. Aha, a było to 5 marca 1953 roku. Akurat w dzień śmierci Stalina, w początek końca represji.

Dziadek zaciągnął się do RKKA (czyli Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej) w 1921 roku, a w 1931 roku przeszedł do wywiadu. Przez dwa lata przed wojną wykonywał niebezpieczne zadanie rekrutowania i koordynacji agentów za granicą. Lecz ów

świat międzynarodowych intryg, a później nawet niebezpieczeństwa związane z walką na froncie zdawały się Naumowi jak spacer po parku w porównaniu z zagrożeniem wewnętrznym. W latach 1937–1941 czystki do cna wytrzebiły sowieckie dowództwo wojskowe, a szczególnie GRU, wywiad wojskowy. Kierownictwo GRU przypominało teraz zalane krwią drzwi obrotowe – w ciągu czterech lat poprzedzających napaść Hitlera stracono pięciu jego szefów. Efektem domina zabrano się za szefów wydziałów i oddziałów, nieomal całkowicie likwidując najwyższe kadry GRU.

W takim oto nieprzyjaznym, na pół sparaliżowanym otoczeniu sam Naum został w 1939 roku szefem sekcji, nadzorując szpiegów pracujących dla Komisariatu Marynarki w Moskwie. W jakimś sensie dziadek szczęścia był beneficjentem czystek, szybko pnąc się po szczeblach kariery i zasiadając za pustymi biurkami usuniętych. Lecz sam też stanowił cel, a widmo aresztowania zerkało zza każdego okna.

– Wykształciłem sobie oczy z tyłu głowy – mawiał emerytowany szpieg Naum każdemu, kto chciał słuchać.

Mając za sobą niemal ciągle ogon z NKWD, doprowadził do perfekcji umiejętność znikania w podwórzach i wskakiwania do jadących trolejbusów. Znał te wszystkie sztuczki, szkolenie szpiegów należało do jego zadań. Gdy dopadał go stres, dziadek fantazjował o tym, jak podchodzi do swych cieni i rzuca im prosto w twarz: „Albo mnie aresztujcie, albo przestańcie za mną chodzić!”.

Dziadek był człowiekiem próżnym i wysoko cenił własny urok. Tłumacząc swe nieprawdopodobne ocalenie, często wspominał o jednym towarzyszu z NKWD nazwiskiem Georgadze, oficerze odpowiadającym za podpisywanie nakazów aresztowania podpułkowników (według Nauma każda ranga wojskowa miała oddzielnego człowieka, który się tym zajmował). Podobno ów Georgadze miał się znaleźć podczas jakiegoś

zebrania pod urokiem dziadka, Naum wyobrażała sobie, że celowo przeoczył on albo „zapodział” jego nakaz aresztowania. Zazwyczaj jednak dziadek wzruszał ramionami. *Gospoża Udacza* – Pani Pomyślność – najwyraźniej też była pod jego urokiem.

Trzebienie wywiadu przez Stalina w przededniu wojny pozbawiło hierarchię Armii Czerwonej „oczu i uszu”, jak to określił ktoś dobrze zorientowany. A mimo to paradoks: 22 czerwca Woźd’ był dosłownie zalany napływającymi, niezmiernie szczegółowymi doniesieniami o zbliżającym się ataku niemieckim. Do głównych źródeł tych przestróg – zawsze wykpiwanych przez Stalina – należał ktoś, o kim Naum, sam zawodowy uwodziciel, mógł opowiadać godzinami.

Mam więc przyjemność przedstawić playboya Richarda Sorgego (kryptonim Ramzai): kobieciarza, pijaka i – mówiąc słowami Johna le Carré – „szpiega na zgubę szpiegów” (*the spy to end spies*). „Najgroźniejszy szpieg w historii” – ocenił Ian Fleming*****. „*Unwiderstehliche*” (urzekający) – zdumiewała się jedna z jego głównych ofiar, ambasador niemiecki w Japonii. Działając w Tokio od 1933 roku pod przykrywką nazistowskiego dziennikarza, Sorge, pół-Niemiec, pół-Rosjanin, wraz z kręgiem stwarzających fałszywe pozory współpracowników potajemnie przekazywał do centrali GRU w Moskwie najtajniejsze sekrety Japończyków i Niemców. (Larysa dobrze zapamiętała wizytę japońskich specjalistów, którzy gościli w ich mieszkaniu w 1939 i 1940 roku). Wprost trudno pojąć, dlaczego szczegółowe ostrzeżenia Sorgego na temat dokładnej daty rozpoczęcia Planu Barbarossa, dostarczane nieomal do ostatniej chwili, pobudzały Stalina tylko do drwin.

– Gówno – skwitował Woźd’ według pewnego komentatora – które się zaczepiło w jakichś tam fabryczkach i burdelach w Japonii.

Jeszcze mniej zrozumienia okazał Stalin innemu cennemu

ostrzeżeniu, przekazanemu niespełna tydzień przed rozpoczęciem hitlerowskiej inwazji przez szpurga o kryptonimie Starszyna, działającego w nazistowskim ministerstwie lotnictwa. Takie „źródło” – szydził Wielki Strateg Rewolucji, cudzysłowem akcentując swą pogardę – należałoby *odesłać do jego pieprzonej mamusi*.

Skąd taka bezrozumna ignorancja, taki jad? Odrzucenie przez Stalina informacji wywiadowczych wciąż rodzi niezliczone teorie wśród historyków, zarówno zachodnich, jak i rosyjskich. Godny odnotowania jest tutaj fakt, że Hitler zaaranżował kampanię dezinformacyjną tak, aby idealnie dostroić ją do podejrzeń Stalina względem kapitalistycznej Wielkiej Brytanii i Churchilla oraz do wiary Woźdia w to, że Niemcy na pewno nie zaatakują w trakcie konfliktu zbrojnego z Anglią – Stalin był przeświadczyły, że boją się wojny na dwa fronty. W maju 1941 roku Hitler napisał nawet bardzo miły w tonie osobisty list, aby rozwiać jego niepokój, dając „słowo jako zagraniczny przywódca”. Posunął się nawet do tego, by prosić Stalina o niereagowanie na ewentualne prowokacje przygraniczne ze strony niesfornych niemieckich generałów! Sołżenicyn zwrócił potem uwagę, że poczwara z Kremla, podejrzliwa wobec wszystkich, jakimś cudem zaufała potworowi z Berchtesgaden.

W swoich wspomnieniach generał Żukow zamieścił potem sensacyjne (i mało prawdopodobne) twierdzenie, że w Komisariacie Obrony nigdy nie widziano na oczy kluczowych biuletynów, które Stalin otrzymywał od sowieckich szpiegów z zagranicy. Jeśli idzie o Sorgego, który trzymał się z dala od Rosji w obawie przed czystkami, został on zdemaskowany i aresztowany w Tokio jesienią 1941 roku. Japończycy chcieli go wymienić na swoich ludzi, ale Stalin twierdził, że nigdy o nim nie słyszał. Sorge został powieszony w 1944 roku w święto rewolucji październikowej. Miał wyjątkowego pecha – zaufał Stalinowi.

Naum natomiast zawsze twierdził, że widział ostrzegawcze apele Sorgego. Nawet jednak one nie przygotowały go na to, co miało niebawem wydarzyć się na północy.

Rankiem 22 czerwca, kiedy to babcia machając na pożegnanie, biegła za jego pociągiem, Naum wyruszał do Tallinna. Poprzedniego lata, gdy Związek Radziecki zajął trzy kraje bałtyckie, dowództwo Floty Bałtyckiej przeniesiono właśnie do stolicy Estonii.

Bałtyckie porty, niczym statki uwięzione na mieliźnie, od razu zaczęły uginać się pod niemiecką nawałnicą. Już pod koniec sierpnia Niemcy zaczęli zamykać pierścień wokół Tallinna. Flocie Bałtyckiej, dowodzonej przez admirała Tributsa, dawnego przełożonego Nauma, nakazano – bezrozumnie i w ostatniej chwili – ewakuować się przez Zatokę Fińską do Kronsztadu pod Leningradem, jej dawnej tradycyjnej bazy. Na pokład zabrano jednostki Armii Czerwonej i ludność cywilną. Tallinn często określa się mianem sowieckiej Dunkierki. Różnica polega na tym, że była to kompletna katastrofa, jedna z najboleśniejszych klęsk w historii wojen. Naumowi, choć był szefem wywiadu floty, przydzielono zadanie nadzorowania zatapiania pod ostrzałem jakiegoś statku, aby zablokować port w Tallinnie, gdy nad głowami snuła się ponuro resztką sowieckich zasłon dymnych. Naum ewakuował się jako jeden z ostatnich. Około 200 rosyjskich jednostek pływających usiłowało przebyć tę, liczącą 150 mil morskich, ścieżkę śmierci pomiędzy atakującymi Niemcami z jednej a Finami z drugiej strony, przez gęsto zaminowane wody i bez osłony lotniczej. Nastąpiła istna apokalipsa. Fale odbijały huki wybuchów i krzyki Rosjan, rozpaczliwe odgłosy odśpiewywanej Międzynarodówki i rozbłyski samobójczych strzałów na tonących okrętach. Sowieci stracili ponad 60 statków, utonęło co najmniej 12 tysięcy osób. Naum dotarł do Kronsztadu zaledwie z czwórką innych ocalałych z misji zatapiania okrętu.

Jego szczęście i tym razem mu dopisało, przeżył jednak wstrząs.

Jesienią dzika furia Planu Barbarossa załomotała do wrót Leningradu. 8 września w ręce Niemców wpadł Szlisselburg, pobliskie miasto o strategicznym znaczeniu, położone nad jeziorem Ładoga. Drugie pod względem wielkości miasto Rosji było teraz całkowicie odcięte od strony lądu – bez transportu, bez zaopatrzenia, bez opału. Tak rozpoczęła się *blokada* – oblężenie Leningradu mające ciągnąć się osławione 900 dni. Stalin szalał. O Szlisselburgu dowiedział się dopiero z niemieckiego komunikatu, bo marszałek Klimient (Klim) Woroszyłow, nieudolny dowódca Leningradu, bał mu się o tym oznajmić. Woźd' wysłał na północ generała Żukowa wraz z surowym komunikatem dla Woroszyłowa: zostaje zwolniony, dowodzenie przejmuje Żukow. Klim ze stoickim spokojkiem pożegnał się z adiutantami, zakładając, że zostanie rozstrzelany. (Jakimś cudem nie został).

22 września Naum stawił się w leningradzkim biurze Żukowa w Smolnym. Generał zdawał się jeszcze bardziej obcesowy i szorstki niż zwykle, chodził po pokoju z rękami założonymi z tyłu. Gieorgij Konstantynowicz, zuchwały, brutalny weteran, był znany z tego, że nisko cenił życie swoich ludzi. Oczyszczał pola minowe, wysyłając na nie oddziały szтурmowe. Ten tani koszt rosyjskiej krwi stanowił paliwo sztuki wojennej przyszłego marszałka.

Żukow kazał Naumowi dowodzić wodno-lądową misją zwiadowczą w ramach kontratak na Szlisselburg i próby przerwania niemieckiego oblężenia. Naum szybko ocenił sytuację. Zero czasu na przygotowania. Okręty w opłakanym stanie. Liczba ludzi rażąco nieadekwatna. W skład jego sił miało wejść 125 kadetów ze szkoły morskiej, praktycznie dzieci. Dziadek dopiero co wygłaszał do nich przemowę. Przypomniał sobie jednego zapalonego chłopaka – ciemnowłosego, drobnego, o zamyślonych oczach, krzywych zębach i pryszczatej twarzy.

Wbrew instynktowi samozachowawczemu i nieomal wbrew sobie Naum oznajmił swoje obiekcje.

W oczach Żukowa zapłonęła wściekłość, znana każdemu podwładnemu generała, zacisnęły się buldoże szczęki.

– Za to zostaniecie straceni – wycedził cicho Żukow. – Znacie swoje rozkazy!

Rozkaz to rozkaz, nawet jeśli równoznaczny z samobójstwem.

Wskutek silnych wiatrów nad jeziorem Ładoga pierwszej nocy trzeba było przełożyć kontratak. W drugą noc wywróciły się dwa okręty i utonęły dwóch ludzi, operację przerwano. Jej dowódca został aresztowany i zesłany do gułagu. Trzeciej nocy Naum i jego zwiadowcy zdołali przedrzeć się na drugi brzeg, co jednak nie udało się trzonowi sił realizujących zadanie. Dziadek i jego ludzie musieli brnąć przez dwa kilometry w lodowej wodzie po pierś. Z powodu zamokniętego radia nie mogli przekazać wyników rekonesansu, przeprowadzili jednak jakieś działania sabotażowe i staczając po drodze walki, powrócili następnego wieczoru na linie sowieckie, straciwszy jednak czterech ludzi. Główna siła uderzeniowa otrzymała rozkaz podjęcia ponownej próby nazajutrz. Na mieliźnie została starta przez Niemców z powierzchni ziemi.

Lecz nie liczono strat rosyjskiej krwi, takiej lekcji niezmiennie udzielał Żukow, który miał najpierw zostać namaszczony na wielkiego architekta przyszłego sowieckiego zwycięstwa, a potem brutalnie zdegradowany przez Stalina (przed aresztowaniem uchronił go atak serca), następnie ponownie awansowany przez Chruszczowa, wreszcie znów zdegradowany.

Po powrocie z misji Naum leżał półprzytomny, charcząc i stękając. Zdawał sobie sprawę, że z powodu ostrego zapalenia płuc, jakiego nabawił się podczas 48 godzin w przemoczonym

ubraniu, może skończyć marnie w tym anonimowym szpitalnym łóżku. Mógł też zginąć w jakiejś innej „maszynce do mięsa” w rodzaju Szlisselburga – i byłaby to najlepsza śmierć, dzieci zapamiętałyby go jako bohatera. Najbardziej przerażało go widmo plutonu egzekucyjnego Żukowa. Rodziny „wrogów ludu” czekało zwykle wygnanie albo jeszcze gorzej – dzieci oddawano do sierocińców, piętnując ich ojców jako zdrajców Ojczyzny. Ta ostatnia możliwość spędzała Naumowi sen z powiek, parząc go jak rozpalone żelazo. Od kilku lat w wyobraźni nieomal codziennie pisywał listy do dzieci, niektóre napisał zresztą naprawdę i schował w szufladach pozamykanych na klucz. Tylko jeden z tych listów został otwarty w obecności Larysy, Julii i Saszki. Trzy zdania nagryzmolone w tym właśnie szpitalnym łóżku: „Lizo, naucz dzieci rzucać granaty. Dbaj, żeby pamiętały swego papę. On je bardzo kochał”.

Słowa te dotarły do Lizy pod koniec 1941 roku. Przebywała akurat na drugim piętrze walącego się magazynu, w pomieszczeniu liczącym 65 m², które wraz z dziećmi i *dieduszką* Jankielem dzielili jeszcze z sześcioma innymi rodzinami uchodźców z Moskwy. Wrześniowa podróż, w towarzystwie niemieckich messerschmittów krążących nisko nad ich statkiem, przywiodła ich tutaj, do względnie bezpiecznego Uljanowska, starego nadwożańskiego miasta***** z błotnistymi ulicami i drewnianymi okiennicami wycinanymi w ludowe wzory.

– Patrzcie, patrzcie, Żydzi! – przywitały ich jasnowłose dzieci na ulicy.

– Nie jesteśmy Żydami – wyprowadziła ich z błędu Mama. – Jesteśmy z Moskwy.

Teraz, choć minęło już kilka miesięcy, Liza nie zaczęła jeszcze nawet dobrze rozpakowywać *sunduka* cioci Klary. Niby po co? Lada dzień nadjejdzie pokój, była tego pewna. Dbała więc o ich prowizoryczną egzystencję, a *dieduszka* Jankiel kopał

rowy – nieraz też i kartofle – pod miastem. I palce, i kartofle stawały się coraz twardsze i czarniejsze, gdy ziemia zaczęła zamarzać. Cała piątka nie tylko spała, ale i praktycznie żyła na dwóch zsuniętych z sobą pasiastych materacach położonych na cementowej posadzce. Zza postrzępionej zasłony dzień i noc nie dawał im spokoju pewien dźwięk – przenikliwy pisk niemowlęcia niewiele starszego od Saszki. Chłopiec prawie wcale nie był karmiony, Katia, jego matka, niemal go nie dotykała, znikając na cały dzień i wracając po północy z nylonowym peniuarem i perfumami Coty. „*Prostitutka i handlara*” – mówili wszyscy w sali, na zmiany tuląc i kołysząc niepocieszone dziecko, które nie chciało jeść.

Jednego razu chłopczyk przestał płakać, lecz Katii nie było akurat w domu. Nazajutrz Larysa patrzyła w pełnym namaszczenia uniesieniu, jak wynoszą na zewnątrz nieduży, zawinięty w prześcieradło tłumoczek. Dokładnie wiedziała, co się stało, śmierć była jej nieustającą obsesją od dnia, gdy przeczytała o zamarzniętej dziewczynce z zapałkami w baśni Hansa Christiana Andersena.

Śmierć. Słyszać ją było w zawodzeniu Daszy, sąsiadki, gdy otworzyła trójkątny list z frontu, oficjalną wiadomość zwaną *pochoronką*, czyli zawiadomienie o pogrzebie. Śmierć przychodziła też codziennie przez radio, gdzie oznajmiała o niej Głos, w liczbach tak menstrualnych, że zbijały z tropu dziecko nieumiejące zliczyć nawet do 100.

„*Wnimajcie, goworit Moskwa!*” (Uwaga, mówi Moskwa) – od tego zawsze rozpoczynał Głos. Dramatyczny, dźwięczny baryton, onieśmielający i hipnotyzujący nie tylko moją Mamę, ale i cały kraj, należał do Jurija Lewitana, spikera w okularach, syna żydowskiego krawca. Czołowy radiowiec Rosji odczytywał większość audycji – w ciągu całej wojny około 60 tysięcy – które nadawano nie z Moskwy, lecz miast odległych o setki kilometrów, do których ewakuowano personel radia. Siła

oddziaływanie Lewitana była tak wielka, że Hitler uznał go za swego osobistego wroga. Za jego głowę zaofierowano zawrotną sumę 250 tysięcy reichsmarek.

Odczytując listy pisane przez żołnierzy do domu, Głos nabierał cieplejszego, intymniejszego brzmienia. Ogłaszaając upadek każdego kolejnego miasta w miarę posuwania się niemieckiej ofensywy, Głos zwalniał, stawał się cięższy, akcentując każdą sylabę: *Go-wo-rit Mosk-wa*.

Jeszcze bardziej przerażała Mamę pewna pieśń nadawana przez radio: *Powstań, nasz kraju szeroki. Powstań do bitwy śmiertelnej. Z mrocznymi siłami faszyzmu, z przeklętą hordą!******. Po mrożącym krew w żyłach początkowym staccato potężny chóralny refren rozbrzmiewał coraz natarczywiej i głośniej niczym przytaczająca fala śmiertelnego przerażenia. Akurat nadawali tę pieśń, gdy Liza otworzyła list od Nauma nad Bałtyku, dostarczony im osobiście przez rudoowłosego adiutanta Kolę.

„Lizo, naucz dzieci rzucać granaty...”

Była też paczka z rodzynkami i twardymi jak kamień suszonymi śliwkami – dla dzieci.

– U Nauma wszystko *dobrze* – zapewnił ich Kola. Lecz uderzający czas przeszły w treści listu i odwrócony wzrok Koli mówiły Lizie co innego.

I jeszcze coś. Z paczki wypadła jakaś karteczka. Kola podskoczył, podarł ją w drobny mak i wyrzucił do śmieci. Potem Liza spędziła pół nocy na składaniu tych kawałeczków w fotografię przedstawiającą brunetkę w czepku pielęgniarskim. *Mojemu drogiemu Naumowi* – brzmiał podpis. Tak oto moja filigranowa babcia, która panicznie bała się nawet myszy, zdecydowała się zostawić dzieci pod opieką ich *dieduszki* i podążyć na północ, hen na północ, ku oblężzonemu Leningradowi – by odzyskać męża.

Minawszy Moskwę, Liza lansowała już własną wersję nieprawdopodobnego szczęścia Nauma. Spóźniła się na wojskowy śmigłowiec i mogła tylko bezradnie patrzyć, jak odlatuje – i jak wybuchła w powietrzu, trafiona bombą. Teraz pociąg uwoził ją przez śnieżne pustkowia w kierunku Leningradu. Przez całą drogę trzymał ją za rękę jakiś generał, gorzko łykając. Przypominała mu jego córkę, która dopiero co zmarła z głodu podczas blokady. Pociąg dojechał do Kobony, miejscowości położonej na mroźnym południowo-wschodnim brzegu jeziora Ładoga, na odcinku, który wciąż znajdował się w rękach Rosjan. Zorganizowano tam prowizoryczny szpital dla uciekinierów z imperialnej stolicy Piotra Wielkiego, którą Hitler zamyślał zrównać z ziemią. Wychudzeni przybysze, głównie kobiety i dzieci, otrzymywali po pół litra ciepłej wody i łyżce płatków owsianych. Niektórzy zjadali i od razu umierali, ich niedożywione organizmy nie umiały poradzić sobie z jedzeniem. Mogę sobie tylko wyobrazić babcię stojącą w obliczu tego wszystkiego w typowym dla siebie ni to oszołomieniu, ni to niedowierzaniu. Później rzadko kiedy opowiadała o swoich uczuciach, skromnie przechodząc do kolektywnej narracji o tragedii Leningradu.

Jedyny szlak do oblężonego miasta i z powrotem wiódł przez 30 niebezpiecznych kilometrów po okrytym śniegiem i chłostanym wichrem zamarzniętym jeziorze na drugi jego brzeg – pod ogniem nieprzyjaciela. Była to legendarna *Doroga Żyzni*, trasa w akcie rozpaczy zaimprowizowana przez władze i meteorologów w drugim miesiącu blokady, gdy temperatura spadła i jezioro zamarzło. W tę pierwszą straszną zimę – najmroźniejszą od dekad – oraz przez dwie następne ciężarówki mozolnie brnęły po tej Drodze Życia, wioząc jedyne zaopatrzenie dla miasta, w którym racje żywieniowe zmniejszono już do 125 gramów namiastki chleba dziennie, a zabytkowe parkiety i cenne książki spalano jako opał przy trzydziestostopniowym mrozie. Oblężeni zjadali posłodzoną ziemię wokół magazynu z

cukrem zbombardowanego przez Niemców i oprawy książek z papier mache, a nawet galaretkę z rozmiękczonego kleju stolarskiego, by nie wspomnieć już o znacznie bardziej odrażających pokarmach. W samym tylko grudniu 1941 roku zmarło ponad 50 tysięcy osób.

Podczas dwóch dziennie przejazdów Drogą Życia wyczerpani kierowcy zwalczali senność, zawieszając metalowy garnek na suficie kabiny, który pobrzękiwał i obijał się o ich głowę. Nie ustawał grad niemieckich pocisków i bomb. Lód często się załamywał. Liza jechała ciężarówką usadowiona na worku z mąką. Na otwartej pace miotany wiatrem śnieg smagał jej twarz jak lodowata burza piaskowa. Babcia miała tylko specjalną przepustkę oraz oficjalny list z prośbą o pomoc. Dotarłszy wreszcie do oblężonego, zamarzniętego Leningradu, nie miała pojęcia, gdzie i jak szukać Nauma. W miejskiej kwaterze dowództwa floty zabiegani mężczyźni w mundurach tylko wzruszali ramionami, zbywając ją.

Naum Sołomowicz Frumkin? Szef bałtyckiego wywiadu? Może być wszędzie.

W końcu rozpacz w szarych oczach Lizy poruszyła któregoś sztabowca na tyle, by zasugerować jej udanie się do kwatery głównej Floty Bałtyckiej w Kronsztadzie, 30 kilometrów dalej, nad Zatoką Fińską. Tak się złożyło, że niebawem miał tam lecieć specjalny poduszkowiec marynarki przeznaczony do poruszania się po lodzie, a pilot chciał akurat zabrać jeszcze kogoś na pokład. Gdyby Liza się pośpieszyła...

Babcia zdążyła na poduszkowiec, zbyt jednak osłabiona i wstrząśnięta, żeby wykrzesąć choćby resztki nadziei. Ktoś zaprowadził ją do stołówki na pokładzie, żeby wyprosiła sobie tam coś do jedzenia. Przy stole siedziała grupa dowódców marynarki. A wśród nich kto? Oczywiście Naum. Uśmiechnięty (jakżeby inaczej?), pachnący wodą kolońską. I jak zwykle z tym swoim łutem szczęścia – przetrwał zapalenie płuc, uniknął

egzekucji z rozkazu Żukowa dzięki temu, że złożył raport o misji w Szlisselburgu Woroszyłowowi, wciąż zasiadającemu wśród sowieckiego Naczelnego Dowództwa, i tym sposobem ominął Żukowa. Zamiast stanąć przed plutonem egzekucyjnym, Naum dostał medal.

– WIDZIAŁAM WOJNĘ, WIDZIAŁAM ŚMIERĆ, WIDZIAŁAM KULE I KREW! – wykrzykiwała babcia jeszcze wiele lat później. – I przyjeżdżam, poobijana, wygłodzona, rozczochrana – a ten szczerzy do mnie te idiotyczne białe zęby!

– Lizoczka – oto słynne powitanie, jakie wygłosił wtedy dziadek: – A co cię tu sprowadza?

Historia o znalezieniu Nauma na poduszkowcu zawsze należała do tych opowieści wojennych, które babcia powtarzała do znudzenia. Kuzynka Masza i ja wolałyśmy tę, w której Liza wraca do rodziny w Uljanowsku i zastaje Larysę rozpaloną od szkarlatyny. Babcia co tydzień brnęła kilometrami przez śniegi, byle tylko zanieść Laroczce do szpitala naleśniki z łupin ziemniaczanych. Aż pewnego wieczora w samym środku śnieżyc zsunęła się z zaśnieżonego zbocza do rowu i nie mogła się stamtąd wydostać.

– Drzemałam na pół zamarznięta w tym rowie, oparta o jakieś zimne pnie drzew – opowiadała nam raz po raz – a rankiem ledwie zaświtało, zrozumiałam, że te „pnie drzew” to...

Amputowane ręce i nogi! Kuzynka Masza i ja piszczałyśmy unisono przy puencie.

Z miesięcznego pobytu w szpitalu Mama pamięta tylko te naleśniki. Zresztą w jej myślach jedzenie zdominowuje wszystkie inne wspomnienia z czasów wojny. Weźmy na przykład racje w ciągu jej pierwszego roku szkolnego w Uljanowsku. Drugie śniadanie było o 11.15 podczas dużej przerwy. Z brudnej cynkowanej blachy dzieciom wolno było wziąć po jednym *bubliku* i po jednej *poduszczce*. *Bublik*, czyli

nędzny, gumowaty obwarzanek posypany makiem. *Ipoduszczka*, czyli lukrowany cukierek wielkości paznokcia, zielony, niebieski bądź różowy, nadziewany dżemem. Wspólne ich zjadanie było jak rytuał, prawdziwy sakrament. Wkładano się cukierek pod język i siedziało tak, wstrzymując oddech, aż na dnie ust zebrała się kałużyka słodkiej śliny. Ostrożne manewrowanie wewnątrz ust dawało odczuć silniejszą słodycz i tę cudowną szorstkość ziarenka cukru na koniuszku języka. Oszołomiony z pożądania, przytulałeś *bublik* mocno do twarzy i przez chwilę wdychałeś jego zapach. Potem wypluwało się cukierek na dłoń i delikatnie nadgryzało się *bublik*. W osłodzonych cukierkiem ustach smakował jak najwspanialsze ciasto. Kęs *bublika*, polizanie *poduszczki*. Przyjemność ta musiała trwać przez całe 15 minut przerwy. Najtrudniejsze było odsuwanie jak najdalej tego zachwycającego momentu, gdy skorupka *poduszczki* nareszcie pęka i z jej wnętrza zaczyna wypływać dżem. Niektórzy, co bardziej stoiccy, koledzy z klasy zdobywali się nawet na wyplucie na pół zjedzonego cukiereczka i zaniesienie go młodszemu rodzeństwu. Mama się do nich nie zaliczała.

Mama ma nienaganne maniery, pod każdym względem jest jak dama. Do dzisiejszego dnia jednak na jedzenie rzuca się jak wygłodniały wilk, jak ocaleniec z wojennej pożogi, połykając zawartość swego talerza, zanim reszta osób przy stole zdąży wziąć do ręki widelec. Nieraz w wykwintnych restauracjach jest mi za nią wstyd – i potem wstydzę się własnego wstydu.

– Mamo, naprawdę, przecież wiadomo, że zdrowo jest starannie przeżuwać jedzenie – strofuję ją każdego tygodnia.

Zazwyczaj rzuca mi gniewne spojrzenie.

– Co ty tam wiesz – odparowuje.

Z jej opowieści mimo wszystko wiem, że ludność cywilna sprowadzała przetrwanie do jednego słowa: *kartoczki*.

Drukowano te kartki na żywność na jednym wielkim arkuszu papieru, miesięczny przydział kuponów z oficjalną pieczęcią oraz nazwiskiem i podpisem otrzymującego, zaopatrzony w surowe ostrzeżenie – NIE WYDAJE SIĘ DUPLIKATÓW – ponieważ korupcja i fałszerstwa kwitły w najlepsze. *Zgubiłeś kartoczki?* Radź sobie sam.

Jako siedmiolatka Mama była już kartoczkową weteranką. To ją wysyłano z nimi do sklepów, gdy *dieduszka* Jankiel kopał rowy, a Liza z Julią doglądały malutkiego Saszki. Najważniejszymi *kartoczkami* były te na chleb. Jednego ranka na długo przed otwarciem sklepu Larysa dołączyła do setek czerwononoszych ludzi o zapuchniętych oczach stojących pod drzwiami piekarni. Próbowała właśnie nie przełknąć śliny, by nie łyknąć za dużo zimnego powietrza, gdy przyjechała ciężarówka z chlebem i dwaj ludzie wwieźli do środka pachnące ciemne cegłówki z grubą skórką. Burkliwe kobiety za ladą, w zapaćkanych błękitnych fartuchach naciągniętych na bezkształtne watowane palta, odważyły każdą rację chleba z dokładnością co do miligrama. Tupały nogami, żeby się rozgrzać, a nosiły rękawiczki bez palców, żeby ułatwić sobie odrywanie właściwych kuponów.

Gdy zbliżała się jej kolej, Mama poczuła lekką panikę. Z powodu wyłączenia prądu w domu nie zdołała należycie posortować kartek. A był akurat pierwszy tego miesiąca. Wszystkie arkusze z kuponami – na zboże, cukier, chleb, mięso dla każdego członka rodziny – tkwiły złożone w kieszeni błękitnego płaszczu, który Naum przywiózł jej ze Szwecji. Teraz nawet ich nie mogła wyczuć palcami, palców zresztą też już nie czuła z zimna.

Dlaczego gdy już przyszła jej kolej, położyła wszystkie te arkusze na ladzie? Z drugiej strony jak inaczej miała przejrzeć wszystkie kartki, skoro ludzie za nią pchali się i pomstowali? Skąd ta kompletna, wszechogarniająca panika z powodu tej

inwazji ramion? Ramion, rąk, rękawiczek i rękawic, cuchnących pach palt, podekscytowanych oddechów. Palce roiły się na ladzie niczym macki – kościste, poczerniałe paluchy, pożółkłe palce z białymi, anemicznymi paznokciami, palce czerwone i spuchnięte. *Kartoczki* znikły z lady. Sprzedawczyni wykrzywiła wargi w uśmiechu i pogroziła palcem z ogryzionym paznokciem.

Stojąc przed piekarnią, Mama wyobrażała sobie to, co zawsze sobie wyobrażała, odkąd tylko pamięta wyobrażanie sobie czegokolwiek. Ujrzała mianowicie, jak Naum wraca do domu. Ubrany w szary cywilny garnitur, który miał na sobie wtedy na Dworcu Leningradzkim, na czapce Mama czuje woń jego lawendowej wody kolońskiej.

– Lizoczka, wróciłem! – woła Naum, wypatrując chudych, wymizerowanych sylwetek w głębi magazynu.

Wreszcie je spostrzega. Rozkłada ramiona i pędzi do nich. I co znajduje? Lizę, *dieduszkę* i *Saszkę* oraz *Larysę* i *Julię*, bladych i majestatycznie pięknych w identycznych, oblamowanych futerkiem pelisach. Milczący i nieruchomi na swym pasiastym materacu, jak niemowlę Katii. Martwi.

Śmierć – oto, co spotyka ludzi, którzy gubią kartki pierwszego dnia miesiąca. Śmierć *zgołodu*, z tych 30 długich dni bez kaszy, chleba i maciupeńkiej porcji mleka dla niemowlęcia. Czy Naum będzie zawodził tak jak ich sąsiadka Dasza po otwarciu zawiadomienia o pogrzebie? A może znajdzie sobie nową żonę, która nie będzie piszczeć i szaleć z histerii, jak z pewnością zrobi Liza, jeśli Larysa wróci do domu *bez chleba i bez kartek*.

Powrót do domu nie wchodził w rachubę. Mama poszła więc do jedynego miejsca w mieście, gdzie zawsze jaśniało światło elektryczne i gdzie w każdym pięknym pokoju unosiło się przytulne, wyrastające z dobrobytu poczucie szczęścia. Chadzała tam często, do owego drewnianego piętrowego

ludowego domu kawałek dalej za ich magazynem. Chadzała tam, aby uciec przed widokiem biednego *dieduszki* obierającego pełne wżerów kartofle i przed apokaliptycznym Głosem w radiu. Tego domu te sprawy nie dotyczyły. Gospodyn, Maria Aleksandrowna, nigdy nie krzyczała na swoje dzieci. Gdy wszyscy w salonie pili herbatę z samowara, ona grała na fortepianie. W domu było sześciоро dzieci, lecz oczkiem w głowie wszystkich był chłopiec imieniem Wołodia. Larysa lubiła oglądać jego zdjēcie z niemowlęctwa, ten otok blond loczków nad wysokim upartym czołem. Już jako uczeń Wołodia miał dumny, skupiony wyraz twarzy i zmysłne, bezpośrednie spojrzenie. Dostawał najlepsze stopnie w klasie. Nigdy nie kłamał rodzicom. Walczył o sprawiedliwość i prawdę. To właśnie w jego pokoiku na strychu, wyklejonym wzorzystą beżową tapetą, Mama często przesiadywała, marząc na jowie, usadowiona na drewnianym krześle pomiędzy małym i porządnym biurkiem a biblioteczka z tomami Puszkina, Turgieniewa i Gogola. Szczęśliwy ten Wołodia, może spać sam we własnym łóżku, nie jak Larysa i Julia. Miał na ścianie taką fajną mapę świata. Zielona lampa na jego biurku hipnotyzowała, tchnęła spokojem.

– *Diewoczka, wstawaj, czas iść – ktoś trzymał ją za ramię, lekko potrząsając.* – Muzeum Leninowskie zamykamy o piątej – dodał pracownik obiektu.

Już w domu Larysa siedziała obok Lizy, obejmując ją ramionami i wyczuwając pod gryzącą wełnianą sukienką matki ostre krawędzie łopatek. Siedziały tak długą chwilę. O utraconych kartoczkach Liza nie powiedziała nic. Nazbyt dobrze pamiętała, jak w latach dwudziestych sama zaprzepaściła swoje racje – jakiś brodaty olbrzym wyrwał jej z ręki bochenek chleba i na jej oczach pożarł całe ćwierć kilo.

Ratunek nadszedł jak na ironię od Katii, *prostitutki i handlary*.

– Liza, oj durna ty, przecież masz *sunduk*.

Odtąd co kilka dni Liza i Katia wyruszały na czarny rynek na przedmieściach Uljanowska, przehandlowując modne koszule, garnitury i krawaty Nauma, wyciągane z wnętrza niebieskiego kufra. Najlepszy garnitur wydały na worek kaszy jaglanej, którą jedli potem przez cały miesiąc. Jagły na śniadanie w postaci cienkiej, wodnistej zalewajki. Zupa jaglana na obiad, aromatyzowana głowami śledzi. Najlepsza była kasza jaglana zapiekana na kolację w żeliwnym rondlu w gliniianym rosyjskim piecu w magazynie. Rosyjscy ocaleńcy dzielili się na dwie kategorie: ubóstwiających kaszę jaglaną i niecierpiących jej. Wszyscy natomiast byli zgodni co do jednego. Jagły to życie.

Niemiecka inwazja nastąpiła w chwili, gdy przed stalinowskim Związkiem Radzieckim zaczęło majaczyć kolejne widmo kryzysu żywnościowego. Dwa lata kiepskich plonów wypadły w tym samym czasie, co wysiłek wojenny w 1940 roku podczas wojny zimowej z Finlandią oraz gigantyczne wydatki na obronę. Jeśli jednak Sowieci mieli mizerne zapasy zboża, to jeszcze mizerniej prezentowały się strategie radzenia sobie z wojennymi kryzysami zaopatrzenia.

Rzesza natomiast, owszem, miała strategię – *Hungerplan*, „plan głodowy”, dziecko korpulentnego smakosza Hermanna Göringa i Ministerstwa Żywności Rzeszy, być może najbardziej złowroga i cyniczna strategia w historii. „Nadwyżka rolna” z Ukrainy – którą naziści zamierzali zająć od razu – miała nakarmić żołnierzy Wehrmachtu oraz ludność cywilną Niemiec. Trzydzieści milionów Rosjan (jedna szósta ogółu ludności), głównie w miastach, miało zostać bez jedzenia. Mówiąc wprost – ludobójstwo dokonane za pomocą zaprogramowanego głodu.

Późną jesienią 1941 roku Hitler kontrolował już połowę radzieckich areałów uprawnych. Co jednak najistotniejsze, nie uzyskał błyskawicznego zwycięstwa, którego był tak pewny.

Pomimo szokujących początkowych strat i poważnych błędów siły sowieckie stawiły opór. Moskwa dygotała, krwawiła, ale nie dała za wygraną. Rosyjscy generałowie przegrupowali siły. Zamiast pękatych ukraińskich spichlerzy i ludzi gotowych do niewolniczej pracy posuwający się Wehrmacht zastawał zazwyczaj spalone plony i zdewastowany sprzęt rolny, zgodnie z przyjętą przez Stalina polityką spalonej ziemi. („Całe wartościowe mienie – w tym metale nieżelazne, zboże i paliwo, które nie mogą zostać wywiezione – trzeba bezwzględnie zniszczyć” – pouczał Wódz na początku lipca*****).

Nadeszła zima, brutalnie uwypuklając niedopracowane elementy niemieckiego planu. Licząc na góra trzy miesiące *blitzkriegu*, Rzesza nie zadbała o ciepłe ubrania dla ludzi na froncie. Wojna z Rosją ciągnęła się cztery długie lata, przez większą część czasu w dojmującym chłodzie.

Obywatele radzieccy otrzymali swoje pierwsze kartki żywieniowe w lipcu 1941 roku. Przeciętny przydział na *kartoczki*, choć symboliczny i niezbędny, w żaden sposób jednak nie pozwalał na przeżycie. Na osobę przypadało dziennie około pół kilo chleba oraz miesięcznie niespełna dwa kilo mięsa i niecałe półtora kilo mąki bądź zboża. Na porządku dziennym były produkty zastępcze – miód zamiast mięsa, zgniłe śledzie zamiast cukru czy masła. Zgodnie z hasłem „Wszystko dla Frontu, wszystko dla Ojczyzny” pierwszeństwo w zaopatrzeniu i transporcie kolejowym miała Armia Czerwona, która i tak często walczyła na skraju śmierci głodowej. Jak państwo Stalina zarządzało dostawami żywności dla ludności cywilnej? Poprzez czasowe dopuszczenie zasad zbliżonych do NEP-u. Ideologię gospodarczą na razie zawieszono, poluzowano centralizację, co oznaczało, że lokalne władze i mieszkańcy musieli sami zatroszczyć się o swój los. Szkoły i sierocińce, związki zawodowe i fabryki – każdy zakładał prowizoryczne ogródki. Nawet w miastach ludzie na wszelkie sposoby szukali

żywności, ucząc się jadać pączki brzóz, koniczynę, sosnowe igliwie i korę drzew. Na froncie chronicznie głodni żołnierze zjadali nie tylko padłe konie, ale też ich siodła i uprząż – wszystko, co skórzane, można było gotować przez wiele godzin, dodając trochę aromatycznych ziół dla zabicia odoru smoły.

– Ubrania Nauma i *sunduk* cioci Klary ocaliły nam życie! – zwykła powtarzać babcia Liza, z powagą kiwając głową nad niebieskim kufrem, który za mojego dzieciństwa wciąż stał w jej przedpokoju. To prawda. Rynki wszelakich odcieni, od białego (legalnego) do czarnego (nielegalnego), odgrywały kluczową rolę w codziennym przetrwaniu. W sytuacji, gdy ruble były praktycznie bezużyteczne, sama żywność – zwłaszcza chleb – stawała się walutą.

Dzienniki z okresu blokady Leningradu zawierają mrożące krew w żyłach szczegóły opisujące tę ekonomikę głodu. Uszanka (czapka z opuszczanymi nausznikami) = 115 gramów chleba. Kalosze męskie = 150 gramów chleba. Używany samowar = 1 kilogram chleba. Rodziny ukrywały zgony swoich bliskich, aby nadal korzystać z ich comiesięcznych *kartoczekna* chleb. Koszt pojedynczego grobu = 2,5 kilograma chleba plus 500 rubli.

Nigdzie głód nie był tak przerażający, tak skrajny jak w Leningradzie w ciągu tych 900 dni. Dla każdego jednak Rosjanina, który w ogóle poznał, co to skurcze z głodu, wojenny słowniczek żywnościowy wrył się w pamięć na zawsze.

Bałanda: Anorektyczna „zupa” z niczego, doprawiana czymkolwiek, od końskich kości po ogony śledzi. Zagęszczana pokruszonymi sucharami albo garścią kaszy jaglanej. Mianem tym określano także jedzenie w gułagach.

Duranda: Twarde ciastka z siemienia lnianego bądź z łusek innych ziaren pozostałych po wytlaczaniu oleju. W czasach pokoju pasza dla bydła.

Kombiżyr (dosłownie „kombinowany tłuszcz”): Uwodorniony olej, zwykle zjełczający i zielonkawy.

Chleb: Ciężkie bochenki, wewnątrz gliniaste. Pieczony z mąki jęczmiennej rozwałkowywanej z płatkami owsianymi bądź zdurandą, a nieraz i z trocinami.

Tuszonka (konserwa wieprzowa): Na początku 1942 roku w Rosji pojawiła się

nowa klasa artykułów żywnościovych. *Wtoroj front*(drugi front) – tak nazywano amerykańską żywność z programu Lend-Lease. Najbardziej pożądany i kultowym z jankeskich frykasów była tuszonka, puszkowana w tłuszczu w stanie Iowa dokładnie według rosyjskich wytycznych. Tuszonka z powodzeniem przetrwała wojnę. Jeszcze za mojego dzieciństwa była ukochanym i niezbędnym elementem ekwipunku wycieczkowego bądź wakacji spędzanych na daczy.

Szokoład.

Spośród wszystkich prezentów od Nauma, które zdołały do nich dotrzeć w tamtym okresie, jeden trafił Mamę prosto w serce i wprawił ją w stan rozgorączkowania. Nie tylko dlatego, że w rozdartej wojną Rosji dostała szokoład. Również nie tylko dlatego, że był on o wiele lepszy niż smakujący kredą produkt z amerykańskiego Lend-Lease. Nic z tych rzeczy. Chodziło o ciemnookiego młodzieńca na papierku od czekolady: z dorodnym nosem, młody, o stalowym wejrzeniu, z przepięknie zdobionym kołnierzykiem. Zadurzenie Mamy w herosie z czekolady było natychmiastowe i beznadziejne. Jego oszałamiająco orientalne imię współgrało z ognistą urodą. Mohammad Reza Pahlavi – szach Iranu, koronowany w 1941 roku, gdy jego ojciec został zmuszony do udania się na wygnanie przez okupantów – Związek Radziecki i Wielką Brytanię.

Ropa. To właśnie za sprawą ropy naftowej mali Frumkinowie dostawali czekolady z Pahlavim juniorem.

Drugie lato wojny nie było pomyślne dla Sowietów: sześć milionów żołnierzy poległych bądź w niewoli, większość Ukrainy pod okupacją, Leningrad słania się z powodu blokady, Moskwa nieugięta, lecz narażona na ataki. Gdy Niemcy parli na południowy wschód, Naum znów miał dostać przeniesienie, tym razem do Baku, gorącej, wietrznej i podejrzanej spokojnej stolicy sowieckiego Azerbejdżanu. Ta kaukaska republika o strategicznym znaczeniu, granicząca z Iranem, położona nad Morzem Kaspijskim, dostarczała większości rosyjskiej ropy. A właśnie ropy pożądał Hitler. Rozpoczynając w czerwcu 1942

roku na Kaukazie Operację Blau, planował do września zająć Baku. Zadufani generałowie sprezentowali mu oficie lukrowany tort z napisem KASPISCHES MEER (Morze Kaspijskie). Na archiwalnym materiale filmowym widać mile uśmiechniętego Hitlera, jak nakłada sobie kawałek tortu z napisem Baku. Lecz Luftwaffe zostawiła Baku w spokoju – tamtejsza rozległa infrastruktura wydobywcza musiała pozostać bez szwanku. Führer chciał zjeść swoje ciasto, a jednocześnie je zachować.

Tymczasem w Iranie, okupowanym, ale formalnie wciąż neutralnym, wrzało od międzynarodowych intryg. Teheran był naszpikowany niemieckimi agentami i szpiegami. Krążąc między Baku a irańską stolicą, Naum z powrotem wkroczył w znajomy świat sekretnych operacji. Jego praca była tak ściśle tajna, że nigdy nie wyjawił szczegółów nikomu z nas, wyjątki pochwalenie się, że osobiście poznał czarującego młodego szacha znanego z czekolady.

Z Baku Naum wyprawił Iwana Iwanycza, swojego adiutanta, do Uljanowska, aby sprowadził jego rodzinę na południe. Szarooki, muskularny Iwan wyglądał, jak przystało na elitarnego szpurga z GRU: czarny skórzany płaszcz z Lend-Lease, wysokie oficerki, pistolet oraz tajemnicza aktówka, której pilnował niczym pies ogrodnika. Podróż do Baku ciągnęła się koszmarne trzy tygodnie, a może nawet sześć, Mama nie pamięta. Większość tego czasu spędzili na biwakowaniu na stacjach podczas przerw w podróży wskutek oczekiwania na kolejne, beznadziejnie opóźnione, powolne jak żółw *tiepłuszki*, czyli wojenne wagony bydlęce, w których stłoczono osierocone dzieci i rannych żołnierzy z bandażami falującymi od rojów czarnych wszy. Jednego razu Iwan zdrzemnął się na dworcowej ławce i w tym czasie ktoś zwędził mu aktówkę. Mama patrzyła, jak heros z GRU ściga winowajcę i wali go w głowę kolbą pistoletu. Interweniowała milicja, aktówka otworzyła się nagle i

ku swemu zdumieniu Mama ujrzała, jak na chodnik wysypują się zegarki – wielkie toporne zegarki! Larysa była jeszcze mała, nie na tyle jednak mała, by nie zwęszyć w Iwanie czarnorynkowego handlarza, mimo że dziadek upierał się potem, że zegarki owe stanowiły „podstawowe narzędzie wywiadowcze”. (Któż to wie?) Ostatnim etapem podróży był statek wypływający z jakiegoś brudnego portu w Turkmenistanie, gdzie kobiety w chustkach na głowach sprzedawały pigwy, a mężczyźni o tureckich rysach dosiadali wielbładów. Płynęli po Morzu Kaspijskim podczas sztormu i przez kilka dni wszyscy wymiotowali.

Naum wyszedł im na spotkanie na nabrzeże w Baku z całym zapasem mandarynek. Miasto spowijała tłusta jak ropa nadkaspiska ciemność. Mama prawie nie widziała twarzy Nauma, lecz rozpłakała się, czując ogarniającą ją woń cytrusów. Rodzina znów była razem. Nadal mieli szczęście. W porównaniu z głodnym Uljanowskiem Baku było jak inna planeta – przepyszne, zjawiskowe orientalne widoki przypominające magiczne pawilony, które Larysa zwiedzała na wystawie rolniczej w Moskwie jeszcze przed wojną, w 1939 roku. Na bazарach mężczyźni z niesamowitymi wąsami, podobnymi nawet do wąsów Towarzysza Stalina, gwizdali na widok Lizy, gdy wymieniała kartki na chleb na pokryte kutnerem brzoskwinie o porcelanowym wyglądzie, sznury suszonych na słońcu fig oraz wiaderka azerskiego jogurtu, niezwykle cierpkiego. Było pływanie w zanieczyszczonym Morzu Kaspijskim, były usta i palce poplamione od wspinania się na tamtejsze morwy. Miejscowi dycznikiarze z Flotylli Kaspijskiej wydawali na pokładach niszczycieli i krążowników uczty z pilafami. Szczęście Mamy zakłócał tylko nieprzyjemny odór docierający z platform wiertniczych.

Raz na jakiś czas rodzina Nauma mogła nawet zakosztować – i to dosłownie – jego pracy wywiadowczej. Kilku z jego

„chłopców” wyciągało wielki stół na podwórze przy domu, w którym mieszkali razem w wąskim jak szafa pokoju, lecz za to z balkonem i widokiem. Na stole tym leżał jesiotr wielkości człowieka czy nawet małego wieloryba. Przykrywkę szpiegów Nauma nad Morzem Kaspijskim stanowiło bowiem rybołówstwo. Jesiotra rozkrawano i wybierano z jego trzewi połyskujący kawior. Potem przez całe tygodnie rodzina jadła jesiotra marynowanego, solonego, suszonego i mielonego w postaci kotletów. Do dzisiejszego dnia Mama nie może patrzyć na jesiotra i kawior, wciąż – jak twierdzi – zżerana wyrzutami sumienia, że gdy ona jadała takie delikatesy, reszta kraju głodowała. W ciągu całego półtora roku spędzonego nad Morzem Kaspijskim Mama nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że to wszystko iluzja. Była oszołomiona i onieśmielona szczęściem swojej rodziny, nieprawdopodobnym wprost szczęściem.

W początkach 1943 roku również szczęście Rosji zaczęło się wreszcie odmieniać. Parcie Hitlera na zakaukaskie pola naftowe spaliło na panewce. A stało się tak, ponieważ z powodu początkowych sukcesów Führer rozdzielił siły, chcąc przy okazji zdobyć jeszcze jeden łup – strategiczne miasto nad Wołgą, nazwane na cześć Stalina. Los Trzeciej Rzeszy został przesądzony. Operacja Blau (od błękitu Morza Kaspijskiego) padła ofiarą czegoś, co Niemcy nazywają dziś „wojną szczurów”, toczoną w przenikliwym zimnie ruin zbombardowanego Stalingradu. W ciągu ponad pół roku walk wojska hitlerowskie pod dowództwem feldmarszałka Paulusa zostały unicestwione przez połączone siły rosyjskiej zimy, głodu oraz Armii Czerwonej dowodzonej przez krwawego Żukowa i generała Wasilija Czujkowa. Była to pierwsza i zarazem najgorsza nazistowska klęska od chwili rozpoczęcia Planu Barbarossa. Liczbę zabitych bądź rannych Niemców ocenia się na około trzy czwarte miliona. Liczba ofiar wśród Rosjan przekroczyła milion (liczba ta przewyższa łączną liczbę strat wojennych Stanów

Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii w czasie II wojny światowej). Z chwilą jednak kapitulacji Paulusa w lutym 1943 roku szala zwycięstwa przechyliła się. W maju 1945 roku czerwony sztandar Żukowa i Czujkowa miał załopotać nad ruinami Berlina.

Jeśli zaś chodzi o Nauma, to pozostał on w Baku nawet już po Stalingradzie, mimo że minęło zagrożenie dla kaukaskiej ropy. Jesienią 1943 roku azerska stolica stała się zapleczem wsparcia technicznego i logistycznego dla obecności Sowietów na konferencji w Teheranie. Głośniejsze stały się wprawdzie konferencje w Jałcie i Poczdamie, lecz to Teheran stanowił próbę generalną, pierwsze spotkanie „Wielkiej Trójki” – Stalina, Roosevelta i Churchilla, którzy zasiedli przy jednym stole. Stalin przyjechał do Baku pociągiem w listopadzie i stamtąd polecał do Teheranu. Lot samolotem był kolejnym pierwszym razem w jego życiu – pełen fobii Pierwszy Sternik nigdy dotąd nie był w powietrzu.

W wyjątkowo przyjemne popołudnie 29 listopada, już w trakcie konferencji, Wielka Trójka i ich doradcy zasiedli do późnego obiadu przy nakrytym białym obrusem stole w przytulnym salonie ambasady sowieckiej w Teheranie. Stalin koniecznie chciał drugiego frontu w Europie, a jadłospis miał być elementem ofensywy dyplomatycznej. W menu widniały *zakuski* (przekąski), czysty rosół z pierożkami, następnie stek, wreszcie lody „Płombir”. Do picia: wina z Kaukazu oraz nieodzowny szampan „Sowietskoje”, duma Stalina. Blokada Leningradu miała utrzymać się jeszcze dwa miesiące, jak dotąd ponad milion osób zmarło tam z głodu, w Teheranie tymczasem, gdy kelnerzy rozlewali wódkę, armeńską brandy i wermut, marszałek Stalin powstał, aby wznieść toast powitalny. *Wożd'*, już nie owa nędzna postać o pobladłej twarzy z czerwca 1941 roku, grał rolę pogromcy nazistów spod słynnego Stalingradu.

Nie wszyscy sowieccy uczestnicy spotkania przejawiali podobną pewność siebie. Wygłodniały tłumacz Woźdia Walentin Bierieżkow miał akurat usta pełne steku w chwili, gdy zaczął przemawiać Churchill. Nastała niezręczna cisza, tłumione chichoty, śmiech. Oczy Stalina miotały błyskawice.

– Też sobie znalazłeś miejsce na obiad – syknął przez zaciśnięte zęby do nieszczęsnego Bierieżkowa. – Żeby tak się obżerać. Taki wstyd!

(Bierieżkow jednak ocalał i opisał we wspomnieniach ów incydent wraz z całym posiłkiem).

Alianckim gościom Stalin prezentował się jednak jako smakosz rozwodzący się o sekretach swej aromatycznej narodowej kuchni gruzińskiej. Franklin Delano Roosevelt nie szczędził kokinterii, wychwalając czarne kaukaskie wina i rozpływając się z zachwytu nad trunkiem „Sowietskoje Szampanskoje” – czyż to „cudowne wino” nie powinno być importowane do Stanów Zjednoczonych? Churchill, jako wielbiciel szampana „Pol Roger”, taktownie zdecydował się na zachwyty nad armeńską brandy. Nikt nie napomknął o powszechnych kradzieżach żywności z amerykańskiego Land-Lease i o handlowaniu nią na czarnym rynku ani też o tym, że radzieckie fabryki butelek do wina produkują teraz głównie pojemniki na koktajle Mołotowa. („Sowietskoje Szampanskoje”? Tak wśród rosyjskiego wojska nazywano mieszankę wybuchową z siarki i fosforu).

Na uwieńczenie obiadu Stalin zaplanował rybny gwóźdź programu. Czterej krzepcy ludzie w mundurach, za nimi dwóch filipińskich kuchmistrzów, a na końcu amerykański agent ochrony wnieśli ogromną rybę, również wielkości człowieka bądź małego wieloryba. Nie, nie była to jedna z bieług, przykrywek Nauma, lecz łosoś przywieziony z Rosji.

– Chcę go panu ofiarować, panie prezydencie – oznajmił

Stalin.

- Jak wspaniale! Jestem poruszony pana troskliwością – odrzekł dwornie FDR.
- Przyjemność po mojej stronie – odparł Stalin równie dwornie.

Wsiadając ponownie do samolotu, gospodarz obiadu wracał z tym, czego chciał: z obietnicą utworzenia w Europie drugiego frontu, z operacją Overlord (D-Day) ustaloną na początek 1944 roku oraz z przyznaniem ZSRR prawa do wschodnich obszarów Polski.

Jeszcze smakowitsze kawałki europejskiego ciasta miały zostać rozdzielone na konferencji jałtańskiej w lutym 1945 roku, gdzie też zaplanowano znacznie wystawniejszy bankiet. Gdy kraj słaniał się z głodu, dla Wielkiej Trójki w niespełna trzy tygodnie wznieziono na spustoszonym przez wojnę Krymie imponujący potiomkinowski kurort. Ni stąd, ni zowąd pojawiły się 2 lotniska cywilne, liczne fontanny, 68 wyremontowanych pokojów w 3 różnych carskich pałacach, 10 tysięcy talerzy, 9 tysięcy elementów srebrnej zastawy tudzież 3 kuchnie opalone stertami chrustu magicznie przetransportowanego sparaliżowanymi sieciami kolejowymi. Podczas głównego przyjęcia – na którym podawano między innymi sieję w sosie szampańskim, środkowoazjatycki pilaf z przepiórkami i kaukaskie kebuby – gospodarz i przyszły Generalissimus wydał się uczestnikom przyjęcia „skory do żartów i w dobrym humorze”, a nawet „uśmiechnięty jak dobrotliwy starzec”. A cóż w tym dziwnego? Zaklepał sobie praktycznie całą resztę Polski oraz klucze do większości powojennej Europy Wschodniej.

Goworit Moskwa – „mówią Moskwa”. Późną wiosną 1945 roku spiker radiowy Jurij Lewitan wygłosił jedno ze swych najbardziej operowych obwieszczeń. Stalowym, oficjalnym barytonem oznał, że wojska sowieckie zakończyły niszczenie

niemieckich dywizji w Berlinie. „Dziś, 2 maja – ciągnął coraz wyższym i coraz głośniejszym tonem – uzyskały one całkowitą kontrolę... nad niemiecką stolicą... nad miastem BEEER-LIIIIIIIN!”

Ktoś nieznający rosyjskiego mógłby pomyśleć, że to jakiś południowoamerykański komentator sportowy obwieszcza gol. Pamiętne zdjęcie przedstawiające sowiecki sztandar zwycięstwa na dachu Reichstagu mówi jednak samo za siebie.

9 maja 1945 roku o godzinie 2.10 nad ranem Lewitan odczytał akt kapitulacji Trzeciej Rzeszy, a w mojej Mamie wszystko zamarło. Nic na to nie mogła poradzić. Lęk i przerażenie. Czuła je niezawodnie za każdym razem, gdy słyszała głos Lewitana i słowa „Mówią Moskwa”. I nie miało już znaczenia, że od wielu miesięcy Głos oznał dobre wiadomości, że po jego komunikatach o odbiciu przez Sowietów kolejnego rosyjskiego miasta sztuczne ognie i salwy artylerii wypełniały hukiem centrum Moskwy, gdzie rodzina Frumkinów znów mieszkała razem już od ponad roku. Do dzisiejszego dnia paraliżuje Mamę już sama myśl o barytonie Lewitana.

Równie wyraźnie pamięta Mama spontaniczne powszechnie odczucie nieopisanej ulgi i uniesienia, jakie ogarnęło stolicę 9 maja. Ponad dwa miliony świętujących ludzi ściągnęło do starego centrum Moskwy. Falujące morze czerwonych goździków i białych przebiśniegów – żołnierze rzucali je w górę. Ludzie nieprzytomni z radości – obejmują się, całują, tańczą, tracą głos od okrzyków *URRAAAAA!* Tamtej nocy wieże Kremla oświetlono potężnymi reflektorami, rzucając snopy światła na portret Stalina, który zdawał się unosić nad placem Czerwonym. Nie oszczędzano też na sztucznych ogniach i tysiąc moździerzy wystrzeliło trzydzieści salw.

Wśród świętujących znalazła się wiotka jak trzcina i wysoka na metr osiemdziesiąt piękność o zielonych, syrenich oczach, z pośpiesznym muśnięciem czerwonej szminki na wargach. Miała

już prawie 30 lat, a ciągnęła ze sobą krnabrnego ośmioletniego chłopca. Im głośniej wszyscy wiwatowali, tym rozpaczliwiej łkała. Andriej Bremzen, jej mąż, mój dziadek ze strony ojca, znalazł się wśród 8 milionów mężczyzn, którzy nie powrócili z frontu.

Jeśli podsumować ofiary wśród ludności cywilnej, okaże się, że Wielka Wojna Ojczyźniana (jak ją oficjalnie nazywamy) zabrała życie 27 milionów osób, a według niektórych szacunków znacznie więcej. W Rosji pozostawiła za sobą bezprecedensowe tragedie i zniszczenia, których skala jest nie do ogarnięcia. Wojna przez cztery nieprzerwane lata obozowała na radzieckiej ziemi. 25 milionów obywateli zostało bez dachu nad głową, 1700 miast i ponad 70 tysięcy wsi leżało w gruzach, z powierzchni ziemi zniknęło całe pokolenie mężczyzn.

Gdy wojna się skończyła, Mama miała 11 lat. Była zatopioną w książkach marzycielką z dwoma grubymi czarnymi warkoczami, która zdążyła już przejść od Hansa Christiana Andersena do *Nędzników* Hugo w ich melodyjnym rosyjskim przekładzie. Mamę pociągała właściwie każda książka przesiąknięta romantyczną tragedią. Pierwsze powojenne lato jej rodzina spędzała w przytulnej daczy na przedmieściach Puszkina, miasta na północ od Moskwy, gdzie Naum kierował teraz akademią szkolącą szpiegów.

– Kontrwywiad, kontrwywiad – powtarzał zawsze dziadek, marszcząc brwi, ilekroć ktoś z nas wyskoczył ze słowem „szpieg”. W późniejszych miesiącach tego roku miał pojechać do Berlina i przesłuchiwać wśród ruin Hermanna Göringa podczas procesu w Norymberdze.

Tłukąc muchy i zrywając agrest, Mama czytała swoje smętne książki i kontemplowała los Rosji. Co sądzić o tych kalekich mężczyznach zalewających stacje kolejowe, żebrzących i grających na harmonii? Jak opłakiwać ojców koleżanek, którzy nie powrócili?

O dziwo, nikt w jej rodzinie nie podzielał tych sentymentów. Lizę pochłaniały domowe obowiązki, Naum, który zresztą tak naprawdę nigdy nie rozmawiał z dziećmi, był zajęty w gronie swoich kolegów szpiegów o stalowym wzroku i ich wystrojonych żon przechwalających się meblami, które mężowie poprzywozili z Berlina. Julia tak często cytowała Generalissimusa Stalina, że Mamie robiło się niedobrze. Tak oto Larysa zaczęła prowadzić dziennik. Starannie wybrała niewielki notes o błyszczących białych kartkach i wytłaczanej złotem okładce, prezent przywieziony przez Nauma jeszcze przed wojną ze Skandynawii. Zanurzyła pióro w kałamarzu, po czym myślała tak długo, że kleksy atramentu zniszczyły pierwszą stronę i musiała wyrwać kartkę.

„Śmierć – napisała w końcu, dociskając pióro tak mocno, że skrzypiało. – Śmierć nadchodzi nieuchronnie na koniec życia. Czasami życia bardzo krótkiego”. Zastanowiła się chwilę i ciągnęła: „Skoro i tak musimy umrzeć, to co powinniśmy robić? Jak mamy przeżyć tę krótką godzinę między narodzinami a śmiercią?”.

Na pytania te Mama nie znała odpowiedzi, lecz już samo ich zapisanie przyniosło jej ulgę. Myślała jeszcze o tych sprawach na trawie przed domem, ssąc słodką łodygę koniczyny, a ważki bzyczały jej nad głową.

– ŚMIERĆ! ŚMIERĆ?! – krzyki Lizy wyrwały Mamę z kontemplacji.

Liza chwyciła Mamę za warkocz, wymachując notatnikiem, który właśnie znalazła na stole.

– Pobiliśmy Niemców! Twój ojciec walczył o twoje szczęście! Jak śmiesz mieć takie złe, głupie myśli? Śmierć!

Liza podarła notatnik i wpadła jak burza z powrotem do domu. Mama tymczasem leżała na trawie, patrząc na strzępy papieru porozrzucane wokół. Czuła się tak pusta w środku, że

nie mogła nawet płakać. Jej rodzice i głosy z czarnych publicznych głośników – nagle uświadomiła sobie, że to jedno i to samo. Jej najsłyniejsze myśli są z jakiegoś powodu złe i nieczyste – tak jej powiedziano. Nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna.

5

Lata pięćdziesiąte: Smacznie i zdrowo

W godzinach rannych 4 marca 1953, w tym okresie roku, gdy poranki są wciąż nieprzyjemnie mroczne, a sople na dachach rozpoczynają swój akt topnienia i ponownego zamarzania, moskiewscy melomani doznali mięej niespodzianki. Od najwcześniejszego ranka owego dnia, zamiast zwykłej radzieckiej muzyki na rozgrzewkę, w radiu rozbrzmiewała prawdziwa uczta symfonicznych i kameralnych rozkoszy w smutnych tonacjach minorowych. Grieg, Borodin, wyjątkowo elegijny kwartet smyczkowy Aleksandra Głązunowa. Dopiero gdy w miejsce gimnastyki radiowej nadano kolejny podniosły utwór klasyczny, ludzie zaczęli się zastanawiać.

– Ktoś w Politbiurze kopnął w kalendarz?

Szokujący komunikat nadano około dziewiątej rano.

„Twarzysz Stalin doznał wylewu krwi do mózgu... stracił przytomność. Paraliż prawego ramienia i nogi... utrata mowy”.

Znajomy baryton huczał na falach eteru przez cały ten dzień. Dementując informacje biuletynów medycznych o pogarszającym się stanie umiłowanego przywódcy, Jurij Lewitan był znów w bojowym nastroju. *Tempo oddychania. Tętno. Analiza moczu.* Głos przepajał te kliniczne szczegóły takim samym melodramatyzmem, z jakim obwieszczał odbicie Orła czy Kurska z rąk nazistów albo spadek cen zaraz po zakończeniu wojny.

„Ostatniej nocy stan Towarzysza Stalina poważnie się po-

gor-szył! – oznał Lewitan nazajutrz, 5 marca. – Pomimo zabiegów medycznych i tlenowych u Wodza wystąpił oddech Chey-ne'a-Stoke-sa”.

– Oddech czejnajaki? – dziwili się obywatele.

Tylko lekarze rozumieli fatalne konsekwencje tego terminu medycznego.

A jeśli owi lekarze mieli w punkcie piątym swych paszportów (narodowość) wpisane „żydowska”? Musieli poczuć, że z chwilą, gdy Stalin w śpiączce wydał swe ostatnie tchnienie, został odroczony ich własny wyrok śmierci. W paranoicznego, sklerotycznego ostatnich latach życia Generalissimus przeszedł sam siebie, wszczynając kompletnie niedorzeczną antyżydowską czystkę zwaną spiskiem lekarzy. Bycie żydowskim lekarzem – i praktycznie kimkolwiek żydowskim – równało się w tamtym czasie pewnej zgubie. Teraz jednak „Prawda” z dnia na dzień przestała drukować jadowite doniesienia o procesie żydowskich lekarzy. A w podziemiach Łubianki, gdzie akurat pracowano nad owymi „mordercami w białych kitlach”, niektórzy oprawcy zmienili linię przesłuchań.

– Co to jest ten Cheyne-Stokes*****? – pytali lekarzy, swe ofiary.

Gdy 4 marca media poinformowały o stanie Stalina, Najwyższy Przywódca był nieprzytomny już od kilku dni. Zaczęło się późnym rankiem 1 marca, kiedy nie poprosił jak zwykle o herbatę. Personel w jego daczy w Kuncewie, zaniepokojony milczeniem detektorów ruchu w jego mieszkaniu, postanowił... nie robić zupełnie nic. Mijały godziny. W końcu ktoś odważył się wejść do środka. Siedemdziesięciotrzyletniego Woźdia znaleziono na podłodze, spodnie od piżamy przesiąkły moczem. Sedan ZIS towarzyszący Ławrientija Berii zajechał na miejsce długo po północy. Szef tajnej policji wykazał się wzruszającym oddaniem wzgledem

umiłowanego przełożonego.

– Zostawcie go w spokoju, śpi – polecił oprawca i gwałciciel w binoklach i wyszedł, nie wzywając karetki.

Medykom pozwolono wejść dopiero nazajutrz rano. Trzęsąc się ze strachu, zdiagnozowali rozległy udar. Podejrzewając, że może stać się kolejną ofiarą Towarzysza Stalina, towarzysz Beria miał swoje powody, aby zwlekać z pomocą. Podobnie jak inni współpracownicy z Politbiura, w tym przebiegły sekretarz moskiewskiej organizacji partyjnej Nikita Chruszczow o urodzie prosiaka. Niezależnie od układów na Kremlu ospowaty szewski syn, który przyszedł na świat jako Josif Dżugaszwili, zmarł około godziny 21.50 dnia 5 marca 1953 roku.

Stalina nie było.

Kraj został osierocony. Ludowi odebrano Ojca Narodów.

Pozbawiono go Generalissimusa, Orła Góra, Przekształciciela Przyrody, Geniusza Ludzkości, Koryfeusza Nauki, Wielkiego Stratega Rewolucji, Chorążego Komunizmu, Wielkiego Mistrza Śmiałych Rozwiązań Rewolucyjnych i Zdecydowanych Przełomów.

Najlepszy Przyjaciel Wszystkich Dzieci, Emerytów, Matek Karmiących, Kołchoźników, Myśliwych, Szachistów, Dójek i Biegaczy Długodystansowych – odszedł.

Już go nie było.

W narodzie zabrakło Stalina.

W błotnistie marcowe dni tuż przed śmiercią Stalina Larysa, ubrana w wiecznie przeciekające kozaczki i gryzący pomarańczowy golf pod szarym fartuszkiem, błądziła pośród przepastnych trzewi INJAZ-u – moskiewskiego Instytutu Języków Obcych. To tu mieściły się kafkowskie korytarze i niedogrzana stołówka z nieśmiertelnym odorem duszonej kapusty. To tutaj urzędowali wiekowi wielojęzyczni

profesorowie, główne cele zaciekłej kampanii Stalina przeciwko „wykorzenionym kosmopolitom”.

Samogłoski otwarte, samogłoski zamknięte. Na zajęciach z fonetyki Mama wzdychała. *Land – Lend. Man – Men.* Rosyjskie ucho jest głuche na podobne niuanse. Zresztą jak tu skupić się na samogłoskach, skoro Towarzysz Stalin umiera?

Niezależnie od stanu zdrowia *Woźdia* studia anglistyczne w INJAZ-ie niespecjalnie pasowały do maminych wyobrażeń o Świetlanej Przyszłości. Był to bezbarwny, lecz szacowny kompromis w sprawie kariery, skoro jej żarliwe marzenia o scenie niezmiennie spełzały na niczym.

– Pewnie brakowało mi talentu – przyznaje dziś Mama. – I urody.

Wtedy jednak większy dramatyzm miało w sobie składanie winy za zawiedzione nadzieje na karb egzaminu z historii dramatu w modnej akademii teatralnej GITIS*****. Po nauczeniu się na pamięć oficjalnych tekstów Mama wyglossiła na ustnych egzaminach wstępnych przed dwójką dostoynych profesorów obowiązkową krytykę wykorzenionego kosmopolityzmu. Czyżby naprawdę krzywili się, gdy deklamowała o tym, jak sztuka należy do *narodu*, do ludu? Dlaczego dali jej trójkę za bezbłędną, podręcznikową recytację? Dopiero znacznie później ze wstydem uświadomiła sobie, że ci dwaj erudyci, znawcy dramatu renesansowego, sami byli szczuci i dręczeni za swój „nieposkromiony, perfidny kosmopolityzm”.

6 marca, gdy rozchodziła się wieść o zgonie Stalina, korytarze INJAZ-u rozbrzmiewały echem szlochów. Zajęcia odwołano. *Babuszki woźne*, wspierając się na kijach od mioteł, zawodziły nad wiadrami niczym słowiańskie poganki na pogrzebie. Mama miała wprawdzie suche oczy, ale dzwoniła zębami, a nogi uginąły się pod nią od historycznego ciężaru tej

wiadomości. W tramwaju w drodze powrotnej do domu pasażerowie siedzieli skuleni w pełnym napięcia milczeniu. Przez okna Mama patrzyła na flagi żałobne powoli wciągane na budynki. Robotnicy zalepiali wesołe plakaty reklamujące jej ulubione sztuki teatralne. Zamknęła oczy i ujrzała czerń, ziejącą pustkę zamiast przyszłości.

Trzy dni później Mama, Liza i Julia wyruszyły na pogrzeb, widząc jednak tłumy na ulicach, zawróciły z drogi. Mój nastoletni tata postawił jednak na swoim. Szesnastoletni wówczas Siergiej, który miał w sobie nieco z ulicznego łobuza, zdołał przeskakiwać z dachu na dach, przedrzeć się przez osławione wąskie gardło w centrum Moskwy, przecisnąć się przez barierę czarnych państwowych studebakerów, przemknąć obok milicjantów dosiadających przestraszonych koni i przekraść się do neoklasycznego przepychu Sali Kolumnowej, gdzie Generalissimus Josif Wissarionowicz był wystawiony na widok publiczny, a złote guziki lśniły na jego szarym mundurze. Płatosza, najlepszy przyjaciel Siergieja, nie miał tyle szczęścia – skończył ze zgruchotaną czaszką podczas niesławnego szturmu tłumów na plac Trubnaja płoszczad’. Nikt nie zna dokładnie liczby ofiar śmiertelnych, jednak 9 marca w tym potwornym pędzie stratowano na śmierć co najmniej kilkuset żałobników, byle tylko ujrzeć zwłoki Stalina. Nawet leżąc w trumnie, Stalin nie umiał obejść się bez ofiar.

Od pogrzebu minęło już kilka tygodni, a Mama wciąż nie mogła się otrząsnąć. Dręczyły ją dwie rzeczy. Pierwszą były kalosze. Obraz czarnych kaloszy zalegających na ulicach całej Moskwy po pogrzebie, a obok nich także czapek, rękawiczek, szalików i strzepów palt. Drugą była nierzeczywistość – kompletna nierzeczywistość komunikatów Lewitana na temat zdrowia Stalina w ostatnich dniach jego życia.

Mocz. To Wielki Przywódca oddawał mocz? Tętno? Oddech? Krew? Czy nie takie właśnie słowa słyszała w pobliskiej

obskurnej poliklinice?

Mama próbowała wyobrazić sobie Stalina, jak przykuca nad ubikacją albo jak jakiś przerażony ktoś z plamami potu pod pachami pobiera mu krew. Lecz to nie mieściło się w głowie! Zresztą jak Stalin mógł popełnić coś tak przyziemnego, tak prozaicznie ludzkiego jak śmierć?

Gdy do świadomości Mamy zaczęła w końcu przebijać się prawda o zgonie Stalina, oszołomienie ustąpiło przed innym uczuciem – pełnym rozgoryczenia i złości rozczarowaniem. Zostawił ich – zostawił ją. Nigdy już nie wróci i nie zobaczy jej sukcesów na scenie. Do Mamy dotarło, że i podczas przygotowywania się do przesłuchań, i w swoich wyobrażeniach siebie na scenie Moskiewskiego Teatru Artystycznego w jakiejś mądrzej sztuce Gorkiego pragnęła ponad wszystko jego aprobaty, jego obecności, jego pełnego mądrości, rozważnego błogosławieństwa.

Gdy Mama wyznała mi to wszystko, całkiem niedawno, nie mogłam spać. Larysa Naumowna Frumkina. Dysydenckie serce, które zawsze osłaniało mnie przed sowieckim skażeniem.

Chciała być aktorką dla Stalina?

Oto bezlitosna kontrola emocjonalna totalitarnego kultu jednostki w całej okazałości, oto głębokie więzy, hipnotyzujące i intymne, między Stalinem a jego poddanymi. Aż do tej pory takie zjawisko wydawało mi się abstrakcją. Państwo okresu mojego dzieciństwa było skrzypiącą geriatryczną maszyną zarządzaną przez karykaturalne Politbiuro, które mogło inspirować co najwyżej do wymyślania złośliwych kawałów politycznych. Z niezgrabną skamieliną Breżniewem jako przywódcą bywało nieraz wprost komicznie. Lecz reakcja Mamy na śmierć Stalina otworzyła mi oczy co do władzy jego kultu, tego zdradliwego rozdwojenia. Z jednej strony Wielki Wódz był bóstwem nieskażonym banalnością ludzkiego życia, był

historyczną siłą, transcendentną, tajemniczą, bytującą w jakimś sensie poza ramami nikczemnego reżimu, który stworzył, i ponad nim. Zarazem jednak stanowił on dla wszystkich ucieśnienie ojca – dobroduszny, wręcz intymnie domowy *pater familias* całego ludu radzieckiego, człowiek, który na plakatach brał na ręce dzieci, obdarzany takimi propagandowymi epitetami, jak *prostoj*, *blizkij* czy też *rodnoj*, czułym określeniem, które człowiek rezerwuje tylko dla najbliższych sobie osób, o tej samej etymologii, co równie brzemienna w treści *rodina* (ojczyzna).

W chwili śmierci Stalina Mama nie była już wyobcowanym dzieckiem, zarazem jednak nie była również ani prostym głupkiem, ani zaślepioną komsołką, której wyprano mózg. Była natomiast niezwykle oczytaną dziewiętnastolatką, wielbicielką wielkich dysydentów ze świata kultury, jak Szostakowicz czy Pasternak, oburzoną prześladowaniami, jakie ich spotykały – a jednocześnie nieustannie plującą antykosmopolitycznym jadem. Krótko mówiąc, cierpiała na klasyczny przypadek owego osobliwego stalinowskiego rozdwojenia jaźni.

– Zrozum – tłumaczyła mi. – Byłam antysowiecka od urodzenia, do szpiku kości, w głębi serca. Jednak w głowie, psychologicznie jakoś... no chyba jednak byłam młodą stalinistką. Kiedy jednak on umarł – dodała – w głowie mi się rozjaśniło.

W niektórych kręgach w Związku Radzieckim skłaniających się ku dysydenctwu zrodziła się tradycja świętowania 5 marca. Choć destalinizacja nie nastąpiła z dnia na dzień, to dla wielu dzień śmierci Stalina stał się punktem zwrotnym zarówno w historii, jak i w życiu prywatnym, symboliczną chwilą, gdy z oczu opadły łuski, a człowiek uzyskał nową świadomość.

Tak się złożyło, że gdy pisałam ten rozdział, nadszedł akurat marzec. Wierna duchowi dawnych dysydenckich spotkań Mama

postanowiła, że powinnyśmy również wydać przyjęcie z okazji rocznicy śmierci Stalina. I znów zwróciłyśmy się po pomoc do książki kucharskiej, dla której Mama straciła głowę już jako pięciolatka.

Jedna szósta zmierzonego świata, 11 stref czasowych, 15 republik etnicznych. Liczba ludności sięgająca pod koniec imperium 300 milionów.

To był Związek Radziecki. W najlepszym duchu socjalistycznej wspólnotowości nasze poliglotyczne monstrum *Rodina* miało wspólną konstytucję, wspólną biurokrację społeczną, wspólny program matematyki w drugiej klasie oraz wspólną biblię kuchenną dla wszystkich –*Księgę o smacznym i zdrowym jedzeniu. Kniga o ukusnoj i zdorowej piszcze*, urodzona w 1939 roku, była bez wątpienia encyklopedycznym podręcznikiem gotowania. Jednak za sprawą swych dydaktycznych komentarzy, ideologicznych kazań, neooświeceniowych dygresji naukowych oraz lśniących rozkładowych zdjęć, przedstawiających zarówno sowieckie zakłady spożywcze, jak i domowe przyjęcia, oferowała coś więcej – kompletny wzorzec radosnego, obfitego i kulturalnego życia socjalistycznego. Nie mogłam się już doczekać ponownego spotkania z tym (nie)rzeczywistym epokowym dziełem socjalizmu.

Mama nauczyła się gotować jako młoda kobieta na podstawie wydania z 1952 roku. Była to edycja kultowa: większa, lepsza, szczęśliwsza, jadowitsza politycznie, o monumentalnej wzniósłości owych stalinowskich neogotyckich drapaczy chmur z końca lat czterdziestych, w poważnej brązowej twardej oprawie godnej socjologicznej pracy naukowej. Taki wygląd książki miał swoje znaczenie. Sugerował, że gotowanie nie jest rzeczą błahą. O nie! Gotowanie, drodzy towarzysze, odzwierciedlało program zbiorowej utopii: Samodoskonalenia i Akulturacji poprzez Pracę Kuchenną.

Porównując wydania z 1939 i 1952 roku, można było łatwo prześledzić zmiany w powojennej polityce. Pod koniec lat trzydziestych wciąż obowiązywała bolszewicka retoryka internacjonalistyczna. Był to ów internacjonalizm celebrowany choćby w popularnej komedii muzycznej z 1936 roku *Cyrk*, słynącej z pieśni *Szyrokaja strana moja rodnaja*. *Cyrk* przedstawia propagandową historię Marion, białej Amerykanki, artystki cyrkowej, która musi uciekać z Kansas po urodzeniu nieślubnego dziecka Mulata. Marion ostatecznie trafia do Moskwy. Kraj Rad to na szczęście nie Kansas! Marion znajduje tutaj cały naród gotowy tulić jej dziecko – oraz postawnego akrobata jako narzeczonego. W słynnej scenie międzynarodowej idylli kołysankę afroamerykańskiemu dziecku śpiewa między innymi znakomity aktor teatru żydowskiego Szlojme Michoels.

Scenę tę później usunięto, podobnie jak samego Michoelsa, który zginął w 1948 roku, zamordowany na rozkaz Stalina pośród masowej antysemickiej nagonki. A Ameryka? Nasz dotychczasowy na pół przyjazny (aczkolwiek rasistowski) współzawodnik został teraz do cna zdemonizowany jako imperialistyczny zimnowojenny wróg. Stąd też w *Knidze* z 1952 roku króluje ksenofobia. Wycięto zamieszczony w wydaniu z 1939 roku przepis na żydowskiejglach, zniknęła kałmucka herbata. (Kałmuków, mniejszość pochodzenia mongolskiego, deportowano za rzekomą kolaborację z Niemcami). *Canapés, croutons, consommés* – z wydania z 1952 roku wypłoniono takie „wykorzenione kosmopolityczne” *froufrou*. Ten sam los spotkał *sendwiczi, kornfleksy* i *kietczup*, amerykańskie frykasy podpatrzone przez Mikojana podczas wyprawy do Ameryki w latach trzydziestych.

W kolejnym wydaniu, z sierpnia 1953 roku – niespodzianka! Znikły wszystkie cytaty ze Stalina. W 1954 roku zabrakło Ławrientija Berii (został stracony w grudniu 1953 roku), a

zatem i mojego ulubionego zdjęcia z wydania z 1952 roku, zakładów przerobu wieprzowiny w Azerbejdżanie, które nosiły jego imię. *Fabryka wieprzowiny w muzułmańskiej republice nosiła imię „rzeźnika Stalina”.*

Zmieniły się kremlowskie wiatry, poznikali komisarze, lecz oficjalny sowiecki mit obfitości trwał, a ludzie kurczowo uchwycili się baśni o magicznym obrusie. Któź oparłby się utopii socjalistycznego dobrego życia, tak malowniczo prezentowanej w *Knidze*? Wystarczy spojrzeć na pierwsze zdjęcie rozkładowe! Oto skorupiaste ostrygi – tak jest, ostrygi! – piętrzące się na srebrnej tacy pomiędzy butelkami wina krymskiego i gruzińskiego. Kryształowe puchary na wysokich nóżkach górują nad połyskującym półmiskiem z rybą w auszpiku. *Sowietskoje* z bąbelkami chłodzi się w kubełku, kierując szyjkę ku majestatycznemu prosiakowi. Wstęp zaś informuje nas: „Państwa kapitalistyczne skazują pracujących obywateli na ciągłe niedojadanie... a często na śmierć głodową”.

Nieznośny rozziew między obfitością widoczną na zdjęciach a jej brakiem w sklepach czynił zawarty w *Knidze* mit dostatku szczególnie dokuczliwym. Cierpliwy *homo sovieticus* przełykał to oszustwo, wychował się bądź co bądź na realizmie socjalistycznym, artystycznej doktrynie nakazującej ukazywać rzeczywistość „w jej rewolucyjnym rozwoju” – przeszłość i teraźniejszość przyćmione przez triumfujący wizerunek Świetlanej Przyszłości. W socrealistycznych wizjach młode kołchoźnice tańczą wokół dorodnych kłosów pszenicy, zapominając o klęskach głodu, utrudzone tkaczki przeistaczają się w partyjne księżniczki poprzez radosny, stachanowski trud. Realizm socjalistyczny osaczał niczym zaczarowane lustro: wycieńczeni i trawieni głodem spoglądali w nie i widzieli tylko swe przekształcone przez przyszłość różowe odbicie.

Niedawno podzieliłam się z Mamą tymi refleksjami.

– Tak mówisz? – odrzekła.

Po czym zaczęła mi opowiadać własne przygody z *Knigą*.

Grudzień 1953 roku był mroźny jak każdy rosyjski grudzień – zaczęła. – Za to klimat polityczny ocieplał się. Zaczęli powoli wracać więźniowie gułagów, Berię właśnie stracono. A moskiewscy miłośnicy kultury spierali się na temat artykułu w czasopiśmie literackim „Nowyj Mir”. Esej nosił tytuł *O uczciwości w literaturze*, a napisał go niejaki Władimir Pomierancew, z zawodu śledczy. Ośmielił się w nim potępić realizm socjalistyczny.

Larysa pamięta, że akurat gotowała coś z *Księgi o smacznym i zdrowym jedzeniu*, gdy Julia podała jej „Nowyj Mir”, konspiracyjnie zawinięty w „Prawdę”. W tamtym okresie Mama gotowała jak szalona. Jej dziecięce przeczucia co do tego, że życie nie jest tak „całkowicie dobre”, a przyszłość świetlana, zastygły w niej w postać tępego, bolesnego przekonania. Gotowanie przynosiło niejaką ulgę w tym bólu. Przez posiłki przyrządzane ze skromnej ilości dostępnych artykułów żywnościovych filtrowała wszystkie swe rozczarowania związane z teatrem. Wielokątna kuchnia z balkonem w domu rodziców stawała się sceną dla pokrzepiającego złudzenia, że w jakiś sposób gotowanie wyrwie ją z ponurego sowieckiego kieratu.

„Nowyj Mir” spoczywał na białym kuchennym stole, a Mama szykowała swą ulubioną potrawę – mrożonego dorsza z ziemniakami w sosie ze smażonych grzybów, wszystko razem zapieckone z odrobiną majonezu i taniego sera topionego. Ów dorsz był maminą realistyczną solówką na temat jednego z przepisów z *Knigi*. Aromaty sera, ryby i grzybów zaczęły się właśnie mieszać z sobą, gdy Mama, przebiegły wzrokiem artykuł o „uczciwości”, dotarła do części poświęconej jedzeniu. Ogólnie rzecz biorąc, Pomierancew potępiał literaturę socrealistyczną za jej obłudne „upiększanie rzeczywistości” – określenie to miało być często stosowane w liberalnej krytyce

kultury stalinowskiej. Spośród utartych klisz Pomieranców wziął na cel woń (fałszywą) smakowitych *pielmieni* (pieróżków mięsnych) i narzekał, że nawet ci autorzy, którzy nie stawiają na stołach fałszywych pieczonych gęsi i pieczonych prosiaków, i tak usuwają ze scenerii „czarny chleb” i zamaskowują plugawe fabryczne stołówki i hotele robotnicze.

Mama przekartkowała swoją *Knigę* i nagle się roześmiała. Ostrygi? Kubełki z szampanem? Naręcza owoców wysypujące się z kryształowych mis? W tej chwili wręcz razły obłudą.

– Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa – oznajmiła Mama, dźgając palcem zdjecie pieczonego prosiaka.

Zatrzasnęła *Księgę o smacznym i zdrowym jedzeniu* i wyjęła dorsza z piekarnika. Było to jej własne danie, jej dzieło, wyzute z mitu powszechnego dostatku, wyswobodzone ze stalinowskiego programu szczęśliwości.

Nigdy więcej nie otworzyła *Knigi* – aż do owego dnia w Nowym Jorku, gdy przymusiłam ją do tego.

Szykując się do naszego obiadu z okazji rocznicy śmierci Stalina, Mama co rusz dzwoni do mnie w sprawie jadłospisu.

Jej ogólna koncepcja ma jak zwykle irytuje archiwalny charakter: uchwycić pastisz kulturowy późnego stalinizmu. Jedno z dań ma za zadanie oddać ówczesną oficjalną, uroczystą pompatyczność. Ostatecznie stanęło na sałatce z krabów z jej stalinowskim, barokowym przybraniem w postaci fantazyjnych pasków *anchois* (w Moskwie nie do dostania), koralowych odnóży krabów i bukiecików z pietruszki. Pompa i pastisz jednocześnie.

Jako ukłon w stronę zubożałej młodej inteligencji rodzącego się pokolenia odwilży Mama zaplanowała też wyjątkowo postne pierożki. Ciasto bez jajek, tylko z mąki i wody, i kawałka margaryny cieszyło się w tamtych czasach swoistą zaraźliwą popularnością.

Pozostał nam więc jeszcze tylko wybór dania „etnicznego”.

W powojennej imperialistycznej polityce Stalina radzieckie mniejszości były traktowane jak gorsi krewni wielkich etnicznych Rosjan (a nieraz wręcz jak wrogowie ludu). Choć więc *Kniga* z 1952 roku raczyła uwzględnić symboliczną garstkę przepisów z republik, to wtłoczyła je we wszechzwiązkowy kanon. Przepisy na ukraiński barszcz, gruzińską zupę charczo i ormiańskie dolmy***** są zamieszczone bez żadnej wzmianki o ich narodowych korzeniach.

Mama dzwoni nazajutrz.

– Jako przedstawiciela republik etnicznych – oznajmia nienaturalnie oficjalnym tonem – wybrałam... czanachi!
– Nie! – protestuję. – Nie możesz. To była ulubiona potrawa Stalina!

– Oj – mówi Mama i rozłącza się.

Za chwilę znowu dzwoni.

– Ale ja już kupiłam kotlety jagnięce – meczy jak owca.

Kupiła również małe bakłażany, dojrzałe pomidory i papryki oraz mnóstwo kolendry – słowem, wszystkie składniki tej cudownie gęstej, zapiekanej w glinie, gruzińskiej potrawki zwanej czanachi.

– Ależ Mamo – przekonuję – czyż nie byłoby absurdem celebrować wyzwolenie od Stalina za pomocą jego ulubionej potrawy?

– A czy jesteś całkiem pewna – mówi przymilnym głosikiem – że to rzeczywiście jego ulubiona potrawa?

Westchnęłam i zgodziłam się sprawdzić jeszcze raz. Rozłączyłam się i nalałam sobie mocnej hiszpańskiej brandy. Chcąc nie chcąc, przejrzałam ponownie wyniki swoich dociekań.

„Stalin – pisał jugosłowiański komunista i literat Milovan Džilas, który poznał Woźdia w latach trzydziestych – jadł dużo, zbyt wiele nawet na możliwości znacznie roślejszego mężczyzny. Przede wszystkim nakładał sobiemięso, co świadczyło o jego góralskim pochodzeniu”*****. Opisując ich ponowne spotkanie w 1945 roku, Džilas zdumiewał się: „Stalin przejawiał obecnie żarłoczność, jak gdyby lękał się, że nie wystarczy dla niego jego ulubionych potraw”*****.

Najczęściej Stalin oddawał się obżarstwu w swojej daczy w Kuncewie, niedaleko okolic, gdzie dorastałam, a towarzyszyła mu grupa stałych gości: Beria, Chruszczow, Mołotow i Mikojan. Zaproszenia (nie do odrzucenia) na biesiady w daczy były spontaniczne, a ich godziny późne.

– Nazywało się to *obiedy* – utyśliwał Mołotow – ale co to za obiad o dziesiątej czy jedenastej w nocy?

Podczas tych nocnych posiłków panowała domowa atmosfera, co zdawało się wskazywać, że sam Stalin nie przepada za oficjalną stalinowską pompą. W wyłożonej boazerią jadalni, pozbawionej jakichkolwiek ozdób prócz kominka i perskiego dywanu, ustawiano długie stoły na masywnych rzeźbionych nogach. Kelnerzy, nad którymi pieczę sprawowała pyzata Waleczka – lojalna gospodynina Stalina, a może i jego kochanka – ustawiali potrawy na jednym końcu stołu na ciężkich paterach pod kloszami, po czym znikali. Zupy stały na oddzielnym stoliku. Krwiożercza załoga wstawała i częstowała się. Wśród zakusek mógł być ulubiony przez Stalina śledź dunajski, zawsze niesolony, i *stroganina* (strugana mrożona surowa ryba). Zupy były tradycyjne i rosyjskie, na przykład *uchą* (rosół z mintaja) czy mięsny kapuśniak *szczi*, gotowany przez kilka dni. Jako dania główne żeberka jagnięce z rusztu, nadziewane przepiórki i – niezmiennie – mnóstwo ryb. Była to radziecko-eurazjatycka kuchnia fusion, gastronomia rodem z daczy – słowiańska i gruzińska.

Pociągnęłam mojej brandy „Carlos I”.

Na daczy Stalin pijał lekkie gruzińskie wino oraz – zawsze – wodę z ulubionej oszronionej smukłej karafki, patrząc jednocześnie, jak inni na umór upijają się wódką. „Ile to stopni poniżej zera mamy na zewnątrz?” – lubił pytać gości. Za każdy stopień, o który się pomyliły, byli karani piciem kolejnej szklanki*****. Tego rodzaju swawole przy obiedzie miały w Rosji długie carskie tradycje. Piotr Wielki szokował biesiadników karłami wyskakującymi z gigantycznych tortów, Iwan Groźny – dla Stalina wzór do naśladowania – na wystawnych ucztach posyłał puchary z zatrutym trunkiem tym bojarom, którzy wypadli z jego łask, i patrzył, jak padają trupem. Stalin lubił zmuszać przypominającego wańkę-wstańkę Chruszczowa, aby w przysiadzie wymachiwał nogami, tańcząc ukraińskiego hopaka, ryczał też ze śmiechu, gdy jego pachołkowie przypinali do baryłkowatych pleców Nikity karteczkę z nagryzmolonym słowem *ch...* Mikojan, jak zawsze praktyczny, wyznał, że przywoził na daczę dodatkowe spodnie – pomidory na krzesle stanowiły ukochany obiadowy psikus. (Hodowano je zresztą na daczy). Pośród tej całej błazenady rodem z filmu *Menażeria* Stalin popijał małymi łyżczkami, „czekając być może, aż rozwiążą się nam języki” – napisał Mikojan. Ci właśnie ludzie w splamionych krwią rękach dzierzyli zbiorowe losy jednej szóstej świata.

Mikojan, niezmiennie skrupulatny łakomczuch, pozostawił nam najcenniejsze wspomnienia kulinarnych obyczajów Woźdia. Wygląda na to, że Stalinowi sprawiało przyjemność wymyślanie nowych potraw, które jego kuchmistrze następnie dopracowywali. Jednym szczególnie ulubionym była pewna „ni to zupa, ni to danie główne”.

„Oho” – pomyślałam sobie.

„W dużym garnku – pisze Mikojan – mieszali bakłażany, pomidory, kartofle, czarny pieprz, liść laurowy i kawałki chudej

jagnięciny. Podawano to na gorąco. Dodawali jeszcze kolendry [...] Stalin nazywał to aragwi".

Nie, nie było co do tego wątpliwości. Mikojan opisywał klasyczną gruzińską potrawę zwaną czanachi. Stalin widocznie przezwał ją aragwi na cześć jednej z gruzińskich rzek albo ulubionej gruzińskiej restauracji w Moskwie, a może i jednego, i drugiego.

Zadumałam się jeszcze chwilę nad Mikojanem. Z pozoru niezatapialny przez większość swej kariery, w roku 1953 już długoletni współpracownik Stalina, dawniej komisarz przemysłu spożywczego, a teraz zastępca przewodniczącego Rady Ministrów, w końcu jednak popadł w niełaskę. Najpierw Wożd' wywalił jego i Mołotowa z plenum Komitetu Centralnego, potem obydwu przestano zapraszać na „obiady” w Kuncewie. Mikojan z pewnością każdego dnia spodziewał się swojego końca. Jego syn wspomina, że ojciec trzymał w biurku broń, szybką kulę, wyjście lepsze niż aresztowanie, które pociągnęłoby za nim jego dużą ormiańską rodzinę. Anastas Iwanowicz był brutalnie kalkulującym karierowiczem. Mimo to gdy tak siedziałam z moją brandy, ogarnęło mnie nagłe współczucie.

Z rozmyślań wyrwał mnie dzwonek telefonu.

– Rozwiązałam dylemat z czanachi! – oznajmia z dumą Mama. – Czy niedługo przed śmiercią Stalin nie planował czasem kolejnych ludobójczych czystek, tym razem przeciwko Gruzji?

– Hm, no tak. Chyba tak – przyznaję w osłupieniu.

O tych planowanych czystkach nie było tak głośno jak o antyżydowskich, ale rzeczywiście Stalin wydawał się nosić z zamiarem czystek etnicznych wśród swoich kaukaskich współziomków. A konkretniej, wziął sobie za cel Megrelów, gruzińską mniejszość, której dumnym synem był Beria. Mógł to

zresztą być zwoalowany ruch przeciwko samemu Berii. – No więc – woła Mama – możemy podać czanachi w hołdzie uciśnionym Gruzinom!

– Za śmierć Stalina! – huknęła Katia, gdy nalałam wódki. – Trąćmy się!

Inna jest w szoku.

– Ależ Katiusz, trącanie się za zmarłych to zły znak!

– *Otóz to!* Musimy się trącić, żeby to ścierwo zgnilo w grobie!

Nadszedł wreszcie 5 marca. Za oknami Mamy na Queensie szumi padający deszcz, my zaś celebujemy zgaszenie płomienia Stalinowej świecy. Katia, Musia, Inna – osiemdziesięciokilkuletnie damy przy maminym stole sięgają po półmisek z widowiskową sałatką z krabów spoczywającą między obfitością owoców i butelek *sowietskoje* z bąbelkami. Nareszcie zjawia się Swieta, drobna, blada. Dawno, dawno temu, gdy była jedną z moskiewskich piękności, to u niej mieszkał wielki poeta Josif Brodski, gdy przyjeżdżała z wizytą z Leningradu. Uderza mnie ta myśl.

– Poszłam – chwali się Swieta z szerokim uśmiechem – na pogrzeb Stalina!

– Miszugina – gderą Katia, stukając się palcem w czoło. – Ludzie tam ginęli!

Gdy menstrualnych rozmiarów kondukt jeszcze się powiększał, a żałobników tratowano, Swieta mocno trzymała się szkolnego wieńca, przez całą drogę do Sali Kolumnowej.

– Czy ta jagnięcina zdziebko nie za twarda? – mówi Musia, oceniając czanachi, maminego hołdu dla uciśnionych Gruzinów. Ja dolewam jeszcze oliwy do ognia, podstępnie zwracając uwagę na związek z biesiadami w daczy Stalina. Mama piorunuje mnie wzrokiem. Wychodzi do kuchni, kręcząc głową.

– No i proszę, dziewczynki – zamyśla się Inna. –

Aresztowania, represje, donosy... *Wszystko to przeżyłyśmy...*, a jednak zdołałyśmy ocalić swoją przyzwoitość.

Zjawia się Mama z postnymi inteligenckimi pierożkami.

– Koniec już ze Stalinem – błaga. – Czy nie możemy przejść do *ottiepieli*?

Niespełna rok po śmierci Stalina Ilja Erenburg, układna literacka szara eminencja, opublikował mierną nowelę krytykującą socrealistycznego artystę-wyrobnika oraz prostackiego dyrektora radzieckiej fabryki. Czy coś w tym rodzaju, nikt dziś dokładnie nie pamięta treści. Przetrwał natomiast tytuł, który miał wkrótce zdefiniować erę liberalizacji i nadziei za rządów Chruszczowa.

Ottiepiel. Odwilż.

W 1955 roku, po zaciekłej walce o władzę – Stalin bowiem nie wyznaczył żadnego następcy – Chruszczow miał już pełne przywództwo w naszej socjalistycznej *Rodzinie*. Tyle że nikt nie nazywał tego brzuchatego, ze szparami w zębach, byłego metalowca Orłem Góra ani Geniuszem Ludzkości. A Ojcem Narodów? Wolne żarty. Nazywano go grzecznie Nikitą Siergiejewiczem albo po prostu Nikitą, ludowym imieniem słowiańskim, jakże mocno kontrastującym z wyniosłą, egzotyczną gruzińską innością Stalina. Najczęściej jednak towarzysze na ulicy mówili o nowym przywódcy *Chruszcz* (chrząszcz) albo *Łysyj*, a później *Kukuruznik* (Kukuruźnik) z powodu jego autodestrukcyjnej w ostatecznym rozrachunku słabości do kukurydzy.

Określanie przywódcy w tak poufały sposób było samo w sobie wstrząsem tektonicznym.

– Nie zapomnę tego uniesienia w poczatkach odwilży, równie intensywnego jak strach za Stalina! – ciągnie Inna. W tych uderzających do głowy dniach była zatrudniona w Moskiewskim

Instytucie Filozofii. – Nikt nie pracował, nikt nie jadł, tylko rozmawialiśmy i rozmawialiśmy, paliliśmy i paliliśmy, aż mdleliśmy z tego wszystkiego. Co się stało z naszym krajem? Jak mogliśmy do tego dopuścić? Czy ten nowy kult szczerości nas zmieni?

– *Festiwal!* – pisząc jednocześnie Katia i Swieta. Na samo wspomnienie zrywają się z krzesel.

Jeśli można mówić o głównym bodźcu kulturalnym, który dał sygnał do odwilży, byłby to „Festiwal”. W lutym 1956 roku Chruszczow wygłosił swój epokowy „tajny referat” potępiający Stalina. Siedemnaście miesięcy później, chcąc pokazać światu cudowną przemianę społeczeństwa sowieckiego, przywódcy Komsomołu, mając poparcie Łysego, zorganizowali w świeżo zdestalinizowanej stolicy Rosji VI Międzynarodowy Festiwal Młodzieży.

Dla moskwiów te upalne dwa tygodnie w lipcu i sierpniu 1957 roku były wydarzeniem, które nie mieściło się w głowie. „*Festiwal? Niet... skazka (bajka)!*” Swieta coś nuci, a jej blada twarz nagle nabiera koloru.

Skazka, nie inaczej. Kultura, w której jeszcze parę lat wcześniej słowo *inostraniec*(cudzoziemiec) oznaczało „szpiega” albo „wroga”, nagle na krótką chwilę podniosła żelazną kurtynę, wpuszczając powódź dżinsów, boogie-woogie, sztuki abstrakcyjnej i gitar elektrycznych. Moskwa jeszcze nigdy – nigdy! – nie widziała podobnego spektaklu. Dwa miliony oszołomionych tubylców wiwatowały na cześć trzydziestu tysięcy delegatów z ponad stu krajów podczas rozpoczynającego festiwal pochodu rozciągniętego na przestrzeni dwudziestu kilometrów. Odmalowano domy, zdyscyplinowano pijaków, miejskie place i parki przemieniły się w sale taneczne. Koncerty, teatr, widowiska artystyczne i ulica jako żywioł spontanicznych kontaktów. Temu internacjonalistycznemu latu przypisuje się wszystko, od rozprzestrzenienia ruchu dysydenckiego w całym

Związkowi Radzieckim aż po obudzenie świadomości narodowej Żydów. (Na spotkanie z delegacją izraelską zjechali się Żydzi z całego ZSRR). Najważniejsze jednak ze wszystkiego było chyba to: pierwsza prawdziwa iskra wszechwładnego mitu *zagranicy*, słowa przepełnionego treścią, które miało rozpalać, drażnić i poruszać sowieckie umysły aż do samego upadku ZSRR.

I miłość, piknik miłości, Chruszczowowski Woodstock.

Swieta straciła głowę dla mierzącego dwa metry dziesięć rudowłosego Amerykanina. *La bella Katia*, tłumaczka delegacji włoskich piłkarzy, miała wielu *inamoratos*, z których jeden na koniec zagroził samobójstwem. Na pożegnanie zdruzgotany Romeo rzucił jej z okna pokoju hotelowego jakąś paczuszkę.

– No to odwijam w domu – woła Katia. – Majtki! Przejrzyste błękitne majtki!

Goście Mamy pokładają się ze śmiechu.

– A pamiętacie te radzieckie reformy? Tylko w dwóch kolorach, różowe albo niebieskie, długie do kolan. I sadystycznie elastyczne!

Larysa również zakochała się w obcokrajowcu z Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży. A on w niej.

Lucien był drobny, mocno opalony, o wyrazistych rysach twarzy i żywych, ciemnych oczach. Nosił wytworną krótką skórzana kurtkę i zamszowe półbuty, tak nieskazitelne i wyglądające na tak wygodne, że od razu go zdradzały: to *nie nasz*. Urodzony w Paryżu, wychowany na Korsyce, prowadził francuskie liceum w marokańskim mieście Meknes – ów koktajl kulturowy odurzył Mamę. W jej rozlatującym się winylowym albumie ze zdjęciami liczba zdjęć zrobionych Lucienowi w ciągu owych dwóch tygodni trzykrotnie przewyższa liczbę zdjęć Taty. Połączyło ich zainteresowanie esperanto. Lucien siedział koło Mamy na pierwszej festiwalowej sesji plenarnej poświęconej esperanto, a dwa dni później, pod jedną z tych menstrualnych

stalinowskich fasad na ulicy Gorkiego, objął ją, jak gdyby była to najoczywitsza rzecz na świecie. Emanował urokiem i dobrodusznością. Mama, wówczas dwudziestotrzyletnia, w całym swoim dotychczasowym życiu nie miała adoratora, który wyraziłby swoją fascynację z taką rozbrajającą bezpośredniością, z taką słodyczą. Trzy słowa, które znała w esperanto, pozwoliły jej jakimś cudem wyrazić Lucienowi najskrytsze uczucia, z którymi rosyjski wcześniej nie dawał sobie rady.

I jest to zrozumiałe. Pomimo całego odwilżowego gadania o uczciwości sowiecka ruszczyna nie była skrojona do życzliwości czy intymności ani też, bo ja wiem, do nieskrępowanego lirycznego szczebiotu. Jak napisał nasz znajomy Sasza Genis, teoretyk kultury, państwo zawłaszczyło wszystkie subtelne, bogate w sens słowa. Przyjaźń, ojczyzna, szczęście, miłość, przyszłość, świadomość, praca – wszystkie je można było ująć w ironiczny cudzysłów.

„Panienko, a może wspólnie będziemy budować komunizm?” – tak podrywano dziewczęta w metrze. Dla dziewcząt było to przekomiczne.

A oto jak wyglądał nieśmiały i zawiły radziecki rytuał zalotów. Igor spotyka Lidę w akademiku albo na prywatce. Przysiadają na parapcie i palą papierosy. Zachwycony Igor przekomarza się z Lidą, kokieteryjna Lida przekomarza się z Igorem. Odprowadzając Lidę do domu, Igor chwali się swoją znajomością Hemingwaya, przy okazji napomknie, że tak się akurat składa, iż ma bezcenne bilety na festiwal filmów włoskich w kinie „Udarnik”. Potem stoi jeszcze jakiś czas na półpiętrze koło jej mieszkania. Z wystudiowaną nonszalancją mamrocze coś o jej telefoncziku (ironiczne zdrobnienie od numeru telefonu). Po kilku tygodniach albo miesiącach skromnych prezentów w postaci goździków, błędzenia po smaganych wiatrem bulwarach i gorączkowego obmacywania

na obsikanych przez koty korytarzach wreszcie następuje skonsumowanie związku. W krzakach rojących się od mrówek – jeśli jest akurat ciepło. Lida zachodzi w ciążę. Jeśli Igor jest przyzwoitym człowiekiem, to pójdą do ZAGS-u, czyli urzędu stanu cywilnego, a ich wspólna droga życia będzie oznaczała wprowadzenie się do „miejsca zamieszkania” jej bądź jego rodziców, gdzie w ciasnoci zamieszkuje już ojciec pijak, wiecznie wrzeszcząca matka, szarogęsząca się babka – wdowa wojenna oraz nieznośny brat, młody pionier. Młody pionier lubi podglądać młodych małżonków w chwilach intymnych. Życie małeńskie staje się coraz przyjemniejsze.

Już jako dziewięciolatka podejrzewałam, że nie dla mnie tego rodzaju szczęście małeńskie. Miałam inny plan, obejmujący zagranicę. Zagraniczny mąż miał być moją przepustką z tej ponurej „nowej drogi” do wspaniałego życia, pełnego prestiżowych zagranicznych dóbr materialnych. Mama, romantyczniejsza z natury, należała zarazem do pokolenia bardziej idealistycznego niż moje. W jej marzeniach o zagranicy nie występowały towary dostępne za twardą walutę, w ów bogaty w treść termin wypisywała za to rozpaczliwą tęsknotę za światową kulturą. Czy może raczej – za Światową Kulturą. Po fiasku kosmologii stalinowskiej i odsuwaniu się przez Mamę od jej typowo sowieckich rodziców kultura zastąpiła w jej życiu wszystko inne. Stała się jej prywatną religią.

Gdy Lucien opowiadał o Maroku, Mama wyobrażała sobie siebie w jakiejś ekscytującej matisse'owskiej krainie marzeń. Jego rzucane od niechcenia uwagi o odwiedzinach u babci na francuskiej wsi pobudziły Mamę do fantazji w duchu Prousta. Zdawało jej się, że dotyka filiżanek z cieniutkiej porcelany w salonie *la grand-mère*, że słyszy cichutkie grzechotanie jej pereł. Prezenciki od Luciena – na przykład skórzana marokańska portmonetka zdobiona wytłaczanymi złotymi gwiazdami – nie

były jakimiś tam dobrami materialnymi, lecz totemami dalekich, tajemniczych swobód. „Pamiątka z wolnego świata dla kogoś zamkniętego w więziennej klatce” – tak to dziś Mama ujmuje.

O małżeństwie nigdy nie było mowy. Lucien został na całe dwa tygodnie. Lecz dzięki samej tylko niersyjskiej miękkości jego dloni, którą trzymała w swojej, Mama poczuła, że jej odwieczne wyobcowanie nabiera nagle namacalnego kształtu, wyartykułowanego pragnienia: oderwać się fizycznie od sowieckiej rzeczywistości. W jeden ze skwarnych dni sierpnia 1957 roku, gdy Lucien odjechał, zostawiając jej *Germinal* Zoli z namiętną dedykacją w esperanto, zrozumiała, że i ona odjedzie. Zanim to jednak nastąpiło, prawie dwie dekady później, Mama wyobrażała sobie, że żyje w swym własnym czwartym wymiarze poza sowiecką czasoprzestrzenią.

– Byłam antysowiecka – mówi – lecz zarazem asowiecka, na wewnętrznej emigracji, w kokonie mojego prywatnego „kosmopolitycznego” mikrokosmosu.

W jej prywatnej baśni.

Chcąc zapełnić pustkę po Lucenie i festiwalu, Mama rzuciła się z powrotem w wir gotowania – lecz teraz jej kuchenne fantazje przybrały nowy kształt. *Księga o smacznym i zdrowym jedzeniu* została pogardliwie odrzucona, nową inspiracją była *zagranica*. Jak właściwie smakuje to wyimaginowane Gdzie Indziej? Mama nie miała pojęcia. Choć potrafiła przynajmniej w myślach czuć smak kulebiaków i botwin, tak ponętnie opisywanych przez Czechowa i Gogola, to dania zachodnie były tylko nazwami, nierozszyfrowanymi znakami z alternatywnych rzeczywistości domowych. Brak przepisów też miał swój urok, można było wypełniać te obco brzmiące nazwy dowolnymi smakami.

Mama, niezmiennie zadowolona i niezrażona niedoborami

produktów spożywczych w sklepach, znów przemieniła kuchnię rodzinów w marzycielski warsztat domowy. Kto wie, czy nie była pierwszą moskwianką, która upiekła pizzę, na podstawie „dostosowanego” przepisu z przemyconego pisma „Family Circle”, pożyczonego jej przez koleżankę, której ojciec pracował kiedyś w Ameryce. Kogo obchodziło, że ta „pizza” nosiła znamiona podobieństwa do rosyjskiego pieroga z mięsem, tylko otwartego, polanego keczupem i posypanego serem „Sowietskij”? Tak naprawdę nie istniał składnik, który byłby dla Mamy zbyt nijaki na smakowe eksperymenty.

- Dziś robię *pot-au-feu!* – oznajmiała pogodnie, rzucając okiem na gnijącą kapustę. – Czytałam o tym u Goethego, to chyba zupa!
- Smakuje jak twój zwykły cienki kapuśniak – mruczał jej brat Saszka.

Mama nie zgadzała się z tą oceną. Przekonała się, że już samo inne nazwanie dania ma moc odmieniania jego smaku.

Co kilka tygodni przychodził z Maroka list od Luciena. „*Mia kariga eta Lara*, moja najdroższa mała Laro – tak się zawsze rozpoczynał. – Moje serce jest niepocieszone – pisał już po roku. – Dlaczego moja *kariga* Lara przestała się odzywać?”

Kariga Lara była jednak już wtedy po uszy zakochana w kimś innym. Kimś o imieniu Siergiej, kto jej zdaniem wyglądał niesamowicie, jak francuski pożeracz niewieścich serc Alain Delon z filmu *Rocco i jego bracia*, który obejrzała na festiwalu filmów włoskich.

Mama i ojciec poznali się pod koniec 1958 roku. On miał 24 lata, był 3 lata młodszy od niej. Wpadli na siebie w kolejce, a ich romans rozkwitał w kolejnej kolejce, co – jak sądzę – czyni mnie owocem radzieckiej gospodarki niedoboru (*deficytu*) z jej wszechobecnymi kolejkami.

Przeciętny *homo sovieticus* spędzał jedną trzecią swojego

wolnego czasu w kolejkach za tym lub owym. *Oczeried'* (kolejka) spełniała rolę egzystencjalnej kładki nad przepaścią, łącznika między osobistymi pragnieniami a zbiorową dostępnością uzależnioną od kaprysów scentralizowanej dystrybucji. Był to jednocześnie sposób porządkowania socjalistycznej rzeczywistości, pełen adrenaliny krwawy sport oraz specyficznie sowiecki los, mówiąc słowami pewnego socjologa. Albo pomyślmy o *oczeriedi* jako metaforze drogi życiowej obywatela: rozpoczyna on stanie w kolejce od działu rejestrowania urodzeń, a kończy na liście oczekujących na przyzwoite miejsce na cmentarzu. Podoba mi się również koncepcja *oczeriedi* jako „quasi-namiastki kościoła”, zaproponowana przez Władimira Sorokina, postmodernistycznego *enfant terrible*, którego absurdystyczna powieść *Kolejka****** składa się w całości z fragmentów kolejkowych dialogów – lingwistycznego dialekту osadzonego na jakże wytrwały słowie *stojat'* (stać).

Stała pani? Stałam. Trzy godziny. Dostałam uszkodzone. Nie ten rozmiar.

A oto czym kolejka nie była: szarym, bezwładnym nigdzie. Wyobraźmy sobie jakiś wszechsowiecki plac, hałaśliwe zbiegowisko, gdzie towarzysze wymieniają się plotkami i obiegami, dowiadują się najświeższych nowinek, przemilczanych w gazetach, wdają się w bójki na pięści albo oddają sobie przyjacielskie przysługi. W latach trzydziestych NKWD miało w kolejkach swoich informatorów, dzięki czemu znało nastroje społeczne, przedko przekazując te materiały wywiadowcze prosto na biurko służące Stalinowi do niepokojujących rozmyślań. Kolejki kształtowały opinię społeczną i rodziły doraźne wspólnoty – obywatele wszelkich środowisk i zawodów *stoją* zjednoczeni przez chyba jedyne prawdziwie kolektywne, autentyczne sowieckie emocje: żądzę i niezadowolenie (a nie należy zapominać o jednoczącej ich wrogości względem weteranów wojennych oraz kobiet

ciężarnych, czcigodnych towarzyszy, którzy mieli prawo nabywać towary bez czekania).

Zdarzały się kolejki zabawne, nawet pokrzepiające – twierdzi Mama. Takie były kolejki do wydarzeń kulturalnych w Moskwie doby odwilży – kultura była towarem deficytowym jak wszystko inne. Dzięki podniesieniu żelaznej kurtyny przez Chruszczowa Moskwa została wówczas wręcz zalana eksportem kulturalnym. Scofield w roli Hamleta, Olivier w roli Otella, legendarny Gérard Philipe grający Corneille'a, Brechtowski Berliner Ensemble pod kierownictwem wdowy po pisarzu... Stokowski, Balanchine, Bruno Walter – Mama chłonęła wszystko. Nie wspominając już o rodzinnych skarbach. Szostakowicz wykonujący swój kwintet fortepianowy albo kometa baletu Galina Ułanowa.

– Tak dużo wystawałam w kolejkach, że na dobrą sprawę nie było kiedy jeść ani oddychać – lubi przechwalać się Mama.

Podobnie jak kolejki po samochód albo telewizor, ciągnące się nieraz miesiącami, a nawet latami, również kolejka po Kulturę przesuwała się zgodnie z określona logiką i porządkiem. Raz poczta pantoflowa, raz oficjalne ogłoszenie sprawiały, że maszyna szła w ruch. „Starszy kolejkowy” – nadpobudliwy kapłan kultury wysokiej – ruszał do działania, zakładając spisok(listę). Przyjaciele, choć wciąż o lata świetlne odlegli od kasy, dyżurowali na zmiany przez okrągłą dobę, do wszechwładnego spiska dopisując nowych, przydzielając numerki. Wiele maminych przyjaźni zrodziło się właśnie przy *pieriekliczkach*, odczytywaniu listy, gdy obecny musiał być każdy kolejkowicz. Przypominało to inteligenckie przyjęcia, tyle że odbywały się one w chłodzie na chodnikach, gdy od mrozu pękały buty, albo w wietrzne majowe dni, gdy wichry niosły fale białych kotek z topoli.

– Oho! Idzie ta przebiegła Frumkina! – krzyknęła Inna, ciemnowłosa „starsza kolejkowa”, gdy Mama po raz któryś z

kolei niemożliwie spóźniła się na apel kolejki po bilety na francuski balet.

– Oho, przebiegła Frumkina! – zawała kpiąco jakiś nieznajomy, bardzo chudy i bardzo młody, o błyszczących zielonych oczach osadzonych w wampirycznej bieli. Mama rzuciła mu gniewne spojrzenie, lecz tej samej nocy nie mogła zasnąć, myśląc, jak bardzo przypomina jej Alaina Delona.

Koniec końców występ francuskiego baletu odwołano, lecz Mama zauważała teraz Siergieja i w innych kolejkach, coraz bardziej zaintrygowana jego nieśmiałą zaczepnością, upiorną bladością, a nadto wszystko mocną pozycją w świecie kolejek kulturalnych. Pod tym względem Tata był tytanem.

Mój ojciec Siergiej był dzieckiem zaniedbywanym. Ałła urodziła go jako młoda, dziewiętnastoletnia dziewczyna. Gdy miał kilkanaście lat, ona wciąż wyglądała olśniewająco – metr osiemdziesiąt, tlenione włosy, wdowa wojenna ze skłonnością do wódki, klnąca, grająca w bilard i karty, a do tego czynna zawodowo (urbanistyka) i jeszcze czynniejsza w życiu miłosnym. Podczas schadzek odbywających się w ich jedynym pokoju w koszmarnym mieszkaniu komunalnym – a byli to przeważnie żonaci mężczyźni – Ałła wyganiała Siergieja z domu. Tata i tak spędzał większość czasu na ulicy, jak typowy powojenny sierota, apatyczny, cyniczny, bez złudzeń. Jednego dnia wyszedł ze swojej odrapanej kamienicy i wałęsał się obok wspaniałej kolumnowej fasady Teatru Bolszoj, z rydwanem Apollina na szczycie jońskiego portyku. Gwizdał sobie, a w kieszeni miał pięć rubli, kwotę jak na owe czasy słuszna, prezent od zamożnego wujaszka na piętnaste urodziny. Siergiej przechadzał się więc pogrążony w słodkich rozważaniach, jak wyda pięć rubli, gdy wtem wyrósł obok niego konik.

Pięć rubli za jedno pięćdziesięciokopiejkowe miejsce na *Jezioro łabędzie* w Teatrze Bolszoj – i to dziś wieczór.

Dla zgrywy Tata wręczył mu piątaka. Głównie dlatego, że choć codziennie przechodził obok teatralnego gmachu, to jeszcze nigdy nie był w środku. Potężna czerwona aksamitna kurtyna, zdobiona miriadami maciupkich sierpów i młotów, uniosła się powoli, nikając w ciemności. A gdy już opuszczono ją z powrotem i zapalone światła, Tata zdążył wpaść po uszy. W tamtym okresie Moskwa leżała plackiem przed Galiną Ułanową, szybującym sylfem uznanym za najrzewniewszej liryczną balerinę XX wieku. Przez cały spektakl Siergiejowi wydawało się, że to on unosi się w powietrzu. I tak oto Tata został zawodowym fanem Ułanowej, uczęszczając przy okazji na wszystko inne w Teatrze Bolszoj i na większość w Konserwatorium Moskiewskim. Niebawem sam został konikiem. I randkował z długoszyimi łabędzikami z *corps de ballet* Teatru Bolszoj.

Tymczasem jego studia politechniczne minęły jak zły sen. Siergiej, z natury arogancki, a przy tym znudzony mechaniką i fizyką, chadzał w kratkę na zajęcia w prestiżowych instytutach. Tuż przed egzaminami na ostatnim roku Ałła wróciła właśnie do domu po operacji i wciągnęła go w intensywną trzydniową grę w karty przy wódce. Siergiej nawet nie poszedł na egzaminy, nie zależało mu. Jego życiem i narkotykiem była „kolejka kulturalna”. Nie stronił też zresztą od prawdziwych narkotyków, głównie kodeiny, której zawiączała swą wampiryczną karnację. Zaszedł więc do jakieś kliniki, gdzie życzliwi sowieccy lekarze doradzili mu, że najlepszym sposobem na pozbycie się narkomanii jest picie. Na umór. Co też Tata czynił.

Dzień przed rozpoczęciem sprzedaży biletów „kolejka kulturalna” przybierała kulminacyjną postać hałaśliwego maratonu osób fizycznie stojących aż do samej linii mety. Mogła tak stać 12 godzin, a czasami i 18, przez całą noc, wykańczając Mamę fizycznie, za to ładując ją adrenaliną. I ostatnia prosta! Jednego ranka pod koniec maja Larysa i Siergiej chwiejnym krokiem odeszli od kasy niczym para triumfujących zombie. W

ich kieszeniach tkwiły bilety na wszystkie pięć występów Nowojorskich Filharmoników pod batutą Leonarda Bernsteina, które miały się odbyć dopiero za kilka miesięcy. Mama kupiła butelkę maślanki z zielonym kapslem i *kałorijnyje bułoczki*, miękkie jak puch i nadziewane rodzynkami, i razem padli jak nieżywi na długą łukowatą ławkę przy Wielkiej Sali w Moskiewskim Konserwatorium. W porannym słońcu jego neoklasyczny gmach lśnił kremową żółcią. Mama i Tata pocałowali się pierwszy raz pod pomnikiem siedzącego Czajkowskiego, który przyzywa swą muzykę. Obok nich do pracy ciągnęli mężczyźni z ciężkimi aktówkami, a krzepkie kobiety w chustkach na głowie handlowały pierwszym w tym sezonie bzem.

Przez kilka tygodni Larysa i Siergiej byli nierożłączni. Potem on ochłodził. Przypominał próżnego, tajemniczego kota, pojawiając się, to znów znikając, w jednej chwili namiętny, w następnej osowiały i zobojętniały. W lipcu zniknął na dobre. Skończył się też sezon kulturalny. Mijały dni i tygodnie bez żadnej wieści od niego, kończyło się lato, a Mamę skręcało w środku na wieść, że Siergiej chodzi z Inną, starszą kolejkową. Z Inną o błyszczących czarnych włosach, porcelanowej cerze i bogatym ojcu.

Tymczasem cała Moskwa wystawała teraz w innej kolejce, wprawdzie nie tak epokowej i tragicznej w skutkach jak kolejki podczas pogrzebu Stalina, lecz równie długiej i mozolnej jakoczeried' do Mauzoleum Lenina. Stano mianowicie w Parku Sokolniki w celu skosztowania pepsi-coli. Znalazła się tam nawet moja przybita Mama.

Na długo przed oficjalnym otwarciem Amerykańskiej Wystawy Narodowej moskwińscy ciągnęli do Sokolnik na północy miasta, aby zobaczyć, co słychać czy też raczej co widać. Wśród świeżej zieleni amerykańscy budowlańcy pomagali wznosić spektakularną kopułę geodezyjną

Buckminstera Fullera, aż 2800 metrów kwadratowych złocistego, anodowanego aluminium. Dziką ciekawość budziły nawet kolorowe kaski robotników.

Dla miejskiej inteligencji *Amierika*, której obraz kształtowano sobie na podstawie powieści, muzyki i filmów, jawiła się jako gorączkowo pożądane, mityczne Inne. Obsesję na punkcie *Amieriki* miał także Chruszczow. Nikita Siergiejewicz przejawiał typową dla *homo sovieticus* mieszaninę zazdrości, fascynacji, rozgoryczenia i zachwytu. (W późniejszej części roku miał z impetem objechać Stany Zjednoczone). Gadatliwy, nieobliczalny premier, „produkując pociski masowo jak kiełbasę” – jak sam się szczycił – jednocześnie głądał o „pokojowej koegzystencji”, deklarując, że побije kapitalistycznego wrogo-przyjaciela bez stosowania siły, „we wszystkich wskaźnikach ekonomicznych”. *Dognat' i pieriegnat'* (dogonić i przegonić) – tak się to nazywało, socjalistyczny slogan o długich tradycjach, teraz skierowany przeciwko potężnym Jankesom. Jak w haśle: „Dogońmy i przegońmy Amerykę w produkcji nabiału i wołowiny!”. Towarzysze na ulicy znali jednak wynik. „Lepiej nie przeganiajmy – radził pewien popularny kawał – bo Jankesi ujrzą nasze gołe tyłki!” Tymczasem nie tak cyniczni Amerykanie zabezpieczali swoje schrony przed czerwonymi pociskami międzynarodowymi, a nocą dręczyły ich koszmary o praniu mózgu.

W tak rozgorączkowanej atmosferze Rosja wykonała gest będący grą na zwłokę, proponując pierwszą w dziejach wymianę wystaw „nauki, techniki i kultury”. Stany Zjednoczone przystały na to. Jako pierwsi zaczęli Sowieci. W czerwcu 1959 roku w nowojorskim Coliseum w rolach głównych wystąpiły trzy połyskliwe Sputniki ze swymi owadzimi czułkami, a jako obsada drugoplanowa modele elektrowni i rzędy pękatych chromowanych lodówek.

Miesiąc później w Moskwie, za kwotę równą około jednej trzeciej sowieckiego budżetu, Jankesi odpowiedzieli oślepiającym konsumpcjonistycznym blaskiem – na wielu hektarach Parku Sokolniki. Towary na wystawę przekazało blisko 800 firm.

„A cóż to znowu – grzmiały »Izwestia« – wystawa narodowa wielkiego kraju czy raczej dział domu towarowego?”

Otóz przebiegle połączono jedno z drugim.

Jako dziewczynka Mama zwiedziła socjalistyczną baśniową krainę Wszechzwiązkowej Wystawy Rolniczej w Moskwie. Teraz, dokładnie dwadzieścia lat później i ledwie kilometr czy dwa dalej, w Sokolnikach, znalazła się w potomkinowskiej wiosce konsumenckiego kapitalizmu. Która z nich zrobiła na niej większe wrażenie? Gdy o to pytam, Mama zwykle chichocze i przewraca oczami.

Wewnątrz złocistej kopuły Buckminstera siedem gigantycznych ekranów, umiejscowionych wysoko przez projektantów Charlesa i Raya Eamesów, pobłyskiwało odpowiednio zsynchronizowanym krótkim filmem *Migawki z USA*. Mama stała z rozdziawioną buzią, mrugając oczami, gdy 2200 zdjęć pulsowało obrazami „typowego” dnia roboczego i niedzieli na amerykańskich przedmieściach, z długim ujęciem kwiatków na koniec.

– *Niezbudki...* – wymamrotała Mama razem z oczarowanym tłumem.

Poza kopułą, w Pawilonie Szkłanym, rozciągało się imperium sprzętu domowego. Wewnątrz urządzoneo wzorcowe mieszkanie, na zewnątrz stał modelowy dom. Corvette i cadillac nęciły pożądliwy wzrok. Były też abstrakcyjne ekspresjonistyczne dzieła malarskie do zadumy, wystawa książek, które można było zwędzić, i trzystusześćdziesięciostopniowa Circarama z Disneylandu, gdzie można było zajrzeć i wyruszyć w podróż

przez Amerykę. Po wybiegach przechadzały się modelki, rozbrzmiewał dekadencji jazz, a wiecznie uśmiechnięci amerykańscy przewodnicy odpowiadali wszystkim gościom płynną ruszczyną. Jedna z przewodniczek miała oko na bliskiego znajomego mamy Radika. Mama nie mogła się nadziwić nieradzieckiej bezceremonialności tej *Amierikanki* oraz jej fantastycznym, dużym zębom.

W takiej to scenerii w dzień pokazu prasowego, 25 lipca, rozgorzała spontaniczna dialektyka, znana dziś jako debata kuchenna, pomiędzy Nikitą a Nixonem. Nadal utrzymywało się napięcie z powodu zachodnich żądań zachowania swobodnego dostępu do Berlina Zachodniego, wówczas otoczonego przez Niemcy Wschodnie. Chruszczow był dodatkowo wzburzony ponownym przyjęciem przez Kongres amerykański dorocznej rezolucji o „narodach ujarzmionych”, która zachęcała do modlitwy za kraje satelickie za żelazną kurtyną. Chował w sercu urazę, poprzysięgając, że nie zrobi na nim wrażenia amerykańska wizja obfitości. Nixon***** z kolei zabiegał o nominację republikanów w wyborach prezydenckich w 1960 roku. Musiał wyglądać na niepokonanego.

A oto przebieg wydarzeń w Sokolnikach:

Dostępny na miejscu model studia telewizyjnego RCA, południe

NC (Nikita Chruszczow) w słomianym kapeluszu straszy RN (Richarda Nixon), że Rosja niebawem przegoni Amerykę pod względem stopy życiowej. Macha palcami „pa-pa”, jak gdyby właśnie przeganiał USA, rechocze przed kamerami.

Kiosk z pepsi-colą, po południu

RN prowadzi NC na degustację jedynego produktu, którego próbki pozwolono Amerykanom udostępniać. Pepsi stanie się w końcu pierwszym amerykańskim produktem konsumpcyjnym dostępnym w Związku Radzieckim. „Bardzo orzeźwiające!” –

krzyczy NC. Wyzłopuje sześć papierowych kubków. Sowieccy mężczyźni wypytują, czy pepsi można się upić, sowieckie kobiety wyrokują, że rosyjski *kwas* smaczniejszy. Niektórzy sceptyczni towarzysze porównują zapach do benzenu i pasty do butów. W ciągu kolejnych sześciu tygodni „zdegustowani” Sowieci wychylą trzy miliony takich kubków. Wsiowe *babuszki* z wiadrami na mleko będą wystawały w kolejce po kilka razy, nieomal mdlejąc, byle tylko zanieść do kołchozu nudny smak ciepłej *piepsikoli*. Jak wszyscy, Mama na całe lata zatrzyma na pamiątkę swój papierowy kubek.

Kuchnia w Splitniku, tego samego popołudnia

NC i RN sprawdzają wytrzymałość swoich rogów w nowoczesnej kuchni General Electric w szeregowcu z prefabrykatów, nazwanym „Splitnik” (ze względu na przejście zaprojektowane wewnątrz specjalnie dla zwiedzających)*****. Oto smukła pralka! Lśniąca chłodziarka „Frigidaire”! Kartonik ścierczek „SOS soap pads”!

NC (kłamie): „Wy, Amerykanie, wyobrażacie sobie, że naród rosyjski będzie zdumiony na widok tych rzeczy. A prawda jest taka, że we wszystkich naszych domach jest tego rodzaju wyposażenie”.

RN (kłamie): „Nie twierdzimy, że chcemy zdumiewać naród rosyjski”.

Na słynnym zdjęciu z tej debaty wśród towarzyszącego im tłumu widać Mikołajego o haczykowatym nosie, tego, który jeszcze w latach trzydziestych usiłował wykombinować recepturę coca-coli, oraz krzaczastobrewego młodego biurokrata, który zwie się Leonid Breżniew.

Cudowna kuchnia RCA Whirlpool, ten sam wieczór

Po obiedzie i toastach wychylonych kalifornijskim winem adwersarze oglądają jeszcze inną, hiperfuturystyczną luksusową siedzibę ogniska domowego. Zmywarka do naczyń

jest ruchoma i przesuwa się na szynach. A oto zdalnie sterowany robot do zamiatania podłogi.

NC (sarka): „To nie macie maszyny, która wkłada jedzenie do ust i je popycha?“.

Jak pokazały później tajne badania opinii publicznej, na Rosjanach „cudowna kuchnia” również nie zrobiła wrażenia, umieszczano ją na ostatnim miejscu. Na pierwszym widniął jazz do spółki z disneyowską Circaramą. No i co z tego? W przekonaniu Amerykanów wystawa była najbardziej wyrafinowaną zimnowojenną akcją propagandową wszech czasów i taką została ogłoszona.

Mama nie uczestniczyła w badaniach sondażowych, jednak ku swemu zaskoczeniu i przerażeniu znalazła się w gronie tych, którym kuchnia nie zaimponowała. Pogłębiła wręcz w niej uczucie samotności i przygnębienia. Mama bardzo, rozpaczliwie bardzo chciała być zachwycona amerykańską wystawą. Liczyła na to, że będzie to obraz prawdziwej zagranicy, że wyrwie on ją z socjalistycznej posępności i z jeszcze głębszej, jeszcze bardziej dokuczliwej posępności zboląego serca. Tymczasem przez kolejne dni wyobrażała sobie różne jankeskie gospodynies domowe, uwiezione i wystraszone wśród tych kosmicznych lodówek i pralek. Nie mogła sobie siebie wyobrazić – w ogóle – że gotuje swoje *szczi à la pot-au-feu* w jednym z takich stalowych garnków. Ten paradygmat szczęścia, lepionego z plastikowych suszarek do prania, jaskrawie pomarańczowych kartonów z sokami, ekstrawagancko oszronionych, i z nienaturalnie wysokich amerykańskich tortów, wydał jej się równie żałośnie fałszywy jak zawartość *Knigi*. Zadawał gwałt jej intymnemu, prywatnemu marzeniu o *Amierice*. Tak czy inaczej, domowy błogostan – czy to socjalistyczny, czy kapitalistyczny – wydał się odleglejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Od czasu do czasu zjadała kromkę ciemnego chleba z plasterkiem cebuli i nic więcej, i choć był to sierpień, zagrzebała się pod gryzącym

beżowym kocem wełnianym wraz ze swym niebiesko-zielonym tomem *W stronę Swanna*. Sowieci ukradli cudowne rosyjskie słowo oznaczające „towarzysza” i „współpodróżnika”, przytwarzając je do połyskliwej metalowej kuli gnającej przez najczarniejszy kosmos. *Sputnik*. Swann, cierpiący przez niewierność Odety, był dla mamy *sputnikiem* w nieszczęściu. O Siergieju wciąż nie było ani widu, ani słychu.

Wtem jednego dżdżystego wrześniowego dnia, przechodząc przejściem podziemnym nieopodal Teatru Bolszoj, Mama wpadła na Siergieja. Wyglądał blado, bezbronne, dygotał. Larysa dała mu trzy ruble, wyglądało na to, że bardzo potrzebuje się napić. Wziął je i odszedł, odwracając wzrok.

Kilka tygodni później w domu jej rodziców na Arbacie rozległ się dzwonek do drzwi. Był to Siergiej, przyszedł zwrócić pieniądze – powiedział. Aha, i jeszcze coś.

– Bez przerwy wpadam na te baletnice – bąknął. – Są takie kuszące i ładne w tych swoich paczkach*****. Ale ciągle myślę o małej Żydówce... *to ciebie wybrałem*.

W taki oto sposób mój ojciec się oświadczył.

Mama powinna była od razu zatrzasnąć drzwi i przekręcić klucz, schować się pod gryzącym beżowym kocem i nie ruszać się stamtąd. Jednakże pewnego szarego grudniowego południa 1959 roku, po trzech miesiącach wspólnego mieszkania, sformalizowali swój związek.

Pokolenie moich rodziców – pokolenie odwilży – było ponad białe suknie i burżuazyjne wesela. Niekulturalna antyceremonia Mamy i Taty odbyła się w ponurym urzędzie stanu cywilnego ZAGS niedaleko Galerii Tretiakowskiej. Na dworze padał mokry śnieg.

Pod szerokim paltem obląmanym futerkiem wiewiórczym Mama miała zwyczajną niebieską, popelinową bluzkę, szytą ręcznie. Siergiej znów wyglądał blado i niechlujnie, dopiero co

obalił 100 gramów – co to było, spirytus salicylowy? – z kumplami w pracy. Mimo to humory rodzicom dopisywały. W obskurnym holu urzędu wszystko ich bawiło. Pryszczate szesnastolatki czekające na swój pierwszy radziecki paszport wewnętrzny. Podchmielone rodziny i jakiś inwalida wojenny z harmoszką, wygrywający serenady dla podenerwowanych par wyłaniających się z tego taśmowego związywania węzłów. Tamtego dnia Mamie nie przeszkała nawet instytucjonalny odór kaloszy i drażniącego nozdrza środka bakteriobójczego, który już od 1937 roku, od pierwszych wyborów, przyprawiał ją o mdłości.

Z sali ślubów wychynęła jakaś drobna głowa.

– Następna para!

Rodzice przeszli przez obszerny, całkiem pusty pokój, ozdobiony parą kandelabrów w opłakanym stanie, i znaleźli się w mniejszej sali o nagich ścianach, jeśli nie liczyć gigantycznego portretu Lenina z wyciągniętym ramieniem i zmrużonymi oczyma. Ramię wskazywało jednoznacznie w kierunku toalety. Za udrapowanym na stole szkarłatem zasiadała sędzia w otoczeniu dwojga ponurych urzędników. Szerokie czerwone wstęgi przewiązane na ich piersi nadawały im wygląd chodzących sztandarów.

Sędzia spojrzała podejrzliwie na maminą bluzkę domowej roboty. Jej drobna twarz przypominała wydrę wciśniętą pod olbrzymią fryzurę.

– W IMIENIU FEDERACJI ROSYJSKIEJ – drobne usta wydry huknęły nieoczekiwanie jak megafon na pochodzie – GRATULUJEMY...

Mama mocno zacięła szczęki. Popatrzyła na sufit, potem na mrużącego oczy Lenina, następnie na Siergieja, po czym parsknęła histerycznym śmiechem.

– PRZESTAŃCIE ROBIĆ WSTYD, TOWARZYSZKO

MAŁŻONKO – zgromiła ją wydra – BO INACZEJ ZARAZ WAS STĄD WYPROWADZĄ!

Po czym podjęła na nowo:

– CZY PRZYSIĘGACIE WYCHOWAĆ DZIECI WEDŁUG NAJLEPSZYCH TRADYCJI MARKSIZMU-LENINIZMU?

Mama skinęła głową, próbując powstrzymać kolejny wybuch śmiechu.

– OBRĄCZKI! – krzyknęła wydra.

Mama i Tata nie mieli.

– ŚWIADKOWIE, GDZIE SĄ ŚWIADKOWIE?

Podobna sprawa.

Wydra nie bawiła się już w błogosławieństwa. Moi rodzice nie wydali się jej godni zwyczajowych życzeń wszystkiego najlepszego na drodze tworzenia nowej socjalistycznej rodziny.

– PODPISAĆ MI TU ZARAZ!

Wydra szurnęła po czerwonym stole plikiem dokumentów.

Mama wzięła ciężkie niebieskie pióro wieczne o ostrej, złowrogo wyglądającej stalówce. Wydra wyrwała je Mamie z ręki i uderzyła ją nim po knykciach.

– PAN MŁODY PODPISUJE PIERWSZY!

Po trzech miesiącach od pamiętnej napaści za pomocą wiecznego pióra Larysa przeprowadziła się do komunalnego mieszkania teściowej, w którym jedna kuchnia przypadała na 18 rodzin.

CZEŚĆ III ANIA



Mama i ja w ostatni wieczór przed wyjazdem, 1974

6

Lata sześćdziesiąte: Kukurydza, komunizm i kawior

Rok 1963, kiedy się urodziłam, został przez Rosjan zapamiętany jako jeden z najgorszych nieurodzajów w poststalinowskiej historii. Mając wciąż świeżo w pamięci wojenne kartki żywnościowe, towarzysze znów musieli wystawać w kolejkach po chleb z numerkami nagryzmolonymi na dloniach fioletowym tuszem, niejadalnym i tak toksycznym, że według krążącego dowcipu miał wręcz zatruwać krew. Dorośli w całej Moskwie werbowali uczniów szkół, by zastępowali ich w kolejkach. Dzięki uciułanym pieniędzom i dodatkowym porcjom chleba, jakie im dawano, młodzi pionierzy dorobili się niezgorszych fortun, licząc sobie po 10 kopiejek za

kolejkę.

A chleb czekający na końcu kolejki był byle jaki i wilgotny. Nie tyle nawet wilgotny, ile wręcz ociekający dziwaczną zielonkawą mazią – do mąki dosypywano suszony groch. Mimo to nie można powiedzieć, żeby Moskwa stała na krawędzi głodu. Typowa smakowita ironia socjalistycznego systemu dystrybucji żywności polegała na tym, że w niektórych sklepach można było w tym samym czasie dostać krewetki i kraby z Władywostoku. Przeciętny obywatel nie tykał jednak tych egzotycznych różowych dalekowschodnich skorupiaków widniejących na pompatycznych stronicach *Knigi*. Przeciętny obywatel nie miał nawet pojęcia, co to krewetka. Ludzie pluli najbardziej na puszki z kukurydzą za 14 kopiejek, poustawiane na ladach w kształcie piramid z Gizy. *Sama kukurydza – a chleba niet*. Tak właśnie każdy klął na Kukuruźnika, gadatliwego pajaca z Kremla, który ukoronował tę głupią egzotyczną kukurydzę na „nową carycę rosyjskich pól”.

„Jak wyglądają zbiory w 1963 roku? – brzmiał popularny kawał. – Jak fryzura Chruszczowa (łysina)”.

Sprawy nie układały się pomyślnie dla Nikity Siergiejewicza. Po okresie kolosalnego boomugospodarczego i rozwoju naukowego jego kariera przypominała awaryjne lądowanie. Najpierw był ten spartaczony *karaibskij krzis* (czyli kryzys kubański). Potem program Ziem Dziewiczych, zgodnie z którym masowo obsiewano zbożem stepy Azji Środkowej. Początkowo dobrze rokujący, kończył się karykaturalnym fiaskiem w postaci milionów ton wierzchnich warstw gleby, które poszły z wiatrem. A zarządzone w 1962 roku podwyżki cen nabiału i mięsa doprowadziły do zamieszek w Nowoczerkasku na południu kraju. „Mięso Chruszczowa – na gulasz!” – nawoływał jeden z transparentów. Państwo odpowiedziało czołgami, zabijając 23 protestujących.

Masakrę zatajono, nie sposób jednak było ukryć katastrofy

z kukuruzą. Znalazłszy się pod urokiem pewnego farmera z Iowy, który gościł w Rosji w 1955 roku, Łysy wprowadził kukurydzę jako magiczne uprawy, które wykarmią rosyjskie bydło. Kukurydzą na siłę karmiono też ludzi. Podobni z wyglądu do Chruszczowa kuchmistrze wyśpiewywali piosenki w krótkich filmach propagandowych, animowane żyto i jęczmień życzliwie witały nowe zboże nadjeżdżające pociągiem. „Droga do dostańku jest wybrukowana kukuruzą!” – głosiło popularne hasło. Kukurydzę siano wszędzie – i wszędzie ignorowano amerykańskie instrukcje co do siewu i uprawy. Po kilku pierwszych zachęcających żniwach kolejne plony gwałtownie spadały. Zaniedbana pszenica wyrastała jeszcze mizerniej. Kolejki po chleb rosły jak szalone.

W 1961 roku podczas XXII Zjazdu Partii Chruszczow obiecał prawdziwy komunizm – a tymczasem dał kukurydzę. Rosjanie wybaczyliby wiele, lecz brak pszennego chleba upokarzał ich i złościł. Pszenny chleb był symbolem, świętością. Przy wstępowaniu do Komsomołu uczniów pytano o cenę chleba. I biada temu politycznie zapóźnionemu delikwentowi, który by odpowiedział: „Trzynaście kopiejek”. Prawidłowa odpowiedź brzmiała: „Nasz radziecki chleb jest bezcenny”.

Korzystając w jakiejś mierze z tego powszechnego oburzenia, w październiku 1964 roku pewna kremlowska klika zmusiła Chruszczowa do ustąpienia. Przez jakiś czas gazety pisały o jego „subiektywizmie” i „niedorzecznych machinacjach”, o „straconej dekadzie”. Potem w ogóle przestały o nim pisać. Nieznany wcześniej aparaczyk, niejaki Leonid Breżniew, obecnie sekretarz generalny partii, wprowadził ZSRR w nową erę. Stagnacji – tak ją później nazwano. Epokę cynizmu i „zachłanego socjalizmu”. Czas targów, kontraktów i układów, erę żartów o brwiach Breżniewa i anegdot o setnej rocznicy urodzin Lenina, lata pustych półek i sprytem zapełnianych lodówek.

Rozpad małżeństwa moich rodziców był lustrzanym odbiciem upadku Chruszczowa. Mama – produkt ery odwilży – wciąż ciepło myśli o *Kukuruźniku*. Nie może jednak przestać obwiniać jego i jego kukurydzy, i kolejki po chleb o dalsze losy jej związku z moim ojcem.

Mniej więcej rok przed początkiem małżeńskich nieszczęść Mamy poszła ona na *piedsowiet*, czyli radę pedagogiczną, w szkole nr 112 w okręgu 5. Miało się rozpocząć kolejne bezsensowne zebranie *agitprop*. Mamie zrobiło się słabo. Powietrze było gęste od odoru kwasu siarkowego, wodorotlenku potasu i nastoletnich hormonów. Rada zbierała się w klasie towarzysza Biełkina, pyzatego nauczyciela przedmiotów ścisłych, a zarazem krynicy świadomości komunistycznej.

Po części to Mama była winna tych niekończących się toksycznych nasiadówek. Zabrała głos już podczas swej pierwszej „agitki”. Świeżo zatrudniona w tej szkole jako młoda, postępową anglistkę, tylko czekała na okazję poobnoszenia się ze swymi dysydenckimi barwami. Bądź co bądź wciąż trwała odwilż, wszyscy mówili o szczerości. Dopiero co opublikowano antystalinowski *Jeden dzień Iwana Denisowicza Sołżenicyna!*

– Towarzysze – rozpoczęła moja matka swą najlepszą wersją głosu z Moskiewskiego Teatru Artystycznego. – Czego właściwie dowiedzieliśmy się z tego posiedzenia? Dlaczego siedzimy tutaj i słuchamy, jak towarzysz Biełkin odczytuje nam na głos cały dział polityczny „Prawdy”? Czy nie czekają na nas sterty prac domowych do sprawdzenia? Czyż na niektórych z nas nie czekają w domu głodne dzieci?

Przy tym ostatnim zdaniu oracja Mamy nagle się urwała. Choć zbliżała się do trzydziestki, wieku radzieckich babć, nie czekało na nią żadne głodne dziecko. Ciąża pozamaciczna w połączeniu z barbarzyńską sowiecką opieką ginekologiczną nie dawała jej szans na kolejne poczęcie, a „domem” był obskurny pojedynczy pokój w ponurym mieszkaniu komunalnym,

dzielony z mężem i teściową.

– *Tak, tak, tak* – powiedziała *trojka*: przedstawiciel związków zawodowych, sekretarz szkolnej organizacji partyjnej oraz obywatel Jedielkin, dyrektor. – *Tak, tak, tak* – zgodnie stukali ołówkami o blat. – Dziękujemy za podzielenie się opinią, towarzyszko Frumkina.

Pozostali jednak nauczyciele byli zahipnotyzowani jej słowami. Mama dostrzegła ich wdzięczne i pełne podziwu spojrzenia. Wkrótce potem w biurze dyrektora pojawił się komunikat: **OD TEJ PORY ZEBRANIA AGITPROP – OBOWIĄZKOWE**. Pozostali nauczyciele zaczęli Mamy unikać.

To nowe marcowe zebranie ciągnęło się i ciągnęło. Tyle do przedyskutowania. Przyłapano dwóch młodych pionierów, jak zawiązywali swe czerwone chusty na okolicznym kocie. A co zrobić z trzecioklasistką Walą Maksimową, u której podczas lekcji gimnastyki wyszpiegowano krzyżyk pod mundurkiem? W konfrontacji z odpowiedzialnymi kolegami z klasy Wala przyznała się: Jej *babuszka* zabiera ją nieraz do cerkwi.

Nauczycielka Wali dyndała teraz Dowodem A, skonfiskowanym krzyżkiem zawieszonym na tasiemce, jak gdyby trzymała za ogon zdechłą mysz.

– To dopiero nieznośna *babuszka* – stwierdził scenicznym szeptem nauczyciel przedmiotów ścisłych Biełkin. – Za Stalina takie dostawały po 25 lat.

Trup Stalina został dopiero co wyrzucony przez Chruszczowa z Mauzoleum Lenina, aby nie „zepsuć” najszlachetniejszych ze zwłok. Powoływanie się na ospowatego Gruzina nie było w modzie. Zamiast jednak zaprotestować, wszyscy popatrzyli na Larysę. Kilka tygodni wcześniej, poświęcając swoją wolną niedzielę, zabrała uczniów na cmentarz, gdzie niewinni pionierzy zostali narażeni na widok masy krzyży. Uważała to za lekcję z kultury, za sposób na rozwianie w oczach tych dzieci

sowieckiego tabu, jakim był temat śmierci.

– Niektórzy młodzi pionierzy donoszą, że podczas tej wycieczki wspomnieliście o *Jezusie Chrystusie* – Jedielkin wymówił to takim tonem, jak gdyby pobożna *babuszka* Wali wraz z Larysą handlowały opium.

– Chrześcijaństwo jest częścią światowego dziedzictwa – zaprotestowała Larysa.

– Tak, tak, tak – odezwała się *trojka*.

Jedielkin zakończył spotkanie optymistycznym akcentem. Jeśli chodzi o przypadek ucznia Szurika Bogdanowa, to nastąpił wyraźny postęp. Biedny Szurik Bogdanow, uczeń piątkowy, sumienie swojej klasy oraz przodownik w zbieraniu złomu. Zaczął jednak dostawać tróje ze sprawowania. Zrozpaczona matka wpadła do gabinetu Jedielkina i wyjawiła całą straszną prawdę: jej mąż współżyje z koleżanką z pracy. Zamierza ich porzucić. Biedny młody Szurik przeżywa szok.

– Czy sowiecka szkoła może ocalić socjalistyczną rodzinę? – zapytał Jedielkin z dramatyzmem w głosie. Otóż mogła! Skontaktowano się z organizacją partyjną w miejscu pracy *père* Bogdanowa, zwołano publiczne zebranie. Ojciec Szurika i intruzka zostali pouczeni, aby natychmiast zaprzestali niemoralnego współżycia. – I ojciec wrócił do rodzinnego stadła – doniósł Jedielkin, nieomal uśmiechając się z dumy. Socjalistyczne wartości zatriumfowały. Czy towarzysze nauczyciele złożą się na butelkę szampana „Sowietskoje” dla owej pary?

Gdy skończył, Mamie zaczęło brakować powietrza. Chemiczny zaduch w klasie, wtrącanie się *kollektiwu* w życie miłosne jakiegoś nieszczęsnego towarzysza, jej własna ponura sytuacja... Następną rzeczą, jaką sobie przypomina, jest całe grono pedagogiczne wachlujące ją stronami „Prawdy” i spryskujące wodą kolońską. Zemdlała.

Owego tygodnia doktor potwierdził niemożliwe. Zemdlała, bo jest w ciąży. *Trojka* w szkole zasugerowała, że Mama nie musi wracać po urlopie macierzyńskim.

Mama była więc brzemienna, bezrobotna – i cała w euforii.

Mama wspomina ciążę jako najszczęśliwszy okres swojego życia. Nie rozumiała, dlaczego większość radzieckich mam ze wstydem chowa brzuchy pod warstwami workowatych ciuchów. Nawet w ósmym miesiącu spacerowała po ulicy, jak gdyby unosiła się w powietrzu – z wypiętym brzuchem. W środku była dziewczynka, Mama miała co do tego pewność. Dziewczynka, o której marzyła, kiedy jeszcze sama chodziła do szkoły. Którą wyobrażała sobie, jak gra na fortepianie, maluje akwarele, uczy się języków za granicą i – kto wie? – być może dosiada lśniącego gniadego araba w jakimś porośniętym bujną zielenią brytyjskim majątku. Tej to dziewczynki zamierzała strzec jak tygrysica przed fałszywym sowieckim szczęściem, przed tą zgniałą, demoralizującą rozszczepioną świadomością, przed *toską*, dręczącym, wyobcowanym niepokojem z jej własnego stalinowskiego dzieciństwa.

Mama najwyraźniej chciała osłonić mnie również przed Sputnikiem, Jurijem Gagarinem, Biełką i Striełką – słodkimi łaciatymi kundelkami, które poleciły w kosmos. Mama nie cierpiała kosmosu, tej absurdalnej futurystycznej ostatecznej granicy sowieckiego imperializmu. W wieku 5 lat byłam zmuszona ukrywać przed nią swoje beznadziejne zadurzenie w Juriju Gagarinie i popłakiwać potajemnie, gdy uśmiechnięty kosmonaut zginął w katastrofie lotniczej w wieku 34 lat. Jestem jednak mamie wdzięczna, że nie dała mi na imię Walentyna, po Walentinie Tièreszkowej, pierwszej kobiecie w kosmosie. Nie jestem wcale podobna do Walentyny. Mama dała mi za to imię z jednego ze swych ulubionych wierszy Anny Achmatowej:

Na chrzcie mi dano imię Anna, słodkie dla ludzkich ust i

uszu*****.

Anna, Annuszka, Ania, Anieczka, lekceważące Ánka. Wiejsko-swojska Aniuta i Aniutoczka, Niura i Niuroczka. Albo Anietta w rozmyślnie ironicznej zruszczonej francuszczyźnie. Albo piękna i oficjalna Anna Siergiejewna (moje imię i patronimikum), prosto z Czechowowskiej *Damy z pieskiem*. Niewyczerpany strumień zdrobniałych permutacji Anny, a każda z własną subtelną semiotyką, wylewał się z ust mojej matki podczas ciąży.

Jej fantazje na temat dziecka osiągały zazwyczaj kulminację w kolejkach po jedzenie. Otoczona przez rozeżłonych obywateli mamroczących kawały o Chruszczowie, Mama projektowała spisy potraw, którymi będzie karmić swojego malutkiego Aniutka. Potraw niedostępnych, które znała tylko ze swoich lektur. *Omar* (homar). Brzmi tak szlachetnie, tak cudzoziemsko. Oczywiście pizza i *pot-au-feu*. A gdy dziecko już trochę podrośnie... *Fleurie*. Każdy je popijał w powieściach Hemingwaya, tego najbardziej rosyjskiego spośród pisarzy amerykańskich. Tak, tak, zdecydowanie karafki *fleurie*, ze ślimakami ociekającymi masłem czosnkowym i sosem pietruszkowym. Potem ciasteczka z jej ukochanego Prousta. *Madlenki* – nazywała je po rosyjsku Mama z nieporadną zażyłością właściwą komuś, kto Proustem wprawdzie oddycha i żyje, lecz wciąż wyobraża sobie magdalenki jako odmianę nadziewanych dżemem *pirożków*.

Od czasu do czasu Mama miewała szczęście w kolejkach. Do dziś wspomina dzień, gdy zwycięsko przytaszczyła do domu pięć kilo wobły, które wystarczyło jej na cały ostatni trymestr. Czy wspominałam już o woble? To twarda jak kamień, solona i suszona płoć kaspijska. Ta twarda wobla trzymała Rosjan przy życiu przez pierwsze kilkanaście lat po rewolucji, przez straszliwe lata trzydzieste, przez rozdarte wojną czterdzieste, wyzwalające pięćdziesiąte i swawolne sześćdziesiąte, aż wreszcie

Morze Kaspijskie tak spustoszono, że w okresie zastoju lat siedemdziesiątych, w czasach mojego dzieciństwa, wobla stała się poszukiwanym rarytasem. Wobla uwypukla ów osobliwy rosyjski masochizm, uwielbiamy ją, ponieważ jej spożywanie jest taką męczarnią. Najpierw zamaszyste walenie o stół dla obluzowania skóry, potem wściekłe wyszarpywanie skamieniałego, skórzastego mięsa ze szkieletu. Jest też gwałt zadawany samemu sobie – tu złamany ząb, tam zranione dziąsło – a wszystko po to, aby podelektować się cuchnącym, słonym, skórzastym kawałkiem radzieckiego umami. Właśnie wobłę jadła mama tuż przed odwiezieniem jej do Domu Porodowego nr 4. Być może tym oto należy tłumaczyć, dlaczego z miłą chęcią oddałabym wszystkie hemingwayowskie ślimaki i proustowskie ciastka za kawałeczek spetryfikowanego rybiego mięsa.

Z Domu Porodowego nr 4 przywiozła Mama żółte od żółtaczki niemowlę, jak mumia skrępowane powijkami niczym totalitarnym jarzmem. Czekały ją teraz wspaniałości sowieckiego macierzyństwa socjalistycznego. Kołyski o wdzięku żniwiarki do buraków cukrowych. Smoczki z gumy przemysłowej, które parzyło się w gorącej wodzie przez dwie godziny, w tym samym czasie ręcznie przepisując wydany w samizdacie poradnik doktora Spocka*****. Wreszcie *pielonki* (pieluchy), po 20 dziennie na każde radzieckie dziecko, nie licząc 9 flanelowych pieluch na wierzch oraz całej góry pieluszek pod spód, składanych z gazy chirurgicznej.

Tych dziesiątek pieluszek nie można było ot tak kupić sobie w sklepie. W gospodarce, gdzie każdy strzep i kawałek poddawało się recyklingowi, wszystkie 20 pieluszek produkowano w domu, tnąc stare prześcieradła i ręcznie je obrębiając. W ciągu dnia Mama moczyła je w zimnej wodzie z mydlinami z brązowego mydła o ostrej woni, które ścierała na tarce, kalecząc sobie dlonie. Z powodu braku gorącej wody

nocami wyjałowała je w piętnastolitrowym kotle, który stawała na piecu w kuchni w mieszkaniu komunalnym, potem płykała je pod lodowatym strumieniem z zardzewiałego komunalnego kranu, nie czując rąk z zimna. Brzemię matczynej miłości zrozumiałam w pełni dopiero wtedy, gdy dowiedziałam się, że na koniec co rano prasowała te 20 *pielonek*. Mama twierdzi, że tak bardzo mnie kochała, iż nie przeszkadzała jej pieluchowy kierat, co moim zdaniem czyni ją sowiecką męczennicą sprawy Macierzyństwa. Kiedy mi o tym opowiedziała, kładłam się spać, lamentując, jakim to ciężarem byłam przez to, że się urodziłam.

Tata miał podobne przemyślenia.

Początkowo nawet mu się podobało radzieckie ojcostwo. Pomagał przy *pielonkach*, po pracy wystawał w kolejkach po chleb, przychodził do domu „zmęczony, lecz radosny” – jak głosił ukochany socrealistyczny slogan – z ciężkimi cegłówkami gliniastego żytniego chleba w plecaku. Razem z Mamą kąpał mnie w cynkowanej wannie, dodając parę kropel środka dezynfekującego, który zabarwiał wodę na różowo. Lecz po trzech miesiącach takie życie przestało się Tacie wydawać tak różowe. Jednego razu nie wrócił do domu na noc. Mama nawet się nie położyła, co rusz biegając do jedynego czarnego telefonu w całym mieszkaniu komunalnym, znajdującego się na drugim końcu nieogrzewanego korytarza. Telefon milczał, milczał identycznie jak *ałkogolik* Caricyn, któremu na progu kuchni urwał się film. Rankiem mama włożyła ponętny liliowy szlafroczek w drobniutką białą krateczkę, prezent od Klary, amerykańskiej ciotki, i czekała. Czekała tak długo, że zdążyła mi przeczytać całą *Mamę Gęś* po rosyjsku i po angielsku (Humpty-Dumpty przetłumaczono na rosyjski jako „Szałtaj-Bałtaj”, gdyby ktoś nie wiedział*****. Zapadał już ponury lutowy zmierzch, gdy Siergiej wreszcie wrócił. Miał skacowany oddech i wygląd dręczonego przez wyrzuty sumienia. To nie ma sensu, żeby on miał rodzinę – oznajmił już na progu.

– Ten cały dzidziusiowy interes... – na tym urwał.

Nie miał tak naprawdę ani środków na utrzymanie rodziny, ani energii na wystawianie w kolejkach po chleb, ani w zasadzie ochoty. Zerwał pikowaną kołdrę ze składanego łożka polowego stojącego w kącie, powoli, demonstracyjnie rozłożył je w bezpiecznej odległości od łoża małżeńskiego i natychmiast zasnął. Mama mówi, że chrapał.

Od czasu do czasu po powrocie z pracy Siergiej ponownie wchodził do maminego łożka. Albo spał na polowym. Często nie wracał do domu całymi tygodniami. Nigdy mnie już nie kąpał, za to zdarzało się, że brał mnie na ręce i robił maślane oczy. Życie Mamy toczyło się dalej – w nieznośnym, przytłaczającym stanie zawieszenia, który nadwerężała jej wolę i nieustannie ranił serce. W swych najbardziej fantastycznych, najśmiesznych marzeniach Larysa miała teraz nadzieję na jedno: własny pokój w suterenie, gdzie we dwójkę mogłybyśmy popić herbatę z kolorowych ludowych kubków, które widziała kiedyś na targu.

Maminy czyścice ciągnął się przez trzy lata.

Według miary potężnego i trwałego kryzysu mieszkaniowego, który wtłaczał połowę radzieckiej ludności w znacznie duszniejsze warunki niż nasze, trzy lata to jak dwa tygodnie. Anna Achmatowa, moja genialna imienniczka, wylądowała w mieszkaniu komunalnym w Domu nad Fontanką (dawniej pałac Szeremetiewów) w Leningradzie u boku swego długoletniego kochanka Nikołaja Punina. Razem z nimi mieszkała jego była żona. Gdy kochankowie rozstali się, zarówno Achmatowa, jak i była żona pozostały w mieszkaniu, nie mając gdzie się podziać, a Punin sprowadzał sobie kolejne kobiety. Po aresztowaniu Punina Achmatowa przenosiła się z pokoju do pokoju nadal w tym samym mieszkaniu (w którym dziś mieści się z czułością prowadzone muzeum). Autorzy pamiętników wspominają, jak w milczeniu zasiadała do obiadu przy jednym stole z byłą rodziną byłego kochanka. Kiedy syn Achmatowej wrócił z gułagu, spał

na *sunduku* (kufrze) w przedpokoju. Achmatowa przeżyła w Domu nad Fontanką przynajmniej 30 lat.

Ja też sypiałam na *sunduku*, w przeciagu, na korytarzu w mieszkaniu moich dziadków na Arbacie, gdy zdesperowana Mama biegem wracała do Nauma i Lizy. Był to ten sam lekki kufer, który w czasie wojny ocalił rodzinę Lizy przed śmiercią głodową. W dwóch pokoikach moich dziadków i tak było już tłoczno – mieszkał tam brat Mamy i moja trzyletnia kuzynka, której matka też miała własne problemy małżeńskie. Mama spała więc na łóżku polowym w kuchni albo obok mnie w przedpokoju. W archeologii sowieckich artefaktów domowych *raskładuszka* – leciutkie jak piórko łóżko składane z naciągniętego na aluminium brezentu w kolorze khaki – zalicza się być może do najbardziej poruszających i metaforycznych. Poza tym zrujnowała ona miliony kręgosłupów.

Mama miała szczęście, że jej mażeństwo rozpadło się w 1964 roku.

Pod koniec lat pięćdziesiątych kompozytor Dymitr Szostakowicz, znany przede wszystkim ze swych epickich symfonii, napisał partiturę operetki *Moskwa, Czeriomuszki*, swawolnego pastiszu stanowiącego satyrę na braki mieszkaniowe. W 1962 roku na jej podstawie nakręcono film. Sasza i Masza, jego młodzi bohaterowie, przeżywają kryzys małżeński będący odwróceniem kłopotów moich rodziców: dopiero co się pobrali, lecz wskutek uprzykrzonej „kwestii mieszkaniowej” są zmuszeni zamieszkać osobno, każde z własnymi rodzicami. Moim ulubionym fragmentem jest nieco kiczowata sekwencja snu w jarmarcznych kolorach, gdy Sasza i Masza tańczą w wyimaginowanym nowo wynajętym pokoju – całkowicie prywatnym pokoju! – śpiewając: „Nasz korytarz, nasze okno, nasz wieszak na palta... Nasze, nasze, nasze”. W hollywoodzko socjalistycznym zakończeniu filmu skorumpowanych urzędników mieszkaniowych spotyka

zasłużona kara, a zakochani w końcu wiją sobie gniazdko w brzydkim nowym mieszkanku w bloku – nasze, nasze! – w dzielnicy Czeriomuszki.

Czeriomuszki w południowo-zachodniej Moskwie istniały naprawdę, było to pierwsze w kraju wielkie osiedle mieszkaniowe. Podobne bloki mieszkalne wyrastały też pośród chaotycznych zabudowań innych, odległych *mikrorajonów*. Była to dokonana przez Łysego niekosztowna rewizja sowieckiej bajki o domu, ucieczka od piekła przymusowej wspólnoty. Na dłuższą metę przed tradycyjną rodziną pojawiła się szansa na prywatność.

Trudno przecenić zmiany w świadomości i stosunkach społecznych wywołane tym *boomem mieszkaniowym*. Budowa mieszkań, zainicjowana przez Chruszczowa pod koniec lat pięćdziesiątych, trwała nieprzerwanie aż do lat osiemdziesiątych. Była to najdonioślejsza transformacja w zakresie sposobu życia od rewolucji w 1917 roku i stanowi prawdopodobnie największe osiągnięcie społeczne Łysego.

Gdy nastął rok 1964, już blisko połowa ludności – prawie 100 milionów osób – przeniosła się do nowych mieszkań w stanie surowym, wznoszonych naprzeciw i byle jak z betonowej wielkiej płyty. Radzieckie statystyki z dumą podawały, że ZSRR buduje rocznie więcej mieszkań niż USA, Anglia, Francja, Niemcy Zachodnie, Szwecja, Holandia, Belgia i Szwajcaria razem wzięte. Któź nie pamięta tych niekończących się parapetówek, kiedy siedziało się na podłodze i zajadało śledzia z gazety, garnirowanego uroczymi esami-floresami z kleju do tapet? Wielka płyta położyła kres erze zdobnych, elitarnych, wysokich mieszkań budowanych za Stalina. Dobrobyt materialny (jaki tam był, taki był) przestał być przywilejem nomenklatury i stachanowców, zachwalano go teraz jako prawo przysługujące każdemu. Chruszczow chciał nam zaoferować przedsmak obietnicy pełnego komunizmu, prześwitującego już

zza Dojrzałego Socjalizmu. I podobnie jak wcześniej Josif Wissarionowicz, Nikita Siergiejewicz interesował się szczegółami. Wąsaty wąchał mydła, Łysy przetestował i zatwierdził zestandardyzowany *unitaz* (muszlę klozetową).

Nie był ów *unitaz* za duży, prywatne mieszkania nie miały w żadnym razie sprzyjać burżuazyjnym aspiracjom ani rażącemu indywidualizmowi. Ta nowa wielka płyta nosiła, bądź co bądź, swojską nazwę *chruszczoła*, co jest zbitką dwóch słów: Chruszczow i *truszczoła* (rudera). Co więcej, ów nowy egalitarny duch mieszkaniectwa wyrażał się w miażdżącej jednolitości architektonicznej. W przypominających pudełka blokach bez wind, zwykle pięciokondygnacyjnych, mieściło się mnóstwo maciupkich *dwuszek* (mieszkań dwupokojowych). Sufit na wysokości 2,5 metra. Pokój dzienny 14 m². Sypialnia niezmiennie 8 m². Natomiast do gotowania, jedzenia, rozmawiania, złopania wódki, sączenia herbaty, odpalania jednego papierosa od drugiego, odrabiania lekcji, opowiadania kawałów politycznych, grania na siedmiostrunowej rosyjskiej gitarze oraz ogólnie do wszelkich form ekspresji służyły legendarne już dziś *piatimietrowki*, jak w skrócie zwano pięciometrowe kuchnie, z czułością wspominane później jako inkubatory wolności słowa i ruchów dysydenckich. Właśnie stąd do słownika weszło określenie „dysydent kuchenny”. Dysydenctwo było niezamierzoną, lecz nieuniknioną konsekwencją wdrożonej przez Chruszczowa reformy mieszkaniectwa.

Nieustępliwa jednakowość *chruszczołob* mocno ciążyła sowieckiej duszy.

Przygnębiające, identyczne budynki mieszkalne – pisał Aleksandr Galicz, słynny bard i pieśniarz tamtych czasów, zmuszony do emigracji. – O identycznych dachach, oknach i wejściach, identyczne oficjalne hasła wywieszane w święta i identyczne wulgaryzmy wydrapywane na ścianach paznokciami i ołówkami. I te oto identyczne domy stoją przy identycznych ulicach o identycznych nazwach: ulica Komunistyczna, ulica Związków Zawodowych, ulica Pokoju, prospekt Kosmonautów i prospekt lub plac Lenina*****.

Większość tych uwag odnosiła się właśnie do z dawna wyczekiwanyego nowego domu, do którego ostatecznie przeprowadziliśmy się w 1966 roku. Pomijając kilka istotnych różnic. Nasza ulica nazywała się Dawydkowska, a nie Lenina, Engelsa, Marksa czy – nie daj Boże – budzącego w Mamie odrazę Gagarina. Pełny adres: Dawydkowskaja, Budynek 3, Skrzydło 1, Obiekt 7. Z początku owszem, Mama i ja błędziłyśmy nieustannie, usiłując odszukać mieszkanie w labiryncie identycznych bloków położonych wśród błotnistych kałuż. Jednak samo osiedle – Dawydkowo w dzielnicy Kuncewo – nie było przygnębiające. Można je nawet uznać za urocze. Dawna wieś na zachodnich obrzeżach Moskwy leżała w odległości 20 minut jazdy od Kremla przy szerokiej, prostej jak strzała drodze. Niegdyś Dawydkowo słynęło ze świeżego powietrza i słowików śpiewających na brzegach bystrej, płytkiej rzeki Setuń. Niedaleko od naszej chruszczowowskiej rudery szumiał piękny las z wonnymi, wysokimi sosnami. Sosny te oceniały potężny zielony parkan okalający zamkniętą dacze niskiego ospowatego Gruzina, który zszedł był ponad dekadę wcześniej i rzadko już o nim wspominano.

Mama twierdzi, że naszą chruszczobową radość zadowdzięczyłyśmy pewnemu pierścionkowi i cudowi. Wszystko zaczęło się od poczty pantoflowej – ktoś gdzieś dał jej znać o kolejce oczekujących na mieszkania, która posuwała się nadzwyczaj prędko. Tkwił w tym jednak pewien szkupuł – mieszkanie było spółdzielcze, co wymagało sporej wpłaty z góry. I tu na scenę wchodzi zarówno pierścionek, jak i podobno cud. Secesjny kaprys z ciemnego złota w postaci ślicznego wysadzanego brylantami bukietu był powojennym prezentem Nauma dla Lizy dla uczczenia przetrwania. Babuszka Liza nie przejawiała jednak burżuazyjnych instynktów, co zawsze w niej podziwiałam. Miała ten pierścionek na sobie z raz czy dwa, aż wreszcie wrzuciła go do pudełka na nici. Gdy Mama powiedziała jej o horrendalnej wysokości wpłaty, babcia akurat cerowała

skarpetki. Pierścionek – zarzeka się Mama – błysnął Lize z magiczną siłą. Cudem zmaterializował się jakiś kupiec, oferując właśnie owe 700 rubli (półrocze zarobki) potrzebne na zaliczkę. Cała rodzina potraktowała to jako dobry znak i nikt się nawet nie denerwował, kiedy później wyszło na jaw, że pierścionek był wart przynajmniej pięć razy tyle.

I tak oto znalazłyśmy się tutaj.

Nasza kapusta kiszona fermentowała pod drewnianym obciążnikiem w *naszym własnym* maliowanym wiadrze na *naszym* minibalkonie. Na *naszych* oknach wisiały *nasze* zasłony, uszyte przez Mamę z taniego lnu w beżowo-brązową kratę. I *nasza* lodówka wielkości pudełka po butach, którą Boris, zapijaczony hydraulik, zamontował na ścianie, bo w kuchni nie było już miejsca. Lodówka nęciła niczym prywatny wiszący ogród Semiramidy. Zasypiając co noc w intymności własnych czterech ścian, Mama czuła... Prawdę mówiąc, czuła, że nadal żyje w bolszewickiej komunalnej utopii.

Nasze ściany były kartonowymi ścianami typowymi dla *chruszczob*. Ukrainka Julia z sąsiedniego mieszkania zawodziła, że mąż ugania się za babami. Pedantyczny Andriej piętro wyżej ćwiczył ckiwe partie kontrabasu z VI Symfonii Czajkowskiego przy akompaniamencie gardłowego ostinato uzbeckojęzycznych kłótni na parterze. Najgorsi dręczyciele – pułkownik Szwirkin i jego żona Nina z koczkiem na głowie – żyli cichutko jak mysz pod miotłą, za to z ich kuchni rozchodziły się rajskie wonie pieczonego kurczaka, za co cały blok miał ochotę kolektywnie ich zlinczować.

Mamy nie było stać na kurczaki. Po kilku latach urlopu macierzyńskiego wciąż nie chciała zasilić zasobów siły roboczej. Krewni przywoływali ją do porządku, lecz Mama upierała się, że każdą sekundę musi poświęcać swemu małemu Aniutkowi. Żyłyśmy więc praktycznie z 40 rubli alimentów od Taty, czyli za niespełna połowę nędznej sowieckiej miesięcznej pensji. Od

czasu do czasu Mama dorzucała do tego nędzne grosze za lekcje angielskiego udzielane Surenowi, ormiańskiemu chłopakowi z meszkiem nad górną wargą i matką o biuście wielkości melonów, także z meszkiem nad wargą.

– Larisa Naumowna, *wszystko* już zrozumiałem! – wołał Suren beczącym głosem. – Tylko jeszcze to dziwne słowo. *T – ch – e?*

Tak Rosjanie wymawiają *the*.

Po opłaceniu usług komunalnych i dojazdów Mamie pozostało 30 rubli na jedzenie. Dziś z zapałem wspomina nasz jadłospis za rubla dziennie. Ta sama dziewczęca wesołość rozświetla jej twarz, ilekroć Mama opisuje sprzątanie domów w ciągu naszego pierwszego roku w Ameryce. W tamtych dawnych dysydenckich czasach bieda – a może powinnam raczej powiedzieć: skrajna nędza – miała w sobie coś romantycznego, buntowniczego.

Jeden radziecki rubel złożony ze stu kopiejek, pomęty beżowy banknot z sierpem i młotem okolonymi dorodnym wieńcem z kłosów pszenicy. Mama wydawała go roztropnie.

– Tylko nie mocno zgniłe, błagam – upraszała Babę Manię, antysemickę z twarzą buldoga urzędującą w *dieriewiaszce* („drewienku”), naszym warzywniaku w piwnicy z jego do bólu znajomym odorem sowieckiej zgnilizny. Tamtejsza pozbawiona koloru kapusta zmniejszała nasze zapasy o osiem kopiejek, podobnie jak kilo marchwi. Kartofle były równie tanie i zepsute. Nasze ogólne potrzeby żywnościowe zaspokajała mama w *stiekłaszce* („szkiełku”), jak powszechnie nazywano budowane w latach sześćdziesiątych obiekty handlowo-usługowe ze szkła i betonu. Sklep znajdował się po drugiej stronie parowu o nieregularnym kształcie. W powrotnej drodze Mama nerwowo macała pozostałe monety. 30 kopiejek za litr mleka – liczyła – i 15 kopiejek kaucji za butelkę. 32

kopiejki za 10 jajek, z których 3 są zwykle stłuczone, co może wystarczyć nam na tydzień.

Parę monet pozostało na białko zwierzęce ze sklepu pod zachęcającą nazwą „Kuchnia Domowa”. Była to pochylona drewniana chata, pozostałość po wiejskiej przeszłości Dawydkowa, dystopijna zjawa tkwiąca ostatkiem sił na zaśmieconym polu. Skądkolwiek się szło, zawsze trzeba było przebrnąć przez te śmieci. Przypominało to wyprawę wojenną. Wysokie kalosze, jodyna w maminej kieszeni na wypadek, gdyby jakieś zardzewiałe żelastwo rozcięło podeszwę mojego bucika. Zimą alkoholicy wykonywali swoje „graffiti” na śniegu, obsikując okolice „Kuchni Domowej” w kształcie słowa na ch... A w razie, gdybyście nie wiedzieli, kaligrafowanie liter moczem w stanie wskazującym wymaga nie lada zręczności.

W „Kuchni Domowej” mama wręczała sprzedawczyni 24 kopiejki za 125 gramów mięsa gulaszowego. W sklepie mieli też kotlety o specyfycznym stosunku ilości mięsa do ilości wypełniacza, oddanym przez jeszcze inny dowcip z ery Chruszczowa. „Gdzie Łysy pochował ten cały chleb?” „W kotletach”. Mama nie kupowała kotletów – byłyśmy ubogie, ale dumne.

W naszej własnej – pięciometrowej – kuchni domowej wyznaczyłam sobie zadanie kontroli gulaszu i zwracanie Mamie uwagi na jego niedoskonałości. Nie przestawało mnie fascynować wielokolorowe uniwersum skaz, jakie mogły wystąpić w jednym kawałku wołowiny. Jeśli mięso było zamrażane, rozmrażane, a potem ponownie zamrażane, jego przekrój obfitował w miłe dla oka kontrasty krwistej purpury i szarości. Ściegna i tłuszcze lśniły różnymi odcieniami kości słoniowej. Sinawe plamki na wołowinie przetrzymywanej zbyt długo nabierały metalicznej poświaty, a jeśli światło padło pod odpowiednim kątem, było widać istną tęczę. No i stempel – uwielbiałam ten jaskrawy fiolet państwowej pieczątki

poświadczającej „świeżość”, widniejący na niektórych kawałkach mięsa.

Odkrawanie skaz czyniło nasz studwudziestopięciogramowy kawałek wołowiny o połowę mniejszym, Mamie jednak nigdy nie brakowało pomysłów. Usadowiona na białym taborecie, patrzyłam, jak powoli obraca korbką niezgrabnej ręcznej maszynki do mięsa, którą przykręciła do parapetu. Bardzo mi jej było szkoda. W innych rodzinach przykręcanie maszynki do mięsa było morską robotą. Mamina maszynka chybotała się na tę bezbronną, kobiecą modłę. Mama często meała gulaszowe z cebulą i chlebem na frykadelki, klopsiki wrzucane potem do rosołu, dodatkowo wzmacnionego wywarem z kości. Gdy ogarniał ją romantyczny nastrój, dodawała jeszcze kapustę i nazywała tę zupę *pot-au-feu*, opowiadając, jak to przeczytała o tej potrawie u Goethego. Szczerze mówiąc, wolałam to weimarskie *pot-au-feu* niż potrawkę przygotowywaną z gulaszu i opakowania mrożonego *gjuweczu*, importowanej z socjalistycznej Bułgarii bogatej w witaminy mieszanki warzywnej z oślim posmakiem okry. Pielęgnowałam w sobie głęboką nieufność do socjalistycznej Bułgarii.

W niedzielę Mamie zawsze kończyły się pieniadze, wówczas to wybijała jajka do rondla wypełnionego kostkami przysmażonego czarnego chleba na zakwasie. Był to moim zdaniem najpyszniejszy i najwymowniejszy wyraz pauperyzmu.

Żyło się nam szczęśliwie, Mamie i mnie, w naszej prywatnej idylli, tak niesowieckiej i intymnej. Mama ciułała kopiejki na to, by co kilka dni zostawiać na moim łóżku jakiś uroczy i kompletnie bezużyteczny prezencik. Na ten przykład tom *Fausta* Goethego w purpurowej oprawie (miałam wówczas cztery lata). To znów ciężkie krosno tkackie, którego ani razu nie użyłam. Na piąte urodziny dostałam rosyjskie nagranie *Słowika i róży* Oscara Wilde'a. Świętowałyśmy tylko we dwie. Mama zaszalała z pieniędzmi i przyrządziła pieczoną

kaczkę z nadzieniem z kiszonej kapusty. Zgasila światło, zapaliła świece, włączyła płytę.

Wzruszający głos dźwięczał: „Słowik mocno przytulił się do różanego krzewu i pierś przycisnął do ciernia... aż cierń dotarł do serca, przeszywając je ostrym bólem. Gorzki, gorzki był ból słowika i coraz namiętniejszy jego śpiew, śpiewał bowiem o miłości ukoronowanej śmiercią”*****.

Pod koniec bajki wstrząsał mną urodzinowy szloch.

Ja również obsypywałam Mamę prezentami, zazwyczaj obrazami, które taktownie stroniły od tematyki sowieckiej: żadnego napisu CCCP, żadnego Jurija Gagarina uśmiechniętego pod hełmem kosmonauty. Nie byłam aż tak bezczelna jak mój kolega Kirił, którego całe dzieło malarskie obracało się wokół upragnionej wschodnioniemieckiej kolejki elektrycznej. Moje prace były subtelniejsze. Specjalizowałam się w księżniczkach, dość typowych, lecz zawsze w importowanych kobiecych kreacjach, z nylonowymi kokardami w rozmiarze XXL wplecionymi w warkocze. Moja antymaterialistyczna Mama nie ugięła się jednak. Nadal odziewała mnie w łauchmaniarskie chłopięce ubrania i ścinała mi włosy jak pod garnek. Uważała, że wygląda to czarującą.

– Ta moja Aniuta – gruchała do przyjaciół. – Czyż nie wygląda jak Krzyś na moich ukochanych ilustracjach E.H. Sheparda?

W głębi serca obmyślałam już najokrutniejsze męczarnie dla Krzysia i Kubusia Puchatka, do Mamy jednak nie miałam najmniejszych pretensji. Jak powiedziałam, w naszym gniazdku *wchruszczobie* żyło nam się szczęśliwie, pławiłyśmy się we wzajemnym uwielbieniu niczym zamroczeni miłością nowożeńcy. Do czasu, aż wtrącił się maminy syndrom kompulsywnej gościnności.

Błoto na dworze obeschło już, a wonne majowe bryzy

szeleściły wśród liści rachitycznych jabłonek rosnących pod naszym oknem na drugim piętrze, gdy na naszym progu stanęły Oksana i Pietia.

Mama zwróciła na nich uwagę w kolejce po gulasz w „Kuchni Domowej” i od razu przypadli jej do gustu. Nigdy wcześniej ich nie widziała, lecz podsłuchała ich rozmowę i jej serce wezbrało współczuciem. Para była chwilowo bez dachu nad głową i zamierzała nocować na dworcu kolejowym. Mama czym przedzej zaoferowała gościę.

Dzwonek zadźwięczał nazajutrz. Za drzwiami stał mężczyzna o zwisających wąsach i sinych podkowach pod oczami. Całą dolną część jego sylwetki zasłaniał okazały bernardyn.

– Poznaj Reksa – powiedział Pietia. – Nie bój się, uściszkaj go na powitanie.

Równie dobrze mógłby mnie zachęcić do przytulenia ciężarówki. Oszołomiona widokiem psa, nie spostrzegłam chłopca wyglądającego zza Pietii. Był to gruby nastolatek o ponurym wyrazie twarzy, niezdrowym wyglądzie i rękach dźwigających dwie klatki. W większej znajdowała się biała sowa, w drugiej biegały i piszczały myszy, również białe.

– Oleg – odezwał się ponury chłopak. Nie byłam pewna, czy podał swoje imię, czy zwracał się do sowy. – Nie bój się myszy – dodał pocieszającym tonem. – Oleg je niedługo zje.

Cieżkie kroki na betonowej klatce schodowej w dole zapowiedziały przybycie Oksany. Zzajana i rozchełstana żydowska piękność ściskała w ramionach wielką szklaną skrzynkę, na którą opadały wzburzone kaskady czarnych kręconych włosów.

– Terrarium – wyrzuciła ostatkiem tchu. – Widziałaś kiedyś prawdziwe terrarium?

Owszem, widziałam, w moskiewskim zoo. Ale nie pytona,

który wije się tuż przed moim nosem. Igor, tak miał na imię wąż. Oleg i Igor, jak ze średniowiecznego słowiańskiego eposu. – Igor i Oleg jedzą te same myszy – oznajmił chłopiec i nieoczekiwanie uśmiechnął się.

Sztuka Gogola *Rewizor* kończy się słynnym żywym obrazem zwanym „sceną niemą”. Gdy nadchodzi wieść o przybyciu prawdziwego rewizora, cała obsada zamiera z grozy. Mniej więcej tak zareagowała Mama na widok menażerii.

– Tylko że... nie wspominaliście, że macie... yyy... syna – wydukała z ledwością.

– Kto? On? A nie, to bękart Oksany – odrzekł Pietia, jowialnie puszczaając oko.

Przez następne pięć miesięcy życie w naszym dwupokojowym mieszkaniu było zorganizowane następująco. Ponury młodzian mieszkał na łóżku polowym w pięciometrowej kuchni. Duży Reks, jako największy i najbardziej utytułowany członek naszego osobliwego *kollektiwu*, miał całkowicie wolny wybieg, wskakując od czasu do czasu na lekkie jak piórko łóżko polowe w moim pokoiku, gdzie obecnie spała mama. Z lęku przed zmiażdżeniem przez tę psią ciężarówkę Mama przestała w ogóle sypiać. A może i nie spała dlatego, że Oksana i Pietia, naśladowując swoją sowę, wiedli tajemnicze życie nocne. W dzień zazwyczaj drzemali w byłym łóżku mamy w dużym pokoju. Nocami wędrowali między kuchnią a pokojem, parzyli herbatę i klęli, gdy wpadli na łóżko nastolatka. „Ich herbata” – jak określała Mama ów napar – zawierała całe opakowanie liściastej herbaty gruzińskiej na jeden kubek wrzątka.

Moja naiwna Mama. Nie miała pojęcia, że to właśnie ów halucynogenny *czifir*, dzięki któremu więźniowie łagrów pięli się w górę hierarchii. Nie wiedziała również, że słodkawa trawiasta woń mieszająca się w naszym mieszkaniu z odorami zwierząt to *anasza*, środkowoazjatycki haszysz. Po uraczeniu się przez

parę *anaszą* i *czifrem* wybuchały zaciekle awantury. Cały budynek się trząsł, gdy sąsiedzi walili w nasze ściany, podłogę i sufit. Para na zmianę z sową zajmowała się zakłócaniem snu ciężko pracujących socjalistycznych rodzin. Gardłowy skrzek sowy mroził krew w żyłach.

Największym jednak dylematem było wchodzenie do domu i wychodzenie z niego. Ponieważ wąż Igor mieszkał w przedpokoju, każdy, kto wchodził bądź wychodził, miał sposobność oglądać pytona pożerającego jedną z myszek-albinosów, które młodzieniec wykombinował w Instytucie Medycznym nr 2, gdzie w laboratorium pracowała krewna Oksany. Większość tych pięciu miesięcy spędziliem zabarykadowana w moim pokoiku. Jedyną osobą, która wciąż jeszcze nas odwiedzała, był kontrabasista z góry – lubił wypożyczać Igora w celu postraszenia teściowej. *Baba Alla*, moja babcia, taszczyła całe torby kurczaków i innych smakowitych przejawów babcinej miłości aż do samego Dawydkowa, zostawiała je jednak na progu. Kurczaki zazwyczaj zjadał Reks.

Ostatecznie kres temu wszystkiemu położył Tata. Zatęsknił za rodziną. Dał do zrozumienia, że jeśli Mama oczyści przedpole, to przyjdzie i zostanie, przynajmniej na weekendy. Mój ojciec był i na zawsze pozostał jedyną prawdziwą miłością Mamy. Oksana, Pietia, Reks, Igor, Oleg i ponury chłopiec zostali natychmiast wykwaterowani w ponurym pożegnalnym pochodzie ludzi i klatek oraz czterech dudniących łap wśród odoru zoo i haszyszu. Każdy płaski kawałek powierzchni w naszym nowutkim miejscu zamieszkania został zniszczony przez okręgi wypalone ich gorącym czajnikiem. Tak oto w miejsce pytona i sowy stałam się posiadaczką połowicznego ojca, i to takiego, który co weekend składał wysokiej jakości ofiary ze sklepu pod nazwą „Dieta”, prestiżowego dostawcy naszpiczanych cholesterolu artykułów dla młodych i

osłabionych. Każdego piątkowego wieczoru nasłuchiwałam niecierpliwie, czy nie rozlega się chrobot klucza Taty w zamku, wyskakując do przedpokoju, aby powitać maślankowe galaretki i tłuste kruche paluszki serowe z „Diety”. Niedawno Mama zapytała mnie, czy czułam się kiedyś porzucona przez ojca. Sięgając pamięcią do tamtych paluszków serowych, a zwłaszcza do białych, trzęsących się galaretek o muszelkowatych brzegach, musiałam odpowiedzieć, że nie.

Nie odzyskałyśmy już z Mamą naszej intymnej idylli. W 1961 roku Rada Najwyższa ZSRR wydała przepis piętnujący jako „pasożytów” tych obywateli, którzy odmawiają zaangażowania w społecznie przydatną pracę. Kara: do pięciu lat wygnania bądź internowania w obozach. O przepisie tym stało się dość głośno na Zachodzie w związku z Josifem Brodskim, poetą-dysydentem, skazanym za pasożytnictwo i zmuszonym do emigracji.

Mamy, teoretycznie wciąż zamężnej i w dodatku z małym dzieckiem, prawo to nie dotyczyło, mimo to niepokoiła się i czuła się nieswojo jako bezrobotna. Wreszcie pewnego mroźnego grudniowego dnia w 1968 roku, gdy miałam pięć lat, z powrotem zaangażowała się w pracę społecznie przydatną. Przyjęła posadę nauczycielki angielskiego w Ministerstwie Marynarki Handlowej, ja zaś poszłam po raz pierwszy do radzieckiego przedszkola. Niewiele pamiętam z tego miejsca, chyba tylko tyle, że znajdowało się po drugiej stronie zdezeloowanych torów kolejowych, idąc od naszej *chruszczoby*, i że już w pierwszy dzień pobytu narobiłam w majtki, prawdopodobnie ze stresu z powodu rozstania, a także to, że przez cały dzień nikt się mną nie zajmował. Mama odkryła moją hańbę już w drodze powrotnej do domu. Wciąż mam przed oczami jej obraz, jak płacze tam na torach kolejowych.

Lepiej już nigdy nie było. Moi koledzy z przedszkola zaczęli chorować od zepsutego mięsa w barszczu. Potem w autobusie

Mama podsłuchała moją przedszkolankę, jak instruuje młodszą koleżankę co do możliwości zmniejszania wielkości grupy.

– Otwieraj okna, szeroko.

Na dworze było wtedy minus 30 stopni i wiało.

Chcąc nie chcąc, Mama zwróciła się o pomoc do swojego ojca.

W chwili, gdy go poznałam, pułkownik Naum Sołomonowicz Frumkin, mój dziadek szpieg, w niczym nie przypominał owego wytwornego, ciemnookiego czarusia, którego poznaliśmy bliżej w rozdziale o latach czterdziestych. *Dieduszka* Naum, już od dawna na emeryturze, miał mocno przerzedzone włosy i nosił ciężkie okulary w czarnych oprawkach, uprawiał też poranną gimnastykę w rytm patriotycznych pieśni. Do tego wykrzykiwał – wykrzykiwał od rana do nocy.

- POZDRAWIAM WAS I GRATULUJĘ!!!! – huczał do telefonu.
- Drogi, szanowny towarzyszu [tu wstawić nazwisko odpowiedniego admirała floty sowieckiej].

Nie mogłam się nadziwić, że dziadek zawsze znajduje powody, aby komuś gratulować – do czasu aż odkryłam pękaty kalendarz z wyrywanymi kartkami, który dziadek trzymał obok telefonu. Każda strona zawierała zapowiedź nowego, jasnego radzieckiego dnia, nowej radosnej okazji. Dzień Lotnictwa, Dzień Floty Bałtyckiej, Dzień Drogowca, Dzień Czołgisty, Dzień Oficera Łodzi Podwodnych. A nie zapominajmy o święcie nad świętami, Dniu Zwycięstwa 9 maja, którego obchody dziadek rozpoczynał w formie zwyczajowej kanonady gratulacji już w kwietniu. Na emeryturze *dieduszka* żył zrodzonym w erze Breźniewa bombastycznym mitem o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej i związany z nim kultem weteranów. Kiedy nie wykrzykiwał życzeń, krzątał się wokół jakichś niezmiernie ważnych spraw kombatantkich. Znaczna część tej krzątaniny dotyczyła Richarda Sorgego, króla szpiegów, owego pół-Niemca,

pół-Rosjanina, o którym mówiliśmy dwa rozdziały wcześniej, zdradzonego przez Stalina, powieszonego w Tokio i od dawna zapomnianego. Do czasu, aż szczęśliwy traf doprowadził do jego cudownego wskrzeszenia. Na początku lat sześćdziesiątych Francuzi nakręcili film fabularny o historii Sorgego i próbowali sprzedać go Rosji. Sowieckie Ministerstwo Kultury uznało całą rzecz za złośliwe przeinaczenie faktów, lecz ktoś z ochrony Chruszczowa polecił mu ten film. Łysy zażądał obejrzenia.

– Tak się powinno robić sztukę – oznajmił zachwycony Chruszczow, gdy zapalone światła. – Choć to fikcja, to i tak siedziałem jak na szpilkach.

– Yy... Nikito Siergiejewiczu – odezwał się ktoś – Sorge nie był, yy, fikcją, to postać, yy, rzeczywista.

Chruszczow z miejsca zadzwonił do KGB, gdzie potwierdzono mu zarówno prawdziwość osoby Sorgego, jak i jego zasługi dla wywiadu. Bez zbędnych ceregieli Chruszczow ogłosił go pośmiertnie Bohaterem Związku Radzieckiego i nakazał czcić go jako najwybitniejszego sowieckiego szpiega.

Książki o Sorgem, badacze sprawy Sorgego, jego dawno zapomniani krewni, filmy o Sorgem, przypinki i znaczki z Sorgem... Dziadek był w samym środku tego niekończącego się tajfunu wokół Sorgego. Kilka razy towarzyszyłam *dieduszce* Naumowi, jak w mundurze z medalami szedł opowiadać o Sorgem w domach opieki czy na koncertach dla związków zawodowych. W programie koncertów dziadka upychano zwykle gdzieś pomiędzy amatorską wykonawczynią pieśni ludowej w wianku z bławatków na głowie, która zawodziła o nieodwzajemnionej miłości fabrycznej dziewczyny, a – dajmy na to – iluzjonistą amatorem. Ludzie wysłuchiwali pani w wianku, gdy wchodził Naum, wychodzili na papierosa i wracali, aby obejrzeć iluzjonistę.

– Hańba! Nikt nie szanuje weteranów – burczał zwykle jakiś

obwieszony medalami widz.

Miałam spocone ręce, a moja buzia przybierała kolor letnich pomidorów.

Zwracając się o pomoc do swojego ojca, Mama stanęła przed dylematem moralnym. Choć podczas czystek dziadek tylko cudem uniknął aresztowania – nie wspominając już o groźbie generała Żukowa w sprawie egzekucji za niesubordynację – pozostał komunistą-idealistą ze starej bolszewickiej szkoły. Wykorzystywanie partyjnych przywilejów dla własnych korzyści kłóciło się z jego zasadami, według standardów nomenklatury (elity komunistycznej) on i babcia żyli skromnie.

Zasady wyznawane przez Mamę zostały naruszone w inny sposób. Był rok 1968, sowieckie czołgi wjechały do Pragi, druzgocąc wszelkie nadzieje na liberalizację i konsolidując władzę Breżniewa. Odwilż minęła na dobre. Antysowiecki, dysydencki zapał Mamy osiągnął swój szczyt, dorównując gorliwej lojalności dziadka względem systemu. Ich wzajemne stosunki były tak wybuchowe, a wzgarda Mamy względem państwa reprezentowanego przez dziadka tak głęboka, że w trójkę z siostrą i bratem wyrzucili dziadkowe archiwa do śmieci. Wśród rzeczy, które przepadły, było wydanie pism militarnych Mao Tse-tunga z jego autografiem oraz, owszem, pewne ważne pamiątki po Sorgem.

Nie muszę więc mówić, że Mama wzdragała się przed proszeniem dziadka o jakiekolwiek przysługi wiążące się z jego partyjnym *błatem* (znajomościami). Nie istniał jednak żaden inny sposób rozwiązania mojej sytuacji.

Tak oto Mama schowała swoje zasady do kieszeni i poprosiła dziadka o pomoc. On też schował swoje do kieszeni i zadzwonił na numer pewnego admirała.

Nazajutrz zostałam zapisana do przedszkola dla dzieci członków Komitetu Centralnego partii.

Dowiedziawszy się, że zgodnie z zasadami obowiązującymi w tym przedszkolu będę tam przebywać dzień i noc od poniedziałku do piątku, wydałam z siebie okrzyk wyrażający całą udrękę pięcioletniego dziecka. Mama też pobladła. To prawda, cieszyła się, że uchroni mnie przed czerwonką i zapaleniem płuc, jednak miała tesknić za mną boleśnie.

No i ta odrażająca kwestia nomenklatury. Mamę odstreczała idea uprzywilejowanej sowieckiej kasty i jej rozpieszczonego potomstwa, które ma dostęp do politycznie niepoprawnych rarytasów. Spędziłyśmy pół życia, wystając w kolejkach po żylaste gulaszowe czy szprotki w puszcze. Oni tymczasem wysyłali swoferów do „zamkniętych punktów zaopatrzenia”, owych nieoznaczonych magazynów, które dostarczały im siewrugę i jesiotra, ozór oraz kawę rozpuszczalną, luksus najtrudniejszy do zdobycia. A przynajmniej tak to sobie wyobrażałyśmy. W społeczeństwie gwarantującym równość dla wszystkich zwyczaje żywieniowe elit rządzących były ukrywane przed resztą z nas. Zdaniem Mamy i jej inteligenckich przyjaciół-dysydentów przywileje nomenklatury mocno cuchnęły współsprawstwem.

– Tylko ani mru-mru o jedzeniu w przedszkolu – ostrzegła Mama, gdy brnęłyśmy przez śnieg. – I nie ucz się żadnych piosenek o Leninie.

Przedszkole Komitetu Centralnego, klocek z jasnej cegły, znajdowało się za wysokim drucianym ogrodzeniem w gęstym, ciemnym, pachnącym żywicą lesie Kuncewo. Niedaleko stąd, za pięciometrowym zielonym drewnianym parkanem, majaczyła dacza Stalina. Była silnie strzeżona, tajemnicza i zamknięta na cztery spusty od czasu, gdy 5 marca 1953 roku wyzionął w niej ducha. Choć reżim Breżniewa czynił kroki w stronę jego rehabilitacji, w powszechnej świadomości imię Stalina pozostawało niepokojującym semitabu. Mimo to cała okolica wiedziała, że wysokie sosny zasadzono tam w 1933 roku

na osobisty rozkaz miłośnika przyrody Generalissimusa. Również na jego rozkaz pojawiły się wzgórza otaczające las, tak nietypowe dla płaskich jak stół terenów wokół Moskwy. „Czy w dacie naprawdę znajduje się tajny bunkier z tunelem wiodącym prosto na Kreml?” – zastanawiali się wszyscy. *Babuszki* w chustach na głowach handlujące kartoflami na poboczach dróg szeptały klientom, że otruli go Żydzi. Tutejsi pijacy natomiast nie odważyliby się zapuścić do lasu z butelką, odstraszeni famą o wiecznie błakającym się wąsatym widmie oraz bardziej prawdopodobnymi opowieściami o umundurowanych towarzyszach strzelających do intruzów.

W drodze do przedszkola gorzko płakałam ze strachu przed tymi wszystkimi parkanami i duchami (choć z drugiej strony w głębi duszy podobały mi się liryczne sopelki z wylewanych łyz, wyrastające mi na policzkach).

Wewnątrz wszystko cuchnęło dobrobytem i świeżo upieczonymi *pirożkami*. Szczególnie olśniewał kącik leninowski, z białymi gladiolami ułożonymi pod rodzinnymi zdjęciami Uljanowów, porozwieszonymi jak ikony na szkarłatnym aksamicie tablicy ogłoszeniowej. Na panoramicznej werandzie z widokiem na nawiedzony bór potomstwo nomenklatury drzemało na świeżym powietrzu, pozawijane niczym prosiaczki w puchowe śpiwory. Zjawiłam się akurat w „martwą godzinę”, jak po rosyjsku określa się poobiednią sjestę.

– Wstawać, przyszli komuniści! – zawała przedszkolanka, klaszcząc w dłonie. Uśmiechnęła się przebiegle. – Czas na rybi tłuszcz!

Sądziłam, że chodzi jej o tran, tę zmorę w brązowej butelce serwowaną codziennie we wszystkich przedszkolach razem z kostką posolonego czarnego chleba. Tymczasem podeszła do mnie słusznej postury piastunka imieniem – do dziś pamiętam – Zoja Pietrowna z wielką łyką czarnego kawioru. Było to moje pierwsze zetknięcie z ikra siewrugi. Miała metalicznie rybi

posmak, jak zardzewiała klamka.

– Otwórz szeroko... łyżka dla Lenina – błagała słoniowata opiekunka, wciskając łyżkę w zaciśnięte usta. – *Za Rodinu, za Partię!* – kusiła coraz wyższym tonem, a rybie jajeczka połyskiwały tuż pod moim nosem.

Zaczęłam się dławić.

– Ty mała pluskwo! – ryknęła. – Tylko nie waż mi się zwracać! Bo będziesz musiała zjeść, co wyrzygasz!

Z dwojga złego wybrałam kawior, choć nie wydawał się wiele lepszy od wymiocin.

Wkrótce stało się jasne, że tam nie pasuję, ani trochę. Miałam nierosyjskie nazwisko nieuchwytnego ojca, workowaty rumuński płaszcz po kimś, do tego mdłości, męczące mnie nieustannie, oraz antyestablishmentową matkę, która lekkomyślnie usiłowała osłonić mnie przed indoktrynacją, zabraniając czytania ukochanego pisarza radzieckich dzieci Arkadego Gajdara i zapamiętywania hymnów o Leninie. Wiem, że Mama chciała dobrze, ale naprawdę co sobie myślała, gdy wychowywała mnie na wrzód ideologiczny? Czy nie wiedziała, że w ZSRR słowo „szczęśliwe” jest i na zawsze pozostanie obowiązkowym epitetem przy „dzieciństwie”? I że dla dziecka o smutnych oczach – a takim byłam – przedszkole zarezerwowało oficjalne określenie „nieprzyjazny”, sowiecki szyfr oznaczający element groźnie antyspołeczny.

Intymne proustowskie fantazje Mamy kolidowały ze szkarłatną, pełną fanfar socjalistyczną epopeją o wspólnej Świeckanej Przyszłości, wpędzając mnie w stan nieustannego półprzytomnego wyobcowania. Mamine pragnienie uchronienia mnie przed jej własnym doświadczeniem sowieckiej rozdwojonej świadomości doprowadziło u mnie do dokładnie odwrotnej dolegliwości. W domu nie odważyłam się wyznać, że nauczyłam się na pamięć piosenek o Leninie, całkiem przez przypadek, po

prostu słuchając ich tyle razy podczas prób. Nawet sama przed sobą nie potrafiłam się przyznać do zauroczenia tym zakazanym czerwonym światem, zaludnionym przez szczęśliwe wnuki Lenina. „Lenin zawsze z nami – śpiewałam cichutko w poduszkę, płacząc ze wstydu, gdy w weekendy wracałam do domu. – Lenin zawsze żywy... W każdy wasz radosny dzień Lenin w tobie, Lenin we mnie”.

– Aniutik, nie przynosimy tej *gadost* (paskudztwa) do domu – powiedziała ostro Mama, gdy mnie raz podsłuchała.

Natomiast w wieczory spędżane w przedszkolu trawiła mnie dokładnie przeciwna tęsknota. Bojąc się choćby pisać w obecności straszliwej Zoi Pietrowny, nuciłam bezgłośnie ulubione pieśni Mamy. Jak tę Schuberta o Małgorzacie przy kołowrotku: *Znikł spokój mój, na sercu ciężko, nie znajdę go już nigdy więcej...*

– Na prawy boczek – ALE JUŻ! Rączki prosto, na kocyk!

Zoja Pietrowna, niczym sierżant musztrujący pluton, dokonywała inspekcji równiutkich rzędów łóżek w internacie, pilnując, abyśmy nie angażowali się czasem w jakąś indywidualistyczną, antysowiecką działalność. Jak na przykład drapanie się albo pójście do ubikacji. Ten prawy boczek nawet mi pasował. Dzięki temu mogłam wyglądać przez okno i patrzeć na światła nowo wybudowanego ośmiopiętrowego bloku, połyskujące w czarnej nocnej oddali. Budynek ten był przejawem pewnych ulepszeń wprowadzonych za Breżniewa w modelu *chruszczoby*: osiem bądź dwanaście pięter zamiast czterech, do tego windy i zsypy na śmieci. Leżałam, nucąc cichuteńko swoje pieśni, w myślach nawiedzając przytulnie oświetlone domowe światy, gdzie matki nalewają herbatę do pomarańczowych kubków w kropki i całują córki na dobranoc. Kobiety z mojej wyobraźni zawsze miały krótkie włosy Mamy, ale już nie jej rysy. Leżałam tak całymi godzinami, co chwila na nowo licząc okna, które wciąż jeszcze się świecą. Gdy w

kolejnych gasło światło, czułam w sercu skurcz, który spiętrzał się w falę samotnej pustki, gdy w budynku robiło się już całkiem ciemno. Okna były jak latarnie morskie, świecące mi ze świata rozciągającego się za wysokim drucianym ogrodzeniem.

A rankiem kolejne cierpienie. Niespecjalnie zależało mi na kolegach z przedszkola, z wyjątkiem jasnowłosego chłopczyka o prostym nosie i wyrazistych niebieskich oczach, Wiktora, którego tata, również o imieniu Wiktor, był słynną osobistością telewizyjną. Nie pałałam wprawdzie do Wiktora równie dramatyczną namiętnością, jak do Jurija Gagarina, była to raczej sympatia, więc zrodzona ze skrywanego wzajemnego smutku. Prawie nie rozmawialiśmy z sobą, lecz jednego razu, gdy zwymiotowałam i wszyscy się ze mnie naśmiewali, Wiktor szybko pogłaskał mnie po głowie, żebym się rozchmurzyła.

Wiktor miał jednak swój własny kłopotliwy problem – moczył się w nocy. Rankiem Zoya Pietrowna zrywała z niego kołderkę i dokonywała inspekcji prześcieradła, następnie szarpiąc, wyciągała go z łóżka i spuściwszy białe kalesonki, ciągnęła go aż na drugi koniec sali sypialnej. Tam cała reszta z nas musiała po kolei przemaszerować obok niego z zadaniem wymierzenia klapa w gołą pupę nieszczęśnika.

– Mam nadzieję, że *ty* byś go nie uderzyła – mawiała Mama, zbulwersowana tą historią.

Ale co miałam począć? Gdy zbliżała się moja kolej, serce waliło mi jak młotem. Nie mogłam ani przeciwstawić się Zoi Pietrownie, ani też dołączyć do grona dręczycieli Wiktora, który stał niewzruszenie jak gdyby nigdy nic, z nieobecnym wzrokiem i dziwnie zobojętniałym wyrazem twarzy. Pamiętam panikę, jaką ogarniała mnie w chwili, gdy na niby podnosiłam rękę, jakbym zamierzała się do klapa, po czym delikatnie przesuwałam dlonią po jego pośladkach.

Zdumiewało mnie, że już przy śniadaniu Wiktor jakimś

cudownym sposobem stawał się dawnym sobą, z zapałem pałasując grysik i popijając herbatę. Ja zaś siedziałam, wbijając tępo wzrok w białą kałużę zupy mlecznej, na której rozgościł się zimny żółty prostokąt wyborowego masła „Wołogda”, które nie chciało się topić.

Właśnie podczas posiłków najdotkliwiej dokuczało mi poczucie wyobcowania. Wewnętrzne zmagania nasilały się z każdym kolejnym niestrawnym politycznie, lecz pysznym kęsem, który tak bardzo chciałam zjeść, wiedząc jednak, że przerażę tym Mamę. Wymiotowałam więc. Rozważyłam też podjęcie strajku głodowego, jak ów tatarski dysydent, o którym Mama mi opowiadała. Pewnego razu wpadłam na desperacki pomysł. Tuż obok mojego stołu znajdował się kaloryfer, staromodny, z żeberkami i z wystarczającą przestrzenią pomiędzy nim a ścianą, aby upchnąć tam niechciane posiłki z całego tygodnia. Kiedy więc nikt nie patrzył, wciskałam tam frykasy partyjnych elit. Na pierwszy ogień poszły eskalopki cielęce w sosie grzybowym z borowików, które zbieraliśmy własnymi rączkami pod wonnymi sosnami Stalina. Potem makaron, który w odróżnieniu od skromnego domowego był wykwintny i biały, w dodatku obficie posypany mazistym serem importowanym z olśniewającej (choć nie zawsze tak znowu przyjaznej) ojczyzny marszałka Tity. Tam właśnie skończył wyborny pasztet z wątroby dorsza, jak również zdrowa legumina z prawdziwego wiejskiego twarogu tudzież kisiel z borówek.

Jeśli jednak idzie o słodycze serwowane nam z popołudniową herbatą, to nie umiałam się ich wyrzec. W naszym szczęśliwym społeczeństwie bezklasowym słodycze stanowiły najbezczelniej oczywistą oznakę pozycji społecznej. Podczas gdy lepiące proletariackie ciągutki, zwane „Iris Kis-Kis”, oraz twarde jak kamień cukierki w rdzawym kolorze, zwane raczymi ogonami, zadawały katusze plombom w zębach mas, wyższym statusem cieszyły się dostępne tylko z rzadka czekolady, jak „Misie na

Północy” („Miszka na Siewierie”) z obrazkiem przedstawiającym białe niedźwiedzie na bladoniebieskim tle. Jakże romantycznym smakołykiem był ów miś polarny! Kojarzył się z arktycznymi bezkresami, którymi nasi radzieccy odkrywcy dopiero mieli zawładnąć. Były też czekoladowe zajęczki („Szokoładnyj zajac”), wielkie, owinięte w zielone sreberka bibeloty sowieckiej gospodarki niedoboru. W cenie dziewięciu rubli za kilogram (czyli za jedną dziesiątą przeciętnej radzieckiej pensji) można je było kupić bez problemu – za co żywiono do nich głęboką pogardę. Ich jedynymi zapalonymi konsumentami byli milicjanci z drogówki, opływający w pieniądze z łapówek, znani z przysłowiowej głupoty i braku gustu.

– Ci z drogówki biorą czekoladowe zajęce dla swoich dzieci. Rekompensata za to, że zapominają odbierać je z przedszkola – mawiała sprzedawczyni z pobliskiego sklepu ze słodyczami, uśmiechając się szyderczo.

Łakocie w naszym przedszkolu w ogóle nie mieściły się w tej skali. Jak większość cukierków dostępnych w Moskwie, były produkowane w Fabryce Czekolady „Krasnyj Oktiabr”, ukochanych zakładach cukerniczych Mikojana. Dopiero całkiem niedawno dowiedziałam się, że „Krasnyj Oktiabr” wytwarzał słodycze w dwóch wersjach: jedną dla Ludu, drugą dla Partii. Czekoladki dla nomenklatury miały te same nazwy – „Biełoczka” (Wiewiórka), „Krasnyj Mak”, „Sława Oktiabriu” – a opakowania wyglądały identycznie jak na ich proletariackich sobowtórkach, posiadały jednak nieporównanie doskonalszy smak dzięki wykwintniejszym składnikom. Jako przedszkolak nie miałam o tym wszystkim pojęcia. Owszem, zdawałam sobie sprawę, że nasze słodycze, o słusznej wadze, elegancko owinięte w stylowe matowe papierki, uosabiają władzę i przywileje. Nie mogłam się zdobyć na zjedzenie – ani na wyrzucenie – takiego symbolu statusu społecznego, nie postało mi też nawet w głowie, aby podzielić się nim z kolegami zza płotu, upychałam

więc słodycze w saszetce chowanej pod ubraniem.

Utylizacja posiłków przebiegała bez przeszkód do czasu, aż zza kaloryfера zaczęło być coś czuć. Z początku ledwie uchwytną niemiłą woń, potem obrzydliwy fetor, przez który każdy uciekał od tej ściany jak oparzony, wrzeszcząc *fuuu!* Rozkładające się składowisko za kaloryferem wykryła Zoja Pietrowna. Mamę natychmiast wezwano wraz ze mną na dywanik do dyrektorki. Drobna, pociągająca nosem kobieta o postrzępionych włosach, ciasno upiętych w kok, miała bezbarwne słowiańskie rysy partyjnego aparatczyka. W przekonaniu Mamy była niewątpliwie wysokiej rangi agentką KGB. Pomimo niepozornych rozmiarów potrafiła budzić grozę. Jednego razu rzuciła się na ekshibicjonistę, który grasował koło naszego ogrodzonego boiska, zamierzając się na niego swoją torebką o ostrych kantach. Dewiant przeraził się nie na żarty i wziął nogi za pas.

– Wasze dziecko, towarzyszko *Frum-kina* – odezwała się dyrektorka, znacząco wydymając usta przy wymawianiu żydowskiego nazwiska Mamy – wasze dziecko właściwie nie przystaje do naszegokollektiwu...

Czyżbym miała zostać wyrzucona z przedszkola Komitetu Centralnego? Czyżby Mama miała stracić pracę, a może i co gorszego? Ogarnięta paniką, pobiegłam do sali sypialnej i chwyciłam moją bezczenną saszetkę.

Mama wiozła mnie do domu na sankach, szarpiąc nimi przez zwały śniegu z nietypową dla siebie agresją. Zrobiło mi się jej żal, samotnej kobiety bez żadnej opiekunki do dziecka. Ale przecież mogła za to winić tylko samą siebie, skoro wychowała mnie na dziecko stroniące od innych, alienując mnie od *kollektiwu* i przez swą dysydencką paplaninę przyprawiając mnie o nerwicę na punkcie apetytu. Markotnie wyciągnęłam z saszetki cukierka. Nazywał się ananas. Najpierw wessałam chrupiącą czekoladę ze skorupki, potem powoli zlizałam resztę,

docierając do środka. Nadzienie było tak niemożliwie przesłodzone sztucznym aromatem syntetycznego ananasa, że aż przeszedł mnie dreszcz. Żeby udobruchać Mamę, zaoferowałam jej ostatni ocalały centymetr oszałamiającego cukierka. Sądziłam, że czując ten smak, jęknie i runie prosto w śnieg, powalona dogłębną rozkoszą i wyrzutami sumienia. Lecz Mama bezmyślnie żuła cukierek, wytrwale ciągnąc sanki.

W następny poniedziałek znów znalazłam się wśród gruzińskich sosen za wysokim drucianym ogrodzeniem i znów dławiałam się kawiorem.

A Chruszczow? Podczas swej długiej, przygnębiającej emerytury spędzonej na daczy poświęcił się uprawie kukurydzy.

7

Lata siedemdziesiąte: Ojczysty majonez

„Od czego zaczyna się Ojczyzna?”*****

Takiej refleksji oddał się autor cekliwej pieśni wykonywanej na ową przecukrzoną modłę właściwą dobie Dojrzałego Socjalizmu, z miejsca infantylizującą słuchacza.

„Od obrazka w elementarzu?... Od tej brzozy na polach?”

Rosjanie w wieku mojej Mamy, większość czasu po pracy spędzający w kolejkach, mogliby obstawać przy tym, że *Rodina* zaczyna się od *awoški* – „anużki” – nazwanej od słowa *awos'* („a nuż”), kompletnie zbytecznej siatki na zakupy, która tkwiła w kieszeni każdego Rosjanina, wytrwale łudzącego się nadzieję, że w jakimś mrocznym zakątku sklepu natknie się nagle na deficytowe marokańskie pomarańcze albo bałtyckie szprotki. Nasza siatka szczęścia stanowiła triumf radzieckiego optymizmu i zapobiegliwości. W *awośce* dałoby się pomieścić mały traktor, mocnej plecionce z bawełny niestraszne były nawet ostre kanty trójkątnych kartonów z mlekiem, tak, tak, tych biało-niebieskich, które przeciekały, kapiąc w rytm

kroków.

Ktoś z mojego pokolenia – dzieci doby Zastaju, które dziś często rozpływają się z zachwytu nad młodością w czasach Dojrzałego Socjalizmu – zapewne zażartowałby, że *Rodina* zaczęła się od pierwszej pary czarnorynkowych dżinsów czy przemyconej płyty Beatlesów. A może od pochodów Młodych Pionierów, kiedy śpiewaliśmy pieśni o *Rodinie*, dodając przed „r” ledwie słyszalne „u”, z czego robiło się słowo *urodina* – „szkarada”.

Wywrotowa czkawka przed „r” – oto całe lata siedemdziesiąte. Można było mieć *Rodinę* w głębokim poważaniu, a zarazem dobrze się bawić na sierpniowych obozach Młodych Pionierów finansowanych przez państwo.

Ja sama oczywiście nie miałam okazji doświadczyć takich sponsorowanych przez reżim rozrywek. Moja okrutna matka nie puszczała mnie na obóz, a w uroczysty wiosenny dzień 1973 roku, gdy cała nasza klasa wstępowała do Młodych Pionierów, zatrzymała mnie w domu pod pretekstem choroby. Nigdy nie stanęłam na placu Czerwonym, salutując pięcioma palcami przy warkocie werbli i pisku trąbek. Nie miałam okazji poczuć czosnku w oddechu Wassy, drużynowej pionierów w naszej szkole, mocującej się z węzłem szkarłatnej chusty na mojej szyci. Nigdy nie składałam uroczystej przysięgi – „miłować *Rodinę*, żyć, uczyć się i walczyć tak, jak nakazał Lenin i jak uczy nas tego Partia Komunistyczna”. Na szczeście szkoły numer 110 tak czy siak uznała mnie w zasadzie za pioniera i pozwoliła nosić chustę pionierską, ów niewielki święty skrawek naszej ojczystej flagi.

Co się zaś tyczy tego, gdzie *naprawdę* zaczynała się *Rodina*, to kto wie – być może dla nas wszystkich zaczynała się ona od sałatki „Olivier”***** , szykowanej z pociętych w kolorową kostkę gotowanych ziemniaków, marchewek, ogórków kiszonych, jajek na twardo, zielonego groszku oraz jakichś

protein do smaku, okraszonej pikantnym, kremowym sosem. *Aparatcziki*, ubodzy emeryci, dysydenci, traktorzyści, fizycy jądrowi – każdy mieszkaniec którejś z naszych 11 stref czasowych uwielbiał sałatkę „Olivier”, zwłaszcza w kiczowatych, majonezowych szczęsnych latach siedemdziesiątych. Barszcz był czymś banalnym, uzbecki pilaf czy gruziński kurczak w sosie orzechowym nieco nazbyt egzotyczne, olivier natomiast okazał się w sam raz, niezawodnie odświętny i wyjątkowy z racji takich deficytowych składników, jak węgierski groszek marki „Globus” czy pikantny radziecki majonez, który wprawdzie zawsze można było dostać w sklepie, wystawszy jednak swoje w długiej kolejce. Urodziny, zaręczyny, obblewanie obrony, przyjęcia pożegnalne dla emigrujących Żydów (których atmosfera kojarzyła się nieraz ze stypą) – nie było uroczystego stołu bez sałatki „Olivier”.

Któź nie pamięta wielkich kryształowych misek z sałatką „Olivier” na przyjęciach noworocznych, kiedy rodziny zbierały się przed telewizorami w oczekiwaniu na 12 uderzeń kremlowskiego zegara i na chwilę, gdy drogi Leonid Iljicz Breżniew poprawi okulary do czytania, pogrzechocze medalami, ogłuszajaco chrząknie, po czym zacznie szeleścić kartkami w desperackim poszukiwaniu pierwszej linijki noworocznego przemówienia?

A pierwsza linijka brzmiała niezmiennie tak samo: „Drodzy Rodacy!”.

Dziś razem z Mamą możemy się poszczycić w naszym kolektywnym repertuarze przynajmniej tysiącem rozmaitych przepisów na sałatki. Ja lubię tajską i katalońską, Mama doprowadziła do perfekcji sałatkę ze zwykłej zielonej sałaty, kto wie, czy nie najtrudniejszą do opanowania. Są w niej prażone orzeszki piniowe i gumowane suszone żurawiny, urozmaicając szczypiorkowy winegret otulający nieskazitelne listki sałaty. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej niersyjskiego. A sałatka

„Olivier”? Nie przyrządzały jej zbyt często i nigdy nie czynimy tego od niechcenia, starając się nie naruszyć otaczającej ją aury odświętności. Przepis na nią – cenne dziedzictwo naszej nieidyllicznej socjalistycznej przeszłości – bywa wyciągany z szuflady pamięci dla uczczenia ważnych życiowych chwil.

Jednego razu Mama uznała, że nadszedł taki właśnie moment. Jej siostra Julia przyjeżdża z Moskwy w odwiedziny. Urządzimy przyjęcie, a gwoździem uczty złożonej z przekąsek będzie sałatka „Olivier”.

Przyjeżdżam, żeby pomóc w gotowaniu. Mieszkanie Mamy, jak zwykle przegrzane, przepełnia słodkawa, ziemista woń gotowanych jarzyn korzeniowych. W kąciku jadalnianym w kuchni leżą już ziemniaki i marchewki ugotowane w łupinach, wyczekując swej transformacji w sałatkę. My tymczasem obieramy, siekamy, trajlujemy. Jak to się często zdarza przy stole w maminej kuchni, czas i przestrzeń zaczynają się zacierać i kondensować. Smak libańskiego pikla, niesamowicie podobny do rosyjskich korniszonów, przywodzi nam na myśl urywki jakiejś pieśni o *Rodinie*, te z kolei dają początek dywagacjom o moralności politycznej bądź budzą wspomnienie marzenia przed lat, ulotne ukłucie tęsknoty.

Wrzucając do miski pokrojone ziemniaki, marchewki i ogórki, myślę sobie, że oliviera można by uznać za metaforę wspomnień radzieckiego emigranta: miejskich legend i totalitarnych mitów, kolektywnych narracji i faktów biograficznych, podróży do domu, tych prawdziwych i tych w wyobraźni – a wszystko luźno spojone majonezem.

Kroimy i kroimy, każda zatopiona we własnych myślach.

Najwspanialszy zapamiętany przeze mnie oliwier pojawi się, kiedy mam siedem lat. W ogromnej kuchni, oświetlonej nierównomiernie przez dyndające z sufitu zatłuszczone żarówki, właśnie są zsuwane stoły. Brzuchaci panowie wnoszą krzesła,

panie w poplamionych fartuchach siekają i mielą. We wspólnej kuchni długiego trzypiętrowego budynku przy ulicy Kujbyszewskiej, dwie minuty na piechotę od Kremla, szykuje się przyjęcie.

Znajdujemy się w *komunałce*, mieszkaniu komunalnym, w którym przyszłam na świat. To właśnie tutaj słyszałam, jak czarnorynkowiec Miszka zwraca spożyte frykasy, tutaj nadal mieszkababuszka Ałła – Babała, jak ją nazywamy – czyli matka Taty, tu również Mama spędziła trzy bolesne lata od moich narodzin aż do wyprowadzki na Dawydkowo.

Nie mieszkamy już zresztą na Dawydkowie. Tuż przed moim pójściem do pierwszej klasy Tata doszedł do wniosku, że jednak chce mieć rodzinę na stałe, pod tym wszakże warunkiem, że przeniesiemy się do centrum Moskwy. Mama zuchwale okpiła urzędników i wykombinowała zamianę naszego mieszkania na mieszkanie jej rodziców. Naum i Liza przenieśli się na nasze miejsce, gdzie czekały ich zdrowe spacery wśród Stalinowych sosen, my zaś zajęliśmy ich dwupokojowe lokum na Arbacie, zaledwie jeden przystanek metrem od wspólnej kuchni Babały. Tam to właśnie zebraliśmy się tłumnie owego wieczora.

Odwiedzam Babałłę w każdy weekend i często nocuję w jej wilgotnym, wysokim pokoju. W takie wieczory gramy w karty, posilając się błyskawicznymi kluskami mrożonymi, a na deser tortem bezowym „Śnieżka”, który babcia przynosi z elitarnej stołówki w Gosstroju, czyli Państwowym Komitecie Budownictwa, gdzie zarabia kolosalną sumę 260 rubli miesięcznie. Babała mi imponuje – to jej obnoszenie się z wódką i bilardem, niecenzuralny język i wciąż seksowny wygląd. Jest moją towarzyszką zabaw i przykładem do naśladowania, to ona wymogła na Mamie, żeby pozwoliła mi zapuścić długie włosy, takie jak ma ona. Ilekroć na jej widok gwiźdzą robotnicy na budowie, puszczałam do nich oko i z dumą odgizduję, ona natomiast wymyśla winowajcom głosem zachryptym od

wieloletniego zaciągania się papierosami „Biełomor”. Babałła to „najpierwszoklaśniejsza” babcia na świecie, lecz jej *komunałka* nie tylko mnie fascynuje, ale i przeraża, wręcz ciarki chodzą mi po plecach, ilekroć do niej idę.

Bolszewizm rozprawił się z życiem prywatnym, na co zwrócił uwagę Walter Benjamin podczas wizyty w Moskwie w 1927 roku. Oto jak opisywał mieszkanie komunalne: „Przez drzwi na korytarzu wchodzi się do małego miasteczka”. Poruszający obraz, jakby z dzieł Magritte'a. Tyle że „miasteczko” w późniejszym od nich o 40 lat mieszkaniu Babałły nie było takie znowu małe – w 18 pokojach usytuowanych wzdłuż długiego, wąskiego korytarza tłoczyło się ponad 50 osób. Korytarz ów – nieogrzewany, z zaciekami na ścianach i bez oświetlenia (żarówki ustawicznie kradł i przehandlowywał *ałkogolik* Caricyn) – był dla mnie doliną grozy i niebezpieczeństw. Można się w nim było nabawić zapalenia płuc, skręcić kostkę, potykając się o nieprzytomne ciało rzeczonego Carycyna albo i jeszcze co gorszego. Najgorsze ze wszystkiego? Upiorna postać szalonej starej Mari Wanny, sniącej się to tu, to tam w podartej, białej ongiś koszuli nocnej i z nocnikiem w dłoniach. Gdy naszła ją ochota na figle, ciskała człowiekowi ów nocnik pod nogi.

Nie będę wchodzić w szczegóły co do wspólnej łazienki, wyjawszy może fakt, że znajdujące się tam trzy ubikacje były przepierzone dyktą, w której podglądacz Witalik lubił wiercić otworki. Tuż za tą jego galerią umiejscowiono wspólną kuchnię.

Uprzejmie proszę mieć na uwadze, że w języku rosyjskim nie ma słowa na oznaczenie „prywatności”.

Stosownie do sytuacji kuchnia w mieszkaniu Babałły stanowiła wielofunkcyjną przestrzeń publiczną, tętniącą wszelakimi formami ważkiej aktywności zbiorowej. A oto niektóre z jej funkcji:

AGORA: Chwalebna wieść o przekroczeniu kolejnego Planu Pięcioletniego grzmi z tranzystora zawieszonego nad piecem kuchennym. Sąsiedzi roztrząsają poważne kwestie polityczne. „Ta zdrajczyni, żydowska łachudra spod szóstki Maja Spiro znowu spiskuje przeciwko Związkowi Radzieckiemu”. TARG: „Nataaaaasza... Saaasza... Dacie mi cebulę za pół szklanki mąki gryczanej?”. ŁAŹNIA: Nad kuchennym zlewem kobiety ukradkiem wcierają we włosy czarny chleb. Ukradkiem, bo choć chleb uchodzi za środek na porost włosów, to zarazem stanowi socjalistyczną świętość. Czynienie z niego nienależytego użytku mogłoby zostać uznane przez sąsiadów za niepatriotyczne. SALA SĄDOWA: Trybunał Towarzyszy sądzi sąsiadów za przewinienia, w tym również zapominanie o gaszeniu światła w kuchni. Poważniejszym przestępstwem jest wyjadanie mięsa z zupy sąsiadów. W zamęcie babcinej *communałki* złodziejem okazuje się filigranowa starsza dama o arystokratycznym wyglądzie i smętnej minie, rozciągającej się czasem w błogi uśmiech, który zdaje się przylepiony do jej twarzy. Chcąc zwalczyć ten proceder, niektórzy sąsiedzi umieszczają na swoich garnkach znaki z trupią czaszką, inni zamykają je na kłódki. PRALNIA: Gdy wchodzi się do kuchni w mroźny i mroczny zimowy poranek, po twarzy biją nas na pół zamrożone pończochy wiszące na rozciągniętych sznurach. Niektórzy sąsiedzi się denerwują. Wysoki jasnowłosy Witalik łapie nożyczki i ciach, ciach, ciach. Jeśli pończochy były z importu, dochodzi do rękoczynów. Wówczas kuchnia w mieszkaniu komunalnym przemienia się w MIEJSCE KAŹNI.

We wspólnych kuchniach również gotowało się posiłki: tłusty barszcz, *szczeci*, kotlety i kaszę. Malutka emerytka Walentyna Pietrowna, istne żywe srebro, która czasami mnie pilnowała, wyczarowywała z niczego najcudowniejsze *pirożki* na świecie. Baba Miła – teściowa Miszy – smażyła soczyste deficytowe kawałki kurczaka, które Mama raz podkradła. Samo wszakże jedzenie było czynnością, którą sąsiedzi wykonywali w

podejrzanim ideologicznie zaciszu własnych pokojów. W całokształcie moich wspomnień z mieszkania Babały przyjęcie z sałatką „Olivier” stanowi pod tym względem jedyny wyjątek.

A okazja była zaiste radosna i sięgnęła nawet poza obręb mieszkania. Chodziło mianowicie o powiększenie kuchni piętro wyżej nad Babałą!

Wewnątrz owej kuchni znajdowały się drzwi prowadzące do maleńkiej czterometrowej klitki o gołych ścianach, zamieszkiwanej od lat przez starszą panią, którą zwaliśmy ciocią Niuszą. Drobniutka cioteczka Niusza o ptasim wyglądzie i zapadłych oczach oraz zamiłowaniu do słodyczy, przenikliwie woniąca formaldehydem, kochała swoją robotę w kostnicy i z upodobaniem snuła inspirujące opowieści o myciu zwłok. Pewnego jednak dnia i sama Niusza zeszła z tego świata. Bynajmniej nie dla tego, że sąsiedzi mający chrapkę na jej pokój dosypywali jej do jedzenia mielone szkło, co w mieszkaniach komunalnych nieraz się zdarzało. Nie, nie, nic podobnego, cioteczka Niusza zmarła – słowo honoru! – z przyczyn naturalnych.

Jej zgon – na co wszyscy liczyli – miał doprowadzić do jakże potrzebnego powiększenia kuchni. *Uprawdom* (administrator) miał jednak inne plany. Choć mieszkanie nad Babałą było już i tak niebezpiecznie przeludnione, i to nawet według normy przyznającej dziewięć metrów kwadratowych na osobę, *uprawdom*, dostawszy w łapę, z miejsca zameldował w pokoju cioci Niuszy nowego lokatora. Pewnego wieczora po powrocie z pracy ludzie zastali ogłoszenie Komitetu Kwaterunkowego. Stało w nim, że nazajutrz rano przestrzeń mieszkalną cioteczki zajmie nowy lokator.

- Ten sukinsyn *uprawdom*! – wrzasnął dozorca Tatar.
- Po moim trupie – zawała żydowski specjalista od stosunków chińsko-radzieckich.

I tak oto w przypływie żarliwego i – przynajmniej ten jeden raz – autentycznego poczucia wspólnoty *kommunałka* nad Babałą wzięła się do roboty. Wykonali swój stachanowski trud pod osłoną sennej nocy, aby nie budzić ciekawości donosicieli z innych pięter.

Nim nastął poranek, drzwi i ściany zniesiono na dół, wywieziono gruz. Całość poszerzonej kuchni odmalowano, szczeliny między kuchnią a dawną klitką cioci Niuszy zeszlifowano i zastawiono ten fragment ściany kuchennymi meblami.

Kuchnia powiększyła się o cztery metry, nie został nawet ślad po pokoiku cioci Niuszy.

Uprawdom zjawił się z nowym lokatorem wcześnie rano i cały w skowronkach. Nowy dzierżył klucze do klitki cioci Niuszy, zawieszone na kółku wygiętym w profil Lenina.

– Dranie! Parszywi zdrajcy *Rodiny*! – ryczał *uprawdom*. – Gdzie pokój?!

Zaczął traktować kopniakami ścianę, przed którą znajdował się wcześniej pokój cioci Niuszy.

Wszyscy zaniemówili ze strachu. Zmiana powierzchni mieszkalnej była bądź co bądź bezprawna. Do przodu wystąpiła tylko Oktobrina.

Było z tej Oktobriny osobliwe stworzenie – wiek trudny do oszacowania, włosy w odcieniu czerwieni strażackiej zawsze nawinięte na wałki, wzrok rozbiegany, usta wiecznie wygięte w zalotny uśmiech. Owładnęła nią mania nie tak znów nieprzyjemna. Oktobrina żyła w przekonaniu, że zarówno Stalin, jak i Eisenhower kochali się w niej na zabój. „Przysłał mi telegram: Tęsknię, gołąbeczko” – oznajmiała każdego ranka w kolejce do łazienki. „Który? Stalin czy Eisenhower?” – gderał pod nosem *ałkogolik* Caricyn.

– Pokój? Jaki znowu pokój? – zapytała Oktobrina, świdrując niewinnym a lubieżnym wzrokiem oczy *uprawdoma*. – Proszę, idź już sobie, kochanieńki, bo jak nie, to natychmiast dzwonię do towarzysza Stalina.

Na całe szczęście nie powołała się na Eisenhowera. Może, mimo wszystko, nie była aż tak całkiem pozbawiona piątej klepki.

Stalin leżał w grobie już od blisko dwóch dekad, mimo to *uprawdom* cofnął się i odruchowo wzdrygnął, po czym mocno zassał policzki i z całą zjadliwością splunął, bezradny wobec *kollektiwu*. Bądź co bądź łapówki za pokój też nie były tak całkiem zgodne z prawem.

Owego wieczora cały blok świętował na radosnym przyjęciu w nowej kuchni. Walono śledziami o stół dla obluzowania skóry, po czym układano je na świeżutkich stronicach najnowszej „Prawdy”. Wódka płynęła jak Don, a z nią bimber. W akcie równie wspólnotowym, jak rozbiórka pokoju cioci Niuszy wszystkie cztery kondygnacje wnosiły swój wkład w sałatkę „Olivier”. Gruzińska rodzina przyniosła pęk cebulek szczypiorowych – rzecz niespotykana zimą – aby przydać sałatce letniego posmaku. Sąsiedzi poznosili gotowane ziemniaki i marchewki oraz ogórki kiszone, użyczyli też hojnie zapasów krabów konserwowych i kiełbasy *doktorskiej*. Szczególną wdzięczność zaskarbił sobie nasz Misza, kierownik sklepu spożywczego, prezentujący gospodarskie podejście do własności socjalistycznej, ofiarowując deficytowy groszek konserwowy oraz całą skrzynkę majonezu. Oczyma wyobraźni wciąż widzę Oktobrinę w tej jej usmolonej podomce z reszkami falbanek, wyciskającą na sałatkę majonezowe różyczki z takim poświęceniem, jakby na kolacji mieli zjawić się obydwaj – i Stalin, i Eisenhower. Po kilku widelcach sałatki „Olivier”, z ustami wysmarowanymi majonezem, popadłam w odrętwienie. Szczerze mówiąc, nie pamiętam dokładnie smaku sałatki,

zakładam jednak, że był fantastyczny.

Teraz, w maleńkiej kuchni na Queensie, Mama nie podziela mojego nostalgicznego uniesienia.

– *Fu!* W życiu nie jadłam sałatek „Olivier” tak ciężkiej i bez polotu jak wtedy na przyjęciu u Babały – woła, nie przestając kroić jarzyn w równiutkie półtoracentymetrowe kawałeczki, stosowne do bardziej eterycznej wersji przepisu. – Kto to widział, mieszać kurczaka z *kołbasą* i krabami?

Właściwie to nie winię jej za brak entuzjazmu względem wspomnień z mieszkania Babały, gdzie sąsiedzi bez żenady wołali na nią *Jewiejeczka* („Żydóweczka”).

Jak każdy Rosjanin, Mama pielegnuje swoje własne wyobrażenia oliviera idealnego. Jak w przypadku większości radzieckich potraw, niuanse przepisu wyrażały raczej przynależność społeczną niż osobiste upodobania kulinarne. Sowieci odczuwali to dotkliwie w okresie zastoju za Breżniewa. Na wierzchu maszyna propagandowa nie przestawała podsycać trzeszczących w posadach mitów o obfitych plonach i zbiorowej tożsamości, pod spodem społeczeństwo rozwarstwiało się na odrębne, często wrogie sobie sfery, subkultury i ściśle powiązane sieci znajomych, często o właściwym tylko sobie hermetycznym słownictwie, odniesieniach kulturowych i nastawieniu politycznym – oraz przepisach kulinarnych – które wyrażały stosunek ich członków do oficjalnego dyskursu.

W przypadku sałatek „Olivier” kwestie tożsamościowe sprowadzały się w zasadzie do rodzaju białka. Weźmy na przykład wojujących dysydentów, ludzi z gatunku tych, którzy przepisywali na maszynie samizdaty i nazywali Sołżenicyna „Isajewiczem” (zwróćmy uwagę na niebywale hermetyczne, typowe dla słowiańszczyzny, użycie patronimiku zamiast imienia i nazwiska). Tego rodzaju osoby często dawały wyraz swemu nihilizmowi kulinarnemu oraz pogardzie dla korupcji i

konsumpcjonizmu doby Breźniewa, całkowicie rezygnując z mięsa, ryb i drobiu w olivierze. Na przeciwnym biegunie wykwintnie przyrządzone ozór świadczył o dostępie do partyjnych sklepów, z kolei kiełbasa *doktorskaja*, tak ubóstwiana w latach siedemdziesiątych, wskazywała na rzetelne zapatrzywania urzędnicze. W wersji maminej – którą zaliczyłabym do stylu bohemy artystycznej – pojawiało się delikatne mięso krabów oraz nonkonformistyczna chrupkość świeżych ogórków i jabłek dla „dodania świeżeści” radzieckiemu posmakowi gotowanych warzyw.

Nagle jednak Mama zaczyna mieć wątpliwości co do mojej autorskiej semiotyki.

– Że co? A zresztą – wzrusza ramionami – przecież i tak każda wersja smakowała po prostu majonezem.

Tak było! Wszystkie sałatki smakowały pikantnym, rzadkim radzieckim majonezem marki „Prowansal”, którego produkcję rozpoczęto w 1936 roku, a jego smak sprawdził i zatwierdził sam Stalin. Prowansal, początkowo trudny do uświadczenia, na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zaczął oliwić tryby sowieckiej świadomości, i wtedy to właśnie sałatka „Olivier” zajęła miejsce pośrodku stołu.

Cechy charakterystyczne symbolu: niski, 250 gramów objętości, brzuchaty, szklany, ze starannie dopasowaną zakrętką. Jeśli – jak podobno stwierdził Dostojewski – cała rosyjska literatura wywodzi się od opowiadania *Szynel Gogola*, to tym, czym dla kultury dziewiętnastowiecznej Rosji był Gogolowski płaszcz, dla zwyczajów domowych doby Dojrzałego Socjalizmu był majonez „Prowansal”.

Naszym breźniewowskim dniom – jakże „obfitym”, „przyjacielskim” i „szczęśliwym” – towarzyszyły chroniczne i katastrofalne braki *tary*, którym to terminem określano opakowania i pojemniki. Stąd tak głębokie więzi ludzi z

ich *awośkami*, w które ekspedientki wrzucały ryby czy mięso bez żadnego opakowania, no chyba że przyniosło się własne płachty „Prawdy”. Z tego również okresu pochodziła fetyszystyczna czołobitność towarzyszy wobec zagranicznych toreb plastikowych, które obmywano czule w eleganckim enerdowskim płynie do kąpieli o nazwie „Badoozań” i wieszano do wyschnięcia na niechlujnych balkonach, obnosząc się z nimi na eleganckich przyjęciach, podobnie jak dzisiejsze fashionistki paradują z torebkami „Kelly”*****.

Nic jednak nie mogło rywalizować z wartością użytkową – wartością ponownego wykorzystania – słoika po majonezie. Na szkolne zajęcia z prac ręcznych taszczyłam słoiki pełne gwoździ, igieł i nici oraz innych akcesoriów socjalistycznego trudu młodzieży. Obydwie moje *babuszki* pędziły szczypiorek z cebul trzymanych w słoikach po majonezie. Wujek Saszka, pijak, używał ich w roli: (a) spluwaczek, (b) popielniczek, (c) kubków do picia w obskurnych spelunkach, z których towarzysze pokradli szklanki na wódkę. Wraz z nadaniem wiosny, gdy pierwsze kwiaty perfumowały romantycznością moskiewskie powietrze, tyczkowaci studenci zanosili swoim wybrankom słoiki po majonezie wypełnione konwaliami. (Konwalie, kwiecie niskie i delikatne – podobnie jak fiołki – były niesłusznie ignorowane przez sowiecki przemysł kwiaciarski, preferujący kwiaty wysokie i pompatyczne, takie na przykład gladiole). I któryż *homo sovieticus*, złakniony gotówka na trzy dni przed wypłatą, nie wystawał w kolejce, aby za garść kopiejek nie spieniężyć siatki pełnej słoików? Akt skupu słoików obrastał w wymyślne rytuały.

No i wreszcie – gdzie byłaby radziecka medycyna bez tego jakże doniosłego naczynia?

TOWARZYSZKI, PRZYNOSCIĘ PRÓBKI TESTU CIĄŻOWEGO W SŁOIACH PO MAJONEZIE, WYPARZONYCH UPRZEDNIO WE WRZĄCEJ WODZIE – instruowały tablice w przychodniach

ginekologicznych. I nie chodziło tylko o ciężarne, każdy, kto chciał zbadać mocz – co było rutynowo wymagane przy większości wizyt w poliklinice – musiał umieścić swoją próbkę w pojemniku po pikantnym majonezie „Prowansal”.

Nieszczęsna Mama. Została zmuszona do inwestowania połowy swej marnej pensji w sowiecki przemysł majonezowy. A wszystko przez moją przypadłość.

Problemy zaczęły się, kiedy miałam osiem lat. W tym czasie moje życie jawiło się całkiem różowo. W drugiej klasie byłam prymuską z hiszpańskiego w szkole nr 110, do której wcześniej uczęszczała też Mama. Z poświęceniem ćwiczyłam na pianinie, przygotowując się do cotygodniowych lekcji fortepianu w prestiżowej szkole działającej przy Konserwatorium Moskiewskim nieopodal naszego domu na Arbatie. Na boku występowałam nawet w radzieckich filmach, choć mojej kariery na taśmie celuloidowej nie można uznać za błyskotliwą. Polegała głównie na wielogodzinnym poceniu się pod grubą warstwą makijażu w poliestrowych kostiumach, sprowadzanych z bardziej zaawansowanej pod względem mody Polski, i oczekiwaniu na wyciągnięcie ululanego operatora z izby wytrzeźwień. Jednakże w wymyślnej stylowej scenografii do Tołstojowskiego *Dzieciństwakostiumy* były zwiewne i wspaniałe, a operator względnie trzeźwy. Wynikł jednak inny problem – całą nieletnią obsadę oszpeciły wrzody wywołane – jak twierdzono – przez jadowitego komara żerującego na młodziutkiej skórze na terenie Telewizyjnego Studia Filmowego Ostankino. Kierownik obsady zaprowadził wszystkie dzieci do dermatologa Związku Operatorów Filmowych. Gdy lekarz dokonywał oględzin naszych wrzodów, postanowiłam pokazać mu też dziwne odbarwienie skóry na prawej kostce, którym tak niepokoilią się Babała.

Doktor odesłał mnie do domu z karteczką. Było na niej napisane tylko jedno słowo, a na jego widok Mama i Babała

ruszyły pędem w stronę brodatego posągu Iljicza wznoszącego się przed Biblioteką Leninowską.

„Sklerodermia”.

Nie jestem pewna, jak dokładnie objaśniono ten termin w radzieckiej encyklopedii medycznej, zapamiętałam jednak rozmowę Mamy z doktor Szarapową, najbardziej wziętą dermatolożką w Moskwie, do której mnie niezwłocznie zaprowadzono.

Szarapowa: – Czy Anieczka jest jedynaczką?

Mama: – Tak.

Szarapowa (słodkim głosem): – Lariso Naumowna! Jesteście młodzi. Będą następne dzieci.

Mama nie chciała następnych dzieci. Zresztą jej układ rozrodczy został już dostatecznie zdemolowany przez socjalistyczną ginekologię. Tak oto rozpoczęła się nasza wiekopomna batalia ze sklerodermią, która – jak się niebawem okazało – stanowiła zagadkę i wyzwanie dla radzieckich lekarzy. Witaminy A i E, masaże i fizjoterapia, astronomicznie droga ziołowa maść zwana mumio, stosowana przez sportowców olimpijskich i kosmonautów, codzienne iniekcje penicyliny, cotygodniowe zastrzyki kortyzonu, bogate w minerały błoto z barwnego pirackiego portu czarnomorskiego Odessy. Wszystko to stosowano na chybień trafił, w nadziei pokonania tej potencjalnie śmiertelnej choroby autoimmunologicznej, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miała się rozprzestrzenić – jak szeptem informowano Mamę – od nogi do najważniejszych organów wewnętrznych, wszystkie je unieruchamiając. Spędziłyśmy dwa lata na wirującej karuzeli lekarzy, zawsze zanosząc próbkę moczu w niezawodnym słoiku po majonezie. A gdy w ich gabinetach Mama znoсиła kolejne wzruszenia ramion i współczujące spojrzenia, ja gapiłam się na plakaty promujące zdrowie publiczne, wywieszane na

oblepionych brudem korytarzach klinik dermatologicznych, poręcznie spełniających zarazem funkcję przychodni wenerologicznych.

RELIGIA – OPIUM LUDU. KORZYSTANIE Z TEGO SAMEGO KIELICHA PODCZAS KOMUNII WYWOLUJE KIŁE!

Wygięte podbródki, rozczłonkowane nosy, kalafiorowate narośla – widniejące na tych plakatach twarze syfilityków na zawsze wbiły mi się w pamięć. Kiła przerzążała mnie daleko bardziej niż moja sklerodermia, ponieważ nikt nie poinformował mnie o jej potencjalnej śmiertelności. O syfilisie natomiast słyszałam całe mnóstwo od naszej wychowawczyni, przysadzistej brunetki ze sztywną trwałą na głowie i upodobaniem do kar cielesnych.

– Kiłą można się zarazić przez żucie tej samej gumy i przyjmowanie słodyczy od nieznajomych – głosiła nam niezmordowanie.

Jako winna i jednego, i drugiego, codziennie dokonywałam oględzin własnej twarzy w lustrze w poszukiwaniu kalafiorowatych wykwitów. Sklerodermia tymczasem nie przestawała pełzać po mojej lewej nodze. Gdy pewnego dnia lekarka spostrzegła nowe miejsce na drugiej nodze, Mama osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dloniach.

Drugą bolączką Mamy była utrata przyjaciół.

Po części w reakcji na zachodnie naciski w kwestii praw człowieka, po części zaś w celu pozbycia się „elementu syjonistycznego” na początku lat siedemdziesiątych „wyrozumiałe” państwo sowieckie zaczęło liberalizować ograniczenia dla emigracji Żydów. Do połowy owej dekady zdołało wyjechać już około 100 tysięcy osób. Oficjalnym uzasadnieniem było „dołączenie do rodziny w Izraelu”. Niektórzy radzieccy Żydzi rzeczywiście wybierali się do swej „historycznej ojczyzny”, większość jednak wyjeżdżała wprawdzie na podstawie

izraelskich wiz, lecz już w Wiedniu, w pierwszym punkcie tranzytowym dla uchodźców, deklarowała pragnienie udania się gdzie indziej, najczęściej do Nowego Świata. Takich „wyrodków” przewożono do Rzymu, gdzie oczekiwali na amerykańskie wizy dla uchodźców.

Pod koniec 1973 roku, mając za argument moją chorobę oraz własną głęboką nienawiść do Rodiny, również Mama zaczęła rozważyć takie rozwiązanie.

Wyzow (formalne zaproszenie) od jakiegoś nieuchwytnego ciotecznego dziadka z Izraela został już załatwiony, dokument z wymowną czerwoną pieczęcią leżał w maminej szufladzie na bieliznę, a Mama dumała nad naszą przyszłością. Ówczesna prasa co dzień pomstowała na „syjonistycznych agresorów” (dopiero co zakończyła się wojna Jom Kippur*****). Chodziłyśmy na tajne kursy hebrajskiego i niekończące się przyjęcia pożegnalne dla wyjeżdżających znajomych, gdzie w ogołoconych mieszkaniach pozostały tylko zażółcone materace. Ludzie siadali na spakowanych walizkach. Płakali, palili papierosy, złopali wódkę pożyczonymi kubkami ze zdekompletowanych serwisów, podjadali sałatkę „Olivier” prosto z miski. Opuszczałyśmy te zgromadzenia z mnóstwem praktycznych wskazówek – na przykład żeby dokładnie lizać znaczki skarbowe na wniosku wizowym – tudzież pasjonującymi strzępami informacji o tych, którzy już wyjechali. Córka Lidy była zachwycona kibucem, Misza w Chicago kupił sobie używanego pontiaca, zielonego i tylko z dwoma wgnieceniami. W domu szukałam na swoim globusie Tella Wifu i Szikago, Mama tymczasem rozważyła, czy lepiej będzie wyjechać do Izraela (kwestia honoru), czy do Ameryki (kwestia wygody, starzy znajomi oraz ceniony ekspert od sklerodermii).

Potrzebowałam należytej opieki medycznej, Tata zaś najwyraźniej potrzebował się nas pozbyć. Wydawało się, że znów zbrzydło mu życie rodzinne.

– *Da, da* – przytakiwał pogodnie, ilekroć Mama podnosiła temat zagranicy – jedźcie. Może dojadę do was później, gdy się już urządziecie.

Mimo to Mama wciąż nie mogła się zdecydować, rozdarta między ślepym zaułkiem „tutaj” a przyszłością „tam”, którego nie potrafiła nawet ogarnąć wyobraźnią.

Nawsiegda – na zawsze. Emigracja bez prawa powrotu. Miała to być swego rodzaju śmierć.

Tym, co ostatecznie skłoniło Mamę do udania się do OWIR-u, czyli Wydziału Wiz i Rejestracji, były tragiczne niedobory *tary* w naszym kraju.

Cudowny dzień późną wiosną 1974 roku. Monumentalistyczną stolicę naszej Socjalistycznej Ojczyzny spowijała żółtozielona koronka brzozowych listków, lecz w naszym typowym sklepie spożywczym królowała nuklearna zima. Znajoma zgnilizna, zielonkawo-biała maź pokrywająca buraki, dziwaczne zmutowane narośla wybijające z ziemniaków. Mama, zazwyczaj obojętna wobec podobnych zjawisk, tym razem wypadła na zewnątrz bez zwykłych produktów na zupę. W sklepie „Trzy Świnki” na rogu czekał ją jeszcze posępniejszy krajobraz: pusta lada, jeśli nie liczyć zakrwawionych kawałów niewiadomego mięsa.

– Wymiona i wielorybina! – warknęła przedawczyni o zgrabnym nosku.

Jej skrzywiona mina mogła zmrozić człowieka, mając jednak dwie gęby do wykarmienia, Mama wzięła głęboki oddech i poprosiła po pół kilo jednego i drugiego, próbując nie widzieć szkarłatnych strużek na szalce wagi.

– Nadstawić siatkę – burknęła dziewczyna i szurnęła mięsem w stronę Mamy.

Mama poinformowała ją, że zapomniała zabrać *awośki*.

Pokornie i z uniżeniem błagała o kawałek papieru do zapakowania.

- Gazeta, cokolwiek bądź, zapłacę.
- Obywatelko! – zrugało ją skrzywione dziewczę. – Czy wam się wydaje, że w naszym kraju wszystko można kupić albo sprzedać?

Na te słowa Mama wyrzuciła z siebie wszystko, co myślała na temat wymion, wieloryba, grymasu na twarzy sprzedawczyni oraz naszej parszywej szczodrobiwej *Rodiny*. Mięso jednak zabrała, niosąc je do domu gołymi rękami, jako niepodważalny dowód bezczelnego zamachu Państwa na jej godność.

Wróciłam akurat ze szkoły i ćwiczyłam właśnie *Luty* z cyklu *Pory roku Czajkowskiego*, gdy Mama wpadła do domu jak burza. Zawołała mnie do kuchni.

Ręce miały ciągle zakrwawione. Rozmowa była krótka.

Ma dosyć ZSRR – oznajmiła. Jest gotowa złożyć wniosek o wizę wyjazdową – lecz pod tym jedynie warunkiem, że jest to również moje gorące pragnienie.

– Jeśli chcesz zostać – powiedziała – to zostaniemy!

Przywołana od mojego pianina marki „Krasnyj Oktiabr” w celu rozstrzygnięcia o całej naszej przyszłości, wzruszyłam ramionami.

– *Choroszo, Mamula* – odrzekłam. – To dopiero będzie przygoda, ta zagranica – dorzuciłam radosnym głosem.

Prawdę powiedziawszy, udawałam jedynie nonszalancką werwę, żeby nie niepokoić Mamy. Nie miałam żadnego powodu do emigracji ani żadnych zapiekłych pretensji do *Rodiny*. Nawet choroba nie była takim znowu utrapieniem, ponieważ wystraszeni lekarze zwalniali mnie ze szkoły, ilekroć chciałam. Miałam 10 lat i zostawiłam już za sobą przeszłość smutnookiej bulimiczki. Nastał nareszcie czas smakowania szczęśliwego

dzieciństwa doby Dojrzałego Socjalizmu.

Parę słów o Dojrzałym Socjalizmie.

Moi dziadkowie idealistycznie zaakceptowali ten reżim, natomiast miejska inteligencja pokolenia odwilży lat sześćdziesiątych z takim samym zapałem go odrzuciła. Jako dzieci zastaju, mieliśmy do *Rodiny* jeszcze inny stosunek. Jako pierwsze sowieckie pokolenie wolne od kataklizmów i traum – w postaci czystek, wojny czy katartycznej destalinizacji z jej idealistyczną uczciwością – należeliśmy do epoki, w której nawet bezpańskie koty dostrzegały farsę w imponujących utopijnych zamysłach Państwa. My, wnuki Breżniewa, graliśmy w *klassiki* (klasy) na ruinach idealizmu.

Szczęście? Świetlana Przyszłość?

W cynicznych, konsumpcjonistycznych latach siedemdziesiątych ucielesniała je święta trójca w postaci *kwartiry* (mieszkania), *maszyny* (samochodu) i *daczy* (letniego domku na wsi). Do całości pasował jeszcze importowany kożuszek barani oraz *błat*, ta życiodajna sieć powiązań, którą tak gardzili Naum i Larysa. To, co historycy określają jako Breżniewowski kontrakt społeczny, znalazło podsumowanie w popularnym dowcipie. Oto sześć paradoksów Dojrzałego Socjalizmu: (1) nie ma bezrobocia, ale nikt nie pracuje; (2) nikt nie pracuje, ale wydajność pracy rośnie; (3) wydajność pracy rośnie, ale w sklepach pusto; (4) w sklepach pusto, ale w lodówkach pełno; (5) w lodówkach pełno, ale nikt nie jest zadowolony; (6) nikt nie jest zadowolony, ale wszyscy głosują „tak”.

W zamian za głosowanie „tak” (w pseudowyborach) kremlowska gerontokracja utrzymywała stały poziom cen podstawowych dóbr i gwarantowała nominalną stabilizację społeczną – pewność pracy, za którą „udawano, że się płaci”, towarzysze zaś „udawali, że pracują”. Patrzoną też przez palce

na alternatywne poczynania gospodarcze, a nawet kulturalne, jeśli tylko nie gwałyły one ostentacyjnie oficjalnych norm. Według oceny pewnego badacza u schyłku socjalizmu jedynymi klasami, które traktowały ideologię poważnie, byli zawodowi działacze partyjni oraz dysydenci. Stanowili oni jednak zdecydowaną mniejszość. Wszyscy inni próbowali jakoś pędzić codzienny żywot w szczelinach i zakamarkach trzeszczącej w szwach maszyny władzy.

Moje przeistoczenie z wyalienowanego nieszczęścia o ponurym wejrzeniu z czasów przedszkolnych w szczwanego, dwulicowego młodszeego *homo sovieticus* nastąpiło w leninowskim roku jubileuszowym. W 1970 roku nasz ukochany Włodzimierz Iljicz miał osiągnąć w swoim mauzoleum stuletnią nieśmiertelność, co *Rodina* świętowała z tak zapamiętym kiczowatym zadaniem, iż cała ta obowiązkowa radość wywarła na zbiorowej psychice skutek przeciwny do zamierzonego.

Świeżo po przeprowadzce na Arbat, w samo centrum Moskwy, zostaliśmy osaczeni przez niekończący się strumień amatorów herbaty. Do przestronnej wielokątnej kuchni, która niegdyś należała do moich dziadków, bez przerwy ktoś wchodził, to znów z niej wychodził, objadając nas ze wszystkiego i częstując prawdziwą obfitością jubileuszowych kawałów. Skręcałam się ze śmiechu na myśl o serii „produktów pamiątkowych”:

Potrójne łożę: „Lenin jest wśród nas” (wszechobecny slogan propagowany przez Państwo).

Bombonierka: „Leninki w czekoladzie”.

Perfumy: „Woń Iljicza”.

Krem do ciała: „Lenin skremowany”.

Przewodnik po Syberii: Dla tych, którzy opowiadają kawały o Leninie!

Moja nieskrępowana wesołość wynikała stąd, że moje wcześniejsze stosunki z Leninem były tak bardzo naznaczone

udręką. Gdy Mama usiłowała wyplenić go z mojego młodziutkiego umysłu, ukradkiem czciłam Iljicza w domu, w przedszkolu z kolei, gdzie obsesję na punkcie Lenina wtłaczano w nas siłą, tak samo jak czarny kawior, dławiałam się nim. Ta sytuacja męczyła mnie i paraliżowała, prawie codziennie wymiotowałam. Aż wreszcie ludowy karnawał jubileuszowego humoru wyzwolił mnie ze schizofrenicznego stosunku do Lenina. Śmiech jak za dotknięciem czarodziejskiej róźdżki sprowadził rzecz do właściwych proporcji. Wizja zezowatego, brodatego Lenina tkwiącego w bombonierce z czekoladkami – w miejsce rodzynka czy orzeszka! – nie wiedzieć czemu pokrzepiała. Z rozkoszą przyglądałam się miejscowym pijaczkom, jak w monopolowym trzaskają o brudną ladę rublem wybitym z okazji setnej rocznicy urodzin Lenina, mamrocząc przy tym: „Moja kieszeń to nie mauzoleum. Długo w niej nie poleżysz”.

Z biegiem czasu symbolologia naszej *Rodiny* zaczęła mi się jawić nie jako trwały pejzaż ideologiczny, lecz kalejdoskop zmieniających się znaczeń i skojarzeń. W trzeciej klasie, gdy poważnie rozważałam wielość treści wpisanych w moją młodopionierską chustę, dokonałam jeszcze głębszego pojednania z sowieckim rozszczepieniem świadomości. Nie widziałam już w nim dopustu bożego, lecz zdrowe myślenie, właściwe Dojrzałemu Socjalizmowi. Pojęłam, że władzy się ani nie akceptuje, ani nie odrzuca, lecz wykorzystuje się ją i *negocjuje*.

W szkole zajmowało mnie również zabieganie o najważniejsze dobro epoki Dojrzałego Socjalizmu: prestiż społeczny. Osiągnęłam go, nawiązując ścisłe osobiste więzi z mityczną zagranicą. Mieszkaliśmy przecież, bądź co bądź, w takiej dzielnicy Moskwy, w której robiło się od cudzoziemców z ambasad. Bez żenady zasadzałam się na ich dzieci. Szejda z Ankary – pierwsza na moim celowniku – stała się moją

najlepszą koleżanką i z przyjemnością raz na tydzień nocowałam w tureckiej ambasadzie przy pobliskiej ulicy Bolszaja Nikitskaja, stanowiącej ciąg ambasad. Zadawałam się też z Neemą i Margaret, córkami ambasadorów Ghany i Sierra Leone. Ghana – cóż za supermocarstwo! Tak sobie wyobrażałam, przemykając obok srogiego strażnika i wchodząc do prywatnej windy, która dowoziła mnie prosto do zbytkownego salonu ghańskiego ambasadora.

Żywot dyplomatycznego lwa salonowego zapewniał mi obfitość prestiżowych dóbr importowanych. Długopisy, naklejki z Kaczorem Donaldem, *smarties******, guma „Juicy Fruit” czy turecka guma „Mabel” w szeleszczącym papierku ze ślicznotką w turbanie na obrazku. Osobiście prawie nie tknęłam tego wszystkiego, za to na swój skromny sposób przyczyniałam się do rozwoju potężnego czarnego rynku epoki Breźniewa. Sprzedawałam, wymieniałam, przehandlowywałam importowane dobra za usługi i przysługi. W zamian za trzy zleżałe *m&m'sy* Pawlik, najfantastyczniejszy chłopak w całej szkole, o dwa lata starszy ode mnie, pokorne przez tydzień nosił mój tornister. Z zysków ze sprzedaży gum „Juicy Fruit” w toalecie dziewczęcej w szkole fundowałam sobie posiłki w Domu Naukowca, elitarnym klubie Sowieckiej Akademii Nauk, gdzie w środy Mama posyłała mnie na lekcje tańca. Opuszczałam głupie zajęcia z baletu i jak po sznurku szłam prosto do bogato wyłożonej marmurem stołówki. Kiedyś Mama przyszła wcześniej, żeby mnie odebrać, i nauczycielka tańca gestem pełnym wyrzutu skierowała ją w stronę stołówki. Siedziałam jak zwykle w kącie, przy stoliku pod lustrem w złoconej ramie, czarnorynkowiec, co się zowie, delekując się całym rondelkiem grzybów „Julienne”*****.

Tajemnicza, romantyczna choroba, prestiż społeczny oraz błyskotliwa kariera na czarnym rynku, a do tego jeszcze gra w klasy w ruinach pewnej ideologii. I moja matka chciała

pozbawić mnie tego wszystkiego. Kochałam ją jednak. I tylko dlatego powiedziałam jej planom emigracyjnym nieszczere, breźniewowskie „tak”.

W maju 1974 roku Mama zwolniła się z pracy, nie chcąc narażać kolegów na przykrości, i wręczyła dokumenty emigracyjne urzędniczce w OWIR-ze. Była to Słowianka-antysemityka o niewiarygodnie ironicznym nazwisku Israjelewa. Mama nie liczyła na wiele. Największą przeszkodę stanowił Naum wraz ze swoją fantastyczną przeszłością „pracownika wywiadu”.

– Nigdy cię nie wypuszczają! – huknął *dieduszka*, który na wieść o planach emigracyjnych Mamy o mało nie dostał apopleksji.

Nie blefował. Osoby posiadające znacznie mniej „ściśle tajnych” krewnych niż my nader często zasilały szeregi *otkazników* („odmowników”), brodatych wyrzutków społecznych (i bohaterskich dysydentów), którym odmówiono wizy wyjazdowej, i musieli żyć poza nawiasem społecznym, bez pracy i pieniędzy, za to z wiecznym ogonem z KGB. Na wymaganym formularzu „zgody rodziców” Mama sfałszowała podpis Nauma, a poproszona o określenie jego miejsca pracy, napisała ogólnikowo „emeryt”.

Wychodzi na to, że OWIR-owi w jego gęstym grzebieniu brakowało kilku zębów. W lipcu, wracając z polikliniki, przemoczone od ulewnego deszczu, zastałyśmy Tatę z otwartą kopertą z OWIR-u.

– Wrzesień – bąknął. – Piszą, że macie wyjechać we wrześniu!

Pierwszy raz w życiu Tata wyglądał na poruszonego. Gdy przestało padać, zabrał mnie do brzydkiego, zbyt jasno oświetlonego lokalu z szisz kebabem, gdzie zespół muzyczny rzepolił nawet przy drugim śniadaniu. Powiedział, żebym o nim

nie zapominała i żebym pisała. Wstrząsnął mną jego ton, pozbawiony sarkazmu. Skrępowana tym nagłym przejawem ojcowskich uczuć, w milczeniu zmagałam się z twardym, żylastym mięsem.

Kolejne dwa miesiące upłynęły na mozołnym brnięciu przez biurokrację. Jakże nas męczono, nieszczęsne przyszłe uciekinierki! Kolejki do wymeldowania się z „przestrzeni mieszkalnej”, kolejki do notarialnego poświadczania każdego legalnego fragmentu naszego dotychczasowego życia. I pieniądze! W szczytowym akcie wymuszenia i upokorzenia Państwo naliczało astronomiczną opłatę za pozbawienie obywatelstwa sowieckiego. Ogółem koszty emigracji sięgały równowartości dwuletnich zarobków. Mama ciułała gotówkę, sprzedając albumy o sztuce przysłane jej przez Marinę, szkolną koleżankę mieszkającą teraz w Nowym Jorku. Była to pożyczka, Mama miała spłacić Marinę później w dolarach.

Fra Angelico, Degas, Magritte – to oni finansowali nasz wyjazd.

– Pomyśl tylko, Aniutik! – wołała Mama, taszcząc kosztowne tomy do zakurzonego antykwariatu. – Już niedługo będziemy oglądać oryginały!

Zauważałam, że proces starań o wizę wyjazdową odmienił Mamę.

Gorzkie łzy, smętne żale – zostawiła to za sobą. Według jej wizji wyjazd był nie tyle smutnym, długim pożegnaniem, ile drastycznym zerwaniem, amputacją – chirurgiczną i bezbolesną – 40 lat obywatelstwa w naszej wspaniałej *Rodinie*. „Amputacja” to zresztą chyba za dużo powiedziane – być może Mama uważała swą sowiecką przeszłość za strup, który po prostu sam odpadnie. Bądź roiła sobie szybki zgon za pomocą zastrzyku i zmartwychwstanie w innej przyszłości i innym wymiarze, w tym niewyobrażalnym *tam*, do którego w swoim przekonaniu

należała już od dnia, gdy podczas Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży Lucien z Meknesu trzymał ją za rękę. Nawet ja, cyniczna handlarka na czarnym rynku, nie potrafiłam pojąć, jak kobieta tak krucha, niezawodnie szlochająca zawsze w tym samym miejscu *Wojny i pokoju*, mdlejąca – dosłownie mdlejąca – z powodu zdrad Taty, znalazła w sobie tyle wewnętrznej siły w tak tragicznych okolicznościach. Nie przypominam sobie, żeby wtedy choć raz płakała.

To odcięcie się od przeszłości objęło także jej pozostałości fizyczne.

Mściwa breżniewowska *Rodina* pozwalała tylko na trzy walizki na osobę. Mama wzięła dwie malutkie na nas obydwie: dość solidną czarną z winylu oraz nieforemne brzydactwo o wyglądzie napęczniałej, rozpadającej się cegłówki. Pilnie ignorowała szczegółowe spisy „rzeczy do zabrania”, krążące wśród żydowskich zdrajców *Rodiny*. Wymieniano tam przedmioty osobistego użytku, rzeczy, które można sprzedać w punktach tranzytowych w Wiedniu i Rzymie. Wśród tych ostatnich widniały haftowane obrusy, aparaty „Zenit”, matrioszki oraz nakręcane kurki, cieszące się podobno nadzwyczajnym wzięciem na pchli targach Wiecznego Miasta. Także pamiątki z sierpem i młotem, na które sentymentalni włoscy komuniści nie skąpili lira.

I ogólnie – „wszystko, co jest ci drogie”.

Nasz minibagaż zawierał: jedną niedużą kołdrę, dwa komplety sztućców, dwa komplety pościeli, dwie miski w różowe kwiatki produkcji czechosłowackiej, a jako „przedmiot drogi sercu” niesamowicie brzydki gruziński wazon z terakoty. Wyjeździłyśmy prawie bez ubrań i bez ciepłych butów – ja ze swoich wyrosłam, a mamine były mocno dziurawe. Mama nie zapomniała jednak zabrać pustego słoika po majonezie – tary na mój mocz. Bo jeśli w amerykańskich klinikach nie mają stosownych naczyń?

– A coś, co jest drogie *tobie*? – spytała Mama.

Nie byłam pewna.

Miałam kolekcję opakowań po zagranicznych czekoladach, pielęgnowaną i wygładzaną kciukiem, przechowywaną w książce Gilarowskiego *Moskwa i moskwiczi*. Po co jednak targać z sobą te kapitalistyczne zdobycze, skoro mam mieszkać tam, gdzie można ich dostać znacznie więcej? Uwielbiałam pobrękujące medale *dieduszki* Nauma, ale on nigdy by się z nimi nie rozstał, celnicy by ich zresztą nie przepuścili.

Ku memu zdumieniu przyszedł mi do głowy pogardzany szkolny mundurek. Brązowy, o długości do ud, wełniany i gryzący, noszony pod czarnym fartuszkiem. Mundurek oddawało się do pralni raz w roku, jeśli w ogóle. Co tydzień natomiast w domowym obrzędzie, wykonywanym na obszarze wszystkich naszych 11 stref czasowych, radzieckie mamy odpruwały biały koronkowy kołnierzyk i mankieciki, a przyszywały czyste. Mama robiła to zawsze w poniedziałkowe wieczory, jednocześnie szyjąc i plotkując przez swój czarny telefon. Siadywaliśmy razem w pokoju rodziców przy niskim, trójnożnym fińskim stoliku. Tata zwykle sklejał zerwaną taśmę ze swojego *magnitofonu* szpulowego, ja oglądałam „Wriemia”, czyli wieczorne wiadomości. „Wyłącz” – cedziła przez zęby Mama, gdy metalowcy z Donbasu posłusznie przekraczali Plan Pięcioletni, na Ukrainie obficie kiełkowało żyto, a drogi krzaczastobrewy Leonid Iljicz Breżniew złączał się w odwiecznym uścisku z brodaczem Fidelem.

Prognoza pogody, podawana przy dźwiękach nastrojowej melodii, ciągnęła się w nieskończoność. W Uzbekistanie słonecznie i 20 stopni. Na Kamczatce śnieżyce. W rejonie leningradzkim przelotne opady. *Szyrokaja* była nasza socjalistyczna *strana rodna*!

Czyż mogłam przyznać się rodzicom, że odczuwam

potajemną dumę z owej szerokości? Że boli mnie myśl o tym, iż przez resztę życia będę kładła się spać, nie wiedząc, czy na Uralu będzie padać?

Wróciłam do swojego pokoiku i rozłożyłam szkolny mundurek. Był za mały. Właśnie rozpoczął się nowy rok szkolny, lecz mnie, świeżo upieconemu syjonistycznemu wrogowi, nie pozwolono pożegnać się z kolegami. Przytuliłam mundurek do buzi, wdychając charakterystyczny urzędowy odór. Nie gardziłam tą wonią tak jak Mama. Z jednej kieszeni wyciągnęłam kawałek gumy „Juicy Fruit” w sreberku, z innej wymiętą czerwoną chustę Młodych Pionierów.

W nagłym przypływie nostalgicznego patriotyzmu ruszyłam w stronę drzwi, chcąc oznajmić Mamie, że chcę zabrać chustę – ale zaraz się zatrzymałam. Dobrze wiedziałam, co powie.

Powie: *Niet*.

Mama powiedziała *niet* również w sprawie przyjęcia pożegnalnego. I nie pozwoliła rodzinie odprowadzić nas na lotnisko – wyjątkiem był Siergiej. Z najbliższymi miałyśmy się pożegnać w mieszkaniu dziadków dwa dni przed odlotem, a ostatni wieczór spędzić tylko z Tatą.

Podczas ostatniego obiadu na Dawydkowie klan Frumkinów był w znakomitej formie. *Babuszka Liza* przez dwa dni szykowała swe papkowate specjały, wujek *Saszka* się spił, ciocia *Julia* się spóźniła, a *dieduszka Naum* – no cóż, krzyczał i pomstował bez przerwy.

– Moja własna córka – zdrajczyni *Rodiny*!

Potem, przerywając oskarżenia, złowieszczo pogroził palcem:

– Nostalgia – oto NAJSTRASZLIWSZE uczucie znane ludzkości!

Jak się okazało, Naum poinformował o maminej zdradzie swego dobroczyńca, cieszącego się powszechnym szacunkiem

dowódcę Floty Bałtyckiej admirała Tributsa. Bohater II wojny światowej nie szczędził mu słów pociechy:

– Gdy będzie tam głodować i marznąć, i błagać nas o przebaczenie, pomożemy jej wrócić!

Dieduszka radośnie to zrelacjonował.

– *Wróćisz tu na kolanach – krzyknął – czołgając się przez naszą sowiecką granicę! Będziesz całować naszą umiłowaną czarną sowiecką ziemię!*

Kuzynka Masza i ja kopnęłyśmy się pod stołem. Wszyscy wiedzieli, że sowieckie granicy strzegą uzbrojeni po zęby ludzie i warczące złowrogo owczarki niemieckie. Nie ma szans na czołganie się przez nią.

Intymność tego rodzinnego zgromadzenia zakłócał pewien gość – Inna, daleka krewna z Czerniowców, pryszczata szesnastolatka o dwóch niebywale grubych czarnych warkoczach i wzniósłym pragnieniu, aby po ukończeniu liceum pracować w KGB. Gdy dziadek się uspokoił, a po pobladłych policzkach babci Lizy spłynęły łzy, kandydatka do KGB, która pomimo swoich ambicji nie mogła się poszczycić lotnością umysłu, nagle aż otworzyła usta z oburzenia. Zerwała się z krzesła i oznałowała, że nie będzie siedzieć przy stole ze zdrajczynią. Wypadła z mieszkania, potrząsając warkoczami, a gdy schodziliśmy na dół, ujrzaliśmy ją na półpiętrze, obmacywaną przez nieco wczorajszego sąsiada.

Najbardziej jednak martwiłyśmy się Babałłą.

Mama ukrywała przed nią nasze zamiary aż do ostatniego miesiąca, a gdy wreszcie *babuszka* Ałła dowiedziała się o wszystkim, zbladła jak prześcieradło.

– Całe życie tracę tych, których kocham – drżały jej usta, gdy odezwała się bardzo cicho do Mamy. – Męża na wojnie, babcię w łagrze. Kiedy urodziła się Aniuta, odzyskałam radość. Tylko ona

jest mi droga. Jak możesz mi ją odbierać?

– Żeby ocalić jej życie – odparła posępnie Mama.

Chcąc uniknąć kolejnych rozdzierających serce scen, Mama błagała Babałę, żeby w poranek wyjazdu nie przychodziła się pożegnać. Mimo to Babała zjawiła się. Siedziała na ławce przed naszą kamienicą w swej zwykłej niebieskiej spódnicy ołówkowej, bluzce w paski, z pośpiesznie nałożoną czerwoną szminką na ustach. Miała 57 lat, tlenione włosy, 180 centymetrów wzrostu i olśniewającą urodę. Tuląc się do niej, wyczułam znajomy zapach pudru „Krasnyj Mak” i papierosów „Biełomor”. Nieśmiało wcisnęła Mamie w dłoń butelkę wódki i puszkę czarnego kawioru.

Gdy odjeżdżałyśmy taksówką, widziałam, jak bezwładnie opada na ławkę. Więcej jej już nie zobaczyłam.

Podczas odprawy celnej szturchano nas i wypytywano, a nasz maleńki bagaż przenicowano na wylot. Skonfiskowano mamine listy od Luciena oraz zielony pojemnik szykownego, importowanego dezodorantu „Jazmin”.

– I to ma być wasz bagaż? – spytał zlowrogi jasnowłosy funkcjonariusz, lustrując wzrokiem dwie karłowate walizki. – *Wieżj mir* – szydził z udawanym akcentem jidysz.

Cofnęłam się parę kroków, żeby pomachać Tacie, który stał po drugiej stronie chromowanej barierki. Gestem pokazał, żeby do niego pisała. Na schodach prowadzących do bramki dla wyjeżdżających spostrzegłam go jeszcze raz, już przez szybę. Wydawał się malutki i przygarbiony, zaczął nagle rozpaczliwie gestykulować w stronę Mamy. Przywarłam do jej rękawa, ale nie przystanęła ani na chwilę – pięćdziesięciokilowy elf wzrostu metr pięćdziesiąt, o wyglądzie malutkiego sierżanta w ręcznie uszytej garsonce koloru khaki. Przyszedł mi do głowy Orfeusz, który obejrzał się, wszystko zepsuł, przestałam więc patrzyć na Tatę.

Na pokładzie samolotu byłam właśnie przy dziewiątym z kolej plastikowym kubku z pepsi, gdy rozległ się komunikat: „Właśnie opuściliśmy terytorium Związku Radzieckiego”. Miałam ochotę siedzieć przy Mamie i oddać się refleksji nad tą chwilą, jednak pęcherz nie dawał mi spokoju.

Sześć tygodni później. Kobieta-elf z mozołem idzie poboczem drogi, a za nią dziewczynka, która właśnie skończyła 11 lat i już ją przerosła. *Fordy, pontiaki, szewrolety*. Kobieta z dziewczynką uczą się nazw różnych aut, które mijają je z rykiem w niebezpiecznej odległości zaledwie kilku centymetrów. W północno-wschodniej Filadelfii najwyraźniej nie buduje się chodników. A przynajmniej nie przy drodze prowadzącej z supermarketu „Pathmark”, rozległego jak plac Czerwony, do ponurego dwupokojowego mieszkania przy Bustleton Avenue, którego sufit znajduje się jeszcze niżej niż w *chruszczobie*, a wykładzina na podłodze ma plamistą szaroburą barwę ległej w gruzach nadziei.

Jest ciemny, mglisty wieczór, wilgotny, choć to już prawie grudzień. Kobieta ma na sobie podszytą wiatrem używaną parkę, należącą wcześniej do jej szkolnej koleżanki Iriny, która pomogła jej sfinansować amerykańską wizę. Dziewczynka jest ubrana w krótki staromodny płaszcz z paskiem i z mocno przykrótkimi rękawami, oblamowany wyliniałym sztucznym futerkiem. Obydwie ledwie dyszą, trzymając się mocno bariery na poboczu i wytrwale sunąc przed siebie. Każda kurczowo dzierzy papierową torbę z produktami spożywczymi. Od czasu do czasu stawiają ciężkie torby na ziemi, opierają się o barierę i poruszają omdlałymi ramionami. Przez mgłę sączą się nieprzyjemne światła, zaczyna mżyć, wreszcie padać. Dziewczynka próbuje osłonić płaszczem torbę z zakupami, ale ta i tak pęka. Gąbczaste bochenki białego chleba i tacki z kawałkami kurczaka po 39 centów wypadają na pobocze. Samochody zwalniają, trąbią – może chcą podwieźć?

Dziewczynka – czyli ja – bezgłośnie płacze. Tak naprawdę z wielu powodów. Lecz kobieta, jej matka, nie traci dobrego humoru i animuszu. Kuca, wyrywając spod kół samochodów pudełko jagodowych *pop-tartsów****** i wpychając je do swojej torby, która jakimś cudem jeszcze trzyma się w całości. Przez chwilę ściska pod pachą torbę z zakupami, drugą ręką niezgrabnie macha do trąbiących samochodów, kręcąc głową, że dziękuje za podwiezienie. W ciemności nie mogą widzieć jej uśmiechu.

– Popatrz no, Aniutik, czyż to nie przygoda? – woła, próbując mnie rozweselić. – Czyż Amerykanie nie są mili?

W tej konkretnej chwili, cała przemoczona, spośród mnóstwa rzeczy w Moskwie, których mi brakuje, najbardziej ze wszystkiego tesknię za naszą *awośką*.

A cenny, niezawodny słoik po majonezie, ten, który wiozłyśmy najpierw do Wiednia, potem do Rzymu, wreszcie do Filadelfii? Również i jego mi brakowało. Ponieważ ów symbol Dojrzałego Socjalizmu zniknął na zawsze z naszego życia, zaraz gdy Mama, nieomal natychmiast po wyjściu z samolotu, zapędziła mnie do światowej sławy eksperta od sklerodermii.

Elegancki amerykański szpital, gdzie pracował ekspert, okazał się pozbawiony rozrywek i charakteru – żadnych pouczających plakatów o kile, żadnych pacjentów z próbami kału w pudełkach od zapałek ani napełnionych moczem słoików po prowansalu, nie wspominając o czekoladach i polskich rajstopach dla łasej na podarki rejestratorki. Nie było też pielęgniarek wrzeszczących: *Trachat'sia nado mien'sze!* („Nie trzeba się tyle gzić!”) do pacjentów cierpiących na rzeżączkę.

Specjalista od sklerodermii sam zresztą był imigrantem z dalekiej Argentyny. Kiedy Mama zrelacjonowała naszą rozpaczliwą odyseję po radzieckich przybytkach medycyny, zaszokował ją – zaczął się śmiać. Przywołał nawet

współpracowników. Pielęgniarka, nowy rezydent, ordynator na oddziale dermatologii – wszyscy skręcali się ze śmiechu, prosząc moją oszołomioną Mamę, aby wciąż od nowa opowiadała im, jak to radzieccy doktorzy leczyli moją sklerodermię zastrzykami penicyliny, mazią mumio i błotem z barwnej Odessy.

Wreszcie dławiąc się ze śmiechu, doktor wyszczerzył swe końskiezęby i wyjaśnił, że dziecięca sklerodermia to całkowicie nieszkodliwa postać tej zazwyczaj śmiertelnej choroby i nie wymaga ona żadnego leczenia.

– Witajcie w wolnym świecie! – pogratulował roześmianej już Mamie i mnie, odprowadzając nas do poczekalni.

Kiedy znalazłyśmy się z powrotem na wilgotnym filadelfijskim trotuarze, Mama dalej się śmiała. Potem przytuliła mnie i zaczęła szlochać. Słoik po majonezie, nasz nieodzowny sowiecki artefakt, wylądował w ponadwymiarowym amerykańskim kuble na śmieci. Stanęłyśmy u progu ery przedmiotów beztrosko wyrzucanych.

I supermarketu „Pathmark”.

Moje Pierwsze Doświadczenie Supermarketowe sprowadziło się do trzonu narracji wielkiego sowieckiego eposu o emigracji do Ameryki. Niektórzy uchodźcy z naszego socjalistycznego społeczeństwa *dieficytu* naprawdę osuvali się na podłogę (zazwyczaj w alejce z papierem toaletowym). Zdarzali się mężczyźni, którzy klękali i płakali na widok 42 odmian salami, podczas gdy ich małżonki – wąchając truskawki i nie czując żadnego zapachu – również płakały, lecz z odmiennych zgoła powodów. Inni imigranci, owładnięci typowo radzieckim instynktem gromadzenia, w szaleńczym tempie wypełniali wózki, jeszcze inni wybiegali ze sklepu z pustymi rękami, oszołomieni i sparaliżowani mnogością wyborów.

Biuro Żydowskich Świadczeń Rodzinnych (Jewish Family Services), gdzie pobierałyśmy nasz skromny zasiłek dla

uchodźców, rozbrzmiewało historiami o jedzeniu. Opowieści te składały się na archiwum przykrych przeżyć socjalistów w zetknięciu z imperialistyczną obfitością. Monia i Raja narzekali na zapach amerykańskiego masła – po posmarowaniu chleba woskiem do podłóg. Goldbergowie uwielbiali jadać na obiad przepyszne konserwy z mięsem, nie przypuszczając, że w zamyśle ich konsumentami miały być kotki. Wowczik, odeski rozpustnik, przespawszy się ze swą pierwszą amerykańską sziksą, uciekł od niej obrażony, gdy poczęstowała go *triscuitsami******. Wysuszone kwadraty z papieru! A gdzie talerz gorącego barszczu?

Mama, która była sprytniejsza od Orfeusza i ani razu nie obejrzała się za siebie, wjeżdżając na góre na lotnisku Szeremietiewo, przemierzała hektary „Pathmarku” z dziecięcym entuzjazmem.

– Szi-ri-ous... Ri-se-rohoni... Wel-wi-ta – mamrotała pod nosem obco brzmiące nazwy, jak gdyby wymyślił je Proust, z namaszczeniem chwytając i biorąc w dlonie wszystkie produkty żywnościowe w jaskrawych opakowaniach, w tej ich bezwstyдnej, jednorazowej tarze.

Ja tymczasem niczym zombie pchałam za nią supermarketowy wózek. Nie znośłam „Pathmarku” w północno-wschodniej Filadelfii. Było to cmentarzysko moich marzeń o zagranicy, ze stosownym grobowym chłodem i fluorescencyjnym światłem nie z tego świata. Powłóczać nogami wdłuж alejek, czułam się żywcem pogrzebana wśród obfitości jedzenia, odartego już ze swej siły towarzyskiej i magii. Komu tak naprawdę potrzebna torba bananów za 11 centów, skoro nie można obnosić się z nimi w przejrzystej *awośce* po prospekcie Kalinina, przyciągając zazdrosne spojrzenia, wystawszy je uprzednio w czterogodzinnej kolejce? Co takiego się dzieje, gdy zastępujemy heroiczny radziecki czasownik *dostat'* (zdobyć z trudem) banalnym *kupit'*, słowem praktycznie nieużywanym w

Związkowi Radzieckim? Zakupy w „Pathmarku” były wyzute z dreszczyku, dramatyzmu, rytuału. A gdzie miejsce na *błat* i na zmysłne manewrowanie kontaktami towarzyskimi, na poczucie więzi? Gdzie miejsce na zazdrość i prestiż społeczny? Na pokrzepiający fetor kaca i potu w społecznej *oczeriedi*? W „Pathmarku” nie pachniał nikt ani nic.

Po kilku tygodniach w Filadelfii zaczęłam podejrzewać, że wszystkie te kolorowe opakowania jednorazowe i plastikowe pojemniki piętrzące się na półkach w „Pathmarku” mają za zadanie zamaskować ponurą prawdę. O tym, że amerykańskie jedzenie – aż boję się to pisać – nie było takie znowu pyszne. Ani *pop-tartsy*, które Mama serwowała zimne i na pół surowe, ponieważ nikt jej nie powiedział o konieczności ich podpieczenia, ani amerykańskie *sosiski*, czyli *hot dogi*, aż kwaśne od azotanów, a już z pewnością nie żółtawe kawałki kurczaka po 39 centów za owiniętą w plastik taczkę. Przy nich umierałam z tęsknoty za niebieskawymi, zamotanymi w „Prawdę” kurczaczkami, które Babała przynosiła z elitarnej stołówki w Gosstroju. Tamte miały malownicze pazury, czerwony grzebień, smutne martwe oczy oraz resztki piór, które babcia przypiekała swą toporną zapalniczką, wypełniając cały dom odorem palonego pierza. Delektovaliśmy się kurczakami raz w miesiącu jako prawdziwą deficytową ucztą.

Kiedy Żydowskie Świadczenia Rodzinne zakończyły wypłacanie nam zasiłku, Mama zaczęła zarabiać sprzątaniem w filadelfijskich domach, którą to pracę uznała za „fascynującą!”. Następnie dostała posadę recepcjonistki w szpitalu, do którego musiała dojeżdżać trzema różnymi autobusami. Jej zmiana rozpoczynała się w południe, a do domu Mama wracała po dwudziestej drugiej, kiedy leżałam już w łóżku. Taktownie oszczędzała mi szczegółów wystawania przy złej pogodzie na nieosłoniętych przystankach autobusowych. Ja z kolei nigdy nie opowiadałam jej, jak czułam się, powracając do pustego,

brzydkiego mieszkania ze znienawidzonej szkoły podstawowej im. Louisa H. Farrella, mając do towarzystwa jedynie stary, śnieżący, czarno-biały telewizor. Kiedy na ekranie pojawiała się Dinah Shore*****, miałam ochotę wyć. Była ludzkim odpowiednikiem kanapki z masłem orzechowym i dżemem, którą dostawałam w szkole razem z lunchem za darmo jako uchodźca. Gąbczasta, pseudoswojska biel z nienaturalną przesadą doprawiona cukrem i solą.

Pierwsze godziny po powrocie ze szkoły spędzałam w dużej części, zalegając na naszym wspólnym materacu, z nosem w książkach wyciąganych z dwóch kartonów, które Mama kazała sobie przysłać zwykłą pocztą z Moskwy. Czechow w szmaragdowej okładce, szary Dostojewski. Oderwawszy się od tych uporządkowanych kolorystycznie zbiorów ich dzieł, usiłowałam ćwiczyć *Pory roku* Czajkowskiego na zdezeloowanym starym pianinie, które Mama kupiła mi za pieniądze od Klary, swojej amerykańskiej ciotki. Lecz dźwięki płynące spod moich palców przyprawiały mnie tylko o łzy, boleśnie przypominając dawne życie na Arbacie. Krążyłam więc w tą i z powrotem, oszołomiona i wzburzona, od sypialni do telewizora, od pianina do malutkiej kuchni. Nawet jednak w chwilach najbardziej dojmującej nostalgii nie potrafiłam się szczerze przyznać do tęsknoty za *Rodiną*. Wydawało się, jakby cyniczne breźniewowskie lata siedemdziesiąte wyssały z nas szczerość. Wskutek czego tęsknota za domem pokryła się dodatkowo warstwą wyparcia.

Rodina – *Urodina*. Słowo „ojczyzna” rymowało się z „szkarada”. A spowity w czerwień mit okazał się nagle ironicznym żartem. Tradycyjnie słowo to – oznaczające miejsce urodzenia, od rdzenia słowotwórczego *rod* („ród”) – stanowiło macierzyński odpowiednik słowa *otczizna*, rzeczownika o zabarwieniu wybitnie bohaterskim, wojennym. Bolszewicy zakazali słowa *rodina*, podejrzliwie patrząc na jego ludowe

związki z sentymentami narodowymi. Za Stalina, w 1934 roku, określenie to odżyło, łączone odtąd z oficjalnym sowieckim patriotyzmem. Podczas II wojny światowej poddano je pełnej mobilizacji, dodatkowo je feminizując jako *Rodina-Mat'*, „macierz”, której jej synowie i córki mieli bronić do ostatka. W całym narodzie oddolnie wezbrał patriotyzm. Lecz już w czasach mojego dzieciństwa *Rodina* – podobnie jak wszystkie słowa brzemienne w sens – nasiąkła karykaturalnym, sztucznym patosem. Mimo że zdradę ojczyszny uznawano za przestępstwo kryminalne.

Gdy się nad tym zastanowić, nie istniało ani jedno słowo określające kraj, którego już nigdy nie miałyśmy ujrzeć, a pozwalające mi wyrazić autentyczną nostalgię. Związek Radziecki? Tęsknota za czymkolwiek z „radziecki” w nazwie była niepoprawna politycznie, ponieważ słowo to kojarzyło się z ociężałym cielskiem oficjalnego reżimu. *Rossija*? Również i tę nazwę zabarwiła przesłodzona kiczowatość patriotyzmu zatwierdzonego przez państwo, ze wszystkimi tymi brzozami na wietrze i trojką na śniegu. Uchwyciłam się więc słów *sowok****** i *sowdiep*, mocno sarkastycznego slangu na oznaczenie krainy *homo sovieticus*.

Mama nie zwracała sobie specjalnie głowy podobnymi niuansami lingwistycznymi. Bądź co bądź spędzała większość swego dorosłego radzieckiego życia na emigracji duchowej, spragniona wyimaginowanego Gdzie Indziej, które wyobrażała sobie jako własną prawdziwą *Rodinę*. Od czasu do czasu przyznawała, że brakuje jej antonówek, zielonych jabłek na placek, co było dość neutralnym gestem w duchu Nabokowa. A raz – tylko jeden raz – gdy usłyszała piosenkę o Arbacie, bliskiej nam starej dzielnicy Moskwy, zalała się łzami.

Jeśli o mnie idzie, nigdy ani nie uznałam, ani nie odrzuciłam naszego socjalistycznego państwa, za to nieustannie starałam się wykorzystywać na swój użytek jego wartości i kontrwartości,

jego idee. Z tej wszechogarniającej gry stworzyłam swą dziecięcą tożsamość. Teraz więc opłakiwałam utratę nie tylko niewymawialnej *Rodiny*, ale i samej siebie.

Weźmy na przykład moje imię.

Anna, Ania, Ańka, Aneczka, Aniuta, Niura, Niusza. Jakież bogate menu zniuansowanych znaczeń społecznych i podejścia językowych zawarte w samym tylko moim imieniu. A teraz? Nie byłam nawet Anną (według oficjalnego imienia w paszporcie). Według filadelfijskiej wymowy byłam jakąś *I-ja-ną* – dźwięczne rosyjskie „A” zmiękczano i zgąbczano niczym nasz wygnańczy chleb „Wonder Bread”.

Chleb. Brakowało mi moskiewskiego chleba.

Stojąc przed lodówką i wyciągając plasterek kiełbasy bolońskiej „Oscar Mayer”, by położyć go na kromce gąbczastej bieli, w myślach wdychałam smakowity kwaskowaty aromat pobliskiej piekarni przy obsadzonym drzewami bulwarze Twerskim. Tam właśnie, dzierżąc w rączce gigantyczny dwuzębny widelec przymocowany brudnym sznurkiem do ściany, stukałam i naciskałam, sprawdzając świeżość ciemnych, spieczonych bochenków ułożonych na wysłużonych pochyłych półkach z drewna, nad nimi zaś widniał napis: CHLEB TO NASZE RADZIECKIE BOGACTWO – NIE KUPUJ WIĘCEJ, NIŻ POTRZEBUJESZ!

Do Filadelfii przyjechałyśmy 14 listopada 1974 roku. Kilka tygodni później spostrzegłyśmy w centrum miasta ludzi w szaroburznych uniformach, śpiewających i pobrzękujących dzwonkami. Stali obok czerwonych wiaderek i pod zagadkowym napisem „Armia Zbawienia”. Po dziś dzień dźwięk kolej *Jingle Bells* i *Joy to the World* przywołuje bolesne wspomnienie zagubienia na obczyźnie.

W *Dieda Moroza* przestałam wierzyć jako sześciolatka, gdy jeszcze mieszkałyśmy na Dawydkowie. Razem z sąsiadem

Kiriłem postanowiliśmy przeczekać północ, by ujrzeć przybycie naszej radzieckiej, noworocznej wersji Świętego Mikołaja w jej długim, powłoczystym płaszczu. Miałam na sobie koronę z płatków śniegu i satynową suknię, którą Mama przyszykowała na tę okazję, przerabiając własną starą sukienkę. Wreszcie rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi. Na naszym progu stanął, zataczając się, sam Dziadek Mróz, majestatyczny, z półprzytomnym wzrokiem. Wtem jego stuosiemdziesięciocentymetrowe ciało jak stało, tak runęło na podłogę naszego maleńkiego przedpokoju w *chruszczobie*. Nazajutrz rano dalej tam leżała i chrapała, ciągle w płaszczu, lecz z brodą oderwaną i wciśniętą pod policzek. Nasz zalany w trupa *Died Moroz* nie był jeszcze najgorszy z możliwych. Prawdziwie paskudni przywłaszczyli sobie prezenty, które przekazali im rodzice, wręczając dzieciom na ten przykład cuchnące gumą piłki plażowe zamiast drogich enerdowskich zestawów zabawek.

Mimo to uwielbiałam radziecki *Nowyj God* (Nowy Rok). Świdrującą nos woń choinki na balkonie, czekającej na ubranie. Moją drobnutką Mamę chwiejącą się na wysokim stołku-wywrotce, żeby ściągnąć z pawlacza pudło z ozdobami choinkowymi owiniętymi w watę. W ostatnim tygodniu grudnia państwo zarzucało lady sklepowe gromadzonymi na tę okazję delikatesami. Z Pragi Tata przywiózł białe pudełko ze słynnym tamtejszym ciastem czekoladowym, a awośka Mamy pęczniała od mocno pachnących cienkoskórych klementynek z Abchazji. Z podnieceniem czekałam na świąteczny zakaz Babały, elitarny przydział deficytowych dóbr z Gosstroju. Nigdy się nie wiedziało, co znajdzie się w tym roku w paczce. Modliłam się o rozpływającego się w ustach *balika* (wędzonego jesiotra) zamiast eleganckich, lecz ohydnych konserw z wątroby dorsza.

W nasz pierwszy grudzień w Filadelfii nie było śniegu. Co gorsza, imigranci z całą powagą przestrzegali się nawzajem,

żeby nie sprawiać sobie choinek, ponieważ żydowscy sponsorzy lubią wpadać do swych podopiecznych z niezapowiedzianą wizytą, by sprezentować im mezuzy***** albo torby pełne używanych ubrań. Nasi hojni sponsorzy wychodzili z siebie na widok iglaka, nieraz nawet donosili do Żydowskich Świadczeń Rodzinnych na uchodźców bluźnierców. Wielu byłych obywateli świeckich nie zdawało sobie sprawy, że ich żydowska narodowość jest teraz religią, a nie tylko „pochodzeniem etnicznym”, wpisany w punkcie pięćdziesiątym zdanego czerwonego paszportu. Sponsorzy z kolei nie mieli pojęcia, że Boże Narodzenie było w Związku Radzieckim zakazane, a drzewka, podarki, *Died Moroz* i czas powszechnej wesołości to świeckie, socjalistyczne przywitanie Nowego Roku.

Mama więc posłusznie zapaliła chanukowe świece na menorze, którą nam podarowano. Na półce wokół niej ułożyła cukierki lepiące się od okropnego masła orzechowego oraz czarne jak węgiel herbatniki z białym syntetycznym nadzieniem. Czarne jak węgiel ciastko! Kto chciałby zjeść coś podobnego? Cukierki pozostały nietknięte, ciastka nierozpakowane. Mój wzrok z każdym dniem stawał się coraz bardziej pusty i nieobecny, wreszcie Mama dała za wygraną i w sklepie z gatunku „wszystko za pięć centów” kupiła jołkę (choinkę). Drzewko, liczące zaledwie 30 centymetrów i wykonane z topornego plastiku, a udekorowane nieproporcjonalnie dużymi czerwonymi i zielonymi kulami po 19 centów za komplet, wcale mnie nie uszczęśliwiło.

Na nasz pierwszy Nowy Rok w Ameryce zamiast szampana Mama podała słodkie jak ulepek wino „Manischewitz”***** , które nasi dobroczyńcy wcisnęli nam na siłę. A odświętną sałatkę „Olivier” przerobiła całkowicie na modłę „Pathmarku”! Na szczęście nie zrezygnowała z ziemniaków i jajek, za to świeżo ugotowane pokrojone marchewki zamieniła na marchewkę z puszki, nasz groszek z puszki zastąpiła jasnozielonym

mrożonym, pozbawionym nieodzownej miękkości. Co się tyczy białka, jakiś zły duch podkusił ją do użycia chrząstkowej, nasączonej octem konserwowej nóżki wieprzowej marki „Hormel”. Najgorszy ze wszystkiego był jednak majonez. Zamiast naszego niedostępnego, rzadkiego i pikantnego, prowansala maminego oliviera okrasił hellmann's, tworząc obrzydliwie puszystą i koszmarnie słodką kołderkę.

O jedenastej wieczór mama przełożyła pathmarkowego oliviera do dwóch czeskich salaterek w różowe kwiatki, ostatnich resztek naszej przeszłości wywiezionych w dwóch walizeczkach.

Salaterki te były prezentem od Babały, podarowanym nam na nasz ostatni moskiewski Nowy Rok. Tamtej nocy, tuż przed kolacją, babcia wpadła do naszego mieszkania na Arbatie, z furią strząsając śnieg z zielonego wełnianego palta i klnąc głosem ochrypłym od papierosów i zimna.

– Macie swój prezent – warknęła z goryczą, podając Mamie awośkę z pogiętym pudełkiem o grzechoczącej zawartości.

Znajdował się w niej wielce poszukiwany czeski serwis obiadowy, tyle że wystawszy się po niego w kolejce prawie przez cały dzień, w drodze powrotnej Babała poślizgnęła się na lodzie. Siedziałyśmy na podłodze pod naszą piękną radziecką choinką, przebierając okruchy socjalistycznej porcelany. Jedynie dwie salaterki przetrwały bez szwanku. Przy obiedzie Babała topiła żal w wódce, nalewając mi do szklanki szampana, gdy Mama nie patrzyła. Po deserze i hałaśliwym powitaniu Nowego Roku wzięła nas na spacer na plac Czerwony.

Śnieg dopiero co przestał padać, temperatura spadła do minus 20 stopni. A ja byłam pijana. Pierwszy raz w życiu. Na placu Czerwonym! Za sprawą zimna alkohol krażył po moim

krwiobiegu powoli, z czułością, rozgrzewając mi kończyny podczas spaceru. Pod spowitymi w światło tropikalnymi, marcepanowymi kopułami soboru Wasyla Błogosławionego otworzyliśmy kolejną butelkę bąbelków *sowietskoje*. Nastał rok 1974, rok naszej emigracji. Rodzice pocałowali się, a babcia śpiewała patriotyczne pieśni, fałszując do spółki z innymi pijanymi na placu. Pisząc z rozkoszy jak ten prosiaczek z kołchozu, tarzałam się w świeżych puszystych zaspach, wzbijając srebrzyste tumany, migoczące i tańczące na tle światła.

W Filadelfii, gdy zegar wybił początek 1975 roku, razem z Mamą zabrałyśmy się za pathmarkową sałatkę „Olivier”, sącząc z wysłużonych kubków pozbawionego bąbelków manischewitza. Daleko stąd, osiem godzin wcześniej, w innej krainie, drogi Leonid Iljicz Breżniew po raz kolejny poprawił na nosie okulary do czytania, zabrzeczał medalami, chrząknął ogłuszająco, po czym zaczął szeleścić kartkami w desperackiej próbie zlokalizowania pierwszej linijki swego noworocznego przemówienia do *Rodiny*.

– Drodzy Rodacy!

Te słowa nas już nie dotyczyły.

CZĘŚĆ IV POWRÓTY



Rodzinne spotkanie po latach dzięki pieriestrojce, 1989

8

Lata osiemdziesiąte: Moskwa oglądana przez szkło

Na początku lat osiemdziesiątych, po niespełna dekadzie naszego amerykańskiego wygnania, udałam się do *gadałki*, czyli wróżki.

Wspinając się na czwarte piętro do jej jaskini w nowojorskiej dzielnicy Little Italy, na każdym półpiętrze klęłam pod nosem. *Gadałka*, imieniem Terri, liczyła sobie za wróżby słone 90 zieleńców – a przecież nie wierzę wróżkom. Zaprowadził mnie jednak do niej atak zawodowej niepewności.

– Słyszę muzykę.

Gadałka Terri oznajmiła to już na samym progu nowojorszczyzną z silnym włoskim akcentem.

Wbiłam w nią wzrok, zdyszana i zdumiona. Mój niepokój dotyczył studiów pianistycznych w Juilliard School. Skąd Terri wie, że jestem muzykiem?

Potem jednak wróżenie utknęło w ślepym zaułku. Trzydziestokilkuletnia Terri siorbała herbatę z wyszczerbionego kubka z napisem „I love NY”, mrużyła oczy, prężyła się, prawiła komunały.

– Pani kuzynka nie kocha męża... W życiu pani mamy jest osoba nazwiskiem Bennett...

Cały czas przytakiwałam. Czułam, jak z kieszeni wyparowuje mi 90 zieleńców.

Wtedy nastąpił wielki finał.

– Wkrótce – wykrzyknęła Terri, wymachując kubkiem z herbatą – już wkrótce zobaczy się pani z Tatą i resztą rodziny!

Wręczyłam jej gotówkę i z tupotem zeszłam po schodach, sarkając. Mój niepokój nie został rozwiany, najważniejsze pytanie – czy zostanę słynną pianistką? – nie doczekało się odpowiedzi. Wyszłam na dwór i pocieszyłam się wielką porcją *cannoli******.

Mama zdążyła już pójść w moje ślady i przeprowadzić się z Filadelfii do Nowego Jorku, gdzie mieszkałyśmy razem w dwupokojowym mieszkance przy ponurej ulicy w enklawie Jackson Heights na Queensie, zamieszkanej głównie przez Kolumbijczyków. A jednak. W porównaniu z nieruchomą Filadelfią pełen imigrantów, wielokulturowy Nowy Jork przypominał nam dom. Uwielbiałam unoszącą się na korytarzu czosnkową woń *pernil****** i duszonej fasoli. Zza każdych drzwi dobiegała hałaśliwa salsa bądź cumbia, podczas gdy nasze mieszkanie wypełniały konkurencyjne wzniósłe tony

Beethovena i Brahmsa. Pomimo mojego niepokoju co do kariery żyło nam się ogólnie dobrze. Mama uczyła w pobliskiej podstawówce angielskiego jako języka obcego, co więcej powróciła do swego moskiewskiego trybu życia – koncertów, teatru i niekończących się kolejek po bilety. Jeszcze bardziej uszczęśliwiała ją świadomość, że i ja składam hołdy Kulturze Wysokiej. Odkąd w wieku 13 lat zaczęłam dojeżdżać pociągiem z Filadelfii na zajęcia przygotowawcze w Juilliard, a od 1980 roku do tamtejszego college'u, fortepian stał się dla mnie jak powietrze, a klawiatura całkowicie zawładnęła moim życiem, podnosząc mnie na duchu przez długie lata imigracyjnej samotności i scalając moją rozczłonkowaną tożsamość.

– No i? Co tam *gadałka* mówiła o twoim fortepianie? – zaciekawiła się Mama.

Wzruszyłam ramionami. Zapytałam, czy zna kogoś o nazwisku Bennett. Mama o mało nie spadła z krzesła.

– Pani Bennett? Jest rewidensem księgowym w naszym kuratorium. Dziś ją nawet widziałam!

Pośród całego tego zamieszania w związku z panią Bennett byłabym zupełnie zapomniała o ostatnim zdaniu Terri – na temat rodzinnego spotkania po latach. Kiedy sobie przypomniałam, twarz Mamy rozjaśnił teskny uśmiech. Tym razem to ona wzruszyła ramionami. Też coś. Państwo sowieckie jest wieczne, niewzruszone. W kartach nie ma nic o rodzinnych spotkaniach.

Właśnie wtedy wszystko zaczęło się sypać.

W potocznej ruszczyźnie wczesne lata osiemdziesiąte doczekały się nazwy „nadętej ery pogrzebowej” oraz „trójtrumnowego planu pięcioletniego”. „Macie przepustkę pogrzebową?” – pyta w dowcipie strażnik na Kremlu. „Gdzież tam – odpowiada gość. – Mam bilet czasowy”.

Większość członków zramolałego Politbiura dobiegała

siedemdziesiątki. Dekadę zapoczątkowała śmierć Aleksieja Kosygina, niegdysiejszego reformatora. Drogi Leonid Iljicz Breźniew poszedł w jego ślady 10 listopada 1982 roku, trzy dni po tym, gdy widziano go w jego zwykłej formie – zakonserwowanego żółwia – podczas obchodów sześćdziesiątej piątej rocznicy rewolucji.

W dniu śmierci Leonida Iljicza radziecka telewizja stosownie do okoliczności tajemniczo zdziwaczała. Posępna symfonia Czajkowskiego zamiast wyczekiwanej meczu hokejowego? Dydaktyczny materiał o Leninie zamiast koncertu pop z okazji Dnia Milicjanta?

Nazajutrz rano „z wielkim smutkiem” Kreml obwieścił zgon sekretarza generalnego Komitetu Centralnego sowieckiej partii komunistycznej i przewodniczącego prezydium Rady Najwyższej ZSRR.

Nikt go nie opłakiwał.

Drogiego Leonida Iljicza, lat 75, ani się nie bano, ani go nie kochano. W ostatnim okresie swej niemal dwudziestoletniej władzy nad 270 milionami osób w socjalistycznym imperium stał się zniedołężniałym lekomanem, który środki na uspokojenie popijał żubrówką. Przetrwał udary, śmierć kliniczną oraz nowotwór szczęki, wskutek którego jego pięciogodzinne przemówienia zmieniły się w bełkot. A mimo to wygłaszał je, i to często. Jego reżim kuśtykał razem z nim, równie sklerotyczny, z lekka zreanimowany dzięki twardej walucie z szybujących w górę cen ropy i gazu.

Ów gracz w domino wiódł przyjemny żywot, a jego karykaturalna ekstrawagancja stanowiła idealne odzwierciedlenie kiczowej, materialistycznej epoki, którą reprezentował. Breźniew uwielbiał zagraniczne samochody i szyte na miarę marynarki z zagranicznego denimu. Tuż przed śmiercią oddawał się swojej ulubionej rozrywce, polowaniu na

dziki na terenach łowieckich w Zawidowie, gdzie zwożono najbardziej okazałe sztuki z całego Związku Radzieckiego, tucząc je rybami i pomarańczami. Polujące towarzystwo z Politbiura tuczyło się natomiast kawiorem jadanym prosto z jesiotra, gorącą zupą rakową i dzikiem pieczonym na rożnie na wolnym powietrzu. Była to epoka uczt dla kolesi i hiperelitarnych przydziałów żywności, a drogi Leonid Iljicz, pierwszy epikurejczyk imperium, miał w zwyczaju posyłać faworyzowanym przyjaciołom kulinarne pamiątki w rodzaju bażanta, królika albo zakrwawionego kawała niedźwiedzia. Według wielu relacji był człowiekiem nieszkodliwym i rozrywkowym. Po co tam od razu gadać o Praskiej Wiośnie, o torturowaniu dysydentów w psychuszkach i o wojnie w Afganistanie?

Nade wszystko jednak Breżniew przepadał za błyskotkami, z czego zrodził się osobliwy problem związany z jego pogrzebem. Zgodnie z protokołem każdy jego medal powinien być niesiony osobno za trumną na oddzielnej pluszowej poduszce. Jednakże drogi Leonid Iljicz zgromadził ponad 200 odznaczeń, wśród nich Nagrodę Leninowską w dziedzinie literatury za zmyślzoną przez autora widmo autobiografię. Nawet gdy poukładano na poduszkach po kilka medali, niosący je orszak liczył 44 ludzi.

Mama i ja siedziałyśmy w tym okresie jak przyspawane do naszego telewizora w Nowym Jorku. Jednak migocząca iskierka nadziei zrodzonej z przepowiedni *gadałki* Terri zgasła w chwili, gdy ogłoszono następcę Brežniewa.

Jurij Andropow, były szef KGB, łowca dysydentów, zdecydowanie nie należał do ludzi miłych. Choć jednak jego serce było twarde, nerki ledwie żyły. Trzynaście miesięcy później mężczyźni w błyszczących czapkach z norek znów podążali za trumną, którą wynoszono z miętowo-białej Sali Kolumnowej przy dźwiękach Chopinowskiego marsza żałobnego.

Zdrowie następcy Andropowa podsumowano w kolejnym

dowcipie: „Twarzysz Konstantin Czernienko objął stanowisko sekretarza generalnego, nie odzyskawszy świadomości”. Czernienko wytrzymał niewiele ponad 300 dni.

„Drodzy towarzysze – brzmiał w dowcipie szyderczy komunikat telewizyjny – nie śmiejcie się, ale ponownie z wielkim smutkiem informujemy was...”

W marcu 1985 roku najnowszym przywódcą Związku Radzieckiego został prawie nieznany sekretarz KC do spraw rolnictwa, wcześniej protegowany Andropowa. Michaił Siergiejewicz Gorbaczow miał zaledwie 54 lata, energię, sprawne narzędzia wewnętrzne, dyplom z prawa Uniwersytetu im. Łomonosowa w Moskwie, mocny południoworosyjski akcent, natrętną żonę oraz stanowczy sposób bycia, którym z miejsca zbałamucił zachodnie media. Rosjanie początkowo nie żartowali za wiele o znamieniu w kształcie Ameryki Południowej na jego łysinie. Ją pojawił się później. Gorbaczow był szóstym i ostatnim sekretarzem generalnym w kraju znany jako ZSRR.

W Rosji modne jest ostatnio spoglądanie wstecz poprzez mgiełkę bajkowej nostalgii, zwłaszcza na czasy breżniewowskiego Dojrzałego Socjalizmu.

- Mogliśmy kraść do woli...
- A jednak byliśmy tacy *uczciwi*, tacy *niewinni*...
- Rodziny były sobie *bliższe*... lody zdrowsze...

Od odzianych od stóp do głów u „Gucciego” i „Prady” po biedujących emerytów – Rosjanie ciepło wspominają kolejki, powtarzają kawały o *dieficycie*, chwalą smak *kołbasy* doby zastoju. Ja na Queensie wcale się od nich nie różnię. Czyż nie jest wyjątkowym zaszczytem tak bogata i osobliwa przeszłość? Obejmująca noszenie pionierskiej chusty w tej szkarłatnej Atlantydzie zwanej Związkim Radzieckim? I kosztowanie słodko-gorzkiego złoża socjalistycznych magdalenek?

Nieoczekiwanie w ciągu kilku dni 2011 roku okrucieństwo tej rzeczywistości historycznej wreszcie do mnie dociera, tak naprawdę, po raz pierwszy w moim dorosłym życiu.

Jestem chora, leżę w łóżku. Zamiast nowego thrillera Borisa Akunina mam obok łóżka ogólną, rozciągliwą niebieską torbę plastikową, którą Mama przytaszczyła ze swojego mieszkania. Niebieska torba zawiera listy – dwie dekady korespondencji z Rosją lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Jak się okazuje, Mama wszystko to zachowała, upychając byle jak w teczkach, szarych kopertach, pudełkach po butach. Pomimo trzydziestu kilku lat, które upłynęły, kratkowany papier produkcji radzieckiej i kwadratowe koperty z symbolem sierpa i młota przy poczcie lotniczej oraz znaczkami za 16 kopiejek z napisem *Mir* (Pokój) prawie się nie postrzepiły ani nie pożółkły. Są tu kartki urodzinowe z jaskrawymi radzieckimi różami, życzenia noworoczne z ośnieżonym Kremlom, którego nigdy już nie miałyśmy ujrzeć.

Popijam herbatę z cytryną i sięgam do torby.

Razłuka. Brzmiące nieco folklorystycznie rosyjskie słowo oznaczające rozłękę bierze mnie w swoje władanie.

Już trzeci raz witamy Nowy Rok bez was – protestuje anarchiczna ręka cioci Julii. – *Jak długo ma się to ciągnąć?*

Pochyłe bazgroły i uroczo pokrętna staromodna gramatyka babci Lizy w kolejnych litaniach codziennych lamentów mających zagłuszyć egzystencjalny ból po utracie córki, która wybrała wygnanie.

Nawsiedga – na zawsze. Czymże innym była nasza emigracja, jeśli nie śmiercią, wyjawszy korespondencję?

W pękatej niebieskiej torbie nie ma natomiast ani linijki od dziadka Nauma.

Julia powiedziała mi niedawno, że po wyjeździe Mamy

dziadek oklapł moralnie i umysłowo, a jego twarz przybrała kamienny wyraz wyparcia, właściwy pracownikowi sowieckiego wywiadu. Długoletni kolega doniósł na niego do władz, tak iż Naumowi, który umknął przed wojennymi kulami i stalinowskimi łagrami, groziło aresztowanie za „zdradę *Rodiny*”, jakiej dopuściła się jego córka. Ocalił go admirał Tributs, bohater II wojny światowej. Mama dowiedziała się o tym dużo później. Płakała.

Moja ukochana jaskółeczko, która ode mnie odfrunęłaś...

To słowa babci Ały napisane w kilka dni po tym, gdy zostawiłyśmy ją na ławce pod naszym moskiewskim mieszkaniem. Największy zbiór to właśnie jej listy. Okrągłe, pełne namaszczania litery kojarzą mi się z chropawym śmiechem palaczki, gdy czytam, nieomal ją widzę, jak stoi w swojej sypialni przy mętnym lustrze, wciskając na siłę spinki w tleniony kok.

Z jej listów przebija czarna rozpacz. Rozpacz kobiety po pięćdziesiątce, która zaniedbawszy własnego syna, przelała całą drzemiącą w niej miłość macierzyńską na dziecko, które „odfrunęło”...

Legła w gruzach moja ostatnia nadzieja – pisze. Miesiące ponawianych próśb składanych w biurze wizowym OWIR-u zakończyły się kolejną odmową promesy wizowej. *Nie mam po co żyć.*

W listopadzie 1977 roku, niedługo po sześćdziesiątych urodzinach babci Ały, przyszedł czterostronicowy list od Taty.

Nie mam nawet sił utrzymać pióra, żeby opisać, co się wydarzyło – zaczął.

Ała nocowała akurat u niego, gdy poczuła straszne pieczenie w klatce piersiowej. Jęknęła i zwymiotowała. Karetka przyjechała dopiero po 40 minutach. Badał ją arogancki, bardzo młody lekarz. Gestykulowała dramatycznie, więc doktor uznał,

że histeryzuje – powiedział mi to wprost. Lekarz wstrzyknął jej środek uspokajający i poszedł.

Następnego wieczora Siergiej znalazł matkę leżącą twarzą do ziemi. Tym razem karetka przyjechała dość szybko. Było już jednak po wszystkim. Całą noc siedział przy matce, głaszcząc ją po głowie. Miała spokojną i piękną twarz. W każdym innym kraju babuszka Ałła mogła zostać uratowana.

Babuszka kochała cię bezgranicznie, Aniuta – czytam, odpędzając powiekami piekające łzy. – Żyła tylko twoimi listami, dwa razy dziennie biegała do skrzynki. Umarła w piątek w breżniewowskiej Moskwie. W niedzielę Tata znalazł mój ostatni list do niej, przysłany z nieprzebytej odległości 7,5 tysiąca kilometrów, z Filadelfii.

Są jeszcze inne listy od Siergieja, ale nie za dużo. Ze dwa tuziny na całe 13 lat naszej rozłęki. Inny pamiętny list nosi datę z maja 1975 roku. Moja pierwsza filadelfijska wiosna osiągnęła właśnie przesyconą azaliami pełnię rozkwitu. Gdy Mama wróciła z pracy, miała czerwone oczy, bynajmniej nie od kataru siennego. List od Taty otworzyła przy lunchu.

Lariska, dorogaja,

Już od dawna nie mogę się zebrać, żeby napisać ci o „wszystkim”... To, co mi się przydarzyło, jest – jak sądzę – logiczne, Ty sama zresztą to przepowiadałaś jeszcze tutaj w Moskwie. Wkrótce uświadomiłem sobie, że życie w pojedynkę nie dla mnie. Samotność, pragnienie bycia użytecznym dla kogoś (kogoś, kto – niestety – jest w pobliżu). Krótko mówiąc, poprosiłem pewną Maszę, aby ze mną zamieszkała.

Wyłuszczywszy to i owo o Maszy, Tata oznajmia: Bóg da, w październiku będziemy mieć dziecko i te okoliczności zmuszają mnie do starania się o rozwód.

Wychodzi jednak na to, że rozwód z emigrantką to sprawa bardzo skomplikowana. Czy więc Larysa nie mogłaby pomóc, przesyłając jak najszybciej poleconym list do sowieckiego sądu międzynarodowego, w którym stwierdzi, że nie jest temu przeciwna?

Mama była przeciwna. Przeciwna całym sercem. W głębi serca cały czas miała nadzieję, że Siergiej jednak do nas dołączy. Lecz jako osoba dumna i przesadnie szlachetna, już następnego dnia nadała polecony.

Obok listu od Taty znajdują się też odpowiedź na niego, niewysłaną. Odpowiedź zdradzonej jedenastolatki – moją.

Siergiej, nigdy więcej do Ciebie nie napiszę. W porządku, ożeniłeś się, ale tylko kanalia mogła napisać do Mamy tak podły, cyniczny list. I na koniec coda dopisana moją wciąż jeszcze koślawą angielszczyzną. OK, gud-buye forever. PS. Nie mam już ojca. PPS. Mam nadzieję, że Twoje dziecko będzie głupie i brzydkie.

W rok po zdradzie Taty odnowił się między nami niemrawy kontakt – jeśli można tak określić nader okolicznościowe listy oraz telefony na urodziny. Te zagłuszane przez zakłócenia transatlantyckie rozmowy psuły mi cały dzień. Tata brzmiał niezbyt trzeźwo, był zaczesny i nieśmiały zarazem, wtrącając bolesne kąśliwe uwagi. „Dostałem twoje nagranie Brahmsa. Hmm, jeszcze długa droga przed tobą”. Miał się za krytyka muzycznego.

Pod koniec mojego liceum babcia Liza napisała, że Siergiej porzucił też swoją drugą rodzinę, dla znacznie młodszej kobiety. I że zadzwoniła do niej Masza, wzgardzona druga żona, ostrzegając, że ojciec planuje potajemnie „ponownie połączyć się z pierwszą rodziną”.

Słysząc tę wieść, Mama zachichotała drwiąco. Zdążyła już dawno pogodzić się z losem.

A *Rodina*, którą opuściliśmy na zawsze?

Pojawiała się w naszych snach.

Ciągle śniło mi się, że jestem na Arbacie przy naszej szarej kamienicy u zbiegu zaułków Mierzlakowskiego i Skatiertnego.

Niebo wisi nisko i złowieszczo. Tęsknie wpatruję się w nasze okno na rogu, widząc czarne miejsce tam, gdzie kiedyś stłukłam szybę. Ktoś mnie wpuszcza. Wsiadam do windy, wjeżdżam na czwarte piętro, popycham drzwi. Niczym duch przemykam do naszej starej wielokątnej kuchni z balkonem... Stoi tam obca kobieta, nalewając herbatę z naszego obitego emaliowanego czajnika do tatowego kubka w groszki. Właśnie ten czajnik sprawiał, że budziłam się zlana zimnym potem.

Mamę męczył typowy koszmar radzieckich emigrantów. Nie o powrocie i utknięciu za żelazną kurtyną. Nie, nie – to był sen o znalezieniu się nagle w Moskwie, u najbliższych, lecz z pustymi rękami, bez choćby jednego podarunku dla nich. Mama budziła się wtedy trawiona wyrzutami sumienia i wysyłała do Rosji następne przekazy, następne prezenty. Inni imigranci kupowali przez ten czas domy w szeregowce, potem w bliźniaku, wreszcie trójpoziomowe wolno stojące. Mama do dzisiejszego dnia nie ma nic.

Kartka od babci Lizy przysłana na Nowy Rok 1987 jako pierwsza rozbudziła realną nadzieję.

Pytałam w OWIR-ze, jak załatwić wam zaproszenie do Moskwy. Nie przewidują żadnych problemów!!!

Wówczas już nowymi sowieckimi hasłami stały się *pieriestrojka, głasnost' oraz zapomniany dziś slogan z wczesnej epoki Gorbaczowa uskorienije* (przyśpieszenie).

– Nie uwierzyłabyś, co się dzisiaj mówi w telewizji – wołali przejęci krewni w trakcie zakłóconych trzaskami rozmów. – Tylko ciiii... To nie jest rozmowa na telefon!

Nawet Mama, mądrzejsza o gorzkie doświadczenie upadku odwilży i pełna cynizmu względem każdego przywódcy ZSRR, nieoczekiwanie kupiła Gorbaczowski optyzm. Świetlana Przyszłość być może nadziejdie właśnie teraz. Tym razem na serio! Znów kusiła nas utopijna, baśniowa Rosja, gdzie

sklepowe półki uginają się od bananów, na polach nagle obfituje pszenica, a granice otwierają się na oścież.

Granice rzeczywiście się otwarły.

Wczesną jesienią 1987 roku, 13 lat po naszym wyjeździe z Moskwy, niedługo przed moimi 24. urodzinami, Mama wróciła z sowieckiego konsulatu w Nowym Jorku.

– Ta twoja *gadałka* Terri... – wymamrotała, kręcąc głową w zdumieniu.

Wyjęła nasze granatowe amerykańskie paszporty. Do każdego była dołączona oficjalna wiza turystyczna do Moskwy.

Mamine koszmary o powrocie do ojczynny z pustymi rękami dały początek szaleństwu kupowania prezentów, jak gdyby w walizki, które miałyśmy dźwigać z powrotem do Związku Radzieckiego, Mama chciała zapakować długie wyrzuty sumienia z powodu opuszczenia rodziny.

A jakie nieładne były to bagaże!

Cztery menstrualne torby podróżne kupione w dyskoncie, z których każda przypominała niezgrabną czarną lodówkę na kółkach. W tym zamęcie kupowania i pakowania nie mogłam opędzić się od wspomnień o naszym skromnym exodusie, z dziesięciokilowym bagażem na osobę.

– Pani Frumkin, jest pani bardzo rozsądną kobietą – takim komplementem przywitano Mamę w Rzymie w 1974 roku.

Teraz targałyśmy z powrotem pół domu towarowego.

Co zabrać do kraju całkowicie pozbawionego dóbr konsumpcyjnych? Siedemnaście dwupaków rajstop za dolara, cielistych i czarnych, jako prezenty „awaryjne”, kawa rozpuszczalna, osiem sztuk salami, długopisy, zegarki, kolorowe zapalniczki, leki nasercowe, kalkulatory, szampony, a dla dzieci cokolwiek, co ma na sobie jakiś symbol Ameryki.

Konkretnie prośby zgłasiane z Moskwy były irytujuco konkretne i niejednoznaczne zarazem. Szlafroki *frotté* z *kapturem, koniecznie niebieskie*. Dwa kombinezony dla liczącego sobie 125 cm wzrostu dziecka nomenklaturowego doktora, który leczył dziadka Nauma. Czerwona włóczka ze złotą nitką dla przyjaciółki przyjaciółki kogoś, kto być może kiedyś będzie mógł załatwić skierowanie do ekskluzywnego sanatorium. Zamki do drzwi, jako że *pieriestrojka* najwyraźniej spuściła ze smyczy wszystkich moskiewskich przestępco. Strzykawki jednorazowe. Ponieważ Rosjanie wiedzą już o AIDS.

Słysząc zamówienia na części do ład i żiguli, Mama jęczała i zgrzytała zębami.

Ja natomiast nalegałam, aby Tata nie dostał żadnego prezentu. Mama oponowała, proponując coś neutralnego, a z klasą. Stanęło na bogato ilustrowanej książce o Prouście.

Z zamiarem zrobienia wielkiego wrażenia na kraju, który wzgardził nami z powodu wyjazdu, zaopatrzyłam się w ekstrawaganckie futro z szopa, *vintage* z lat czterdziestych.

– W odwiedziny do Sojuzu? – spytał właściciel sklepu „wszystko za 99 centów” na Queensie, całkowicie przez nas spustoszonego. Miał mądry uśmiech i gardłowy radzieckogruziński akcent. – Ile komputerów zabieracie? – dociekał.

– Ani jednego – wyznałyśmy.

– Wolno dwa! – rzekł wesoło. – No to zawieziecie jednego IBM-a!

W taki oto sposób zostałyśmy wciągnięte w szemrane interesy na gruzińskim czarnym rynku, w zamian za 300 zielonych oraz kurs na lotnisko Kennedy'ego w samochodzie gruzińskiego kuzyna. Barczysty kuzyn zjawił się na czas w poobijanym brązowym chevrolecie. Cmoknął z uznaniem na widok naszych gigantycznych toreb podróżnych.

Po przejechaniu kilku kilometrów drogą ekspresową na Long Island oznajmił:

– Pierwszy raz jadę drogą szybkiego ruchu!

Zaczął lać deszcz. Jechaliśmy w pełnej napięcia ciszy. Nagle nasz poobijany i uginający się pod bagażami chevy wpadł w poślizg na mokrej drodze i jak na zwolnionym filmie łupnął jadącą na sąsiednim pasie żółtą taksówkę. Nadal czułyśmy własne kończyny, na szczęście obeszło się bez złamań. Zjawili się policjanci i odkryli, że kuzyn nie ma prawa jazdy, a jego amerykańska wiza turystyczna straciła ważność. Padło słowo „deportacja”.

Nie mogę sobie przypomnieć, jak dotarłyśmy na JFK. Pamiętam tylko panią przy stanowisku linii Delta, która poinformowała nas, że choć same mamy szansę zdążyć na ten lot, to nasz bagaż z pewnością jej nie ma.

– Mój koszmar – jęknęła Mama słabym głosem.

– Bagaż poleci następnym samolotem – pocieszył nas inny reemigrant. – Oczywiście radzieccy bagażowi tną torby. A jeśli zamek to byle co z dyskontu, zapuszczą rękę do środka. Kładłyście coś cennego na wierzchu?

Przez całe dziesięć godzin lotu Mama nie zmrużyła oka, usiłując sobie przypomnieć, co położyła na wierzchu w naszych torbach bagażowych.

Wreszcie powiedziała:

– Salami.

Jak się czują emigranci powracający zza grobu? Zmartwychwstający w *Rodinie* owładniętej głasnością?

Nasz samolot ląduje tuż po ustaniu grudniowej śnieżycy. Nie ma zadaszonego rękawa ani autobusu. Wysiadamy i brniemy przez pokrytą śniegiem płytę lotniska w stronę terminalu. Brniemy bardzo powoli, a przynajmniej tak się wydaje,

ponieważ z chwilą wejścia w inny wymiar zegarek zamarza.

Ciemność Północy i dojmujące zimno budzą dawno zapomniane wrażenie z dzieciństwa, które nagle nie wydaje się już wasze własne. Przez 13 lat nie wiedzieliście, co to prawdziwa zima, a teraz wciągacie ją w nozdrza poprzez zaparowany, ciepły kokon oddechu. Brniecie dalej. W nieziemsko spowolnionym czasie czujecie krew pulsującą w skroniach i ogłuszające skrzypienie śniegu, jak gdyby tuż nad waszym uchem ktoś zgniątał styropian.

Patrzycie na swoją matkę. Jej twarz wygląda obco w trupim świetle lotniskowych lamp. Drżą jej wargi. Ścisza waszą rękę.

Z każdym głośnym, skrzypiącym krokiem ogarnia was coraz większe przerażenie. Czym? Tego nie jesteście pewni.

W zamęcie kolejek do kontroli paszportowej czas podejmuje swój normalny bieg.

W okienku umundurowany chłopak przygląda się mojemu zdjęciu, potem futru z szopa, znowu zdjęciu. Marszczy brwi i idzie poradzić się kolegi. Przyłapuję się na nadzieję, że odeślą nas z powrotem do Nowego Jorku. On jednak wraca, podbija mój amerykański paszport i pyta po rosyjsku:

– To jak? Tęskniliście za *Rodiną*?

W sposobie, w jaki wymawia słowo *Rodina*, wyczuwam znajomy sarkazm, zdobywam się jednak na swój najlepszy amerykański uśmiech i z zapałem kiwam głową, zdając sobie sprawę z tego, że wszystko, za czym tęskniłam, prawdopodobnie już nie istnieje. Utrata urojonej ojczyzny. Czy to właśnie tak mnie przeraziło tam na śniegu, w drodze do terminalu?

W hali odbioru bagażu za szybą macha i gestykuluje odległy szpaler witających.

– *Papa!* – przeraźliwie głośno krzyczy Mama.

– *Dieduszka Naum?* Gdzie? Gdzie?

I wtedy je spostrzegam – grube oprawki okularów dziadka wyzierające znad bukietu rachitycznych czerwonych goździków.

Mama, półprzytomna z podnieczenia, macha teraz jak szalona do swego brata i siostry. Obok nich stoi i również macha jakiś mężczyzna z siwą czupryną, o rysach jakby znajomych.

Coś dużo bardziej znajomego pojawia się na horyzoncie, na karuzeli bagażowej.

Przyjechały razem z nami, nasze cztery imponujące torby podróżne, a za nimi wychynęło pudło z gruzińskim IBM-em. W każdej torbie jest równiutkie rozcięcie wzdłuż suwaka.

– Salami – mamrocze Mama.

Pośród gorączkowych uścisków, płaczów, dotyków rozpoznaję w końcu mężczyznę o gęstych siwych włosach. Ojciec. Lecz nie ten ojciec, którego wyobrażałam sobie za Atlantykiem, romantycznie nihilistyczny sobowtór Alaina Delona, który porzucił nas w okrutnie rzeczowy sposób.

Człowiek całujący mnie teraz ze skrępowaniem jest tęgi i stary, ma brązowe spodnie z poliestru, znoszone buty o kwadratowych noskach i gumowych podeszwach oraz zapadłą, wciągniętą szczękę.

„Siergiej, mój ojciec – myślę. – I nie ma zębów”.

– Salami, ukradli nasze salami! – nie przestaje powtarzać Mama, śmiejąc się jak opętana. Zwraca się do Saszki, mojego kulawego wujka, który ma na głowie elegancką czapkę z karakułów i wydaje się rażąco, nietypowo trzeźwy.

– *Czudo, czudo – cud, cud!* – ciocia Julia ociera łzy w moje szopie futro.

Kątem oka zerkam na bezzębne usta Taty i już wiem: wszystko mu wybaczyłam.

Pełne zgryzoty noce z Mamą na Dawydkowie i czekanie na

chrobot jego klucza w zamku, list o rozwodzie, okropne telefony na urodziny. Gdy bowiem Mamie i mnie się powiodło, wręcz rozwitłyśmy, życie i wygląd mojego ojca zmarniały. Jestem pewna, że to samo można powiedzieć o *Rodinie*.

Triumfalna armada złożona z dwóch ład dowiozła nas do naszego starego mieszkania na Dawydkowie. Przysadziste radzieckie fiaty, przypominające mydelniczki na kółkach, dumnie wiozły na dachach nasze sławetne torby podróżne. Projektanci ich socjalistycznych korpusów nie przewidzieli jednak obfitości z amerykańskich sklepów „za 99 centów”.

– Bogaci robią sobie, co chcą – warknął pryszczaty milicjant z drogówki, który zatrzymał nas dla wyłudzenia standardowej łapówki.

Czterdziestometrowe mieszkanie w *chruszczobie*, gdzie we łzach oczekiwali nas Liza z całą rodziną, również nie było projektowane z myślą o naszych torbach. Zwłaszcza że dziadkowie zaprosili do siebie *na czas naszych odwiedzin* dwoje otyłych krewnych z Odessy.

I oto byłyśmy tam, 13 lat po pożegnalnym obiedzie, znów przy obficie zastawionym stole Lizy.

Nikt nie płakał po naszym ukradzionym nowojorskim salami. Wtedy jeszcze nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, ale rok 1987 miał być pożegnaniem z *zakazem*, czyli przydziałami żywnościovymi dla uprzywilejowanych, z których dziadek nadal korzystał dzięki swym zasługom dla floty. Niebawem zakaz miał zniknąć na zawsze wraz z praktycznie wszelkimi produktami żywnościovymi, a w końcu i całym Związkiem Radzieckim. Wciąż mam do siebie pretensje, że nie udokumentowałam na zdjęciach stołu *babuszki* Lizy. Był żywcem wzięty z *Księgi o smacznym i zdrowym jedzeniu* z 1952 roku. Pojawiła się tam okropna renomowana konserwowa wątroba dorsza pod warstwą utartych jajek na twardo, rozpływający się w ustach wędzony

jesiotr *balik*, ukochany przez Partię ozór, niezastąpiona skumbria w tomacie, a wszystko ułożone na barokowych stalinowskich kryształach, które dziadkowie otrzymali na pięćdziesiątą rocznicę ślubu.

– Czarny chleb! – piszczała Mama. – Ale mi brakowało czarnego chleba.

Piszczala również w kwestii *suszek* (suszonych obwarzanków), *zefirów****** (różowych pianek w kształcie muszli) tudzież *prianików* (pierników). Owej nocy, gdy wszyscy biwakowaliśmy na łózkach polowych w pudełkowatym dużym pokoju dziadków, przez niespokojny sen słyszałam syczenie rozpuszczającej się w wodzie maminej tabletki „Alka-Seltzer”, zagłuszane przez dudnienie prawniczego tasiemca w wykonaniu jej głuchej ciotki Tamary z dalekiej Odessy.

– *Czudo, czudo, czudo.*

Krewni chwytali nas za rękawy, sprawdzając, czy nie jesteśmy złudzeniem. Najszerzej ze wszystkich był dziadek Naum. Uśmiechał się szeroko, rozpromienił zasępione czoło pracownika wywiadu, jak gdyby 13 lat hańby, strachu i dylematów moralnych zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej róźdżki. Jego nieugięta lojalność względem każdego reżimu, jaki był u władzy, opłaciła się. Wszystko kończyło się dobrze. Gorbaczowowskie Państwo, ucielesnienie mądrości, wielkodusznie przebaczyło nam, marnotrawnym zdrajczyiom *Rodiny*. Teraz można już było całkiem otwarcie potępiąć stalinowskie zbrodnie, a uczucia te dziadek tłumił w sobie od ponad 30 lat.

– Gdyby tylko Gorbaczow przywrócił dawną chwałę marynarce – to była jego jedyna skarga.

– Dziękujmy Partii – wzniósł toast tubalnym głosem – za sprowadzenie naszych dziewcząt z powrotem na łono naszej *Rodiny*!

- Chrzanić Partię! – wrzasnęło młode pokolenie ery *glasnosti*.
- Chrzanić *Rodinę*! – zwołali jak jeden mąż wszyscy obecni.

Dwa tygodnie w Moskwie minęły niepostrzeżenie. Nigdy dotąd nie czułyśmy się tak upragnione i kochane, nigdy jeszcze nie całowano nas tak mocno i nie słuchano z tak niebywałyym zaciekawieniem.

Mamę opętała demoniczna gościnność – zapraszała praktycznie nieznanych ludzi, żeby odwiedzili nas w Ameryce. Bo teraz było już wolno.

- Przyślę ci wizę, pomieszkasz u nas miesiąc, pokażemy ci *nasz* Nowy Jork.

Bez przerwy szcypałam ją pod stołem. *Nasz* Nowy Jork był dwupokojowym mieszkaniem na Queensie, które Mama i ja dzieliłyśmy z moim zabytkowym *steinwayem****** oraz moim liczącym 188 cm wzrostu narzeczonym, aroganckim brytyjskim poststrukturalistą.

- Przy tej pierwszej wizycie – wyznała nam ostatnio ciocia Julia – wydałyście się nam takie cudowne, takie amerykańskie w tych sztywnych futrach. I zdrowo stuknięte! – zachichotała.
- *Iwszystko* się wam podobało w tej naszej nędznej, dziadowskiej *Rodinie*! Może to przez ten śnieg?

Święta prawda. Baśniowa biel zamaskowała wszystkie wrzody i socjalistyczną zgniliznę. Naszym cudzoziemskim oczom Moskwa jawiła się jak magiczny orientalny krajobraz miejski, nieskalany przez jaskrawe kapitalistyczne neon-y i billboardy. Pod wrażeniem była nawet Mama, szydząca z *Rodiny*. Zachwyciło ją *wszystko*.

Szyldy sklepowe: RYBA. MIASO. MOŁOKO. Napisy te, wcześniej oznaczające jedynie puste radzieckie półki i okropne kolejki, stały się teraz w maminych oczach arcydziełami neokonstruktywistycznej grafiki. Stacje metra – owe rojne

mozaiki i marmurowe koszmary jej dzieciństwa – teraz objawiły się jako lśniące monumenty dwudziestoczterokaratowego totalitarnego kiczu. Nawet naburmuszone kobiety handlujące *pirożkami*, wymyślające swoim klientom, dawały pokaz jedynego w swoim rodzaju radzieckiego *performance'u* lingwistycznego.

Mama niezwykle uprzejmie zapytała je, jakich monet używa się w aparatach telefonicznych.

– *Grażdanka* – warknięto na nią. – Obywatelko, spadliście z *Marsa*?

A ja w moim stylowym futrze z szopa? Wołano za mną *czuczeło* – czupiradło, obszarpaniec.

Z perspektywy czasu rok 1987 okazał się doskonały na odwiedziny. Wszystko się zmieniło – a zarazem nie zmieniło się nic. Rozmowa telefoniczna ciągle kosztowała dwie kopiejkę, a przed mającą kształt gwiazdy i kasztanowy kolor stacją metra Arbatskaja za trójkopiejkowego miedziaka można było kupić z topornej *gazirowki* (saturatora) wodę sodową z gęstym żółtym sokiem. Trójkątne kartony z mlekiem dalej rozpychały się i szturchały w *awośkach*, wyciągnięte ramię Lenina z brązu nadal wskazywało przed siebie – często w kierunku śmiertników i szpitali – w myśl hasła: TOWARZYSZU, JESTEŚ NA DOBREJ DRODZE!

Jednocześnie na każdym kroku dawała o sobie znać *pieriestrojka*. Zdumiewał mnie najnowszy krzyk ulicznej mody – łańcuch z prawosławnym krzyżem! Mama nie mogła się nadziwić książkom. Andriej Płatonow (rosyjski Joyce, niepublikowany od lat dwudziestych), zakazane wcześniej dzieła Michaiła Bułhakowa, zbiory płomiennych esejów obnażających dawne sowieckie zbrodnie – a wszystko to w eleganckich twardych oprawach, jawnie pożerane w autobusach, w metrze. Ludzie czytali w kolejkach i na przystankach tramwajowych,

czytali, idąc, pijani tym nowym wylaniem prawd i rewizji. Spacerując świeżo zamienionym na deptak Arbatem, patrzyłyśmy na posepnych weteranów z Afganistanu, którzy rozdawali ulotki. Potem gapiłyśmy się na nowych prywatnych „przedsiębiorców” sprzedających pamiątki spod znaku sierpa i młota jako ironiczne bibeloty. W zestawie matroszek małeńki Gorbaczow ze znamieniem na głowie tkwi w krzaczastobrewym Breżniewie, ten w łysym Chruszczowie, ten z kolei w (ratunku!) wąsatym Stalinie, a wszyscy oni razem w wielkim zezowatym Leninie z kozią bródką. Kupiłyśmy ich mnóstwo.

Powracając do mieszkania na Dawydkowie, siadałyśmy jak zahipnotyzowane przed nowiutkim dziadkowym telewizorem marki „Awangard”. Bez przerwy leciała pornografia w trzech odmianach: (1) Gołe cycki i gołe tyłki. (2) Odrażające zbliżenia zwłok ofiar wojennych bądź ofiar zbrodni. (3) Stalin. Fala za falą nieznanych wcześniej materiałów dokumentalnych o Generalissimusie. Spośród ogółu prezentowanej pornografii numer trzy był najdrastyczniejszy. Erotyka władzy.

Było jeszcze inne zjawisko, mocno przemawiające do naszej wyobraźni: *pietla Gorbaczowa* („pętla Gorbaczowa”), jak powszechnie określano kolejki po wódkę.

Były zdumiewające. Gigantyczne. A obwiniano o nie wyłącznie sekretarza generalnego, przechrzczonego właśnie na „mineralnego” za kampanię zmierzającą do zastąpienia gorzałki wodą mineralną. Nawet sam wstrzemięźliwy w piciu przywódca przytaczał potem z rozbawieniem popularny kawał z tego okresu prohibicji.

„Idę i ukatrupię tego sukinsyna Gorbaczowa!” – ryczy jakiś facet w kolejce po wódkę. Po kilku godzinach ledwie żywy wraca do kolejki. „Na Kremlu kolejka chętnych do ukatrupienia go jeszcze dłuższa”.

Dowcip ten nie oddaje jednak powszechniej złości na

antyalkoholowe ambicje Gorbaczowa. W zatłoczonym dziadowskim sklepie monopolowym nieopodal naszego dawnego mieszkania na Arbacie obserwowałyśmy z Mamą starą, zniszczoną kobietę o sinej karnacji, właściwej smakoszom płynu do czyszczenia mebli. Teatralnym gestem rozchyliła brudny płaszcz ze sztucznego futra. Pod spodem nie miała zupełnie nic.

– *Piła, pju i budu pit’!* – wrzasnęła.

Na twarzach pozostałych monopolowych kolejkowiczów dostrzegłam owo typowe w Rosji egzystencjalne, pijackie współczucie.

Kłopoty w imperium wódki rozpoczęły się w maju 1985 roku*****. Już po dwóch miesiącach swego urzęduowania Gorbacz („Garbus”) wydał dekret zatytułowany *O środkach przewyciężenia piękna i alkoholizmu*. Była to jego pierwsza ważna innowacja polityczna – i tak opłakana w skutkach, że reputacja Gorbaczowa w Związku Radzieckim nigdy już nie została odbudowana.

Sekretarz mineralny miał bez wątpienia słuszność, uważając sowieckie picie za katastrofę społeczną. Dane statystyczne sprzed okresu *pieriestrojki* były utajnione i skąpe, szacuje się jednak, że nadużywanie alkoholu stanowiło przyczynę ponad 90% aktów chuligaństwa na terenie imperium, blisko 70% zabójstw i gwałtów oraz blisko połowy rozwodów, nie wspominając już o mocno niepokojących wskaźnikach umieralności. Być może całkowita prohibicja przyniosłaby jakiś skutek, Gorbaczow jednak postawił na typowe półśrodki, przez co Rosjanie do cna go znienawidzili. W kilku słowach: po 1985 roku picie stało się po prostu droższe, bardziej skomplikowane i czasochłonne. Fabryki wódki i sklepy monopolowe zamknięto, winnice zaorano, piękno surowo karano. Sklerotyczne państwo cierpiało na bolesny brak gotówki – potrzebnej między innymi na posprzątanie po katastrofie w Czarnobylu – wyrzekło się jednak około dziewięciu milionów rubli rocznie ze sprzedaży

alkoholu. Sprzedaż taka za panowania sekretarza mineralnego mogła się odbywać dopiero po godzinie czternastej w dni robocze. Co oznaczało, że skacowany lud pracy musiał uciekać się do wymyślniejszych niż zwykle manewrów na odcinku między miejscem zatrudnienia a kolejką po wódkę.

Nie był to najskuteczniejszy sposób zwalczania spadku wydajności pracy spowodowanego przez alkohol.

Przyleciałyśmy do Moskwy pod koniec grudnia. Wszyscy martwili się przede wszystkim o to, jak zdobyć wódkę na święta. Tuż przed rozpoczęciem noworocznego świętowania na sklepowych półkach nie można było uświadomić radzieckiej ikony lepszych czasów – „Sowietskoje Szampanskoje”. Z pieczeniem też było urwanie głowy – drożdże i cukier poznikały ze sklepów, wykupywane na samogon, wyparowały także soki owocowe, tanie cukierki *poduszczki* i koncentrat pomidorowy. Pomyślowi radzieccy trunkowi potrafili wydestylować gorzałkę ze wszystkiego. Kap, kap, kap.

Drepcząc po tonącej w śniegu i wysuszonej Moskwie doby *pieriestrojki*, razem z Mamą co rusz stawałyśmy w kolejkach po wódkę, chcąc nasiąknąć monopolowym humorem politycznym. Gdzie brakowało wódki, lał się jad.

O drakońskich karach za picie w pracy: Szef kopuluje z sekretarką. „Masza – szepcze. – Idź i otwórz drzwi. Ale na oścież. Żeby nie pomyśleli, że pijemy”.

O podwyżkach cen: Dziecko do ojca: „Papa, w telewizji mówili, że wódka podrożeje. Czy to znaczy, że będziesz mniej pić?”. „Nie, synu – odpowiada papa – to znaczy, że będziesz mniej jeść”.

O skutkach kampanii antyalkoholowej: Gorbaczow odwiedza fabrykę. „Sami widzicie, towarzysze. Czy bylibyście w stanie tak pracować po butelce?” „Pewnie tak”. „A po dwóch?” „Jasne”. „No to, powiedzmy, po pięciu?” „Przecież widzicie, że pracujemy!”

Chcąc zrozumieć katastrofalne skutki społeczne i polityczne pętli Gorbaczowa, trzeba wpierw dostrzec wymowę wielowiekowych pijanych, zalanych i przesiąkniętych wódką dziejów Rosji. Pozwólcie więc, że nasze cudowne rodzinne spotkanie po latach pozostawię na pewien czas w stanie hibernacji – jakże przystającym do okoliczności naszych bajkowych odwiedzin – a w tym czasie spróbuję wyłuszczyć, dlaczego naszą *Rodinę* można zrozumieć tak naprawdę tylko *w zabutylje*(przez butelkę).

To właśnie dla gorzałki, o czym wie każdy rosyjski malec, mężczyzna i pies, słowiańscy poganie stali się chrześcijanami. Z końcem pierwszego tysiąclecia wielki książę Rusi Kijowskiej Włodzimierz I postanowił przejść na wiare monoteistyczną. Zaczął przyjmować posłów prezentujących mu różne religie. Z geopolitycznego punktu widzenia rozsądny wydawał się islam. Ale zakazywał alkoholu! Wówczas to Włodzimierz wygłosił swe nieśmiertelne słowa: „Dla Rusi radością pić, nie можем bez tego żyć”. W ten oto sposób w 988 roku po Chrystusie Ruś przyjęła chrześcijaństwo w prawosławnym obrządku bizantyjskim.

Nawet jeśli ta historia jest apokryficzna, to wskazuje na początek drogi naszej *Rodiny* ku izbie wytrzeźwień.

Początkowo Rosjanie sączyli miody, piwo i *kwas* (lekkoo fermentowany napój). Poważne kłopoty zzielonym *zmijem* („zieloną żmiją”) zaczęły się mniej więcej w połowie XV wieku, kiedy na scenie pojawiły się alkohole destylowane ze zboża. Nazywane rozmaicie: „wino chlebowe”, „zielone wino” albo „winoalone”, stały się potem znane jako wódka, co jest zdrobnieniem od słowa „woda”.

Nazwa zdrobniała, lecz skutki to nieustający potop.

Tkwiący w wódce potencjał dochodowy szybko zainteresował carów. Już od połowy XVII wieku państwo praktycznie dzierżyło monopol na destylację i sprzedaż, a przez większość XIX wieku

jedna trzecia środków publicznych pochodziła ze sprzedaży alkoholu. A potem nadeszła I wojna światowa. Nieszczęsny car Mikołaj II przymusił całe swoje imperium do trzeźwości, lękając się powtórzenia wcześniejszej o dekadę sromotnej klęski w wojnie rosyjsko-japońskiej, które to upokorzenie składano na karb pijąstwa w armii. Błąd. Wskutek wojennej prohibicji opustoszał państwo skarbiec, a zrodzona z niej epidemia nielegalnego pędzenia bimbru zdestabilizowała kluczowy rynek zboża. Braki zboża doprowadziły do głodu, głód do rewolucji. (Być może sekretarz mineralny u schyłku swego kruszącego się imperium powinien był przywiązywać większą wagę do historii?)

Bolszewicy mimo to nie byli amatorami wódki i początkowo utrzymywali prohibicję. Lenin, który na wygnaniu okazjonalnie pozwalał sobie na lampkę białego wina bądź na monachijskiego pilsnera, obstawał przy tym, że rosyjski proletariat „nie potrzebuje się odurzać”, i potępiał handel „siwuchą” w swoim utopijnym państwie*****. Proletariat jednak miał inne zapatrywania. Pozbawiony wódki, zalewał się w trupa samogonem dostarczonym przez chłopów, którzy woleli przeznaczać swe cenne, skąpe zasoby ziarna i chleba na nielegalną destylację niż oddawać je czerwonym rekwizycjom. Powódź samogonu przerwała tamę. Już w połowie lat dwudziestych znów obowiązywał całkowity państwo monopol spirytusowy.

Kto był najżarliwszym jego orędownikiem? Niejaki Josif Wissarionowicz Stalin. „Socjalizmu nie da się budować w białych rękawiczkach” – tyranizował zahukanych towarzyszy na zjeździe partii w 1925 roku. Przy braku innych źródeł kapitału sprzedaż alkoholu mogła doraźnie stać się dojną krową. „Doraźność” ciągnęła się jednak bez końca, finansując Stalinowi lwią część jego agresywnej industrializacji, a później wydatki na obronę.

Wybuchła II wojna światowa – a Rosja dalej chłała.

Nieodłącznym elementem wojennej tradycji stało się „komisarskie 100 gramów” – dzienny przydział wódki dla żołnierzy (około szklanki), zarządzony przez leningradzkiego protektora dziadka Nauma, niewydarzonego komisarza obrony Klima Woroszyłowa. Wódka nie przestawała płynąć także na froncie wewnętrzny. Pomimo ogromnych podwyżek cen dostarczała w latach 1944–1945 jednej szóstej dochodów państwa i stanowiła największe źródło przychodów osaczonego imperium.

Za czasów Breżniewa nasza *Rodina* tkwiła już zbiorowo w sidłach „białej gorączki” (*delirium tremens*). Innymi słowy – by użyć określeń z naszego przebogatego rodzimego żargonu – Rosja była:

kak sapożnik – pijana „jak szewc”,
w stielku – wstawiona „w podeszwę”,
w dugu – urżnięta „w plug”,
kosaja – „zezowata”,
na browiach – „na brwiach”,
na rogach – „na rogach”,
pod bankoj – „na bani”,
wdriebiezgi – zalana „w drobny mak”.

Narodowe rytuały spirytusowe zdążyły już dawno okrzepnąć, ulegając kodyfikacji i niekończącej się mitologizacji. Lata siedemdziesiąte to szczytowy okres *poł-litra*, sprzedawanego po 3,62 rubla – liczba ta stała się talizmanem dla narodowej psyche. Był więc sakralny *graniennyj stakan* (dwunastokątna szklanka), rytuał zrzucania się *na troich* (dzielenia pół litra na trzech), obowiązkowe „oblewanie” wszystkiego – od nowego ciągnika po obronę doktoratu – oraz „stawianie butelki”, czyli łapówka w zamian za wszelkie możliwe przysługi, od hydraulicznych po operacje na otwartym sercu.

Wódka lśniła w swym szkle niczym poezja Rosji, jej mit, metafizyczna radość. Była kultem, religią, wyznacznikiem Rosji, ciekłym probierzem kulturowym, urządzeniem o mocy 80% służącym do ucieczki z codziennego socjalistycznego kieratu. Oraz, tak jest, tragedią narodową na masową skalę. Jakże znamienne, zarówno wcześniej, jak i – zwłaszcza – w epoce antyalkoholowych ambicji Gorbaczowa, *poł-litra* służyło jako jednostka wymiany barterowej i waluta, znacznie stabilniejsza niż rubel, który przecież i tak się przepijało. Wódka jako lek? Od zwykłego przeziębienia (wzmacniana miodem), przez nadciśnienie (nalewka ze skórek orzecha włoskiego), po wszelkie dręczące człowieka przypadłości egzystencjalne. Na dnie szklanki z wódką Rosjanie znajdowali Prawdę.

I tę Prawdę odbierał im teraz Michaił Siergiejewicz Gorbaczow.

Trzeba mu jednak przyznać, co później ustalili statystycy, że podczas kampanii trzeźwościowej sekretarza mineralnego wzrosła oczekiwana długość życia mężczyzn. Potem jednak polecała na łeb, na szyję. W latach 1989–1994, czyli już za przesiąkniętych wódką rządów Jelcyna, umieralność mężczyzn w wieku 35–44 lat wzrosła o 74%. Jak to jednak stwierdził Majakowski, „lepiej umrzeć od wódki niż z nudów”.

Nuda oznaczała... szpony trzeźwości. W instytucie badawczym, gdzie pracował-drinkował Tata jeszcze przed dołączeniem do personelu badawczego Mauzoleum Lenina, miał za *sobutylnika* (tym istotnym terminem określano kumpla od flaszki) starego, pomarszczonego cieślę, niejakiego Dmitrija Fiodorowicza. Po pierwszej kolejce cieśla Dmitrij zawsze opowiadał o swoim bracie. Jak to o mało nie umarł on z powodu niewydolności nerki i jak to on, Dmitrij Fiodorowicz, troskliwie zakradł się do szpitala wraz z „lekarstwem” – *czetwieratką* (ćwierćlitrówką) i wielkim, mokrym ogórkiem kiszonym.

Chory na nerkę skorzystał z poczęstunku, po czym zaraz zmarł. „I pomyśleć, że gdybym nie zjawił się tam na czas, umarłby na trzeźwo” – szlochał cieśla, kapiąc łzami do graniastej szklanki. Kumpel od szklanki łkał razem z nim.

Umrzeć na trzeźwo. Czy rosyjskiego mężczyznę mógłby spotkać gorszy koniec?

Jak wszystkie rosyjskie rodziny, moja też miała swoje związki z zieloną żmiją, choć wedle rosyjskiej definicji alkoholizmu – obejmującej trzęsące się ręce, absencję w pracy, pełnoobjawowe delirium, przedwczesną śmierć – kwalifikowałby się tutaj tak naprawdę tylko wujek Saszka. Jako alkogolik – inaczej mówiąc, alkasz, alkonawt, alkimist – był personą podziwianą nawet wśród najbardziej zapijaczonych przedstawicieli moskiewskiej inteligencji. Taki status zawiączał głównie Wypadkowi, do jakiego doszło wtedy, gdy Mama była w czwartym miesiącu ciąży ze mną.

Jednego dnia Tata, jak zwykle skłonny do tajemniczego rozpływania się w powietrzu, zadzwonił do Mamy ze Sklifu, niesławnego moskiewskiego szpitala urazowego.

– Chcieliśmy ci tego oszczędzić w twoim stanie – wydukał.

W Sklifie Mama zastała swego, dwudziestodwuletniego wówczas, słodkiego braciszka nieprzytomnego, z połamanyimi kośćmi i rurką sterczącą z gardła. Ściany i sufit były zbryzgane krwią. O mało nie poroniła.

Kilka dni wcześniej Saszka dowlókł się na chwiejnych nogach na czwarte piętro pod drzwi mieszkania Nauma i Lizy na Arbacie, pijany w sztok. Nie mógł jednak znaleźć kluczy. Postanowił więc pójść w heroiczne ślady ekscentrycznych zapijaczonych admiratorów mojej ciotki Julii, istnej *femme fatale*. Chcąc zdobyć jej serce, wdrapywali się na jej balkon przez okno na półpiętrze, co było cyrkowym wyczynem nawet dla trzeźwego. Nie wiedząc o tym, że wysłużona barierka

balkonowa trzyma się na słowo honoru, Saszka wygramolił się przez okno.

I runął wraz z barierką z czwartego piętra na asfalt w dole.

Spadł wprost pod nogi swojej matki, spacerującej akurat z moją malutką kuzynką Maszą. Gdy szpital oddał babci Lizie jego zakrwawione ubrania, klucze były w kieszeni.

Po sześciu straszliwych tygodniach spędzonych w Sklifie wujek Sasza wynurzył się z niego jako półinwalida – jedna nogą krótsza, jedno ramię na pół sparaliżowane, zaburzenia mowy. Lecz jego wola picia wyszła z tego bez szwanku.

Gdy przeprowadziliśmy się na Arbat, nieprzytomnego Saszkę często zaciągali do domu jego kumple od flaszki bądź życzliwi przechodnie. Albo Mama z Tatą zabierali go z pobliskiej izby wytrzeźwień. Spędzał noce w naszym przedpokoju, cuchnąc tak potwornie, że nasza suczka Biddi uciekała, wyjąc. Rankami siadywałam przy jego bezwładnym ciele i mokrą szmatką ocierałam krew z nosa, czekając, aż dojdzie do siebie i nauczy mnie jakieś rymowanki w swej bogatej i poetyckiej alkoholowej mowie.

Pamiętam zwłaszcza jedną przyśpiewkę, ukazującą los moczymordy, aczkolwiek jej zjadliwość trudno w pełni oddać w tłumaczeniu:

W dzień wypilim całą wódkę,

Potem chlalim *spirit* i *samogon*!

W gardła nasze później lalim

Politurę i *o-die-kołon*!

Od Taty dowiedziałam się, że stuprocentowo przemysłowy *spirit* (alkohol etylowy) najlepiej pić na wydechu i z zatkanim nosem, żeby nie dusić się oparami. Samogon znałam także dzięki Tacie, który czasem destylował go w naszej małej kuchni przy użyciu maminego szybkowaru i zaawansowanych

technologicznie przyrządów zwędzonych z laboratorium w Mauzoleum Lenina. Politura (do drewna) była znacznie gorszym wynalazkiem, a *o-die-kołon* (tania woda kolońska) też nie przypominała kompotu. W tych ubzdryngolonych przedgrobaczowskich czasach Saszka i jemu podobni pijali poza tym wiele innych rzeczy. Raczono się *bormotuchą* (tanim pseudoporto, zwanym poetycko „szeptuchą”), *dienaturatem* (etanolem zabarwionym na liliowo) oraz *tormozokiem* (płynem hamulcowym). Tudzież klejem chirurgicznym BF (zwany czule „Borisem Fiodorowiczem”), przemyślnie mieszanym w wiadrze solonej wody za pomocą wiertarki w celu odseparowania tego, co nadawało się do spożycia. Jak wszyscy radzieccy alkoholicy, Saszka okropnie zazdrościł pilotom migów-25, których maszyny – tak się składa, że ich współtwórcą był Artiom Mikojan, brat stalinowskiego komisarza przemysłu spożywczego – były zaopatrzone w 40 litrów najczystsze, najwyższej klasy spirytusu jako odladzacz i z tej racji nazywano je *letajuszczimi gastronomami* (latającymi delikatesami). Fakt, że po wypiciu przez pilotów odladzacza, zastępowanego następnie wodą, samoloty rozbijały się, nie powodował spadku konsumpcji.

Jako dziecko nie dostrzegałam w zachowaniu Saszki niczego nienormalnego czy przykrego. Najwybitniejsi, najwspanialsi przedstawiciele radzieckiej sztuki, nauki i rolnictwa też żłopali wódkę. Mój utykający, bełkoczący pod nosem wuj nie był żadnym tam pariasem, miał doktorat z historii sztuki, trzy wspaniałe córki oraz wiernych wielbicieli wśród moskiewskich intelektualistów.

Nasze rosyjskie serce, wielkie i miłosierne, miało dla alkoholika wiele czułości.

Nad leżącym na ulicy pijanym jak bela użalały się kobiety – ku zazdrości mężczyzn. Pod naszym czerwonym sztandarem był on niczym słowiański prawosławny *jurodiwyj*, „święty

szaleniec", bezdomny, pólnagi prorok błakający się po ulicach i wygłaszający gorzkie prawdy (słowo *gor'kaja*, od słowa *gorie*, oznaczającego nieszczęście, było popularnym określeniem wódki). Niepiącym natomiast nasze wielkie rosyjskie serce mogło zaoferować jedynie pogardę. Miano ich za nic, dokuczano im i drażniono ich, przymuszając do picia, uchodzili za antyrosyjskich, aspołecznych, nieduchowych – ba, Żydów wręcz! – oraz całkowicie wyzutych z patriotyzmu.

I w ich to właśnie zdradziecki płaszcz postanowił się przybrać Gorbaczow, przewodząc narodowi.

Ostatni raz widziałam Saszkę na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy przyjechał odwiedzić nas na Queensie, już po epoce Gorbaczowa. Spędził całe dwa tygodnie w naszym mieszkaniu na Jackson Heights, bojąc się jechać na Manhattan, żeby czasem drapacze chmur nie zwaliły mu się na głowę. Właśnie w trakcie jego pobytu zmarła babcia Liza. Na wieść o tym Saszka osuszył całą butelkę likieru z orzechów laskowych „Frangelico” – nie licząc tej odrobiny, którą i ja wypiłam – ukrytego przez Mamę w kredensie. Siedzieliśmy we dwójkę i szlochaliśmy aż do powrotu Mamy z pracy, kiedy to przekazaliśmy jej wiadomość.

Zmarł przedwcześnie kilka lat później, w wieku 57 lat, ałkasz z prawdziwego zdarzenia.

– Czyście POWARIOWALI? – oburzył się pracownik moskiewskiej kostnicy, gdy wujkowa córka Dasza przywiozła zwłoki. – Kto przywozi takie brzydkie trupy? Upiększyć go wpierw trochę, potem wrócić i pogadamy.

Babcia Alla była szczęśliwsza w stanie wskazującym.

A piła pięknie. Ze smakiem, *iskrą* i pełnym szacunkiem wobec rytuałów i tabu związanych z *poł-litra*. Nazywała półlitrówkę *tworczeskaja* (artystyczna) *połlitra*, przez nawiązanie do *palitra* – paleta malarska. Za młoda na należyte

dotrzymywanie jej towarzystwa, byłam z nią jednak duchem. Nasiąkałam wódczonymi rytuałami na równi z babcynymi kołysankami. W naszej krainie gorzałka zajęła miejsce wody święconej, a obrzędy związane z konsumpcją były sakramentalne i rygorystyczne.

Za świętokradztwo numer jeden uważano tankowanie w pojedynkę.

Pijący do lustra uchodziły w najlepszym razie za aspołeczne męty – smutnych, porąbanych, chorych *ałkogolików*.

– Aniutik, nigdy, przenigdy nie wypiłam choćby gramu bez towarzystwa! – chełpiła się Ałła.

– Ałło Nikołajewna! – wołała od strony pieca Mama z głębokim rodzicielskim oburzeniem w głosie. – Z jakiegoż to powodu mówicie o tym czteroletniemu dziecku?

Pijąc z przyjaciółkami, Ałła wpierw lała *limonad* do mojej dwunastograniastej szklanki, a dopiero potem rozlewała wódkę między prawdziwe pijące, dokładnie po 50 gramów. *Głaz-atmaz* (oko jak diament) – podziwiały jej dokładność towarzyszki od szklanki.

Za ich przykładem wpatrywałam się w szklankę z czułością i przed rozpoczęciem toastu mruczałam pełne podniecenia *nu* („no”). Toasty były nieodzowne. Od egzystencjalnego *Budem* („Będziemy”) po kwieciste panegiryki ku czci kolejnych zmarłych krewnych. W enkomionach celowali szczególnie ludzie pochodzący z Kaukazu.

Tak samo jak dorośli, robiłam gwałtowny wydech, po czym odchylałam głowę do tyłu. Wypić jednym haustem, wlewany prosto na migdałki. Wrzasnąć: *Choroszo poszła* i czym przedzej zagryźć przed kolejnym wdechem. Kolejnym tabu było picie bez *zakuski*. Ogórki kiszzone, śledzie, kawior, ostra, chrupiąca kapusta kiszona, pachnąca czosnkiem kiełbasa. Nieskończony repertuar wyjątkowo smakowitych rosyjskich przekąsek zdaje

się stworzony specjalnie z myślą o towarzyszeniu wódce. W chudych latach powojennych Ałła i nastoletni Siergiej ścierali cebulę na tarce, obficie solili i krasili majonezem – była to *zakuska* dla ubogich. Mężczyźni popijający w pracy preferowali zawinięte w folię aluminiową trójkątki serka „Drużba” albo przypominającą mielonkę konserwę o bukolicznej nazwie „Zawtrak turysta” (Śniadanie turysty). Pić bez jedzenia? Po jednym głębszym odstawało się spektakl wdychania własnego rękawa, stąd powiedzenie *zakusit' manufakturoj* („zakąsić fabryką”). To tylko jedno z tych niezliczonych nieprzetłumaczalnych, zrozumiałych tylko dla tych, którzy pili w ZSRR.

Wreszcie nie do przyjęcia dla pijących było milczenie. Głęboką prawdą odkrywaną w szklance należało się podzielić ze współkonsumentami. W jednym z ulubionych kawałów Ały pewien inteligent jest nagabywany przez dwóch *ałkogolików*, żeby zrzucił się na trzeciego. (Zaczepianie nieznajomych w celu rozłożenia kosztów półlitrówki było powszechnym obyczajem, dzielenie butelki zawsze wymagało kworum trzech osób). Żeby uwolnić się od pijaków, inteligent, chcąc nie chcąc, daje im rubla, oni jednak nalegają, żeby wypił swoją część. Wypija i bierze nogi za pas. Kumple od flaszki gonią za nim przez pół Moskwy. „Czego? Czego wy ode mnie chcecie?!” – woła. „A *popizdiet*?” To wulgarne wyrażenie można przetłumaczyć z grubsza jako: „A pomleć trochę ozorem to nie łaska?!”.

Pięćdziesięciogramowe hausty bimbru, śledź, ogórek kiszony, toasty, mielenie ozorem w pięciometrowej moskiewskiej kuchni spowitej w dym z podłych papierosów „Jawa” – oto co w okrytej śniegiem stolicy *pieriestrojki* ożywiło wątłą więź pomiędzy mną a Ojcem.

Wróćmy do grudnia 1987 roku, reanimujmy naszą baśń o odwiedzinach w Moskwie.

Sztama z Tatą była i miała pozostać wypraną z sentymentów

przyjaźnią nieomal męską, nie zaś typowo rosyjskim teatralnym pobratymstwem z całusami na pokaz. W kolejnych latach jej smarem stały się *wodka* i *spirit*, w tym *samogon*. Czyż bowiem dziecko Związku Radzieckiego może naprawdę poznać własnego ojca – i *Rodinę* – jeśli nie stanie się jego dorosłym partnerem, kompanem od flaszki?

Nie trzeba było wiele grzania razem z Tatą, by pojąć, jak bardzo pomyliłam się co do niego na lotnisku Szeremietiewo. Jako obecnie uśmiechnięta Amerykanka, przybywająca z kraju, który każe nie gadać, tylko robić, błędnie uznałam zapadnięte usta Siergieja za oznakę okropnego stoczenia się. On patrzył na to inaczej. W utracie zębów znalazła wyzwolenie – od konwenansów, od kolejek po pastę do zębów, od średniowiecznego barbarzyństwa sowieckiej stomatologii. Pierwsze zęby wybił mu przypadkiem jego mały synek Andriej, resztę zabrała choroba dziąseł. Z każdym nowym ubytkiem w jamie ustnej mój ojciec czuł się coraz bliżej wolności.

A kobiety kochały go niezależnie od wszystkiego. Lena, ładniutka metresa, o 16 lat młodsza od niego, czekała 5 lat, aż „uporządkuje stosunki” ze swoją drugą żoną Maszą. Maszy i Tacie fajnie się razem piło, ale ich małżeństwo było do kitu. Zakończyło się ono ostatecznie w 1982 roku, kiedy to Masza rąbnęła Tatę w głowę butelką wódki. Wtedy Tata związał się z Leną.

Jeszcze lepszy niż brak zębów był dla Siergieja brak faktycznego zatrudnienia.

Brak przymusu codziennego meldowania się na *służbie* – w znienawidzonej socjalistycznej pracy – był dla ówczesnej leniwej inteligencji płci męskiej niczym nieświęty Graal.

Trzy lata po naszym wyjeździe Tatę wylano z prestiżowej tajnej roboty w laboratorium Mauzoleum Lenina. Aż tyle czasu zajęło tamtejszemu grubemu kapusiowi z KGB zorientowanie

się, że pierwsza żona Taty jest zdrajczynią *Rodiny*, a sam Siergiej daje sobie w gaz wspólnie z groźnymi dysydentami. Pod jakimś niewinnym pretekstem wezwano Tatę na lokalną komendę milicji, gdzie ciepło przywitali go dwaj towarzysze z KGB. Z zaiste braterską troską zrugali Tatę za zaprzepaszczenie swego miejsca w radzieckim społeczeństwie. Dali do zrozumienia, że wszystko da się załatwić, jeśli towarzysz Bremzen zgodzi się donosić na swych dysydenckich współpiących. Ojciec się nie zgodził. Jego miły przełożony z Mauzoleum ze łzami w oczach wręczył mu wypowiedzenie. Tata opuszczał naszpikowaną truposzami piwnicę z niejakim przerażeniem, lecz zarazem z dziwnym uczuciem lekkości bytu. Właśnie skończył 40 lat i nie musiał już obsługiwać nieśmiertelnych szczątków Lenina.

Kolejne miejsca pracy w czołowych ośrodkach badawczych, gdzie Siergiej zahaczał się na krótko, tylko utwierdziły go w pogardzie dla socjalistycznego trudu. W Instytucie Eksperymentalnych Nauk Weterynaryjnych pracownicy z doktoratami tuczyli się na łupach grabionych podczas wizyt w kołchozach. Szef wydziału chorób pszczół zgromadził szczególnie imponujący zbiór tradycyjnie zbieranych miodów. Tata znowu zrezygnował, wcześniej jednak zdążył zwędzić zestaw czeskich śrubokrętów, który ma w swym posiadaniu do dziś.

Całkowity brak zatrudnienia był jednak w naszej sprawiedliwej *Rodzinie* niemożliwy do osiągnięcia. Chcąc ustrzec się przed więzieniem za pasożytnictwo, Tata wymyślił rozwiązanie w duchu *Martwych dusz*. Jakiś pociotek załatwił mu fikcyjne zatrudnienie w jednym z głównych moskiewskich laboratoriów onkologicznych. Raz w miesiącu Tata przychodził i podejmował wypłatę, którą natychmiast w jakimś odludnym zaułku oddawał swojemu szefowi, zatrzymując dla siebie niewielką dołę. Jego jedyny obowiązek? Obowiązkowe prace w

kołchozie. Wraz z elitą chirurgów onkologów Tata karmił krowy i kopał kartofle. Wypady takie miały swoje idylliczne uroki. Butelka medycznego *spritu* objawiała się już w porannym autobusie do kołchozu. Zajechawszy na miejsce, już porządnie zalani, czołowi luminarze radzieckiej onkologii nie trzeźwili przez dwa tygodnie. Gdy ta „praca” się skończyła, Tata załawił sobie inny, jeszcze lepszy „układ”. Jego papiery były teraz naszpikowane zapierającą dech historią zatrudnienia, państwową pensję nie przestawała spływać. Przez cały ten czas Tata byczył się niczym Obłomow na kanapie własnej roboty, czytając powieści, słuchając opery i zarabiając po parę rubli za tłumaczenia techniczne z języków, których praktycznie nie znał. W tym czasie jego oddane żony dwoiły się i troiły.

Moja romantyczna sowiecka *bytem* (codziennym losem), heroicznie uciekając za granicę, lecz Tata przebił ją na swój własny szczwany sposób.

Ten mój Tata nie był jednak wcale takim sprytnym leniwym nierobem.

Zaproszenie na obiad w grudniu 1987 roku zabrzmiąło nieomal jak niezgrabne, osobliwie formalne oświadczenie.

– Chciałbym... yyy... was ugościć – powiedział Siergiej do Mamy podczas jednego z naszych spacerów. Miał zamiar zaprawić słowo „uгоść” typową dla siebie ironią, lecz nieoczekiwane zadrżał mu głos.

Mama wzruszyła ramionami.

– To wpadniemy przy okazji na herbatę.

– *Czaj* to za mało – nalegał Tata. – Ale proszę, daj mi parę dni na przygotowanie.

Niepokój w jego głosie był tak wyraźnie słyszalny, że w imieniu Mamy przyjęłam zaproszenie uśmiechniętym amerykańskim *thank you*.

– *Amierikanka* – powiedział Tata, dotykając mojego szopiego futra z czymś na kształt ojcowskiej czułości. Ach, no prawda, Rosjanie nigdy nie szafują tak na prawo i lewo uśmiechami i podziękowaniemi.

Na wizytę Mama umalowała się znacznie mocniej niż zwykle. Uśmiechała się też olśniewająco, prezentując idealną nowiutką koronę protetyczną. Stając u Taty na progu, zdołała osiągnąć zjawiskowy wygląd.

Siergiej już dawno wyprowadził się z naszego mieszkania na Arbacie naastrojowy zaułek po drugiej stronie cementowego prospektu Kalinina. Okna przytulnego trzydziestopięciometrowego mieszkanka z dwoma pokojami wychodziły na poliklinikę Politbiura. Tata mógł zerkać w dół na toczące się z łoskotem czarne kształty rządowych czajek, które dowoziły słabującą nomenklaturę na resuscytację na wysokim poziomie.

Gapiłem się na te czajki, byle tylko nie patrzeć na jasny fiński stolik na trzech nogach, relikt z naszego wspólnego życia. Poczułem łzy w oczach na widok znajomej rysy, pozostałości po moim akcie vandalizmu w wieku ośmiu lat, oraz śladu przypalenia od maminego wyszczerbionego emaliowanego czajnika, czajnika z moich amerykańskich koszmarów. Na ciężkim kredensie stał antyczny cynowy samowar, który w pewien dżdżysty kwietniowy dzień znalazłyśmy z Mamą na śmietniku i sadząc przez kałuże, przytransportowałyśmy do domu, gdzie wypolerowałyśmy go proszkiem do zębów. Na ścianach u Siergieja wisiały niczym Matisse'y moje nijakie akwarele z dzieciństwa. Zwróciłem uwagę na jedną, szczególnie anemiczną, martwą naturę. Pseudoludowy wazon wypełniony dzwonkami namalowała Mama.

– Chyba stworzył sobie kult po naszym wyjeździe – syknęła mi do ucha.

Gdy Tata biegał w papciach między malutką kuchnią a pokojem, jego żona Lena trąkotała jasnym, dźwięcznym głosikiem młodego pioniera. Miała niepokojąco podobną do Mamy posturę i krótkie włosy, lecz zadarty nos, znacznie mniej makijażu i blade, kryształowoniebieskie oczy. W tych kryształowych oczach dostrzegłam przebłyski grozy. Ona tu jest, ta straszliwa Pierwsza Żona. Zmartwychwstała z wygnania, powróciła w triumfie, a teraz rozpiera się na kasztanowej kanapie Taty niczym wielkoduszna Królowa Matka.

– Lenoczka – odezwała się do niej Mama – czy nie możesz przekonać Siergieja, żeby sobie zrobił protezę?

Wypakowałyśmy już prezenty – dla Taty Prousta, dla Leny wyborowe klejnoty z amerykańskiego sezamu „wszystko za 99 centów”, do tego absurdalnie droga butelka smirnoffa ze sklepu dewizowego, w którym nie kłębiły się rozjuszone tłumy.

Na nasz pozerski, bezduszny trunek mój bezzębny ojciec zareagował godnym podziwu napitkiem domowego wyrobu. Bursztynowa nalewka orzechowa z samogonu destylowanego w starym maminym szybkowarze nie przypominała żadnej tam proletariackiej berbeluchy, lecz wykwintną, tajemniczą whisky. W innej karafce połyskiwał *spirit* o zadziwiająco różowej barwie. Była to nalewka ze słodzonej borówki brusznicy, zwana (jak się dowiedziałam) *niesmiejanówką* („nieśmiejówką”), od Aleksandra Niesmiejanowa, czołowego chemika rosyjskiego, ponieważ to w jego ośrodku naukowym jego bystrzy współpracownicy opracowali tę recepturę. Jakimś cudem borówki łagodziły ostrość etanolu o mocy 50% i w moim żołądku mikstura rozkwitała bez końca niczym bezcenny pączek zimowego goździka.

– Kanapki – czy nie takie lubiłaś? – gruchał Tata, podając mamie na jej *diwanie* wyborny tost z tartym serem.

– Serek „Drużba”, kolendra i co? *Adżika* (pikantna gruzińska

pasta z chili)? – komentowała niewzruszona.

– *Adžikę* zrobiłem sam – zauważył Tata pokorne, nieomal uniżenie, podstawiając jej kolejny talerz, jakieś coś ze śledzi i jajek.

Kolejnym fajerwerkiem był barszcz.

W niczym nie przypominał on tradycyjnej maminej jarzynowej wersji naprędce, minitriumfu wyczarowywanego z wymizerowanych warzyw korzeniowych i puszki koncentratu pomidorowego. Mama była kucharzem kapryśnym, impulsywnym, marzycielskim. Próżniaczy Tata okazał się metodycznym, zdeterminowanym mistrzem sztuki kulinarnej. Uparł się, żeby do swojego barszczu mozolnie wyciskać sok ze świeżych marchewek i buraków. Zalał nim porządną, dorodną wołowinę, która marynowała się tak przez cały dzień, w ostatniej chwili całość zwieńczyła zaskakująca niespodzianka z miażdżonego czosnku i szkwarek, chrupiących, słonych, wieprzowych.

Tatowe *satsiwi*, kurczak w kremowym gruzińskim sosie orzechowym, również odjęło mi mowę. Pomyślałam sobie, jak niemożliwym wyczynem było zdobycie w Moskwie przyzwoitego kurczaka. Jak astronomiczna była cena orzechów włoskich na Centralnym Rynku niedaleko cyrku, jak niewdzięczną robotą jest ich obieranie i mielenie, jak wiele żółtek jaj tak obficie wzbogaciło sos. Z każdym kolejnym kęsem byłam pod coraz większym wrażeniem. Przebaczyłam ojcu każdą rzecz, jaka pozostała dotąd nieprzebaczona. I znów byłam szczeniakiem Pawłowa, jak za dawnych dni, kiedy to ślinka ciekła mi na samą myśl o galaretowatych żelkach maślankowych i paluszkach serowych, które przynosił, gdy nas z rzadka odwiedzał. Ten człowiek, ten kanciarz o zapadniętych ustach, w obwiistych dresowych portkach, w kuchni był bogiem.

I czyż obiad ten nie był jego sposobem na wyrażenie miłości?

Lecz całe to wyciskanie soku, mielenie, ruina miesięcznego budżetu z powodu ekstrawaganckiego dania z kurczaka – to nie było robione z myślą o mnie. To nie w moją twarz wpatrywał się teraz Tata, nieśmiało wyczekując aprobaty. W pokoju nagle zrobiło się duszno i tłoczno. Wymknęłam się do kuchni, gdzie Lena ponuro odpalała papieros od papierosa. Tatowe jawy. W jej szklance lśnił różowy *spirit* borówkowy. Nie chcąc jej skazywać na grzech główny – picie w samotności – wzniósłam wyściechty toast:

- *Za znajomość!* (Za znajomość).
- *Dawaj na brudierszaft* – zaproponowała.

Picie bruderszaftu to rytuał, podczas którego dwoje nowych znajomych splata się ramionami i tak wychyla swoje szklanki, a potem całuje się, by odtąd zwracać się do siebie na ty. Wychyliłyśmy nasze szklanki, ucałowałyśmy się. Policzek Leny był naiwnie, niemowlęco miękki. Stałyśmy się teraz kompankami od flaszki, nowa żona Taty i ja.

Kumpele.

W jadalnio-salonie zastałam Siergieja siedzącego obok Mamy i mamroczącego coś.

- W tamtych czasach – podsłuchałam – jedzenie bardziej mi smakowało...

Mama uśmiechnęła się w ten sam uprzejmy, wyniosły sposób. Uśmiech ten nie schodził z jej ust przez cały wieczór.

Wypiliśmy ostatni, pożegnalny, rytualny raz.

- *Na pososzok* (za kosturek).
- Wspaniały obiad! – przyznała Mama w zatłoczonym przedpokoju, gdy Tata z czułością przyglądał królicze nibynorki na jej ramionach. – Kto by przypuszczał, że z ciebie taki *klasskucharz*.

I jeszcze od niechcenia amerykańskim tonem typu „no to miło było”:

– Musisz mi dać przepis na tę potrawkę wołową w glinianym rondlu.

– Lariska – wymamrotał Tata z ledwo skrywaną desperacją. – To był twój przepis i twój rondel. Dałem ci go na urodziny.

– *Da?* Tak mówisz? – odrzekła Mama uprzejmie. – Jakoś sobie nie przypominam.

No i tyle. Jej pusty zamerykanizowany uśmiech powiedział mu, że było, minęło.

– Brawo, Tatiana! – warknęła na nią w windzie. – Stanisławski klaszcze ci zza grobu.

Wymalowana Mama uśmiechnęła się tym zmęczonym, bardzo radzieckim uśmiechem bez odsłaniania zębów.

„Tatiana” odnosiło się do ukochanej sceny wszystkich kobiet z Puszkinowskiego poematu *Eugeniusz Onegin*. Tatiana, ucieleśnienie lirycznej heroiny w naszej literaturze, spotyka się ponownie z Onieginem, bohaterem w stylu byronowskim, który okrutnie odrzucił jej miłość, gdy była jeszcze melancholijną panną z prowincji. Teraz, na przepyszny balu w Petersburgu, jest szykownie ubrana, bogata i wyniosła. Widząc ją po latach, to Onegin usycha z miłości, Tatiana jednak zbywa go z pogardą. Co jest smutnego w tej historii? To, że Tatiana nadal jest w nim zakochana! Lecz wyszła za mąż, awansowała społecznie i zostawiła przeszłość za sobą. Co było smutne w przypadku Mamy? To, że w tym przypadku żonaty był Siergiej.

Leżąc w ciemności na łóżku polowym w przegrzanym mieszkaniu dziadków, miałam wrażenie, że słyszę, jak Mama cichutko łka. Krewni z Odessy chrapali jak zwykle.

Lata dziewięćdziesiąte: Psucie przyjęć

*Abysta, mdła abchaska papka kukurydziana, ożywa dzięki słonym żgnięciom młodego tutejszego sera *suluguni*. Zaprawiłam więc *suluguni* mój abchaski kleik i patrzyłam, jak ser się topi.*

Było Boże Narodzenie w 1991 roku, nieco przed siódmą wieczorem.

W kuchni dostatniego domu w krainie winnic kobiety o solidnych nosach i kruczoczarnych włosach pilnowały ogromnych gotujących się garnków. Kilka dni wcześniej razem z moim chłopakiem Johnem przyjechałam do Abchazji, secesjonistycznej autonomicznej republiki w Gruzji, położonej półtora tysiąca długich kilometrów na południe od Moskwy. Suchumi, stolicę tej okolonej palmami podzwrotnikowej radzieckiej riwiery, spowijała złowieszcza pierwotna ciemność. Nie było prądu ani wody pitnej. Na tonących w mroku ulicach nastoletni chłopcy wymachiwali karabinami, a ze słoną, wilgotną bryzą nad Morza Czarnego mieszało się przeczucie tragedii. Przybyliśmy akurat na początkowy akt krwawego konfliktu Abchazji z Gruzją, nierozstrzygniętego po dziś dzień. Tutaj jednak, w wiejskim domu winiarza, ocalała jeszcze iluzja pokoju i obfitości.

Kobiety zaniosły tace z chlebem serowym do pokoju, w którym wokół długiego stołu tłoczyło się kilkudziesięciu mężczyzn. Na naszą cześć wzniesiono już niezliczone toasty domowym winem „Izabella”. Kobiety, którym tradycja nie pozwala siedzieć razem z mężczyznami, gotowały i oglądały w kuchni telewizję. Zaszłam tam, aby się przywitać.

Dokładnie o siódmej wieczorem łyżka z kukurydzianą papką zamarła nagle w drodze do mych ust.

Na ekranie pojawił się znajomy człowiek. Odziany w wytworny ciemny garnitur w prążki, nie przejawiał jednak

właściwego sobie autokratycznego wigoru. Wydawał się spięty, znużony, a na szarym tle, przy szkarłacie radzieckiej flagi po lewej stronie, jego skóra przybrała barwę wściekłego różu, kontury znamion na czole zdawały się wyrysowane grubym ołówkiem.

„Drodzy krajanie, rodacy! – powiedział Michaił Siergiejewicz Gorbaczow. Minęło już sześć lat i dziewięć miesięcy od chwili objęcia przez niego przywództwa *Sowieckiego Sojuzu*. – Wskutek rozwoju sytuacji...”

Sytuacja zaś wyglądała następująco. W sierpniu owego roku ośmiu wyjątkowo tępich partyjnych twardogłowych (część z nich wówczas ewidentnie w stanie wskazującym) podjęło próbę puczu przeciwko Gorbaczowowi. Pucz prawie od razu spalił na panewce, jednakże filary scentralizowanej władzy sowieckiej zostały naruszone. Borys Jelcyn, niesforny nowy prezydent rosyjskiej republiki Związku Radzieckiego, ochoczo zareagował, wyrastając na przywódcę oporu społecznego i bohatera ludu. Gorbaczow wciąż się trzymał, ale ledwo co, balansując na czubku rozpadającego się imperium.

„Wskutek rozwoju sytuacji...”

Gorbaczow mówił dalej, a moja szczeka opadała coraz niżej.

Od pierwszych odwiedzin w Moskwie w grudniu 1987 roku wiele się zmieniło w mojej własnej sytuacji. Po powrocie na Queens szlochałam nieprzytomnie w maminy tapczan.

– *Tam wszyscy nas kochają – biadałam. – Tutaj nie mamy niczego i nikogo!*

Miałam jeszcze inne powody do płaczu. Nie dziwota, że *gadałka* Terri zamilkła o mojej przyszłości jako światowej sławy wirtuosa fortepianu. Mój nadgarstek uległ bolesnemu zniekształceniu wskutek guza wielkości mirabelki. Ledwie mogłam objąć dlonią oktawę, nie byłam w stanie zagrać akordu głośniej niż mezzo forte. Im mocniej ja męczyłam klawisze, tym

bardziej guz na przegubie męczył mnie.

Ortopeda o chmurnym czole zarządziła natychmiastowy zabieg.

Lecz guru w dziedzinie urazów ręki u pianistów miała inną receptę. To moja technika gry jest BŁĘDNA OD POCZĄTKU DO KOŃCA. Jeśli nie nauczę się grać od nowa – łajała mnie – to mój „ganglion”***** powróci. Przełożyłam egzamin magisterski w Juilliard School i zapisałam się do niej na rehabilitację. Grałam na fortepianie od szóstego roku życia, zaczynając najpierw na naszym pianinie „Krasnyj Oktiabr”, które mieliśmy w Moskwie. W wydobywane dźwięki – *moje* dźwięki – przelewałam całą siebie. Teraz, w wieku 24 lat, uczyłam się grać gamy na nowo ze swoim mirabelkowym nadgarstkiem. Pamiętam odbicie własnej twarzy w lśniącym steinwayu pani doktor. Wyglądałam jak samobójca.

Chcąc nadążyć za cotygodniowym plikiem jej świeżutkich rachunków, brałam do roboty tłumaczenia, odgrzebując znajomość włoskiego z czasów naszego uchodźczego postoju w Rzymie. Jednego dnia na moim biurku wylądowała książka kucharska o wadze zbliżonej do etruskiej płyty marmurowej. Moje życie obracało się teraz nie wokół *andante spianato* czy *allegro con brio*, lecz wokół *spaghetti al pesto* i *vitello tonnato*. W przygnębieniu przepisywałam przepisy na fiszki, a w tym samym pokoju mój chłopak John kończył swoją pracę doktorską, tak naszpikowaną żargonem Derridy***** , że brzmiała w moich uszach jak suahili.

Poznaliśmy się z Johnem w połowie lat osiemdziesiątych, gdy przyjechał do Nowego Jorku na stypendium Fulbrighta. Pewny siebie przybysz z Cambridge pisał do modnego „Artforum” i dekonstruował nieznane brytyjskie kapele punkowe. Ja natomiast ślećzałam nad Schumannem, a mieszkałam razem z mamą w imigranckim getcie. Coś jednak między nami zaikrzyło i już wkrótce John skolonizował moją sypialnię na

Queensie. Mama ochrzciła go Derridaryjczykiem, istotą z tajemniczej obcej planety.

– A ty czym się zajmujesz? – pytali protekcyjonalnie poststrukturalistyczni kumple Johna.

Wbijałam wzrok w podłogę. Ćwiczyłam gamy i tłumaczyłam przepisy.

Pomysł przyszedł mi do głowy nie wiadomo skąd i jak iskra rozświetlił mój posępny umysł.

A gdyby tak... *samej* napisać książkę kucharską? Rosyjską, ma się rozumieć. A gdyby uwzględnić więcej kuchni z obszaru Związku Radzieckiego w całej jego multietnicznej różnorodności? Mój lokator Derridaryjczyk wielkodusznie zaoferował się jako współautor, by pomóc mi z moją „rozklekotaną” imigrancką angielszczyzną.

Pamiętam nasze rozgorączkowanie w dniu, kiedy manuskrypt trafił do wydawców.

I ich lodowate reakcje. „Co? Książka o kolejkach po chleb?”

Nagle, o dziwo, odpowiedź pozytywna – od wydawcy książki kucharskiej właśnie, firmowanej przez wschodząącą gwiazdę świata smakoszy – Silver Palate*****.

Gdy po podpisaniu kontraktu wałęsałam się po Broadwayu, w mojej oszołomionej głowie odezwał się nagle jakiś mąciwoda:

„Ty oszustko! A co ty sobą reprezentujesz? Zero, wielki tłusty rosyjski *nol!*”.

Oczywiście liznęłam nieco umiejętności pisania przepisów podczas fuchy z włoskiego, z zapałem gotowałam razem z Mamą, a od czasu do czasu gapiłam się nawet jak cielę w malowane wrota na bajońsko drogie kozie serki w delikatesach „Dean & Deluca”. Oglądając jednak w telewizji Julie czy Jacques'a***** albo kartkując błyszczące stronice magazynu „Gourmet”, czułam to samo emigranckie wyobcowanie, które

ogarnęło mnie podczas pierwszej ponurej zimy w Filadelfii. Jacyś kapitaliści luzują kaczkę na jakąś galę, na którą nie jestem przecież wcale zaproszona. Świat smakoszy lat osiemdziesiątych z ich *pistachio pesto* i grzybowymi *duxelles****** – byłam względem niego kompletną outsiderką. Wrogiem klasowym.

A jednak w mojej miękkiej torbie siedział już nasz podpisany kontrakt, a także kurczak, którego kupiłam w celu przetestowania przepisu.

Zanim skończyłam pierwszy rozdział, poświęcony *zakuskom*, guz na moim przegubie zdążył zniknąć. Zanim skończyłam drugi – o zupach – moje kierowane przez guru palce bez wysiłku chwytaly oktawy. Tylko chęć jakoś znikła. Bombastyczne akordy Rachmaninowa pod moimi dłońmi pobrzmiewały pustką. Mój dźwięk nie był już mój. Po raz pierwszy w życiu zanurzanie się w gębinę późnego Beethovena przestało rościć sobie prawo do mojego serca. W zaawansowanym stadium pracy nad sałatkami zdałam (należycie) egzamin magisterski w Juilliard School, zamknęłam wieko mojego steinwaya i od tamtego czasu praktycznie nie dotknęłam klawiszy.

Pochłaniającą mnie pasję, która dodawała mi sił przez wszystkie trudne lata, zastąpiło coś innego. Książka kucharska.

Spoglądając wstecz na swoje breżniewowskie dzieciństwo, dostrzegam dwa szczególne moskiewskie wspomnienia, które pchnęły mnie w stronę zawodowego pisania o jedzeniu i podróżach. Dwie wizje socjalistycznej baśni o obfitości i braterstwie narodów.

Mianowicie fontanna. I rynek.

Fontanna była złota! *Drużba Narodów* (Przyjaźń Narodów) – tak się nazywała. Lśniła widowiskowo na terenach WDNCh (Wystawy Narodowych Osiągnięć Gospodarczych)*****, owego rozległego totalitarnego Disneylandu, gdzie w 1939 roku moja

pięcioletnia wówczas matka ujrzała eden.

Babcia Ałła i ja lubiłyśmy siadywać na murku z czerwonego granitu, gryząc pestki słonecznika przy ćwierkających wróblach i strugach wody fantasyjnie tryskających spomiędzy 16 ogromnych złotych postaci. Były to kołchoźnice w strojach narodowych, stojące dookoła barokowej erupcji pszenicy. Fontannę ukończono wkrótce po śmierci Stalina, a pozłcono (jak szepiali ludzie) na rozkaz Berii. „Narodowy w formie, socjalistyczny w treści” – był to pokaz szczęśliwej rodziny republik naszego Związku Socjalistycznego. Jak mogłabym wyznać mojej antysowieckiej Mamie, że oto ja, cyniczne dziecko mające styczność z *samizdatem*, dałam się kompletnie zahipnotyzować tej sowieckiej imperialistycznej fantazji? Że w tych swoich wiankach, opaskach, czapkach, wstążkach i warkoczach złote panny były moimi etnicznymi księżniczkami?

Przyjaźń narodów...

Ten wyściechtyany slogan należał do najpotężniejszych propagandowych mantr sowieckiego reżimu. Hasło *drużba narodów* głosiło różnorodność naszego imperium. Kompensowało nam przymusową izolację od niedostępnej *zagranicy*. Jakiemu towarzyszowi – mówiło się oficjalnie – potrzebny ten zgniły kapitalistyczny Paryż, skoro w granicach jego własnego kraju rozbrzmiewa ponad 130 języków? Skoro na wschodzie może podziwiać tafelkowe cuda Samarkandy, na Ukrainie delektować się zdrowym białym smalcem i swawolić na okolonych sosnami nadbałtyckich plażach? Typowy towarzysz nie zapuszczał się wprawdzie poza przepocone plaże Krymu, jakże jednak przemożny był czar rzucony na związkową psyche przez ów etnograficzny mit.

Nie byle jaki był ten nasz Związek. Rzućmy pobieżnie okiem: Rosja, Ukraina, Białoruś oraz świeżo przyłączone Zakaukazie tworzyły pierwotne sowieckie bractwo, w 1922 roku sementowane traktatem założycielskim. Wkrótce Azja

Środkowa dostarczyła nowych świeżutkich socjalistycznych „-stanów”: uzbeckiego, tadżyckiego, turkmeńskiego, kazachskiego i kirgiskiego. W połowie lat trzydziestych Zakaukazie rozpadło się z powrotem na Gruzję, Armenię i Azerbejdżan. Ten proces wykrawania i przyłączania nie był taki znowu elegancki: Samarkanda, miasto w przeważającej mierze tadżyckie, przypadła w udziale Uzbekistanowi. Chrześcijańska, ormiańska ludność Górnego Karabachu znalazła się w potrzasku w muzułmańskim Azerbejdżanie. Po całej mapie rozsiano ohydne ziarna przyszłych animozji. W roku 1940, gdy radziecka rodzina liczyła już 15 członków, do związku wciągnięto siłą trzy republiki bałtyckie oraz Mołdawię, a to za sprawą zdradzieckiego paktu Ribbentrop-Mołotow. A enigmatyczna szesnasta panna ze złoconej fontanny? To szczęśliwa karelo-fińska republika związkowa, później zdegradowana do subrepubliki i wcielona do Rosji.

Byliśmy więc z pewnością największym krajem świata, obejmując jedną szóstą powierzchni lądów, istną nieskończoność opasaną granicą o długości 60 tysięcy kilometrów, rozciągającą się od Atlantyku przez Ocean Arktyczny aż po Pacyfik. Piętnaście republik związkowych – a wszystkie one, proszę Państwa, oparte na zasadach *etnonarodowych*, od menstrualnych rozmiarów Rosji (prawie 150 milionów ludności) po maciupkę Estonię. A do tego: 20 subrepublik autonomicznych, dziesiątki „narodowych” okręgów administracyjnych, 126 „narodowości” uwzględnianych w spisach powszechnych – *na samym tylko Kaukazie* mówiono ponad 50 językami.

Ta oto różnorodna bomba zaczęła eksplodować w ostatniej dekadzie XX wieku.

W czasach jednak mojego dzieciństwa partia oficjalnie głosiła SOLIDARNOŚĆ. Głęboki RESPEKT dla WSZYSTKICH republik. Wielkie sowieckie ZAANGAŻOWANIE w sprawę RÓWNOŚCI

MIEDZY NARODAMI! (Długie i rzęsiste oklaski). Ojcowie bolszewizmu tworzyli narody, Stalin z kolei je deportował. Za Breźniewa znów ożyła pierwotna wizja federalizmu i akcji afirmatywnej, lecz w wydaniu instytucjonalnego kiczu. Celebrowanie przyjaźni narodów w dobie Dojrzałego Socjalizmu przybrało formę nieustającego festynu prezentującego dagestańskie kowalstwo, buriackie łucznictwo, mołdawskie hafty. Jako dziecko chłonęłam to wszystko, a nawałnica sponsorowanej przez państwo wielokulturowości wprawiała mnie w stan ustawicznego łaknienia „kuchni naszych narodów”.

Tym sposobem nabyłam drugie z moich moskiewskich wspomnień – wspomnienie piętrowego Centralnego Rynku przy ulicy Bulwarnoje Kolco. Znów w towarzystwie mojej ostro żyjącej *babuszkiAłły*.

Centralny Rynok był tętniącym życiem, rozwrzeszczanym, targującym się ucielesnieniem przyjaźni narodów. Zamiast złotych posągów piskliwe uzbeckie matrony handlujące melonami wycierały poplamione sokiem palce o pasiaste ikatowe***** sukienki z jedwabiu, tadżyckie zaś damy, z obrysowanymi na czarno oczami i złowrogą linią zrosłych brwi, unosiły się niczym czarownice nad rzędami rzodkiewek. Wałęsałam się po alejach rynku, głodna jak wilk, oszołomiona woniami dzikiego uzbeckiego kminu i litewskiego kminku. W zestawieniu z zielonkawą zgnilizną w państwowych sklepach tutejsze płody rolne emanowały rajską poświątą. Kazachowie namawiali na szkarłatne jabłka wielkości piłki futbolowej (stolicą Kazachstanu była wtedy Ałma Ata – „Ojciec jabłek”). Gadatliwi Gruzini o wąsach jak u Stalina gwizdali bezwstydnie na moją blondwłosą babcię i zręcznie formowali torebki z gazety na mieszanki przyprawowe *chmeli-suneli*, zabarwione na żółto pokruszonymi płatkami nagietków. Byłam pod szczególnym wrażeniem łotewskiego królestwa nabiału. Republiki bałtyckie to była prawie zagranica. Niesamowite uprzejme panie w

nieskazitelnie białych fartuchach wypełniały babcine puste słoiki po majonezie gęstą, kwaśną śmietaną. W odróżnieniu od śmietany państwowej był to produkt najwyższej jakości, nierożcieńczany maślanką rozcieńczoną mlekiem rozcieńczonym wodą – na tym bowiem zwykle polegał szwindel w radzieckim przemyśle mleczarskim.

Nad Centralnym Rynkiem – jako spektaklem i symbolem – rozpływałam się bez końca we wstępie do naszej książki kucharskiej.

W duchu przyjaźni narodów pierwszym przetestowanym przeze mnie przepisem był tatowy gruziński kurczak w sosie orzechowym (przyrządżony z ptaka, którego taszczyłam po Broadwayu). Gruzja była Sycylią radzieckiej wyobraźni, mityczną krainą atramentowych win, cytrusów, poetów, zasiadających pod drzewami filozofów – oraz widowiskowej korupcji. Potem wzięłam na warsztat ormiańskie dolmy, potem bałtyckie rolmopsy ze śledzi, mołdawskie papryki nadziewane fetą, białoruskie grzyby.

Nawet przedrewolucyjna kuchnia rosyjska odzwierciedlała zasięg imperium. A wraz z pojawiением się w 1939 roku Mikojanowskiej *Księgi o smacznym i zdrowym jedzeniu* różnorodność ta uległa sowietyzacji. Z dekady na dekadę nasza socjalistyczna kuchnia zlewała się w jeden paneurazjatycki tygiel. Państwowy kanon żywieniowy na obszarze 11 stref czasowych obejmował między innymi azerski *lula kebab* i tatarskie *czebureki* (smażone pierogi). W Moskwie można było jadać w restauracjach o nazwie „Uzbekistan”, „Mińsk”, „Baku”. A typowo radzieckie hity w rodzaju sałatki „Olivier” czy nieśmiertelnego „śledzia pod futrem” przydawały ujgurskim weselom i karelskim przyjęciom urodzinowym radzieckiej kiczowatości.

Taką właśnie historię chciałam opowiedzieć w naszej książce.

Please to the Table (Prosimy do stołu) ukazała się pod koniec 1990 roku. Z 400 przepisami na 650 stronach była dostatecznie ciężka, żeby za jej pomocą pozbawić kogoś świadomości.

Kilka miesięcy po jej wydaniu dźwięk telefonu wyrwał nas z Johnem ze snu w środku australijskiej nocy. (Przenieśliśmy się do Melbourne, gdzie Derridaryjczyk wykładał historię sztuki). Dzwonił nasz nowojorski wydawca, bardzo podekscytowany. Książka *Please to the Table* – proszę, proszę – zdobyła właśnie Nagrodę Fundacji im. Jamesa Beardaw*****.

Wieść ta była dla mnie podwójnie szokująca.

Któź bowiem mógłby wymyślić bardziej ironiczny moment dla grubej, imponującej księgi opiewającej kulinarną przyjaźń między sowieckimi narodami? Była wiosna 1991 roku i nasz szczęsny Związek Radziecki drżał w posadach.

Można powiedzieć, że z dwóch zasadniczych powodów. Pierwszym z nich była fatalna polityka Gorbaczowa wobec konfliktów etnicznych i secesjonistycznych nastrojów w republikach. Drugim – żałosny bajzel, w jaki zmienił on sowiecką gospodarkę, przez co w sklepach nie było praktycznie nic nadającego się do jedzenia.

– He! Lepiej wydaj to jako radziecki kalendarz z wyrywanymi kartkami! – żartowali sobie dwa lata wcześniej moi moskiewscy znajomi, gdy jeszcze zbierałam materiały do *Please to the Table*.

Pierwsze salwy rozbrzmiały w naszych bratnich republikach.

Precz z rosyjskim imperializmem! Rosyjscy okupanci do domu!

Na początku kwietnia 1989 roku tysiące manifestantów maszerowało pod hasłami niepodległościowymi w stolicy Gruzji Tbilisi. Protesty trwały pięć dni. Owego lata wybraliśmy się z Johnem na poszukiwanie przepisów w romantyczny górski Kaukaz. Gdy dotarliśmy do Tbilisi, wzburzona gruzińska stolica

wciąż słaniała się od ciosu. 9 kwietnia wojska Moskwy zabiły 20 manifestantów, głównie młode kobiety. Na każdym miejscu – od balkonów w rozlatujących się domach po restauracje wykute w skałach nad rzeką Kurą – mieszkańcy wrzeli od nieposkromionego gniewu, miotając na Moskwę najgorsze przekleństwa. Kreml zaś obwinił za masakrę miejscowe władze.

Gościliśmy u pary młodych architektów – nazwę ich Wano i Nana – uosabiających kwiat młodej liberalnej gruzińskiej inteligencji. Szlachetne rysy ich twarzy wykrzywiały nienawiść zrodzona z kremlowskich represji. Dla nas jednak Nana i Wano uosabiali gruzińską gościnność. Gość jest tam czczony niczym święte stworzenie Boże i hojnie obdarowywany. Na naszą cześć spod ziemi wykopano *kwewri* – gliniane naczynia z winem. Układano całe sterty sękatych lasek *czurczcheły* – orzechów zastygłych w moszczu z winogron. Podrzynano gardła słodkim jagniątkom, by urządzić piknik przy drodze obok krenelażowych kamiennych murów jedenastowiecznego bizantyjskiego monasteru. Staliśmy się dla Nany i Wana czymś więcej niż przyjaciółmi – prawie rodziną. Ile sił w płucach kibicowałam ich separatystycznemu, sprawiedliwemu oporowi.

Jednego wieczoru siedzieliśmy pod pigwą gdzieś na wsi. Opiliśmy się ciemnymi owocowymi winami i objedliśmy chlebem *lawasz*, nadziewanym bazylią purpurową i serem. Czułam się na tyle swobodnie, by napomknąć o Abchazji. Ta formalnie autonomiczna republika w granicach Gruzji podejmowała teraz próby oderwania się od niej. Dotąd śmialiśmy się i śpiewaliśmy. Nagle Nana i Wano zamarli. Ich dumne, piękne twarze stężały od rozbudzonej na nowo nienawiści.

– Abchazi to małpy! – parsknęła Nana. – Małpy z gó! Bez kultury, bez historii.

– To się powinno z nimi zrobić – warknął Wano, gwałtownie zaciskając w garści kiść czarnych winogron. Spomiędzy

wypielęgnowanych kłykci wypłynął czerwony sok.

Była to zapowiedź losu *Sojuzu Gorbaczowa*.

A *Sojuz* czekało również wściekłe burczenie w brzuchach. Próbując zreformować skrzypiące, rdzewiejące koło scentralizowanego systemu sowieckiego, Gorbaczow poluzował śruby, wymontował element tu, element tam, aż wreszcie koło stanęło – a nie było czym go zastąpić. Wskutek typowo Gorbaczowowskich wolt gospodarka miotała się między socjalistycznym planowaniem a kapitalistycznym prawem podaży i popytu. Braki były dotkliwsze niż kiedykolwiek, w produkcji nastąpił zastój, rubel leciał na łeb na szyję. Gospodarka waliła się w gruzy.

Poczynając od 1989 roku, razem z Johnem pomieszkaliśmy trochę w Moskwie, podróżując po całym ZSRR – teraz już z myślą o innej książce, którą mój Derridaryjczyk pisał sam. Miała to być mroczna podróżnicza opowieść łotrzykowska o upadającym imperium. Przyjeżdżaliśmy zwykle zimą, podczas jego australijskich letnich wakacji. Wspaniałe było nasze pierwsze przybycie, po dwudziestoczterogodzinnym locie z Melbourne, prosto w powitalny uścisk Taty i babci Lizy, którzy wzruszajaco, wielkodusznie i nieoczekiwane zmaterializowali się bez zapowiedzi. Nasz kolejny przyjazd rok później wyglądał inaczej. W grudniu 1990 roku *babuszka* Liza miała do jedzenia tylko gotowane zepsute kartofle i kiszoną kapustę. Pamiętam pełne udręki zażenowanie w jej oczach. Przy jej stole zasiedli „obcokrajowcy”, a ona nie może im zaoferować nic więcej.

– *Niczego w magazinach!* – wołała. – *Pustyje priławki (lady)!*

Socjalistyczny język epoki niedoborów zawsze uciekał się do hiperboli, nie potraktowałam więc jej skargi dosłownie. Na ladaach może i nie ma frykasów – kawy rozpuszczalnej, bananów – ale za moich czasów zawsze można było liczyć na sól, jajka,

kaszę gryczaną i razowy makaron nitki. Nazajutrz poszłam więc do jednego ze sklepów na Dawydkowie. I stanęłam z TYM twarzą w twarz. *Niczego* – nicość. Bijąca po oczach egzystencjalna pustka na półkach. Nie, wróć. *Niczego* było okolone przez twierdze i piramidy wzniesione z „sałatki z kapusty morskiej”, puszkowanego wodorostu rodzącego odruch wymiotny przy pierwszym kęsie. W wyjałowionym sklepie siedziały dwie młode ekspedientki. Jedna, mocno zaciągając, opowiadała kawał o „kuponach na psie mięso klasy 6”. Występowało tam psie futro, pazury oraz siekanka z psiej budy. Druga budowała z puszek miniaturowy zikkurat Mauzoleum Lenina.

– Grobowiec socjalistycznych produktów żywnościovych!

Jej śmiech odbijał się echem pośród pustych lad.

Podczas telewizyjnego koncertu sylwestrowego Ałła Pugaczowa, diwa pop z burzą włosów na głowie, tubalnym głosem darła się *Niam-niam* (Mniam-mniam). Zazwyczaj Pugaczowa wyśpiewywała o „tysiącu purpurowych róż”. Nie teraz.

...idź i otwórz lodówkę, / wyjmij 100 tałonów i wodą zalej, / jeszcze posól i wsuwaj! / Mniam, mniam, mniam... / Cha-cha-cha-cha, he-he-he-he...

Tały to jeden z oficjalnych eufemizmów na znienawidzone słowo *kartoczki*. Wśród innych wybiegów było niepokojąco eleganckie „zaproszenie do zakupu”. W ten jednak sposób dolewanie tylko oliwy do ognia, prawda bowiem była taka, że po raz pierwszy od II wojny światowej *homo sovieticus* został skazany na racjonowanie żywności. Co więcej, nowa *glasnost'* Gorbaczowa oznaczała, że można o tym krzyczeć na całe gardło. „*Głasnost'* – tłumaczył radziecki głupek amerykańskiemu głupkowi w popularnym dowcipie – jest wtedy, gdy luzuują ci smycz, wyrywają miskę z żarciem i pozwalają szczekać do woli”. A szczekanie? Było je słyszać aż w kosmosie.

Gdy posypała się scentralizowana dystrybucja towarów, dostawy żywności często zbaczały do mrocznej sfery barteru i mętnego, na pół wolnego handlu. Albo po prostu gniły w magazynach. Do tego doszło coś nowego: paskudne animozje ekonomiczne w łonie naszego szczęśliwego radzieckiego bractwa. Regionalni politycy i firmy, po zagwarantowaniu im przez Gorbaczowa autonomii finansowej, robili, co mogli, żeby zachować skąpe zapasy towarów dla własnej wygłodzonej ludności. Gruzja zazdrośnie strzegła swych mandarynek, Kazachstan swoich warzyw. Kiedy zaś Moskwa – i dziesiątki innych miast – ograniczyła sprzedaż żywności tylko do lokalnych mieszkańców, sąsiednie obwody wstrzymały dostawy nabiału i mięsa do stolicy.

Zapasy robili wszyscy.

Trzydziestopięciometrowe mieszkanie Taty, dostatecznie zatłoczone przeze mnie i sto dziewięćdziesiąt centymetrów mojego Brytyjczyka, przypominało magazyn. Tata – szczęśliwie bezrobotny – mógł przez całe dnie poświęcać się poszukiwaniom i polowaniom. W wyczerpującej grze o zapasy żywności mój staruszek okazał się mistrzem nad mistrze. Zasadzał się na ciężarówki z mlekiem, artystycznie podrabiał kartki na wódkę, biegał, by wyprzedzić masowy szturm na chleb. Sam robił ser, miękki i gładki. Jego żeberkowe kaloryfery wyglądały jak stachanowska fabryka sucharków. W latach późnej *pieriestrojki* żywnościowy ruch „zrób to sam” wzbudziłby podziw dzisiejszych mieszkańców San Francisco*****. Na zdewastowanych balkonach moich przyjaciół gdakały kury nioski usadowione pomiędzy trzylitrowymi słożami z żurawiną utartą z cukrem, z ogórkami ukiszonymi dzięki racjonowanej soli, z wszystkim, co tylko dało się kisić bądź zaprawiać. Rok 1990 – rokiem kiszonej kapusty!

W tym okresie krążenie między Moskwą a Zachodem – jak w przypadku Johna i mnie – równało się zamieszkiwaniu

surrealnego rozdwojonego świata. Zachodnie media rozpływały się nad charyzmatą Gorby'ego i wychwalały go za upadek muru berlińskiego, zakończenie zimnej wojny. W Moskwie tymczasem mroczne, mroźne powietrze aż wrzało od szeptów o zgubie, pogłosek o rychłej apokalipsie. *Nadciągał głód.* Obywatele *padali trupem* od przeterminowanych leków z paczek z pomocą humanitarną, którymi handlowali spekulanci. (Prawdopodobnie prawda). „Udka Busha”, czyli mrożone kawałki kurczaka przesyłane przez Busha seniora w ramach pomocy humanitarnej, były *na pewno* nasączone AIDS. Jankesi nas truli, tymi swoimi udkami deptali naszą narodową dumę. W prywatnych kioskach sprzedawano szczyny w butelkach od whisky, a w *pirożkach* szczurze mięso. Wiekowe *babuszki* – kasandry okutane w chusty, które na własnej skórze doświadczyły trzech fal głodu – zaglądały do sklepów i krakały: „Macie żniwo Czarnobyla!” na widok każdego pokrywionego buraka.

Histeria społecznego niezadowolenia przypominała karnawał, perwersyjną prawie wesołość. Radzieckie społeczeństwo, utuczone przymusowo na radosnych pieśniach o *Rodinie*, snuło teraz daleką od baśni opowieść o upadku.

W takim oto okresie – gdy dostawy odwoływano z powodu braku benzyny, a gazety skurczyły się do czterech stron z powodu braku farby drukarskiej, gdy takie słowa, jak *razwał* (upadek), *raspad*(rozpad) i *razrucha* (spustoszenie) rozbrzmiewały na każdym miejscu niczym ponura pieśń wyryta w zbiorowym mózgu – Derridaryjczyk i ja objeżdżaliśmy całe ZSRR, zbierając materiały do jego opowieści łotrzykowskiej o zmierzchu sowieckiego świata.

Wyobraźcie sobie puszkę sardynek na łodzie – otóż naszym środkiem transportu, zwykle po oblodzonych drogach, były zdezelowane żiguli. Nie mając oficjalnych zezwoleń z Inturistu***** nie mogliśmy legalnie nocować w hotelach,

byliśmy więc zdani na uprzejmość obcych ludzi – znajomych znajomych znajomych, którzy przekazywali nas sobie niczym pałeczkę w tej radzieckiej sztafecie gościnności. Od lata 1989 roku (Kaukaz) do grudnia 1991 roku (znów Kaukaz) zdołaliśmy przebyć chyba z 15 tysięcy kilometrów, plus minus któryś z kolejnych niekończących się objazdów. Przemierzyliśmy Azję Środkową, podskakiwaliśmy na wertepach nieznanych nadwoźańskich rejonów, gdzie niektórzy staruszkowie wciąż uprawiali szamanizm i popijali sfermentowane kobyle mleko. Wędrowaliśmy po obrzeżach rozległej Ukrainy i pomiędzy urokliwymi minikremlami Złotego Pierścienia wokół Moskwy.

POLUJĄCY ZIMĄ! – nawoływała tablica pośrodku świetlistego ukraińskiego stepu. **-ZADBAJCIE O KARME DLA DZIKICH ZWIERZĄT!**

Naszym pierwszym szoferem był Sierioża, jasnowłosy wątły mąż mojej kuzynki Daszy, weteran wojny afgańskiej.

– No i jesteśmy pod Kabulem – brzmiała jego typowa opowieść drogi. – No i ten pieprzony muezin nie daje nam spać. No to mój kumpel Saszka wyjmuje kałacha. BUM! Muezin uciszony. Na dobre.

Sierioża nauczył mnie kilku umiejętności niezbędnych do przetrwania w drodze. Na przykład jak psikać gazem łączającym, co ćwiczyliśmy na świń należącej do jego babci. Nauczył też dawania w łapę. W tym celu umieszcza się amerykański banknot pięciobaksowy w ten sposób, aby jego krawędź wystawała z paczki amerykańskich marlboro, które przesuwa się po ladzie, mrugając okiem i mówiąc słodkim głosem: „Będę wdzięczny, bardzo wdzięczny”. Przekupywanie GAI (drogówka) Sierioża brał na siebie. Nie zawsze z dobrym skutkiem. Na jednym wyjątkowo nieprzyjaznym odcinku trasy Kazań–Moskwa zatrzymywano nas i karano grzywną po „twienti baks” dokładnie 22 razy. Sztafeta w wydaniu chłopaków z GAI.

A oszałamiające bogactwo krajobrazowe naszej wielokulturowej *Rodiny*, opiewane w poematach, powieściach i pieśni? Unicestwiła je zima, przesłaniały spaliny, rozjechany brązowy śnieg, ponure, spłaszczające światło.

Nasze wyjazdy z zagraconej moskiewskiej kwatera Taty? Na nogach o piątej rano, gdy na dworze czarno, aby wykorzystać do maksimum krótki dzień. Tata w kuchni w swoich obwisłych niebieskich spodniach dresowych wypycha nasze plastikowe reklamówki wysuszonymi na kaloryferach sucharami. Rosół w jego aluminiowym chińskim termosie, grzałka do robienia herbaty. Kostki cukru na kartki. Dwanaście sztuk cieniutkiej salami ze sklepu dewizowego na całą drogę. Obejmujemy się. Siedzimy w milczeniu dokładnie minutę – zabobonny rosyjski rytuał na odjezdnym.

Nasze przyjazdy na miejsce... Czy to w hanzeatyckim Tallinnie, czy w orientalnym Taszkiencie, wyboista socjalistyczna droga zawsze wiodła nas do anonimowych klocków z barwionej betonowej płyty – cztero-, ośmio-, dwunastopiętrowych – w identycznych osiedlach mieszkaniowych i przy identycznych ulicach.

– *Grażdanka!* – pytamy błagalnie, wyczerpani, zdesperowani, głodni jak wilki. – Obywatelko, szukamy ulicy Związkowej, dom 5, brama 17B, lokal 26.

– *Czago? Tsooo?* – warczy *grażdanka*. – To ulica Związków Zawodowych, a Związkowa będzie... – tu następuje niejednoznaczny gest w kierunku śnieżnego radzieckiego bezkresu.

Nie ma mapy, nie ma ani jednej budki telefonicznej z niewyrwaną słuchawką. Nie mamy też pojęcia, czy znajomi naszych znajomych nadal nas oczekują ze swą słomkową herbatą i kiszoną kapustą. Mijają godziny. Wreszcie adres zostaje zlokalizowany. Stojmy przy puszcze na kólkach, dygocząc

solidarnie, zmarznięci na sople, Sierioża tymczasem rozmontowuje żiguli na noc, aby go czasem nie „rozebrano”. Zapasowa opona, plastikowe kanistry z zapasem benzyny, lusterka, klamki. A godny pożądania kretyn, który choćby na jedną noc nie zachowa należytej czujności? Kupuje sobie wycieraczki na targowisku z częściami samochodowymi, tak jak my musieliśmy zrobić nazajutrz. Taką nauczkę drogową dostaliśmy bodaj w Tule. Tuła – dumna ojczyzna samowarów oraz zdobionych słowiańskich pierników, miejsce, gdzie o mały włos wyzionęlibyśmy ducha za sprawą kupionej na czarnym rynku puszki skumbrii. A może przydarzyło się nam to w urokliwym średniowiecznym Nowogrodzie? W Nowogrodzie, który zapamiętałam nie z powodu cudownej ikony złotowłosego anioła o najsmutniejszych na świecie dwunastowiecznych oczach, lecz za sprawą agresywnych pijaków, którzy napluli na nasze tablice rejestracyjne i wywlekli z wozu naszego wątłego afgańskiego weterana, ażeby mu „rozorać jego moskiewskie dupsko”. W Nowogrodzie, gdzie musiałam użyć gazu pieprzowego przeciwko drugiemu człowiekowi.

Do Nowogrodu zajechaliśmy w drodze do bardziej cywilizowanych stolic państw nadbałtyckich – estońskiego Tallinna, litewskiego Wilna i łotewskiej Rygi. Był pustopółki grudzień 1990 roku, trwający ostatkiem sił Gorbaczow wymienił właśnie cały swój gabinet na twardogłowych. Wiosną owego roku republiki bałtyckie proklamowały niepodległość, na co Kreml zareagował taktyką zastraszania i ostrymi sankcjami paliwowymi.

Mimo to przekonaliśmy się, że nad Bałtykiem panują nastroje krzepiące, wręcz pełne nadziei.

W Wilnie nocowaliśmy u słodkiej, pulchnej dwudziestoparoletniej producentki telewizyjnej, z burzą loków na głowie, chropawym śmiechem i niewyczerpanymi pokładami patriotyzmu. Regina reprezentowała świeże, nowoczesne oblicze

bałtyckiego oporu – poważna, kulturalna i przekonana, że nadszedł czas naprawiania historycznych krzywd. Jej pięciometrowa kuchnia, wypełniona po sufit litewskimi bibelotami z kory brzozowej, sprawiała wrażenie przytulnej filii Sajudisu, antykomunistycznego litewskiego ruchu niepodległościowego. Co chwila zjawiał się jakiś artystyczny typ w dzierganym norweskim swetrze, przynosząc cenne artykuły spożywcze i najnowsze wieści polityczne. Minister spraw zagranicznych Gorbaczowa Eduard Szewardnadze właśnie złożył dymisję, przestrzegając przed powrotem do dyktatury! Przyjaciele Reginy chwycili się za ręce i zaczęli się modlić – *naprawdę modlili się* o kres sowieckiego ucisku.

Byłam już kiedyś w Wilnie jako ośmiolatka, na planie filmowym. Moim zachwyconym młodym oczom sympatyczne „burżuazyjne” Wilno wydało się magicznym oknem na niedostępny Zachód. Zwłaszcza zaś tutejszy *konditieraj*, przesycony aromatem świeżo zmielonej kawy i serwujący prawdziwą bitą śmietanę. Ta bita śmietana tłumiła we mnie poczucie dyskomfortu. Ponieważ, ojejku, jakże ci Litwini nienawidzili nas, Rosjan. Później Mama, jak zawsze tylko czekająca na okazję, aby podkopać moją fantazję o przyjaźni narodów, wyjaśniła mi, jak to było z przymusowymi aneksjami w 1939 roku. Być może ten właśnie moment dał mi przedsmak rozwiązania Związku Radzieckiego. Pamiętam dręczące mnie wtedy okropne poczucie winy, jak gdybym osobiście podpisała tajny protokół paktu Ribbentrop-Mołotow przekazujący państwa bałtyckie Stalinowi. Modliłam się więc teraz razem z Reginą.

Przed Bożym Narodzeniem Regina wpadła na zwariowany pomysł. *Šakotis!*

Šakotis (czyli sękacz) jest niesłychanie wymyślnym litewskim ciastem o wyglądzie najeżzonego sękami pnia. Nawet w czasach obfitości nikt nie robił go sam w domu – poza pięćdziesięcioma

jajami na kilo masła sękacz wymagał też obracania na różnie przy jednoczesnym nakładaniu kolejnych warstw płynnego ciasta. Regina była jednak dziewczyną z misją. Skoro Vytautas Landsbergis – łagodny, pedantyczny muzykolog, który stanął na czele Sajudisu – mógł przeciwstawić się tej Godzilli, sowieckiemu reżimowi, to i ona da radę zrobić šakotis. Znajomi poznosili masło, jajka oraz trochę winiaku. Siedzieliśmy wszyscy w kuchni, przypiekając kolejne sękate warstwy ciasta, aby przywarły do improwizowanego „pnia”. Šakotis wyszedł dziwny i piękny, krucha, powykręcona wieża optymizmu. Jedliśmy go przy świecach. Ktoś brzękał na gitarze, dziewczyny nuciły litewskie pieśni ludowe.

– Niech każdy z nas pomyśli życzenie – poprosiła Regina, klasnąłwszy w dlonie. Przebijała z niej euforia.

Trzy tygodnie później zadzwoniła do nas do Moskwy. Był 13 stycznia, dobrze po północy.

– Jestem w pracy! Szturmują nas! Strzelają... – połączenie się urwało.

Regina pracowała w wileńskiej wieży telewizyjnej.

Rankiem włączyliśmy tatowe radio na fale krótkie, nastawiając Głos Ameryki. Sowieci przypuścili atak na wieżę telewizyjną Reginy, czołgi rozjeżdżały bezbronne tłumy. Ten wybuch przemocy miał swój początek najprawdopodobniej poprzedniego dnia, gdy Sowieci zajęli budynek największej drukarni. Zagadkowa grupa wspierana przez Moskwę, o nazwie „Komitet Ocalenia Narodowego”, twierdziła, że przejęła władzę. Rzesze Litwinów czuwały przy parlamencie, żeby go bronić. Śpiewano, trzymano się za ręce. Zginęło 13 osób, setki zostało rannych.

– Witamy w 1968 – mamrotał ponuro Tata, nawiązując do sowieckiego zdławienia Praskiej Wiosny.

ODEBRAĆ GORBACZOWOWI NOBLA! – głosił transparent

na demonstracji w Moskwie. Oburzone rosyjskie media liberalne, wcześniej popierające Gorbaczowa, podniosły krzyk – Gorbaczow więc zaraz przywrócił cenzurę. Cały czas przy tym twierdził, że o rozlewie krwi w Wilnie dowiedział się dopiero nazajutrz. Czy kłamał, czy też utracił kontrolę nad zwolennikami twardej linii? W ów ponury początek 1991 roku przez cały czas myślałam tylko o sękaczu Reginy. Rozjechanym przez czołgi, zbryzganym krwią. Nasza fantazja o przyjaźni narodów – gdzie się podziała?

Zastanawiam się, czy Gorbaczow też zadawał sobie takie pytanie. Widocznie i on wierzył w zawarty w naszym hymnie pozłacany komunał o niezłomnej przyjaźni, o „nierozerwalnym Związku Republik Sowieckich”. Któryż partyjny ideolog w to nie wierzył?

A jednak już od zarania tej przyjacielskiej wizji trwałego Związku kryła się w niej pewna skaza, wpisany w nią mechanizm autodestrukcji. W swej gorączce państwowotwórczej i akcji afirmatywnej bolszewicy lat dwudziestych upierali się przy pełnej równości setek świeżo zswoietyzowanych mniejszości etnicznych. Tak więc – przynajmniej na papierze – traktat o utworzeniu Związku z 1922 roku zapewniał każdej republike prawo do secesji, podtrzymywane we wszystkich kolejnych konstytucjach. Każda republika posiadała własną, w pełni ukształtowaną strukturę rządową. Paradoksalnie tego rodzaju działania państwowotwórcze miały służyć jako pomost do ostatecznego scalenia wszystkich narodów w jedną komunistyczną całość. Jeszcze bardziej paradoksalna była agresja, z jaką partyjne państwo tworzyło tożsamości narodowe i różnorodność etniczną – w akceptowalnej sowieckiej formie – przy jednoczesnym tłamszeniu wszelkich prawdziwych przejawów tożsamości narodowej.

Poststalinowskie przywództwo ogólnie nie dostrzegało potencjalnych konsekwencji tego paradoksu. Każdy

autentycznie narodowy wybuch za Chruszczowa i Breżniewa był lekceważony jako jednostkowy relikt burżuazyjnej świadomości narodowej i szybko wygaszany. Elity partyjne z pokolenia Gorbaczowa na kwestie narodowe reagowały zdziwieniem: *Jakie znowu kwestie narodowe? Czyż Breżniew nie uznał tych spraw za rozwiązane?* Naród radziecki to jedna „wspólnota międzynarodowa – obwieścił Gorbaczow na zjeździe partii w 1986 roku. – Zjednoczony w jedność interesów gospodarczych, celów ideologicznych i politycznych”. Gdyby nie takie było jego szczerze przekonanie – do dziś się nad tym zastanawiam – to czyż ryzykowałby *glasnost'* (publiczne wyrażanie opinii) i *pieriestrojkę* w republikach?

„Nigdy nie przewidywaliśmy gwałtownego wezbrania czynników emocjonalnych i etnicznych” – przyznał później przebiegły podobno Sewardnadze.

Nieoczekiwane tama została przerwana.

– Eskalacja walk ormiańsko-azereskich w Górnym Karabachu, ponowne starcia południowych Osetyjczyków z Gruzinami – dwudziestu zabitych!

Podczas naszych pobytów w stolicy nasz przyjaciel Sasza Mieniejew, szef nowo utworzonego działu „narodowości” w liberalnym dzienniku „Moscow News”, przekazywał nam gorączkowo najnowsze wieści.

– Gagauzi – to chrześcijańska turecka mniejszość w Mołdawii, prawda? – zabiegają o status pełnoprawnej republiki. To samo słowiańska mniejszość w Mołdawii. Tatarzy krymscy domagają się repatriacji, Tatarzy nadwołużańscy grożą kontrolą nad zasobami ropy...

– Prędzej czy później – zażartował z goryczą któryś z doradców Gorbaczowa – znajdzie się ktoś, kto proklamuje niepodległość swojego mieszkania.

Jak można się było spodziewać, sekretarz mineralny,

utknąwszy w krzyżowym ogniu między reformatorami a twardogłowymi, nie mógł się zdecydować i obracał się to wte, to wewte. *Tanki czy targi? Represje czy referendum?* Chcąc za wszelką cenę ocalić Związek, w najgorszym razie w formie jakiejś zreformowanej federacji, Gorbaczow próbował wszystkiego po kolej. Bez skutku. Największy cios miał go spotkać ze strony największej republiki, a konkretnie jego arcynemesis – Borysa Jelcyna, populistycznego renegata, przywódcy republiki rosyjskiej. Latem 1990 roku Jelcyn ogłosił suwerenność Rosji (wprawdzie nie pełną niepodległość, ale coś na ten kształt). Rezygnując z członkostwa w partii komunistycznej, zaapelował do przywódców innych republik, aby „wzięli sobie tyle suwerenności, ile przełkną”.

Teraz zaś, po krwawych wydarzeniach w Wilnie, Jelcyn – jak można się było po nim spodziewać – czym przedzej wyruszył do Estonii, do Tallinna, by głośno poprzeć secesję Bałtów. W lutym 1991 roku kolejna wrzawa. Na żywo w telewizji Jelcyn wezwał osaczonego Gorbaczowa do rezygnacji i przekazania władzy kolektywnemu przywództwu republik. Tak rozpoczął się dla Gorbaczowa *annus horribilis*. I wojna polityczna między ZSRR a Rosją. Moskwa kontra Moskwa. Czyż można sobie wyobrazić politykę bardziej surrealną?

Niewozmożno/nieizbieżno.

Nieuniknione/niemożliwe. *Niewozmożno/nieizbieżno...*

Taki schizofreniczny refren o perspektywach rozpadu Związku tłukł się po mojej zmęczonej głowie, gdy wraz z Johnem przemierzaliśmy imperium w jego ostatnich miesiącach – a może dniach? godzinach? latach? – w 1990 i 1991 roku.

Co teraz będzie? Czy grupy etniczne, włożone do sowieckiej rodziny wskutek kaprysów bolszewików, nadal będą się wyrzynać pośród zagmatwanych granic nakreślonych przez wczesnych radzieckich kartografów? A może wezbrana fala moskiewskich czołgów siłą przywróci szczęśliwość w wielkiej sowieckiej

rodzinie?

Nigdy nie potrafiłyśmy sobie wyobrazić ani przewidzieć, czy w najbliższy wieczór czeka nas zepsuta kiszona kapusta, czy może podniosła uczta wydana przez jakiś żądny krwi nacjonalistyczny klan. Świat rozpadał się na naszych oczach. Czuliśmy się bezradni i oszołomieni, nasza puszka na kółkach wpadła do wirnika historii. I jakże inaczej smakowały mi posiłki naszych bratnich republik. Traktowane przeze mnie z atencją potrawy ze zbiorów pocztówek z przepisami „kuchni naszych narodów”, które jako dziecko kolekcjonowałam, teraz kojarzyły się nie z przyjaznym stołem, lecz z czarcim wywarem wzajemnych uraz, świeżo zmąconym przez *głasność*. Każda rodzina sowieckiego bractwa była nieszczęśliwa na swój własny sposób. Każdy nasz kolejny przystanek po drodze obnażał osobliwy smak dawnych tragedii jakiegoś małego narodu, korzenie historyczne konfliktów ogarniających imperium. Jakże niewiele ja – autorka nagradzanej książki kucharskiej – wiedziała tak naprawdę o naszym Związku tradycji kulinarnych.

Migawka z Samarkandy, zima 1991. Każdy tutaj kłóci się o *palow* (pilaf mięsny), środkowoazjatyckie danie jednogarnkowe. Głębsza kwestia? To, że olśniewająca Samarkanda, miasto dynastii Timurydów i jego wykładane niebieskimi tafelkami piętnastowieczne meczety, turystyczna duma Uzbekistanu posługującego się językiem z rodziny tureckiej, jest *de facto* miastem zamieszkany w większości przez mówiących językiem nowoperskim Tadżyków.

Przed rewolucją region ten był dwujęzycznym chanatem. Zawierano mieszane małżeństwa, jadano ten sam pilaf i zwano się Sartami. W odróżnieniu od Litwinów (których kraj jest autentyczny, przedsowiecki) ani Tadżycy, ani Uzbecy nie mieli nigdy niczego na kształt odrębnej świadomości narodowej. Do czasów Stalina, który pod koniec lat dwudziestych XX wieku, z lękiu przed pantureckim powstaniem, podzielił Azję Środkową

(zwaną wówczas Turkiestanem) na pięć republik związkowych. Obsesyjna bolszewicka inżynieria społeczna zaopatryła każdą z tych republik w na pół sfabrykowaną historię, nowo skodyfikowane pismo oraz świeżo ukutą tożsamość etniczną. Jeśli nie liczyć tego eleganckiego pakietu narodowego, Tadżykistan utknął między rozrzuconymi to tu, to tam pasmami górkimi, Uzbekistanowi dostały się przepyszne tadżyckie ośrodki kulturowe Samarkanda i Buchara, przypadł mu też w prezencie Amir Timur, zwany Tamerlanem, król-wojownik, świeżo mianowany uzbeckim bohaterem narodowym. Zabawne, zważywszy, że Timur był Mongołem toczącym wojnę z Uzbekami.

Lecz nadeszła *glasnost'* i stare porachunki, od dawna trzymane w karbach przez scentralizowaną ciężką rękę Kremla, ożyły z całą gwałtownością.

– Uzbecki pilaf? Ohydny i tłusty! – pomstuje wiekowy tадzycki profesor – nacjonalista, gdy składamy mu wizytę w jego pudełkowatym, niskim mieszkaniu.

Tadżycki pilaf na jego stole – „delikatny! Odwołujący się do naszego prastarego perskiego dziedzictwa” – przyrządziła w kształcie pachnącego kminem wzgórka jego cudowna, młoda żona o zrosniętych brwiach. Rozmawiając z lokalną uzbecką mniejszością, dowiadujemy się, rzecz jasna, że tадzycki pilaf jest do niczego: „Bez smaku! Nijaki!”. Deklaracje te zdumiały nas niepomiernie, jako że samarkandzkie pilafy, tадzycki i uzbecki, smakowały identycznie.

Naszymi gospodarzami w Samarkandzie jest starsze małżeństwo bucharskich Żydów – Rina i Abram.

– *Intieriesno* – mruży oczy Abram, patrząc na sprawę z boku.
– Tutejsi Tadżycy deklarowali się Uzbekami w paszportach, jeśli mogło to im pomóc w karierze. I nagle przypominają sobie o swoim dziedzictwie?

Rina i Abram mają swoje własne utrapienie.

– Kiedy skończą zabijać się nawzajem – parska Rina – zwrócią się przeciwko nam, Żydom.

Rina siedzi pod swoją morwą, kapiąc łyzami do czarki z bogatą w garbniki zieloną herbatą. Razem z Abramem starali się o wizę wyjazdową do Izraela.

– Ale jak to wszystko zostawić? – lamentuje Rina, wskazując na okazały prywatny dom z całkowicie zacementowanym podwórzem (zgodnie z dumną tradycją bucharsko-żydowsko-radziecką).

– Oj waj, oj waj – woła Abram od tylnego wyjścia. – Tadżycy, Uzbecy, Żydzi – za Breźniewa wszyscy żyliśmy jak jedna *muhalla* (gmina, dzielnica). Gorbaczow, *bud' on proklat* (niech będzie przeklęty)!

W nasz ostatni poranek w Samarkandzie budzą nas jęki i biadania. Biadającymi okazują się nasi gospodarze. Wpadłszy do naszego pokoju, szaleńczo rozcinają materace, na których wciąż leżymy.

– OJ, OJ, OJ!

Decybele ich wzburzenia o mało nie rozsadzą pałacowych ścian, pomalowanych amatorsko w rokokowe pejzaże.

– WAJ, WAJ, WAJ! – lamentuje cała dzielnica.

– Sowieckie czołgi? – przeraziłam się. – Pogrom Żydów?

– GORZEJ! – wrzasnęła Rina.

Rankiem w radio oznajmiono o najnowszym rządowym ekonomicznym przedsięwzięciu szokowym. Wszystkie banknoty pięćdziesięcio- i sturublowe zostaną wycofane z obiegu. Obywatele mają trzy dni na wymianę starych banknotów, maksymalnie do tysiąca rubli. Według kursu czarnorynkowego około czterdziestu dolarów. Sączymy naszą zieloną herbatę w

katastroficznej ciszy, a Rina i Abram rozcinają swe pseudorokokowe krzesła i rozpruwają poduszki. Oszczędności całego ich życia fruwają po pokojach w porannym powiewie. Większość w zakazanych pięćdziesiątkach i setkach.

Kolejny dzień drogi po obrzeżach walącego się imperium. Rok 1991.

Migawka z Taszkientu, stolicy Uzbekistanu, ta sama zima, lecz nieco później. Na Bazarze Ałajskim styczniowe słońce załamuje promienie na pstrukatej zieleni melonów z Kokandu. Mężczyźni w krymkach na głowie gromadzą się tłumnie wokół straganów, na których piętrzą się wysoko podpłomyki *non* z wyrośniętymi brzegami, o rozmiarze i kształcie miseczek na zupę. Towar cieszący się w tym sezonie największym popytem? Małe czerwone broszurki z horoskopami. Przyszłość. Przyszłość. Co niesie przyszłość?

Na bazarze ciągnie mnie nieustannie w stronę rzędów Koreanek zachwalających swe zadziwiające kiszone warzywa – siekana marchew przeplatana czosnkiem i kolendrą, ogniste kapuściane *kimczi*, zwane też *czim-cze*. Koreańczycy byli wzorcowymi rolnikami socjalistycznej Azji Środkowej. W swych prosperujących, należycie prowadzonych kołchozach o nazwach w rodzaju Politotdieł (wydział polityczny) hodowali cebule-cud i niezmiennie przekraczali plany pięcioletnie o 500%. Koreańczycy uprawiali także większość ryżu na pilafy, o które spierali się Uzbecy z Tadżykami. Lecz zza koreańskiej historii o złotym sukcesie wyziera opowieść innego rodzaju.

Kupiłem kilka porcji kiszonek, a ich sprzedawczyni, blisko siedemdziesięcioletnia Szura Tan, opowiada nam swoją historię. Słabo mówi po rosyjsku, wplatając uzbeckie słowa. Kiedy się zdenerwuje, przydusza siekane marchewki chochlą o dziwnym kształcie i pieczołowicie zagarnia je ponownie w idealnie trójkątne kopczyki.

Jak większość radzieckich Koreańczyków z jej pokolenia, Szura urodziła się na rosyjskim Dalekim Wschodzie. Koreańska diaspora żyła tam od lat sześćdziesiątych XIX wieku, powiększając się gwałtownie, gdy w trakcie japońskiej inwazji na Koreę w 1910 roku uchodźcy chronili się na tereny przyszłego ZSRR. Koreańscy towarzysze uprawiali ryż i łowili ryby. Bolszewicy dali im szkoły z językiem koreańskim, teatry, kluby.

– Nam, Koreańczykom, żyło się dobrze – mówi Szura.

Nagle jesienią 1937 roku w ich kołchozie zjawili się mężczyźni w mundurach. Koreańczykom dano trzy dni na spakowanie się. Wsie ogarnęła panika. Dokąd ich zabierają? Matka Szury, dręczona rozpaczą, przygotowała wielki worek ryżu, a w płótno zawiązała garść ziemi ze swojego ogródka. „Po co brać ziemię?” – protestowała rodzina. Lecz matka Szury wzięła ją. To była jej ziemia.

Koreańczykom kazano zabrać jedzenia na tydzień, ale podróż ciągnęła się miesiąc, może nawet dłużej. Stłoczeni w zamkniętych wagonach bydlęcych przerażeni ludzie przejechali przeszło sześć tysięcy kilometrów na zachód przez mroźną Syberię. Starzy i niemowlęta poumierali z głodu i chorób, ich ciała wyrzucano z jadącego pociągu. Szura przez cały czas płakała. Była wtedy małym dzieckiem.

Wreszcie pociąg stanął. Gdzie okiem sięgnąć, rozciągały się połacie trzcin, błota, moczarów – bezkresne równiny Azji Środkowej. Koreańczycy zaczęli stawiać lepianki z błota, nierzaz bez okien i drzwi.

– Ze ścian na moje łóżko spadały skorpiony – wspomina Szura, zgarniając swe marchewki. – I czarne węże, o takie długie – szeroko rozwiera ramiona.

Najgorszym zabójcą była jednak mulista, zakażona woda z moczarów – jedyna dostępna woda pitna. Wtedy matka Szury

przypomniała sobie o swojej ziemi. Filtrowała przez nią zatrutą wodę.

– To nas ocaliło – mówi Szura. – Ta ziemia.

Koreańczycy byli pierwszą radziecką grupą etniczną deportowaną przez Stalina *w całości*. Liczącą ponad 180 tysięcy osób, w tym dzieci. Zarzut? Potencjalne szpiegostwo dla Japończyków podczas sowiecko-japońskich napięć na tle Mandżurii – mimo że większość Koreańczyków nienawidziła Japończyków. Kolejny motyw ich deportacji? Niebojący się ciężkiej pracy Koreańczycy mogli uprawiać jałowe środkowoazjatyckie stepy.

W latach 1937–1944 stepy te służyły Stalinowi za śmietnisko do pozbywania się dziesiątek innych mniejszych grup etnicznych, które oskarżała o zdradę. Zapieczętowane wagony bydlęce – „krematoria na kołach” – zwoziły tu Czeczenów, Inguszów, Karaczajów, Kałmuków i Bałkarów. A także Tatarów krymskich, Niemców nadwołżańskich, Finów ingryjskich, Kurdów, Polaków z Ukrainy*****. Koreańczycy zasymilowali się i zostali. Inni, jak Czeczeni czy Ingusze, wrócili do ziemi ojców w północnym Kaukazie w czasie odwilży za Chruszczowa, by na miejscu przekonać się, że ich domy zajęli Rosjanie i sąsiednie mniejszości etniczne, a za materiał budowlany służyły płyty nagrobne ich przodków. Narody górskie czczą swoich przodków. Te zniewagi nie zostały wybaczone. *Głasnost'* Gorbaczowa rozbudziła złe wspomnienia.

Twórca narodów i niszczyciel narodów zarazem – tak historyk Terry Martin opisuje państwo sowieckie. Choć wyroku Stalina doświadczały całe populacje etniczne, oficjalne panegiryki na cześć mniejszości narodowych w Związku Radzieckim rozbrzmiewały jak dawniej. Propagandowe materiały filmowe z okresu po Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej ukazują szczęśliwych koreańskich rolników z kołchozów w ich chwalebny socjalistyczny trudzie. Nie szczędzono nawet na

finansowanie koreańskich przedstawień teatralnych. Koreańskojęzyczna gazeta „Lenin Kiczi” (Sztandar Lenina) musiała się znaleźć w każdym koreańskim kołchozie – kolejna socjalistyczna ironia.

Pokolenie Szury, mistrzyni kiszonek, pozbawione przez Stalina koreańskiego szkolnictwa, nie umiało już czytać zwykłego koreańskiego pisma hangul.

– Znam rosyjski, trochę uzbecki – wzdycha Szura. – Koreański? *Niet*. Nie ma języka, nie ma ojczynu.

Znowu wzdycha.

– Ale mamy choć to – pokazuje na swoje kiszonki.

Wymieszała nieco *kaczi* – czerwonej pasty chili – z pikantną sałatką z kapusty i papryki i wkłada mi trochę w dłoń. Od żaru jej papryczek drętwieje mi twarz.

Nowe wieści. Moskwa, 19 sierpnia 1991. Czołgi toczą się z łoskotem po bombastycznym ciągu prospektu Kutuzowa. Radziecka telewizja nadaje *Jezioro Łabędzie* – w kółko. Partyjni twardogłowi obwieszczają swą kontrolę nad rządem. Gorbaczow? W areszcie domowym na swej krymskiej daczy. Według oficjalnego komunikatu „stan jego zdrowia” nie pozwala mu na dalsze sprawowanie funkcji prezydenta. Władzę przejmuje prawicowy wiceprezydent towarzysz Janajew. Podczas konferencji prasowej ręce towarzysza Janajewa wyraźnie się trzęsą. Nie dość trzeźwy jak na zew historii.

Dzień dobry, tu *awgustowski pucz* – pucz Janajewa.

Wpatrujemy się w nasz telewizor na nadmorskich przedmieściach Melbourne, gdzie zresztą jest akurat Mama, która przyleciała z Nowego Jorku w odwiedziny.

– *Wsio, eto wsio* – płacze Mama. – To koniec.

Wytrwale wybieram numer Taty w Moskwie i w końcu się dodzwanię.

- *Da, pucz, pucz – chichocze z sarkazmem Tata.*
- Mamo, Mamo – oponuję, 15 tysięcy kilometrów od centrum wydarzeń. – Gdyby było tak źle, odcięliby połączenia międzynarodowe!

Odcięliby również telefon Jelcyna. Lecz oto i on w całym swoim nieokrzesanym populizmie, nieustraszony na czołgu przed Białym Domem – gmachem rosyjskiej Dumy. W czerwcu owego roku w wyborach powszechnych został wybrany na pierwszego *od tysiąca lat* przywódcę Rosji wyłonionego w wolnych wyborach. Teraz wzywa moskwię do przeciwstawienia się zamachowi stanu. Tłumy wiwatują. Obywatele płaczą i otwarcie wyrzekają na imperialistyczne kamery. Plan spiskowców się sypie. To tak się dokonuje puczu?

W ciągu dwóch następnych dni z puczu schodzi powietrze, i to z takim hukiem, że do dziś rosyjscy zwolennicy teorii spiskowych snują przypuszczenia, co tak naprawdę się stało. Od tej pory sprawy toczą się z zawrotną prędkością. Jelcyn delegalizuje partię komunistyczną. Kolejne republiki podążają do wyjścia. Gorbaczow kurczowo trzyma się tego walącego się świata, ciągle gorliwie wierny Związkowi, nawet w jego obecnej kulowej postaci. Przyjaźń narodów jest dla towarzysza Gorbaczowa już nie tylko cenną metaforą ideologiczną. Bez niej straci stołek.

– Nie będę sobie płynął jak to gówno w przeręblu – informuje Gorbaczow Jelcyna w grudniu, gdy 90% Ukraińców bezlitośnie głosuje za wystąpieniem z jego Związku.

W ów grudzień 1991 roku razem z Derridaryjczykiem powróciłam, by odbyć ostatni etap naszej wyprawy – na południe przez Ukrainę aż do zbuntowanej gruzińskiej subrepubliki Abchazji, wciśniętej między Gruzję a południową granicę Rosji. W obliczu chaosu i braków paliwa nikt nie chciał nas wozić. W końcu wyszukaliśmy Jurę, trzydziestoparoletniego

wykładowcę geologii z rudą brodą w Jezusowym stylu.

– Nie będę dawał w łapę, dla zasady – oznajmił nam cicho.

To była zła wiadomość. A dobra była taka, że jego przypominające łapkę na myszy żiguli jeździło i na benzynę, i na gaz, co nieco zwiększało nasze szanse na posuwanie się do przodu. Propan cuchnął w aucie zgniłymi jajami. W trakcie jazdy zadumany Jura rozgryzał wielkimi żółtymi zębami orzeszki piniowe, a jego magnetofon kasetowy zawodził nieco podziemne pieśni z lat sześćdziesiątych o tajdze i ogniskach. Geolodzy stanowili odrębną subkulturę.

Żiguli Jury było metaforą rozpadającego się państwa naszego Sojuzu. Niewinne wypady turystyczne przeobrażały się w wielodniowe poszukiwania części do akceleratora. Tymczasem wszędzie wokół trwała wymiana nazewnictwa geograficznego. Na Ukrainie nie było już Charkowa, lecz Charkiw. Ulice Lenina i Marksza lądowały z brzękiem w kubłach na śmieci.

Gdy z pyrkającym silnikiem dotarliśmy do rozdartego wojną domową czarnomorskiego Suchumi, stolicy Abchazji, nie wiedziałam już, po czyjej stronie stawać w konfliktach etnicznych, komu wierzyć. Gotowa byłam pokładać wiarę w każdym, kto da mi ciepły posiłek. Ufałam i kochałam muskularnego młodego abchaskiego kierowcę, wypożyczonego nam przez miejscowy związek literatów w celu naprawy naszej puszki na kółkach. Chłopak z dumą zaprowadził nas na posiłek do wiejskiego domu swoich rodziców. Jedliśmy gorzkawą dziką kaczkę, upolowaną tego samego ranka, oblaną gęstym, ostrym sosem pomidorowym. Kto wie, czy nie była to najbardziej pamiętna potrawa w moim życiu. Potem ów wspaniały młodzieniec ukradł Jurze ostatni kanister z paliwem.

Do Suchumi przyjechaliśmy z listem polecającym od naszego znajomego z Moskwą Fazila Iskandera, najwybitniejszego żyjącego pisarza abchaskiego. Podczas blackoutu zapukaliśmy

do tonącego w ciemnościach mieszkania Aleksieja Gogui, szefa Abchaskiego Związku Literatów. Zastaliśmy siwowłosego Goguę w spodniach od piżamy, zajętego pisaniem przy migoczącej świecy. W jakież straszliwe tarapaty go wpędziliśmy! Abchaska gościnność wymaga wyjątkowego powitania. A my byliśmy zagranicznymi pisarzami, przysłanymi przez Fazila, abchaskiego Marka Twaina. Lecz infrastruktura Suchumi leżała w gruzach. Takim oto sposobem konwój żiguli z separatystyczną śmietanką kulturową powiózł nas do porządnie oświetlonego wiejskiego domu znanego winiarza.

Tuż przed siódmą wieczorem wymknęłam się do kuchni.

„Wskutek rozwoju sytuacji...”

Nieuniknione/niemożliwe jednak się działo. O siódmej wieczorem w Boże Narodzenie 1991 roku Michaił Siergiejewicz Gorbaczow wygłosił mowę o swojej rezygnacji.

Sytuacja nie przestawała się rozwijać, z fatalnymi dla niego skutkami. Kilka tygodni wcześniej Jelcyn, jego oścień w boku, potajemnie spotkał się z przywódcami Ukrainy i Białorusi w dawnym domku myśliwskim Breżniewa w białoruskiej puszczy. Doradcy i prawnicy tej *trojki* wysmażyli diabelski plan: Te trzy republiki, jako członkowie-założyciele, którzy podpisali traktat związkowy w 1922 roku, mają moc go anulować – rozwiązać ZSRR! W jego miejsce utworzyli Wspólnotę Niepodległych Państw. Podpisywanie podlano białoruską wódką ziołową. Jelcyn, zanim jeszcze pokwapił się, żeby zawiadomić o tym Gorbaczowa, przekazał tę wieść telefonicznie George'owi Bushowi. („Drogi George'u” – tak się teraz do niego zwracał). Na kolejnym spotkaniu, w Kazachstanie, ze związku wystąpiło następne osiem republik. To był bez wątpienia koniec Gorbaczowa.

Mimo to jego telewizyjne wystąpienie całkowicie mnie zaskoczyło, siedzącą tak z nietkniętą łyżką abchaskiej papki

kukurydzianej. Ostatni przywódca Sowieckiego Sojuzu, czytając z kartki, często niezgrabnie, przemawiał przez 10 minut. Zachwalał swoje reformy demokratyczne. Przyznał się do błędów. Przypisał sobie zasługę eliminacji systemu totalitarnego i „nowo nabytą wolność duchową i polityczną”. Jeśli chodzi o tę nową wolność i podobne rzeczy, to w zasadzie nie konfabułował, mimo to panie wokół mnie machały na niego ręką. Jego słowa brzmiały pusto, fałszywie – po wszystkich jego woltach który jeszcze by mu wierzył?

Ostatnie chwile ZSRR wciąż przesuwają się w moim umyśle w zamazanym, elegijnym, zwolnionym tempie.

Pamiętam dokładnie słowa, które Gorbaczow kaleczył swym prostackim prowincjonalnym akcentem (jakże odbiegającym od jego eleganckiego wizerunku międzynarodowego). Czuję smak słonego sera w kukurydzianej papce, wdycham unoszące się w kuchni czosnkowe aromaty, słyszę głuche plaśnieście owocu granatu, ciężkiego od nasion – czyżby następna metafora imperium? – który spada na kuchenną podłogę i pęka.

Abchaskie kobiety patrzą na przemówienie obojętnie, z podbródkami wspartymi na rękach. Teraz jednak, gdy ustępujący prezydent podziękował swoim zwolennikom i życzył rodakom wszystkiego najlepszego, pani domu szepcze:

- *Żałko, a wsio-taki żałko.*
- *Żałko* – powtarzają pozostałe. – Szkoda, mimo wszystko szkoda.
- *Żałko* – mamroczę za nimi, niepewna, czego tak naprawdę nam żał.

Zaskakującego nas człowieczeństwa nieczułego reformatora – bohatera za granicą, złoczyńcy w kraju? Finału, kurtyny, która spada oficjalnie, nieodwoalnie na nasze wspólne bajkowe kłamstwo, na utopijny eksperyment społeczny, któremu brutalnie złożono w ofierze życie milionów osób, teraz

przekreślony w najbanalniejszy z możliwych sposobów? Imperia! Nie powinny ot tak wycieć z bulgotem w ciągu dziesięciu minut na marnym telewizorze. Lokomotywie wiozącej obywateli ku jaśniejszemu jutru nie powinno zabraknąć paliwa, nie powinna utknąć na odludziu jak jakieś nieszczęsne żiguli.

Gorbaczow napisał potem we wspomnieniach, że nie zorganizowano żadnej pożegnalnej ceremonii, nie zadzwonili prezydenci byłych republik radzieckich. Nie wierzyli w przyjaźń narodów. Czy którykolwiek z nich wymamrotał na koniec: *żałko?*

Po zakończeniu przemówienia jaskrawoczerwona sowiecka flaga została po raz ostatni w dziejach opuszczona, a na jej miejsce wzniosła się pełna werwy trójkolorowa rosyjska.

Nowy dzień w nowym państwie – oznajmił spiker, po czym telewizja powróciła do nadawania zwykłego programu. Była to chyba jakaś kreskówka. Albo przedstawienie kukiełkowe.

Wiem, że zastanawiacie się, jak to jest – zbudzić się nazajutrz *w nowym państwie*. Tyle że ja się nie zbudziłam – obudziłam się dopiero dwa dni później. Mój mózg walił gwałtownie w skronie. Zamazanym wzrokiem dostrzegłam sylwetki w białych fartuchach nachylające się nad mną z przesłodzoną radziecką troską na twarzy.

– Jak tam nasza *gólowka*? – pytano przymilnie, machając mi pod nosem solami trzeźwiącymi.

Gdzie ja jestem? Aha, jedyne miejsce w Suchumi z własnym generatorem prądu. Sanatorium Rosyjskich Sił Zbrojnych, gdzie ulokowali nas od razu gościnni abchascy literaci. Po telewizyjnym zakończeniu ZSRR nastąpiły toasty, mnóstwo toastów, kwiecistych potomków kaukaskiej elokwencji, mozolnie tłumaczonych z abchaskiego na rosyjski, a z rosyjskiego na angielski (ze względu na Derridaryjczyka, który leżał teraz obok mnie i stękał, blady jak trup). Mgliście

przypomniałam sobie rytualne nalanie domowego wina „Izabella” na dach naszej zdezelowanej puszki sardynek mniej więcej o czwartej nad ranem. Oraz analogicznie rytualne wychylenie pożegnalnego *kantsi*, rogu wypełnionego półtora litrem rzeczonej izabelli. Gogua, wiekowy naczelnny pisarz, osunął się miękko w ramiona swego sekretarza.

– *Gołówka*, jak się ma? – dopytywali ludzie w białych kitlach. *Gołówka* bolała, pękała, łupała. Straciłam przytomność od okropnego zatrucia alkoholowego. W ten oto sposób – skoro już pytacie – powitałam jutrzenkę naszej nowej ery. Ach, ta izabella...

Ach, jutrzenko, epokowa skacowana jutrzenko...

Silnik żiguli ostatecznie spasował jakoś pod Kijowem, a w zamian za butelkę ciężarówka GAZ odholowała Jurę, geologa z Jezusową brodą, 1300 kilometrów do Moskwy. Ja zaś i John wsiedliśmy w nocny pociąg z czerwonym chodnikiem na korytarzu. Po powrocie do Melbourne, gdzie akurat panowało lato, siedliśmy na zielonym wzgórzu, wsparci o swoje dwie potężne walizy, bezdomni i nieszczęśliwi – wynajem, który sobie wcześniej załatwiliśmy, nie wypalił. Wkrótce zostawiłam Derridaryjczyka w Australii i wróciłam do Nowego Jorku. Nasz związek zapadł się pod brzemieniem agonii ZSRR, choć do jego oficjalnego zerwania musiało upłynąć jeszcze kilka lat rozłąki (John przeniósł się do Kalifornii). Jego książka podróźnicza nie ujrzała światła dziennego.

W latach 1992–1999 Jelcynowa *diermokratija* („syfokracja”) wtrąciła Rosję w szok wolnorynkowy. Galopująca inflacja, pensje marne i niewypłacane – minione chude lata z kapustą kiszoną wspominano jak czasy dobrobytu. Dzięki gigantycznej wyprzedaży dóbr narodowych za bezcen dawni aparatczycy partyjni i gangsterzy stali się z dnia na dzień oligarchami. Nędzniejsze istoty straciły wszystko – tożsamość, prestiż i siłę. Nie wspominając już o świadczeniach społecznych sowieckiego

państwa. Co więcej, Borys „Szermierz Suwerenności” Jelcyn, chcąc powstrzymać Czeczenię przed secesją, rozpętał wojnę, konflikt pełen okropności, które jastrzążają się do dziś.

W roku 2000 nieznany szerzej liliput z nudną kagiebowską przeszłością został wybrany na drugiego prezydenta posowieckiej Rosji i zaczął prężyć swe muskuły. Wskrzeszono autorytarne symbole i retorykę, wśród nich sowiecki hymn narodowy, zastępując fragment „Niezłomny związek wolnych republik” słowami „Rosja, święte nasze mocarstwo”. Za Putina zaczęły rozwijać i wzrastać petrodolarowa kleptokracja i narcystyczny konsumpcjonizm. Jako nowa ideologia państwową pyszniły się pieniądze i *glamour* (przepych, blask) – słowo zruszczone jako *glamur* – z irytagią piętnowane przez inteligencję. Dziś moskwianie nadal zamawiają w modnych „etnicznych” restauracjach gruzińską zupę *charczo* i *wareniki*, czyli ukraińskie pierogi. Najbardziej gustują jednak w *carpaccio* i *sushi* – po oligarchicznych cenach.

Niedawno, sprzątając w swoim biurze na Queensie, dokopałam się do pudełka zawierającego pocztówki z przepisami z lat siedemdziesiątych. Piętnaście kompletów, a każdy opiewający kuchnię jednej z republik radzieckich. Układając je powoli na stole w jadalni, przypomniałam sobie ulewny jesienny dzień cztery dekady wcześniej, kiedy to nabyłam te deficytowe skarby w wielkiej księgarni „Dom Knigi” i triumfalnie zaniosłam je do domu. Pochylając się teraz nad wyblakłymi kolorowymi zdjęciami wytypowanych przez Moskwę „dań narodowych”, czułam, że serce nadal bije mi mocniej od ich nieomal wonnego orientalnego uroku, ich kuszącego wezwania do dalekich podróży. Była na nich „azerbejdżańska” sałatka z jesiotra, z niewiadomych przyczyn polana słowiańską kwaśną śmietaną, a ukazana na tle socjalistycznych wież wierniczych wyrastających z Morza Kaspijskiego. Fałszywe ciastka „kirgiskie”, egzotycznie nazwane „Karagat”, z czarnymi

porzeczkami, których nie uświadeczy się w suchym Kirgistanie. Niekończące się warianty etniczne sałatki „Olivier” oraz kotlety. Narodowe w formie, socjalistyczne w treści, dokładnie według partyjnego przykazania.

Gdzie tkwi tego przyczyna? Dlaczego spośród wszystkich totalitarnych mitów właśnie pozłacana bajka o przyjaźni narodów utkwiła tak głęboko, zagnieździła się tak intymnie w mojej duszy?

Obawiając się, aby odpowiedź na to pytanie nie obnażyła ukrytej we mnie sowieckiej imperialistki, zarzuciłam te spekulacje. Postanowiłam za to urządzić Mamie urodzinowy obiad z prawdziwymi potrawami naszych niegdysiejszych republik. Jako święto i jako swoistą ekspliację.

Przez dobry tydzień mieliłam orzechy włoskie na gruzińskie *satsiwi* z kurczaka, owijałam przyprawioną armeńską jagnięcinę liśćmi winogron, smażyłam wieprzowe skwarki do barszczu ukraińskiego. Dumnie ustawiałam to na maminym urodzinowym stole wraz ze strudlami z mołdawskiej fety i *abystą*, tą mdłą abchaską papką kukurydzianą z dnia mojego pożegnania z ZSRR. Na deser ciężki litewski miodownik. A dla uczczenia toastów z okazji rozwiązania traktatów związkowych nastawiłam nawet białoruską nalewkę ziołową.

Mama była wzruszona niemal do łez tym dziełem moich rąk. Ale musiała pozostać sobą.

– *Za drużynę narodów!* – wzniósła wyściechty toast z uśmiechem tak ironicznym, że moja kulinarna panorama republik omal od niego nie zwiędła. – Wyobraźcie sobie tylko! – zawała do gości. – Córka, którą wychowywałam na Tołstoju i Beethovenie, kompletnie zgłupiała na widok idiotycznej pozłacanej fontanny w WDNCh!

Muszę wyznać, że jej słowa nieco mnie zraniły.

Nawiasem mówiąc, fontannę Przyjaźń Narodów w Moskwie

niedawno ponownie pozłocono. Dzieci z babciami nadal krażą wokół.

– *Babuszka, babuszka*, powiedz, jak się żyło w tym ZSRR? – dopytują.

– No więc dawno, dawno temu... – rozpoczynają swą opowieść babcie.

10

XXI wiek: Elegancja Rosja

Wylądowaliśmy w Moskwie w Wielki Piątek 2011 roku – Mama, Barry i ja.

Po raz pierwszy w życiu krewni nie czekali na lotnisku, żeby nas uścisnąć. Nadal nas kochają – zapewniali – ale życie się zmieniło. Więcej zajęć. Okropne korki na lotnisko.

Wcześniej tego samego popołudnia pod kwietniowymi czereśniami w Odessie pochłonęliśmy ogromny obiad pod gołym niebem. Rodzinne miasto Mamy, gwarny radziecki port piracki z nadmorskich wakacji mojego dzieciństwa, przekształciło się w urocze, uśmiechnięte, na pół zglobalizowane miasto w bardzo obcej Ukrainie. Zatrzymaliśmy się w Odessie, żeby zebrać trochę informacji na temat rodziny, i przekonaliśmy się, że mój dalszy kuzyn Gleb, nasz najbliższy krewniak w tej okolicy, ma złamany nos – pamiątkę po więziennej przeszłości – oraz kompletną amnezję alkoholową. Zajęliśmy się wobec tego zgłębianiem czosnkowej odeskiej kuchni, wykupując połowę towarów na gwarnym targowisku „Priwoz”. Walizki pękały nam w szwach od zdrowego ukraińskiego smalcu, naszpikowanej czosnkiem wiejskiej kiełbasy i rozpływającej się w ustach wędzonej kambały z rodziny flądrovatych.

Nie były to wcale prezenty dla rodziny. Czekał nas teraz miesiąc w czwartej najdroższej metropolii świata. Jako onieśmieleni amerykańscy biedacy, zaopatryliśmy się w zapasy

tanich i pysznych odeskich produktów, jakbyśmy szykowali się na wojnę. Putinowska Moskwa to pole bitwy, nie dla lękliwych i z pustymi kieszeniami.

W nowym millennium nasze wizyty w Moskwie stały się nieczęste i krótkie. W latach 1991–2001 w ogóle tam z Mamą nie jeździłyśmy i nie miałyśmy styczności z przesiąkniętą wódką anarchią epoki Jelcyna w stylu „bogać się albo giń”. Nie było to rozmyślne, tak jakoś wyszło. Dziadkowie i wujek Saszka już zmarli, reszta krewnych odwiedzała nas w Nowym Jorku. Co się zaś tyczy *rodiny*, to mentalnie nie pisałyśmy jej już wielką literą. Ironia, lęk i płatania znaków wyrastające z martwego bagna sowieckości sprawiły, że słowo to skarłało do postaci odideologizowanego, bezpłciowego rzecznika określającego po prostu miejsce urodzenia. Wszędzie indziej czułam się bardziej u siebie, podróżując, jedząc i tak zarabiając na życie. Kupiłam sobie mieszkanie w Stambule z widokiem na Bosfor, a najnowszą książkę kucharską poświęciłam szalenie gościnnej Hiszpanii, opisawszy już wcześniej kulinarne upodobania Ameryki Łacińskiej i krajów Pacyfiku.

Moskwa?

– Dubaj z pomnikami Puszkina – orzekł mój chłopak Barry podczas naszej poprzedniej wizyty.

Było już późno wieczorem w Wielki Piątek, kiedy wreszcie rozpakowaliśmy się w naszym wynajętym mieszkaniu w *highrise* (wieżowcu).

Określenie *highrise* (wymawiane po rosyjsku jako *hirajs*) było luksusową etykietką, jaką wymyśliła agencja wynajmu nieruchomości Moscow-4Rent dla dwupokojowej klitki przy Nowym Arbatie. Widok przez okno zaparł nam jednak dech. Z dwudziestego pierwszego piętra ujrzaliśmy: (1) hotel „Ukraina”, modelowy przykład stalinowskiej neogotyckiej gigantomanii, (2) Nowy Arbat, zawadiacki policzek wymierzony przez

Chruszczowa podobnym wyskokom stalinowskiego ornamentalizmu, (3) przysadzisty Biały Dom, siedzibę Dumy, w 1991 roku miejsce próby puczu, która zapoczątkowała upadek imperium. Nawet nocą pracowały niezliczone niebotyczne żurawie gangstersko-korporacyjnego kapitalizmu epoki Putina. Zachłanne ambicje na moskiewskim rynku nieruchomości nie znajdują, co to sen.

Hirajs kosztował fortunę. Lecz przywarłszy do parapetu, nie mogłam oderwać oczu od szerokiej ulicy w dole, oniemiała z euforii, bo wreszcie spełniła się dziecięca fantazja sprzed lat.

Nareszcie jestem!

Na początku lat sześćdziesiątych buldożery wyburzyły pas wśród krętych, archaicznych zaułków Starego Arbatu i wyryły tę potężną, prostą jak linijka aleję, zwaną wówczas prospektem Kalinina. Spacerując dziś po noszącym nową nazwę Nowym Arbatie, cudzoziemiec ujrzy być może tylko eleganckie bmw, zajeżdżające drogę okopconym, artretycznym autobusom miejskim na zakorkowanej trasie sześciopasmowej, i górujące nad nią późnomodernistyczne wieże, szarobure, jednakże z jakimś brutalistycznym *je ne sais quoi*. Ów cudzoziemiec być może uśmiechnie się z politowaniem na widok tandemnej kuli z czerwonymi napisami na kiczowatym Arbat Center, może zmarszczy brwi, widząc niby-steakhousy czy bary yakitori ciągnące się na zachód i na wschód.

A ja? Z okna ujrzałam bulwar z moich dziecięcych snów.

Zobaczyłam tandemną dziś kulę w roku 1972. Magicznie niebieska, jaśniała wewnątrz zza swego pierwotnego logo – AEROFLOT: SZYBKOŚĆ I WYGODA. Obracając się i błyskając lokalizacjami rozmaitych obcych krajów, była jak gabinet osobliwości prezentujący w Moskwie najnowszą japońską technologię. Pod nim w dole w futrzanych czapach klienci sklepów przechadzali się po najszerzym moskiewskim

trotuarze, obok domu towarowego „Wiesna”, na którego rozświetlonych wystawach pyszniły się polskie płaszcze w kratę, właściwie nigdy nie do dostania w środku. Czarne wołgi i czajki sunęły dostojośnie dwoma pasami zarezerwowanymi dla wysokich funkcjonariuszy. Niektórzy szczęśliwi moskwianie taszczyli pudełka z deficytowymi płatkami kukurydzianymi, kupione w wytwornym samoobsługowym supermarkecie w amerykańskim stylu „Nowoarbatskij”. Dostrzegłam tam siebie małą, jak zadzieram głowę, gapiąc się na gigantyczny ekran jak na Times Square, na którym migają kreskówki i krzepiące filmy propagandowe. Prospekt Kalinina był moim urojeniem Zachodu, moją wizją postępu technologicznego, kryształową rampą do przyszłości. Ginzą, Broadwayem i Polami Elizejskimi w jednym.

Co się zaś tyczy naszego *hirajsu*, to był on jednym z czterech dwudziestosześciopiętrowych wieżowców mieszkalnych z betonowych prefabrykatów, których budowę ukończono w 1968 roku, zaledwie dwa lata przed naszą przeprowadzką na pobliską uliczkę na Starym Arbatie. Wieżowce te, przeznaczone wyłącznie dla nomenklatury, fascynowały mnie wtedy uderzającą nowością i geometrycznością. Stanowiły moją prywatną nieosiągalną utopię mieszkaniową. Chciałam spędzić życie *tutaj*, w tym szczytowym osiągnięciu radzieckiej nowoczesności późnych lat sześćdziesiątych, *właśnie tu*, dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz, w 2011 roku, moja Mama zmaga się ze szwankującym czajnikiem elektrycznym.

Pamięć lubi płatać okrutne figle z obiektami naszych nostalgicznych tęsknot. Zazwyczaj gdy w końcu ponownie natkniemy się na nie w rzeczywistym życiu, okazują się mniejsze i przygnębiająco banalne. Jakże to więc cudowne – pomyślałam sobie – że nawet ponad 30 lat czasu oraz paszport pełen pieczęci wizowych nie zdołały umniejszyć świetności brzydkiego prospektu Kalinina.

Zanim osunęliśmy się na nasze hirajsowskie łóżka z Ikei, przy ikeowskim stole kuchennym przekąsiliśmy co nieco kiełbasy, popijając pieprzówką przywiezioną z Ukrainy. Mama i Barry są zbyt zmęczeni – pomyślałam – by roztrząsać tę obfitość ironii, uzupełnionej jeszcze stalinowskim hotelem „Ukraina” – gigantycznym tortem weselnym zalewającym luną światel rzekę Moskwę.

Nazajutrz rano zostawiliśmy Mamę z jej telefoniczną *trojką* – telefonem cyfrowym do połączeń globalnych, lokalnym telefonem stacjonarnym i rosyjską komórką – sami zaś wybraliśmy się na nostalgiczny spacer po ulicy Bulwarnoje Kolco, trasą, którą chodziłam z babcią Ałią. Dzień był przepiękny, przedwiośnie. Niebo jaśniało lazurowym błękitem, a w zaskakującym balsamicznym powietrzu rozbłysły tulipany i bratki mrugnęły ze swoich rabat. *Aniutiny głażki* (Aniutowe oczki – czyli moje oczy) – tak brzmi rosyjska nazwa bratków i za to je uwielbiam. Moje serce śpiewało. Flora na bulwarze tchnęła we mnie nabokowską nostalgicę za tą „gościnną, pełną wyrzutów sumienia, kwitnącą bzem Rosją”.

Co do fauny zaś...

– Dostałem auto na urodziny – oznajmił koledze sześciolatek w bluzie marki „Abercrombie”. – Jaką znowu ZABAWĘ, *kriettin*. Samochód. Z szoferem...

Na bulwarze Nikitskiego panie młodsze i starsze, piękne i bestie, kuśtykały na sadystycznych dwudziestocentymetrowych obcasach niczym stada egzotycznych żyraf.

– Patrz! – szepnął Barry, gapiąc się na blondynkę w seksownych spodniach i zawrotnej wysokości różowych szpilkach na platformie. Różowe satynowe wstążki powiewały wokół jej absurdalnie rozchwianych kostek.

Lecz to nie jej obuwie przyciągnęło uwagę Barry'ego.

Wzrok moskwiń, bez żenady mierzący cię z góry na dół,

oceniający ubiór i dodatki, chłoszczący cię z pogardą albo łechcący cię i twoich towarzyszy wyniosłą aprobatą, ów kolektywny wzrok utkwił teraz w moich stopach. Były mianowicie nagie. Kierując się rozsądkiem, na nasz sentymentalny spacer włożyłam japonki od „Adidasa”, a tym samym pogwałałam niepisany kodeks moskiewskiej przyzwoitości. Tu, w mojej starej dzielnicy, poczułam się nagle onieśmielona i obca, jakbym trafiła w sam środek niepokojącego snu z gatunku „naga w miejscu publicznym”.

W odkryte palce moich stóp wpijano wzrok wewnętrz nieruchomości zaliczanych do najdroższych na świecie: w sklepie z herbatą (10 dolarów za 30 gramów listków „białej igły” „Fujian”), w piekarni (10 dolarów za klinek *tiramisu*), w kwiaciarni (10 dolarów za pączek róży). Wszyscy ci wspaniali sprzedawcy ucielesniali najwyżej cenione postsowieckie przymioty: *elit* i *ekskluzyw*.

Uciekliśmy z bulwarów na ulicę Twerską, chowając się w bardziej populistycznym Muzeum Współczesnej Historii Rosji.

– Kobieto! – huknęła stróżująca *babuszka*. – Palce odmrozisz!

Na zewnątrz było już dobrze ponad 20 stopni. Zamiast jednak stawać w obronie moich japońek, dołączyłam do debaty pomiędzy specjalistką od odmrożeń a zasuszoną starą panną, która pilnowała sali z ukoloryzowaną dioramą poświęconą kuchni w radzieckiej *komunałce* (!).

Kto był najlepszym władcą Rosji wszech czasów? – spierały się babcie.

– Breźniew – orzekła panikara. – Osiemnaście lat spokoju i dobrobytu!

Zasuszona oznałowała, że płacze na myśl o tym, co bolszewicy zrobili temu biedakowi carowi Mikołajowi II, po czym ogłosiła Stalina najlepszym władcą w dziejach.

– Niech mu będą dzięki za doprowadzenie Rosji do zwycięstwa.

– No ale... yyy... ci wszyscy ludzie, których pomordował? – wtrąciłam nieproszona.

Stalinistka filozoficznie machnęła ręką.

– Gdzie las rąbią, tam wióry lecą.

Popularne porzekadło wśród apogetów Stalina.

Gdy odchodziliśmy, obydwie pomrukiwały we wzajemnej zgodzie (i w zgodzie z większością Rosjan) o najgorszym w dziejach przywódcy kraju – Gorbaczowie! Odważyliśmy się ponownie wyjść na bulwary.

– Wasze szlopki (japonki)! – wrzasnął z ławki jakiś hipopotam o pomarańczowych włosach. – Ludzie na ulicy plują albo i gorzej! Chcecie, żeby wam nogę amputowano?

– Ależ Moskwa dziś wydaje się taka czysta – bąknęłam bojaźliwie, oszołomiona tym, jak szybko moja beztroska, nostalgiczna przechadzka przerodziła się w koszmar na jenie.

– Czysta?! – padła odpowiedź. – Odkąd czurki ją sprzątają?

Czurki (klocki) to rasistowskie obelżywe określenie przyjezdnych robotników z dawnych bratnich republik o innym niż biały kolorze skóry. Nawet w tę wspaniałą Wielką Sobotę, kiedy serce rwało się do śpiewu, a moskwińscy kupowali dom perignon na wielkanocny obiad, robotnicy z dawnych radzieckich republik Azji Środkowej byli tłumnie widoczni na ulicach, zamiatając chodniki, rozładowując ciężarówki, wręczając ulotki reklamowe o promocji na sushi. Uważnymi pociągnięciami pędzla odmawiali zabytkowe pastelowe wille i nuworyszowskie ahistoryczne repliki. Nagle zrozumiałam, skąd w centrum Moskwy ten przejmujący dreszczem sztuczny blask planu filmowego. W Moskwie pracuje od dwóch do pięciu milionów imigrantów, być może nawet jedna czwarta ogółu

pęczniającej populacji stolicy. Zjeżdżają się tutaj już od połowy lat dziewięćdziesiątych, uciekając z postsowieckich Katastrofstanów. Źle opłacani, napadani przez nacjonalistów, szykanowani przez policję.

Obok hipopotama młoda Tadżyjka zamiatająca ulice oparła się o miotłę. Uśmiechnęła się na widok moich stóp.

– Nareszcie piękny dzień – westchnęła. – W zeszłym tygodniu, kiedy padał śnieg, zaczynałam zmianę o czwartej rano.

Urodzona w 1991 roku – w roku upadku imperium – zostawiła w Tadżykistanie dwoje dzieci. Jej bracia są narkomanami. Rodzice – jak powiedziała – wspominają rządy sowieckie niczym raj.

– *Moskwa – złoj gorod* – oceniła.

Na ostatnim z bulwarów – Cwietnoj – nareszcie ujrzałam cel mojej podróży sentymentalnej – Centralny Rynek. Zaczarowana bajkowa kraina produktów żywnościowych z mojego dzieciństwa zmieniła się w paskudnie drogą nową galerię handlową z najbardziej rozchwytywanymi światowymi markami, pretensjonalnie zaprojektowaną przez brytyjską firmę architektoniczną. „Bardzo *post-bling******” – jak mi powiedziano.

Uśmiechnięte żyrafy na szpilkach wręczały przy wejściu wielkie pomarańcze.

– Zapraszamy na góre na nasz targ rolny – kusiły. Ich wzrok przelotnie omiótł moje stopy i przesunął się dalej.

Ruchome schody transportowały nas na góre obok „Comme des Garçons”, „Diesla” i „Chloé”, mijając zagadkowe dzieła sztuki konceptualnej i stylową prezentację jakiegoś domorosłego geniusza mody.

Na targu rolnym nie było ani pół rolnika.

Chwytnią sielankową nazwę wymyśliła miejscowa grupa restauratorów dla swego ekologicznego, w zamyśle epikurejskiego marketu spożywczego. Wędrowaliśmy po tej noworosyjskiej arkadii, pożerając wzrokiem pudełka włoskich czekoladek za 100 dolarów, francuskie sery wiejskie, nowomodne *sashimi* i szynki *ibérico*, wszystko ułożone pod imponującym sklepieniem sufitu ze stali nierdzewnej. Oto Moskwa rzucająca swą rękawicę od „Gucciego” piętrowym działom spożywczym jak w berlińskim domu towarowym „Ka De We” czy londyńskim „Selfridges”.

Aksamitnoskóra kirgiska Ewa z lśniącym czerwonym jabłkiem w dłoni zawała do nas z alejki owocowej.

– Ono, droga pani, jest słodkie jak miód – kusiła. – Dopiero co przyjechało z Bordeaux. A może coś bardziej cierpkiego, brytyjski pippin? Albo tutaj – nie przestawała czarować – nasze własne jabłuszko!

W jej delikatnej dłoni spoczywał teraz pokrzywiony pstrozielony okaz rodzimej odmiany Siemierienko.

– Wygląda przaśnie – wymamrotałam.

– Ale jego niebiański smak zaniesie panią prosto na dacę z pani dzieciństwa – obiecała kirgiska ślicznotka, uśmiechając się eterycznie.

Spróbowałam kawałek i skrzywiłam się. Jabłko było kwaśne. Wokół nas przystojni chłopcy z Azji Środkowej w staromodnych płaskich czapkach potulnie manewrowali wózkami ekskluzywnych klientów. Ten widok nieszczególnie nastrajał do wspomnień o starej daczy. A cała ta modna lokalno-sezonowa atmosfera też pobrzmiewała pustką, kolejny element importowanego *post-bling*. Nie mówiąc już o tym, że „nasze jabłuszko” było astronomicznie drogie.

– Ania – powiedziałam, zauważając plakietkę z imieniem kirgiskiej Ewy. – Jesteśmy imienniczkami!

– *Niet* – sposepniała nagle. – Naprawdę na imię mi Ajnazik – wymamrotała. – Ale czy myśli pani, że komuś tutaj chciałoby się je wymawiać?

Wyciągając jabłko w stronę kolejnego nadchodzącego klienta, szepnęła jeszcze:

– *Moskwa – zło j gorod.*

Przy wyjściu dostaliśmy kolejne darmowe pomarańcze oraz wspaniałą holenderską cebulę. Wsiadając do trolejbusu mającego zawieźć nas do domu, poczułam się w tej nowej Moskwie nieznośnie obco. Zadzwoniłam komórką do Leny, żony Taty, żeby zapytać, czy w tym mieście z pippinami w cenach „Cartiera” są jakieś sklepy z żywnością, na którą można sobie pozwolić.

– Nie w centrum, kochana! – zachichotała Lena. Nikt poza elitami nie mieszka już w centrum. Mieszkania ludzie posprzedawali albo powynajmowali i żyją teraz z tych pieniędzy na dalekich przedmieściach, gdzie nie brakuje *diskauntów* w rodzaju „Kopiejeczki”. – Moglibyście wsiąść w metro, a potem przesiąść się w autobus do „Kopiejeczki” – poradziła Lena. – Tylko że świeże rzeczy są tam zwykle zgniłe.

Zastaliśmy Mamę w *hirajsie* trajkoczącą przez trzy telefony naraz.

– Moskwa – mówiła do kogoś – jakie to złe miasto.

Skończyły się wreszcie niesentymentalne wyprawy w wielkanocny weekend, czekał nas teraz tydzień pracy.

Być może zastanawiacie się, cóż takiego sprowadziło mnie aż na miesiąc do tej złej petrodolarowej stolicy Putina. Tak naprawdę całe mnóstwo najrozmaitszych przyczyn. Zobaczyć rodzinę. Poddychać atmosferą kwitnących bulwarów i pokrytych kurzem muzeów. Przekonać się o skandalicznym nasileniu zjawiska jabłkowych szoków cenowych. Pośród

jaśniejących kolumn w salonach „Villeroy & Boch” polować na relikty socjalizmu – moje zatrute magdalenki.

A poza tym? Miałam w planach jedno konkretne zadanie, a wszystko przez Daszę.

Dasza Hubowa, wcześniej wykładowczyni antropologii kulturowej, była producentką telewizyjną. Spotkałyśmy się przypadkiem na trójgwiazdkowym zjeździe szefów kuchni w Madrycie. Wcześniej przeczytałam jej artykuł o historii mówionej głodu na Ukrainie w 1932 roku. Był to przejmujący tekst o konających niemowlętach, kanibalizmie. Wyobraźcie więc sobie mój szok w Madrycie na wieść o tym, że ta otóż Dasza prowadzi teraz Telecafé, nadający przez okrągłą dobę cyfrowy kanał kulinarny, własność rosyjskiego giganta medialnego „Channel One”. Od głodu do dwudziestoczterogodzinnego tasiemca o jedzeniu – oto noworosyjska trajektoria – pomyślałam.

Nie zdając sobie sprawy, że trajektoria ta przetnie się z moją własną.

– Przyjeżdżaj do Moskwy, damy ci program – kusiła Dasza po nakręceniu w Madrycie materiału ze mną.

Zgodziła się nawet na odrębny cykl z Mamą, gdy z dumą zaprezentowałam jej kwalifikacje. („Mistrzyni historycznych potraw! Szczebiocze jak słowik śpiewną ruszczyną, nieskażoną przez postsowieckie amerykanizmy!”).

Mama wpadła w euforię. W jej bagażu do Moskwy znalazły się fotogeniczne zestawy garderoby oraz gruby plik notatek do jej sześcioczęściowego show o kuchniach historycznych. Sześćdziesiąt lat po oblaniu egzaminu do szkoły dramatycznej w stalinowskiej Moskwie moja *mamoczka* Larysa Naumowna Frumkina miała wreszcie stanąć przed kamerą. A zawdzięczała to swojemu gotowaniu.

Każdej z nas przydzielono szefa kuchni. Partnerem mamy był

Aleksander Wasiljewicz z restauracji o nazwie „CDL” (skrót od Centralnego Domu Literatów), należącej do starego Związku Literatów. To jedno z najwyrazistszym w Moskwie miejsc historycznych, w romantycznej neogotyckiej willi z 1889 roku, gdzie na legendarnych obiadach i odczytach – dla nas, zwykłych śmiertelników oczywiście niedostępnych – zbierały się radzieckie elity literackie. To tutaj stołował się diabeł w *Mistrzu i Małgorzacie* Bułhakowa.

I tutaj, wpadając na zdjęcia Mamy, usłyszałam, jak reżyser woła:

– *Swiet na gieroiniu* – więcej światła na bohaterkę!

Mama promieniała i jaśniała, „bohaterka”, co się zowie. Partnerujący jej natomiast szef kuchni Aleksander Wasiljewicz – pan w średnim wieku i chorobliwie nieśmiały – wyglądał tak, jak gdyby pragnął zapaść się pod ziemię.

Zostawiłam ich i udałam się do staromodnego w radzieckim stylu sklepu ze słodyczami po drugiej stronie ulicy. Planowałam eksperyment. Pod grubym szkłem ułożono słodycze z Fabryki Czekolady „Krasnyj Oktiabr” – ukochanych zakładów cukierniczych komisarza przemysłu spożywczego Anastasa Mikojana, nadal działających, choć już w posiadaniu niemieckiego koncernu. Wcześniej wśród nostalgicznych czekoladek „Biełoczka” (Wiewióreczka) i „Miszka Kosołapyj” (Niezdarny Miś) spostrzegłam *ananas* – przedszkolne źródło mojego przerażenia, upokorzeń, mąk i triumfu. Teraz kupiłam sobie jednego cukierka i wessałam się w chrupką czekoladową polewę, powoli ją zlizując, *dokładnie tak samo* jak cztery dekady wcześniej. Tak, próbowałam wyczarować magdalenkową chwilę. Lecz nadzienie, niegdyś tak dla mnie przesłodzone za sprawą syntetyczne egzotycznego aromatu ananasa, teraz smakowało po prostu... syntetycznie i tyle. Przez chwilę zdawało się, że coś nieśmiało próbuje poruszyć we mnie jakąś strunę, lecz zaraz zniknęło. Z westchnieniem podreptałam z powrotem do *hirajsu*,

a Moskwa nadal krzywiła się na moje japonki.

Tamtego wieczoru, chcąc nie chcąc, przebrałam się w niewysokie szpilki – na obiad z oligarchami. Rosyjscy nuworysze to nie jak niegdyś pysałkowaci gangsterzy w kasztanowych aksamitnych marynarkach. Dziś, wszedłszy w fazę *post-bling*, wysyłają swoje dzieci na Oksford, są mecenasami sztuki, a czasem nawet rezygnują z luksusowego wina „Petrus” na rzecz starych, szlachetnych „Barolo”.

A który to taki stał się największym fanem i przyjacielem oligarchów? Moja zubożała, antyestablishmentowa matka! Już od pewnego czasu bogaci Rosjanie zakochiwali się w niej szaleńczo, gdy oprowadzała ich po nowojorskim Metropolitan Museum of Art. Reagowała na to z czułością. „Ucywilizowali się” – twierdziła. Od czasu do czasu przyjmowała nawet oligarchów w swej ciasnej imigranckiej kwaterze na Queensie. „Sto milionów dolarów? – powtórzył pewien bardzo miły nafciarz w odpowiedzi na moje pytanie, co to znaczy być bogatym w Rosji. Roześmiał się dobrodusznie, popijając maminy barszcz. – Sto milionów to nie są w ogóle pieniądze”.

Nasi moskiewscy gospodarze to urocze małżeństwo po pięćdziesiątce, weterani maminych wycieczek po Met. Mają rodzinny bank. Jedliśmy we włoskiej restauracji ze wspaniałą panoramą, mieszczącą się w świeżo wyremontowanym hotelu „Ukraina”, widocznym przez lornetkę z naszegohirajsu. Siedzieliśmy przy stoliku na tarasie na dachu, nieomal na wyciągnięcie ręki od gigantycznych stalinowskich gwiazd oraz sierpów i młotów u podstawy odrestaurowanej wieży na szczycie hotelu. Pan Bankier miał na sobie koszulę w stylu „Pucciego”, Pani Bankierowa balerinki na płaskim obcasie. Śmiała się do łez, słuchając o moich przygodach z japonkami.

– Bez cebuli – polecił Pan Bankier kelnerowi. – I bez czosnku ani ostrych papryczek.

- Jest pan... *buddystą*? – zdumiała się.
- *Da, da* – przyznał skromnie. – Przeszliśmy na buddyzm podczas kryzysu finansowego w 2008. Ten stres.
- Dwadzieścia lat – mruknęła Pani Bankierowa do swojej beczosnkowej pizzy za czterdzieści dolarów. – Dwadzieścia lat od czasów ZSRR. I jak się zmieniliśmy.

Barry żartował o land roverach i bentleyach w Moskwie. Wszyscy się śmiali.

- Szczero mówiąc, mamy range rovera – wyznał Pan Bankier.
- Bentleya też – wyjawiła jego małżonka.
- A co to, ten bentley? – spytała Mama.

Gdy zakończyły się zdjęcia do maminego programu telewizyjnego, a moje jeszcze się nie rozpoczęły, pojechaliśmy na rodzinne spotkanie na Dawydkowo. W naszym starym mieszkaniu *wchruściobie* mieszkała teraz kuzynka Masza. Po wyjściu z metra zaproponowałam krótki spacer po lesie, jeszcze zanim do niej pójdziemy. Po sosnowym dawydowskim lesie, gdzie wciąż stoi dacza Stalina. Posępna, tajemnicza.

Znowu on.

Ojciec Wszystkich Narodów miał przynajmniej z tuzin rządowych dacz. Lecz ta w Dawydkowie, za czterometrowym zielonym parkanem, niedaleko mojego dawnego przedszkola Komitetu Centralnego, była jego prawdziwym domem przez z górą dwie dekady. Z Kremla jechało się tutaj 12 minut pancernym czarnym packardem Wodza. Dlatego dacze przewiano „Bliżniaja” – „Najbliższa”.

Kilka lat wcześniej w internecie zaczęły się pojawiać zdjęcia niedostępnej Bliżniej. Przypatrywałam się obrazom zielonego neomodernistycznego domu wiejskiego – czysto prostokątna funkcjonalność, odrzucana przez stalinowskich ideologów, lecz

najwyraźniej preferowana prywatnie przez samego Wodza. I rzeczy dziwnie irytujące – osobisty wieszak na palta, ciemne, zakonne szlafroki ze skróconym rękawem na uschniętą lewą rękę.

Bliżniaja, zrazu skromnej wielkości, została zbudowana w 1934 roku przez architekta Mirona Mierżanowa (aresztowanego w 1943 roku, a wypuszczonego po śmierci swojego klienta). Otoczyły ją gęsto nasadzone drzewa, które pozwożono cięzarówkami. Miłujący przyrodę Generalissimus zainteresował się szczególnie zaszczepieniem na działce grzybów *biełych* (prawdziwków). W naszym surowym północnym klimacie bohatercy ogrodnicy na daczy Stalina hodowali nawet arbuzy, które sprzedawano nieraz zaskoczonym klientom na znakomicie zaopatrzonym Targu Jelisiejewskim przy ulicy Gorkiego.

Na drugim piętrze, dobudowanym w 1943 roku, sypiali Churchill, Mao i Tito. Ich chorobliwie paranoiczny gospodarz prawie nigdy jednak nie korzystał z sypialni. Drzemał na którejś z twardych tureckich kanap poustawianych tu i tam. Właśnie na jednej z nich 1 marca 1953 roku doznał śmiertelnego wylewu.

Kilka lat temu dziennikarze otrzymali niespotykaną szansę zwiedzenia tajnego zielonego domu. Mówiło się, że dacza ma zostać odtajniona, skoro więc znalazłam się teraz w Moskwie, miałam nadzieję pociągnąć za kilka dziennikarskich sznurków i w końcu zajrzeć za wysoki parkan w lesie, skrywający coś, co było koszmarem mojego wczesnego dzieciństwa. Z Barrym i Mamą u boku postanowiłam wybrać się na mały rekonesans.

Sosny wydały mi się nie takie majestatyczne, jak je zapamiętałam. Po błotnistych dróżkach ponętne manusie w obcisłych dżinsach i na wysokich szpilkach pchały wózki spacerowe, a pełni vigoru emeryci mijali nas szybkim krokiem, chodząc parami. Nareszcie na horyzoncie zamajaczył dach. Przy

bocznym wejściu stało dwóch młodych jasnowłosych wartowników. Palili papierosy i nie uśmiechali się.

- Dacza... eee... yyy... Stalina? – wydukałam.
- Obiekt ściśle tajny – poinformowano mnie. – Nie wolno o nic pytać.

Jakby przyciągana niewidzialną siłą, poprowadziłam nas do innego, znacznie niższego ogrodzenia. Za nim przez zasłonę iglaków dostrzegłam niski budynek z jasnej cegły – moje stare przedszkole, gdzie dlawiłam się nomenklaturowym kawiorem i w ekstazie ssałam cukierki *ananas*. Widok mojego dawnego więzienia tak gwałtownie katapultował mnie z powrotem do smutnookiej bulimicznej przeszłości, że uchwyciłam się lepkiego sosnowego pnia, łapczywie chłonąc żywiczne powietrze. Magdalenka przypuściła atak.

Wzięłam się w garść i wyszliśmy z lasu. Przed nami piętrzył się luksusowy apartamentowiec przypominający rozświetlony statek. DACZA STALINA – głosiła tablica na obowiązkowym płocie. – APARTAMENTY NA SPRZEDAŻ U DEWELOPERA.

- Ludziom nie przeszkadza, że mieszkają w budynku noszącym imię Stalina? – spytałam uzbeckiego ochroniarza, znów czując wzbierające mdłości.
- A niby czemu? – uśmiechnął się szeroko. – Na pewno są z tego dumni.
- To może jeszcze kort tenisowy Mołotowa? – zapytał Barry, gdy skończyłam tłumaczyć. – Albo basen imienia Berii?
- Beria? – główkował ochroniarz, próbując skojarzyć nazwisko. Wyglądał na zbitego z tropu.

Odeszliśmy pośpiesznie, już spóźnieni do Maszy, i od razu zabłędziliśmy wśród identycznych dawydkowskich czteropiętrowych bloków mieszkalnych z lat sześćdziesiątych. Jakże znajomy był widok popękanych betonowych murów i

prania trzepoczącego na zdewastowanych balkonach, ponury, przypominający slumsy. Ale nie, przecież to Moskwa w 2011 roku. Barry zatrzymywał się kilka razy, by skierować obiektyw turystycznego aparatu a to na maserati zaparkowane pod rdzewiejącym płotem, a to na śmieci wysypujące się z pomazanych graffiti kubłów na śmieci.

Przy stole Maszy nieco ochłonęliśmy. Po obiedzie Masza zabrała mnie do sypialni i zaczęła wyciągać z szuflad i szaf małe tekturowe pudełka. Wzięłam jedno z nich i poczułam chłodny ciężar metalu – dziadkowych odznaczeń. Razem z Maszą wysypałyśmy cały ten skarb na łóżko. Ordery Lenina, Zwycięstwa, Czerwonego Sztandaru. Tak jak przed laty, poprzypinałyśmy je sobie na piersi i zatańczyłyśmy przed lustrem. Potem siadłyśmy na łóżku, trzymając się za ręce.

Nazajutrz w południe urwałam jedno winogrono z rubinowoczerwonej kryształowej patery, uskuteczniałam przed kamerą mocno uszminkowany uśmiech – i nagle przyszła mi do głowy potworna myśl. Jeden z najkrwawszych dyktatorów w dziejach świata prawdopodobnie dotykał patery, z której jem.

Znowu *on*.

Nie, nie popadłam w obsesyjne fantazjowanie. Znajdowałam się na planie filmowym, godzinę drogi z Moskwy, w niebywale burżuazyjnej daczy Wiktora Biełajewa, byłego szefa kuchni na Kremlu i mojego partnera w show.

Do czasu zawału serca przed kilku laty Wiktor przepracował trzy stresujące dekady, gotując dla najwyższego przywództwa sowieckiego. Po tej doniosłej fusze pozostała mu porcelana, produkowana specjalnie na kremlowskie bankiety, oraz serwis pater z czerwonego kryształu zwany Rubinowym (na cześć kremlowskiej gwiazdy). Poprzedni właściciel serwisu? Wąsaty we własnej osobie. Co jeszcze bardziej zaskakujące, patery te pochodziły z jego daczy – tak, *tej* zielonej daczy. Data produkcji:

1949, jubileusz siedemdziesiątych urodzin Stalina, świętowany tak radośnie, że całe Muzeum Sztuk Pięknych im. Puszkina przeznaczono na gigantyczną wystawę prezentów dla Drogiego Przywódcy.

Wiktor był rozbrajająco przyjacielski i nie przestawał mówić. Kiedy producentka Dasza wspomniała na początku o szefie kuchni z Kremla, wyobraziłam sobie odpychającego kremlowskiego sługusa z ponurą przeszłością w KGB. Tymczasem Wiktor, odziany w błękitny kaszmirowy sweter, z dyskretnym złotym łańcuszkiem na szyi, kojarzył się raczej z beztroskim klonem jazzmana Louisa Pramy, a do tego miał wystrzałowego dodge'a camaro zaparkowanego na swoim podjeździe.

Starając się poznać go bliżej na krótko przed zdjęciami, gdy wyszliśmy na ganek na papierosa, ze zdumieniem dowiedziałam się, że gotował już w tej daczy, w 1991 roku, tuż przed rezygnacją Gorbaczowa. Sekretarz mineralny miał swoją rezydencję na posesji Bliźniej, nigdy jednak z Bliźniej nie korzystał i chciał ją przerobić na przytulny hotel dla międzynarodowych biznesowych grubych ryb. Wiktora sprowadzono, żeby zadbał o wyżywienie oraz doglądał cateringu w głównym budynku.

– *Gorbacz* – parsknął Wiktor z irytacją. – Kto by chciał mieć takiego szefa!? Połowa mojej załogi odeszła przez Raisę, babsztyła z piekła rodem. Pierwsza Dama! Za to żona Breżniewa – ta była złocieńka.

– Wiktorze – nalegałam. – Proszę cię – o daczy!

Wiktor wzdrygnął się teatralnie, bawiąc się swoim złotym łańcuszkiem.

– Przeraźliwy zmurszały odór zbrodniczej historii... Wszędzie fosy i mosty zwodzone... wydrążono nawet niektóre sosny, wstawiono drzwi i okienka dla strażników!

Ponieważ Generalissimus nie znosił zapachu jakiegokolwiek jedzenia, jadalnię w Bliźniej dzielił od kuchni ogromny trzystumetrowy korytarz.

– A jego szafa... – Wiktor skrzywił się. – Wiedziałem, że Stalin był niski, jednak jego ubrania... to ubrania *dziecka – albo karła!*

Po raz pierwszy usłyszał Wiktor o budzącej grozę daczy od swego wiekowego nauczyciela, niejakiego Witalija Aleksiejewicza (nazwisko ściśle tajne), niegdyś jednego z osobistych kucharzy Stalina. 6 marca 1953 roku Witalij Aleksiejewicz karnie stawił się na swoją zmianę. Na ganku natknął się na Waleczkę, wierną gospodynę, a może i kochankę Generalissimusa. Miała dla niego przygotowany samochód.

– Uciekaj! – powiedziała. – Już! Jedź jak najdalej. Znikaj!

Właśnie obwieszczono śmierć Stalina.

Kucharz uciekł, a resztę personelu daczy zamordowano na rozkaz Berii. Witalij wrócił do Moskwy w dniu stracenia Berii i do końca życia zanosił kwiaty na grób gospodyn.

– Witalij Aleksiejewicz był kucharzem *ot boga* (z iskrą Bożą) – westchnął Wiktor. – Śpiewał swojemu ciastu, żeby lepiej rosło.

Pomyślałam o Mamie i o własnych zmaganiach z rozgryzaniem tajemnic słowiańskiego ciasta drożdżowego na nasz kulebiak. Czy nucenie mu – tak jak to robił szef kuchni u Stalina – to jest ten sekret?

– Dacza naprawdę była nawiedzona? – dociekałam, pamiętając dobrze, ile razy w przedszkolnych czasach przemykałam obok zielonego parkanu, a wtedy serce waliło mi jak młotem.

Wiktor znowu się wzdrygnął.

Pod koniec pierwszego wieczoru jego cateringu w Bliźniej siadł samotnie w starej jadalni Stalina. Oparł się o niesamowicie długi drewniany stół, ten sam, przy którym cztery

dekady wcześniej zbrodniczy członkowie Politbiura zbierali się na nocnych ucztach. Przejmująca dreszczem cisza... Wtem Wiktor usłyszał odgłos kroków. Odgłos tak upiorny, że zerwał się na równe nogi i zlany zimnym potem uciekł do lasu. To samo przydarzyło się w 1991 roku aktorowi grającemu Stalina na planie filmowym w daczy. A kiedy zaproszono do daczy dawnego ochroniarza Stalina, doznał zawału serca. „Skóra jego butów – wyjąkał w szpitalu. – Czułem ją, skórę *jego* butów i karelskie drewno brzozowe *jego* mebli!”

Zawołano nas z powrotem do środka. Kamery były gotowe.

Na widok stołu przygotowanego przez Wiktora o mało sama nie dostałam zawału.

Do naszego programu – poświęconego kuchni *radzieckiej* – mój partner wyczarował kolorową fantazję rodem z *Księgi o smacznym i zdrowym jedzeniu*, z wzorcowego wydania pod patronatem Politbiura. Wyborne *rasstiegaje* – nadziewane rybą paszteciki z otworem pośrodku – umoszczone w stalinowskim krysztale, wymyślna rolada wołowa przekładana delikatnym omletem, rozparta na półmisku z kremlowskiej porcelany. Był nawet tort z rakietami z karmelu, wykonany przez pewnego szczodrego cukiernika, niegdyś nomenklaturowego. Tort nazywał się *Polot* („Lot”) – bezowy relikt ery kosmomanii lat sześćdziesiątych.

Patrzyłam jak zaczarowana na tę kulinarną kapsułę czasu. Zwłaszcza na rolowaną szynkę w galarecie pod majonezowymi zawijasami. Początek września 1974 roku. Sklep garmażeryjny przy restauracji „Praga”. I ja, stojąca – jak sądziłam, po raz ostatni w życiu – w gigantycznej kolejce po nasz niedzielny kulebiak, w domu tymczasem Mama pracuje nad ostatnimi emigracyjnymi formalnościami. Wodzę wzrokiem po zdobionych majonezem rulonikach szynki w galarecie, na które moich rodziców nigdy nie było stać, i myślę z rozpaczą: „Już nigdy więcej ich nie zobaczę”.

A teraz dowiaduję się, że przed pracą na Kremlu Wiktor gotował w „Pradze”!

W mojej „Pradze”.

Czy we wszystkich tych zbiegach okoliczności był jakiś głęboki sens? Czyżby jakieś bóstwo cywilizacji sowieckiej posłało Wiktora w moją stronę, aby pomógł mi należycie delektować się skarbami dzieciństwa i odkrywać jego tajemnice?

Przyjeżdżając tym razem do Moskwy, zmartwiłam się na wieść, że moją „Pragę” zamknięto. Jedną z ostatnich wspaniałych restauracji o tradycjach jeszcze przed sowieckich wykupił włoski projektant mody Roberto Cavalli, by bez wątpienia przekształcić ją w jakieś elitarne, *post-bling* miejsce zabaw. Widząc jej charakterystyczną żółtą fasadę zeszpeconą przez rusztowania na początku Nowego Arbatu, poczułam się tak, jakby zmarło któreś z ukochanych dziadków.

Razem z Wiktorem ubolewaliśmy nad zamknięciem „Pragi”, gdy włączono kamery.

– Piątka z plusem – huknęła nasza młoda reżyserka. – Podoba mi się ta chemia między wami!

Nareszcie czując się swobodnie, gawędziłam o zasadzkach na dyplomatów przy wejściu do „Pragi” i o handlowaniu w szkole gumą „Juicy Fruit”. Młoda w przeważającej części, postsowiecka ekipa chłonęła moje socjalistyczne tarapaty.

– Jeszcze! – wołali. – Więcej takich historii!

Kiedy Dasza pierwszy raz zaproponowała program o kuchni radzieckiej – „To gorący temat!” – nie mogłam wyjść ze zdziwienia.

– Przecież w Moskwie pełno jest ludzi pamiętających ZSRR o wiele lepiej niż ja. No przecież ja jestem z Nowego Jorku!

– Nie rozumiesz – powiedziała Dasza. – Tutaj

mamy *miszmasz* ze wspomnień. Ale *ty* jako emigrantka pamiętasz wszystko wyraźnie!

Po obiedzie, a jeszcze przed kręceniem szaszłyka przy basenie na podwórzu jego daczy, Wiktor wtajemniczył mnie w sprawy związane z jego pracą w kremlowskich kuchniach.

Zaopatrzenie pochodziło z własnych gospodarstw hodowlanych. Mleko dla Politbiura było tak niemożliwie tłuste, że kierowcy tylko luźno kładli na konwiach głębokie metalowe przykrywki, a do czasu zajechania na miejsce pobrękujące pokrywki zdążyły już ubić gęstą, sztywną śmietanę. Którą się od razu kradło.

Zdumiałam się.

– Chcesz powiedzieć, że pomimo wszystkich tych bonusów – elitarnych mieszkań, krymskich letnisk, krawców na zamówienie – pracownicy Kremla *jeszcze* kradli?

– I to jak! – roześmiał się Wiktor. Wkrótce po objęciu stanowiska zrobił nalot na szafki podwładnych i odzyskał 60 kilo łupów. – *A nie było jeszcze nawet południa.*

Pod siedmioipółmetrowym sufitem dawnej głównej kuchni Kremla dokonał też innych odkryć, takich jak:

Trofeum wojenne w postaci czterdziestoośmiopalnikowej kuchni elektrycznej należącej do Goebbelsa.

Potężny mikser z wiejskiego domu Himmlera.

Carskie miski dla psów z 1876 roku.

Dawny tunel tortur Iwana Groźnego, z pochyłą podłogą do odprowadzania krwi.

– Gotowi do szaszłyka przy basenie! – oznajmiła reżyserka.

Kiedy się uwinęliśmy i ekipa odjechała, siedziałam z Wiktorem i jego żoną, dojadając resztki. Byłam oszołomiona tym, czego dowiedziałam się przy jego bajkowym stole. To tak, jakby odkryć, że Święty Mikołaj mimo wszystko istnieje.

Sowiecki mit o dostatku, na który obruszało się moje późnosowieckie pokolenie? Opiewana obfitość, tak cynicznie, wręcz egzystencjalnie pogardzana?

Jakże widowiskowo kwitła na kremlowskich stołach bankietowych.

Politbiuro uwielbiało zadziwiać zagranicznych gości radzieckim przepychem. Pociągi towarowe zwoziły z całego imperium ukraińskie kiełbasy w porcelanowych wannach, dorodne owoce z Krymu, nabiał z republik bałtyckich, winiaki z Dagestanu. Oficjalną normą bankietową były trzy kilogramy jedzenia na osobę. Na „murach Kremla”, wyrzeźbionych z lodu zabarwionego czerwonym sokiem z buraków, połyskiwał czarny kawior. Jagnięta gotowano w całości, a potem smażono w głębokim tłuszczu, proszęta miały przybrania z majonezu i oliwki w miejsce oczu. Potężne jesiotry spoczywały majestatycznie na oświetlonych reflektorami postumentach z akwariów, w których roiło się od żywych małych rybek. Podczas mroźnych zim my na zewnątrz wystawaliśmy w kolejkach po pomarszczone marokańskie pomarańcze, na Kremlu tymczasem były marakuje, kiwi i – jak to z czułością ujął Wiktor – „urocze *bejbi-banancziki*”.

– Wyobraź sobie tylko – rozplynał się Wiktor. – Kolorowe światła w Sali Gieorgijewskiej w Wielkim Pałacu są już zapalone, zaczynają grać hymn sowiecki, wszyscy są pod wrażeniem tej lśniącej porcelany i migoczących kryształów...

Spece Putina od protokołu wyrzucili ten blask i połysk na śmiertnik.

Jak sądzę, w mieście o najwyższym na świecie stężeniu miliarderów – gdzie studio pilatesu jest zawsze tuż obok, a z Tokio codziennie dowożą świeże *sashimi* – w zasadzie zniknęło zapotrzebowanie na gastronomiczne wioski potiomkinowskie. Inscenizowane bajki o dobrobycie odeszły więc nareszcie na

emeryturę – wraz ze wszystkimi kryształami i nieekologicznym kawiorem. Zamiast 15 zakusek na kremlowskich bankietach podawano teraz *pirożki* na jeden kęs, a gdzie niegdyś piętrzyły się triumfalnie naczynia wypełnione rumianymi owocami, teraz ustawiano miseczki z jagodami.

Jakiś czas temu Putin wprowadził jednak nowinkę – nostalgię za ZSRR. „Śledź pod futrem”, salceson – obecni kremlowscy kucharze obok *foie gras* i *carpaccio* serwowali teraz dania z komunałek w smakowitych indywidualnych porcjach. Co uderzyło mnie jako idealny wyraz noworusyjskiego pastiszu.

Dzisiejsza uproszczona obsługa to rozsądne wyjście – stwierdził Wiktor, nalewając nam rzadkiego porto „Masandra” z Krymu. Widziałam jednak wyraźnie, że brak mu tych dawnych dni. Kto zresztą nie tęskniłby za życiem pośród socjalistycznej fantazji? Ja? Ze łzami w oczach powiedziałam Wiktorowi, że w całym swoim życiu nie natknęłam się jeszcze na stół tak bliski *skaterti samobrancie* – czarodziejskiemu obrusowi z rosyjskich baśni – jak jego stół.

Wiktor odszedł z Kremla po zawale, a teraz prowadził firmę cateringową i restaurację. Szefował też związkowi rosyjskich restauratorów, starając się promować rodziną sztukę kulinarną. Tę bitwę jednak w swojej ocenie przegrał.

– Młodzi rosyjscy kucharze potrafią robić pizzę – ale kto pamięta, jak się gotuje naszą kaszę?

Westchnął z głębi serca. Ten, który ongiś czuwał nad blaskiem kremlowskich murów wyrzeźbionych z czerwonego lodu.

Po powrocie do *hirajsu* przeglądałam akurat notatki – *Gorbaczow według Wiktora: jadł mało, pił jeszcze mniej. Wychodził z przyjęć po 40 minutach. Jelcyn: Uwielbiał kotlety jagnięce. Marny tancerz* – gdy zabrzeczał mój e-mail. Była to wiadomość z innego świata, z „El Bulli” pod Barceloną.

Ta najbardziej magiczna i najważniejsza restauracja na świecie miała na zawsze zamknąć podwoje, a Ferran (szef kuchni) i Juli (współwłaściciel) chcieli, żeby zjawiła się na pożegnalnym obiedzie. Znałam ich obydwoj od 1996 roku. Ich katalońska świątynia awangardowego gotowania stanowiła intymny element mojej historii zawodowej. Moja pierwsza wizyta w niej, 15 lat wcześniej, odmieniła wszystko, co myślałam i pisałam o jedzeniu. „Jesteś rodziną” – mówił mi zawsze Ferran. I oto utknęłam w tej złej, obcej Moskwie, bez fundamentu ani w przeszłości, ani w teraźniejszości, grzebiąc w magdalenkach. Miałam wizję jednowjazdową, nie mogłam więc się wymknąć, by choć pośpiesznie się pożegnać.

Osunęłam się na krzesło, boleśnie dotknięta tą stratą w moim realnym życiu. *Queridos Amigos!* – zaczęłam pisać. –

*Estoy en Moscú cruel, muy lamentablemente no puedo...****** Jakieś dziwne dudnienie dobiegające z dołu zakłóciło moją hiszpańską korespondencję. Było w nim coś wszechpochłaniającego i apokaliptycznego, jak gdyby nadciągało tsunami. Moje biurko zaczęło się trząść.

Wszyscy podbiegli do okien. Hen w dole w deszczową noc po opustoszałym Nowym Arbatie toczyły się czołgi. Za nimi sunęły wyrzutnie pocisków, potem transportery, artyleria.

Zadzwonił telefon.

– Co, oglądacie próbę przed Dniem Zwycięstwa? – zarechotał Tata prawie że wesoło. – Teraz powinna was mijać tiechnika, tuż pod tym wielkim billboardem z filmem *Malczisznik Dwa (Kac Vegas w Bangkoku)*!

– *Tanki i banki* – sarkała Mama. – Witajcie w Putinlandzie.

Zbliżały się szumne obchody Dnia Zwycięstwa – 9 maja. Nadgorliwy, militarystyczny patriotyzm Putinlandu zaczął włączać nadbieg. Sądząc po całym tym zgiełku, szopka powinna przebić nawet widowiska za Breżniewa.

Fale eteru rozbrzmiewały teraz Wielką Wojną Ojczyźnianą (rosyjski skrót: WOW). Czarno-białe filmy z lat czterdziestych, zdjęcia chleba z czasów *blokady*, poruszający materiał ukazujący dziewczynkę grającą na fortepianie zmarzniętymi rączkami w oblężonym Leningradzie – nie dało się przed tym uciec. W autobusach starsi ludzie i przyjezdni robotnicy nucili pieśni wojenne puszczone przez głośniki. Przydatne reklamy kusiły właścicieli komórek do wybrania numeru 1-9-4-5 i otrzymania darmowej melodii z czasów WOW jako dzwonka.

Za Breźniewa państwo robiło użytk z mitycznych traum i triumfów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, aby wrażać ideologię w cyniczne młode pokolenie. Od tamtych jednak czasów Rosjanie stali się dużo bardziej cyniczni. W dzisiejszym społeczeństwie, tak rozpaczliwie spragnionym jakiejś kotwicy w postaci patriotycznej narracji, Kreml ponownie wykorzystuje kult WOW do mobilizowania resztek narodowego patriotyzmu, złączenia pokoleń w ścisłe zaprogramowanym rytuale pamiętania. „*My, narod pobeditiel!* (My, naród zwycięzca)” – słyszałam aż do znudzenia, tak samo jak w dzieciństwie. O czym nie słyszałam: o katastrofalnych błędach władz, przez które życie straciły miliony, o brutalnych powojennych deportacjach mniejszości etnicznych. A gdyby ktoś coś źle zapamiętał? W 2009 roku ustanowiono Komisję do Spraw Przeciwdziałania Próbom Fałszowania Historii na Szkodę Rosji.

A który to taki poprowadził Rosję do jej majowego zwycięstwa?

Być może rzeczywiście popadłam w obsesyjne fantazjowanie. Przygotowania do Dnia Zwycięstwa wydały się bowiem mojej rozgorączkowanej głowie istną Wiosną Stalina.

Na zmienionym w pretensjonalny deptak Arbacie mężczyźni o popsutych zębach i cuchnącym oddechu zachwalali najróżniejsze staliniana na ulicznych straganach i nawet szacowne księgarnie zarabiały na stalinowskich magnesach na

lodówkę schodzących jak ciepłe bułeczki. Kreml starał się unikać oficjalnego poparcia, lecz zwykli ludzie wiedzieli swoje. Blisko połowa wszystkich ankietowanych Rosjan postrzegała Stalina w pozytywnym świetle. Według niesławnej ankiety telewizyjnej z 2008 roku Generalissimus uplasował się na trzecim miejscu wśród „najważniejszych postaci w dziejach Rosji”, depcząc po piętach księciu Aleksandrowi Newskiemu, słynnemu dzięki filmowi Eisensteina, oraz Piotrowi Stołypinowi, reformatorskiemu premierowi z początku XX wieku, gromko podziwianemu przez Putina. Wszyscy jednak uważali, że rezultaty spreparowano, aby ukryć kontrowersyjną prawdę.

Zauważałam, że w zbiorowej wyobraźni jego postać zdaje się rozdwojona. Stalin *zły* był architektem Gułagu. Stalin *dobry* – ucieleśnieniem rosyjskości, emanującym siłą i zwycięstwem.

Było to głęboko niepokojące.

W tym całym diabolizmie ideologicznym i ahistorycznym miszmaszu *hirajs* stał się moim schronieniem, bezpieczną przystanią dla mojej prepostsowieckiej niewinności. Jakąż był pociechą, łatwy do idealizowania, lecz jednocześnie tak autentyczny! Wzruszenie chwytało mnie za gardło, ilekroć wchodziłam do wyłożonego drewnem, przytulnego holu. Uwielbiałam ten boleśnie znajomy sowiecki fetor kociego moczu i ostrej woni detergentu. I niebieski szlaczek farby olejnej, i zmieniającą się galerię jakże radzieckich *babuszek* dozorczyń.

Inna Walentinowna, moja ulubiona *babuszka*, była jednym z pierwszych mieszkańców *hirajsu*. Dostała tu prestiżowe mieszkanie pod koniec lat sześćdziesiątych za osiągnięcia naukowe, teraz zaś czynnie spędzała swą emeryturę, szarogęszać się na część etatu jako dozorczyni. Gdy zbliżała się 9 maja, przemieniła nasz hol w prawdziwą nawałnicę imprez związanych z kombatantami.

– Nasi *wietierani* za tym przepadają! – entuzjazmowała się,

pokazując mi nędzne państwowie paczki z podarunkami zawierające kaszę gryczaną, szprotki pośledniego gatunku i ewidentnie nieelitarne czekolady.

– Zakurzona kasza gryczana – zrzędziła Mama. – Podziękowanie Putina tym, którzy bronili jego *Rodiny*.

Jeśli chodzi o weteranów WOW w naszym *hirajsie*, szczególnie zależało mi na spotkaniu z pewną kobietą – Asją Wasiljewną. Właśnie skończyła pisać wspomnienia – jak poinformowała mnie Inna – o swej mentorce i przyjaciółce Annie Achmatowej, wielkiej rosyjskiej poetce naszych smutków, po której otrzymałam imię.

– Czekaj – napominała mnie w kółko Inna, pani na swej twierdzy. – Czekaj na nią tutaj!

Lecz wiekowa Asja Wasiljewna nie przychodziła.

Zaświtał Dzień Zwycięstwa.

Paradę na placu Czerwonym oglądaliśmy w telewizji. Kremlowskie karły – Miedwiediew i Putin – uczciły największą tragedię w dziejach świata (zwaną też WOW), włożywszy czarne płaszczce w faszystowskim stylu. Na trybunie otaczali ich krzepcy osiemdziesięciolatkowie poobwieszani medalami. *Powstań, kraju nasz szeroki* – zagrzmiała podniosła pieśń z lat czterdziestych, z czasów WOW, a kompania reprezentacyjna rozpoczęła marsz starym sowiecko-imperialnym krokiem defiladowym, odziana w mundury w dziwaczny carski stylu, obficie zdobione połyskliwymi złotymi galonami.

– PPP – szydziła Mama. – Patriotyczny Pastisz Putina.

Po południu Inna Walentinowna zapędziła nas na pobliską paradę na Arbacie. Lokalni kombatanci wyglądali znacznie wątlej niż bohaterowie na trybunie u Putina. Niektórzy ledwie szli pod brzemiением swoich medali, inni charczały i kaszły na

wietrze. Moskwianie obojętnie spoglądali na szurający zastęp weteranów, za to azerscy mężczyźni w czarnych skórzanych kurtkach żywiołowo gwizdali i klaskali.

Inna Walentinowna popchnęła mnie w stronę jakiegoś wysokiego, obwieszonego medalami dziewięcioletka o opadających barkach. Walczył we Flocie Bałtyckiej w tym samym czasie, co mój dziadek. Jego wzrok pozostawał niewzruszony i nieobecny nawet wtedy, gdy uczniowie szkolni wetknęli w jego szorstkie dlonie wielkie kolczaste róże.

- Jestem z Nowego Jorku – wydukałam, nagle onieśmielona.
- Może znaliście mojego dziadka, dowódcę wywiadu Floty Bałtyckiej Nauma Sołomonowicza Frumkina?

Po chwili wahania jego bladą, przypominającą ducha twarz ożywił jakiś błysk.

– Nowy Jork – powiedział drżącym głosem. – Nawet faszyści nie mogli się równać z wrogiem, przed którym stanęliśmy po wojnie. *Nowy Jork! Plugawa imperialistyczna Ameryka!*

Oddalił się ode mnie krokiem pełnym godności.

Cieplejsze przyjęcie spotkało mnie w przeraźliwie zimnym cieniu przysadzistego gmachu Teatru Wachtangowa na Arbatie, gdy Inna Walentinowna przywołała nas do obszaru wydzielonego dla kombatantckich VIP-ów, gdzie ustawiono stoły pod gołym niebem. Kuchnia udająca polową rozdzielała przekonującą nieapetyczne porcje wojennej kaszy z pseudokotłą i słabej herbaty z pseudosagana. Za to oddechy wokół naszego chwiejącego się plastikowego stolika pokrzepiająco cuchnęły osiemdziesięcioprocentową autentycznością. Nasze jednorazowe kubki z herbatą zostały opróżnione i napełnione wódką. Zmaterializował się ogórek kiszony. I pomimo dudnienia, sztywnych przemówień, pomimo smutnego spektaklu, w którym wynędziali weterani paradowali niczym wypchane lalki, choć nikt nie wynagrodził ich zasług, czułam, jak w środku wypełnia

mnie ciepło. Cenna chwila – wspólnie picie w tym chłodzie razem z nimi wszystkimi. Już niedługo pozostaną z nami.

Niemrawo wzniósłam toast za dziadka. Po policzkach popłynęły mi łzy wyrzutów sumienia, gdy przypomniałam sobie, jak Mama i Julia wyrzucały jego pamiątki po Sorgem, jak chichotałyśmy z kuzynką Maszą, gdy po raz enty opowiadał o przesłuchiwaniu nazistów podczas procesu w Norymberdze. Teraz pozostały tylko postrzępione kartonowe pudełka z medalami i pożółkła okładka jakiegoś niemieckiego czasopisma, na której wysokie czoło i ironiczne oczy *dieduszki* unoszą się nad pucołowatym Hermannem Göringiem.

Nazajutrz rano w holu natknęłam się nareszcie na nieuchwytną Asję Wasiljewnę. Pamiętnikarka zaprzyjaźniona z Anną Achmatową miała ciemne, bystre, inteligentne oczy, a na sobie szykowną kamizelę. Z przejęcia nie przestawałam trzymać i głaskać jej wiekowej dłoni.

Asja Wasiljewna poznała Achmatową podczas ich wojennej ewakuacji z Taszkientu. Weteranom przysługiwały 9 maja darmowe rozmowy telefoniczne i Asja poświęciła ten czas na rozmowę z wnuczką Nikołaja Punina, kochanka Achmatowej z lat dwudziestych i trzydziestych. Punin przywiózł Achmatową do Domu nad Fontanką w Petersburgu, gdzie w przerażających warunkach *kommunałki* wykrojonej ze skrzydła tego dawnego pałacu Achmatowa przeżyła blisko 30 lat.

Odwiedziłam kiedyś otoczone wzruszającą troską muzeum Achmatowej w Domu nad Fontanką. Na ścianie urządzonego z zakonną skromnością pokoju, który niegdyś zajmowała, wisiała kopia jej portretu naszkicowanego przez Modiglianiego. W tym właśnie pokoju Achmatowa odbyła słynne całonocne spotkanie z młodym Isaiahem Berlinem z Anglii, za co została potępiona przez państwo, a jej syna po raz kolejny wysłano do łagru. Łzy napłynęły mi do oczu na widok jej popielniczki z brązu. Wiedząc, że mieszkanie jest na podsłuchu, Achmatowa wraz ze

swą przyjaciółką i biografią Lidią Czukowską wypowiadały na głos banalne kwestie – „jesień coś wcześnie w tym roku” – lecz w tym samym czasie poetka zapisywała ołówkiem nowy wiersz, a Czukowska zapamiętywała jego strofy. Potem paliły kartkę w tej popielniczce.

„Dlonie, zapałki, popielniczka – pisała Czukowska. – Rytuał piękny i gorzki”.

Teraz w holu naszego *hirajsu* Asja Wasiljewna, sama z siebie, zaczęła recytować poemat Achmatowej *Requiem*, dedykowany ofiarom czystek. Rozpoczęła od mrożącego krew w żyłach fragmentu *Zamiast przedmowy*: „W straszliwych latach jeżowszczyzny, przez siedemnaście miesięcy wystawałam w kolejkach przed leningradzkimi więzieniami”*****.

Mówiła jakby w transie, naśladując wypowiadaną niskim głosem powolną, żałobną deklamację, którą znałam z nagrania Achmatowej.

Gwiazdy śmierci wisiały nad nami,
drgała Rosja z przetrąconym grzbietem...

– Chodźmy, usiądziemy, będzie wam wygodniej – przerwała Inna Walentinowna, wprowadzając nas do specjalnego pokoju dla weteranów – maleńkiej klitki o różowych ścianach przylegającej do holu, wytapetowanej zdjęciami bohaterów WOW.

...drgała Rosja z przetrąconym grzbietem
pod krwią zbryzganymi butami

Gdy Asja recytowała, mój wzrok wędrował po galerii na ścianie. Marszałek Żukow. Woroszyłow. Zabójczo przystojny Rokossowski. Nad nimi zaś włada, mrużąc swe żółtawe oczy drapieżnika...

ON? ZNOWU?

pod krwią zbryzganymi butami
i kołami więziennych karetek.

W Niemczech za eksponowanie portretów Hitlera trafia się do aresztu – pomyślałam. A tutaj? Tutaj kobieta recytuje rozdzierającą pieśń żałobną dla tych, których zniszczono w czystkach, siedząc pod portretem ich oprawcy!

Coś we mnie pękło. Miałam ochotę wyć, walić głową w ten lśniący stół w radzieckim stylu, wybiec z tego domu wariatów, gdzie historia została rozmontowana i za pomocą photoshopa przerobiona na pastisz ofiar i morderców, dyktatorów i dysydentów, gdzie wszyscy ze wszystkimi zgodnie oddają się sentymentom.

I naprawdę zawyłam, kiedy Asja skończyła.

– Proszę pań! – nie wytrzymałam. – Czy wam zabrakło piątej klepki? Świadectwo Achmatowej o cierpieniu – tutaj, pod wąsami STALINA?

Umilkłam, zawstydzona własnym wybuchem. Jak mogę dręczyć tych kruchych ocaleńców ze strasznych czasów? Jakie mam prawo wymachiwać palcem przed kobietami, które wytrzymały i przetrwały sowieckie stulecie? Drżały mi wargi, chciało mi się płakać.

Panie jednak nie wyglądały na urażone moim zachowaniem. W ciemnych oczach Asji Wasiljewny migotała jakaś przebiegła mądrość, której nie pojmowałam. Jej półuśmiech był nieomal figlarny. Inna Walentinowna poklepała mnie życzliwie po ramieniu.

– *Iz piesni słów nie wykiniesz* – wyjaśniła, odgrzewając stare rosyjskie powiedzonko. – Z pieśni słów nie wyrzucisz.

Miało to znaczyć: przeszłość to przeszłość, jest, jaka jest. *Bez oprawców nie byłoby ofiar ani poezji*.

– A cóż to za logika! – zaprotestowała później Mama. Chwyciła się za skronie i pokręciła głową. – Cieszę się, że niedługo wyjeżdżam.

Nasz czas w Moskwie dobiegał końca. Mama leciała z powrotem do Nowego Jorku, ja z Barrym mieliśmy wyjechać kilka dni później na dwa tygodnie do Europy, pracować nad zleceniem dla jednego z czasopism. Nie mogłam się doczekać powrotu do znanego mi życia – oddychania powietrzem wolnym od Stalina, przeglądania restauracyjnego menu bez palpitacji na widok cen, dreptania dumnie i swobodnie w moich japonkach.

W końcu Mama odleciała. Bez jej trajkotania przez trzy telefony naraz i karmienia tłumów wygłodniałych gości *hirajs* wydał się samotny i pusty. Uświadomiłam sobie, że Mama jest w Rosji moim kompasem moralnym, fundamentalną narracją. Bez niej Moskwa utraciła sens.

Jeśli nie liczyć jednej, ostatniej już misji. Misji, o której marzyłam przez większość swojego ponadczterdziestoletniego życia, był to jeden z moich potajemnych powodów przybycia tutaj. Tego nie mogłabym zrobić, mając Mamę obok siebie.

– *Mawzolej?*

– *Da, nu?* *Mawzolej* – odrzekł szorstki głos w słuchawce. – A bo co?

Głos brzmiał tak lekceważąco i młodo, że zaskoczona omal się nie rozłączyłam.

– *Da, nu?* – głos ostro ponowił pytanie.

– Jesteście... yyy... *czynni?* – zapytałam nerwowo, ponieważ niektóre portale turystyczne podawały, że Mauzoleum W.I. Lenina jest teraz w niedziele zamknięte. A była właśnie niedziela, nasza ostatnia szansa.

– Zgodnie z godzinami otwarcia – warknął głos z przekąsem.

– Po ile bilet wstępu?

– W Rosji nie liczymy za wstęp na cmentarze! – zarechotał głos. – *Jak na razie!*

Kolejka do Mauzoleum była najkrótsza, jaką pamiętałam, zaledwie stu pięćdziesięciometrowa.

Lenin najwyraźniej nie cieszy się statusem równym Stalinowi, jego dni w tej *elitarnej i ekskluzywnej* nieruchomości na placu Czerwonym są już policzone – pomyślałam. Dyskusja sprzed dwóch dekad o pochowaniu go w ziemi na nowo odżyła. Pewien prominentny członek Putinowskiej partii Jedna Rosja zauważył – blisko 90 lat po fakcie – że rodzina Lenina sprzeciwiała się jego mumifikacji. Rosjanie, poproszeni o głosowanie na portalu goodbyelenin.ru, w 70% opowiedzieli się za usunięciem i pogrzebaniem ciała. Jedynie przywództwo partii komunistycznej podniósł jazgot oburzenia.

Staliśmy między szczupłym mężczyzną z Azji Środkowej a gromadką hałaśliwych Włochów w modnych nylonowych ciuchach w stylu high-tech. Nasz środkowoazjatycki sąsiad wyszczerzył do nas w uśmiechu zęby z czystego złota. Przypomniałam sobie, że w czasach Związku Radzieckiego nasi bracia z egzotycznych republik dbali o to, aby ich majątku nie nadgryzł ząb czasu, i zamiast zaufać *sbierkassie* (państwowym instytucjom oszczędnościowym) instalowali sobie dwudziestoczterokaratowe zęby.

Mężczyzna, mniej więcej w moim wieku, przedstawił się jako Rahmat.

– Po tadżycku to znaczy „dziękuję”. Słyszeliście w ogóle o Tadżykistanie?

Pan Dziękuję okazał się krynicą kwiectykh sowieckich frazów, zaprawionych silnym akcentem. Jego rodzinne miasto Leninabad nosiło „dumne imię Lenina!”. Odwiedziny w Mauzoleum to była jego „zawietnaja mieczta” – „najgorętsze marzenie”.

– Moje również – przyznałam i zostałam zaszczyciona kolejną rundą dwudziestoczterokaratowych uśmiechów i rytualnego

potrząsania dlonią.

Przy wejściu na teren Mauzoleum trzeba było zdać, co tylko miało się przy sobie – portfel, komórkę, aparat. Robienie zdjęć surowo zakazane. Na moje nieszczęście.

Ponieważ pośrodku ogrodzonego teraz placu Czerwonego odbywało się coś niemożliwie, niewyobrażalnie, oszałamiająco fotogenicznego. Usłyszałam dźwięk trąbek i werbli. Dzieci w biało-niebieskich mundurkach ustawiały się, szukując się do ceremonii wstąpienia do Młodych Pionierów. Tęga kobieta odziana w groszki krążyła między szeregami, wiążąc na szyjach czerwone chusty.

- *TY GOTOW?* – ryknął głośnik.
- *WSIEGDA GOTOW!* – zwołały dzieci, salutując po pioniersku.

Czy ja śnię? Czy dziewczęta rzeczywiście mają we włosach ogromne radzieckie białe kokardy?

- *Wzniejties' s kostrami sinije noczi...*

Plac Czerwony rozbrzmiewał żywiołową chóralną radosnością hymnu Młodych Pionierów. Znów na horyzoncie rozbłysł szkarłatny mit.

- *My pionery, dieti raboczich* – śpiewaliśmy razem z Rahmatem. Nie mając obok siebie antysowieckiej matki, która targałaby mnie za rękaw, śpiewałam co sił w płucach.
- Pieprzony Dzień Młodego Pioniera – tłumaczył komuś strażnik nieopodal. – W każdy pieprzony rok ci pieprzeni komuniści z czymś takim... Patrzcie no! Ziuganow!

Kanciastogłowy obecny szef partii komunistycznej stał na prowizorycznej mównicy.

- *Queridos compañeros* – rozległ się czyjś okrzyk po hiszpańsku, ale z obcym akcentem.

– Witają towarzyszy z zasianej Hawany – skrzywił się strażnik. – I dla takiego cyrku zamkają plac Czerwony!

Przeszliśmy obok grobowców pod murem Kremla, gdzie spoczywają szlachetne szczątki Breżniewa, Gagarina, Amerykanina Johna Reeda***** oraz – tak jest – również Jego.

– Coś podobnego! Chodzimy teraz po świętej ziemi! – uświadomił nas Rahmat idący za Barrym i za mną. – Święta ziemia w samym środku naszej socjalistycznej *Rodiny*!

Jego dziecięce przejęcie było tak głębokie, że nie miałam serca przypominać mu, iż „cztery dumne litery: CCCP” zostały przekreślone 20 lat temu i że Moskwa w żadnym wypadku nie jest jego *rodiną*.

– Boisz się? – spytałam go szeptem, gdy zstępowały do tajemnicy tajemnic mojego dzieciństwa, komory grobowej w Mauzoleum.

– A czego? Lenin nie jest straszny – zapewnił mnie Rahmat ze spokojem. – Jest *swietłyj* (świetlisty) i *krasiwyj*, i *żywoj*.

Nasze twarzą w twarz z Władimirem Iljiczem trwało ze dwie minuty albo nawet nie. Wartownicy o kamiennych twarzach, porozstawiani co trzy metry, kierowali nas w ciemności na chodnik biegnący wokół oszklonego sarkofagu, gdzie leżał Obiekt nr 1, jaśniejący, na ciężkim czerwonym pluszu. Zwróciłam uwagę na krawat w groszki. Oraz na zaskakującą lunę, osiągniętą dzięki przemyślnemu oświetleniu lśniącej łysiny.

– Dlaczego jedna pięść jest zaciśnięta? – spytał szeptem Barry.

– Nie rozmawiać! – burknął wartownik. – Iść dalej do wyjścia!
I już było po wszystkim.

Wynurzyłam się w niedzielnej Moskwie zdezorientowana i niezmieniona.

Tyle lat... i po co? Nagle wydało mi się to dogłębnie, egzystencjalnie trywialne. Czy naprawdę spodziewałam się, że ryknę śmiechem na ten rytualny kicz? Że doświadczę czegoś innego niż ten z lekka komiczny antyklimakyczny dreszczyk, który teraz odczuwałam?

Barry natomiast zdawał się poruszony.

– Czegoś tak... faszystowskiego nie widziałem w całym swoim życiu! – wyznał.

Plac Czerwony ponownie otwarto dla przechodniów i obok nas przepływał właśnie strumień świeżo upieczonych młodych pionierów. Z głębokim rozczarowaniem skonstatowałam, że wielkie białe radzieckie kokardy u dziewczynek nie są prawdziwymi fantazyjnymi kokardami z białego nylonu z moich dziecięcych lat, lecz spinkami do włosów zaopatrzonymi w małe kokardki, fałszywkami produkowanymi zapewne w Turcji albo w Chinach.

– Pamiętam, jaki byłem dumny, gdy zostałem młodym pionierem – powiedział rozpromieniony Rahmat blondwłosej dziewczynie o twarzy łasicy.

Zlustrowała jego złote zęby i typowe dla Trzeciego Świata buty z wydłużonymi noskami, potem moje japonki i krzyknęła:

– Spadaj!

Włóczyliśmy się z Rahmatem jeszcze chwilę. Przyjechał do stolicy dopiero poprzedniego dnia i najwyraźniej nie zdążył jeszcze nauczyć się mantry: *Moskwa – złoj gorod*. Miał zamiar poszukać pracy na budowie, nie znając tu jednak żywej duszy, poszedł prosto do Mauzoleum, by ujrzeć tę „dobrą, drogą, znajomą twarz” Lenina. Pouśmiechaliśmy się jeszcze i pokiwaliśmy głowami z ową żarliwą uprzejmością dwojga obcych sobie ludzi, którzy po krótkiej podróży autobusem właśnie się rozstają.

Dwoje obcych – pomyślałam – przyjezdny robotnik i emigrantka z własnej przeszłości, wałęsających się po placu Czerwonym pod pstryimi marcepanowymi sklebionymi kopułami soboru Wasyla Błogosławionego.

W końcu Rahmat podreptał złożyć hołd przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Patrząc na jego oddalającą się sylwetkę, przygarbioną, samotną, poczułam dojmujący skurcz smutku. Odezwała się komórka. To Mama, półprzytomna po powrocie, zadzwoniła o świecie z Nowego Jorku.

– Gdzie jesteś? – zapytała.

– Właśnie wyszłam z Mauzoleum – odrzekłam.

Na moment zapadła cisza.

– *Idiotka* – prychnęła wreszcie Mama, zrobiła cmok, cmok do słuchawki i wróciła do łóżka.

CZEŚĆ V ZE SKARBNICY RADZIECKICH PRZEPISÓW



Fantazja obfitości: kolumna rozkładowa na początku Księgi o zdrowym i smacznym jedzeniu, wydanie z 1952 roku

Lata 1910–1919

Kulebiak

Ryba, ryż i grzyby w cieście

Nawiązujący do czasów carskich dekadencki kulebiak z rybą, obkładany *blinczikami* (naleśniczkami), to chyba najbardziej imponująca potrawa, jaką Mamie i mnie udało się przyrządzić. Jest tak pracochłonny, że raczej nie będę polecać samodzielnego wykonywania go w domu. Proponuję znacznie mniej żmudną wersję – z pominięciem misternych warstw i *blinczików* – mimo to za jej sprawą wasi goście i tak zaniemówią z wrażenia. Śmietana w cieście drożdżowym (specjalny patent Mamy) przydaje maślanemu pierogowi cudownego pikantnego posmaku. W jego wnętrzu zaś kusząco

przenikają się aromaty leśnych grzybów, koperku i dwóch gatunków ryb. Podawajcie kulebiak przy wyjątkowych okazjach z zieloną sałatą oraz wódką cytrynową. A nie żałujcie jej.

KULEBIAK

Na 6–8 osób

60 ml (4 łyżki stołowe) ciepłego mleka

12 g (2 1/4 łyżeczki) drożdży w proszku

2 łyżeczki cukru

1 duże surowe jajko oraz 2 jajka ugotowane na twardo i drobno posiekane

180 ml (3/4 szklanki) śmietany

½ łyżeczki soli do koszerowania***** oraz dodatkowa jej ilość do smaku

120 g (8 łyżek stołowych) niesolonego masła posiekaneego na małe kawałki, dodatkowo 60 g (4 łyżki stołowe) masła do farszu

300 g (2 1/4 szklanki) mąki i dodatkowa ilość w razie potrzeby

3 łyżki stołowe oleju rzepakowego bądź z orzeszków arachidowych

225 g filetów z łososia (bez skóry i ości), pokrojonych na kawałki o szerokości ok. 2,5 cm

225 g filetów z dorsza (bez skóry i ości), w kawałkach o szerokości ok. 2,5 cm

2 średnie cebule, drobno posiekane

200 g grzybów leśnych bądź pieczarek, starannie oczyszczonych i cienko pokrajanych

175 g (1 szklanka) ugotowanego białego ryżu

3 łyżki stołowe drobno posiekanej koperku

3 łyżki stołowe drobno posiekanej natki pietruszki

2 łyżki stołowe wermutu bądź wytrawnego sherry

2 łyżki stołowe świeże wyciśniętego soku z cytryny

3 łyżki stołowe bulionu drobiowego

Szczypta świeże zmielonej gałki muszkatołowej

Świeże zmielony czarny pieprz do smaku

2–3 łyżki stołowe bułki tartej

Glazura:

1 żółtko rozkłócione z 2 łyżeczkami mleka

1. Przygotowanie ciasta: W misce średniej wielkości wymieszać mleko, drożdże i cukier, pozostawić do spienienia. Roztrzepać z jednym jajkiem, 120 g śmietany i solą. W dużej misce połączyć 120 g rozdrobnionego masła z mąką, ugniatając je palcami do chwili, aż masa zacznie przypominać grubą bułkę tartą. Dodać mieszankę drożdżową i dobrze wyrobić dłońmi, aż

powstanie miękkie ciasto. Zawinać je w folię spożywczą i włożyć do lodówki na przynajmniej 2 godziny.

2. W ciągu około godziny doprowadzić ciasto do temperatury pokojowej. Natłucić makutrę masłem bądź olejem. Wyłożyć ciasto na stolnicę posypaną mąką i wyrabiać około 5 minut, dodając mąki w miarę potrzeby, aż stanie się gładkie i przestanie się lepić. Przełożyć ciasto do natłuszczonej makutry, przykryć folią spożywczą i pozostawić w ciepłym miejscu na około 2 godziny, aż podwoi objętość.

3. Przygotowanie nadzienia: W dużym rondlu na średnio dużym ogniu podgrzać olej i 30 g masła. Włożyć łososia wraz z dorszem i smażyć około 7 minut, aż ryba zacznie się rozpadać na kawałki, przewracając tylko raz na drugą stronę. Następnie przełożyć ją do dużej miski, a rondel postawić z powrotem na średnio dużym ogniu i dodać pozostałe 30 g masła. Wrzucić cebulę i lekko ją zrumienić. Dodać grzyby i dusić około 7 minut, aż nabiorą złocistej barwy i wyparuje cały sok, podlewając olejem, jeśli zawartość rondla wydaje się sucha. Przełożyć grzyby i cebulę do miski z rybą, dodać pozostałe 60 ml śmietany, jajka na twardo, ryż, koperek, pietruszkę, wermut, sok z cytryny, bulion i gałkę muszkatołową. Wymieszać starannie wszystkie składniki dwoma widelcami, delikatnie rozdrabniając rybę. Doprawić solą i pieprzem, pozostawić do ostygnięcia.

4. Nagrzać piekarnik do 200°C, półkę umieścić pośrodku. Przepołacić ciasto na dwie podłużne części. Każdą z nich ułożyć na arkuszu pergaminu do pieczenia, lekko oprószonym mąką, i rozwałkować na prostokąt o wymiarach około 25 x 40 cm. Umieścić jeden prostokąt ciasta na dużej blaszce wyłożonej folią aluminiową i obsypać go bułką tartą, pozostawiając wolne obrzeże o szerokości około 2,5 cm. Na bułce tartej rozprowadzić farsz, starannie ugniatając jego warstwę. Na nadzieniu ułożyć drugi prostokąt ciasta i zlepić krawędzie. Odkroić z obrzeży

nadmiar ciasta i odłożyć je. Wywinąć brzegi kulebiaka w góre i ozdobnie je pofałdować. Pozostawić pieróg na 15 minut do wyośnięcia. Posmarować wierzch glazurą z żółtka. Rozwałkować odcięte resztki ciasta, powycinać fantazyjne kształty i przylepić na wierzch kulebiaka. Ponownie posmarować glazurą. Ponakluwać górną część pieroga, tworząc ujście dla pary. Piec około 35 minut, aż ciasto pięknie się przyrumieni. Pozostawić na 10 minut do przestudzenia, pokroić i podawać.

Lata dwudzieste

Gefilte fisz

Ryba faszerowana na modłę odeską

Nasz pierwszy seder po przybyciu do Filadelfii spożyłyśmy z Mamą w 1974 roku. Znalazłyśmy się oto w wytwornym domu naszych miłych żydowskich sponsorów, odziane w przechodzone ubrania z Armii Zbawienia, a przedstawiano nas jako „bohaterskie uciekinierki”. Wszyscy wpatrywali się w nas i śpiewali *Let My People Go******, a Mama i ja płakałyśmy, po trosze ze wzruszenia, po trosze z zakłopotania. Co gorsza, dukając fragmenty z Hagady moją wciąż łamaną angielszczyzną, bez przerwy mówiłam *ten pleasures* (dziesięć przyjemności) zamiast *ten plagues* (dziesięć plag). Wreszcie pojawiła się *gefilte fisz*. Mając żywo w pamięci czerwonowłose siostry z moich wakacji w Odessie, zabrałam się z wielkim zaciekawieniem za dorodny amerykański pulpet rybny – i nieomal się nim zakrztusiłam! Był tak szokująco słodki, że uznałyśmy potem z Mamą, iż gospodyn chyba przez pomyłkę zamiast soli dodała cukru. Podczas naszego drugiego sederu następnego wieczoru pulpety rybne były jeszcze słodsze. Widząc nasze zdumienie, gospodarz wyjaśnił, że jego rodzina wywodzi się z południowej Polski, gdzie Żydzi robili swoją *gefilte fisz* na słodko*****.

– Czy wy, Rosjanie, nie robicie swojej ryby mocno pieprznej?
– zapytał.

Mama zrobiła się czerwona jak burak. Nigdy w życiu nie robiła *gefилте фиш*.

Teraz, gdy mamy za sobą już wiele sederów, obydwie wiemy, że żydowskie *babuszki* z Rosji i Ukrainy zazwyczaj tną rybę na grube steki, wyciągają mięso i mielą je razem z cebulą i marchewką, a potem nadziewają tym farszem (niesłodzonym) skórę wokół ości. Rybę dusi się bardzo długo razem z jarzynami, aż ości się rozpuszcza – jest to pyszne, choć nie wygląda za ładnie. Perfekcjonisci idą krok dalej. Podobnie jak siostry z Odessy, nadziewają rybę w całości. Jeśli zdołacie znaleźć usłużnego sprzedawcę ryb, który zaoferuje się ściągnąć skórę w jednym kawałku, jak pończochę, i tak, żeby nie odrywać ogona, to będzie to zdecydowanie najbardziej odświętne i imponujące wydanie *gefилте фиш*. Główę również nadziewa się farszem i gotuje. Przed podaniem potrawy trzeba jeszcze złożyć bestię w jedną całość i przygotować się na komplementy. Jeśli nie macie skóry w całości, uformujcie mieloną rybę w podłużną bryłę i udekorujcie ją z wierzchu długim pasem rybiej skóry. Poza tym zawsze można z tego farszu przyrządzić pyszne pulpety rybne – wówczas potrzeba będzie dobrych 3 litrów bulionu.

W Odessie lat dwudziestych moja prababka Maria szykowała *gefилте фиш* ze szczupaka kupowanego na targu „Priwoz”. W Ameryce wiele starszych pań emigrantek używa karpia. Ja osobiście najbardziej lubię połączenie delikatnej siei z ciemniejszym, tłustszym karpiem. I choć przepis ten przewiduje szczodry dodatek cukru, to jednak tym, co nadaje potrawie słodycz, są masy powoli duszonej cebuli. Pamiętajcie, niech na stole będzie mnóstwo chrzanu.

GEFILTE FISZ

Na 14–16 osób jako pierwsze danie

4–5 łyżek stołowych oleju z orzeszków ziemnych bądź margaryny *pareve* (koszernej, bez dodatku nabiału) bądź więcej w razie potrzeby
2 duże cebule drobno siekane oraz 1 mała grubo siekana
2 arkusze macy, połamane na kawałki
3 średnie marchewki, obrane – 1 grubo pokrojona, pozostałe 2 w całości
1 cała sieja, szczupak bądź inna jędrna ryba słodkowodna, około 1,8 kg, obrana ze skóry (zob. wstęp do przepisu) i wyfiletowana (powinno się otrzymać około 650 g filetów), głowa zostawiona osobno, filet pokrojony na małe kawałki
650 g filetów z karpia, pokrojonych na małe kawałki
3 duże jaja
1 łyżka stołowa lodowej wody
1 łyżka stołowa (bądź więcej) cukru do smaku
2 łyżeczki koszernej soli i świeże zmielony biały bądź czarny pieprz do smaku
1 litr (4 szklanki) bulionu rybnego (może być kupny) bądź drobiowego
Świeża rukiew wodna do dekoracji (niekoniecznie)
Chrzan, świeże starty bądź ze słoiczka jako dodatek

1. W dużym rondlu podgrzać olej na niewielkim ogniu. Dodać 2 drobno posiekane cebule i dusić, często mieszając, aż cebula będzie miękka, około 12 minut. Pozostawić cebule na 15 minut do przestygnięcia. W tym czasie namoczyć mace w zimnej wodzie przez 10 minut. Odsączyć, starannie odcisnąć płyn i ręcznie pokruszyć mace na pastę.

2. Za pomocą robota kuchennego drobno zmiksować grubo siekaną surową cebulę i pokrojoną marchewkę i przełożyć do dużej miski. Podzielić filety z siei i karpia na cztery partie i zmiksować z duszoną cebulą i macą. Mają być drobno zmielone, lecz nie na gładką masę. Kolejne zmiksowane partie przekładać do miski z cebulą i marchewką. Wymieszać z jajkami, wodą, cukrem, 2 łyżkami soli i pieprzem do smaku. Zmiksować na gładką i nieco lepką masę. Dla sprawdzenia smaku ugotować w wodzie bądź usmażyć mały pulpet rybny. Jeśli masa wydaje się zbyt rzadka, by można z niej lepić, włożyć ją do lodówki na około godzinę, przykrytą folią spożywczą.

3. NAGRZAĆ piekarnik do temperatury 220°C, półkę umieścić pośrodku. Metalową bądź aluminiową brytfannę do pieczenia

46 cm x 30 cm wyłożyć folią aluminiową. Jeśli skóra ryby jest w całości wraz z ogonem, ułożyć ją na folii i nadziać masą rybną, tak aby całość przybrała kształt ryby. Z resztek masy ulepić mokrymi dłońmi podłużne pulpety. Jeśli wykorzystujemy głowę ryby, należy również nadziać ją farszem rybnym i razem z pulpetami włożyć do brytfanny. Przy formowaniu klopsa z pasem rybiej skóry jako dekoracją (zob. wstęp do przepisu) ułożyć masę rybną na folii, nadając jej wymiary ok. 40 cm x 15 cm, i położyć skórę na wierzchu. Wierzch faszerowanej ryby bądź klopsa z pasty rybnej posmarować odrobiną oleju. Piec do czasu, aż wierzch zacznie się przyrumienić, około 20 minut.

4. Gdy ryba piecze się w piekarniku, doprowadzić bulion rybny do wrzenia na wolnym ogniu. Do brytfanny z rybą wlać tyle gorącego bulionu, aby sięgał do 2/3 wysokości ryby. Gdyby zabrakło bulionu, dolać nieco wody. Włożyć do brytfanny całe marchewki. Zmniejszyć temperaturę do 170°C, luźno nakryć brytfannę folią aluminiową i dalej dusić rybę, aż będzie całkowicie ugotowana, około 45 minut. Podlać ją płynem raz czy dwa, a jeśli w brytfannie są też pulpety, obrócić je.

5. Ostudzić całkowicie rybę w płynie przez około 3 godziny, przykryć folią spożywczą i na noc włożyć do lodówki. Przed podaniem ostrożnie przenieść rybę na długi półmisek za pomocą dwóch dużych łyatek. Można przybrać rukwią wodną. Jeśli jest głowa, dołączyć ją do całości. Pokroić marchewki na plasterki i udekorować nimi rybę. Podawać z chrzanem.

Lata trzydzieste

Kotlety

Mamine rosyjskie hamburgery

Kotlety na obiad, kotlety na kolację, kotlety wołowe, wieprzowe, rybne, drobiowe, a nawet kotlety z mielonej marchwi czy buraków. Praktycznie cały ZSRR żywił się tymi tanimi, pysznymi smażonymi pasztecikami, a jeśli towarzysze nie

przyrządzały ich samodzielnie, to kupowali gotowe w sklepach. W Moskwie razem z Mamą żywiłyśmy potajemną namiętność do proletariackiej wersji za sześć kopiejek, produkowanej przez zakłady mięsne nazwane na cześć stalinowskiego komisarza przemysłu spożywczego Anastasa Mikojana. Zainspirowany swą podróżą do Ameryki, odbytą w 1936 roku, Mikojan chciał skopiować w Rosji jankeskie burgery, tak się jednak złożyło, że w całym zamieszaniu bułka gdzieś się zapodziała i ostatecznie kraj zbzikował na punkcie samych masowo produkowanych kotletów. Fabrycznych pasztecików Mikojana, przepysznie tłustych, malutkich i w grubej przemysłowej panierce, która wysmażała się w niewiarygodnie chrupiącą skórkę, można było wsunąć choćby i tuzin naraz. Mama i ja, szalejące z nostalgii, usiłowałyśmy z milion razy odtworzyć je w domu, lecz bezskutecznie – niektórych fabrycznym frykasów po prostu nie da się podrobić. Zawsze więc powracałyśmy do maminej (znacznie wykwintniejszej) wersji domowej.

Każdy był kucharz radziecki ma jakiś sposób na przyrządzenie soczystych, smakowitych pasztecików. Niektórzy dodają kruszonego lodu, inni wrzucają kawałeczki masła albo mieszają z ubitym białkiem. Mama lubi swoje kotlety na modłę odeską (czosnkowe!), a jako spoiwa dodaje majonezu zamiast zwykłego jajka, z fantastycznym skutkiem. Ten sam przepis sprawdza się również dla mielonego indyka, kurczaka i ryby. Kasza gryczana tworzy nostalgiczny rosyjski akompaniament. Podobnie jak cienkie pałeczki z ziemniaków, powoli smażone z cebulą w dużej ilości masła bądź oleju. Uwielbiam zimne kotlety na lunch następnego dnia, z gliniastym ciemnym chlebem, ostrą musztardą oraz dobrym, chrupiącym ogórkiem kiszonym.

KOTLETY

Na 4 osoby

650 g świeżo zmielonej karkówki wołowej (bądź mielonego wołowo-wieprzowego)
2 kromki czerstwego białego chleba bez skórki, moczonego w wodzie przez 5

minut i odciśniętego
1 mała cebula, starta
2 średnie ząbki czosnku, zmiażdżone w prasce
2 łyżki stołowe drobno posiekanej koperku bądź zielonej pietruszki
2½ łyżki stołowej pełnotłustego majonezu
1 łyżeczka soli koszernej
½ łyżeczki mielonego czarnego pieprzu do smaku
250–350 g (2–3 szklanki) drobnej bułki tartej na panierkę
Olej rzepakowy bądź słonecznikowy i niesolone masło do smażenia

1. W dużej misce wymieszać pierwsze 8 składników i zmiksować na gładką masę. Przykryć folią spożywczą i włożyć do lodówki przynajmniej na 30 minut.

2. Mokrymi dłońmi formować masę w ovalne paszteciki o długości ok. 9 cm. Rozsypać bułkę tartą na dużym talerzu bądź arkuszu papieru woskowanego. Obtaczać kotlety w bułce, spłaszczając je lekko i przyciskając, aby bułka przywarła.

3. Na dużej patelni podgrzać 2 łyżki stołowe oleju z odrobiną masła, aż zacznie skwierczeć. Smażyć kotlety partiami na średnio dużym ogniu na złotobrązowy kolor, około 4 minuty na każdej stronie. Przykryć patelnię, zmniejszyć temperaturę do niskiej i smażyć jeszcze przez 2–3 minuty, aż dojdą. Przenieść na talerz wyłożony ręcznikami papierowymi. Podobnie postąpić z resztą partii. Podawać od razu.

Lata czterdzieste

Kartoczki

Kartki na chleb

Rozpoczynając pracę nad rozdziałem o latach czterdziestych, rozważałyśmy z Mamą rozmaite pomysły na menu typowe dla tej dekady. Może powinnyśmy upiec kaszę jaglaną, jak moja babcia Liza w magazynie w rodzinnym mieście Lenina Uljanowsku, gdzie ich ewakuowano? A może zaimprowizowałyśmy wojenne „ciasto” – kromkę czarnego chleba ledwie wyczuwalnie posypanego cukrem?

Zastanawiałyśmy się nawet nad rekonstrukcją bankietu na konferencji jałtańskiej w lutym 1945 roku, gdzie Wielka Trójka ze swym *entourage'em* delektowała się pilafem z przepiórek i rybami w sosie szampańskim, podczas gdy wyniszczony kraj głodował.

W końcu zmieniłyśmy zdanie – gotowanie wydało nam się nie na miejscu. Zamiast przepisu proponuję zdjęcie książeczki z kartkami na żywność. Miejsce wydania: Leningrad. Data: grudzień 1941, trzeci miesiąc straszliwego oblężenia, które ciągnęło się 900 dni i kosztowało życie miliona osób. Temperatury owej zimy spadały do minus 30 stopni. Nie było ogrzewania, prądu, bieżącej wody w zamarzniętym mieście, rury kanalizacyjne pękały od mrozu, transport nie działał. Imperialna stolica Piotra Wielkiego przypominała pokryty śniegiem cmentarz, gdzie wycieńczone tłumy, spośród których wielu już wkrótce stanie się duchami, wystawały w kolejkach po swój przydział chleba. W grudniu 1941 roku racje spadły do 250 gramów dla robotników przemysłowych, a dla wszystkich pozostałych obywateli – do 125 gramów, zaledwie 12,5 deka czegoś kleistego i wilgotnego, fałszowanego trocinami, paszą dla zwierząt i celulozą. A jednak te 125 gramów – 20 drobnych codziennych kęsów uzyskanych dzięki malutkiemu skrawkowi papieru – stanowiło często różnicę między przetrwaniem a śmiercią.

Taki obraz zasługuje na chwilę zadumy.

Lata pięćdziesiąte

Czanachi

Gruzińska jagnięcina duszona z ziołami i jarzynami

W czasach sowieckich, nie mając szans na podróże i styczność z zagranicznymi kuchniami, Rosjanie poszukujący

wymyślnych, aromatycznych potraw zwracali się ku egzotycznym obrzeżom ZSRR. Gruzińska sztuka kulinarna była w Moskwie praktycznie *haute cuisine*, zaspokajając nasze północne tęsknoty za aromatem wędzenia, ziół, czosnku i za wyrazistymi, słonecznymi przyprawami. Jeśli potraficie zapomnieć o tym, że potrawa ta była być może ulubionym danem Stalina, ten przypominający zupę jednodaniowy posiłek okaże się cudem. Gruzińska skłonność do stosowania naręczy wonnych ziół prezentuje się tutaj w fascynującej okazałości, a mięso dusi się w zasadzie w swoich własnych ziołowo-czosnkowych sokach, w towarzystwie delikatnych bakłażanów, pomidorów i kartofli. Według tradycji potrawę tę należy zapiekać w glinianym garnku zwany *czanachi*. Jednak emaliowane żeliwo, na przykład naczynia „Le Creuset”, bądź wielki, solidny garnek (piekarnik) holenderski***** spiszą się równie dobrze. Do potrawki tej potrzeba jedynie porządnego gorących podpłomyków, które będą wchłaniać sos, oraz orzeźwiającej sałatki z pikantnej zieleniny.

CZANACHI

Na 6–8 osób

2 pęczki (1 ubita szklanka) posiekanych listków kolendry i dodatkowa ilość do podania na stół

2 pęczki (1 ubita szklanka) posiekanych listków bazylii i dodatkowa ilość do podania na stół

2 pęczki (1 ubita szklanka) posiekanych listków pietruszki i dodatkowa ilość do podania na stół

12 dużych ząbków czosnku, zmiażdżonych

Sól koszerna i świeżo zmielony czarny pieprz do smaku

1 łyżeczka papryki w proszku oraz dodatkowa ilość do natarcia jagnięciny

Duża szczypta tureckich płatków czerwonej papryki, np. aleppo, oraz dodatkowa ilość do natarcia jagnięciny

1,3–1,5 kg kotletów z łopatki jagnięcej, oczyszczonych z nadmiaru tłuszczu i przepołowionych wzdłuż

3 średnie cebule, przekrojone na ćwiartki i cienko poplasterkowane w poprzek

2 łyżki stołowe oliwy z oliwek

2 dojrzałe, dorodne pomidory, posiekane, oraz 4 dorodne pomidory pokrojone na ćwiartki wzdłuż

350 ml (1 ½ szklanki) soku pomidorowego
2 łyżki stołowe czerwonego octu winnego
Wrząca woda w miarę potrzeby
3 podłużne, wąskie bakłażany (o długości 25–30 cm)
3 średniej wielkości ziemniaki odmiany „Yukon Gold” bądź inne sałatkowe o żółtej barwie, obrane i pokrojone w kliny

1. Nagrzać piekarnik do temperatury 170°C, umieścić półkę na 1/3 wysokości. W dużej misce wymieszać kolendrę, bazylię, pietruszkę i czosnek. Zmieszać całość z ½ łyżeczki soli oraz obfitością czarnego pieprzu, papryki w proszku i płatków papryki.

2. Natrzeć kotlety jagnięce solą, czarnym pieprzem, papryką w proszku i w płatkach. W dużej misce obtoczyć mięso w cebuli. Dodać dużą garść mieszanki przypraw oraz oliwę i obtoczyć.

3. Umieścić jagnięcinę i cebule jak najciąśniej na dnie dużego rondla żeliwnego ze szczelnie dopasowaną pokrywką. Umieścić rondel na dużym ogniu i gotować do chwili, aż z dna zacznie unosić się para, około 3 minut. Zmniejszyć ogień do niewielkiego, dokładnie przykryć i gotować do czasu, aż mięso się ciemnieje i puści dużo soku, około 12 minut. Obrócić mięso, przykryć i gotować jeszcze 3–4 minuty. Dodać pokrojone pomidory, kolejną garść ziół, 240 ml soku pomidorowego, łyżkę stołową octu i doprowadzić do wrzenia. Przykryć i przenieść garnek do piekarnika. Gotować, aż jagnięcina będzie miękką, 1½–1¾ godziny, zaglądając od czasu do czasu i dolewając nieco wody, jeśli wydaje się sucha.

4. Gdy mięso się gotuje, umieścić każdy z trzech bakłażanów na oddzielnym palniku kuchenki, ustawiając średnio wysoki ogień. Przypiekać, obracając i poruszając warzywa do czasu, aż ich powierzchnia lekko zbrązowieje, a miejscami zacznie się zwęglądać, lecz środek pozostanie wciąż jadrny, czyli 2–3 minuty. Uważyć na kapiący sok i iskry. Za pomocą szczypiór przenieść bakłażany na deskę do krojenia, a gdy przestygnią dostatecznie, by można ich dotykać, rozkroić każde z warzyw w poprzek na 4

części. Małym ostrym nożem wyciąć zagłębienie w każdej z nich i wypełnić je mieszanką ziołową. W dwóch oddzielnych miskach przyprawić solą i odrobiną mieszanki ziołowej ziemniaki i pokrojone pomidory.

5. Wyjąć jagnięcinę z piekarnika i dodać do niej ziemniaki, za pomocą szczypców i dużej łyżki wpychając je delikatnie pod mięso. Wlać resztę soku pomidorowego i octu, dorzucić garść mieszanki ziołowej i dodać tyle wrzątka, jeśli potrzeba, żeby ziemniaki i mięso były porządnie przykryte. Rozłożyć na wierzchu kawałki bakłażana, zanurzając je w płynie. Przykryć i piec jeszcze przez 30 minut. Potem dodać pomidory, rozrzucając je po wierzchu bez mieszania, posypać resztą mieszanki ziołowej. Przykryć i piec jeszcze kolejne 20 minut.

6. Zwiększyć temperaturę piekarnika do 200°C. Odkryć rondel i piec do zgęstnienia sosu, około 15 minut. Wyjąć potrawę z pieca i pozostawić na 5–10 minut do przestygnięcia. Podawać prosto z garnka, posypaną ziołami.

Lata sześćdziesiąte

Chleb kukurydziany dla Chruszczowa

Mołdawski chleb kukurydziany z fetą

Powiedz „Chruszczow”, a Rosjanin zaczyna się śmiać i z miejsca woła: *kukuruza!* Ku czci więc Nikity „Kukuruźnika” Chruszczowa i jego szaleńczej krucjaty, by zarazić nasz Związek miłością do kukurydzy, Mama i ja zapragnęłyśmy przyrządzić kukurydziany hołd. Samo jednak pojęcie chleba kukurydzianego wydało się Mamie cudaczne. Dla Słowianina z północy – stwierdziła – chleb zrobiony z kukurydzy to jakiś oksymoron ocierający się o świętokradztwo. Chleb jest święty i chleb jest z *pszenicy*. Kolejki po chleb, które ustawiały się w okresie klęski nieurodzaju w 1963 roku, przyczyniły się do wypchnięcia Chruszczowa na wcześniejszą emeryturę, a gdy on zniknął z pola widzenia, kukurydza albo została całkiem

zapomniana, albo też na północnych obszarach Związku wspominano ją jako rolniczy dowcip. Jednak w południowo-zachodnim ZSRR było inaczej – przypomniałam Mamie. Tam kaszka kukurydziana od wieków należała do typowych produktów żywnościovych. Gruzini szykują z niej *gomi* (białą kaszkę) albo *mczadi*, placki, które macza się w sosach, w zachodniej Ukrainie i w Mołdawii jada się mamałygę, miejscowościową polentę, jako codzienną kaszę.

Ja sama odkryłam obfitość radzieckich przepisów kukurydzianych, gdy szukałam materiałów do książki *Please to the Table*. I zakochałam się w tym fantastycznie wilgotnym, nadzwyczajnie smakowitym mołdawskim chlebie kukurydzianym, uszlachetnianym według miejscowościowego zwyczaju śmietaną i ostrym serem feta. Niedawno upiekłam go dla Mamy. Wyszedł tak pyszny, że zjadłyśmy go prosto z blaszki, jeszcze ciepły, posypany przypieczoną na ogniu papryką. Mama przypomniała sobie, jak w bezchlebnym roku 1963 wyrzuciła torbę kaszy kukurydzianej, którą ktoś jej podarował. „Co miałabym zrobić z tymi żółtymi trocinami?” – zastanawiała się wtedy. Teraz już wie. A oto przepis.

CHLEB KUKURYDZIANY DLA CHRUSZCZOWA

Na 6 osób

2 duże jaja, lekko ubite
500 ml (2 szklanki) mleka
90 g (6 łyżek stołowych) niesolonego masła, stopionego, oraz dodatkowa ilość do natłuszczenia foremki
120 ml (½ szklanki) śmietany
350 g (2 szklanki) drobnej żółtej mąki kukurydzianej, najlepiej mielonej na żarnach
90g (¾ szklanki) zwykłej mąki
1 łyżeczka cukru
2 łyżeczki proszku do pieczenia
½ łyżeczki sody oczyszczonej
340 g (2 szklanki) startego bądź drobno pokruszonego sera feta
Paski przypieczonej czerwonej papryki do posypania przed podaniem (niekoniecznie)

1. Nagrzać piekarnik do 200°C, półkę umieścić pośrodku. W dużej misce starannie wymieszać pierwsze 4 składniki. Do innej przesiać mąkę kukurydzianą, zwykłą mąkę, cukier, proszek do pieczenia i sodę. Utrzepać te suche składniki z zawartością miski z jajkami i ubić na gładką masę. Dodać fetę i dalej ubijać na jednolite ciasto. Pozostawić je na 10 minut.

2. Wysmarować masłem foremkę do pieczenia wielkości ok. 23 cm x 23 cm, wysokości 5 cm. Wlać ciasto do foremki i wyrównać powierzchnię. Piec na lekko złocisty kolor, aż zrobi się sprężyste w dotyku, około 35–40 minut. Chleb podawać na ciepło, z przypieczoną papryką wedle upodobania.

Lata siedemdziesiąte

Sałatka „OliVier”

Rosyjska sałatka ziemniaczana z ogórkami kiszonymi

Ta sałatkowa radziecka ikona, *sine qua non* socjalistycznego świętowania, ma w rzeczywistości godną podziwu burżuazyjną historię. Skąd jej nazwa? Pochodzi od niejakiego Luciena Oliviera, francuskiego szefa kuchni, który zachwycił Moskwę lat sześćdziesiątych XIX wieku swoją ekskluzywną restauracją „L’Hermitage”. Oryginalne dzieło Gala nie miało oczywiście prawie nic wspólnego z naszą radziecką sałatkową klasyką. W jego wydaniu była to ekstrawagancka martwa natura z głuszca, ozora i raczych ogonów, ułożonych wokół kopca z ziemniaków i korniszonów, a wszystko razem okraszone sosem prowansalskim, sekretem mistrza. Ku przerażeniu Oliviera rosyjscy klienci zwulgaryzowali jego misterne dzieło, mieszając wszystkie składniki na swoich talerzach. Przerobił więc swoją potrawę na sałatkę. Potem nadszedł 1917 rok. Restaurację „L’Hermitage” zamknięto na cztery spusty, jej potrawami wzgardzono. Każde radzieckie dziecko znało wierszyk Majakowskiego: „Jedz ananasy, jarząbki żuj, /Dzień twój

nadchodzi ostatni, burżuju”*****.

Sałatka otrzymała swoje drugie życie w połowie lat trzydziestych, kiedy dawny uczeń Oliviera, szef kuchni znany jako towarzysz Iwanow, wskrzesił ją w zbudowanym za Stalina hotelu „Moskwa”. Wskrzesił w formie radzieckiej. Kurczęta zastąpiły wrogiego klasowo głuszca, proletariackie marchewki dano w miejsce pierwotnego różu raków, a w centrum uwagi znalazły się kartofle i groszek w puszcze, całość zaś skąpana w naszym rodzimym, produkowanym masowo majonezie „Prowansal”.

Warianty tej sałatki podróżowały po świecie razem z emigrantami białej Rosji. Do dziś ze zdumieniem odkrywam ją pod nazwą „sałatka rosyjska” w steakhouse’ach w Buenos Aires, na stacjach kolejowych w Stambule bądź jako element koreańskiego, hiszpańskiego czy irańskiego stołu z przekąskami. Jestem zdumiona i nawet troszkę dumna.

Przy naszym prywatnym stole Mama nadaje tej typowo radzieckiej potrawie artystowski, nonkonformistyczny wyraz, dorzucając świeże ogórki i jabłka, a kurczaka zastępując mięsem krabów (możecie jednak pozostać przy tym pierwszym). Ostateczny klucz do sukcesu stanowi jednak według niej pokrojenie wszystkiego w drobniutką kostkę. Poza tym obsesyjnie udoskonala majonez „Hellmann’s” rozmaitymi smakowitymi przyprawami. Sądzę, że znalazłyby to uznanie w oczach Luciena Oliviera.

SAŁATKA „OLIVIER”

Na 6 osób

Sałatka

- 3 duże ziemniaki sałatkowe, obrane, ugotowane, pokrojone w kostkę
- 2 średnie marchewki, obrane, ugotowane, pokrojone w kostkę
- 1 duże jabłko „Granny Smith” obrane i pokrojone w kostkę
- 2 średnie ogórki kiszone, pokrojone w kostkę
- 1 średni ogórek bez nasion, obrany i pokrojony w drobną kostkę

3 duże jajka ugotowane na twardo, posiekane
400 g groszku z puszki, dobrze odsączonego
4 łyżki stołowe ($\frac{1}{4}$ szklanki) cebuli szczypiorowej, posiekanej (razem z 75 cm zielonego szczypiorku)
4 łyżki stołowe ($\frac{1}{4}$ szklanki) drobno pokrojonego koperku
340 g białego mięsa krabów, rozdrobnionego, bądź paluszki krabowe, posiekane (albo zastąpić posiekanym gotowanym kurczakiem lub wołowiną)
Sól koszerna i świeżo zmielony czarny pieprz do smaku

Dressing

240 g (1 szklanka) bądź więcej, do smaku, majonezu „Hellmann's”
80 ml (1/3 szklanki) śmietany
2 łyżki stołowe świeżo wyciśniętego soku z cytryny
2 łyżki stołowe musztardy „Dijon”
1 łyżeczka białego octu spirytusowego
Sól koszerna do smaku

1. W dużej misce połączyć wszystkie składniki, posolić i popieprzyć do smaku.

2. W średniej misce roztrzepać razem wszystkie składniki dressingu, posolić i skosztować – powinien być pikantny i przyjemnie szczypać w język. Starannie wymieszać sałatkę z dressingiem, jeśli nie wydaje się zbyt sucha, dodać jeszcze majonezu. Doprawić do smaku. Podawać w misie kryształowej bądź szklanej.

Lata osiemdziesiąte

Taty barszcz nad barszcze

Barszcz z wołowiną, grzybami, jabłkami i fasolą

Dla mojego dziecięcego podniebienia *borszcz* był nie tyle zupą, ile codziennym sowieckim losem, czymś, z czym należało się pogodzić, tak jak z moskiewską wodą kranową czy z niekończącą się szarością socjalistycznej zimy. Nasz radziecki barszcz przybierał różne maski. Był *borszcz* prywatny, jak w maminej oszczędnej wersji jarzynowej, wzruszający w swej monotonii. Istniała też ohydna instytucja instytucjonalnego

barszczu ze stołówek, po którym pływały czerwonawe oka tłuszczu. Zimą rozgrzewaliśmy kości byle jakim gorącym barszczem, kulinarnym odpowiednikiem wymęczonego lutowego śniegu. Latem znów orzeźwialiśmy się *swiekolnikiem*, zimnym, cienkim *borszczem* spopularyzowanym tu, w Ameryce, przez wschodnioeuropejskich Żydów.

Zupą analogiczną do nich wszystkich, lecz inną, niedostępną, był mityczny „prawdziwy” barszcz ukraiński, znany nam z opisów w zatwierdzonych przez państwo broszurkach z przepisami autorstwa najemnych „historyków gastronomicznych”. Wyglądało na to, że tamten *borszcz* jest tym wszystkim, czym nie jest nasz. Dostatecznie gęsty, żeby można w nim postawić łyżkę, pitraszony na milion regionalnych sposobów i obfitujący we wszelakiego rodzaju mięsiwo. Mięsiwo?! Tamtenbarszcz był odpowiednikiem folklorystycznej, propagandowej Ukrainy, naszego zdrowego sowieckiego spichlerza i zagłębia buraka cukrowego, ukazywanego tak, jak gdyby nigdy nie zaznał okropności głodu i kolektywizacji. Ani razu w dzieciństwie nie skosztowałam niczego, co przypominałoby ów nieuchwytny „prawdziwy” barszcz ukraiński. Zresztą tak naprawdę niespecjalnie mi na tym zależało. Kiedy wyjechałyśmy, oczekiwaliśmy raczej tego, żeby w moim życiu nie było już *borszczu* – Mama jednak uparcie trwała przy swej oszczędnej jarskiej wersji.

Moje nastawienie do barszczu zmieniło się dopiero pod wpływem obiadu przygotowanego przez Siergieja, mojego ojca, który podczas naszego rodzinnego spotkania w Moskwie w 1987 roku chciał zrobić wrażenie na Mamie. Nigdy w życiu nie jadłam czegoś takiego, jak arcydzieło Taty, przygotowane na bazie esencjonalnego, mięsnego bulionu, w intensywnym kolorze granatów uzyskanym dzięki wyciśnięciu soku z buraków, z niekonwencjonalnym dodatkiem grzybów i fasoli i aromatycznym zwieńczeniem w postaci skwarek. Choć podczas

moich późniejszych wypraw na Ukrainę próbowałam wiele autentycznych regionalnych wariantów, barszcz Taty pozostaje dla mnie platońskim ideałem.

A oto przepis Taty. Moją jedyną innowacją jest zastąpienie świeżego soku z buraków pieczonymi burakami, co pozwala uzyskać tę samą głębię koloru. Esencjalny, ugotowany w domu bulion sprawia, że zupa jest wyjątkowa, jeśli jednak ten wysiłek przerasta wasze siły, pomińcie pierwszy punkt, w punkcie trzecim użyjcie około 2,5 litra bulionu kupnego, a zamiast gotowanej wołowiny dodajcie około pół kilo pokrojonej w plasterki polskiej kiełbasy bądź dobrej wędzonej szynki. Jak większość wiejskich zup, barszcz niebywale zyskuje na odstaniu, należy go więc ugotować dzień wcześniej. Gruba kromka pumpernikla lub chleba jęczmiennego na zakwasie (lejko natarta czosnkiem) będzie nieodzowna. Podobnie jak kleks śmietany.

TATY BARSZCZ NAD BARSZCZE

Na 10–12 osób

1 kg wołowiny w jednym kawałku – karkówka, giczy bądź mostku – oczyszczony z nadmiaru tłuszczu

3,3 l (14 szklanek) wody

2 średnie cebule w całości oraz 1 duża cebula posiekana

2 średnie marchewki w całości oraz 1 duża marchew obrana i pokrojona w plasterki

1 liść laurowy

Sól koszerna i świeżo zmielony czarny pieprz

2 średnie buraki, umyte, oczyszczone z liści

25 g suszonych prawdziwków, opłukanych i moczonych przez godzinę w szklance gorącej wody

2 plasterki dobrego wędzonego boczku, drobno pokrojonego

1 duża zielona papryka, wydrążona i pokrojona w kostkę

45 g (3 łyżki stołowe) niesolonego masła bądź więcej w razie potrzeby

200 g (2 szklanki) siekanej zielonej kapusty

1 łyżeczka słodkiej papryki w proszku

3 średniej wielkości ziemniaki sałatkowe, obrane i pocięte w 2,5-centymetrową kostkę

400 g pokrojonych w kostkę pomidorów z puszki oraz około połowa ich zalewy

1 małe jabłko „Granny Smith”, obrane, oczyszczone z gniazda nasionnego, pokrojone w kosteczkę
40 g czerwonej fasolki z puszki, odsączonej i opłukanej
3 duże ząbki czosnku, drobno posiekane
2 łyżki stołowe drobno posiekanej zielonej pietruszki
2 łyżki stołowe octu spirytusowego bądź więcej do smaku
2 łyżki stołowe cukru bądź więcej do smaku

Podawać ze śmietaną, posiekany świeżym koperkiem i cieniutko pokrojoną cebulą szczypiorkową.

1. Włożyć wołwinę do dużego garnka na rosół, zalać wodą i na dużym ogniu doprowadzić do wrzenia. Zebrać szumowiny i zmniejszyć ogień do małego. Dodać całe cebule i marchewki oraz liść laurowy, doprawić solą i pieprzem do smaku. Gotować na małym ogniu częściowo przykryte, aż mięso zmięknie, około $1\frac{1}{2}$ godziny. Po wyjęciu mięsa przecedzić rosół. Powinniśmy otrzymać ok. $2\frac{1}{2}$ – $2\frac{3}{4}$ litra bulionu. Wołwinę pokroić na 4-centymetrowe kawałki i zachować na później.

2. Podczas gotowania rosołu nagrzać piekarnik do 200°C . Owinąć w folię aluminiową każdy burak oddziennie i piec do czasu, aż końcówka małego nożyka będzie wchodzić miękko, ok. 45 minut. Odwinąć buraki, wrzucić je do miski z zimną wodą, potem zdjąć skórkę. Utrzeć buraki na czworokątnej tarce bądź w robocie kuchennym. Odłożyć na bok. Odlać płyn, w którym moczyły się grzyby, i zachować do innego wykorzystania. Posiekać grzyby.

3. W dużym, ciężkim garnku na zupę usmażyć pokrojony boczek na niewielkim ogniu aż do chrupkości. Wyjąć skwarki łyżką cedzakową i zostawić na potem. Na pozostały tłuszcz wrzucić posiekana cebulę i grzyby, pokrojoną w plasterki marchewkę i zieloną paprykę, dusić, aż zmiękną, ok. 7 minut, dodając nieco masła, jeśli zawartość garnka wydaje się sucha. Dodać pozostałe masło i kapustę, dusić, mieszając, przez kolejne 5 minut. Dodać paprykę w proszku i mieszać przez kilka sekund. Wlać bulion, wrzucić ziemniaki, pomidory, jabłko

i przygotowaną wołowinę, doprowadzić do delikatnego wrzenia. Zebrać ewentualne szumowiny, doprawić solą do smaku, przykryć i gotować na wolnym ogniu do czasu, aż ziemniaki będą prawie miękkie, ok. 15 minut. Dodać połowę przygotowanych buraków i fasolkę, wlać nieco wody, jeśli zupa wydaje się za gęsta. Gotować dalej na niewielkim ogniu, aż wszystkie jarzyny będą miękkie, a smaki się połączą, jeszcze około 25 minut. (Do tego momentu barszcz można przygotować dzień wcześniej. Odgrzewać należy go powoli, rozcieńczając odrobiną wody, jeśli od czasu odstawienia zanadto zgęstniał).

4. Przed podaniem utłuc w moździerzu czosnek i pietruszkę z łyżeczką mielonego czarnego pieprzu, tak aby powstała grubo mielona pasta. Dodać do zupy gotującej się na wolnym ogniu razem z przygotowanymi skwarkami, resztą buraków, octem i cukrem. Dodatkowo doprawić do smaku i gotować jeszcze przez 5 minut. Przed podaniem *borszcz* powinien odstać 10 minut. Nalewając na talerze, dodawać na każdy odrobinę śmietany i posypywać siekanym koperkiem i szczypiorkiem. Poradzić gościom, żeby starannie wymieszali barszcz ze śmietaną.

Lata dziewięćdziesiąte

Palow

Środkowoazjatycki pilaf z ryżu, jagnięciny i marchwi

Nigdy nie jadałem dziwaczniej niż podczas ostatniej zimy Związku Radzieckiego w 1991 roku. Gospodarka waliła się w gruzy, jedzenia mogło nie być w jednym miejscu, ale za sprawą jakichś tajemniczych sił czarnego rynku kawałek dalej znajdowaliśmy jego obfitość. Tłukąc się w rozklekotanym żiguli po drogach upadającego imperium, mój były chłopak i ja w jednej chwili pościliśmy, by już w następnej ucztować. Spośród tych uczt najbardziej podobały mi się te w uzbecko-tadżyckim mieście Samarkanda (gdzie siły rynku nigdy nie straciły na

znaczeniu). Zawsze można tam było liczyć na wędzone kebaby ze zdezelowanych straganów, ambrozyjne melony poukładane w sterty na wozach, a w domach mieszkańców – zawsze na aromatyczny, odświętny palow, usypany w wysoki kopiec na półmisku z niebiesko-białej ceramiki. Na zewnątrz świat zdawał się rozпадać, lecz we wnętrzach samarkandzkich domów zasiadaliśmy nisko na ozdobnych poduszkach i popijając bogatą w garbniki zieloną herbatę, nabieraliśmy sobie pysznego żółtego ryżu (lewą ręką, jak nakazuje obyczaj) i grzecznie przytakiwaliśmy nacjonalistycznym deklaracjom, że pilaf tadżycki jest nieporównanie lepszy niż pilaf uzbecki – bądź *vice versa*. Deklaracje te nie miały najmniejszego sensu. W odróżnieniu od *jedzenia* tego ryżu.

Palow – uczta z przyprawionej kminem jagnięciny i ryżu, duszonych razem na parze do chwili, aż każda łyżka staje się równie wymowna jak kwartyna Omara Chajjama***** – cieszy się w Azji Środkowej statusem tak doniosłego rytuału, że wśród kwiectistycznych legend o jego narodzinach pojawia się Aleksander Wielki, w innych znów wersjach Czyngis-chan. Potrawa jest przygotowywana według ściśle określonych zasad, tradycyjnie przez mężczyzn (i często dla mężczyzn), nad ogniskiem. Jest jednak bajeczna również wtedy, gdy ugotuje się ją w domowej kuchni, niezwykle łatwo ją wzbogacać. Jej duszę stanowi *zirwak*, baza z jagnięciny i mnóstwa cebuli z marchewką. (Do tej mieszanki można spokojnie dodać nieco pokrojonej w kostkę pigwy i garść rodzynek, a także szklankę ciecierzycy z puszki). Przyprawy są proste i wymowne – dodaje się słodką i ostrą paprykę, całą główkę czosnku oraz suszone jagódki berberysu o ostrym cytrynowym zapachu***** (rozglądarkie się za nimi na bliskowschodnich bazарах). Ryż krótko- bądź średnioziarnisty układają się wówczas na górze, a wszystko to dusi się na parze aż do doskonałości w *kazanie*, garnku używanym przez koczownicze ludy tureckie, który można zastąpić jakimkolwiek ciężkim

garnkiem ze szczelnie dopasowaną pokrywką.

Palow smakuje najlepiej z paroma smakowitymi sałatkowymi śródkowoazjatyckimi przystawkami. Jedną z nich jest surówka z szatkowanej słodkiej rzodkwi japońskiej *daikon* (zwanej też *mooli*) z marchewką, z sosem z octu spirytusowego, odrobiny oleju i szczypty cukru. Do drugiego niezbędnego dodatku potrzebujemy pokrojonych w cienkie plasterki: 1 dużej cebuli, 2 dużych zielonych papryk oraz 3 dużych dojrzałych pomidorów. Układamy je warstwami w płytcej misce, przyprawiając solą i pieprzem oraz skrapiając łagodną oliwą z oliwek i czerwonym octem winnym. Niech sałatka się przegryza, gdy palow się gotuje. Bogata w garbniki zielona herbata w małych czarkach jest klasycznym śródkowoazjatyckim napojem, lecz my, Rosjanie, nalewamy też wódki.

PALOW

Na 8 osób

3 łyżki stołowe – lub więcej w miarę potrzeby – oleju rzepakowego bądź łagodnej oliwy z oliwek

1,2 kg łopatki jagnięcej wraz z częścią tłuszcza i paroma kośćmi, pocięte na 2,5-centymetrowe kawałki

Sól koszerna i świeżo zmielony pieprz do smaku

2 duże cebule, posiekane

1½ łyżki stołowej nasion kminu

1½ łyżeczki papryki w proszku

2 duże szczypty ostrej papryki bądź pieprzu kajeńskiego

1 duża szczypta kurkumy

3–4 łyżki stołowe jagód berberysu (do dostania na niektórych bliskowschodnich bazarach)*****opcjonalnie

3 duże marchewki, obrane i starte na grubych oczkach

400 g (2 szklanki) ryżu krótko- bądź średnioziarnistego, opłukanego kilka razy i odsączonego

850 ml (3½ szklanki) wrzątku

1 cała głowka czosnku po usunięciu zewnętrznych łusek

Dodatki – zob. wstęp do przepisu

1. W dużym, ciężkim rondlu, najlepiej o owalnym dnie, podgrzać olej, aż zacznie dymić. Natrzeć jagnięcinę obficie solą i

pieprzem. W 2–3 partiach dobrze obsmażyć mięso z każdej strony, przekładając zrumienione kawałki do miski. Kiedy cała jagnięcina jest już obsmażona, wrzucić do rondla cebulę, a w razie potrzeby dodać jeszcze nieco oleju, i dusić, mieszając aż do jej przypieczenia na brązowy kolor, ok. 7 minut. Włożyć jagnięcinę z powrotem do rondla, zmniejszyć ogień na mały i mieszając, dodawać kmin, paprykę słodką i ostrą, kurkumę i berberys (jeśli ma być użyty). Obficie posolić, przykryć i gotować na wolnym ogniu 15 minut, dolewając po trochu wody, jeśli mięso zacznie się przypalać. Starannie wymieszać z marchewką i dusić jeszcze 1–2 minuty. Dodatkowo doprawić do smaku.

2. Spłaszczyć mięso grzbietem dużej łyżki. Wysypać ryż na jagnięcinę i włożyć do niego główkę czosnku. Bezpośrednio na ryżu umieścić niewielką przykrywkę bądź żaroodporny talerz (tak aby przy dodawaniu wody nie zepsuć ułożenia ryżu i mięsa). Wlać wrzątek jednolitym strumieniem. Zdjąć przykrywkę (bądź talerzyk), uważając, żeby się nie oparzyć. Skosztować płynu i w razie potrzeby dosolić. Gotować ryż bez przykrycia i bez mieszania na niewielkim ogniu, aż poziom płynu zrówna się z ryżem i powierzchnia zacznie bulgotać, ok. 15 minut.

3. Za pomocą łyżki uformować ryż w kopczyk i końcówką drewnianej łyżki zrobić w nim 6–7 otworów, tak aby para miała kierę uchodzić. Zmniejszyć ogień do najmniejszego z możliwych – można umieścić pod rondlem dodatkową płytka – przykryć szczelnie i pozwolić ryżowi parować do czasu, aż zmięknie, ok. 25 minut. Zajrzeć 2–3 razy i jeśli ilość pary wydaje się zbyt mała, wlać w otwory nieco wody. Zdjąć z palnika i pozostawić pod przykryciem na 15 minut.

4. Ryż wysypać na duży odświętny półmisek, lekko go spulchniając. Ułożyć na nim mięso i warzywa w formie kopczyka, z główką czosnku na czubku. Podawać z sałatkami z pomidorów i tartej rzodkwi.

XXI wiek

Bliny

Rosyjskie naleśniki z dodatkami

Wreszcie zjawiła się kucharka z blinami... Rzykując poparzenie palców, Siemion Piotrowicz chwycił dwa bliny z samej góry, najgorętsze, i smakowicie plasnął je na swój talerz. Bliny były przypieczone, porowate i puszyste jak ramię kupieckiej córki... Podtykin rozpromienił się z rozkoszy, czknął z radości i polał je gorącym masłem... Przyjemnie podniecony powolutku, pieczółowicie posmarował je kawiorem. Miejsca niepokryte kawiorem polał śmietaną... Pozostało zatem już tylko jeść, nieprawdaż? Ależ nie! Podtykin spojrzał na dzieło swoich rąk i nie wydało mu się ono zadowalające. Pomyślał chwilę, po czym ułożył na blinach najtłustszy kawałek łososia, stynkę i sardynkę. Dopiero wtedy, omdlewając i sapiąc, zwinął bliny w rulonik, wychylił kieliszek wódki, kwaknął, otworzył usta...

I wtedy trafiła go apopleksja.

*Antoni Czechow, O briennosti (Maslenicznaja tiema dla propowiedi)******

Nasza książkowa podróż dobiegła końca, nadszedł czas na ostatnią ucztę. Razem z Mamą postanowiłyśmy urządzić ironiczną stypę po ZSRR. A co Rosjanie jadają na wspominkach i stypach? Bliny. Zatoczywszy więc pełne koło, powracamy do pierwszego rozdziału, jeszcze raz oddając się lekturze Czechowa. Tymczasem w lśniącej misce na maminym zielonym blacie ze sztucznego granitu drożdżowy zaczyn wypuszcza pęcherzyki powietrza i pęcznieje. Drożdże do naszych pożegnalnych blinów.

Bliny zawsze były najbardziej tradycyjnym, rytualistycznym i ultrasłowiańskim posiłkiem, spożywanym w karnawale i przy wróżbach, przy kulcie słońca i podczas prastarych obrzędów. W czasach przedchrześcijańskich ruskie życie rozpoczęło się od blinów i nimi się kończyło – od naleśników, którymi karmiono kobiety po porodzie, po bliny spożywane na pogrzebach. „Blin to symbol słońca, dobrych zbiorów, udanych małżeństw i zdrowych dzieci” – napisał rosyjski poeta Aleksander Kuprin.

Dla słowiańskiego poganina mąka i jaja w blinach reprezentowały płodność Matki Ziemi, a ich okrągły kształt i

rozżarzony rondel mogły stanowić hołd dla Jaryły, przedchrześciańskiego bóstwa słońca. Nawet w czasach sowieckich, gdy religia była zakazana, Rosjanie objadali się blinami nie tylko na stypach, ale i na Maślenicę – ostatki poprzedzające Wielki Post. Nadal to robią. Religie przychodzą i odchodzą, reżimy upadają, na postsowieckich stołach *sielodkę* (śledzika) zastępujesushi, lecz bliny pozostają. Niektóre pokarmy zdają się wieczne.

Prawdziwe rosyjskie bliny zaczynają się od *opary*, zaczynu z wody, mąki i drożdży. Ciasto powinno urosnąć przynajmniej dwa razy, a chcąc nadać mu lekko kwaskowy posmak, chłodzę je kilka godzin, aby aromaty rozwijały się powoli. Rosyjskie bliny są wielkości spodka, poza tym dziś ludzie wolą pszenicę niż archaiczną grykę*****. Większość *babuszek* upiera się przy żeliwnej patelni, ja jednak polecam ciężką z powłoką nieprzywieralną. Smażenie blinów wymaga nieco praktyki: „Pierwszy blin to zawsze gruda” – głosi rosyjskie porzekadło. Ale po trzech, czterech nabierzecie wprawy.

Wśród dodatków są – muszą być! – śmietana i stopione masło, śledź, wędzony łosoś i sieja oraz kawior, jeśli ma być wersja luksusowa. Na deser? Bliny z rozmaitymi dżemami.

BLINY

Na 6–8 osób

12 g (2¼ łyżeczki) drożdży suszonych
240 ml (1 szklanka) ciepłej wody
60 g (4 łyżki stołowe) cukru oraz dodatkowo 2 łyżeczki
340 g (2¾ szklanki) zwykłej mąki bądź więcej w miarę potrzeby
600 ml (2½ szklanki) mleka pełnotłustego w temperaturze pokojowej
60 g (4 łyżki stołowe) niesolonego masła, roztopionego, oraz dodatkowo więcej do omaszczenia blinów
2 duże jajka, oddzielić żółtka od białek, żółtka ubić
2 łyżeczki soli bądź więcej do smaku
Olej rzepakowy bądź słonecznikowy do smażenia
1 mały ziemniak, przepołowiony

Podawać ze stopionym masłem, kwaśną śmietaną, przynajmniej dwoma rodzajami wędzonej ryby, kawiorem bądź ikrą łososia oraz zestawem dżemów.

1. W dużej misce wymieszać drożdże, wodę i 2 łyżeczki cukru, pozostawić aż do spienienia się. Utrzepać z pół szklanki (60 g) mąki na gładką masę. Przykryte ciasto umieścić w ciepłym miejscu, aż zaczną się tworzyć pęcherzyki powietrza i prawie podwoi ono swoją objętość, na ok. godzinę.

2. Wymieszać z ciastem mleko, roztopione masło, pozostałe 280 g mąki, żółtka jaj, 60 g cukru i sól. Ubijać ciasto, aż stanie się jednolite, i pozostawić do wyrośnięcia, lekko przykryte folią spożywczą, aż zaczną się tworzyć pęcherzyki powietrza i ciasto prawie podwoi swoją objętość, na ok. 2 godziny, po czym znów je zamieszać i znów pozwolić mu wyrosnąć. Można też wstawić ciasto do lodówki i dać mu rosnąć przez kilka godzin albo przez noc, mieszając je tymczasem raz bądź dwa. Przed smażeniem doprowadzić do temperatury pokojowej.

3. Ubić białka jaj na niezbyt sztywną pianę i delikatnie wymieszać z ciastem. Zostawić ciasto do wyrośnięcia jeszcze na 10 minut.

4. Nalać nieco oleju do płytkiej miseczki i postawić niedaleko kuchenki. Nadziać pół ziemniaka na widelec i zanurzyć go w oleju. Obficie natrzeć olejem dno ciężkiego rondla (patelni) o średnicy 20 cm z nieprzywieralnym dnem i długim uchwytem. Rozgrzewać patelnię na średnim ogniu przez 1½ minuty. Przez łapkę do gorących naczyń chwycić rączkę patelni, zdjąć ją nieco z palnika i przekręcić w swoją stronę pod kątem 45 stopni. Chociebką szybko nalać do rondla tyle ciasta, aby pokryło dno jednolitą cienką warstwą (około 60 ml – $\frac{1}{4}$ szklanki). Pozwolić ciastu spływać po ściankach rondla, szybko przekrętając go i obracając, aż ciasto wypełni całą powierzchnię. Położyć rondel z powrotem na ogniu i smażyć, aż na powierzchni zaczną się tworzyć pęcherzyki, a dolna strona blina się zrumieni, na około

1 minutę. Przewrócić blin i smażyć jeszcze przez 30 sekund, pędzelkiem nanosząc na usmażoną stronę roztopione masło. Jeśli przy odwracaniu blina patelnia wydaje się sucha, natrzeć ją dodatkowo olejem. Ów pierwszy blin najprawdopodobniej okaże się porażką.

5. Zrobić kolejny blin w ten sam sposób, wyłączyć gaz i skosztować placek. Konsystencja blina powinna być lekka, gąbczasta i leciutko gumowata, powinien on być bardzo cienki, a zarazem puszysty. Jeśli zbyt łatwo się rwie, to znaczy, że ciasto jest za rzadkie – należy je wówczas wymieszać z dodatkowymi 30 g mąki. Jeśli z kolei blin jest zakalcowaty i zbyt gęsty, trzeba dodać 60–120 ml wody. Doprawić solą i cukrem do smaku i smażyć dalej.

6. Powtarzać to samo z resztą ciasta, przed każdym nowym blinem natłuszczając patelnię ziemniakiem. Każdy usmażony blin wkładać do głębokiej misy i trzymać gotowe bliny pod pokrywą bądź folią (zob. wstęp przed przepisem). Podawać gorące z zaproponowanymi wyżej dodatkami. Przed zjedzeniem omaścić blin masłem, można też wedle upodobania rozsmarować nieco śmietany, nałożyć kawałek ryby, zwinąć i wsadzić do ust.

Uwaga

Najsmaczniejsze są bliny świeżo zrobione. Jeśli koniecznie trzeba je podgrzać, to najlepiej umieścić je pod przykryciem z folii w gorącej kąpieli w piecu albo szybkowarze. Bądź przykryć ich stertę wilgotnym papierowym ręcznikiem i ogrzewać w kuchence mikrofalowej przez 1 minutę.

OD AUTORKI

Jest to praca z gatunku literatury faktu, utkana z rodzinnych anegdot i z faktów historycznych obejmujących dziesięć dekad doświadczeń sowieckich i postsowieckich. Według mojej najlepszej wiedzy wszystko, co tu napisałam, jest zgodne z prawdą, choć nierzaz przefiltrowane przez subiektywne odczucia głównych bohaterów. Niektóre imiona zmieniono, niektóre inne być może błędnie zapamiętano. Przez wzgląd na zwięzłość i dramatyzm narracji pewne osobiste przeżycia zostały skondensowane i nieco inaczej uporządkowane. Zrobiłam, co w mojej mocy, aby porównać moje osobiste wspomnienia i rodzinne mity z szerszymi relacjami historycznymi oraz należycie odtworzyć daty, wydarzenia i konteksty polityczne. Niektóre jednak z portretowanych przeze mnie osób są już dziś w podeszłym wieku, a innych nie ma już z nami, przepraszam więc za wszelkie przeoczone nieścisłości.

PODZIĘKOWANIA

Zawdzięczam tę książkę Scottowi Moyersowi, który wymyślił ją na długo przed tym, zanim wymyśliłam ją ja, nadał jej nazwę, znalazł wymarzonego redaktora jako mojego agenta i dalej wskazywał mi drogę, nawet gdy charakter tej pracy uległ zmianie. Towarzyszu, jako pierwszemu salutuję Tobie.

Po odejściu Scotta Andrew Wylie stał się ucielesnieniem inspiracji, zachęty i mądrzej rady przy każdym kolejnym kroku. W Wylie Agency serdecznie dziękuję Jin Auh oraz Tracy Bohan za wyprawienie tej książki w jej globalną podróż.

W wydawnictwie Crown bezgraniczne słowiańskie *spasibo* nadzwyczajnej redaktorce Rachel Klayman za jej pasję, inteligencję, dyscyplinę i głęboką, przemieniającą empatię dla radzieckiego doświadczenia i przeżyć autorki. Również w Crown wyrazy wdzięczności dla Mai Mavjee i Molly Stern za ich doskonałą pracę wydawniczą. W Transworld wielkie dzięki dla Douga, Madsa i Lisy.

Choć wzięłam sobie pisarski urlop od dziennikarstwa, miałam to szczęście, że nadal mogłam korzystać ze szczodrości i przyjaźni mojej wyjątkowej rodziny prasowej. Wyrazy najgłębszego uznania dla naszej genialnej redaktorki naczelnej z „Travel+Leisure” Nancy Novogrod i pięknej, utalentowanej Nilou Motamed. Serdeczności i pożdrowienia dla zawsze inspirującej Dany Cowin i niesamowitej Kate Krader z „Food & Wine”. Jedną z iskier, które zainspirowały tę książkę, był artykuł o obiadach mojej matki w „Saveur”. Za to i nie tylko za to dziękuję Jamesowi Oselandowi i zespołowi redakcyjnemu „Saveur”.

Suzanne Rafer i zmarły Peter Workman z Workman Publishing zawsze będą mieli szczególne miejsce w moim sercu za wprowadzenie mnie do świata piszących o jedzeniu.

W Moskwie jestem serdeczną dłużniczką Wiktora Biełajewa,

byłego szefa kuchni na Kremlu i urodzonego gawędziarza, Darii Hubowej za to, że wprowadziła mnie i Mamę do telewizji, oraz Iriny Głuszczenko i jej bezcennej książki za wyedukowanie mnie o Anastasie Mikojanie.

Mój rosyjski klan jest krynicą pokrzepienia i radości: Tata Siergiej Bremzen i jego żona Jelena Skulkowa, ciocia Julia, siestyczki Dasza i Masza (oraz mąż Maszy Siergiej), mój brat Andriej oraz Nadiuszka Mienkowa, ukochana archiwistka rodziny von Bremzen.

Po tej stronie Atlantyku *błagodarnost'* dla Anny Brodsky (i Clavy) za wnikliwą lekturę i bezcenną opowieść o mieszkaniu komunalnym oraz dla Alexandra Genisa za jego erudycję i pasję – oraz epikurejskie wyczyny.

Książka ta została pomyślana jako posiłek, który obejmuje dekady radzieckich doświadczeń. Nasze rzeczywiste posiłki nie byłyby wiele warte bez towarzystwa Iriny Genis, Andrieja i Tomy Zagdanskich oraz Aleksa i Andrei Bayerów. Odrębny toast kieliszkiem „Sowietskoje Szampanskoje” wznoszę na cześć Kateriny Darrier, Marii Landa-Neimark, Innessy Fialkovej, Eleny Dovlatovej, Isoldy Gorodetsky i Svetlany Kupchik za tak namacalne ożywienie radzieckiej przeszłości przy maminym stole na Queensie oraz na cześć Marka Sermana za „bajki”. Wśród osób narodowości innej niż rosyjska wielkie uściski dla Kate Sekules za wytrwałe podnoszenie mnie na duchu, dla Melissy Clark za bycie aniołem, dla Marka Cohena za udostępnienie mi swojego dojścia do archiwów, dla Petera Canby’ego, Esther Allen, Nathaniela Wice’a, Melissy Clark i Virginii Hatley za czytanie, dla Jonasa i Ursuli Hegewisichów za ich iskrę i styl oraz dla wszystkich innych znajomych w Nowym Jorku, Moskwie i Stambule, którzy mnie karmili, słuchali i dodawali otuchy.

Duszą i gwiazdą tej książki jest Larysa Frumkin. Mamulik, na zawsze pozostaniesz moją bohaterką i wzorem do

naśladowania. To Twoja książka.

Na koniec zaznaczę, że każde słowo na tych stronicach zawdzięcza coś Barry'emu Yourgrauowi, mojemu towarzyszowi, czytelnikowi, wydawcy, doradcy literackiemu, najlepszemu przyjacielowi i prawdziwemu ukochanemu. Bez niego ta książka byłaby smutnym, mętnym niczym. Moje życie również.

Wybrane źródła

Poniższy spis nie jest w żadnym razie wyczerpującą listą książek z zakresu literatury faktu, zarówno angielskojęzycznej, jak i rosyjskojęzycznej, którymi się posiłkowałam bądź do których odwołuję się w tej książce. Wymienia również dzieła beletrystyczne, wspomnienia, artykuły prasowe oraz wiarygodne materiały z internetu. Źródła, na których opieram się w kilku kolejnych rozdziałach, wymieniam w pierwszym z nich.

Rozdział 1

Borrero, Mauricio, *Hungry Moscow: Scarcity and Urban Society in the Russian Civil War, 1917–1921*, Peter Lang, New York 2003.

Gilarowskij, Władimir, *Moskwa i moskwiczi*, Moskowskij raboczij, Moskwa 1968. [Gilarowski, Włodzimierz, *Moje miasto*, tłum. Jerzy Brzeczkowski, Warszawa 1964].

Glants, Musya, Toomre, Joyce, *Food in Russian History and Culture*, Indiana University Press, Bloomington 1997.

LeBlanc, Ronald D., *Slavic Sins of the Flesh: Food, Sex, and Carnal Appetite in Nineteenth-Century Russian Fiction*, University of New Hampshire Press, Durham 2009.

Lih, Lars T., *Bread and Authority in Russia, 1914–1921*, University of California Press, Berkeley 1990.

McAuley, Mary, *Bread and Justice: State and Society in Petrograd, 1917–1922*, Clarendon Press, Oxford 1991.

Pochlebkin, Wiliam, *Kuchnia wieka*, Polifakt, Moskwa 2000.

Suny, Ronald G. (red.), *The Cambridge History of Russia*, t. 3: *The Twentieth Century*, Cambridge University Press, Cambridge 2006.

Rozdział 2

Ball, Alan M., *Russia's Last Capitalists: The Nepmen, 1921–1929*, University of California Press, Berkeley 1987.

Benjamin, Walter, *Moscow Diary*, Harvard University Press, Cambridge, MA 1986.

Boym, Svetlana, *Common Places: Mythologies of Everyday Life in Russia*, Harvard University Press, Cambridge, MA 1994.

Buchli, Victor, *An Archaeology of Socialism*, Berg, New York 1999.

Elwood, Carter, *The Non-Geometric Lenin: Essays on the Development of the Bolshevik Party 1910–1914*, Anthem Press, London–New York 2011.

Gienis, Aleksandr, *Kołobok. Kulinarnyje putieszestwija*, Corpus, Moskwa 2010.

Hessler, Julie, *A Social History of Soviet Trade: Trade Policy, Retail Practices, and Consumption, 1917–1953*, Princeton University Press, Princeton, NJ 2004.

Kondratjewa, Tamara, *Kormit' i prawit': O władzi w Rosji XVI–XX wieku*, ROSSPEN, Moskwa 2009.

Martin, Terry, *The Affirmative Action Empire: Nations and Nationalism in the Soviet Union, 1923–1939*, Cornell University Press, Ithaca–London 2001.

Massell, G.J., *The Surrogate Proletariat: Moslem Women and Revolutionary Strategies in Soviet Central Asia, 1919–1929*, Princeton University Press, Princeton, NJ 1974.

Osokina, Jelena, *Za fasadom stalinskogo izobilija. Raspredelenije i rynek w snabżenii nasielenia w gody industrializacyji, 1927–1941*, ROSSPEN, Moskwa 1999.

Tumarkin, Nina, *Lenin Lives! The Lenin Cult in Soviet Russia*, Harvard University Press, Cambridge, MA 1983.

Viola, Lynne, *Peasant Rebels under Stalin: Collectivization and the Culture of Peasant Resistance*, Oxford University Press, New York 1996.

Rozdział 3

Balina, Marina, Dobrenko, Yevgeny (red.), *Petrified Utopia: Happiness Soviet Style*, Anthem Press, London & New York 2009.

Fitzpatrick, Sheila, *Everyday Stalinism: Ordinary Life in Extraordinary Times: Soviet Russia in the 1930s*, Oxford University Press, New York 1999. [Życie codzienne pod rządami Stalina: Rosja radziecka w latach trzydziestych XX wieku, tłum. Joanna Gilewicz, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2012].

Głuszczenko, Irina, *Obszczepit: Anastas Mikojan i sowietskaja kuchnia*, GUWSzE, Moskwa 2010. [Sowiety od kuchni: Mikojan i radziecka gastronomia, tłum. Mikołaj Przybylski, wstęp Maciej Nowak, Warszawa 2012].

Gronow, Jukka, *Caviar with Champagne: Common Luxury and the Ideals of the Good Life in Stalin's Russia*, Berg, New York 2003.

Kniga o wkuśnoj i zdorowej piszcze, Piszczeppromizdat, Moskwa 1939, 1952, 1953, 1954, 1955.

Korenevskaya, Natalia, Lahusen, Thomas (red.), *Intimacy and Terror: Soviet Diaries of the 1930s*, New Press, New York 1995.

Mikojan, Anastas, *Tak było. Razmyszlenija o minuwszem*, Vagrius, Moskwa 1999.

Petrone, Karen, *Life Has Become More Joyous, Comrades: Celebrations in the Time of Stalin*, Indiana University Press, Bloomington 2000.

Rozdział 4

Bieriežkow, Walentin, *Stranicy diplomaticzeskoj istorii*, Mieždunarodnyje otnoszenija, Moskwa 1987.

Glantz, David M., *The Siege of Leningrad: 900 Days of Terror*, Brown Partworks, London 2001.

Jones, Michael, *Leningrad: State of Siege*, Basic Books, New York 2008.

Lurje, W.M., Koczik, W.J., *GRU. Dieła i ludi*, Olma-Press, Sankt-Pietierburg 2003.

Moskoff, William, *The Bread of Affliction: The Food Supply in the USSR During World War II*, Cambridge University Press, Cambridge 1990.

Murphy, David E., *What Stalin Knew: The Enigma of Barbarossa*, Yale University Press, New Haven 2005. [Co wiedział Stalin?, tłum. Michał Studniarek, Warszawa 2006].

Pleshakov, Constantine, *Stalin's Folly*, Houghton Mifflin, Boston 2005. [Szaleństwo Stalina: pierwsze 10 dni wojny na froncie wschodnim, tłum. Maciej Antosiewicz, Warszawa 2005].

Plokhy, Serhii, *Yalta: The Price of Peace*, Viking, New York 2010. [Jałta: cena pokoju, tłum. Robert Bartołd, Poznań 2011].

Salisbury, Harrison E., *The 900 Days: The Siege of Leningrad*, Avon Books, New York 1970.

Snyder, Timothy, *Bloodlands: Europe Between Hitler and Stalin*, Basic Books, New York 2010. [Skrwawione ziemie: Europa między Hitlerem a Stalinem, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Warszawa 2001].

Rozdział 5

Djilas, Milovan, *Conversations with Stalin*, Penguin, Harmondsworth 1963. [Rozmowy ze Stalinem, tłum. Adam Ciolkosz, Warszawa 1991].

Medvedev, Roy, Medvedev, Zhores, *The Unknown Stalin: His Life, Death, and Legacy*, Overlook Press, New York 2004. [Miedwiediew, Roj, Miedwiediew, Żores, *Nieznany Stalin*, tłum. Tomasz Illg, Katowice 2006].

Montefiore, S.S., *Stalin: The Court of the Red Tsar*, Weidenfeld & Nicolson, London 2003. [Stalin: Dwór czerwonego cara, tłum. Maciej Antosiewicz, Warszawa

2004].

Nikołajew, Władimir, *Sowietskaja oczeried' kak srieda obitanija, Socyologiczeskij Analiz*, INION RAN, Moskwa 2000.

Rappaport, Helen, *Joseph Stalin: A Biographical Companion*, ABC-CLIO, Santa Barbara 1999.

Zubok, Vladislav, *Zhivago's Children: The Last Russian Intelligentsia*, Harvard University Press, Cambridge 2009.

Rozdział 6

Carlson, Peter, *K Blows Top: A Cold War Comic Interlude Starring Nikita Khrushchev, America's Most Unlikely Tourist*, Public Affairs, New York 2009.

Castillo, Greg, *Cold War on the Home Front: The Soft Power of Midcentury Design*, University of Minnesota Press, Minneapolis 2010.

Chruszczow, N.S., *Wospominanija. Wriemia, ludi, wlast'*, t. 1–4, Moskowskije nowosti, Moskwa 1999.

Crowley, David, Reid, Susan E. (red.), *Socialist Spaces: Sites of Everyday Life in the Eastern Bloc*, Berg, Oxford 2002.

Taubman, William, *Khrushchev: The Man and His Era*, W.W. Norton, New York 2003.

[Chruszczow: człowiek i epoka, tłum. Łukasz Witczak, Wrocław 2012].

Wajl, Piotr, Gienis, Aleksandr, *60-je: Mir sowetskogo czełowieka*, Nowoje litieraturnoje obozrienije, Moskwa 1996.

Rozdział 7

Ledeneva, Alena, *Russia's Economy of Favours: Blat, Networking and Informal Exchange*, Cambridge University Press, Cambridge 1998.

Yurchak, Alexei, *Everything Was Forever Until It Was No More: The Last Soviet Generation*, Princeton University Press, Princeton 2006.

Rozdział 8

Herlihy, Patricia, *The Alcoholic Empire: Vodka and Politics in Late Imperial Russia*, Oxford University Press, New York 2002.

Transchel, Kate, *Under the Influence: Working-Class Drinking, Temperance, and Cultural Revolution in Russia, 1895–1932*, University of Pittsburgh Press, Pittsburgh 2006.

White, Stephen, *Russia Goes Dry: Alcohol, State and Society*, Cambridge University Press, Cambridge 1996.

Rozdział 9

Felshman, Neil, *Gorbachev, Yeltsin and the Last Days of the Soviet Empire*, St. Martin's, New York 1992.

Kahn, Jeffrey, *Federalism, Democratization, and the Rule of Law in Russia*, Oxford University Press, Oxford 2002.

Kapuściński, Ryszard, *Imperium*, Knopf, New York 1994 [Warszawa 1993].

Moskoff, William, *Hard Times: Impoverishment and Protest in the Perestroika Years*, M.E. Sharpe, Armonk, NY 1993.

Nekrich, A.M., *The Punished Peoples: The Deportation and Fate of Soviet Minorities at the End of the Second World War*, tłum. George Saunders, Norton, New York 1978.

O'Clery, Conor, *Moscow, December 25, 1991: The Last Day of the Soviet Union*, Public Affairs, New York 2011.

Remnick, David, *Lenin's Tomb: The Last Days of the Soviet Empire*, Random House, New York 1993. [Grobowiec Lenina: ostatnie dni radzieckiego imperium, tłum. Krzysztof Obłucki, Warszawa 1997].

Ries, Nancy, *Russian Talk: Culture and Conversation During Perestroika*, Cornell University Press, Ithaca, NY 1997.

Suny, Ronald G., *The Revenge of the Past: Nationalism, Revolution, and the Collapse of the Soviet Union*, Stanford University Press, Stanford 1993.

Von Bremzen, Anya, Welchman, John, *Please to the Table: The Russian Cookbook*, Workman, New York 1990.

Rozdział 10

Diewiatow, S., Szełow, A., Jurjew, J., *Bliżniaja dacza Stalina: Opty istoriczeskogo putiewoditiela*, Kremlin Multimedia, Moskwa 2011.

O AUTORCE

Anya von Bremzen jako dziecko mieszkała w Moskwie. Grała na fortepianie, pokątnie handlowała w szkole gumą do żucia „Juicy Fruit”, występowała w radzieckich filmach. Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych i ukończeniu studiów w Juilliard School wypracowała sobie renomę jednego z najwyżej cenionych w swoim pokoleniu autorów piszących o jedzeniu. Zdobyła trzy nagrody im. Jamesa Beardy, współredaguje

czasopismo „Travel + Leisure”, napisała pięć entuzjastycznie przyjętych książek kucharskich, w tym *The New Spanish Table*, *The Greatest Dishes: Around the World in 80 Recipes* oraz *Please to the Table: The Russian Cookbook* (wspólnie z Johnem Welchmanem). Regularnie pisuje do magazynu „Food & Wine” oraz „Saveur”, publikowała także na łamach „The New Yorker”, „Departures” i „Los Angeles Times”. Również jej artykuły prasowe doczekały się publikacji w kilku antologiach w ramach cyklu Best Food Writing. Włada płynnie czterema językami. Mieszka w Queens w Nowym Jorku, ma też mieszkanie w Stambule.

Note

* Bloki takie nazywano zresztą *chruszczówkami* albo *chruszczobami* (przyp. tłum.).

** Rue du Chat-qui-Pêche, uważana za najwęższą uliczkę Paryża, ma 180 cm szerokości (przyp. tłum.).

*** *Doktorskaja* – jedna z najpopularniejszych radzieckich kiełbas, sprzedawana od 1936 roku do dziś, przypominająca naszą mortadelę, lecz lepszej jakości (przyp. tłum.).

**** Popularna niedroga restauracja przy uczęszczanej trasie w Livingston Manor w stanie Nowy Jork (przyp. tłum.).

***** Z białej kapusty, zazwyczaj z majonezem (przyp. tłum.).

***** Chleb obecny na rynku amerykańskim od 1921 roku, jako jeden z pierwszych krojony w kromki i sprzedawany w foliowych woreczkach (przyp. tłum.).

***** Rosyjska *krakowskaja kołbasa*, choć o tradycji sięgającej czasów carskich, nie przypomina niestety polskiej krakowskiej (przyp. tłum.).

***** *Mikojanowskaja kotleta*, od nazwiska Anastasa Mikojana (przyp. tłum.).

***** W Polsce tą nazwą określamy zupę z młodych buraczków i ich liści, jadana zwykle na ciepło (przyp. red.).

***** A. Czechow, *Syrena*, tłum. J. Pomianowski [w:] idem, *Opowiadania*, Warszawa 1984, s. 96.

***** M. Gogol, *Martwe dusze*, tłum. W. Dłuski, Kraków 2014, s. 381.

***** Paszteciki w cieście drożdżowym (przyp. tłum.).

***** Wyższe sfery (przyp. tłum.).

***** Bergamotka, kolendra i kwiat pomarańczy – górne nuty szyprowej „Czerwonej Moskwy”, uznawanej za pierwsze radzieckie perfumy (stworzonej przez Auguste'a Michela) – nie są w najmniejszej mierze „słodkie”, lecz dość wyraźnie przebijają zza nich intensywniejsze nuty środka kompozycji: ylang-ylang i goździk (przyp. tłum.).

***** Po polsku książka ukazała się w 1964 roku pod tytułem *Moje miasto* w przekładzie Jerzego Brzeczkowskiego (przyp. tłum.).

***** W. Gilarowski, *Moje miasto*, s. 96. Zob. też s. 259 i nast.

***** W Penzie, gdzie chłopi zbuntowali się przeciwko rekwizycjom (przyp. tłum.).

***** Przekład Wiktora Woroszyłskiego: W. Woroszyłski, *Życie Majakowskiego*, Gdańsk 2000, s. 130 (e-book).

***** Zupa z żółwia (przyp. tłum.).

***** Oktiabriata – organizacja dla najmłodszych uczniów sowieckich szkół podstawowych (7–9 lat), od lat czterdziestych obowiązkowa (przyp. tłum.).

***** Po upadku Związku Radzieckiego ośrodek przeszedł pod nadzór Wszechzwiązkowego Instytutu Roślin Lekarskich i Aromatycznych, działa dziś w podziemiach mauzoleum (przyp. tłum.).

***** Od 1924 roku aż do dziś Uljanowsk, na pamiątkę Lenina (przyp. tłum.).

***** W Polsce książka ukazała się pod tytułem *Co robić? Z opowiadań o nowych ludziach* (Warszawa 1951) w przekładzie Jerzego Brzeczkowskiego (przyp. tłum.).

***** W. Benjamin, *Selected Writings*, t. 2, cz. 1, 1927–1930, tłum. R. Livingstone et al., Cambridge, Massachusetts, and London, England 2005, s. 30.

***** *Ax, Одесса, жемчужина у моря.*

***** W.I. Lenin, *Wielka inicjatywa* [w:] idem, *Dzieła wszystkie*, t. 39, Warszawa 1988, s. 22 (przyp. tłum.).

***** W artykule *O russkom kriestjanstwie* Gorki, znający problem z własnych doświadczeń, mnoży przykłady na potwierdzenie swej oceny, odwołuje się też do literatury rosyjskiej końca XIX wieku (np. opowiadanie Czechowa *Chłopi*), która z niespotykanym wcześniej realizmem opisuje rzeczywisty stan moralny rosyjskiego chłopstwa. Por. artykuł *Rosyjskie okrucieństwo* z pisma „Literaturno-Naukowyj Wiestnik” 1921, s. 167–177, tłum. Piotr Gursztyn, na podstawie tekstu ukraińskiego w: „Nasz Kłycz” 1999, t. 1, s. 59–62, artykuł dostępny na <http://niniwa22.cba.pl/gorki.htm> (data dostępu: 30.05.2016).

***** W.I. Lenin, *Towarzysze robotnicy! Idziemy w bój ostatni!* [w:] idem, *Dzieła wszystkie*, t. 37, s. 36 (przyp. tłum.).

***** Mowa o głodzie stanowiącym bezpośredni skutek kolektywizacji. Ogólną liczbę ofiar głodu wywołanego przez Stalina na Ukrainie (prócz Wielkiego Głodu w latach 1932–1933 należy uwzględnić również klęski w latach 1921–1923 i 1946–1947) szacuje się dzisiaj na około 10 mln (przyp. tłum.).

***** *Piesnia o Rodinie* z muzyką Izaaka Dunajewskiego (przyp. tłum.).

***** Rozmowa Philipa Rotha z Milanem Kunderą 30 listopada 1980 roku (przyp. tłum.).

***** Ten propagandowy wynik był *de facto* dziełem nie samego Stachanowa, lecz jeszcze dodatkowych pięciu górników, których przydzielono mu do pomocy (przyp. tłum.).

***** Kinomani znają tę rzeźbę jako logo studia filmowego Mosfilm (przyp. tłum.).

***** Z filmu *Jasna droga* G. Aleksandrowa z 1940 roku (przyp. tłum.).

***** „Aunt Jemima” – marka ciasta naleśnikowego i innych produktów śniadaniowych; „Chef Boyardee” – marka spaghetti i innych półproduktów kuchni włoskiej (przyp. tłum.).

***** Najsłynniejsza amerykańska książka kucharska, autorstwa Irmy Rombauer, po raz pierwszy wydana w 1931 roku (przyp. tłum.).

***** Słynne szale z jedwabiu i koziej sierści dziergane od około dwóch i pół wieku w rejonie Orenburga (przyp. tłum.).

***** Twórca literackiej postaci Jamesa Bonda (przyp. tłum.).

***** Wcześniej twierdza Symbirsk, założona w XVII wieku na wschodnich rubieżach cesarstwa (przyp. tłum.).

***** Słynna pieśń *Swiaszczennaja wojna* (*Święta wojna*), skomponowana przez Aleksandra Aleksandrowa i wykonywana przez jego chór (przyp. tłum.).

***** Słynne pierwsze publiczne przemówienie Stalina od czasu inwazji niemieckiej, wygłoszone przez radio 3 lipca 1941 roku (przyp. tłum.).

***** Oddech Cheyne'a-Stokesa, tzw. oddech periodyczny, jest zaburzeniem częstotliwości i rytmu oddychania oraz głębokości oddechowej i oznacza występowanie długich, kilkunastosekundowych bezdechów, przerywanych bardzo szybkimi i głębokimi w kulminacyjnym punkcie oddechami, potem zwalniającymi i coraz płytszymi (przyp. tłum.).

***** *Gosudarstwiennyj institut tieatralnogo iskusstwa*. Ta jedna z największych na świecie szkół teatralnych nosi dziś nazwę Rosyjskiego Instytutu Sztuki Teatralnej, nadal jednak używa się skrótu GITIS (przyp. tłum.).

***** Warzywa faszerowane, popularne w wielu krajach południowo-wschodniej Europy i Bliskiego Wschodu, także w formie gołębików, często zawijanych w liście winogron (przyp. tłum.).

***** M. Djilas, *Rozmowy ze Stalinem*, tłum. A. Ciołkosz, Warszawa 1991, s. 68 (przyp. tłum.).

***** Ibidem, s. 127.

***** Wspomina o tym Džilas, op. cit., s. 126.

***** Polski przekład Ireny Lewandowskiej ukazał się po raz pierwszy w 1988 roku (przyp. tłum.).

***** Wówczas wiceprezydent USA (przyp. tłum.).

***** Od ang. *to split* – „rozdzielać”. Dzięki pomysłowiemu „rozdzieleniu” budynku tę replikę przeciętnego amerykańskiego domu mogły obejrzeć tłumy gości (przyp. tłum.).

***** Paczka – krótka tiulowa spódnica baletnicy (przyp. tłum.).

***** Pierwszy wiersz z wczesnego zbioru *Epiczeskie motiwы* (przyp. tłum.).

***** Amerykański pediatra, autor rozchwytywanych poradników poświęconych wychowaniu dzieci. Spopularyzował ideę podmiotowości dziecka (przyp. tłum.).

***** *Mother Goose*, bajkowa postać z folkloru krajów anglosaskich, często pojawiająca się w rymowankach dla dzieci. Polskim dzieciom bywa też znana jako Babcia Gąska. W serialu *Opowieści Mamy Gęsi* Jima Hensonka Humpty-Dumpty występuje po polsku jako „Wielkie jajko” (przyp. tłum.).

***** W artykule *Błoszynuј rynok*, „Wriemia i my” 1977, 24, s. 25 (przyp. tłum.).

***** Przekład Andrzeja Tuziaka z wydania *Szczęśliwy książę i inne bajki*, Bytom 1990 (przyp. tłum.).

***** С чего начинается Родина – patriotyczny utwór z repertuaru słynnego radzieckiego pieśniarza Marka Bernesa, wykorzystany w filmie Władimira Basowa *Tarcza i miecz* (przyp. tłum.).

***** Rosjanie wymawiają tę nazwę *oliwje*. Wyjawszy dodatek mięsa, znana Polakom bardzo dobrze „sałatka jarzynowa” (przyp. tłum.).

***** Model torebek od Hermèsa (cena nowej torebki – ok. 11 tys. dolarów), nazwany tak na cześć księżnej Monako, której przypadł on do serca, gdy jeszcze jako Grace Kelly występowała w swym ostatnim filmie *Złodziej w hotelu* (przyp. tłum.).

***** Agresorami w wojnie Jom Kippur były Egipt i Syria, szkolone i zbrojone specjalnie w tym celu przez Związek Radziecki (przyp. tłum.).

***** Czekoladki w formie drażetek w kolorowej glazurze (przyp. tłum.).

***** Grzyby duszone z cebulką w sosie śmietanowym, zapiekane pod warstwą żółtego sera (przyp. tłum.).

***** *Pop-tarts* – prostokątne tosty z bardzo słodkim nadzieniem, produkowane przez firmę „Kellogg” (przyp. tłum.).

***** Krakersy firmy Nabisco, produkowane od 1903 roku (przyp. tłum.).

***** Amerykańska aktorka i piosenkarka prowadząca również własny program telewizyjny (przyp. tłum.).

***** Ros. *sowok* – szufelka do zmiatań śmieci (przyp. tłum.).

***** Podłużny metalowy bądź drewniany pojemniczek ze zwiniętym kawałkiem pergaminu z wypisanymi na nim fragmentami z Księgi Powtózonego Prawa 6,4–9 i 11,13–21, zawierającymi m.in. takie słowa: „Słuchajże Izraelu: Pan, Bóg nasz, Pan jeden jest. Będziesz tedy miłował Pana, Boga twoego, ze wszystkiego serca twego, i ze

wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej siły twojej; a będą te słowa, które ja dziś rozkazuję tobie, w sercu twojem [...] i przywiążesz je na znak na rękach twoich [...]. Napiszesz je też na podwojach domu twego..." (przekład *Biblia Gdańskiej*, Warszawa 1980, s. 180; przyp. tłum.).

***** Marka koszernych produktów (przyp. tłum.).

***** Sycylijskie ciastka – rurki z kremem z serka ricotta (przyp. tłum.).

***** Hiszp. udziec (przyp. tłum.).

***** Pianki są lekkie, miękkie i dietetyczne, robione z musu jabłkowego, dosładzane i urozmaicane dowolnymi dodatkami, a utrwalane ubitym białkiem bądź w inny sposób, np. agarem (przyp. tłum.).

***** Słynna prestiżowa marka fortepianów, firma wytwarza je w Nowym Jorku od 1853 roku (przyp. tłum.).

***** Te kłopoty oraz całą długą historię rosyjskiej polityki spirytusowej opisuje szczegółowo w dwutomowej książce *Imperium wódki* (Kraków 2015) Mark Lawrence Schrad (przyp. tłum.).

***** Por. W.I. Lenin, *XI Zjazd RKP(b) 27 marca – 2 kwietnia 1922 r.* [w:] idem, *Dzieła wszystkie*, t. 45: *marzec 1922 – marzec 1923*, Warszawa 1989, s. 118.

***** Inaczej torbiel galaretowata, uważana za rezultat zwyrodnienia, do którego dochodzi wskutek przewlekłych urazów, występująca w okolicach stawów bądź ściegien (przyp. tłum.).

***** Jacques Derrida – filozof francuski, zaliczany do czołowych przedstawicieli postmodernizmu (przyp. tłum.).

***** Wówczas modny nowojorski sklep z wysokiej jakości żywnością. Jego właścicielki napisały cały cykl książek kucharskich (przyp. tłum.).

***** Julia Child, Jacques Pépin – gospodarze programów kulinarnych, spopularyzowali w Ameryce kuchnię francuską (przyp. tłum.).

***** Znane i w polskiej kuchni drobno siekane bądź mielone grzyby przyprawione cebulką, szalotką i ziołami, po czym duszone w celu odparowania wody, stosowane jako nadzienie bądź baza sosów (przyp. tłum.).

***** Dziś Ogólnorusyjskie Centrum Wystawowe (WWC).

***** Ikat – technika barwienia tkanin we wzory, analogiczna do batiku (gdzie fragmenty tkaniny chronią się przed zabarwieniem za pomocą wosku), lecz w odróżnieniu od niego polegająca na barwieniu przed jej utkaniem, a jej fragmenty osłaniają się poprzez mocne przewiązanie (przyp. tłum.).

***** Nagroda w dziedzinie sztuki kulinarnej przyznawana w rozmaitych kategoriach, m.in. szefom kuchni i restauracjom, a także autorom książek kucharskich i dziennikarzom (przyp. tłum.).

***** San Francisco i jego okolice stanowią najprzniejszy ośrodek coraz popularniejszego w świecie zachodnim ruchu DIY, czyli „zrób to sam” (przyp. tłum.).

***** Oficjalne państwowego biuro podróży powołane do obsługi zagranicznych turystów, obsadzone przez funkcjonariuszy KGB (przyp. tłum.).

***** Polacy byli wywożeni nie tylko z ówczesnej Ukraińskiej SRR, ale przede wszystkim z obszarów II RP okupowanych bądź zaanektowanych przez ZSRR w 1939 roku na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow (przyp. tłum.).

***** To jest w duchu stonowanej elegancji, w odwrocie od modnej wcześniej ostentacji, np. w biżuterii (od ang. *bling* – „błyskotki”, ale i „efekciarski, na pokaz”) (przyp. tłum.).

***** „Ukochani Przyjaciele! Jestem w srogiej Moskwie, niestety nie zdołam...” (tłum. z j. hiszp. A.C.).

***** Ten i kolejne fragmenty *Requiem* podano w przekładzie Józefa Łobodowskiego, opublikowanym w paryskiej „Kulturze” nr 6/200 z 1964 roku, s. 61, 63 (przyp. tłum.).

***** Amerykański dziennikarz, komunista, autor relacji m.in. o rewolucji meksykańskiej i rewolucji październikowej – tę ostatnią opisał w książce *Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem* (przyp. tłum.).

***** Chodzi o sól gruboziarnistą, najczęściej o spłaszczonych ziarnach, zwykle bez żadnych dodatków (jak jod, antyzbrylacz). Nazwa wiąże się ze stosowaniem jej w kuchni żydowskiej do koszerowania mięsa, ponieważ taka sól dobrze wchłania z niego krew (przyp. tłum.).

***** „Wypuść naród mój!” – słynny standard negro spirituals *Go Down Moses*, znany przede wszystkim z interpretacji Paula Robesona, opisujący okoliczności wyjścia Izraela z niewoli egipskiej (przyp. tłum.).

***** Analogicznego szoku może doznać Polak urodzony na obszarze dawnego zaboru rosyjskiego, gdzie kuchnia preferuje smaki bardziej pikantne, kosztując np. tradycyjnych na terenach dawnej Galicji pierogów z kapusty słodkiej, a nie kiszonej, czy zielonej sałaty przyprawianej na słodko (przyp. tłum.).

***** Tradycyjny garnek, zwykle żeliwny (ale bywają też ceramiczne bądź gliniane), o grubych ścianach i starannie dopasowanej pokrywce. W wersjach przeznaczonych do użytku pod gołym niebem bywa zaopatrzony w nóżki i pałkowaty uchwyt, a pokrywka miewa zagłębienia na rozżarzone węgle, tak aby żar docierał też od góry (przyp. tłum.).

***** W przekładzie Wiktora Woroszyłskiego, *Życie Majakowskiego*, Gdańsk 2000, s. 130 (e-book).

***** Perski poeta i „człowiek renesansu” z przełomu XI i XII wieku (przyp. tłum.).

***** Cierpko-kwaśne jaskrawoczerwone jagody berberysu pospolitego – który występuje również w Polsce, lecz dziś już rzadziej w stanie dzikim, a częściej w ogrodach – są od tysiącleci cenione za swe właściwości lecznicze, m.in. zawierają rekordową ilość witaminy C (przyp. tłum.).

***** W Polsce zapewne łatwiej nazrywać ich z berberysu pospolitego we własnym ogrodzie (przyp. tłum.).

***** Przekład tłumaczki na podstawie tekstu oryginalnego.

***** Dbający o zdrowie zechcą powrócić do tradycyjnej mąki gryczanej, nieporównanie bogatszej w składniki odżywcze, niemodyfikowanej, pozbawionej też glutenu (przyp. tłum.).

Spis treści

[Tytułowa](#)

[Redakcyjna](#)

[Dla Larysy](#)

[Prolog](#)

[Zatrute magdalenki](#)

[CZĘŚĆ I](#)

[BALE, BIEDA I BAJKI](#)

[CZĘŚĆ II](#)

[LARYSA](#)

[CZĘŚĆ III](#)

[ANIA](#)

[CZĘŚĆ IV](#)

[POWRÓTY](#)

[CZĘŚĆ V](#)

[ZE SKARBNICY RADZIECKICH PRZEPISÓW](#)

[OD AUTORKI](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Wybrane źródła](#)

[Note](#)